



Cierpicie
na zespół odstawienny
po *Downton Abbey*?
To książka dla Was!
„Daily Mail”

SZCZĘŚCIE
CAVENDON HALL

BARBARA
TAYLOR
BRADFORD

Świat Książki

Barbara Taylor Bradford

Szczenie Cavendon Hall

*Dla Boba,
jak zawsze z miłością*

OSOBY

INGHAMOWIE W ROKU 1938

Charles Ingham, szósty hrabia Mowbray, lat 69. Właściciel i strażnik Cavendon Hall. Znany jako lord Mowbray. Aktualnie żonaty z Charlotte Swann, szóstą hrabiną Mowbray.
DZIECI HRABIEGO I JEGO NIEŻYJĄCEJ PIERWSZEJ ŻONY, FELICITY

Miles Ingham, dziedzic tytułu, lat 39. Mówi się o nim wielmożny Miles Ingham. Żonaty z Cecily Swann, lat 37. Mają troje dzieci: Davida, lat 9, Waltera, lat 7, i Venetię, lat 5. Miles zarządza majątkiem Cavendon. Cecily kursuje między Cavendon i ich londyńskim domem, prowadząc swój dom mody.

Lady Diedre Ingham Drummond, najstarsza córka, lat 45. Aktualnie wdowa. Mieszka w Londynie z synem Robinem, lat 11. Pracuje znowu w Ministerstwie Wojny. W weekendy oboje przyjeżdżają do Cavendon, gdzie mają własne pokoje.

Lady Daphne Ingham Stanton, druga córka, lat 42. Zamężna z Hugonem Stantonem, lat 57. Mieszkają wraz z piątką dzieci w południowym skrzydle Cavendon Hall.

Lady DeLacy Ingham, trzecia córka, lat 37, mieszka w Londynie i w Cavendon. Po rozwodzie z Simonem Powersem powróciła do panieńskiego nazwiska.

Lady Dulcie Ingham Brentwood, czwarta córka, lat 30. Mieszka w Londynie i w Cavendon. Zamężna z sir Jamesem Brentwoodem, jednym z największych aktorów brytyjskich, który otrzymał od króla Jerzego VI tytuł szlachecki. Mają trójkę dzieci: bliźniaczki Rosalind i Juliet, lat 9, i syna Henry'ego, lat 6.

Personel w dalszym ciągu mówi z czułością o czterech córkach hrabiego „Cztery De”.

Dzieci lady Daphne i Hugona Stantona to Alicia, lat 24; Charles, lat 20; bliźniacy Thomas i Andrew, lat 17, i Annabel, lat 14.

POZOSTALI INGHAMOWIE

Lady Vanessa Ingham Bowers, siostra hrabiego, lat 56. Żona Richarda Bowersa, lat 58. Mieszkają w Londynie i w Skelldale House na terenie majątku Cavendon, odziedziczonym po zmarłej siostrze lady Vanessy, Lavinii Ingham Lawson.

Lady Gwendolyn Ingham Baildon, owdowiała ciotka hrabiego, lat 98, rezyduje w Little Skell Manor na terenie majątku. Była żona nieżyjącego Paula Baidona.

Wielmożny Hugo Ingham Stanton, kuzyn hrabiego, lat 57. Jest siostrzeńcem lady Gwendolyn, siostry jego zmarłej matki. Żonaty z lady Daphne.

RODZINA SWANNÓW

Rodzina Swannów służy rodzinie Inghamów od stu osiemdziesięciu pięciu lat. Co za tym idzie, ich losy łączyły się na wiele różnych sposobów. Całe pokolenia Swannów mieszkali w wiosce Little Skell, przylegającej do Cavendon. Współcześni Swannowie są równie oddani i lojalni wobec Inghamów jak ich przodkowie, i z narażeniem życia broniliby każdego członka rodziny. Inghamowie ufają im bez zastrzeżeń i vice versa.

SWANNOWIE W ROKU 1938

Walter Swann, pokojowiec hrabiego, lat 60. Głowa rodziny Swannów.

Alice Swann, jego żona, lat 57. Zdolna krawcowa, która wciąż szyje sukienki dla córek lady Daphne.

Harry, ich syn, lat 40. Poprzednio zamierzał zostać projektantem ogrodów w Cavendon, a teraz wraz z Milesem zarządza majątkiem.

Cecily Swann, ich córka, lat 37. Poślubiła Milesa i jest znaną na całym świecie projektantką mody.

POZOSTALI SWANNOWIE

Percy, młodszy brat Waltera, lat 57. Główny leśniczy w Cavendon.

Edna, żona Percy'ego, lat 58. Wykonuje prace zlecone w Cavendon.

Joe, ich syn, lat 37. Pracuje w Cavendon z ojcem jako leśniczy.

Ted, bliski krewny Waltera, lat 63. Główny konserwator wnętrza i stolarki w Cavendon.

Wdowiec.

Eric, brat Teda, bliski krewny Waltera, lat 58. Kamerdyner w londyńskim domu lorda Mowbray. Kawaler.

Laura, siostra Teda, bliska krewna Waltera, lat 51. Gospodyni w londyńskim domu lorda Mowbray. Panna.

Charlotte, stryjka Waltera i Percy'ego, lat 70. Aktualnie szósta hrabina Mowbray. Charlotte jest żeńską głową rodzin Swannów i Inghamów. Cieszy się powszechnym szacunkiem. Była sekretarką i osobistą asystentką Davida Inghama, piątego hrabiego, aż do jego śmierci. W 1926 roku wyszła za szóstego hrabiego.

Dorothy Pinkerton, z domu Swann, lat 55, kuzynka Charlotte. Mieszka w Londynie i jest żoną Howarda Pinkertona, byłego detektywa Scotland Yardu. Pracuje w pracowni Cecily Swann.

PERSONEL DOMOWY

Pan Henry Hanson, kamerdyner

Pani Jean Weir, gospodyni

Panna Susie Jackson, kucharka

Pan Gordon Lane, młodszy kamerdyner

Pan Ronald Gorme, lokaj

Panna Kate Smithers, główna pokojówka

Panna Brenda Caine, druga pokojówka

Pan John Goff, szofer

POZOSTAŁY PERSONEL

Panna Angela Chambers, niania dzieci Cecily.

Panna Eileen Marks, guwernantka. Latem, gdy dzieci mają wakacje, nie przebywa w Cavendon.

PRACOWNICY TERENOWI

W tak ogromnej posiadłości jak Cavendon Hall, z jej tysiącami akrów ziemi i olbrzymim terenem do polowań na ptactwo, zatrudnia się wielu miejscowych ludzi. Oferuje się pracę wieśniakom i grunty uprawne dzierżawcom. Różni hrabiowie Mowbray budowali wioski otaczające Cavendon, by ich pracownicy mieli dach nad głową; budowano również szkoły i kościoły, a w późniejszych okresach także urzędy pocztowe i sklepiki. Wioski wokół Cavendon

to Little Skell, Mowbray i High Clough.

Jest wielu pracowników terenowych: główny leśniczy i pięciu dodatkowych leśników; naganiacze i skrzydłowi, pracujący podczas sezonu polowań na ptactwo. Poza tym robotnicy leśni, opiekujący się okolicznymi lasami, w których poluje się w określonych porach roku. Ogrodami opiekuje się główny ogrodnik i jego pięciu podwładnych.

Sezon polowań na głuszcowate zaczyna się dwunastego sierpnia i kończy w grudniu. Sezon na kuropatwy zaczyna się we wrześniu. Poluje się wtedy na kaczki i dzikie ptactwo. Polowania na bażanty rozpoczynają się pierwszego listopada i trwają do grudnia. Ludzie przyjeżdżający na polowania do Cavendon to przeważnie arystokraci; zawsze mówi się o nich jako o „strzelbach”, czyli ludziach używających broni.

CZEŚĆ PIERWSZA



Inghamowie i Swannowie

1938



PRZEPOWIEDNIE

Aniołek, fijołek, róża, bez,
Konwalia, dalia, zdechły pies.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Cecily Swann Ingham stała na schodkach aneksu biurowego Cavendon Hall, rozglądając się dokoła. Ależ ta pogoda się zmienia, pomyślała. Po ponurym, pochmurnym poranku mamy prześliczne popołudnie. Błękitne niebo bez jednej chmurki, słońce prześwieca przez liście drzew. Tak właśnie powinno być pod koniec lipca. Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Zeszła na dół i przez podwórze stajni dotarła do dróżki parkowej prowadzącej do wioski Little Skell.

W trakcie spaceru nagle przypomniała sobie niedawne urodziny syna. Lało jak z cebra i planowane przyjęcie na świeżym powietrzu wzięło w łeb. W końcu uroczystość odbyła się w domu. Szkoda, że nie było wtedy tak ładnie jak dziś. Z drugiej strony, Davidowi nie przeszkadzała pogoda. Były to jego dziewiąte urodziny i świetnie się bawił z Walterem i Venetią. Rodzina czuła się szczęśliwa, i to się najbardziej liczyło, a ich radość wynikała z okazji do zabawy i tego, co Miles nazywał „zebraniem klanu”.

Później, w łóżku, Miles przytulił ją i zaczął się głośno zastanawiać, jak minęły te wszystkie lata. Powiedziała, że czas zawsze szybko płynie, kiedy są razem. Roześmiał się i przytulił ją jeszcze mocniej, gładząc jej włosy. Po chwili dodała, że mieli sporo zajęć, wychowując trójkę dzieci, prowadząc interesy i zabezpieczając byt Cavendon i rodziny, a on wymruczał słowa podziękowań, objął ją, pocałował i zaczął pieścić.

Wspominając teraz tę noc, pomyślała, że mogła wtedy zająć w ciążę. Byli tak siebie spragnieni, kochali się tak namiętnie...

Cecily zadumała się. Ma trzydzieści siedem lat i musi traktować następane dziecko jako dar, bo wkrótce przestanie mieć na to szansę. Ale rodzić dziecko w obliczu nadchodzącej wojny? To ją niepokoiło. Odrzuciła tę myśl i ruszyła żwawo do wioski. Zaczęła wspominać ogrom pracy, jaki włożyli w Cavendon Hall. Przyczynili się do tego także jej brat Harry i cztery szwagierki. Ostatnie lata były pod wieloma względami trudne.

Każde z nich wiele poświęciło, często także własne pieniądze, by utrzymać posiadłość na powierzchni.

Ale udało im się to uczynić.

Inghamowie i Swannowie ramię w ramię dokonali cudów. Cavendon wypłynęło teraz na bezpieczne wody.

Lecz nawet dzisiaj pewne rzeczy nie dawały Cecily spokoju. Wcześniej odsuwała od siebie obawy o Harry'ego i troskę związaną z Gretą, jej osobistą asystentką, ale w głębi duszy czuła, że żadna z tych spraw nie jest prawdziwą przyczyną jej niepokoju.

Martwiło ją coś zupełnie innego, nękało i przyprawiało o bezsenność.

Agresywne poczynania Trzeciej Rzeszy kładły się cieniem także na Anglii. Groźba wojny wisiała w powietrzu. W przypadku inwazji Cavendon będzie zagrożone... cały kraj będzie zagrożony. A także Europa. Właściwie cały świat. Rozumiała to aż nadto dobrze.

Dochodząc do ogrodu różanego, Cecily przystanęła, otworzyła masywną dębową furtkę i zeszła po schodkach. Natychmiast otoczyła ją woń późnych letnich róż. Odetchnęła głęboko i usiadła na metalowej ławce. Odchyliła się do tyłu i zamknęła oczy, usiłując złapać kilka chwil relaksu.

Ten uroczy stary ogród nie zmienił się od wieków; był dla niej od dzieciństwa oazą spokoju. Siadywała tu prawie codziennie, choćby na parę minut. Uwielbiała zapach róż i spokój

panujący za wysokim ceglanym murem. To miejsce koło jej skołatane nerwy, pomagało pozbierać myśli, poradzić sobie z troskami.

Powędrowała myślami ku matce. Wiedziała, że Alice wraz z innymi kobietami z trzech wiosek, członkiniami Instytutu Kobiet, przygotowuje się do wojny. Charlotte była przewodniczącą tej grupy. To wyjątkowe zrzeszenie kobiet wiejskich wypracowywało sposoby na ułatwienie życia na wypadek, gdyby wojna rzeczywiście zbliżyła się do ich kraju.

Oczywiście, że wojna nadejdzie, mruknęła pod nosem. Premier Chamberlain był zdania, że uda mu się ugłaskać Hitlera, który już zaanektował Austrię i łakomie zerkał na czeskosłowackie Sudety.

Z drugiej strony Winston Churchill rozumiał bezcelowość polityki ugodowej i stale ostrzegał rząd przed wojną. Cecily wiedziała, że Churchill ma rację, choć było to przerażające.

W jej myśli wdarł się nagle warkot nisko przelatującego samolotu. Zerwała się z miejsca, uniosła głowę ku niebu i jej lęk natychmiast się rozwiął.

Mały samolot nie nosił swastyki, emblematu nazistowskich Niemiec. Należał do Joela Jolliona, syna komandora floty wojennej Edgara Jolliona, który mieszkał za Mowbray, w pobliżu High Clough. Komandor wybudował pas startowy na długim polu w Burnside Manor, ponieważ jego syn uwielbiał latanie.

Cecily usiadła znów na ławce, usiłując odpędzić troski. Ale tego popołudnia przychodziło jej to z trudem. Wciąż tkwiły w jej głowie.

W zeszłym tygodniu Hanson zaprowadził ją i Milesa do ogromnych piwnic Cavendon i pokazał, jakie rozpoczął przygotowania do wojny.

Piwnice były zawsze nienagannie czyste; miały pobielone ściany i pozamiatane podłogi. Hanson zwrócił ich uwagę na stos łóżek polowych, które przyniósł z magazynu. Były tam też sofy, fotele i stoliki, które wcześniej zalegały na strychu. Hrabia polecił mu, by urządził piwnice możliwie jak najwygodniej, gdyby w razie wojny musieli tam zamieszkać. Zapowiedział też, że natychmiast po ogłoszeniu wojny między Wielką Brytanią a Niemcami wszystkie obrazy i inne dzieła sztuki zostaną przeniesione do podziemnego skarbcza.

Hanson jak zwykle był bardzo sprawny. W piwnicy znalazła się nawet lodówka, zakupiona u Harrodsa i dowieziona firmową ciężarówką. Co by zrobili bez Hansona? Powinien w grudniu przejść na emeryturę. Miał siedemdziesiąt sześć lat i służył w Cavendon od pół wieku. Cecily miała nadzieję, że tak się nie stanie. Świetnie się trzymał, a oni bardzo go potrzebowali.

Niechętnie opuściła swoje schronienie i ruszyła w dalszą drogę do domu rodziców w wiosce. Ale najpierw musiała zatrzymać się przy cygańskim wozie, w którym mieszkała Genevra. Chciała koniecznie z nią porozmawiać.

ROZDZIAŁ DRUGI

Wynurzając się zza zakrętu ścieżki, natychmiast zauważyła czekającą na nią Genevrę. Cyganka siedziała na stopniach wozu ubrana jak zwykle w jedną ze starych sukienek Cecily, podarowanych jej przez Alice Swann. Ta była letnią sukienką z bawełny w białe-czerwone paski i dobrze na niej leżała.

Cyganka pomachała ręką na powitanie.

Cecily z uśmiechem powtórzyła ten gest. Zauważyła, że czeka na nią drewniane krzesło. Zrobiło jej się przyjemnie, że o tym pomyślano.

Genevra wyglądała na poruszoną, na jej twarzy malował się wyraz oczekiwania. Miała trzydzieści dziewięć lat, tyle samo co Miles, ale wyglądała dużo młodziej. Wciąż była ładną kobietą – ciemną, o egzotycznym wyglądzie i bujnych kruczoczarnych włosach.

Kiedy Cyganie pięć lat temu przenieśli swoje wozy na niżej położone pole, Genevra po raz pierwszy zaprosiła Cecily do siebie na szklankę miętowej herbaty. Cecily nie chciała urazić jej odmową, weszła do środka i ku swemu zdumieniu odkryła tam skarb.

Na ścianach niezwykle schludnego pomieszczenia wisiały obrazy namalowane przez Genevrę. Były to przeważnie pejzaże przedstawiające Cavendon. Później DeLacy powiedziała jej, że można je zaliczyć do kategorii sztuki naiwnej. Jednak miały swój własny styl. Cecily nazwała go stylem Genevry. Obrazy były śmiałe, imponujące, przyciągały wzrok, a tym, co natychmiast ujmowało każdego, było przedziwne lśnienie żywych barw.

Cecily dowiedziała się wkrótce, że Genevra malowała od dzieciństwa. Jej brat Gervaise zachęcał ją do tego, a kiedy była starsza, kupował jej płótno i farby olejne, jeśli tylko mógł sobie na nie pozwolić. Dziewczyna była pełnym samoukiem, naturalną, obdarzoną talentem artystką.

Cecily spytała wtedy, czy mogłaby kupić jeden z obrazów. Genevra odmówiła sprzedaży, lecz ofiarowała jej obraz w prezencie. W końcu Cecily wybrała ten, który silnie do niej przemawiał; przedstawiał fragment różanego ogrodu z mnóstwem późno kwitnących róż w wielu odcieniach różu i bladej czerwieni na tle szarego kamiennego muru.

Genevra zeszła ze schodków, by się przywitać. Jak zwykle dygnęła i ujęła rękę Cecily.

– Wystawiłam krzesło, pani Milesowo – powiedziała, wskazując mebel.

– Dziękuję – mruknęła Cecily, siadając na nim.

Genevra wróciła na swoje miejsce na schodkach.

Cecily przyjrzała się Cygance z niepokojem. Pomyślała, że wygląda nieco mizernie, jakby była zmęczona.

– Czyżbyś znowu chorowała? – spytała zmartwiona. Nie widziały się od dziesięciu dni.

– Nie, nie chora. Wszystko dobrze – odparła Genevra z lekkim uśmiechem.

– Moim zdaniem kiepsko wyglądasz.

– Nie jestem chora, mała Ceci. – Cyganka spojrzała na nią porozumiewawczo. – Będę pierwsza, która się o tym dowie. A potem powiem tobie, i ty będziesz druga. Nie umieram. Jeszcze nie.

– Nie gniewaj się. Zależy mi na tobie, Genevro.

– Tak, wiem o tym, pani Milesowo.

– Ja i Miles wyjeżdżamy w poniedziałek. Jedziemy odwiedzić lady Daphne i pana Hugona w Zurychu. Gdybyś czegoś potrzebowała, kiedy mnie nie będzie, moja matka ci pomoże – powiedziała z uśmiechem. – Musisz tylko pójść do niej.

– Jedziecie na wakacje. – Genevra kiwnęła głową. – Pani Alice mi powiedziała.
– To tylko dwa tygodnie. Miles potrzebuje odpoczynku... – Cecily zamilkła. Nagle spostrzegła dziwny wyraz twarzy Genevry. – O co chodzi? Czy coś się stało?
– To wizja. Nachodzi mnie. Wiesz o tym.
Cecily przytaknęła. Przez te wszystkie lata nauczyła się, że powinna siedzieć cicho.
– Będziesz musiała być dzielna, mała Ceci, jak zawsze byłaś. Nadchodzi wojna. Wielka wojna. Złe czasy. Będą się działy okropne rzeczy. – Cyganka umilkła, zamknęła oczy. Po chwili spojrzała na Cecily i dodała: – Będziesz rządzić Cavendon. Zawsze to wiedziałam.
– Czemu teraz? – spytała Cecily z widocznym niepokojem.
– Co masz na myśli? – Genevra wpatrzyła się w Cecily.
– Czemu mówisz mi o tym teraz? Zazwyczaj posługujesz się zagadkami, a nie mówisz tak otwarcie.
– Bo wiem, że mi uwierzysz, uznasz moje przecucia za prawdziwe... zrozumiesz je.
– Tak, to prawda, Genevra.
– Przyszłość. Będzie twoja, Ceci. I będziesz rządzić.
– Z Milesem?
Genevra nie odpowiedziała. Spojrzała na stojący na wzgórzu Cavendon Hall. Żłocisty dom, lśniący w blasku słońca. Błogosławiony dom.
– Kiedy mówisz tak dziwnie, nie całkiem pojmuję, co masz na myśli – powiedziała z pretensją w głosie Cecily. Spojrzała surowo na Genevrę.
– Nadchodzą złe czasy.
– Chodzi ci o wojnę?
– O życie. – Genevra opuściła głowę. – Ciężkie czasy. Złe czasy. Śmierć, zniszczenie, smutek, ból. Dużo cierpienia. Wszystko to nadchodzi.
Genevra odwróciła głowę i znów spojrzała na Cavendon. Oczy miała pełne łez. Żłociste lśnienie zazwyczaj otaczające jego mury znikło. Dom nie był już złoty. Był skazany. Wielka rezydencja pogrążała się w coraz ciemniejszym cieniu. Oczami duszy widziała ogromne czarne chmury unoszące się nad jego dachami. Słyszała gromy i widziała błyskawice.
Po chwili otworzyła oczy i powiedziała cicho:
– Zawierucha. Chaos. – Potrząsnęła głową i w milczeniu otarła ręką łzy.
Przez dłuższą chwilę panowała cisza.
– Swannowie rządzą – powiedziała z nikłym uśmiechem Genevra.
– Cavendon miało szczęście przez kilka ostatnich lat – odezwała się Cecily. – Szczęście nas nie opuści, prawda? Nic się nie zmieni, czyż nie?
– Ciągłe się zmienia. Raz na wozie, raz pod wozem. – Genevra pochyliła się i wpatrzyła przenikliwie w Cecily. – Przychodzi i odchodzi. Nigdy nie wiadomo... Szczęście nie należy do nikogo... szczęście należy do życia. Nic się na to nie poradzi, mała Ceci. Rozumiesz mnie?
– Tak, Genevra. I dziękuję.

ROZDZIAŁ TRZECI

Alice poderwała się na nogi, widząc na progu uśmiechniętą radośnie Cecily. Córka podbiegła do niej i serdecznie ją uściskała.

– Przepraszam za spóźnienie, mam – powiedziała, zamykając za sobą drzwi.

– Nie szkodzi, Ceci, właśnie zajmowałam się papierkową robotą – mruknęła Alice.

Weszły razem do pokoju i usadowiły się na fotelach naprzeciwko siebie. – Ślicznie dziś wyglądasz, kochanie, zawsze było ci do twarzy w różowym.

– Wiem, dziękuję. Ty też ślicznie wyglądasz, mamusiu.

– Oczywiście, mam przecież na sobie sukienkę, którą uszyła mi córka. Podoba mi się, jest wygodna i daje ochłodę w taki upał.

– Zaprojektowałam następną wersję tej sukienki, również z bawełny. To taka zawijana suknia, prawie jak szlafrok, zakładana po jednej stronie. Zamierzam zrobić zimową kolekcję w tym samym stylu, z lekkiego kaszmiru. Przywiozę ci kilka, kiedy będą gotowe.

– Dziękuję, jesteś taka troskliwa.

– Nie żartuj, jesteś moją matką i możesz dostać ode mnie wszystko, czego zapragniesz.

Swoją drogą, kiedy rozmawialiśmy wczoraj przez telefon, mówiłaś, że sporządzasz plan. Ale czego?

– Przyszedł mi do głowy pewien pomysł – żeby stworzyć wspólną działkę dla wsi.

Poszłam prosto do Charlotte i poprosiłam ją o kawałek pola. A ona spytała hrabiego i on powiedział, że to wspaniały pomysł, bardzo praktyczny, i natychmiast przydzielił mi pole.

Alice pokiwała głową; widać było, że jest z siebie zadowolona.

– To było takie proste... wystarczyło poprosić. – Wstała i skinęła na Cecily. – Chodź do biurka i weź ze sobą krzesło. Pokażę ci mój plan.

Po chwili obie siedziały przy biurku Alice, na którym rozłożone były papiery Instytutu Kobiet wraz ze szczegółowym planem zagospodarowania działki. Zostanie obsiana i będą się nią zajmowały ochotniczki.

– To jest naprawdę praktyczny pomysł – powiedziała Cecily. – Żywność stanie się problemem, jeśli wybuchnie wojna.

– Kiedy wybuchnie – poprawiła ją Alice.

– Masz rację – przyznała Cecily. – Równie dobrze mogłaś poprosić o pole Mileasa, a nawet własnego syna. Wiesz przecież, że Harry zarządza majątkiem razem z Milesem – dodała z przekąsem.

– Zgadza się, mogłam tak zrobić, Ceci. Ale nie sądzę, żeby to było właściwe. Szósty hrabia wciąż jest szóstym hrabią; jeszcze nie umarł, i to jego ziemia. Uznałam, że powinnam zwrócić się z tym do niego za pośrednictwem Charlotte.

– Teraz już rozumiem, mam. – Cecily posłała matce serdeczny uśmiech.

Spoglądając na duży arkusz papieru, dostrzegła, jak mądrze zaprojektowano pole mające służyć za wspólną działkę. Każdy kwadrat był oznaczony nazwą warzywa, które na nim będzie uprawiane.

– Ziemniaki, marchew, pasternak – odczytywała na głos. – Cebula, brukselka, kapusta, kalafior... – Przerwała, wybuchając śmiechem i potrząsnęła głową. – Jesteś mistrzynią planowania, mam! Harry z pewnością odziedziczył po tobie talent do ogrodnictwa.

– On jest dużo mądrzejszy ode mnie – mruknęła Alice. Odwróciła się na krześle i rzuciła

córce znaczące spojrzenie. – Udało ci się porozmawiać z Harrym? No wiesz... o tej... osobie.

– Nie. – Cecily potrząsnęła głową i dodała ciszej: – Mieliśmy się spotkać na pogawędkę dziś po południu.

– Jego romans z tą bezwstydną kobietą zaczyna wychodzić na jaw! – zawołała Alice ze złością. – On uważa, że to wielka tajemnica, a tak nie jest, i wasz ojciec już się o tym dowiedział. Jest wściekły. Wiesz, jak jego lordowska mość nie cierpi skandali, a wokół twojego brata wkrótce wybuchnie skandal.

– Zgadzam się ze wszystkim, co mówisz, mamó, ale to dorosły mężczyzna. Ma już czterdziestkę. Powie mi, że to nie moja sprawa.

– Ale porozmawiasz z nim? – spytała niespokojnie Alice. Widać było, że się martwi.

– Tak, obiecuję. Porozmawiam z nim jutro rano – zapewniła matkę Cecily.

Alice skinęła głową i ściągnęła wargi. Kiedy znów się odezwała, jej głos brzmiał stanowczo i surowo.

– Powinien był się dobrze zastanowić, zanim się z nią zadał. Pauline Mallard jest mężatką. Co więcej, jest amerykańską dziedziczką, obraca się w najwyższych kręgach towarzyskich Londynu i Nowego Jorku. A teraz w Harrogate. Ale zakładam, że wiesz o tym wszystkim.

– No tak, mamó.

– W końcu ona zrobi z niego durnia, zobaczysz. A na domiar złego jest od niego dużo starsza.

– Ale piękna, jak mi mówiono. Oszalamiający rudzielec – wtrąciła Cecily.

– I dość rozpustna... jak słyszę – odpaliła Alice, wyraźnie chcąc mieć ostatnie słowo w dyskusji.

– Kiedy Genevra przekazała mi tę wiadomość, powiedziała coś dziwnego: żebym nie rozmawiała z Harrym na temat tej kobiety. Zaskoczyło mnie to, naprawdę. Wtedy Genevra dodała, że to ona go porzuci, że ona nie jest jego przeznaczeniem, że jest nim inna kobieta.

– Skąd Genevra wie o Pauline Mallard? – zdziwiła się Alice. – Myślisz, że on przyprowadził ją tu, do domu, i że Genevra widziała ich razem?

– Nie sędzę. Jednak uderzył mnie sposób, w jaki to powiedziała, tak pewna swojej wizji, jak sama to nazywa – wizji przyszłości. No i jeszcze użyła słowa „przeznaczenie” – odparła zmieszana Cecily.

Odchrząknęła i mówiła powoli dalej:

– Genevra ma własny, szczególnie sposób mówienia, mamó. Urywany, z przerwami, a zdania składają się przeważnie z prostych słów. Więc wydało mi się dziwne, że w ogóle zna takie słowo jak przeznaczenie, skoro nie umie czytać.

– Och, ależ umie! – zawołała Alice.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Sama ją nauczyłam.

Cecily spojrzała na matkę ze zdumieniem.

– Kiedy to zrobiłaś i dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

– Nie pomyślałam o tym. To był właściwie zbieg okoliczności. Kiedy wyjechałaś do Londynu i zamieszkałaś z ciocią Dorothy i wujem Howardem, podrzuciłam jej parę twoich starych sukienek. Przyszła, żeby mi podziękować, i pytała o ciebie. Bardzo jej na tym zależało i uderzyło mnie, jak bliska jej jesteś, Ceci, i jak zależy jej na tobie i twoim dobrym samopoczuciu. Pokazałam jej niektóre z twoich krótkich opowieści o projektowaniu w domach mody. Wtedy wyznała, że nie umie czytać, więc ją nauczyłam.

– To wspaniale. – Cecily była pod wrażeniem słów matki.

– Była mi bardzo wdzięczna. – Alice zawahała się, zanim wreszcie zadała pytanie: – Cecily, czy kiedykolwiek czułaś, że istnieje między wami taka więź?

– Owszem, wciąż ją czuję. Dwadzieścia pięć lat temu powiedziała mi, że Swannowie będą rządzić. Więc tak, istnieje między nami więź.

– A co konkretnie powiedziała dwadzieścia pięć lat temu? – spytała z zaciekawieniem Alice.

– To nie tak, że coś powiedziała... wpadłam kiedyś na nią na ścieżce. Wzięła gałąź i narysowała na piasku kwadrat, na którego szczycie przysiadł ptak. Spytałam ją, co to znaczy, ale mi nie powiedziała. Potem stwierdziła, że to nic, i odbiegła.

– A dziś ci to wyjaśniła?

– Nie. Wiele lat później sama na to wpadłam. Kwadrat oznaczał Cavendon Hall, a ptak – łabędzia. Przewidziała, że Swannowie i Inghamowie się połączą.

Alice milczała przez chwilę, aż wreszcie mruknęła cicho:

– Nie mogła wtedy wiedzieć, że twoje życie potoczy się tak, jak się potoczyło. Że ty, Swannówna, poślubisz syna hrabiego. Więc musi coś w tym być, kiedy twierdzi, że ma wizje, że potrafi zobaczyć przyszłość. Wierzysz w jej przepowiednie, prawda?

– Tak, zawsze w nie wierzyłam i będę wierzyć. – Cecily ujęła matkę za rękę. – Na naszym ślubie dała mi kawałek papieru. Był tam rysunek i napis: Swann rządzi.



Po wyjściu Cecily Alice poszła z konewką do ogrodu. Gdy tak chodziła pomiędzy grządkami, podlewając kwiaty, jej myśli wciąż krążyły wokół Swannów i Inghamów.

Krew. W żyłach jej wnucząt płynie krew obu rodzin. Podobnie jak Cecily ona także zastanawiała się, czy kiedykolwiek wcześniej zdarzyło się coś podobnego.

Mogła o tym wiedzieć jedynie Charlotte Swann Ingham. Miała schowane w sejfie rejestry prowadzone od wieków – teraz trzymała je w swojej garderobie w Cavendon Hall. Powiedziała o tym Alice i wręczyła jej zapieczętowaną kopertę, mówiąc, że w środku jest nowy szyfr do sejfu. „Przekaż ją Cecily i powiedz, żeby ją trzymała w bezpiecznym miejscu”, poleciła, a ona spełniła jej polecenie.

Alice odstawiła konewkę i przysiadła na chwilę na ławeczce, spoglądając na wrzosowiska. W poniedziałek zacznie się sierpień. I wtedy zakwitną wrzosy; za tydzień lub dwa wrzosowisko będzie wyglądało jak falujące lawendowe morze.

David, pierworodny syn Cecily, miał oczy w kolorze wrzosowisk, lawendowe oczy tak charakterystyczne dla Swannów. Poza tym był wykapanym ojcem, miał jego rysy. Walter też był podobny do ojca, ale odziedziczył po Cecily jej kolorystykę i delikatniejsze rysy. Jeśli chodzi o pięcioletnią Venetię, była z krwi i kości Inghamówną, o złocistych włosach i jasnoniebieskich oczach. Alice uśmiechnęła się w duchu, myśląc, jak bardzo Venetia przypomina lady Dulcie, gdy ta była w jej wieku.

Wnuczęta. Były czymś cennym, i bardzo chciała mieć ich więcej. Harry pragnie mieć rodzinę. Powiedział jej to kilka miesięcy temu. Zwierzył się, że chciałby się ożenić, żeby mieć dziecko, a właściwie kilkoro dzieci.

Ma zadatki na dobrego ojca, była tego pewna. Ale Pauline Mallard, która skończyła podobno czterdzieści osiem lat, ma już za sobą wiek rozrodczy. Alice poczuła gniew, lecz natychmiast go stłumiła. Nie będzie rozmyślać o tej kobiecie.

Po chwili złość na Harry'ego i niepokój o niego ustąpiły. Nagle poczuła dla niego coś w rodzaju litości.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Greta Chalmers odłożyła słuchawkę i przez chwilę trzymała na niej rękę. Czuła, jakby jej pierś ścisnęła ciasna obręcz. Do oczu napłynęły jej łzy. Przelknęła i zamrugnęła, by je rozpędzić.

Nigdy nie słyszała w głosie ojca tak rozpaczliwych i ponurych tonów, i znała ich przyczynę. Nie widział wyjścia z kłopotliwej sytuacji, nie znał sposobu rozwiązania problemów. Pod koniec rozmowy powiedział: „Znajdujemy się w potrzasku. Nikt nic na to nie poradzi, *liebling*”. Dodał, że ją kocha, wszyscy ją kochają, i odłożył słuchawkę.

A i ona ich kochała: ojca, macochę Heddy, przyrodną siostrę Elise i przyrodnego brata Kurta. Mieszkali w Berlinie, ale byli Żydami i teraz zdali sobie sprawę, że muszą jak najprędzej wyjechać, uciec przed niebezpieczeństwem zagrażającym ze strony potwornej Trzeciej Rzeszy. Chcieli przyjechać do Anglii; wiedzieli, że będą mogli zatrzymać się u niej, zanim znajdą coś dla siebie. Mieli paszporty, ale bez wiz i zezwoleń na wyjazd. Tkwili w pułapce, jak powiedział ojciec.

W głowie szumiało jej od kłębiących się myśli. Zerknęła na zegarek. Dochodziło wpół do czwartej i za chwilę do biura wróci Cecily. Greta starała się opanować; puściła słuchawkę, usiadła prosto, poprawiła kołnierzyk bawełnianej sukienki i przyglądała ręką ciemnobrązowe włosy.

Sięgnęła po ostatni napisany list i włożyła go do teczki. Napomniała się, że musi być spokojna, kiedy przyjdzie jej pracodawczyni. Wiedziała, że Cecily martwi się o nią i problemy jej ojca. Jednak do tej pory nie znalazła żadnego rozwiązania. Nikt ze znajomych go nie znalazł, a miała przecież wielu przyjaciół w Londynie.

Greta i Cecily przypadły sobie do gustu od pierwszego spotkania. Od razu się polubiły i współpraca układała im się bez zgrzytów.

Cecily mawiała, że nawet myślą tak samo. „Majowe dzieci, w tym rzecz”, stwierdziła po pierwszym roku współpracy. Obie urodziły się w pierwszym tygodniu maja, choć Cecily była starsza o sześć lat.

Greta uwielbiała swoją pracę. Jako osobista asystentka Cecily Swann była bardzo zajęta, ale jej szefowa pracowała równie ciężko. Obie znajdowały w tym satysfakcję, a Greta czasami wzdrygała się, wspominając, że omal nie zrezygnowała z rozmowy kwalifikacyjnej w Burlington Arcade. Przez chwilę tchórzyła, może to była nieśmiałość albo świadomość braku doświadczenia, ale w końcu zebrała się na odwagę i poszła na spotkanie ze sławną projektantką. I została zatrudniona. Następnego dnia rozpoczęła pracę w Studio Mody Cecily Swann.

Podążając za wcześniejszą radą Cecily, Greta wyjęła z torebki notesik i ołówki. Powinna, jak sugerowała Cecily, sporządzić listę spraw do załatwienia przed przybyciem rodziny.

Wczoraj, kiedy przyjechała do Cavendon, Cecily poradziła jej, by myślała pozytywnie o przyszłości, zapewniając ją, że w końcu jej rodzinie uda się wyjechać z Niemiec.

Przez ostatnich pięć lat Greta wiele razy żałowała, że Roy już nie żyje. Jej mąż zająłby się tą sprawą i załatwił ją w okamgnieniu. Ale zmarł i nie ma na to rady. Był o wiele za młody, by umrzeć.

Greta pochyliła się nad biurkiem i zaczęła kompletować listę dodatkowych rzeczy, które będzie musiała kupić, by jej dom przy Phene Street stał się wygodniejszy.

– No to jestem! – zawołała Cecily, wbiegając do biura. – Przepraszam za spóźnienie, a ty musisz zdążyć na pociąg.

– Mam mnóstwo czasu. Goff powiedział, że powinniśmy wyjechać o czwartej trzydzieści, żebyśmy złapała ten o szóstej na King's Cross.

– W takim razie możemy się nieco odprężyć i pogawędzić przez chwilę. Podpiszę listy i przejrzę z tobą mój kalendarz spotkań. Co mamy w poniedziałek w Londynie?

– Nie tak dużo. Potraktowałam go ulgowo w związku z twoim wtorkowym wyjazdem do Zurychu.

Cecily podpisała listy i spojrzała na asystentkę.

– Udało ci się skontaktować z ojcem? – spytała z troską.

– Tak, i szczerze mówiąc, wygląda na to, że jest w depresji. – Greta była zdziwiona, że głos jej się nie załamał.

Cecily skinęła głową.

– To jasne, że jest zmartwiony i przerażony. Ale słuchaj, spróbuję wam pomóc. A wiesz, jaka jestem, kiedy zabiorę się do czegoś na poważnie.

Greta roześmiała się wbrew posępnemu nastrojowi.

– Zawzięta jak pies, który dorwał kość.

– Zgadza się – odparła Cecily. – Kiedy pojawia się problem, muszę go rozwiązać – i to szybko. Ale w tej sprawie potrzebuję wsparcia. Jestem pewna, że to rozumiesz. Znam kogoś, kto może wskazać mi właściwy kierunek.

Greta skinęła tylko głową. Wiedziała, że jeśli ktokolwiek może pomóc, to na pewno Cecily – piękna i utalentowana kobieta, której ufała bez zastrzeżeń.



Nieco później Cecily, przechodząc przez wielki hol wejściowy Cavendon, usłyszała muzykę. Przystanąła na chwilę, wsłuchując się w te dźwięki. Płynęły z żółtej bawialni, a przy fortepianie, niedawnym nabytku, siedziała córka Daphne Annabel. Nikt inny nie potrafił grać tak pięknie.

Czternastolatka grała od dzieciństwa. Była to jej pasja, i była w tym znakomita. Cecily wciąż powtarzała Daphne, jak utalentowana jest jej córka. Twierdziła, że pewnego dnia będzie dość dobra, by dawać koncerty.

Na te słowa Daphne uśmiechała się tylko łagodnie; niewątpliwie była tego samego zdania, ale nie chciała się do niego przyznać. Kochana Daphne, do której Cecily była wyjątkowo przywiązana, jako osoba subtelna nie lubiła przechwalać się dziećmi. Ale cała piątka była utalentowana i mądra. Alicia chciała zostać aktorką, Charlie dziennikarzem, a bliźniacy zamierzali wkroczyć za ojcem w świat finansów.

Cecily szła szybko przez hol ku bawialni. Wiedziała, że znów spóźnia się na podwieczorek. Otworzyła drzwi, stanęła na progu i zerknęła do środka.

Westchnęła cicho z ulgą, widząc, że przynajmniej nie jest tym razem ostatnia. Ciotka Charlotte i hrabia już tu byli wraz z lady Gwendolyn. Annabel siedziała jeszcze przy fortepianie i zaczynała grać nowy utwór – *Sonatę Księżycową* Beethovena. Wyglądało na to, że Diedre przyjechała z Londynu wcześniej niż zwykle. Siedziała między lady Gwen i swoim jedenastoletnim synem Robinem. Gawędził z nią i przekazywał jej najświeższe wiadomości. Jak zawsze spędzał lato z kuzynami w Cavendon.

David, Walter i Venetia siedzieli przy dziecięcym stole w drugim końcu saloniku. To była innowacja wprowadzona przez Charlotte, która uznała, że bardziej im się spodoba podwieczorek, jeśli będą mieli własny stół. Dzieci przyjęły ten pomysł z entuzjazmem. Stały tam teraz dwa puste krzesła, dla Robina i Annabel.

Wchodząc do pokoju, Cecily usłyszała okrzyk radości. Venetia zauważyła ją i rzuciła się ku niej. Jasnoniebieskie oczy w anielskiej twarzyczce okolonej blond loczkami promieniały szczęściem.

Cecily kucnęła i przytuliła pięcioletnią córeczkę.

– Widzisz, dotrymałam słowa. Dziś nie jestem ostatnia – szepnęła.

Niebieskie oczy Venetii zaiskrzyły z uciechy, a na policzkach pojawiły się dołeczki.

– Tatusz będzie ostatni, mamusiu. OSTATNI!

Cecily udało się nie roześmiać. Spojrzała na córkę i potrząsnęła przecząco głową.

– Być może nie, kochanie. Gdzie jest ciocia DeLacy? Myślisz, że chowa się gdzieś w pokoju?

– Ona będzie ostatnia? – szepnęła z tłumionym chichotem Venetia.

– Tak mi się zdaje.

To była taka ich mała gra. Cecily prawie zawsze spóźniała się na podwieczorek, a Miles drażnił się z nią o to. Jej córeczka protestowała przeciwko tym drwinom, a teraz była wyraźnie zachwycona, że dziś matka przysłała przed ojcem.

Cecily wzięła Venetię za rękę i poprowadziła ją w głąb pokoju. Uśmiechała się i witała serdecznie ze wszystkimi. Podeszła do dziecięcego stołu, ucałowała synów, Davida i Waltera, którzy szczerzyli do niej zęby i kiwali głowami. Oni też wyraźnie się cieszyli, że zdążyła przed Milesem. Rozbawiło ją to.

Robin wstał i podszedł, żeby dać jej buziaka, a potem wraz z Annabel pobiegli do dziecięcego stołu. Cecily pochyliła się i pocałowała lady Gwendolyn.

– Jak pięknie wyglądasz w tej purpurowej sukni, ciociu. Wciąż ci w niej do twarzy.

– Dziękuję, Cecily; muszę ci wyznać, że ma już kilka lat. Ale przecież ty o tym wiesz. – Zachichotała i mówiła dalej: – Jestem bardzo oszczędna i trzymam wszystkie suknie, które od ciebie dostałam. Na szczęście inne twoje klientki tego nie robią, bo inaczej szybko byś splajtowała.

Cecily przytaknęła i usiadła między lady Gwen i Diedre.

– Mogę później z tobą porozmawiać? – zwróciła się półgłosem do szwagierki. – W związku z twoją pracą.

Diedre skinęła głową.

Hrabia spojrział przez pokój na Cecily.

– Dziękuję, Ceci, że pozwoliłaś Grecie napisać dziś rano kilka listów dla mnie. Bardzo mi pomogła – powiedział ciepło.

Greta często im pomagała, a szczególnymi względami obdarzała Diedre i Robina, którym ułatwiła przeżycie okropnych miesięcy po śmierci Paula Drummonda, męża Diedre i ojca Robina.

– To żaden kłopot, była rada, że może pomóc.

Charles Ingham spojrział z miłością na swoją synową. Traktował ją teraz jak jedną ze swoich córek, i niesłychanie ją podziwiał.

– Bardzo mi przykro z powodu Grety. Tak się martwi o swoją rodzinę i czuje się zupełnie bezradna. Czy miała ostatnio jakieś wiadomości od ojca?

– Owszem, rozmawiała z nim dzisiaj. Profesor Steinbrenner uważa, że nie uda im się wyjechać z Berlina.

Twarz hrabiego spoważniała.

– Sytuacja w Europie stale się pogarsza. A my... – zaczął.

Charlotte przerwała mu, mrucząc cicho:

– Nie mówmy o Europie i o tym, co się dzieje... przy dzieciach. – Zauważyła, że David

i Robin z napięciem przysłuchują się rozmowie.

Zanim Charles zdobył się na odpowiedź, drzwi otworzyły się gwałtownie i wbiegła przez nie zarumieniona i zdyszana DeLacy.

– Dzień dobry wszystkim! – zawołała i podeszła szybko do ojca i Charlotte. Ucałowała oboje, a potem pospieszyła ku lady Gwendolyn. Usiadła obok niej, uścisnęła jej rękę i pocałowała w policzek. – Parę dni temu, kiedy do mnie dzwoniłaś, prosiłaś o nowiny na temat Jamesa i Dulcie. Właśnie dziś rano dostałam list od Dulcie...

– Przepraszam za spóźnienie, Charlotte, tato. Nie mogłem go uniknąć. Musiałem wykonać ważny telefon – oznajmił Miles.

– Nie przejmuj się, synu – odparł hrabia.

– Wybaczamy ci – dodała życzliwie Charlotte. Miles zawsze był jej ulubieńcem.

– Spóźniłeś się, spóźniłeś się, spóźniłeś się – zabrzmiał radosny chór dziecięcych głosów.

Venetia zaczęła chichotać, pobudzając do śmiechu Cecily, i właśnie w tej chwili w drzwiach stanął Hanson.

– Czy mamy podawać podwieczorek, milordzie? – spytał, zwracając się do hrabiego Mowbray.

– Tak, proszę, Hanson. Wszyscy już przyszli.

Hanson skinął głową, odwrócił się i przywołał gestem Gordona Lane'a, pomocnika kamerdynera, z największym wózkiem zawierającym srebrny serwis do herbaty, filiżanki, spodeczki i talerzyki. Za Gordonem weszły dwie pokojówki popychające wózki wypełnione kanapkami, bułeczkami, dżemem truskawkowym i bitą śmietaną. Znalazły się tam też rozmaite pyszne ciasteczka.

Napełniono filiżanki, talerze z kanapkami obiegły zebranych, i raz jeszcze podwieczorek został podany tak samo, jak to się działo od lat. Był to rytuał, który wszyscy bardzo lubili. Kiedy służba ustawiła wózki pod ścianą żółtego saloniku i wszyscy wygodnie się usadowili, odezwała się ciotka Gwendolyn:

– A teraz DeLacy podzieli się z nami wiadomościami z Hollywood.

– Rzeczywiście – odparła DeLacy, odstawiając filiżankę na spodeczek. – Dulcie i James są zdrowi, tak samo jak bliźniaczki oraz mały Henry. Dzieci wręcz kwitną. James jest w połowie zdjęć do nowego filmu i dobrze mu się pracuje w Metro Goldwyn Mayer. Jednak oboje chcą wracać do Anglii. – DeLacy przerwała i rzuciła ciotce Gwendolyn znaczące spojrzenie. Potem powędrowała wzrokiem ku ojcu, Charlotte i Diedre.

– Sądzę, że znamy powód – stwierdziła lady Gwendolyn. – Prawdziwy Anglik taki jak James z pewnością czuje, że jego obowiązkiem jest być tutaj w tym szczególnym i niebezpiecznym momencie historycznym. I jak znam Dulcie, jestem zupełnie pewna, że ona czuje dokładnie to samo.

– Och, nie ma co do tego dwóch zdań – potwierdził Charles. – Zgodzisz się ze mną? – spytał, zwracając się do Charlotte.

– Oczywiście. Wiesz przecież, że Dulcie jest Angielką do szpiku kości.

– Myślę, że wyjadą z Kalifornii, kiedy tylko James skończy film – wtrącił Miles.

– Miejmy nadzieję, że tak – odpowiedziała bratu DeLacy. – Jednak, według Dulcie, może pojawić się problem. James ma umowę z MGM. Wygląda na to, że Louis B. Mayer, zarządzający wytwórnią, jest jego wielbicielem; pozyskanie Jamesa było dla niego wielkim sukcesem. Dulcie uważa, że może nie chcieć go zwolnić z reszty kontraktu.

– Podejrzewam, że ma do zrobienia następne filmy – dodała Diedre. – Jak dobrze wiecie, kontrakt wiąże obie strony. Poza tym James zarabia wielkie pieniądze dla MGM. Oczywiście, że nie będą chcieli go wypuścić.

– Ale wszystko można uzgodnić – włączyła się Cecily. – Jestem pewna, że można rozwiązać ten problem, jeśli podejdziesz do tego właściwie. – Spojrzała z uśmiechem na swoją najbliższą przyjaciółkę. – A co się dzieje z Feliksem i Constance, DeLacy? Wydaje mi się, że są teraz w Ameryce.

– Tak, w Nowym Jorku. W przyszłym tygodniu jadą do Los Angeles. Dulcie modli się, żeby Feliksowi udało się przekonać pana Louisa B. Mayera.

– Czemu mówisz o nim, używając pełnego nazwiska? To dziwnie brzmi. – Miles spojrzął z zainteresowaniem na DeLacy.

– A, rzeczywiście – roześmiała się DeLacy. – Ale Dulcie tak go nazywa w swoich listach, więc chyba to podchwyciłam i powtarzam po niej.

– Jestem zupełnie pewna, że Felix Lambert to naprawdę chytry lis, a Constance nie jest gorsza – odezwała się Diedre. – Dlatego przecież James powierzył im reprezentowanie jego interesów. Zostawcie to im. Na pewno coś wymyślą. W końcu są zawodowcami. Przekonałam się nie raz, że zawsze dobrze zdać się na profesjonalistów.

– Pełna zgoda – przytaknęła Cecily. – A z mojego z nim doświadczenia wnoszę, że Felix zawsze ma w zanadrzu jakąś sztuczkę.

DeLacy skinęła głową i zwróciła się do ojca:

– Ucieszysz się, wiedząc, że Dulcie jest zachwycona tym, jak prowadzę jej galerię sztuki, zwłaszcza dlatego, że przynosi duże zyski, szczególnie w tym roku. To też powinno cię uszczęśliwić, tatusiu, bo dostaniesz z galerii całkiem spory czek na Fundusz Odbudowy Cavendon.

– Jestem zachwycony, DeLacy. Dobra robota, kochanie – odparł hrabia.

– To ci dopiero wspaniała wiadomość, staruszko – zawołał Miles. Wstał, podszedł do siostry i uściskał ją. – I to prawda, że robisz fantastyczną robotę.

– Dzięki tobie – odparła, patrząc na niego. – To ty nauczyłeś mnie prowadzić firmę. Ty i Ceci.

Miles uśmiechnął się półgębkiem i podszedł do dziecinnego stołu. Zanim zdążył się odezwać, chór podjął śpiewkę:

– Spóźnialski, spóźnialski, spóźnialski. Spóźnialski, spóźnialski, spóźnialski.

Potargał włosy Waltera, przewodnika chóru.

– Wszyscy jesteście małymi nieponiami. Bardzo niegrzeczni z was chłopcy, wiecie?

– A ja? Jestem niegrzeczną dziewczynką? – spytała Venetia. Patrzyła na ojca z ognikami w oczach.

Miles obszedł stół i przystanął obok jej krzesła.

– Sądzę, że tak – powiedział łagodnie. – Ale to nie znaczy, że cię nie Kocham, Venetio. – Poglaskał ją po włosach. – Jesteś moją najulubieńszą córką.

– Och, tatusiu, nie wygłupiaj się. Masz tylko jedną córkę.

– Czasem mam wrażenie, że jest cię dużo więcej.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Umówiły się na spotkanie w oranżerii przed kolacją, ale kiedy Cecily tam przysła, Diedre jeszcze nie było. Przemierzyła terakotową posadzkę i podeszła do oszklonych drzwi, by popatrzeć na wrzosowiska rozciągające się ku Morzu Północnemu. Ten widok był znajomy, ale zawsze wzbudzał jej zachwyty.

Zapadał zmierzch i niebo pociemniało. Było ciemnoniebieskie, tylko na horyzoncie widniały barwne pasma: lawendowe i morelowe oraz ciemnoróżowe przechodzące w czerwień.

Czerwone niebo nocą, cieszą się pasterze, czerwone niebo rano, uważajcie pasterze. Jakże często jako dziecko słyszała to porzekadło z ust matki.

Cecily odwróciła się i podeszła do biurka. Przesunęła z czułością ręką po gładkim starym drewnie. Ileż to razy stała tu, rozmawiając z Daphne, która zarekwirowała je i uczyniła swoim w wieku siedemnastu lat, kiedy musiała zmierzyć się z okropnymi wydarzeniami.

Oranżeria stała się prywatnym schronieniem Daphne, jej sanktuarium. Nikt z rodziny z niej nie korzystał, więc zagarnęła ją dla siebie. Tu planowała swoje małżeństwo z Hugonem, które okazało się szczęśliwe, a potem to miejsce pełniło funkcję jej stanowiska dowodzenia.

Cecily powstała jeszcze chwilę przy biurku, a następnie usiadła na jednym z wiklinowych krzeseł. Myślami pobiegła ku Diedre. Wiedziała, że to najlepsza osoba, z którą można porozmawiać o trudnej sytuacji, w jakiej znajduje się rodzina Grety. W 1914 roku Diedre zaczęła pracować w Ministerstwie Wojny i została tam, gdy wojna się skończyła. Zrezygnowała z pracy dopiero, gdy zaangażowała się w związek z Paulem Drummondem.

Cecily zdawała sobie sprawę, jak boleśnie jej szwagierka przeżyła nagłą i niespodziewaną śmierć Paula; wszelkimi siłami wspierała ją podczas trudnego pierwszego roku wdowieństwa. Pewnego dnia, całkiem niespodzianie, Diedre zwierzyła jej się, że wraca na swoje dawne stanowisko w ministerstwie. Wyjaśniła, że praca złagodzi jej cierpienie i samotność. A poza tym, dodała, zanosi się na wojnę, bardzo złą wojnę, i będzie tam potrzebna.

Chociaż Diedre nigdy nie mówiła o swojej pracy w Ministerstwie Wojny, Cecily była prawie pewna, że pracuje w wywiadzie; Miles sądził tak samo. I dlatego uznała, że jeżeli ktokolwiek wie, jak wydobyć kogoś z obcego kraju, to tylko Diedre.

Cecily pomyślała teraz o Grecie. Przywiązała się do niej bardzo, i zależało jej na tym, by ulżyć jej troskom. Jej asystentka była wyjątkowo uczciwa i pracowita; mogła na niej w pełni polegać. Świetnie rozumiejąc ludzi, zwłaszcza tych, którzy byli dla niej ważni, Cecily potrafiła wczuć się w jej sytuację.

Ojciec Grety był sławnym profesorem filozofii. Wiele lat temu studiował klasyków filozofii w Oksfordzie i został specjalistą od Platona, jednym z największych uczonych w tej dziedzinie. Greta go uwielbiała. Przepadała za swoją macochą i przyrodnim rodzeństwem. Traktowała ich prawie jak własne dzieci i stale się o nich martwiła. Cecily z przykrością patrzyła na jej cierpienie. Teraz usiadła wygodniej, przymknęła oczy i gorączkowo rozmyślała.



Stukot wysokich obcasów na kamiennej podłodze poderwał Cecily z miejsca. Diedre weszła do oranżerii; wyglądała elegancko w jedwabnej granatowej sukni, którą uszyła dla niej Cecily. Była skrojona ze skosu i Diedre wydawała się w niej wyższa i bardziej smukła niż zazwyczaj. Ale przecież Diedre, która większość życia spędzała w Londynie, od dawna była

znana ze swojego dobrego gustu.

– Moje stroje zawsze wyglądają na tobie lepiej niż w rzeczywistości – zawołała rozpromieniona Cecily.

– Dzięki za uroczy komplement, ale sama wiesz, że to zasługa sukni – odparła z uśmiechem Diedre. – A ta jest moją ulubioną. – Usiadła obok Cecily: – Byłaś zaniepokojona, więc porozmawiajmy. Co się stało? – Diedre, podobnie jak ciotka Gwendolyn, przechodziła od razu do rzeczy.

– Rodzina Grety to Żydzi. Muszą wydostać się z Niemiec. Chcę jej pomóc, jeśli będę mogła. Ale potrzebuję rady. A dokładnie: twojej rady.

Na te słowa Diedre zeszywniała. Energicznie potrząsnęła głową.

– To bardzo trudna sprawa. Nie mogę dać ci żadnej rady, Ceci.

– Jej ojciec, macocha i dwójka ich dzieci chyba nie mają odpowiednich dokumentów podróжных. Odchodzą od zmysłów. – Cecily umilkła, widząc na twarzy Diedre niepokój, a w oczach strach.

Diedre była bystrą obserwatorką, znała się na ludziach i wiedziała, co nimi powoduje, więc zdała sobie sprawę, że Cecily szczerze i gorąco chce pomóc Grecie, ale nie uświadamia sobie, jak trudne to zadanie. Nie chcąc okazać lekceważenia, dodała:

– Mówiłaś coś o Grecie, kiedy zaczęła u ciebie pracować. Możesz mi to przypomnieć?

– Greta jest po ojcu Niemką. Ale jej matka, która osierociła ją w dzieciństwie, była Angielką. Nazywała się Antonia Nolan. Po przedwczesnej śmierci matki ojciec oddał ją pod opiekę babki, Catherine Nolan, która zresztą wciąż żyje i mieszka w Hampstead. To ona wychowywała Gretę.

– Aha, teraz sobie przypominam – mruknęła Diedre. – Studiowała w Oksfordzie, prawda?

– Tak, poszła w ślady ojca. W końcu jej ojciec ponownie się ożenił, ale Greta została w Londynie, wołała tu mieszkać.

– Jeszcze coś sobie przypomniałam – powiedziała Diedre. – Greta wyszła za mąż za Anglika, jakiegoś architekta.

– Zgadza się, za Roya Chalmersa. Niestety pięć lat temu zmarł na białaczkę.

– A tak z ciekawości, czy Greta jest obywatelką brytyjską? Wydaje mi się, że z matką Angielką i angielskim mężem powinna nią być, prawda?

– Tak, i ma brytyjski paszport.

– Cieszę się, ten paszport jest bardzo ważny, to konieczność na czas wojny. To nie pomoże w żaden sposób jej rodzinie, ale ulżyło mi, skoro wiem, że jej nie internują.

– A mogłaby zostać internowana, gdyby była Niemką? To masz na myśli, Diedre?

– Owszem.

– No cóż, w porządku, chroni ją angielskie obywatelstwo. Ale mówiła, że chce jechać do Berlina, żeby sprawdzić, co się dzieje z rodziną, i ocenić sytuację na miejscu – mruknęła Cecily.

– Nie wolno jej jechać! Nie, to niebezpieczne.

– Może ja mogłabym pojechać zamiast niej. Co o tym sądzisz?

– W żadnym razie. Nie puszczę cię. Jest jeszcze coś... jej ojciec może być pod obserwacją. Jest sławny, mógł się znaleźć na liście tak zwanych wichrzycieli.

– Jeśli to prawda, Greta będzie bardzo zaniepokojona – zawołała Cecily.

– Nie powtarzaj jej tego, co ci powiedziałam. Nie powinna o tym wiedzieć. I z pewnością nie może jechać do Berlina. – Diedre popatrzyła na nią surowo. – Posłuchaj, przykro mi, że czarno to widzę, ale sytuacja w Berlinie jest gorsza, niż ci się zdaje, a nawet gorsza, niż możesz sobie wyobrazić. To niebezpieczne, złowrogie miasto pełne morderców, obcych i nazistów. Nikt nie jest tam bezpieczny.

– Rozumiem. I posłucham twojej rady. Jesteś osobą, która wie najlepiej, co się tam dzieje.
– Kilka miesięcy temu wprowadzono nowe prawo. Żydzi muszą zgłaszać się z paszportami, by osteplować je literą „J” jak Jude – powiedziała cicho Diedre.

Cecily patrzyła na nią przerażona:

– Cóż za odrażające prawo!

– Tak. Wszystko, co robią, jest okropne. Nie, straszliwe. – Diedre pochyliła się ku bratowej i mówiła dalej zniżonym głosem: – Hitler został kanclerzem Niemiec w styczniu trzydziestego trzeciego roku, a zaledwie siedem miesięcy później zbudował pierwszy obóz koncentracyjny. Nosi nazwę Dachau.

– W obozie internuje się Żydów. Takie jest jego przeznaczenie?

– Zgadza się. Ale są tam i inni... katolicy, politycy opozycyjni i każdy, kto nie zgadza się z nazistowskim credo. Szerzy się antysemityzm. Wzmaga nienawiść. Przemoc jest wszechobecna. A ludzi aresztuje się bez żadnego powodu. – Diedre rzuciła Cecily długie, groźne spojrzenie. – Hitler jest praktycznie dyktatorem i ma zamiar połknąć tyle ile się da środkowej Europy.

– Dlaczego? Dla władzy? Czy chce rządzić całym światem?

– Tak. Ale chce też ziemi, „przestrzeni życiowej” dla swojej idealnej aryjskiej rasy, rasy panów.

Cecily pobladła. Wpatrywała się w Diedre.

– Niełatwo mnie przestraszyć, ale to, co mówisz, rzeczywiście mnie niepokoi – przyznała cicho.

– Możesz się martwić, jeśli chcesz, ale nie bój się. Musimy być dzielni i silni. I musimy zrobić wszystko, by nie trafić pod niemieckie jarzmo. To by była katastrofa. – Przerwała, po chwili mówiła dalej: – Proszę, Cecily, nie powtarzaj tego nikomu z rodziny. Właściwie nie powinnam była ci tego mówić, ale wierzę w twoją dyskrecję i lojalność wobec mnie.

– Wiesz, że możesz mi ufać. Ale Milesowi mogę powiedzieć?

– Tak, możesz. Jednak on też musi zachować dyskrecję. Żadnych pogaduszek z Charlotte i tatusiem. Musisz na to nalegać.

– Dobrze. – Cecily zawahała się na chwilę. – Ale ty masz pracę za biurkiem, prawda? To znaczy, nie jeździsz tam, co?

– Nie, nie jeżdżę. Jestem... jak by to powiedzieć... w kierownictwie. Mimo to mam własne zasady i nigdy o nich nie zapominam.

– Jakie to zasady? Możesz mi je zdradzić, Diedre?

– Nie wierz nikomu. Nie mów nikomu. Pamiętaj wszystko. Podążaj sam.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Harry Swann wyczuwał, że coś jest nie w porządku. Pauline nie była sobą od chwili, kiedy przyszedł o czwartej, rzekomo na podwieczorek. Rzeczywiście napili się herbaty w jej eleganckim saloniku, ale trwało to krótko. Zawsze spieszyła się, by przejść do sypialni i przez kilka godzin oddawać się namiętności.

Gdy leżał teraz obok niej, usiłował zrozumieć, czemu zachowywała się tak dziwnie. Nie była, jak czasem się zdarzało, oddalona, a raczej strapiona. A może lepszym określeniem byłoby „zatroskana”. Zauważył to już, wchodząc do jej domu, kiedy oziębłe przywitała się z nim w holu.

A kiedy zaczęli się kochać, była mniej żarliwa niż zazwyczaj; jednak wkrótce udało mu się ją rozbudzić. Była kobietą zmysłową, wyjątkowo namiętną, żądną seksu. Harry pociągał ją bezustannie; oddawała mu się z ochotą i spełniała wszystkie jego zachcianki.

Tak było i tego popołudnia, ale zamiast pozostać w jego ramionach, dotykać go, głaskać i mrużyć pieszczotliwe słowa, Pauline natychmiast odwróciła się do niego plecami.

– Co się stało, kochanie? – spytał nieco urażony.

Po chwili milczenia powiedziała:

– Wprowadziłam cię w błąd... i mam poczucie winy.

Harry uniósł się na łokciu, odwrócił ku sobie jej twarz i spojrzał jej w oczy.

– Z jakiego powodu czujesz się winna?

– Pozwoliłam ci sądzić, że Sheldon wróci do domu jutro. Zadzwoił dziś w porze lunchu. Powiedział, że przyjedzie na kolację; nie możesz zostać tu tak długo jak zwykle.

Harry przez chwilę wpatrywał się w nią w osłupieniu, po czym zerwał się i ruszył pędem w stronę krzesła, na którym leżało jego ubranie.

Pauline wyskoczyła z łóżka, podbiegła i przytuliła się do niego.

– Nie pozwolę, żebyś odszedł w ten sposób. Zawsze się kochamy, zanim wyjdiesz. Zawsze. Zróbmy to teraz, tutaj, na stojąco. No już, oprę się o drzwi.

Przyciągnęła do siebie jego głowę i pocałowała go namiętnie. Oddał jej pocałunek; nigdy nie mógł się jej oprzeć. Czuł, że twardnieje, ale gdy już miał ulec jej rozpalonej do czerwoności żądzy, włączył się jego zdrowy rozsądek.

– Nie, nie możemy, to zbyt ryzykowne – powiedział, zerkając na zegarek. – Jest prawie za dziesięć siódma. Sheldon może tu być lada chwila i złapać nas na gorącym uczynku.

Pauline potrząsnęła głową.

– Nie, jestem pewna, że nie pojawi się przed siódmą.

Oparła się o drzwi i wpatrzyła w niego namiętnie. Pragnęła go do szaleństwa, nigdy nikogo nie pożądała tak mocno, nigdy przedtem nie kochała tak żadnego mężczyzny. I wiedziała, że nie może go mieć. Nieoczekiwanie rozpląkała się i schowała twarz na jego piersi, by nie zobaczyć jej łez.

Ale on je zauważył. Przytulił ją mocno i pogładził długie, kasztanowe włosy.

– Czemu płaczesz?

– Bo jesteś na mnie zły... bo nie powiedziałam ci, że on przyjeżdża dziś wieczorem – skłamała. – Powiedz, że mi wybaczasz, Harry. Proszę.

Spojrzał na nią, uśmiechnął się i czule pogłaskał po twarzy.

– Nie mam ci nic do wybaczenia, Pauline, moje najdroższe kochanie. Byłem zaskoczony, a nie zły, nigdy nie będę na ciebie zły.

Harry sięgnął po ubranie i ruszył do łazienki.

Pauline stała, patrząc, jak idzie przez pokój, jeszcze raz oczarowana pięknem jego gibkiego ciała, i oczy znów jej zwilgotniały. Weszła do garderoby, zamknęła za sobą drzwi i stała tam przez chwilę, ocierając łzy. Potem wzięła ręcznik, położyła go na wyściełanym stołeczku i usiadła na nim.

Kochali się kilka razy tego popołudnia i wypełnił ją całą. Może zaszła z nim w ciążę. Miała taką nadzieję. Ale miała czterdzieści osiem lat. To chyba za późno? Odetchnęła głęboko. Czuła na całym ciele zapach jego wody kolońskiej, jego zapach.

Sięgnęła po butelkę perfum i już miała się nią spryskać, ale zmieniła zdanie. Chciała mieć na sobie jego zapach.

Usłyszała pukanie do drzwi, wstała i otworzyła je.

Harry spojrział na nią. Uśmiechnął się leniwie.

– Pięknie wyglądasz. – Ujął ją za ramię i przyciągnął do siebie. – Lepiej się ubierz – poradził i spytał: – Będziesz sama w przyszłym tygodniu?

– Tak mi się zdaje. – Dotknęła delikatnie jego twarzy. – Zadzwoń tak prędko, jak będę mogła.

Harry skinął głową, puścił jej rękę i wyszedł.

Pauline odwróciła się od drzwi, szybko się ubrała, poprawiła włosy i makijaż. Zazwyczaj kąpała się po tym, jak się kochali, ale nie dziś. Chciała mieć w sobie jego nasienie, chciała mieć z nim dziecko, pragnęła posiadać jego cząstkę na resztę życia. Syna albo córkę. Nieważne, byle jego.



Pauline Mallard zeszła na dół poczekać na męża, Sheldona Faircrossa; wiedziała, że wkrótce przyjedzie. Pchnęła drzwi biblioteki, podeszła do stolika z napojami i naląła sobie szklaneczkę sherry. Stała tak przez chwilę, wpatrzona w jasny płyn, wciąż myśląc o Harrym Swannie.

W pewnym sensie żałowała, że go poznała i miała z nim romans, ponieważ na swój sposób zrujnował jej życie. Nigdy przedtem nie była zakochana. To było *verboten*[1]. I wiedziała, że będzie musiała go opuścić. Rozwód i ponowne małżeństwo nie wchodziły w grę. Harry nigdy nie będzie należał do niej. Była w pułapce.

Kiedy piętnaście lat temu wyszła za Sheldona, zgodziła się na jego warunki. Uporządkował jej bałagan finansowy, który spowodowali jej dwaj poprzedni małżonkowie. Obaj przepuścili większą część jej spadku po zmarłym ojcu, Allanie Mallard, jednym z największych amerykańskich potentatów.

Dzięki Sheldonowi jej sprawy majątkowe znajdowały się w lepszym stanie, choć nie była już tak zamożną dziedziczką jak niegdyś. Jednak w żadnym wypadku nie należała do biedoty. Biedakiem nie był też Sheldon, wielokrotny milioner.

Sheldon miał bardzo proste zasady. Był człowiekiem, który doszedł do wszystkiego sam, i pragnął prestiżu jej nazwiska, jej urody i elegancji przy swoim boku i u szczytu stołu. Żądał również bezwzględnej lojalności.

Jednak ponieważ Pauline nie interesowała go pod względem seksualnym, bo wołał młodych mężczyzn, powiedział jej, że może mieć romanse, pod warunkiem że będzie zachowywać dyskrecję. Poza tym wymógł na niej przysięgę, że nigdy nikomu nie zdradzi jego preferencji seksualnych.

Wtedy chętnie się na to zgodziła. Nie tylko miała znów zabezpieczone własne pieniądze,

była prawowitą małżonką sławnego magnata, cudownego dziecka Wall Street i mogła do woli wydawać wielką fortunę Sheldona. Wolno jej było także mieć tyle romansów, na ile miała ochotę. Ale Sheldon dał jej jasno do zrozumienia, że te związki mogą mieć jedynie charakter seksualny. Upierał się, że nie życzy sobie żadnego zaangażowania uczuciowego. I to wszystko funkcjonowało aż do Harry'ego. Teraz pragnęła wyjść za niego, mieć jego dziecko. I mieć go wyłącznie dla siebie. Był najlepszym z jej kochanków i cudownym człowiekiem.

Wciąż wpatrując się w sherry, pomyślała: Mogę odejść od Sheldona. Zarządza moimi pieniędzmi i sprawuje nad nimi kontrolę. Ale pieniądze nie mają dla mnie znaczenia. Harry się mną zaopiekuje.

Pociągnęła łyk sherry i uświadomiła sobie, że pieniądze jednak mają dla niej znaczenie. Urodziła się z nimi, lubiła je wydawać i będzie ich jej brakowało. Musiała szczerze przyznać przed samą sobą, że brakowałoby jej życia w międzynarodowym towarzystwie. Harry nigdy nie polubiłby takiego życia; durzył się w niej, to pewne, ale był całym sercem oddany Cavendon i Inghamom.

Nie ma wyjścia, pomyślała, jestem w potrzasku. Odwróciła się raptownie, słysząc głos Sheldona:

- Dobry wieczór, Pauline. Widzę, że jesteś sama.
- Witaj, Sheldonie, oczywiście, że jestem sama.
- Ale Harry dopiero wyszedł?

Pauline bez słowa skinęła głową i podeszła do kominka. Sheldon pocałował ją w policzek i poszedł nalać sobie whisky.

- Romans pewnie kwitnie – stwierdził, siadając obok niej na sofie.
- Tak mi się zdaje... – wykrztusiła.
- Harry bez wątpienia zakochał się w tobie. Wszyscy oni tak mają. A co ty do niego czujesz?

– Jest dobrze wychowany, czuły. To miły człowiek.
– I niewątpliwie dobry w łóżku. Nie trzymałabyś go tak długo, gdyby nie był chętny do działania na każde twoje skinienie – powiedział ze śmiechem Sheldon.

Pauline milczała. Nie znosiła dziwacznych wybuchów wulgarności i sposobu, w jaki Sheldon omawiał jej romanse. Często miała wrażenie, że mówienie o tym go podnieca. Niektórzy mężczyźni mają w sobie żyłkę podglądacza.

– Rozmawiałem dziś rano z Tiger – odezwał się Sheldon, nie doczekawszy odpowiedzi. – Zaprosiła nas do swojego zamku w Wersalu. Wydaje wielkie letnie przyjęcie. Zostaliśmy na nie zaproszeni, a ja zgodziłem się za nas oboje.

Pauline to zaskoczyło, ale zaraz odparła:

- To cudownie, Sheldon. Ona jest wspaniałą gospodynią.
- I ma świetny gust, również co do innych gości. Będzie tam grupa uroczych osób

i zostaną na długi weekend.

– Rozumiem – mruknęła Pauline, uświadamiając sobie, do czego zmierza. Po chwili spytała: – Jak się ma twój włoski kochanek?

– Poszedł swoją drogą. – Sheldon wyszczerzył zęby. – Odesłałem go do Włoch. Jestem wolny jak ptak, kochanie, zupełnie jak ty.

– Jestem wolna jak ptak? – Uniosła ze zdziwieniem brwi.

– Oczywiście. Harry musi odejść, Pauline. Ten romans trwa za długo i zaczyna się robić poważny. Pamiętaj, że mamy umowę: ty pozostajesz na zawsze moją żoną, ja zabezpieczam twoje pieniądze, a ty możesz mieć tylu mężczyzn, ilu tylko chcesz. Pomyśl tylko, Tiger na pewno przedstawi ci kogoś przepysznego.

Pauline powstrzymała niechciane łzy.

– Kiedy odbędzie się to przyjęcie w Wersalu? I czy najpierw pojedziemy do Paryża?

– Wyjedziemy z Harrogate w niedzielę. Wrócimy na parę dni do Londynu, w następny weekend do Paryża, a potem do Wersalu.

– Rany boskie, Sheldon, nie mogę wyjechać w niedzielę. Dajesz mi tylko jeden dzień na spakowanie!

– Potrzebujesz tylko biżuterii i paru ubrań. Pani Heath wyśle całą resztę. To naprawdę nie ma znaczenia, ponieważ zamierzam wziąć cię na zakupy do salonów Chanel i Schiaparelli. Myślę też o paru nowych błyskotkach od Cartiera.

Pauline skinęła głową i zdobyła się na uśmiech.

– Masz naprawdę wspaniałe pomysły, Sheldonie – stwierdziła, zdając sobie sprawę, że opuści Harrogate, nim zdąży ponownie zobaczyć się z Harrym. Dziś nadszedł koniec ich romansu. Sheldon o to zadbał.

Siedząc i słuchając, jak mąż mówi o wycieczce do Paryża, usłyszała nagle w tyle głowy inny głos. Był to głos jej zmarłego ojca, Allana Mallarda, który tłumaczył, że nigdy nie robił niczego bez wsparcia prawnika. A jeśli trzeba, gromady prawników. Powtarzał to wiele razy. Ostrzegał ją w ten sposób.

Potrzebuję prawnika, a może gromady prawników, pomyślała. Energicznych, wpływowych prawników z Manhattanu. Pomogą mi odzyskać kontrolę nad własnym życiem. Moim dziedzictwem. Rozwiódę się z Sheldonem i wtedy będę mogła pójść do Harry'ego. Będziemy mogli się pobrać. Na samą myśl o tym uśmiechnęła się.

Sheldon, który jak zwykle bacznie jej się przyglądał, spytał:

– Nagle wyglądasz na szczęśliwą, Pauline. Skąd ten uśmiech?

– Pomyślałam sobie o przyszłości... – Nie dokończyła zdania i opadła na poduszki sofy.

– Aha, nasza wycieczka do Wersalu to jej część. Tiger obiecała nam mnóstwo uciechy.

Pauline przytaknęła, a w duchu gorączkowo snuła plany podróży do Nowego Jorku. Nie pozwoli, by Sheldon popsuł jej szyki. Zafunduje mu największy wstrząs w życiu. I znów się uśmiechnęła, przepełniona szczęściem na myśl o Harrym Swannie i ich wspólnej przyszłości.

1 Zakazane (niem.)

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Harry wyjechał z Harrogate i skierował się na północ, do Cavendon. Poczul ulgę, kiedy Pauline wyjaśniła mu, czemu zachowywała się tak dziwnie.

Zachichotał cicho. Jakże dobrze go poznała przez te kilka miesięcy! Gdyby powiedziała mu zaraz po jego przybyciu, że jej mąż jest w powrotnej drodze do Yorkshire, natychmiast by wyszedł. Nie chciała zrezygnować ze schadzki, więc zatrzymała to dla siebie.

Pauline Mallard. Cóż to za wyjątkowa kobieta. Oszałamiająco piękna, o bujnych ciemnokasztanowych włosach, nieskazitelnie białej skórze i bursztynowych oczach. Świetnie się ubierała i stać ją było na najlepsze stroje, więc gdziekolwiek się pojawiała, robiła duże wrażenie. Kobiety zazdrościły jej wyglądu, a mężczyźni niewątpliwie ślinili się na jej widok.

Kochał ją, był jej oddany, i gdyby wreszcie zgodziła się rozwieść, poślubiłby ją natychmiast. Byli nie tylko dopasowani seksualnie, ale lubił jej towarzystwo; zorientował się, że jest wyjątkowo inteligentna i zna się na tylu różnych rzeczach. Była wspaniałą towarzyszką. I bawiło go jej poczucie humoru.

Podczas jazdy przypomniał sobie niedawną rozmowę z matką. Ku własnemu zdziwieniu wyznał jej, że chciałby się ożenić, żeby mieć dzieci. Nie jedno czy dwoje, ale mnóstwo.

Jakże zazdrościł Milesowi i Cecyli ich gromadki!

W końcu przecież to o to chodzi w życiu? Ożenić się z niezwykłą kobietą i stworzyć wspaniałą rodzinę, którą można by kochać, chronić i hołubić.

Wzdrygnął się na myśl o komentarzu matki. Powiedziała mu chłodno, że jego aktualna bogdanka jest dużo za stara na rodzenie dzieci, i dodała, że jego tajemny romans niedługo ujrzy światło dzienne. Kiedy usiłował wyjaśnić swoje uczucia do Pauline, matka nie dała mu dojść do słowa i zakończyła rozmowę.

Wiedział dobrze, dlaczego Cecyli chciała z nim porozmawiać. Z pewnością zamierzała go zbesztać i kazać mu skończyć związek z mężatką. Jego siostra była mu przeciwna, a matka niewątpliwie jeszcze ją podbechtala.

Pauline musi opuścić męża, to jedyne wyjście, stwierdził Harry, skręcając z głównej drogi na tereny Cavendon.

Jak zawsze, kiedy tu wracał, nawet tylko po paru godzinach, poczul przyływ szczęścia, zadowolenie i uczucie przynależności. Ta ziemia była domem... tę ziemię uprawiał i chronił z miłością w sercu. Tu było jego miejsce.



Harry nie widział dziewczyny na rowerze, jadącej dróżką po lewej stronie Cavendon Road prowadzącej do wioski Little Skell. Uświadomił sobie, że w nią uderzył, kiedy usłyszał zgrzyt, zobaczył w powietrzu parę gołych nóg i poczul łupnięcie.

Nacisnął hamulec i przerażony wyskoczył z samochodu. Zobaczył na ziemi pogięte przednie koło roweru, ale ani śladu dziewczyny. Zbity z tropu spojrzal w lewo, potem w prawo.

Po chwili usłyszał głos:

– Jestem tu, w rowie! Może mi pan pomóc?

Przebiegł przez drogę na trawiaste pobocze i zobaczył, że nad krawędzią rowu pojawiła się ruda czupryna. Dziewczyna podciągała się, łapiąc kępy trawy i zielska.

Dzięki Bogu, żyje, pomyślał Harry. Ukląkł i wyciągnął ręce. Chwyciła jedną, potem

drugą. Dźwignął ją do góry i po chwili dziewczyna przysiadła obok niego, ciężko dysząc.

Harry obrzucił ją szybkim spojrzeniem:

– Jest pani ranna? Coś panią boli? – spytał z niepokojem w głosie.

– Nie sędzę, żebym coś złamała – odparła, marszcząc brwi. – Ale jestem trochę roztrzęsiona.

– Nie ma się co dziwić. Przykro mi bardzo, że spowodowałem ten wypadek. Obawiam się, że nie zauważyłem pani na bocznej drodze. Może powinienem zawieźć panią do szpitala w Harrogate.

– Nie, wszystko w porządku, ale dziękuję. – Potrząsnęła energicznie głową.

– Uważam, że powinna pani trafić do lekarza – nalegał Harry. – Może pani mieć jakieś wewnętrzne obrażenia.

Dziewczyna wybuchnęła śmiechem i znów potrząsnęła głową.

– Wiedziałabym, gdybym sobie coś uszkodziła, naprawdę. Moi bracia twierdzą, że jestem twarda. – Uśmiechnęła się. – To ja muszę przeprosić. Jechałam o wiele za szybko. Bardzo mi przykro.

– Jeśli jest pani pewna, że wszystko w porządku, nie będę nalegał na wizytę w szpitalu.

– Jestem całkiem pewna. – Dziewczyna poprawiła kolorową sukienkę w kwiaty, podciągnęła białe skarpetki i przejechała ręką po materiale sukienki. – Nawet sukienka się nie podarła – oświadczyła z błyskiem w oku. Wyciągnęła do niego rękę. – Dziękuję za wydobyć mnie z rowu. Swoją drogą, nazywam się Phoebe Bellamy.

– Harry Swann – odparł, uśmiechając się do niej, ujęty jej dziewczęcym wdziękiem i dobrymi manierami. Miała ładną buzię pokrytą piegami i orzechowe oczy. Pomyślał, że ma około dwunastu lat; nie miał pojęcia, kim jest, i zastanawiał się, co robi na gruntach Cavendon.

Phoebe wpatrywała się w niego ze zdumieniem.

– Jest pan jednym ze słynnych Swannów z Cavendon? – zawołała z zachwytem. – Nie jest pan przypadkiem krewnym Cecily Swann, Królowej Świata Mody?

Harry zachichotał, słysząc to określenie.

– To moja siostra.

– O rany! Coś takiego! A niech mnie! Co za zaszczyt poznać pana, panie Swann.

Jej nieskrywany entuzjazm serdecznie rozbawił Harry'ego.

– A pani to Phoebe Bellamy. Miło mi panią poznać i żałuję, że stało się to w tak niefortunnych okolicznościach. A teraz proszę mi powiedzieć, gdzie pani mieszka. Chyba gdzieś niedaleko?

– Tak jest, panie Swann. Mieszkam u wuja, komandora Jolliona.

– Dobrze go znam. I jego syna Noela – to z pewnością pani kuzyn.

– Owszem. Wszyscy spędzamy całe lato u wujka Edgara.

Harry wstał z trawy i pomógł wstać Phoebe.

– Sprawdźmy, jak dobrze się pani rusza, i miejmy nadzieję, że istotnie wszystko jest w porządku. Jeśli tak, odwiozę panią do Burnside Manor.

Ręka w rękę przeszli przez drogę do samochodu. Obserwował ją bacznie i stwierdził, że stąpa całkiem normalnie.

Przystanęli przy połamanym rowerze. Phoebe spojrzała na niego.

– O rany! Co mam z tym zrobić? – zawołała.

– Odłożę go na pobocze – odparł Harry, podniósł rower i zaniósł na trawę. – Jutro rano przyślę kogoś po niego. Możliwe, że będziemy mogli go naprawić – mamy warsztat.

– Och, to bardzo miłe z pana strony. Dziękuję, panie Swann. Strasznie mi przykro, że sprawiam tyle kłopotu. Ale proszę posłuchać, dobrze się czuję i mogę wrócić na piechotę do

Mowbray.

– Ależ nic podobnego. Zawiozę panią do domu i dokładnie wyjaśnię komandorowi Jollionowi, co się stało.

– Nie musi pan koniecznie tego opowiadać – zaprotestowała z niepokojem w głosie Phoebe.

– Wezmę winę na siebie – powiedział stanowczo Harry. – A teraz zapraszam do samochodu.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Diedre nie spała dobrze. Spędziła niespokojną noc; jej mózg pracował w nadgodzinach, tyle myśli kłębiło jej się w głowie.

Tym razem nie martwiła się o zdrowie ojca. Przez ostatnich kilka weekendów wyglądał prawie tak dobrze jak za dawnych czasów; pełen życia, w dobrej formie, z poczuciem humoru. Wiedziała, że nie powinna troskać się o niego. Charlotte kocha go i dba o niego czule i umiejętnie. Wszyscy wiele jej zawdzięczają.

Przez większą część nocy była pochłonięta myślami o Cecyli i Grecie Chalmers, a zwłaszcza jej trudnej sytuacji.

Po latach pracy w wywiadzie brytyjskim Diedre wiedziała z doświadczenia, że istnieje wiele sposobów uzyskania wiz i dokumentów podróжных i że są inne możliwości na wyciągnięcie ludzi z Niemiec. Problem Steinbrennerów polegał na tym okropnym „J” oznaczającym Żyda, wbitym w ich paszporty. Trudno będzie zdobyć cztery nowiutkie paszporty. To samo dotyczyło wiz i dokumentów podróжных. Cztery to po prostu zbyt wiele; nawet z dwoma byłoby trudno. A właściwie może być niemożliwością uzyskanie nawet jednego.

Miała dwa kontakty, które być może byłyby pomocne. Ten, kogo prosiła już o parę przysług, miał najmocniejszą pozycję. Był w naczelnym dowództwie Trzeciej Rzeszy i wiedziała, że zrobi dla niej wszystko, o ile to będzie możliwe. Jednak miała opory przed poproszeniem go o to. Przyjaźnili się od paru lat; podziwiała go i szanowała jako najlepszego przyjaciela. Nie chciała znów się do niego zwracać, i to tak szybko.

Diedre usiadła na łóżku. Zmrużyła oczy, widząc blade światło poranka przesączające się przez zasłony, poprawiła poduszkę, położyła się i skoncentrowała na swoim drugim kontakcie.

Musiała natychmiast zrezygnować również z drugiego kontaktu, bo miał powiązania z pierwszym. Także zajmował ważne stanowisko w naczelnym dowództwie i w razie wpadki mógłby pogrążyć swojego zwierzchnika. Zresztą mógłby być przydatny w innych sprawach.

Przyszło jej na myśl, że najlepiej będzie wykorzystać własnego człowieka w Berlinie. Był młody, ale bystry i doświadczony. I mogła do niego stosunkowo bezkarnie zadzwonić.

Diedre wiedziała, że od paru lat w Niemczech podsłuchują rozmowy telefoniczne, zwłaszcza te z zagranicą. Wprawdzie ambasada brytyjska w Berlinie nie była zabezpieczona, ale mieli wspólny kod, który dla postronnych brzmiał jak czcza gadanina.

Spojrzała na zegar: dochodziła szósta. Dom jeszcze spał. Wskoczyła z łóżka i po krótkiej wizycie w łazience zeszła na dół.

Ciszę zakłócało jedynie tykanie zegara w holu. Było ciut za wcześnie dla służby. Ale za pół godziny gospodyni znajdzie się na posterunku i wszyscy zaczną się krzątać.

W bibliotece było chłodno i cicho. Diedre usiadła przy biurku ojca i rozmyślała przez kilka chwil. Przed sobą miała jego biurkowy kalendarz. Zagapiła się na niego.

– O kurczę, to sobota – mruknęła pod nosem. Sobota, trzydziesty lipca. Psiakrew, pomyślała.

Podjęła szybką decyzję. Podniosła słuchawkę, wybrała numer centrali międzynarodowej i podała telefonistce berliński numer.

– Halo? – po czwartym sygnale odezwał się szorstko męski głos.

– Czy Toby Jung wciąż tu mieszka?

– Czy to Daffy Dilly?

– Tak, to ja.
– Jak miło cię słyszeć, Daffy. O co chodzi?
– Kiedy ostatnio byłam u ciebie, Toby, zostawiłam u ciebie walizkę. Zastanawiałam się, czy nie znasz kogoś, kto wybiera się w te strony i mógłby mi ją przywieźć. Zapłacę za to.
– Popytam po ludziach. Co nowego poza tym?
– Niewiele. A jak tam w Berlinie? Mam przyjaciółkę, która chciałaby się tam wybrać; pytała mnie, jaka tam teraz pogoda.
– Gorąco jak w piekle. Ani odrobiny świeżego powietrza. Miasto cuchnie. Wszyscy się pocimy. Potrzebujemy dobrego przeciągu.
– Pogoda wciąż się zmienia, Toby.
– Wiem, aniołku. A jeśli chodzi o walizkę – jest ciężka?
– Raczej tak.
– Uniesie ją jedna osoba?
– Nie sądzę. Będzie potrzebna druga osoba, a może jeszcze dwie. Ale wiesz, na dworcu są bagażowi, a ja ich wynagrodzę.
– Zobaczą, co się da zrobić. A gdzie teraz jesteś?
– Oglądam wrzosa.
– Jak długo?
– Dwa dni. Czemu pytasz?
– Chciałem po prostu wiedzieć. Odezwę się do ciebie w przyszłym tygodniu. Będziesz tam, gdzie zawsze?
– Tak, dziękuję, Toby.
– Buziaczki, aniołku – powiedział i rozłączył się.
Diedre odłożyła słuchawkę na widełki i usiadła wygodnie w fotelu. Jeśli ktoś podsłuchiwał, niewiele zrozumiał. Ale Toby już wiedział, że chce wydostać jakichś ludzi. Zawsze rozmawiali, używając własnego szyfru. On pod pozorem rozmowy o pogodzie przekazał jej wiadomości o sytuacji w Berlinie. Teraz mogła tylko czekać, żeby się dowiedzieć, co można zrobić; o ile to w ogóle możliwe.



Cecily odwróciła się, słysząc, że ktoś ją woła, i ujrzała Harry'ego. Szedł wzdłuż stajen; miał na sobie strój do konnej jazdy. Ubierał się tak w każdą sobotę, bo tego dnia objeżdżał cały majątek, dokonując inspekcji na ziemiach Inghamów.
Uśmiechnęła się, kiedy zatrzymał się koło niej i pocałował ją w policzek.
– Cała dziś promieniejesz, Ceci – powiedział.
– Pochlebstwem wiele zdziałasz, wiesz o tym, Harry – odparła ze śmiechem. – A i ty nie najgorzej wyglądasz – dodała. – Zrobiłeś już swój objazd?
– Nie, chciałem najpierw zobaczyć się z tobą. Chodźmy do altany, tam jest chłodno, dobrze?
– A przy tym całkiem na uboczu – zauważyła Cecily, doganiając go.
– To prawda. Dobrze powiedziane. Ale w moim biurze jest naprawdę ciepło dziś rano... to lipcowe słońce, rozumiesz.
– Nie mam zamiaru cię łajać, nic z tych rzeczy. Jesteś dorosłym mężczyzną i masz wszelkie prawo prowadzić takie życie, jakie uznasz za stosowne. Chciałam tylko z tobą trochę pogadać, głównie o mamie.
– Nie jest chyba chora, prawda? – zawołał.

– Nie, oczywiście że nie, ale martwi się o ciebie.

– Wiem – odparł krótko.

Szli w milczeniu, pogrążeni we własnych myślach. Po chwili odezwała się Cecily:

– Chciałam ci podziękować, że pomogłeś Walterowi w nauce konnej jazdy. Jak dobrze wiesz, zawsze trochę bał się koni, a tobie udało się przełamać ten lęk. Uwielbia lekcje z tobą.

– I konia, którego dla niego kupiłem. To delikatna klaczka, a on czyni znaczne postępy. Jestem z niego bardzo dumny.

– Powiedział mi wczoraj, że dogania Davida i że niedługo będzie jeździł lepiej niż jego duży brat.

– Sądzę, że jest na dobrej drodze. – Harry zachichotał. – Swoją drogą, wczoraj wieczorem miałem dziwne zdarzenie. Zrzuciłem z roweru dziewczynę.

– Z roweru? – Cecily zmarszczyła brwi. – Gdzie? Chyba nie na terenie posiadłości?

– Owszem, tu. Wpadła z rozpędu na Cavendon Road. Nie zauważyłem jej. – Opowiedział siostrze całą historię bez upiększeń i zakończył: – Okazało się, że to Phoebe Bellamy, siostrzenica komandora Jolliona, a kiedy dowiedziała się, że nazywam się Swann, spytała, czy jestem spokrewniony z Cecily Swann, Królową Świata Mody.

Cecily wybuchnęła śmiechem i z rozbawieniem potrząsnęła głową.

– Nie poznałam Phoebe, ale jej matka to siostra komandora, Adrianna. Ma dość dużą rodzinę. Coś koło siódemki dzieci.

– O rany, to naprawdę spora gromadka. Ale Phoebe wspominała tylko o dwóch braciach – stwierdził Harry, wchodząc do altany. Usiedli naprzeciw siebie.

– Mama nie jest na ciebie zła, Harry – wyjaśniła Cecily – tylko martwi się...

– O to, że mogą się zacząć plotki – przerwał jej z ponurą miną.

– Myślę, że to ją trochę niepokoi ze względu na twoją pozycję tutaj. Ale bardziej to, że jesteś „na drodze donikąd”; tak to ujęła. Powiedziałaś jej, że chcesz mieć dzieci, i to sporo, a ona uważa, że tak się nie stanie, ponieważ Pauline Mallard jest za stara.

Harry skinął głową i zadumał się na chwilę.

– Mama ma rację, Pauline ma czterdzieści osiem lat i ona sama tak uważa. Jej czas na rodzenie dzieci najprawdopodobniej minął. W każdym razie takie jest jej zdanie.

– Nie wygląda na tyle lat, wydaje się dużo młodsza.

– To samo jej powiedziałem, kiedy podała mi swój wiek. Była wobec mnie szczerą i uczciwą, Ceci. Pauline jest dobrą kobietą.

– Kobietaż zamężną – powiedziała cicho Cecily. Ujęła rękę Harry’ego. – Posłuchaj, jestem twoją siostrą i znam cię lepiej niż ktokolwiek. Dlatego wiem, że skoro ciągniesz ten romans, to znaczy, że jesteś po uszy zakochany. – Przerwała, kręcąc głową. – Ale to do niczego nie prowadzi.

Harry milczał. Cecily mruknęła:

– Wydaje mi się, że jest zaplątana w nieszczęśliwe małżeństwo, zgadza się?

– Tak. Sheldon dużo podróżuje i z tego, co mi mówiła, to nie jest intymny związek.

– Och, Harry – westchnęła Cecily. – Wszyscy zdradzający tak mówią, czy to mężczyźni czy kobiety. To stara historia, tak jest od wieków. Chyba od zawsze.

– Myślę, że w przypadku Pauline to prawda. On ma inne zainteresowania... w innym kierunku.

– Co masz na myśli? – zniżyła głos, dodając z rezerwą: – Uważasz, że jest homoseksualistą?

– Nigdy tego nie powiedziała, mówiła tylko, że nie są ze sobą blisko – odparł szeptem Harry. – I że on ma inny gust.

– Nie dziwię się, że nie powiedziała nic ponadto. Mógłby trafić do więzienia.
– Wierzę jej, Ceci, tak to jest. Wiem z pewnością, że trudno by mi było ją opuścić.
– Czy kiedykolwiek wspomniała o rozwodzie? – spytała, wpatrując się w brata.
– Mówi, że on nigdy nie zgodzi się na rozwód i że musimy wykorzystać to najlepiej, jak się da.

– Nie wydaje mi się, żebyś to wykorzystywał najlepiej, tak jak to nazywa Pauline! Utknąłeś przy kobiecie za starej na urodzenie ci dzieci, i to takiej, która z pewnością z jakichś powodów nie dostanie rozwodu. – Pochyliła się ku niemu i dodała z naciskiem: – Harry, bądźże rozsądny i pomyśl o sobie. I o swojej przyszłości. Masz czterdzieści lat. Wyplącz się z tego i idź swoją drogą. Spotkasz kogoś, po prostu wiem, że tak będzie.

– Aż dziwnie to słyszeć z twoich ust. Pamiętam twoją litanię... wciąż powtarzałaś, że nie pokochasz nikogo oprócz Milesa. A ja tak właśnie się czuję, jeśli chodzi o Pauline.

– To trudne, naprawdę zdaję sobie z tego sprawę. Mama sądzi, że byłoby nieźle, gdybyś mógł na jakiś czas wyjechać, zrobić sobie wakacje. Szczerze mówiąc, chciałabym, żebyś pojechał teraz z nami... do Zurychu.

– Zarządzam tym majątkiem z Milesem, i kiedy on wyjeżdża, ja muszę być na miejscu – odparł z uśmiechem. – To nie znaczy, że nie byłoby mi miło spędzić z wami wakacji w Zurychu. Uwielbiam być z tobą i Milesem. Ale problem polega na tym, że gdziekolwiek się ruszysz, zabierasz ze sobą wszystkie swoje kłopoty. I uprzedzając twój protest, dodam, że to twoje własne słowa, którymi posłużyłaś się kiedyś, mówiąc mi o swoich uczuciach wobec Milesa.

Cecily skinęła głową; przepełniała ją miłość do brata i rozumiała jego sytuację. Kochał kobietę, której nie mógł poślubić, która najprawdopodobniej nie była w stanie urodzić mu dzieci. Nie chciała go lajać ani zadawać mu więcej pytań, tylko go pocieszyć. I zachęcić, by zrobił krok do przodu. Żałowała, że nie może przedstawić mu kogoś wyjątkowego, ale nie przychodziła jej na myśl żadna kandydatka. Zresztą miałyby jej za złe, że się wtrąca.

– I ja, i Miles zawsze będziemy z tobą, jeśli będziesz tego potrzebował – powiedziała, wstając.

Harry również zerwał się z miejsca i uścisnął ją serdecznie.

– Wiem i dziękuję, że tak się o mnie troszczysz.

Ruszyli w milczeniu ścieżką, trzymając się za ręce. Kiedy dotarli do stajen, Harry puścił jej rękę, pocałował ją w policzek i mruknął:

– Zaopiekuję się Davidem i Walterem, kiedy was nie będzie, Ceci. Wiesz, że ich kocham.

– Jesteś idealnym wujkiem – odparła, kiwając głową.

Uśmiechnął się i odszedł.

Patrzyła na niego, myśląc, jakim jest przystojnym mężczyzną; był też miły i troskliwy. I naprawdę kochał jej dzieci. Spędzał z nimi mnóstwo czasu i uczył ich wielu rzeczy. Byłby z niego cudowny ojciec i dobry mąż.

Idąc w stronę tarasu, rozmyślała, jak smutne życie wie dzieje jej brat. Uwielbiał Cavendon i swoją pracę. On i Miles byli serdecznymi przyjaciółmi i dobrze im się razem pracowało. Wszyscy go lubili; był otoczony ludźmi, którzy go kochali i podziwiali.

Ale mieszkał sam, w domu, który podarowała mu ciotka Charlotte. Sam sobie gotował. Albo przechodził na drugą stronę uliczki do domu rodziców, albo jadł w wiejskim pubie, Little Skell Arms. Nie był przesadnie towarzyski i większość czasu spędzał samotnie.

To niesprawiedliwe, pomyślała w nagłym przypiływie złości. Ta kobieta go wykorzystuje. Mój brat zasługuje na coś lepszego. I postaram się, żeby to dostał.



Dziesięć minut później do drzwi sypialni Cecily zapukała Diedre.

– Mogę wejść?

– Oczywiście – zawołała Cecily.

Podeszła do drzwi. W progu stała uśmiechnięta Diedre. W rękę trzymała sukienkę, jedną z kupionych ostatnio w sklepie w Burlington Arcade.

– Coś jest z nią nie tak? – spytała Cecily, rzuciwszy okiem na suknię.

– No, nie mam pewności co do plisy na boku – powiedziała Diedre, rozglądając się po pokoju. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam tobie i Milesowi? Jest w waszym saloniku?

– Nie. – Cecily potrząsnęła głową. – Jest w ogrodzie z chłopcami, a Venetia pomaga niani zebrać trochę kwiatów dla mnie. Chcesz pogadać wyłącznie ze mną, prawda? – spytała z uśmiechem.

– Zgadza się. – Diedre położyła sukienkę na krześle. – Jak zwykle leży na mnie idealnie. To tylko pretekst, żeby się z tobą zobaczyć.

– Usiądźmy tutaj. Jeśli Miles wróci wcześniej, niż się spodziewam, pójdzie do saloniku – zawsze tak robi.

Diedre usiadła na sofie obok Cecily.

– Nie chcę, żebyś czyniła sobie zbyt wielkie nadzieje, ale dziś rano rozmawiałam z moim kontaktem w Berlinie. Zorientuje się, czy można jakoś pomóc rodzinie Grety.

– Och, to wspaniale! – rozpromieniła się Cecily.

– Nie podniecaj się, Ceci. I nie piśnij ani słowa Grecie. Prawdę mówiąc, nikomu. Nawet Milesowi. Jeśli chodzi o Steinbrennerów, wielkim problemem są ich paszporty. Jak ci mówiłam wczoraj, będą potrzebowali zupełnie nowych. Moim zdaniem zbyt wielu jak na jeden raz. Możliwe, że będzie trzeba wyciągać rodzinę po jednej osobie, przez wiele miesięcy.

– Och, byłoby im strasznie ciężko – zaprotestowała Cecily. – Greta będzie się denerwować.

Diedre spiorunowała ją wzrokiem. Odezwała się surowym tonem:

– Musisz zrozumieć, że to bardzo trudne zadanie. Praktycznie niemożliwe w aktualnej sytuacji. Greta nie będzie tu miała nic do powiedzenia. Będę miała szczęście, jeśli uda mi się wydostać choćby jedną osobę. I ta osoba też będzie miała szczęście. Jak sądzisz, który członek rodziny miałby to być?

– Nie mam pojęcia. Z tego, co wiem o profesorze, jestem pewna, że chciałby, żeby najpierw wyjechały dzieci. Jeśli to ma być jedno, sądzę, że wybrałby córkę, Elise. Ale mogę spytać Gretę, i...

– Nie wolno ci rozmawiać o tym z Gretą! – krzyknęła ostrym tonem Diedre. – Już ci to mówiłam, Cecily! Nikt nie może o tym wiedzieć. Trzeba będzie wybrać w ostatniej chwili. Zrozum, proszę, jakie to trudne przedsięwzięcie. I niebezpieczne.

– Tak, rozumiem. Przepraszam, Diedre, jeśli to głupio zabrzmiało.

– Nie, i zdaję sobie sprawę, że nie masz pojęcia, jak wygląda sytuacja w Berlinie.

Wszędzie roi się od gestapo i SS, wszyscy są podejrzani. Przepraszam, że warknęłam na ciebie, ale ktoś będzie musiał zrobić to dla mnie, a jeżeli zostanie przyłapany, może go to kosztować życie.

Cecily pobladła. Skinęła głową.

– Nie miałam zamiaru lekceważyć tej sprawy. Teraz rozumiem, jak jest poważna.

Diedre uściśniła jej rękę.

– Konieczna jest daleko posunięta dyskrecja. Kiedy pojedziecie do Zurychu, nie należy o tym mówić Daphne ani nikomu innemu, rozumiesz?

– Tak. To sprawa między nami dwiema. Nigdy cię nie zdradzę. – Cecily zacisnęła pięść i wyciągnęła rękę. – Wiąże mnie lojalność – powiedziała.

Diedre uczyniła to samo i położyła swoją pięść na rękę Cecily.

– Wiąże mnie lojalność – powtórzyła.

ZAGRANICZNE INTRYGI

Gęsi, gęsi, do domu!

Boimy się!

Czego?

Wilka złego.

Gdzie on jest?

Za lasem.

Co on robi?

Nóż ostrzy...

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Dwadzieścia cztery lata temu Daphne zakochała się od pierwszego wejrzenia w willi Fleurir nad Jeziorem Zuryskim. Hugo zabrał ją w podróż poślubną do Paryża, a stamtąd wybrali się do Szwajcarii, gdzie spędzili trochę czasu.

Willa była przestronna, duże pokoje w amfiladzie pomalowane zostały na pastelowe kolory. Ich umeblowanie cechowała pewna swoboda i Daphne nic tu nie zmieniła, bo uwielbiała ten luz i wygodę. Tu i ówdzie trafiały się pokryte patyną antyki, wymieszane z wygodnymi sofami i fotelami. Na ścianach wisiały urocze obrazy. Wszystko to podkreślało urodę pokoi, nadawało im swoisty wdzięk, choć dom nie był umeblowany w tradycyjnym stylu, który często wydawał się Daphne zbyt sztywny.

Ta swoboda wymusiła też niejako dużo mniej formalny sposób życia. Również ich dzieci z tego względu lubiły przebywać w willi – czy to latem czy zimą. Cavendon był ich domem, ale z nim wiązała się odpowiedzialność i oczekiwanie pewnych standardów.

Z biegiem czasu willa stała się wakacyjnym domem dla Daphne, Hugona i ich dzieci, a także innych członków rodziny. Ojciec Daphne spędził tu swój miodowy miesiąc z Charlotte i urzekło ich jej piękno i spokój.

Duże salony otwierały się na obszerny ogród schodzący ku jezioru, więc widok był spektakularny. Hugo, który kupił willę na długo przed ślubem z Daphne, nigdy nie miał zamiaru jej sprzedawać i obstawał przy tym nawet wtedy, gdy borykali się z problemami finansowymi. Zawsze zdawał sobie sprawę, że willa Fleurir to cudowne miejsce, w którym można się schronić i odpocząć, radując się otaczającym ją naturalnym pięknem i urokiem starego miasta, Zurychu.

Jedynym pokojem, jaki Daphne zmieniła, był mały salonik przylegający do biblioteki. W końcu zaanektowała go dla siebie. Wstawiła tam biurko, przekształcając go w biuro. Była szczęśliwa, mając bezpieczne miejsce dla swoich papierów i do pracy.

Tego słonecznego poranka w pierwszym tygodniu sierpnia siedziała przy biurku, przeglądając gospodarskie rejestry. Prowadząc przez wiele lat dom w Cavendon, przyzwyczyła się do sprawdzania wszystkiego, w tym pieniędzy wydatkowanych na willę. Zadowolona, że zmieściła się w domowym budżecie, zamknęła ostatni rejestr i usiadła wygodnie.

Kiedy wychodziła za Hugona, dom był sprawnie zarządzany przez Hansa i Hildę Bauerów, którzy utrzymywali go w idealnym stanie. Gdy Hans przeszedł na emeryturę, te obowiązki przejął ich syn Bruno, jego żona Anna i dwie dochodzące pokojówki. Prawdę mówiąc, syn był lepszy od ojca, ale Daphne nigdy nie powiedziała tego głośno. Anna była wspaniałą kucharką, ale Hilda jej dorównywała.

Daphne wstała od biurka, wyszła do przedsionka i pośpiesznie skierowała się do bawialni, ku wyjściu do ogrodu. Stała w oszklonych drzwiach, osłaniając oczy przed jaskrawym światłem słonecznym i zauważyła, że w altanie na końcu trawnika siedzi jej córka, Alicia. Rozejrzała się dookoła: w domu panowała idealna cisza. Zniknęli wszyscy poza Alicią.

Ruszyła w stronę altany, podziwiając po drodze widoki. Kwiaty w tym roku były wspaniałe, ogród zapierał dech w piersiach.

Alicia uniosła głowę i uśmiechnęła się, kiedy matka stanęła obok niej. Daphne pochyliła się, pocałowała ją w policzek i usiadła.

– Gdzie się wszyscy podziali, kochanie? Wyszli?

– Nie, nie całkiem. Cecyli jest na górze, w sypialni. Powiedziała mi, że ma coś do

zrobienia. I pewnie musi zadzwonić tu i tam, by sprawdzić, jak idzie jej firma. Charlie jest w swoim pokoju, pisze. Ojciec poszedł na jakieś spotkanie i zabrał ze sobą Milesa. Powiedział, że wróca na lunch i żeby się nie martwić, gdyby się spóźnili.

– Na szczęście twój ojciec bardzo rzadko się spóźnia – roześmiała się Daphne.

– Cieszę się, że Cecily tu jest, mamusiu – stwierdziła Alicia. – Uważam, że wygląda na zmęczoną. Oboje tak wyglądają, ale Cecily jest chyba bardziej spięta.

– Wiem, co masz na myśli. Też to zauważyłam, kiedy przyjechali we wtorek wieczorem. Ale nie sądzisz, że po paru dniach tutaj jest bardziej rozluźniona?

– Wiesz, to zasługa domu, wszyscy tu stają się mili, beztroscy i łagodni.

– Masz rację – odparła z uśmiechem Daphne. – Rzeczywiście odprężają się. A ty, podjęłaś już decyzję? Zamierzasz dołączyć do braci u Bowenów na południu Francji?

– Nie, mam. – Alicia pokręciła głową. – W przyszły poniedziałek wracam do Cavendon. Chcę się przygotować do pracy na wrzesień, bo wtedy wracają Felix i Constance. Wczoraj dostałam od Feliksa liścik; mówi, że przyjmą mnie na klientkę.

– Bardzo się cieszę, kochanie! – zawołała Daphne. – Są najlepsi i dobrze o ciebie zadbają. I nie zaszkodzi ci wcale jako aktorce, że masz w rodzinie jednego z największych angielskich aktorów.

Daphne przerwała, słysząc jakieś zamieszanie i męskie śmiechy. Obejrzała się za siebie, to samo zrobiła Alicia.

– To tatuś, Miles i Charlie. Ale co tam robią, u licha?

– Nie mam pojęcia – stwierdziła Daphne. – Ale widzę parę damskich butów zza ich odzianych w spodnie nóg.

– Och, to z pewnością Cecily! Pewnie się z nią drażnią – pospieszyła z wyjaśnieniem Alicia. – Wciąż stroją sobie żarty.

Charlie, najstarszy syn Daphne, ruszył po ścieżce, unosząc ramiona i poruszając nimi jak dyrygent prowadzący dużą orkiestrę.

– Ta da! Ta da! Ta da! – wyśpiewywał na całe gardło.

W tej chwili na scenie pojawiła się Cecily. Wyszła przez drzwi balkonowe na taras i ruszyła w stronę mężczyzn.

– Och, muszą kryć kogoś innego, mamusiu. Któż to może być?

– To dla mnie zagadka – odparła Daphne.

Wstała, wyszła z altany i wpatrzyła się w taras. Nagle poznała, kto to, i poczuła przyływ radości. Na świecie była tylko jedna osoba o tak wspaniałych nogach, teraz dokładnie widocznych w butach na bardzo wysokich obcasach.

– Hej, ty tam! Nie chowaj się za tymi śmiesznymi facetami! – zawołała. – Poznałam cię po nogach i butach, Diedre.

Hugo, który wiedział, że niewiele rzeczy jest w stanie zaskoczyć jego ukochaną żonę, odstąpił na bok. To samo zrobił Miles, więc Diedre mogła pobiec prosto w wyciągnięte ramiona Daphne.

Cecily przystanęła obok Milesa. Zastanawiała się, dlaczego Diedre przyjechała do Zurychu. Czy miała dla niej jakieś wiadomości? Odrzuciła natychmiast tę myśl. Było za wcześnie na nowiny. Rozmawiała z Diedre o kłopotach Grety zaledwie tydzień temu, w zeszły piątek. Może Diedre miała po prostu ochotę odpocząć przez parę dni od pracy, potrzebowała nowego otoczenia?

Siostry trwały przez chwilę w uścisku. Przez ostatnie dziewięć lat stały się sobie bliskie jak nigdy, borykając się wspólnie z rodzinnymi kłopotami i troskami, a zwłaszcza po nagłej śmierci Paula. Pograżona w bólu Diedre znalazła wsparcie w Daphne, DeLacy i Cecily.

Pomagały jej, jak mogły, stały przy niej, gdy groziła jej depresja.

Oderwały się wreszcie od siebie.

– Witaj, kochanie – powiedziała Daphne z uśmiechem. – Tak się cieszę, że cię widzę.

Zanim Diedre zdobyła się na odpowiedź, wtrącił się Hugo:

– Nie mogłem uwierzyć własnym oczom, kiedy zajechaliśmy pod dom, a Miles krzyknął: „Patrz, kogo tu przywiało”, a to Diedre stała tuż przed nami i płaciła taksówkarzowi.

Diedre odwróciła się ku siostrze:

– Rzecz w tym, Daphne, że musiałam w środę wieczorem być w Genewie. Wszystko poszło mi nadspodziewanie dobrze w czwartek i wtedy uświadomiłam sobie, jak blisko Zurychu się znalazłam. I nagle zapragnęłam zobaczyć was wszystkich, spędzić tu kilka dni.

I postanowiłam po prostu przyjechać z zaskoczenia.

– I cieszymy się, że to zrobiłaś – stwierdził Miles. – Jesteś wspaniałą niespodzianką.

– To świetnie, że tu jesteś, Diedre – mruknęła życzliwie Cecily. Podeszła i pocałowała szwagierkę w policzek.

Diedre rzuciła Cecily wymowne spojrzenie. Patrzyły na siebie przez chwilę bez słów: „Nic nie mów”.

Daphne wzięła Hugona pod ramię.

– Chodźmy na taras i napijmy się czegoś zimnego przed lunchem. Robi się tu dość ciepło.

– Spojrzała na niego i dodała: – Anna i Bruno wiedzą, że Diedre tu jest, prawda?

– O tak, Bruno zaniósł walizkę Diedre do jej pokoju i powiedział, że zawiadomi Annę, żeby dołożyła jedno nakrycie.

Daphne skinęła głową i ruszyła z mężem w stronę domu. Reszta podążyła za nimi.

Długi taras na tyłach willi z widokiem na jezioro i góry był właściwie pokrytym dachem krużgankiem w kształcie loggii. Dach dawał cień i osłonę, a otwarte boki pozwalały na swobodny przepływ powietrza. Było tam chłodno nawet podczas największych upałów, więc latem rodzina zawsze jadła na tarasie lunch, a często również obiad.

Cała siódemka usiadła w białych fotelach z plecionki otaczających metalowy stół ze szklanym blatem. Gdy już się usadowili, pojawił się Bruno z tacą szklanek i dużym kryształowym dzbanem lemoniady. Podał im napoje i zwrócił się do Daphne:

– O której mam podać lunch, milady?

– Za jakieś pół godziny, Bruno, dziękuję.

Skinął głową i odszedł.

– Czy często jeździsz do Genewy, ciociu Diedre? – spytał Charlie.

– Tylko od czasu do czasu, Charlie. Czemu pytasz?

– Z czystej ciekawości. I pomyślałem też, że mogłabyś wpadać tu częściej; zgodzisz się ze mną, mamó?

– Jak najbardziej, ale wiesz, że twoja ciotka musi myśleć o Robinie, a on jest w Cavendon.

– Może przywiezę go tu znowu na parę dni – wtrąciła się Diedre. – Zawsze mu się podobał pobyt tutaj, a zwłaszcza z tobą, Charlie. Dziękuję, że spędziłeś z nim tyle czasu i pozwoliłeś mu czuć się kimś wyjątkowym, i co najważniejsze, dorosłym.

– To fantastyczny chłopak. Kiedy rozmawiam z nim i słucham jego odpowiedzi na moje pytania, i patrzę mu w oczy, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że jest nad wiek dojrzały.

– Też tak sędzę – przytaknęła Diedre. Milczała przez chwilę. – Brakuje mu ojca, a ty w pewnym sensie podczas wakacji wypełniłeś tę lukę. Uwielbia cię, Charlie, a ostatnio zaszczepiłeś mu bakcyła pisania. Powiedział mi, że chce zostać dziennikarzem, tak jak ty planujesz po skończeniu Oksfordu.

– Zachęciłem go do tego. Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

– Nie, skądże.

Chcąc zmienić temat, Charlie zwrócił się do Milesa:

– Skoro mowa o dziennikarstwie, zauważyłem, że brytyjskie gazety są pełne artykułów na temat Edwarda i jego ukochanej. Wygląda na to, że nasz były król naprawdę popiera Hitlera i nazistów. Parę dni temu w jakiejś gazecie był cytat... powiedział komuś, że jest czystej krwi Niemcem. Wydaje mi się, że mówił to Ribbentropowi, kiedy ten był niemieckim ambasadorem w Londynie, ale...

– Też to czytałem – przerwał mu Miles. – I w rzeczywistości powiedział to nie Ribbentropowi, ale Dianie Mosley. – Miles potrząsnął głową. – Jestem pewien, że była zachwycona, słysząc te słowa, jeśli wziąć pod uwagę uwielbienie, jakie sir Oswald żywi dla Hitlera. Ona i Mosley siedzą na stałe w Berlinie, tak samo jak jej siostra Unity, która ma obsesję na punkcie Hitlera.

– To przechodzi ludzkie pojęcie, co wyrabiają te siostry Mitford! – zawołał Hugo. – Modlą się w kapliczce Führera, a Unity łąsi się do niego przez cały czas. Musi mu pochlebiać uwagę, jaką mu poświęcają niektórzy członkowie brytyjskiej arystokracji. Co za banda głupców! Nic dziwnego, że Churchill aż się gotuje z wściekłości. Ja też się wściekam, bo mu współczuję.

– Rozumiem, co masz na myśli – wtrąciła się Daphne. – Zauważyłam jednak, że wpływowe gremia uważają Hitlera za wielkiego przywódcę. To dlatego, że obawiają się komunizmu.

– Ale nasza rodzina królewska to właściwie są Niemcy, prawda, wujku Milesie? – odezwała się Alicia.

– Istotnie. Nasz były król mówił prawdę o swojej niemieckiej krwi. Nie zapominajmy, że jego prababka, królowa Wiktoria, miała wśród przodków Niemców, z dynastii hanowerskiej, i jej matka była Niemką. Wiktoria poślubiła Niemca, swojego kuzyna księcia Alberta z rodu Sachsen-Coburg-Gotha. Przez wiele lat nasza rodzina królewska nosiła to nazwisko. Król Jerzy V, ojciec Edwarda, zmienił je podczas Wielkiej Wojny. I wtedy rodzina przybrała nazwisko Windsor.

Miles odchrząknął i już miał mówić dalej, kiedy Daphne zawołała:

– Widzę, że Bruno już się tam kręci, więc chodźmy na lunch. I proszę cię, Miles, żadnych lekcji historii. Dorastałam, słuchając ich przy każdym posiłku.

Jej brat miał na tyle przyzwoitości, by się roześmiać, zaś Cecily zawołała:

– Uwielbiałam jego lekcje historii i wciąż za nimi przepadam. Miles ma fantastyczną pamięć do takich uroczych szczegółów historycznych.

Daphne, wstając, rzuciła Cecily ciepły uśmiech.

– Oczywiście, że uwielbiasz jego lekcje historii. Uwielbiasz wszystko, co robi – powiedziała kpiąco. – Wielbisz ziemię, po której stąpa.

– To prawda, i nie obchodzi mnie, co kto o tym myśli – odpaliła z uśmiechem Cecily.

– Wszyscy o tym wiemy od czasu, kiedy miałaś mniej więcej dwanaście lat – mruknął Hugo. Przechodząc obok Cecily, uściśnął jej rękę. Pochylił się do jej ucha i szepnął: – A jeśli chodzi o mnie, kocham cię za to, że tak go kochasz.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Diedre, z natury spostrzegawcza, rozwinęła jeszcze tę cechę przez lata praktyki w Ministerstwie Wojny i uważała obserwowanie ludzi za zajęcie fascynujące, nawet gdy dotyczyło to jej rodziny.

I teraz, gdy usiedli w drugim końcu loggii przy lunchu, mogła się oddać ulubionej rozrywce. Prawie się nie odzywała, pochłaniając jedzenie, ale bacznie nadstawiała ucha.

Przy pierwszym daniu, posypanej szczypiorkiem zimnej zupie z porów, rodzina rozmawiała o Wallis Simpson, amerykańskiej rozwódce, dla której Edward VIII zrzekł się tronu, by móc ją poślubić.

Diedre niespecjalnie była zainteresowana tym tematem, więc słuchała jednym uchem, myśląc jednocześnie o swoim bezpośrednim zwierzchniku, Williamie Lawsonie. Wstąpił do „firmy”, jak ją nazywał, kilka lat przed jej powrotem w 1935 roku po nagłej, tragicznej śmierci Paula. Przyjął ją życzliwie i z entuzjazmem, nie ukrywając zachwyty dla niej i jej licznych talentów. W rezultacie zapewniał jej dużą swobodę działania przez te trzy lata, kiedy ściśle ze sobą współpracowali, i z uwagą wysłuchiwał jej pomysłów.

Wiedziała, że jeśli poprosi go o kilka dodatkowych wolnych dni, on się zgodzi. Z pewnością nie miał nic przeciwko temu, żeby spędziła parę dni z rodziną. Może zadzwoni do niego później.

W chwili, kiedy przyjechała do willi, Diedre odprężyła się po raz pierwszy od kilku miesięcy. Miało to głównie związek z Daphne, która zawsze okazywała wszystkim miłość i zrozumienie, a Diedre nie była tu wyjątkiem.

Spojrzała ukradkiem na siostrę i nie mogła nie poczuć czegoś na kształt dumy. Daphne miała już czterdzieści dwa lata, ale nie wyglądała na tyle. Była wciąż tą samą największą rodzinną pięknoscią, blondynką o kremowobrzoskwiniowej cerze. Miała wprawdzie leciutką nadwagę, ale wciąż roztaczała wokół siebie aurę dobroci, szczerości i oddania; Diedre wiedziała, ile siostra poświęca dla innych. A pod powłoką kochającej matki i żony kryło się żelazne zdecydowanie, które pozwoliło Daphne zarządzać Cavendon od wyjazdu matki.

Także Hugo wspierał żonę; miał dar właściwego obchodzenia się z ludźmi, sprawiał, że czuli się akceptowani. Był również bliskim przyjacielem Paula i jego partnerem w interesach. Wiele najmiłszych wspomnień wiązało się z siostrą i szwagrem i te wspomnienia dawały Diedre poczucie ciepła, łagodząc wewnętrzny ból.

Z zadumy wyrwał ją Bruno, stawiając przed nią główne danie, i głos Hugona:

- Jak wiesz, Anna robi najlepszego morskiego okonia na świecie.
- Pamiętam, a Daphne zawsze tworzy wspaniałe jadłospisy – odparła z uśmiechem.
- Mama jest najlepsza – oświadczył Charlie. – Magiczna mama, która wszystko robi idealnie.

Hugo uśmiechnął się szeroko, a Alicia, Miles i Cecily przytaknęli. Diedre dodała:

- I niewątpliwie jest najlepszą siostrą, jaka kiedykolwiek istniała.

Daphne zarumieniła się, a w oczach zabłyśły jej łzy, ale wszyscy wiedzieli, że to łzy szczęścia.

Diedre przestała obserwować otoczenie i skupiła się na zawartości talerza. Okoń z rusztu polany był sosem cytrynowym z niewielkimi cząstkami cytryny i kaparami i podano go z młodymi ziemniakami.

– Jest przepyszny – pochwaliła i zwróciła się do Hugona: – Będziesz tu w przyszłym tygodniu czy wybierasz się do Genewy?

– Och, oczywiście że tutaj, Diedre. Żadnych interesów. Chcemy po prostu nacieszyć się jeszcze przez parę tygodni willą Fleurir, a potem wracamy do Cavendon.

– Zamierzałem w przyszłym tygodniu pojechać do Berlina – odezwał się Charlie. Spojrzał badawczo na ojca i matkę.

– Do Berlina! – zawołała Daphne, patrząc ze zdziwieniem na syna. – Po co?

– Żeby go zobaczyć. Poczuć jego nastrój. Tyle się naczytałem o tych wszystkich ludzikach paradujących w śmiesznych mundurach rodem z operetki...

– Co byłoby zabawne tylko wtedy, gdyby te ludziki, jak ich nazywasz, nie były bandą niebezpiecznych gangsterów – przerwała poważnym tonem Diedre. Spojrzała ponuro na siostrzeńca. – Nie daj się zwieść, to zbrodniarze, którzy nie cofną się przed niczym, by osiągnąć swój cel. Możesz być tego pewny, Charlie.

– Nie mam zamiaru pozwolić ci na podróż do Berlina – powiedział stanowczo Hugo. – A w ogóle, co byś przez to zyskał?

– To szczególny moment w historii – zaczął Charlie łagodnym głosem, nie chcąc rozdrażnić rodziców. – Jako raczkujący dziennikarz powinienem zobaczyć, co się tam dzieje, zrobić trochę zdjęć i pochodzić po mieście. Słyszałem, że Unter den Linden wygląda fantastycznie... nazistowskie flagi, wielkie niemieckie orły na wysokich kolumnach, świecące reflektory. Bardzo to barwne.

– Nie – powiedziała ostro Diedre. – Zniszczyli tę piękną aleję swoimi teatralnymi dodatkami. Poza tym, Charlie, nikt nie powinien jechać do Berlina w pojedynkę, a zwłaszcza dwudziestolatek.

– Niedługo skończę dwadzieścia jeden lat – wtrącił, wciąż używając łagodnego tonu.

– Pojechałabym z tobą – stwierdziła Alicia – ale w poniedziałek wracam do Cavendon. – Chcąc zakończyć sprzeczkę między bratem i rodzicami, dodała pospiesznie: – Dostałam dziś list od Feliksa, który jest w Los Angeles u Dulcie i Jamesa. On i Constance zgodzili się reprezentować mnie i zostać moimi impresariami. Wiesz, że chcę grać w filmach, a nie na scenie.

– Co? Ty masz zostać gwiazdą filmową? – zakpił Charlie. Potrząsnął głową. – Jesteś brzydkim kaczątkiem Inghamów.

– Nie, nie jest – sprzeciwiła się Cecily. – Jest, wybac mi odwołanie do mojego nazwiska, uroczym i eleganckim łabędziem.

– Tylko się drażnię ze śliczną Alicią, ciociu, i wszyscy o tym wiedzą.

– Tak, kochanie, wiemy – odezwała się Daphne. – I zrobiłeś jej piękne zdjęcia swoim kodakiem. Ale wciąż nie zgadzam się na Berlin.

Cecily spojrzała na Diedre.

– A może powinniśmy wszyscy pojechać z Charliem? – powiedziała z wahaniem. – Co o tym sądzisz, Diedre? – Czekwała na odpowiedź z wewnętrznym drżeniem; miała nadzieję, że Diedre nie będzie na nią zła.

Diedre nie odpowiedziała od razu, niezbyt zaskoczona sugestią Cecily, która zawsze mówiła to, co myślała. Jej bratowa nigdy w życiu nie okazała lęku. I prawdę mówiąc, powiedziała głośno to, co właśnie i jej przyszło do głowy. Byłby to sposób na porozmawianie osobiście z Tobym Jungiem i zaplanowanie, o ile to możliwe, ucieczki Steinbrennerów. Ale jak się do tego zabrać?

– Co ja sądzę? – odezwała się w końcu. – No cóż, uważam, że taka rodzina jak nasza będzie w Berlinie zupełnie bezpieczna. Zwłaszcza jeśli zostaniemy zaproszeni przez naszego ambasadora, sir Neville'a Hendersona, na przyjęcie w ambasadzie brytyjskiej...

– O rany, ciociu Diedre, możesz to załatwić? – wpadł jej w słowo Charlie. W jego głosie dźwięczał zachwyt.

– Ależ nie, Charlie, nie mam aż takich wpływów, ale wiem, że mój zwierzchnik słyszał o tym, że wkrótce odbędzie się w Berlinie doroczne przyjęcie dla ważnych gości. Mogę się dowiedzieć, czy to prawda.

– Hitler uwielbia brytyjską arystokrację. To powszechnie wiadomo, i owszem, razem będziemy bezpieczni – potwierdził zdecydowanie Miles. – I rozumiem, co masz na myśli, Diedre. Jako honorowi goście ambasady brytyjskiej będziemy tam mile widziani.

– Och, już jesteśmy – zawołała Daphne. – Jesteśmy klanem Inghamów. Wszyscy o nas słyszeli.

– Mamy wystarczająco jasne włosy – dodał Charlie. – I wszyscy mamy niebieskie oczy. No, prawie. Jedno z nas nie ma.

Cecily przerwała mu ze śmiechem:

– Wiem, że nie jestem niebieskooką blondynką, ale też jestem całkiem sławna. Kilka niemieckich księżniczek należy do moich klientek.

– No, widzicie, że da się to zrobić! – zawołał Charlie. – Tatusiu, jedźmy, proszę. Jestem pewien, że to będzie interesujące przeżycie.

Hugo spojrział na Daphne; wyglądała na zmartwioną.

– Zastanówmy się nad tym, Hugo – powiedziała i zwróciła się do Charliego: – Jutro ci powiemy.



– Nie wiem, czemu wciąż to robisz? – zawołała Alicia, siadając obok brata na krawędzi basenu, ulokowanego nad brzegiem jeziora, za altaną.

– Co robie? – spytał, marszcząc brwi.

– Podczas lunchu albo obiadu ogłaszasz coś naprawdę prowokacyjnego. Bogu dzięki, że nie robisz tego przy śniadaniu albo podwieczorku.

– Nie sądzę, żeby to, co powiedziałem podczas lunchu, było choć trochę prowokacyjne – zaprotestował Charlie. – Zawsze przesadzasz i się rządzisz.

– Ani jedno, ani drugie. I z pewnością zachowałeś się prowokacyjnie, bo powiedziałeś coś, co mogło zdenerwować Piękną – odpaliła, używając przezwiska, którym od dzieciństwa określali matkę.

– Powiedzenie, że wybieram się do Berlina, nie wydaje mi się niczym prowokacyjnym. Przedstawiłem jej, no, im, moje plany podróży. Myślałem, że w ten sposób wykażę się własną inicjatywą. Jako przyszły dziennikarz jestem z natury ciekawy, koncentruję się na nowinach. A z całą pewnością Niemcy są teraz najważniejszymi nowinami. Nadchodzi wyjątkowy moment w historii. Świat zmienia się z minuty na minutę.

– Nie pozwolą ci pojechać – upierała się Alicia. – Pamiętaj, że oni zawsze się ze sobą zgadzają. Rycerz i Piękna stoją ramię w ramię.

– Och, na miłość boską, wiem o tym, ale czemu tak drażysz ten temat? Nie byli wcale tacy zaniepokojeni, jak ci się wydaje.

– Owszem, byli! Wiedziałam, że zaraz się zacznie następna nieprzyjemna scena, i dlatego wyratowałam cię z opresji, zmieniając temat i mówiąc o Feliksie.

– Lubisz mówić o sobie, panno Alicio Ingham Stanton. Wciąż się puszysz swoją urodą i elegancką figurą. I swoją karierą.

– Nie, nieprawda. Ale poważnie myślę o aktorstwie i zrobieniu kariery.

– Tak jak ja, jeśli chodzi o pracę w prasie. Postanowiłem zostać korespondentem wojennym. Wojna jest nieuchronna i chcę być dokładnie w jej środku, pisać o niej.

– O mój Boże, nie mów im o tym! Piękna dostanie zawału, a Rycerz w Lśniącej Zbroi stanowczo się temu sprzeciwi. Zapomnij o Berlinie. To się nigdy nie stanie.

– Wiesz co, Panno Wszystkowiedząca, załóż się z tobą o pięć szylingów, że pojedziemy do Berlina. Ciocia Cecily podsunęła sposób na to.

– Jestem pewna, że nie masz pięciu szylingów, żeby się o nie założyć – mruknęła Alicia, patrząc z ukosa na brata.

– A właśnie że mam. A wyprawa do Berlina całą gromadą na pewno się uda. Szkoda, że nie pojedziesz. Musisz zacząć swoją błyskotliwą karierę gwiazdy filmowej. Ta da! Ta da!

– Och, przestań gadać głupoty, to irytujące. – Znów spojrzała na niego spode łba, a Charlie uśmiechnął się, objął ją i przytulił.

– Nie bądź taka... wiesz przecież, że jesteś moim najlepszym przyjacielem. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił. Dziękuję, że zapobiegłaś możliwej konfrontacji.

– Mamusia bardzo się o ciebie martwi... martwi się o wszystkie swoje dzieci, Charlie. Dlatego czasami wydaje się zbyt restrykcyjna. Posłuchaj, ona jest bardzo mądra, dlatego jej zawsze słucham. Jest wyjątkowo rozsądna. A ty lekceważysz jej życzenia i wyczyniasz głupoty.

– To nieprawda. A poza tym przypominam ci, że jestem mężczyzną i z pewnością potrafię o siebie zadbać.

– Ja też.

– Mmmmm. – Pokręcił głową. – Nie sędzę. Przykro mi to mówić, ale to jest męski świat,

Ally.

– Nie nazywaj mnie tak! Ani mamusi, ani mnie się to nie podoba.

– Nie kłóćmy się.

– Nie kłócimy się – odparła; głos jej się zmienił, mówiła łagodniejszym tonem.

– No to się sprzeczamy – zripostował Charlie.

– Ja tylko cię chronię, braciszku. Nie chcę, żebyś doznał jakiegokolwiek krzywdy, a ty bywasz czasami lekkomyślny, a nawet beztroski.

– Wiem. – Roześmiał się i ujął ją za rękę. – Przyznaję się do winy, staruszko. Postaram się poprawić – zrobię to dla ciebie, żeby cię zadowolilić.

Alicia milczała, więc dodał:

– Nie powinnaś się na mnie wściekać. Zdaje się, że przyszedł tu popływać.

– Nie, przyszedł, żeby cię zbesztać.

– Kłamczucha. – Zachichotał, patrząc jej prosto w oczy.

Alicia pochyliła się, pocałowała go w policzek i przytuliła. Matkowała mu od chwili jego urodzin. Od dziecka byli sobie wyjątkowo bliscy i prawie nierozłączni. W pewnym sensie byli bardziej bliźniętami niż ich bracia, Thomas i Andrew.

– Wygrałeś, Charlie – mruknęła po chwili Alicia. – Naprawdę przyszedł tu popływać. Ale chciałam też porozmawiać z tobą... poprosić cię, żebyś przestał wygadywać rzeczy, które niepokoją naszą matkę. Jest już wystarczająco przestraszona, choć nie chce tego po sobie pokazać. Pamiętaj, że stryj Guy zginął podczas Wielkiej Wojny.

– Obiecuję. Wiem, że czasem palnę coś bez zastanowienia. Przepraszam, poprawię się.

– Po prostu lepiej się kontroluj, to wszystko.

Zerwała się na nogi, Charlie natychmiast poszedł w jej ślady. Spojrzeli na siebie, uśmiechnęli się znacząco i równocześnie wskoczyli do basenu.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Daphne powtarzała jej, że ilekroć będzie w willi Fleurir, może korzystać z małego biura za biblioteką, i Diedre właśnie to robiła. Cała rodzina rozeszła się do swoich zajęć, a ona musiała trochę pomyśleć i zatelefonować w kilka miejsc.

Usiadła przy biurku, rozejrzała się dookoła i stwierdziła, że pokój dokładnie odzwierciedla charakter i gust Daphne. Jedwabne zasłony w morelowym odcieniu pasującym do koloru ścian harmonizowały z wygodną sofą i fotelami pokrytymi tkaniną w tym samym kolorze. Barwne obrazy na ścianach i także poduszki na sofie dodawały pokojowi życia.

Diedre pociągnęła nosem i uśmiechnęła się do siebie. Pokój był przesiąknięty zapachem ulubionych konwaliowych perfum Daphne, stworzonych specjalnie dla niej przez Cecily.

Z piersi Diedre wyrwało się westchnienie. Skupiła się na Cecily i jej sugestii dotyczącej Berlina. To mogło być sprytne rozwiązanie, Charlie by się ucieszył i, o ile Daphne i Hugo się zgodzą, pasowałaby jej podróż z rodzinną gromadką. Jednak musi powiedzieć o tym swemu przełożonemu. Nie widziała powodu, dla którego miałby mieć coś przeciwko temu; poza tym rodzinna wyprawa Inghamów stanowiłaby dla niej idealną przykrywkę. Nie miała zamiaru wspominać Willowi o możliwości wyciągnięcia Steinbrennerów, nie musiał o tym wiedzieć. Poza tym, o ile to w ogóle możliwe, nie nastąpi tak szybko.

Diedre zamówiła rozmowę międzynarodową z prywatnym numerem Lawsona. Odebrał natychmiast i wyraźnie był zadowolony, że zadzwoniła. Kiedy tylko wyjaśniła mu sprawę rodzinnej wycieczki, uznał, że powinna jechać.

– To może się okazać przydatne – powiedział. – W przyszłym tygodniu odbędzie się wielkie przyjęcie. Postaram się, żebyście dostali zaproszenia od samego szefa.

– To by było wspaniałe. – Zauważyła, jak ostrożnie się wypowiadał, mimo że rozmawiali przez bezpieczny telefon. – Pomyślałam sobie, że rzucę okiem na widoki... jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

– Twoja siostra też będzie z tego zadowolona, jeśli rozumiesz, co ja mam na myśli.

– Rozumiem. Wyprawy w pojedynkę są wykluczone.

– Zgadza się. Nie zapominaj o mnie.

– Z pewnością nie zapomnę.

Rozłączyli się. Jego ostatnie słowa oznaczały, że musi do niego dzwonić codziennie. Miała taki obowiązek, będąc za granicą.

Zamówiła następne zagraniczne połączenie – do Berlina.

– Czy mogę mówić z Tobym Jungiem?

– Przy telefonie, Daffy.

– Melduję się, tak jak prosiłeś.

– Jesteś tam gdzie wczoraj? A może zrobiłaś sobie wagar i poszłaś za głosem serca?

– Jak się domyśliłeś? – Uśmiechnęła się w duchu. Świetnie ją znał.

– Wyglądałaś na absolutnie zdecydowaną. Nikt nie mógłby cię powstrzymać.

– To prawda. – Diedre usiadła wygodnie w fotelu, patrząc na obraz przedstawiający jesienny las w Cavendon namalowany kilka lat temu przez Genevrę. Jego rdzawe i złociste kolory idealnie harmonizowały w wystroju pokoju. Wpatrując się w obraz, kontynuowała rozmowę. – Jak sądzę, nie ma żadnych postępów?

– Nic się nie zmieniło, Daffy. Wszyscy są poza miastem, na wakacjach albo pojechali do

domu. A niektórzy po prostu mają własne kłopoty.

– Więc masz mniej pomocników niż kiedyś?

– Można tak to nazwać.

– Może będę musiała zostawić tę walizkę u ciebie, Toby. Zapomnij o tym.

– To możliwe, Daffy Dilly.

– Dziękuję, że ją dla mnie przechowujesz. Jak u was pogoda?

– Potworny upał. Właściwie nie do wytrzymania.

– Nie lubię upałów – dodała Diedre. – Wychowałam się na północy.

– Nie myślisz o wycieczce w te strony?

– Istnieje taka możliwość – odparła cicho.

– O, Daffy Dilly, sprawisz mi wielką radość!

– Ja też się cieszę. I może uda mi się pozbyć walizki.

– Kiedy by to było? – spytał, pomijając milczeniem kwestię walizki.

– Jeszcze nie wiem.

– Jestem wolny jak ptak. – Urwał i po chwili mówił dalej ściszym głosem: – Jest ktoś, kto niewątpliwie mógłby dostarczyć ci walizkę. Ale musiałabyś poprosić go osobiście.

– Nie, to niemożliwe – zawołała. – Nie mogę. A właściwie nie chcę. Nie ma o tym mowy. Nie wolno mi go w to angażować.

– Rozumiem. Przyjedź, Daffy. Może nawet nieźle się zabawimy.

– Może i tak. To na razie. – Diedre odłożyła słuchawkę, odchyliła się do tyłu i zamknęła oczy. W jej głowie kłębiły się myśli i zastanawiała się, czy na pewno powinna jechać do Berlina.



Diedre siedziała w biurze przez następne dwadzieścia minut, usiłując uporządkować myśli. Skupiała się głównie na podróży do Berlina. To się uda tylko w przypadku, kiedy pojedą tam całą grupą, a to będzie spora grupa. W sumie sześć osób, bo Alicia nie pojedzie. Grupę łatwo zauważyć, i będą się rzucać w oczy. Ale są Inghamami z Cavendon, więc chroni ich narodowość i znane nazwisko.

Prawdą było to, co wcześniej powiedział Miles. Hitler ma słabość do brytyjskiej arystokracji; dwie siostry Mitford były wyraźnym tego dowodem. Diedre zdawała sobie również sprawę z tego, że wielu dobrze urodzonych przedstawicieli establishmentu i niektórzy politycy podziwiają człowieka, który z pewnością wkrótce zostanie panem środkowej Europy.

Nie rozumiała, czemu tamci nie są w stanie przejrzeć jego zamiarów, dostrzec, że jest złym człowiekiem, który chce panować nad światem. Częścią tego problemu był powszechny w tych kręgach strach przed Rosją. Uważano, że komunizm jest większym zagrożeniem od faszyzmu. Diedre westchnęła. Była zdania, że czeka ich ponura przyszłość, okropieństwa gorsze niż te podczas Wielkiej Wojny.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi i do pokoju zajrzała Daphne.

– Jesteś zajęta? Możemy chwilę porozmawiać?

– Oczywiście, Daphers.

Diedre wstała od biurka i usiadła na sofie. Daphne zajęła fotel naprzeciwko.

– Hugo i ja właśnie dyskutowaliśmy o pomysłe Charliego z tą wycieczką do Berlina. Nie chcemy, żeby jechał sam; z drugiej strony świetnie rozumiemy, dlaczego się tym interesuje. A co ty o tym myślisz?

– Zgadzam się z tobą i Hugonem, że nie powinien jechać sam – odparła Diedre. –

Uważam, że w obecnych czasach każda osoba bez towarzystwa jest w tym mieście narażona na

niebezpieczeństwo.

– Wiem, że znasz Niemcy lepiej niż którekolwiek z nas – przytaknęła Daphne. – Uczylaś się wiele lat o tym kraju i znasz niemiecki. – Daphne nagle się uśmiechnęła, po czym mówiła dalej: – Nie chcę odchodzić od tematu, ale pamiętam, jak w czternastym roku wybrałaś się w podróż z przyjaciółkami. I wróciłaś bardzo zdenerwowana, bo bałaś się, że Niemcy się zbroją.

– O rany, ależ masz dobrą pamięć. Tak, to rzeczywiście była bardzo pouczająca podróż. Wyczuwałam, że wszyscy szykują się do wojny, i miałam rację.

– A teraz znów to robią. Zaledwie dwadzieścia lat później – mruknęła z ponurą miną Daphne.

– Brytyjczycy pamiętają okropieństwa tamtej wojny, śmierć i zniszczenie, i stąd właśnie się bierze ta gadanina o ustępstwach. Ale to nie zadziała.

– Dlaczego? – Daphne pochyliła się do przodu, z uwagą wpatrując się w siostrę.

– Ponieważ Adolf Hitler pragnie wojny, choć niekoniecznie z udziałem Wielkiej Brytanii, dlatego sam zachęca Brytyjczyków do popierania polityki ustępstw.

– Rozumiem. Wracając do Charliego. Jaki jest prawdziwy powód, że nie może tam pojechać sam? Muszę podać mu jakieś przyczyny.

– Bo dzisiejszy Berlin jest najbardziej niebezpiecznym miejscem na świecie. Jest zmilitaryzowany, pełen tysięcy ludzi w mundurach... SS, SD i SA. I gestapo. Pełno jest agresji, bigoterii, antysemityzmu i chamstwa. Nie tylko ze strony niemieckich opryszków, ale i włóczęgów. Napłynęły tam setki Polaków, Czechów, Węgrów, Serbów i innych nacji i Berlin stał się kosmopolitycznym tygłem.

Diedre przerwała, pozwalając, by jej słowa dotarły do siostry. Po chwili dodała:

– Wyobraź sobie taki scenariusz. Samotny młody człowiek, w nic się niemieszający, idzie na drinka do baru albo piwiarni. Niechcący kogoś potrąca i za chwilę może zostać pobity. Ludzie są bardzo wybuchowi i nieprzewidywalni. I dlatego zagrożony jest każdy, kto jest w pojedynkę.

– Rozumiem, Diedre, dobrze to wyjaśniłaś. Hugo i ja chcemy, żeby był niezależny, żeby rozwinął skrzydła, był sobą, ale skoro to nierozsądne, żeby podróżował sam, to czy sądzisz, że dobrze będzie, jeśli pojedziemy tam całą rodziną?

– Jeśli chcecie zrobić przyjemność Charlieemu, a na to wygląda, mogę pomóc w rodzinnym wyjeździe. Rozmawiałam z kimś z mojego biura i mogę dostać wolne na przyszły tydzień. I pojedę z wami.

– To by było wspaniałe, Diedre. Szczerze mówiąc, nie sądzę, żebyśmy się tam wybrali bez ciebie.

– Załatwię wszystko. Zatrzymamy się w hotelu Adlon. Znam go, jest najlepszy. Musimy tylko zdecydować, kiedy ruszamy.

– Porozmawiam z Hugonem i ustalimy datę. Masz jakąś propozycję? – spytała Daphne.

– Rzeczywiście, mam. Powinniśmy pojechać do Berlina w najbliższy wtorek – odparła Diedre.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Diedre przejrzała się w stojącym lustrze i zaaprobowała swój wygląd. Pożyczyła od Cecily prostą szyfonową wieczorową suknię w kolorze ostróżkowego błękitu, dopasowaną w talii, z długimi rękawami i powiewną spódnicą. Założyła do niej tylko obrączkę, zegarek i kolczyki z perłami.

Jako uzupełnienie stroju przypięła na ramieniu słynną jedwabną broszkę w kształcie białej róży – znak firmowy Cecily.

Kiedy zeszła na dół, pomyślała, że jest pierwsza, ale potem rozejrzawszy się, zauważyła stojącą na brzegu jeziora Cecily.

– Hej, hej! – zawołała i dołączyła do bratowej.

– Jeszcze jeden ranny ptaszek – odezwała się Cecily, odwracając się ku niej. – Wiedziałam, że zejdiesz równocześnie ze mną.

– Aha! Jak sądzę, chcesz ze mną porozmawiać. – Diedre spojrzała na nią pytająco.

– Chciałam ci tylko podziękować, że poparłaś mój pomysł towarzyszenia Charliemu w Berlinie.

– Nie chciałam pozbawić go możliwości tej podróży, skoro tak tego chce i poważnie myśli o karierze dziennikarza. I szczerze mówiąc, będzie to dla mnie okazja, żeby osobiście porozmawiać z moim kontaktem.

– Miałaś jakieś wiadomości? – spytała przejęta Cecily. Oczy jej zabłysły.

– Tak, ale nie są dobre. Jednak on wciąż próbuje.

Cecily posmutniała.

– Według Greta innym ludziom udało się wydostać.

– Wydobyto ich na początku tego wszystkiego... kilka lat temu – wyjaśniła spokojnie Diedre. – Profesor powinien już dawno wyjechać. Z tego, co mówi mój kontakt, sprawy w Berlinie nabierają tempa. Wszystko stale się zmienia. Codziennie. – Przerwała. Nie może się zdradzić, że zbyt dużo wie.

Cecily skinęła głową i zapatrzyła się na jezioro. Serce ją bolało na myśl o Grecie.

Diedre objęła ją ramieniem.

– Myślę, że należy teraz myśleć pozytywnie. Nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć. Życie jest nieprzewidywalne.

– Dzięki za pomoc, Diedre. Doceniam ją.

– Nie wspominaj o tym Grecie, nie powinnaś czynić jej nadziei. To by było okrutne.

A kiedy będziemy w Berlinie, nie wolno ci w żadnym razie odwiedzić jej ojca. To absolutnie wykluczone. – Diedre zmrużyła oczy i spojrzała srogo na Cecily.

– Ale ona dowie się, że byłam w Berlinie, przecież nie jadę tam sama! – zawołała zaskoczona Cecily. – Zdziwi się, że go nie odwiedziłam.

– Zdaję sobie z tego sprawę. I niewątpliwie wkrótce wszyscy będą o tym wiedzieć, bo jedzie nas tam więcej. Będą o tym mówić. Ale profesor może być śledzony, podobnie jak wielu wybitnych ludzi wszelkich profesji, a zwłaszcza intelektualistów. Jeśli się do niego zbliżysz, może to zagrozić jego życiu.

– Złożyłam naszą starą przysięgę, że będę wobec ciebie lojalna. Wiesz dobrze, że wciąż jest w mocy. Żaden Swann nie złamał przysięgi danej Inghamowi – warknęła Cecily.

Diedre przytaknęła ze zrozumieniem i idąc na pewne ustępstwa, dodała łagodniejszym

tonem:

– Spytam mój kontakt, czy mógłby zorganizować, nazwijmy to, przypadkowe spotkanie z profesorem. Na tym musimy poprzestać.

– A tak z czystej ciekawości, czy twój kontakt pracuje z tobą w ministerstwie?

– Nie, i naprawdę nie chcę o nim mówić. Jestem pewna, że rozumiesz dlaczego.

Powiedzmy, że poznałam go... przypadkiem. I żadnych więcej pytań.

– Przepraszam – powiedziała Cecily. – Nie miałam racji i zrobię dokładnie to, co mówisz. Rozumiem, że sprawa jest trudna, a przy tym niebezpieczna.

– Jesteś bystra, Ceci, i ufam, że zachowasz milczenie. Pamiętasz moją dewizę?

– Nie wierz nikomu. Nie mów nikomu. Pamiętaj wszystko. Podążaj samotnie.

– I od teraz to również twoja dewiza, Cecily Swann Ingham.

– Tak.

W tym momencie zauważyły, że reszta rodziny zbiera się w loggii. Diedre wzięła Cecily pod rękę i powiedziała szeptem:

– Zrób zdziwioną minę, kiedy Daphne oznajmi, że wszyscy jedziemy z Charliem do Berlina.

– Dobrze. – Ramię w ramię ruszyły ścieżką. Cecily zdała sobie sprawę, że obie są całkiem bezsilne. Ciotka Charlotte miała rację, mówiąc kiedyś, że nikt nie panuje nad swoim życiem. Jest zupełnie odwrotnie. Życie panuje nad każdym z nas, pomyślała.



Przez całą wieczór Diedre niedużo mówiła i zachowywała kamienną twarz. Odpowiadała na każde normalne pytanie o Berlin i Trzecią Rzeszę, to wszystko. Ignorowała każde dotyczące spraw drażliwych, polityki i zbyt skomplikowane – stwierdzała po prostu, że nie ma o tym pojęcia.

Nikt z jej znajomych ani rodziny nie wiedział, że pracuje w brytyjskim wywiadzie. Nawet zmarli ukochani nigdy się o tym nie dowiedzieli. Jediną osobą, która kiedyś miała odwagę zadać jej bezpośrednie pytanie na ten temat, była cioteczna babka Gwendolyn. I nawet wtedy Diedre nie odpowiedziała jej konkretnie, dając pole do domysłów, ale nie pozwalając jej poznać prawdy. Jej maska pozostawała nienaruszona.

Gdy ktoś z przyjaciół lub rodziny dotykał tematu jej pracy, mówiła zawsze to samo: że pracuje w administracji, wykonując prace biurowe jak inne zatrudnione tam kobiety. Na tym kończyła, a nikt nie drążył tematu. I teraz też musi tak być. Obojętna mina, wymijające odpowiedzi, postawa i zachowanie wskazujące na brak wiedzy.

Później, kiedy zostanie sama w sypialni, poczyni plany odnośnie do Berlina. I pomodli się, żeby się powiodły.



Cecily spojrzała na zegarek stojący na szafce nocnej. Dawno minęła północ, a ona wciąż nie mogła zasnąć i gorączkowo rozmyślała. Wieczór był uroczy, z przepysznyim jedzeniem i świetnymi winami. Oczywiście wszyscy się bardzo ożywili, kiedy Hugo oznajmił, że będą towarzyszyć Charliemu w podróży do Berlina.

Powietrze rozbrzmiało okrzykami radości Charliego, i nawet Alicia zaczęła się głośno zastanawiać, czy nie przyłączyć się do nich, zamiast jechać w poniedziałek do Cavendon. Wieczór przebiegł bez zgrzytów i kłótni, wszystkim dopisywał humor.

Po rozmowie z Diedre Cecily zrozumiała, że sprawa profesora jest właściwie

beznadziejna. Diedre nie pozostawiła jej złudzeń w tej materii i sama była pesymistycznie nastawiona. Cecily westchnęła, myśląc o podróży, która nie miała już sensu.

Miles dotknął jej ramienia; zorientowała się, że też nie śpi.

– Prawie słyszę, jak obracają ci się kółka w mózgu – powiedział cicho. – Co się stało, kochanie?

– Nie wiem, jestem po prostu trochę niespokojna. Może to za sprawą wina – wiesz, że często nie mogę po nim zasnąć. Jakoś napędza moją wyobraźnię...

– Mam tak samo – odparł. – Też jestem niespokojny. Wiesz co, zejdźmy do kuchni i poszukajmy czegoś...

– Chyba nie jesteś głodny po takiej fantastycznej kolacji – przerwała mu zdumiona.

– Zamierzałem powiedzieć, żebyśmy poszukali bananów – powiedział ze śmiechem Miles. – Nie pamiętasz, że kiedy byliśmy dziećmi, ciocia Charlotte mówiła nam, że kiedy nie możemy zasnąć, mamy zjeść banana. Twierdziła, że to pomaga, i rzeczywiście tak było.

– Oczywiście, no to chodźmy na poszukiwania. – Cecily wstała, włożyła szlafrok i kapcie, Miles poszedł w jej ślady.

Kilka chwil później oboje byli już w lśniącej kuchni, dokładnie wysprzątanej przez Annę i Brunona. Na blacie stała miska z owocami; Miles porwał dwa banany, chwycił Cecily za rękę i wprowadził ją na dwór.

– Noc jest taka piękna, siądźmy nad wodą – mruknął, zmierzając w stronę jeziora.

Niebo było granatowe, ale bez chmur i w czystym powietrzu błyszcząły tysiące gwiazd. Na tle nieba widniały poszarpane szczyty gór, ich białe wierzchołki lśniły w świetle księżyca. Nieruchome wody jeziora wyglądały jak tafła posrebrzanego szkła.

Przy brzegu stała niska ławka; Cecily i Miles usiedli na niej, podziwiając otaczający ich widok.

– Spójrz na te góry pokryte śniegiem i niebo mieniące się gwiazdami... jakże tu pięknie, Ceci.

– Tak, taki spokój. – Potrząsnęła głową. – A niedaleko stąd panuje szaleństwo i za chwilę może wybuchnąć wojna. Ziemia, na której żyjemy, jest oszałamiająco piękna, a jednak są tacy, którzy chcą ją zniszczyć.

Cecily zadrżała. Miles ją objął.

– Wiem dobrze, co masz na myśli. Tu jest wyjątkowy spokój i to on przez te wszystkie trudne lata podtrzymywał na duchu Hugona. W każdym razie ja tak uważam. – Miles zamilkł, spojrzał na nią i odwrócił ku sobie jej twarz. – Nie chcesz jechać do Berlina?

– I tak, i nie – odparła zgodnie z prawdą. – Chcę zobaczyć, co się dzieje, a jednocześnie nie chcę tego widzieć, chyba dlatego, że boję się tych okropności.

– Nic nam się nie stanie, Ceci. Jako słynna angielska rodzina będziemy tam zupełnie bezpieczni – zapewnił ją Miles, przyciągając ją do siebie.

– Tak, wiem – mruknęła.

– Czy Diedre udało się zrobić cokolwiek, żeby pomóc ojcu Grety? – spytał nagle.

– Nie sądzę – odparła cicho. Poczowała nagły niepokój. Musi teraz bardzo uważać na to, co mówi. Nie może zdradzić Diedre.

– Myślałem, że ma tam jakieś kontakty? – zdziwił się Miles.

– Z tego, co się orientuję, to... stary przyjaciel – zełgała na poczekaniu Cecily. – Powiedziała, że ta osoba nie była w stanie pomóc w zorganizowaniu dokumentów podróży. Wygląda na to, że są niedostępne.

– Profesor, jak wielu innych Żydów, uważał, że są Niemcami, i dlatego nic im nie grozi. – Miles pokiwał głową. – Srodze się mylił. Wręcz tragicznie.

Cecily milczała.

– Czy Diedre mówiła ci coś na temat odwiedzin u rodziny Grety? – spytał po chwili namysłu Miles.

– Niezupełnie. Zauważyła jedynie, że intelektualiści są pod obserwacją. Powiedziała, że czytała o tym w jakiejś brytyjskiej gazecie.

– Też to czytałem. Gestapo to zhora... robią naloty na zupełnie niewinnych ludzi. – Miles zamilkł a po chwili dodał: – Może będzie mądrzej nie odwiedzać profesora, żeby nie ściągnąć na niego uwagi.

– Masz rację. Może zrobimy mu przysługę, trzymając się od niego z daleka. – Zawahała się, pamiętając, że musi być ostrożna. – Sugerujesz, że sławni Inghamowie mogą być inwigilowani?

– To bardzo prawdopodobne, kochanie. I co z tego? Będziemy tylko, jak by to powiedzieć, zwykłymi turystami. Swoją drogą, Ceci, zawsze mnie interesowała pozycja Diedre w Ministerstwie Wojny. Nigdy nikomu o niej nie mówiła; tylko tyle, że wykonuje prace biurowe. Jak myślisz, czy to prawda? A może uważasz, że moja siostra pracuje w wywiadzie?

– Jestem pewna, że pracuje w administracji. Spójrzmy prawdzie w oczy, Miles: gdyby Diedre rzeczywiście pracowała w wywiadzie, miałaby sposoby i środki, żeby pomóc ojcu Grety.

– Może tak, może i nie. Ale skłonny jestem zgodzić się z tobą. Ona nie należy do tych, którzy bawią się w historie typu płaszczka i szpady. Jest na to zbyt stateczna.

– Zgadza się – odparła stanowczo Cecily. Poczowała ulgę, że udało się jej zmylić Milesa.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Pierwszego ranka w Berlinie Daphne, Diedre i Cecily spotkały się na śniadaniu w jadalni hotelu Adlon, w którym wszyscy zamieszkali. Hugo i Miles wzięli wcześniej Charliego na zwiedzanie miasta i zamierzali wrócić dopiero późnym popołudniem.

– Bardzo się cieszę, że nie musiałam iść – mruknęła Daphne, patrząc na siostrę i na Cecily. – Przede wszystkim nie chciałam wstawać o świcie, a po drugie nie mam zbytnej ochoty oglądać tego miasta, zwłaszcza skoro płacze się tu pod nogami tyle mundurów.

– Pod nogami, to ci dopiero! – powiedziała ze śmiechem Diedre – są dosłownie wszędzie.

– Wychodziłaś już? – spytała Cecily. Z nieukrywaną ciekawością zerknęła na Diedre.

– Nie, ale wczoraj wieczorem, kiedy wyszliśmy na spacer po obiedzie, mnóstwo SA-manów tłoczyło się wśród nas, zwykłych przechodniów. Wszyscy wyglądali mi na brutali.

– A mnie wczoraj rzuciło się w oczy, jak wiele eleganckich kobiet jadło tu obiad.

Niektóre były wyjątkowo szykowne, doskonale ubrane – stwierdziła Cecily. – Zwracając się do Daphne, dodała: – Chciałabym później poszperać w paru dobrych sklepach. Masz ochotę pójść ze mną?

– Bardzo, ale chciałabym też wybrać się do Tiergarten – rano albo po południu, jak wolisz. Hugo mówił mi, że to naprawdę piękne miejsce, podobne do angielskiego parku. Kilkaset lat temu to były prywatne tereny łowieckie książąt brandenburskich.

– Więc chodźmy tam – zgodziła się Cecily.

– Będziemy rade, jeśli wybierzesz się z nami, Diedre – powiedziała Daphne. – Chyba że masz inne plany.

– Rzeczywiście mam. Przede wszystkim muszę wpaść z grzecznościową wizytą do ambasady brytyjskiej.

– To dołącz do nas na lunch – zaproponowała Daphne.

– Nie mogę, ale dziękuję za zaproszenie. Mój stary przyjaciel tam pracuje i umówiliśmy się już na lunch. No i muszę się jeszcze zobaczyć z jednym z attaché w sprawie jutrzejszego przyjęcia. Wiem, że jesteśmy na liście.

– Cieszę się, że nas zaproszono – stwierdziła Cecily. – Bardzo lubię gapić się na kobiety i ich stroje.

– Wygląda na to, że obowiązują stroje wieczorowe – powiedziała Diedre – więc dobrze, że kazałyście zapakować je dla naszych panów.

– A w co my się mamy ubrać? – spytała, unosząc brwi, Daphne. – Sądzę, że powinnyśmy się wystroić.

– No jasne. W końcu jesteśmy sławnymi Inghamami. – Diedre zachichotała. – Jeśli chodzi o ciebie, mogłabyś się ubrać w stary worek i wciąż pięknie wyglądać. Bez wątpienia będziesz jutro królową balu.

– Nie jestem tego taka pewna, ale dziękuję za komplement. Wzięłam parę letnich wieczorowych sukien.

– Muszę iść – powiedziała Diedre i wstała od stołu. – Mam nadzieję, że wrócę na czwartą. Zjemy razem podwieczorek?

– To świetny pomysł – odparła Cecily. – Miłego dnia.

Diedre uśmiechnęła się i pospiesznie wyszła z restauracji.

Daphne posmarowała masłem grzanekę, spojrzała na Cecily i odezwała się:

– Zastanawiałam się, czy Charlotte mówiła ci coś o tatusiu, mam na myśli stan jego zdrowia.

Pytanie zaskoczyło Cecily. Zmarszczyła brwi.

– Nie, nic nie mówiła. Ale czemu pytasz? Sądzisz, że twój ojciec może być chory?

– Niezupełnie. Kiedy wyjeżdżaliśmy, bardzo dobrze się czuł. Ale minęło już kilka tygodni. Chodzi mi o to, co Alicia mi powiedziała w niedzielę... Naprawdę chciała pojechać z nami do Berlina; myślę, że dlatego, iż Charlie przedstawił to jako coś ekscytującego. A ci dwoje są nierozłączni. Zgodziłam się, ale wtedy powiedziała nagle, że nie chce zawieść dziadka. Potem dodała, że bardzo chciał, żeby wróciła do Cavendon, a ona, ze względu na jego wiek, uważa, że powinna być przy nim.

– Nie wydaje mi się, żeby to, co powiedziała, miało coś wspólnego z jego zdrowiem – pocieszyła ją Cecily. – Poza tym, gdyby hrabia źle się czuł, Miles coś by o tym wiedział. – Cecily przerwała i upiła łyk herbaty. – Twój ojciec zawsze uwielbiał Alicię; w końcu to jego pierwsza wnuczka. Miał bzika na jej punkcie, kiedy była malutka, i do dziś są sobie bliscy. Jestem pewna, że za nią tęskni. Alicia wyraźnie to rozumie i chce po prostu dotrzymać obietnicy.

Daphne skinęła głową, a na jej twarzy odmalowała się ulga.

– Z pewnością masz rację. Jestem po prostu głupia. – Uśmiechnęła się. – Starego człowieka i młodą dziewczynę łączy wyjątkowa więź. Czuję to w głębi serca.

– Alicia jest przemiała, bardzo się o wszystkich troszczy – zauważyła Cecily. – Wiesz, że moja matka za nią przepada.

– A ja uwielbiam panią Alice. – Na twarzy Daphne zagościł przelotny uśmiech. Zapatrzyła się w przestrzeń, powracając do przeszłości. Po dłuższej chwili dodała: – Twoja matka uratowała mi życie i zdrowie psychiczne, kiedy miałam siedemnaście lat... zresztą ty wiesz o tym wszystkim.

– Istotnie. – Cecily nie ciągnęła tematu, myśląc o tamtym okropnym lecie, kiedy Daphne została brutalnie zgwałcona. Wiedzieli o tym wyłącznie Swannowie i rodzice Daphne.

– Od tego czasu straszliwie boję się przemocy – powiedziała Daphne, jakby czytając w jej myślach. – Sądzę, że dlatego nie czuję się dobrze tu, w Berlinie. Wyczuwam zagrożenie i obawiam się wybuchu. Dlatego cieszę się, że zabawimy tu zaledwie parę dni.

– Na ulicach rzeczywiście da się wyczuć napięcie. Dokładnie wiem, o co ci chodzi, Daphne. W powietrzu wisi strach. Ale posłuchaj, w niedzielę będziemy z powrotem w Zurychu, a zresztą jesteśmy tu całkiem bezpieczni.

– Wiem, Hugo zapewnił mnie o tym.

W milczeniu dokończyły śniadanie. Każda snuła własne rozważania. Cecily skupiła się na teściu; zastanawiała się, czy Alicia zauważyła coś, co i jej wpadło ostatnio w oko. Hrabia nie wydawał się zbyt silny, i niedawno nawet zadała sobie pytanie, czy nie szwankuje mu zdrowie. Nie mówiła o tym Milesowi ani nikomu innemu, ale Charles nie był już taki jak dawniej. Dopiero teraz znalazła określenie dla jego stanu. Stracił moc ducha; zasmuciło ją to. Postanowiła zachować to spostrzeżenie dla siebie. Na razie nikt nie musi o tym wiedzieć.



Diedre wyszła z hotelu Adlon i skręciła z Unter den Linden w prawo, w Wilhelmstrasse, przy której mieściła się ambasada brytyjska. Myślała o Tonym Jenkinsie, z którym miała się za chwilę spotkać. Co za ulga, że będzie mogła porozmawiać z nim twarzą w twarz, używając zwykłego języka, a nie szyfrem przez telefon. Była całkiem pewna, że nawet w takich warunkach będzie nazywał ją Daffy Dilly, ale postanowiła nie używać imienia Toby.

Tu, w ambasadzie, był attaché Tonym Jenkinsem. Naprawdę nie pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, ale z nią, w wywiadzie brytyjskim, choć nie wiedział o tym żaden z jego kolegów. Zdecydowany, opanowany, obdarzony wrodzonym wdziękiem, z wielkim powodzeniem odgrywał swoją rolę. Ani przez chwilę nie sprawiał wrażenia agenta.

Diedre przystanęła przed numerem 70 i spojrzała w górę, na flagę Wielkiej Brytanii łopoczącą w lekkim wiatyku na maszcie przed olbrzymimi drzwiami ambasady. Mieszanka czerwieni, bieli i błękitu spowodowała, że poczuła przypływ patriotyzmu. W jej mniemaniu ta flaga reprezentowała nie tylko jej kraj, ale demokrację, sprawiedliwość i wolność.

Spoglądając w wylot Wilhelmstrasse, zobaczyła swastykę na niemieckiej fladze powiewającej kilka domów dalej na Kancelarii Rzeszy. W tym budynku siedział Hitler i jego pachołkowie, banda gangsterów tworzących rząd niemiecki, knując plany podboju środkowej Europy. Hitlerowskie niszczenie demokracji budziło w niej wstręt; cóż to za ironia losu, że te dwa budynki stoją na tej samej ulicy!

Diedre szybko weszła po schodach do ambasady; głowę miała wysoko uniesioną na znak dumy. Była Angielką, i to taką, która jest zdecydowana bronić wszystkich wartości swojego kraju.

Podaała nazwisko młodej kobiecie siedzącej za biurkiem w recepcji i po chwili zobaczyła, że szybkim krokiem zbliża się do niej Tony Jenkins. Uśmiechał się radośnie; wyraźnie ucieszony jej widokiem. Uścisnęli sobie dłonie.

– Dzień dobry, lady Diedre, witam ponownie.

– Miło mi znów pana odwiedzić, Tony – odparła i pozwoliła się poprowadzić krótkim korytarzykiem do jego biura.

Gdy tylko znaleźli się w środku, Tony obdarzył ją niedźwiedzim uściskiem. Zrewanżowała mu się tym samym, a potem rozdzielili się i uśmiechnęli do siebie.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak się cieszę, że cię widzę – powiedział.

– Wiem, co masz na myśli.

– Usiądźmy na chwilę na sofie, a potem chyba pójdziemy na spacer. – Mówiąc to, rzucił jej wymowne spojrzenie. Diedre skinęła głową.

– Myślę, że to dobry pomysł. Po co siedzieć w murach, kiedy mamy taki piękny dzień? – Przyjrzała się bacznie sufitowi i ścianom, spojrzała na Tony'ego i spytała bezgłośnie: – Czyżbyś miał tu podsłuch?

– Lepiej wyjdźmy, zanim ktoś nam przeszkodzi – odparł, potrząsając głową. – Ktoś może tu wpaść.

– Rozumiem. A co z sir Neville'em? Powinam złożyć wyrazy uszanowania ambasadorowi.

– Prosił mnie, żebym wyjaśnił, że chwilowo jest nieosiągalny. Ale kazał cię powitać i cieszy się, że jutro wieczorem spotka się z tobą i twoją rodziną.

Tony wstał, podszedł do biurka i wziął do ręki parę kopert.

– To wasze zaproszenia na przyjęcie, Diedre. Zastanawiałem się, czy nie wysłać ich przez posłańca do Adlonu, ale potem postanowiłem wręczyć je tobie.

– Dziękuję. – Jedna była zaadresowana do niej, druga do Cecyli i Milesa, a trzecia do Daphne, Hugona i Charliego. – Wszyscy chętnie przyjdziemy. – Otworzyła torebkę, włożyła do niej koperty i wstała. – Na co jeszcze czekamy? Chodźmy.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Wysiedli z taksówki na Tiergartenstrasse. Tony zapłacił kierowcy i weszli do Tiergarten. Diedre dobrze znała ten park, spacerowała po nim dawniej, a teraz było to jedno z nielicznych miejsc w Berlinie, gdzie jeszcze panował spokój.

Był naprawdę piękny, urządzony na wzór tradycyjnego angielskiego parku, z wielkimi połaciami zielonych trawników, i pełen lip, kasztanowców i wierzb płaczących. Dla dopełnienia wrażeń w powietrzu unosiła się woń kwiatów rabatowych i obsypanych kwieciami krzewów.

Tony i Diedre skierowali się ku ustronnemu miejscu w pobliżu jednego ze sztucznych stawów, gdzie stała ogrodowa ławka z kutego żelaza.

– Nie mówiłeś dużo w taksówce, Tony, więc porozmawiajmy teraz – powiedziała Diedre, kiedy już usiedli. – Trudno się rozmawia szyfrem.

– Ale bezpiecznie – odpowiedział z uśmiechem. – Moje biuro nie jest na podsłuchu, wciąż to sprawdzam. Najprościej rzecz ujmując, nie chciałem zostawać w ambasadzie, ponieważ wiedziałem, że będą nam przeszkadzać. Ludzie wciąż wchodzą i wychodzą. Dlatego zabrałem cię tutaj.

– To miłe miejsce – stwierdziła Diedre. – Moja siostra Daphne też chce się tu wybrać. Ale zupełnie nie spodobał jej się Berlin. Mam wrażenie, że ona wyczuwa wszechobecny lęk.

– Większość ludzi go czuje, Daffy Dilly.

– Wiedziałaś, że nie oprzesz się przed nazwaniem mnie dziś tym imieniem. – Roześmiała się. – Ale nie rób tego więcej. Zrozumiano?

– Tak jest. – Zawtórował jej śmiechem, a potem oznajmił: – Możliwe, że będę miał kogoś, kto mógłby dostarczyć ci walizkę.

Diedre wyprostowała się i uważnie mu się przyjrzała.

– Sądziłam, że wszystkie twoje kontakty zniknęły.

– Owszem. Ten, jak by to powiedzieć, całkiem niespodziewanie sam wpadł mi w ręce.

– Kim on jest?

– To ona.

– Powiedz mi coś o niej.

– Jest utytułowana, dobrze znana w Berlinie, mile widziana w każdym towarzystwie, młoda, szybka i mądra. I zupełnym przypadkiem dowiedziałem się, że ma związki z jednym z podziemnych ruchów, no wiesz, tych grup antynazistowskich, które pomagają ludziom wydostać się z Niemiec.

– Czy już jej coś wspominałeś?

– Niezupełnie. Poznasz ją jutro. Wstawiłem ją na listę zaproszonych na przyjęcie i będzie na nim. Poznasz też kilkoro jej przyjaciół – jak podejrzewam, należących do tej samej grupy – aha, i uroczą Angielkę, która wyszła za niemieckiego księcia. Skoro o tym mowa, mogłaś o niej słyszeć. Wydaje mi się, że jej rodzina pochodzi z Yorkshire.

Diedre zmarszczyła brwi i skupiła się. Natychmiast sobie przypomniała.

– Czy nazywa się Arabella von Wittingen?

– Tak, jest żoną księcia Rudolfa Kurta von Wittingen.

– Jej panięskie nazwisko brzmi lady Arabella Cunningham. Jej brat to hrabia Langley; wciąż mieszka w Langley Castle na północy Yorkshire. Daphne zna ją z czasów, kiedy były dziewczynkami. Jak to miło, Daphne pewnie z przyjemnością z nią pogawędzi.

– Skoro jesteśmy teraz w bezpiecznym miejscu, opowiedz mi o ludziach, których chcesz wydstać – powiedział Tony. – Jak świetnie się orientujesz, nic o nich nie wiem. Trudno było mówić o tym przez telefon.

– Już ci mówię. Ale jeszcze jedno: jesteś pewien, że twój domowy telefon jest bezpieczny? Że nikt go nie podsłuchuje?

– Zupełnie bezpieczny. Mam sposoby i środki, żeby to sprawdzić. Znam kogoś, kto to potrafi. No więc o ilu wizach wyjazdowych mówimy? Nie wyjaśniłaś tego dokładnie.

– O czterech.

– To zbyt wiele, Diedre. Ostatnio wzmogli kontrole i ludzie się boją! – zawołał Tony. Już się nie uśmiechał. – Sądzą, że mogą zostać aresztowani.

– Rozumiem. Moja bratowa, Cecily Swann, ma osobistą asystentkę nazwiskiem Greta Chalmers, i to jej rodzina tu ugrzęzła. Cecily próbuje pomóc Grecie.

– Jak się nazywają? – spytał z troską w głosie Tony.

– Steinbrenner. Ojciec Grety jest profesorem filozofii i...

– Profesor Helmut Steinbrenner, słynny ekspert od Platona? – przerwał jej Tony. – Mój Boże, co za dziwny zbieg okoliczności. Już trzeci raz w ciągu kilku dni słyszę to nazwisko. To o niego chodzi, prawda?

– Tak sądzę. Z pewnością jest autorytetem, jeśli chodzi o Platona. A dlaczego to nazwisko się pojawiło? To nieco niepokojące.

– Nie, Diedre. Mamy tu jeszcze jednego ważnego gościa z Londynu, sir Anthony'ego Parry'ego. Jest pisarzem, dziennikarzem i radiowcem, a także profesorem w Cambridge. Bardzo znane nazwisko w sferach akademickich.

– Wiem, czytałam jego felietony w „Daily Telegraph” – powiedziała Diedre. – To on wspomniał profesora Steinbrennera?

– Tak, na początku tygodnia spytał, czy mógłbym wyświadczyć mu przysługę i zaprosić profesora na jutrzejsze przyjęcie. Są starymi znajomymi. Wpisałem go na listę gości, a potem ktoś z tutejszego grona dziennikarskiego pytał mnie o niego...

– Czy profesor Steinbrenner przyjął zaproszenie? – przerwała mu Diedre.

– Muszę to sprawdzić. Nie przywiązywałem do tego wagi, była to po prostu grzeczność w stosunku do sir Anthony'ego.

– Orientujesz się, czemu ten dziennikarz pytał cię o profesora? – spytała zamyślona Diedre.

– Nie, ale to życzliwy facet, jest mi coś winien, więc mogę się bez trudu dowiedzieć. Ale wróćmy do najważniejszej sprawy – wiz wyjazdowych. Nie przesadzałem, mówiąc, że źródło wyszło. Mogłabyś pójść do Walecznego...

– Nie pójdę do niego! Nawet o nim nie wspominaj! – zawołała ostro Diedre, wpadając mu w słowo. Była wściekła.

– No dobra, już nie będę. Jest *verboten*.

Diedre odetchnęła głęboko i potrząsnęła głową.

– Przepraszam, Tony. Szczerze. Nie chciałam się na ciebie wydzierać. Idąc dalej, obawiam się, że mamy jeszcze jeden problem.

– Jaki? – Zerknął na nią, w jego szarych oczach błysnęła niepokój.

– Ich paszporty mają stempel „J” – odparła Diedre.

– O Boże, tylko nie to! Nie mogę zorganizować nowych paszportów. Już nie. – Tony osunął się na ławkę; wyglądał na pokonanego.

Diedre znów nabrała powietrza i spytała:

– Jak wygląda najgorszy scenariusz? Możesz dostać choć jedną wizę wyjazdową?

– Prawdopodobnie, o ile zadziała mój nowy kontakt i pomoże mi w tej sprawie.
– Profesor Steinbrenner ma dwoje dzieci. Jestem pewna, że będzie chciał najpierw wyprowadzić któreś z nich.

Tony zamknął oczy i westchnął głęboko. Wyprostował się i powiedział:

– Dziecko. Jak mamy sobie z tym poradzić, Diedre? Dzieci nie mogą podróżować same. Po pierwsze, to niebezpieczne. Dziecko jest z wielu względów bardzo łatwym celem; rozumiesz, o co mi chodzi?

– Owszem. Celem dla wszystkich. Ale mówiąc dziecko, nie miałam na myśli małego dziecka. Sądząc z tego, co mi powiedziała Cecily, Elise, młodsza córka profesora, ma mniej więcej szesnaście czy siedemnaście lat.

– To lepiej, łatwiej, ale wciąż ciężko. Młoda kobieta podróżująca samotnie pociągiem. Teraz roi się w nich od wojska. Oddziałów jadących na urlop albo na inne placówki. Właściwie kobieta w każdym wieku jest narażona na niebezpieczeństwo.

– Oczywiście masz rację. Posłuchaj, dobrze przemyślałam sprawę w Zurychu i opracowałam plan bazujący na założeniu, że w najlepszym przypadku uda ci się załatwić jedną wizę wyjazdową. I...

– Ciągle mnie czymś zaskakujesz, Daffy Dilly. Chyba cię nie doceniałem.

– Zgadza się, Toby Jung. – Roześmiała się w odpowiedzi. – Sądzę, że to może zadziałać. Mam przyjaciela w amerykańskim wywiadzie. Jego dawny współlokator z college'u jest impresariem. Często bywa w Berlinie, z wizytą u Filharmoników Berlińskich. Wyświadczy przysługę staremu kumplowi. Załaduję go do pociągu z Berlina razem z dziewczyną, i on się nią zaopiekuje.

– A co, jeśli coś pójdzie nie tak w granicznym miasteczku przed wjazdem do Belgii i dalej do Francji? – spytał Tony. – Cywil nie będzie wiedział, co ma począć.

– Odbyłam taką podróż i wiem, że granica jest silnie strzeżona. Pasażerowie muszą wysiąść z pociągu, pokazać paszporty i wize wyjazdowe czy jakieś inne dokumenty podróżne, a straż nawet rewiduje bagaże. Ale nieczęsto jest tak źle. Będziesz musiał pouczyć tego człowieka – eskortę – że jeśli zobaczy coś niepokojącego albo wyczuje, że ktoś ich o coś podejrzewa, ma po prostu wysiąść z dziewczyną z pociągu i pójść do miasteczka Aachen. Stamtąd może się z tobą skontaktować.

– Rozumiem, a ja będę musiał przejąć pałeczkę... – Nie dokończył zdania. Nie mieli w tej chwili bezpiecznego domu w Aachen.

– Nie będzie tak źle – pocieszyła go Diedre.

– A co z paszportem dziewczyny z wbitym „J”? – spytał nagle Tony.

– Jeśli będzie miała bilet powrotny do Berlina, nie powinna być podejrzana. Jedzie na wakacje do Francji i wraca za dwa tygodnie.

– Ale jedzie z mężczyzną, prawda? – Tony potrząsnął głową. – Niektórym może się to wydać dziwne, zwłaszcza jeśli on jest dużo starszy.

– No dobra. Alternatywą jest posadzić go w pociągu oddzielnie, ale w tym samym wagonie. Powie się dziewczynie, że on tam jest, by mieć na nią oko, i nie stanowi zagrożenia. Ale mają się zachowywać, jakby się nie znali.

Tony energicznie przytaknął.

– Tak będzie o wiele lepiej. Myślę, że może się udać. A skąd wiesz, że ten gość to zrobi?

– Nie wiem. Ale to dobry plan i może się powieść – zapewniła Diedre.

– Co się stanie, kiedy dziewczyna dotrze do Paryża?

– On zaprowadzi ją do ambasady brytyjskiej, gdzie dostanie wizę wyjazdową do Wielkiej Brytanii. Będzie już na nią czekać. A potem oboje wsiądą do pociągu do Londynu, a ja ją tam

odbiorę.

– Sądzisz, że Niemcy pochodzenia żydowskiego z „J” wbitym w paszport mogą tak sobie jeździć na urlop? – Tony wyduł wargi. – Zastanawiam się, czy straży granicznej nie wyda się to dziwne. A w pociągach często są gestapowcy.

– Ale „J” oznacza tylko, że są Żydami. Straż nie ma za zadanie uniemożliwienia im podróży. No, przecież mają paszporty, nikt im ich nie odebrał.

– Zgadza się, rozumiem, o co ci chodzi. Więc ostemplowany paszport nie stanowi głównej przeszkody. Jednak sprawdzę, czy nie mógłbym zdobyć nowego. Ale to nie będzie łatwe, a za to dosyć kosztowne.

– Dzięki. Pieniądze nie mają znaczenia, nieważne, ile trzeba będzie zapłacić.

– A co, jeśli uda mi się dostać dwie wize wyjazdowe? Czy to znaczy, że wyjechałaby pani Steinbrenner? To by bardzo ułatwiło sprawę, nie sądzisz? – Tony przechylił głowę i spojrział z ciekawością na szefową.

– Istotnie, ale wydaje mi się, że profesor będzie chciał, żeby wyjechał jego syn, w każdym razie tak mi powiedziała Cecily. Trzeba będzie o tym zdecydować w ostatniej chwili.

Tony skinął głową, a potem odezwał się z powagą:

– Wracając do kłopotów: założmy, że amerykański dżentelmen i dziewczyna zwieją z pociągu w Aachen. I dokąd pójdą? Będą zagubieni. Nie mamy już tam bezpiecznego domu.

– A właśnie że mamy – odparła Diedre. – W poniedziałek dostałam potwierdzenie, że jest do naszej dyspozycji. Później podam ci szczegóły. A teraz powiedz, jak się nazywa osoba, z którą się jutro spotkam, ta, która może pomoże nam z walizką?

– Powiem ci przy lunchu – odparł.



Restauracja mieściła się w wąskiej alejce wśród płataniny bocznych uliczek niemodnej dzielnicy Berlina, ale podawano tam najlepsze domowe potrawy kuchni bawarskiej i od kilku lat stanowiła ulubioną knajpę Tony’ego. Był tu stałym gościem, a jego wrodzony wdzięk, dobre manery i szczodre napiwki sprawiały, że właścicielka, Frau Weber, i kelnerzy traktowali go po królewsku.

Zawsze zajmował ten sam stolik w rogu blisko wejścia, ze ścianą za plecami, widział więc dobrze wszystkich wchodzących i wychodzących, i w razie potrzeby mógł natychmiast wyjść.

Diedre również uwielbiała tę restaurację, więc Tony zabierał ją tam, ilekroć była w Berlinie. I do niej właśnie zmierzali, gdy opuścili Tiergarten i złapali taksówkę na Tiergartenstrasse.

Frau Weber przywitała ich ciepło i skierowała do stolika, przy którym zwykle siadał Tony. Po chwili postawiono przed nimi wysokie szklanki z lemoniadą i podano menu. Tony pociągnął parę łyków i pochylił się ku Diedre:

– Zanim zamówimy, opowiem ci o moim nowym kontakcie.

– Jazda, mów. Chcę o niej wszystko wiedzieć.

– Nie wiem zbyt dużo, ale dosyć, żebyś się zorientowała, skąd się wzięła, i poznała koleje jej burzliwego życia.

– Burzliwego? – Diedre uniosła pytająco brwi. Zaniepokoiło ją to słowo.

– Obawiam się, że tak, choć wydaje się opanowana i spokojna. Wygląda to tak: nazywa się Irina Trubecka. Jej ojciec, książę Igor Trubecki, został zamordowany w roku tysiąc dziewięćset siedemnastym, kiedy Irina miała około sześciu lat, a jej matka, księżna Natalia,

trochę ponad dwadzieścia. Uciekły z Rosji po śmierci księcia i upadku imperium Romanowów. Swoją drogą mam wrażenie, że jej matka jest kuzynką nieżyjącego cara. – Tony przerwał i łyknął lemoniady.

– I wtedy przyjechały do Berlina? – spytała Diedre.

– Nie, przynajmniej nie od razu. Były w różnych krajach, spędziły sporo czasu w Polsce, gdzie miały przyjaciół wśród tamtejszej arystokracji. Dziesięć lat temu przybyły do Berlina i osiadły tu, wyraźnie zmęczone losem uchodźców i wędrówką z kraju do kraju.

– Czy jej matka pracowała? A Irina? Wiesz, z czego żyją?

– Nie jestem pewien. – Tony pokręcił głową. – Nie wydaje mi się, żeby księżna Natalia albo Irina pracowały. Osoba, która przedstawiła mnie Irinie, dała mi do zrozumienia, że gdy uciekały, udało im się zabrać mnóstwo biżuterii i trochę pieniędzy, a jacyś krewni Romanowów, którym również udało się uciec, wspierali je finansowo.

– To dotyczy wielu Rosjan, którzy uciekli przed rewolucją. Ale muszę przyznać, że ci, których poznałam, okazali się bardzo wytrwali i uczciwi.

– Dobrze powiedziane. Sądzę, że księżniczka Irina i jej matka musiały rzeczywiście wykazać się przez te wszystkie lata wielką odpornością. Swoją drogą jest i dobra wiadomość: księżna Natalia niedawno poślubiła pruskiego barona, wdowca, i obie w końcu mają prawdziwy dom. Baron ma rezydencję przy Lützowufer i wygląda na to, że są udanym małżeństwem.

– Szczęśliwe zakończenia to miód na serce – mruknęła cicho Diedre. – A co sprawia, że uważasz, iż księżniczka Irina może nam pomóc w uzyskaniu wizy albo wiz wyjazdowych?

– Jestem pewien, Diedre, że ze względu na obecną sytuację to będzie jedna wiza. – Tony odchylił się do tyłu i rozejrzał po restauracji. Wreszcie odezwał się półgłosem: – Mój bliski kolega po fachu, pracujący w innej ambasadzie w Berlinie, przekazał mi poufną informację, że Irina często współpracuje z podziemnymi grupami antyfaszystowskimi, które pomagają wyjechać z Niemiec Żydom i katolikom. Kazał mi przysiąc, że zachowam to w sekrecie.

– Świetnie to rozumiem. Twoja tajemnica jest moją tajemnicą. Ile ona ma lat?

– Wyszło mi, że pod trzydziestkę. Prawdopodobnie urodziła się parę lat przed wojną. Jest atrakcyjna, dość ładna i pełna charyzmy. Wydaje się, że prowadzi wygodne życie i opływa w luksusy, choć jest wręcz przeciwnie. Ale poznasz ją jutro.

– Zakładam, że spotkam się z nią jako angielska lwica salonowa, a nie kobieta, która pracuje w Ministerstwie Wojny?

– Zgadza się; dlatego tak się ucieszyłem, że jest z tobą lady Daphne z mężem, twój brat z żoną... wszystko to działa na moją korzyść. Jesteście ważnymi brytyjskimi gośćmi na wakacjach w Berlinie.

– Zgoda, ale to oznacza, że to ty będziesz odwaliał robotę i załatwiał sprawę z księżniczką.

– Tak, nie przejmuj się tym. Musisz utrzymać swoją przykrywkę, to oczywiste. A teraz zamówmy coś. Nie wiem, jak ty, ale ja umieram z głodu.

– Ja też – powiedziała z uśmiechem Diedre – ale muszę uważać. To jedzenie jest tak apetyczne, że zawsze zjadam wszystko, a potem muszę się przez tydzień głodzić. A w tej chwili nie mogę przybrać na wadze, bo chodzę w strojach pożyczonych od Daphne i Cecyli. Kiedy jechałam służbowo do Genewy, wzięłam ze sobą niewiele rzeczy, a potem postanowiłam pobyć z nimi w Zurychu.

– I popatrz, gdzie skończyłaś. U mnie. I bardzo dobrze się stało, bo mogliśmy porządnie porozmawiać bez obawy, że ktoś nas podsłucha, i zaplanować co trzeba.

– Teraz wszystko zależy od ciebie, Tony. – Diedre wzięła do ręki menu, popatrzyła na nie, ale myślami wybiegła w przyszłość, zastanawiając się, co ma do zrobienia. Spojrzała na Tony'ego i dodała: – Obawiam się, że zostanę przy tym, co zawsze... Cielęce parówki

w kwaszonej kapuście z plackami ziemniaczanymi i sosem jabłkowym.

– Ja zjem to samo, przepadam za ich bawarskimi białymi kielbaskami. – Spoważniał i dodał: – Z przyjemnością wypiłbym zimne piwo, ale sądzę, że nie powinienem.

– Gdybym mogła, też bym się napiła, ale nie wolno nam pić, Tony. Musimy przez cały czas zachować czujność. Nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć, zwłaszcza w naszym fachu.

– Masz rację. – Przywołał gestem kelnera i złożył zamówienie, po czym zwrócił się do Diedre: – Sądzę, że trzeba wziąć poważnie pod uwagę kwestię czasu – mruknął cicho. – Wszystko tu zmienia się tak szybko, że chciałbym wyekspediować tę walizkę przed końcem miesiąca.

– Wiesz coś, czego ja nie wiem? – spytała, patrząc na niego badawczo.

– Nie, ale uważam, że kłopoty wiszą w powietrzu. Panuje całkiem nowy nastrój... jakby oczekiwania... Znosi się na coś dużego, ale nie wiem co.

– W takim razie będziesz musiał być szybki i sprytny – odparła Diedre. – A tu masz potrzebne informacje o bezpiecznym domu w Aachen.

Mówiła, a on słuchał, zapisując w pamięci adres i inne szczegóły.

– A tak na marginesie, jak się nazywa impresario, ten amerykański dżentelmen, który często bywa w Berlinie? – spytał po chwili.

– Alexander Dubé, i jest rzeczywiście Amerykaninem, tam urodzonym i wychowanym. Jego ojciec był Francuzem. Mówi po francusku i niemiecku i jest czysty jak łąza. I nie będzie miał nic przeciwko oddaniu przysługi mojemu koledze z ambasady amerykańskiej, którego zapoznam ze sprawą, kiedy wrócę do domu. Ale ty będziesz musiał się z nim dogadać tutaj.

– Nie ma sprawy, szefowo – odparł Tony z szerokim uśmiechem. – Nadchodzi nasz wytworny lunch, Daffy Dilly.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Cieszę się, że jesteś sama – powiedziała Diedre, idąc za Cecily do jej hotelowego apartamentu. – Gdzie reszta?

– Postanowili wybrać się do Tiergarten, bo Charlie jeszcze go nie widział, a Daphne postanowiła przyłączyć się do nich. Potem mieli pójść na lunch do Horchera.

– Aha. A ty nie chciałaś z nimi iść, Ceci?

– Nie bardzo. Już znowu jestem w nastroju do pracy... – Przerwała i uśmiechnęła się półgębkiem. – Miles chciał, żebyśmy odpoczęli na tym urlopie, ale sama wiesz, że nie potrafię. Musiałam porozmawiać z Dottie, omówić sporo spraw. W obliczu nadciągającej wojny mam mnóstwo dość pilnych planów biznesowych.

– Rozumiem. Rozmawiałaś dziś rano z Gretą?

– Nie, nie było powodu, poza tym, prawdę mówiąc, wołałam tego nie robić. Niezły ze mnie tchórz, co?

– Wcale nie. Wiem, co czujesz. Wczoraj zupełnym przypadkiem dostałam trochę ciekawych wiadomości. I wiem, że cię ucieszą.

– Mają związek z profesorem Steinbrennerem? – spytała z nadzieją Cecily.

– Trafiony, zatopiony. Owszem, ale nie powinnaś się zbyt podniecać. Mój przyjaciel z ambasady, Tony Jenkins, powiedział mi, że na dzisiejszym przyjęciu będzie kilkoro Anglików. Na przykład lady Arabella Cunningham, która wyszła za niemieckiego księcia. Daphne zna ją z dzieciństwa.

– To wspaniale. A Daphne nabierze ochoty na to przyjęcie. Jej naprawdę się tu nie podoba.

– Wiem. Czuje wielką niechęć do Niemiec. Będzie tam też naukowiec, sir Anthony Parry, który pytał, czy może przyprowadzić starego znajomego, profesora Steinbrennera.

– Och, dzięki Bogu! Spotkam się z nim, i to zupełnie przypadkowo – zawołała z zachwytem Cecily.

– No tak. Jednak kiedy powiedziałam Tony'emu, że to także nasz znajomy, odparł, że profesor jeszcze nie odpowiedział na zaproszenie.

– Mam nadzieję, że przyjdzie. Byłoby mi miło wrócić do Londynu i powiedzieć Grecie, że rozmawiałam z jej ojcem. Wiem, że poczułaby się dużo lepiej. A ty? Myślisz, że przyjdzie?

– Nie wiem. – Diedre wzruszyła ramionami. – Ale odniosłam wrażenie, że sir Anthony i profesor są długoletnimi przyjaciółmi, więc zaryzykuję twierdzenie, że najprawdopodobniej będzie tam dzisiaj.

– Czemu nie powiedziałaś mi wczoraj? – spytała Cecily.

– Nie miałam okazji; dookoła była rodzina, a Charlie prawie nie przestawał gadać. Swoją drogą, muszę z tobą poważnie porozmawiać, i również dlatego czekałam z tym do teraz.

– To brzmi bardzo poważnie. Słucham.

– Chcę cię ostrzec, żebyś była bardzo ostrożna podczas spotkania z profesorem. Musisz ważyć każde słowo. Nie wolno omawiać kwestii ucieczki rodziny ani niczego w tym rodzaju. Mów głównie o Grecie, jak jest wspaniała, jak bardzo na niej polegasz. Bądź radosna. Nie użalaj się nad ich kłopotami. – Diedre przerwała, a po chwili ciągnęła dalej: – Byłam na paru takich przyjęciach, ale ostatnio, jak twierdzi Tony, zjawiają się na nich tłumy. Posłuchaj, wszyscy będą się na nas gapić, ze względu na naszą pozycję. I pamiętaj, że ściany mają uszy.

– Nawet dywany je mają – palnęła Cecily.
Roześmiały się, chwilowo rezygnując z powagi.
– Obiecuję, że będę bardzo ostrożna – we wszystkim, co powiem i zrobię. Naprawdę rozumiem sytuację. I wiem, że powinnam zachować to dla siebie, zgadza się?
– Tak, lepiej, żebyś wyglądała na zaskoczoną, kiedy przedstawią ci profesora. Nie mów więc Milesowi ani nikomu innemu.
– Dobrze. Zamierzasz powiedzieć Daphne o lady Arabelli?
– Zastanawiałam się nad tym i uważam, że lepiej nie. Spotkają się przypadkiem, już ja o to zadbam. – Diedre zauważyła konsternację Cecily, więc dodała: – Chcę, żeby ten wieczór przebiegł normalnie i swobodnie. I żeby wszyscy dobrze się bawili. Tony mówi, że będzie tam wielu interesujących ludzi, zabawa na całego.
– Zabawa, co? – skrzywiła się Cecily. – W takich czasach, kiedy świat stoi nad krawędzią przepaści. Czasem nie jestem w stanie tego pojąć... i dlatego ludzie tak się zachowują. – Potrząsnęła głową. – Szczerze mówiąc, w głębi duszy jestem przerażona na myśl o przyszłości.
– Ja też – odparła cicho Diedre. – Ale nie wszyscy widzą to w ten sposób. Nie rozumieją polityki, tego, co się wokół nich dzieje. I żyją jak gdyby nigdy nic. I teraz my musimy też tak robić. Musimy się uśmiechać i nie okazywać lęku.



– No dobra – oświadczyła Cecily. – Więc włożysz dziś moją czarną krepdeszynową suknię, ale trzeba ją ożywić jakąś biżuterią.
– Nie wzięłam nic z tych rzeczy, kiedy w zeszłym tygodniu jechałam do Genewy. To miał być jednodniowy wypad. Możesz mnie wesprzeć?
– Jasne. Chodź do sypialni, to pokażę ci, co przywiozłam. To oczywiście wszystko imitacje z Kolekcji Cavendon.
Poszły razem do sypialni. Cecily wyciągnęła z komody parę aksamitnych woreczków i wysypała ich zawartość na łóżko.
Diedre przyłączyła się do niej i nie mogła powstrzymać zachwyty na widok pięknych klejnotów.
– Wszystkie wyglądają jak oryginały – powiedziała, sięgając po długi sznur pereł.
– Witam panie – odezwał się od progu Miles. Nie słyszały, jak wchodził.
– O rany, ale mnie zaskoczyłeś – zawołała Cecily. Podbiegła do męża i uściśniła go. – Wróciłeś wcześniej, niż się spodziewałam.
Przytaknął jej z uśmiechem i zwrócił się do siostry:
– Bardzo elegancko dziś wyglądasz, Diedre. Podoba mi się ta suknia... ale wygląda jakoś znajomo. – Zachichotał.
– Dzięki uprzejmości twojej żony. Jak się udała wycieczka do Tiergarten? I gdzie reszta?
– Rozeszli się po pokojach. Powiedziałem, że nieco później wszyscy zejdziemy na podwieczorek. Nie, żebym był głodny – zjedliśmy spory lunch u Horchera.
Całą trójką wrócili do pokoju dziennego. Diedre pokazała bratu trzymane w ręce perły i klipsy.
– Osłupiałam na ich widok – powiedziała. – Ceci jest wspaniała.
– Och, wiem o tym. Wiedziałem to od czasu, kiedy miała pięć lat.
– Czy Charliemu podobało się dzisiejsze zwiedzanie? – spytała Diedre, siadając na sofie.
Miles przyłączył się do niej.
– Tak, i muszę przyznać, że jest naprawdę bystry i dociekliwy. Będzie z niego dobry

dziennikarz. Znakomicie sobie wybrał zawód. Chce wiedzieć wszystko o wszystkim. Jest wygadany i jasno się wyraża. I ma mnóstwo wiedzy. Naprawdę zrobił na mnie wrażenie.

– Jestem rada, że to zauważyłeś – powiedziała z uśmiechem Diedre. – Mam nadzieję, że Daphne też zdaje sobie z tego sprawę.

– Sądzę, że dowiedziała się o nim sporo podczas pobytu w Berlinie.

– Daphne martwi się o niego, bo potrafi być bardzo porywczy – wtrąciła Cecily.

– Myślę, że odpowiedniejszym słowem jest „zuchwały” – stwierdził Miles. – Hugo był wyraźnie pod wrażeniem wiedzy syna na temat Hitlera, Trzeciej Rzeszy i sytuacji międzynarodowej.

– Rzeczywiście zgromadził niezłą wiedzę. Czyta wszystkie brytyjskie gazety – oświadczyła Diedre.

– Chyba wreszcie Daphne go rozumie – mruknął Miles, rozsiadając się wygodnie. – Jest dobrą matką, nie bardzo zaborczą, ale o niego się trzęsie.

– Wiem – zgodziła się Diedre. – Kocha wszystkie swoje dzieci, ale wydaje się skupiać na Charliem, więc nie ma co się dziwić, że wciąż się kłóca. On ciągle wyskakuje z nowymi pomysłami i nie umie sobie radzić z rodzicami.

– Daphne widziała go z nami dziś i co wieczór od przyjazdu tutaj i chyba wreszcie do niej dotarło, że on ma prawie dwadzieścia jeden lat, że to dorosły człowiek... Wciąż jej to powtarzam i w końcu zrozumiała.

– Mam nadzieję, że nie zrobi czegoś głupiego w rodzaju próby zostania korespondentem wojennym, jeśli wybuchnie wojna – wtrąciła się Cecily.

– Kiedy wybuchnie – poprawiła ją Diedre. – Pełna zgoda. Ale dużo bardziej prawdopodobne jest to, że pójdzie do wojska – nie będzie miał wyboru.

– Nie widziałem nigdy tak zmilitaryzowanego miasta – zmienił temat Miles. – Jest tu więcej mundurów, niż sobie można wyobrazić. U Horchera było ich pełno.

– Jakie mundury nosi gestapo? – spytała Cecily.

– Żadnych. Noszą cywilne ubrania. Ale wyglądają tak złowrogo w skórzanych płaszczach i kapeluszach z opuszczonym rondem, że nie można ich z nikim pomylić.

– Pójdę odłożyć biżuterię. – Diedre wstała, czując nagłą potrzebę ucieczki. – Miles, jemy podwieczerek w ich apartamencie czy na dole?

– Na dole, za jakąś godzinę, kochana.

– To do zobaczenia – powiedziała i patrząc na Cecily, dodała: – Dziękuję za wyposażenie na dzisiejszy wieczór.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Miles uśmiechał się w duchu, kiedy całą szóstką maszerowali przez hol hotelu Adlon. Wszyscy się na nich gapili.

Nie ma się co dziwić, pomyślał, kobiety wyglądają oszałamiająco. Cecily otulała lawendowy szyfon, a jej szyję otaczało parę sznurków ametystów; Daphne miała na sobie białą jedwabną suknię i szafiry, zaś Diedre nosiła pożyczoną czarną suknię i imitację pereł Marmaduke'a.

Już w wieku dwunastu lat miał świadomość, że Inghamowie *en masse* robią duże wrażenie samym wyglądem, i wiedział, że tak się też stanie, kiedy wkroczą do ambasady.

Wyszli z hotelu i ruszyli w stronę Unter den Linden. Zaraz skręcili w Wilhelmstrasse. Diedre wspomniała mu wcześniej, że zaledwie parę kroków dalej mieści się Kancelaria Rzeszy. Miles wzdrygnął się na myśl o Hitlerze i reszcie bandytów, którzy siedzą tam i z niemiecką precyzją knują swoje ohydne plany.

Niespodziewanie Diedre zrównała się z nim i ujęła go pod ramię.

– Ostrzegłam wszystkich, że towarzystwo będzie mieszane, żeby nie przstraszyli się obecności nazistowskich oficerów. Będą w swoich wyjściowych mundurach, uśmiechnięci, strzelający obcasami, poruszający się jak manekiny. Na nas to nie robi wrażenia. A gestapo rozpoznasz po ponurym minach i tanich garniturach.

Miles nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

– Nie mam wątpliwości, że to od ciebie Dulcie nauczyła się tego barwnego języka, który ty z kolei wzięłaś od ciotki Gwendolyn. Gdzież ta ambasada? My z Charliem już się nie możemy doczekać, kiedy to wszystko zobaczymy. Ale Daphne wciąż jest niezbyt zadowolona. Miejmy na nią oko, dobrze?

– Nic się nie martw, Miles. No, jesteśmy na miejscu i zaraz wkroczymy na skrawek naszego kraju w obcym państwie, i tu możemy czuć się bezpiecznie. A nad głowami powiewa nam nasza flaga.

Miles spojrział w górę, skinął głową i uśmiechnął się do siostry; ta odwróciła się i przywołała gestem resztę rodziny, przynaglając ich do wejścia.

Razem minęli drzwi budynku, gdzie przywitał ich ambasador, sir Neville Henderson.

Diedre najpierw podprowadziła do niego Daphne, Hugona i Charliego, a potem Cecily i Milesa. Wreszcie stanęła przed nim jako ostatni członek rodziny.

Uściskał jej dłoń i powiedział cicho, że porozmawiają później, po przyjęciu, w małej jadalni. Diedre dołączyła do rodziny i zaprowadziła ich do jednej z dwóch sal recepcyjnych; przy wejściu czekał Tony Jenkins. Ruszył ku niej z uśmiechem.

Pocałował Diedre w policzek, a ona przedstawiła mu Daphne; od razu zauważyła, że Tony'emu odebrało mowę, tak oszołomiła go uroda jej siostry.

Diedre przejęła inicjatywę i przedstawiła mu Cecily, Milesa, Hugona i Charliego.

– Wejdźmy na lampkę szampana – powiedział Tony. – Podają tu wyłącznie najlepsze; potem zapoznam was z paroma interesującymi ludźmi. – Uśmiechnął się krzywo. – Zebrało się tu dziś całe towarzystwo... spory tłum – dodał. – Ostatnio w Berlinie odbywa się mnóstwo dyplomatycznych przyjęć w rozmaitych ambasadach, ale wszyscy twierdzą, że nasze są najlepsze. Mamy już nawet listę oczekujących! – Zachichotał; widać było, że cieszy go ten sukces.

Przystanęli przy wejściu, obserwując widok. Diedre natychmiast zauważyła, jaki panuje tam tłok. Kobiety były elegancko ubrane, a mężczyźni występowali w smokingach lub mundurach.

Sala była obszerna, z oknami na końcu i dwoma kryształowymi żyrandolami zwieszającymi się z sufitu. Wszędzie ustawiono kwiaty; panowała tu atmosfera przepychu. W jednym z kątów przygrywał kwartet smyczkowy; kelnerzy we frakach i białych rękawiczkach poruszali się zręcznie wśród gości, nosząc na srebrnych tacach kieliszki szampana i małe kanapeczki.

Diedre rozejrzała się dokoła i spostrzegła wiszący na jednej ze ścian naturalnej wielkości portret króla Jerzego VI. Przejął tron po abdykacji brata, Edwarda. Dzięki Bogu, że Edward nie został koronowany, pomyślała. Stworzyłoby to jeszcze większe zamieszanie.

Intuicja podpowiadała jej, że Jerzy VI będzie dobrym monarchą. Był dzielny, o czym świadczył sposób, w jaki poradził sobie z tym okropnym jękaniem. Miał uroczą żonę, która została teraz wspianą królową, i dwie córki, Elizabeth i Margaret Rose. Był oddany rodzinie i zawsze mówił o nich „nasza czwórka”, jak gdyby stanowili wspólny front wobec świata. Może i tak było.

Tony, Miles i Charlie wzięli od przechodzącego kelnera kieliszki z szampanem i rozdali je reszcie rodziny. Całą grupą ruszyli w głąb sali.

Jak zwykle natychmiast urwały się rozmaite pogawędki i zrobiło się dużo ciszej, bo wiele głów zwróciło się ku wytwornym, arystokratycznym w każdym calu Inghamom.



Pchani ciekawością Charlie i Hugo powędrowali po chwili w sam środek tłumu.

– Życzę im dużo szczęścia w tym tłoku – mruknęła Diedre.

– Znasz tu kogoś? – spytała Cecily.

– Nie bardzo; ale poznaję parę twarzy... w tamtej grupie. To korespondenci zagraniczni, przeważnie z brytyjskich gazet, i wydaje mi się, że zebrali się wokół amerykańskiego pisarza Williama Shirera. Mówi się, że jest prawdziwym ekspertem od Trzeciej Rzeszy. Siedzi od lat w Berlinie.

– Chciałam wam powiedzieć, że Charlie zrobił na mnie wrażenie – odezwała się Daphne.

– Zauważyłam, że naprawdę chce zostać dziennikarzem i ma sporą wiedzę. Wręcz pochłania informacje.

– Rzeczywiście zbiera wiadomości – wtrąciła Cecily. – Miles uważa, że ma do tego predyspozycje, czyż nie tak, kochanie?

– Istotnie. Jest dobry, Daphne, bardzo mu zależy na przyszłym zawodzie. Potrzebuje tylko przestrzeni, swobody, takiej, jaką mu daliście ostatnio – dodał, nie chcąc, by Daphne pomyślała, że przypisuje jej nadopiekuńczość.

Po chwili wrócił Tony. Przyprowadził ze sobą przystojną parę i zwrócił się do Daphne:

– To pani stara znajoma, lady Arabella Cunningham, teraz księżna von Wittingen, i jej mąż, książę Kurt.

– Wielkie nieba! Arabello, jakże się cieszę, że cię widzę – zawołała Daphne.

Z uśmiechem podała jej rękę.

– Nie widziałyśmy się od lat, Daphne, ale wcale się nie zmieniłaś – odparła księżna. – Wciąż jesteś piękną.



Diedre przywitała się z księstwem i jak zwykle oddała się obserwacjom, słuchając innych i ciesząc ich miłą rozmową. Pomyślała, że Arabella i jej mąż stanowią ładną parę; z tego, co usłyszała, byli stałymi gośćmi ambasady wraz z przyjaciółmi, którzy wkrótce mieli nadejść.

Po chwili wrócił Hugo; dokonano wzajemnej prezentacji. Zamienił kilka miłych zdań z małżeństwem, a potem przysunął się do Diedre i Tony'ego.

– Charlie bawi się jak nigdy w życiu – powiedział cicho. – Gawędzi z piękną Rosjanką, zresztą następną księżniczką.

– To z pewnością księżniczka Irina Trubecka – zawołał Tony. – Muszę z nią porozmawiać; przepraszam na chwilę.

Diedre uśmiechnęła się, skinęła głową i zwróciła się do Hugona:

– Jeśli o mnie chodzi, już bym się nie martwiła o Charliego. Sądzę, że wie, jak sobie radzić, i umie nawiązywać kontakty. Ma rzeczywiście dar wymowy.

– O tak, niewątpliwie pocałował Kamień z Blarney[2], gada jak nakręcony. – Zniżył głos i dodał: – Cóż za kolekcja dziwnych ludzi się tu pojawia. Ktoś z personelu ambasady dostał lekkiego bzika. Podśledzałem mężczyznę, który mówił, że jest tu kilka królowych nocy... od Madame Kitty, najlepszego berlińskiego burdelu.

– To prawda – roześmiała się Diedre. – Tamte kobiety w wyzywających strojach i taniej biżuterii niewątpliwie pochodzą od Kitty. Towarzyszący im oficerowie SS wyglądają na urzeczonych. Z pewnością wylądają dziś w ich łózkach.

– Życzę im dużo szczęścia – mruknął Hugo. Odwrócił się, słysząc głos Tony'ego:

– Hugo, Diedre, chciałbym, żebyście poznali księżniczkę Irinę Trubecką.

Diedre ujrzała duże, roześmiane niebieskie oczy i delikatną twarzyczkę księżniczki otoczoną błyszczącymi brązowymi włosami. Kobieta promieniowała beztroską, niemającą nic wspólnego z burzliwą młodością, wspomnianą przez Tony'ego.

– Bardzo się cieszę z tego spotkania – Irina zwróciła się do Hugona. Powtórzyła to zdanie, witając się z Diedre, i dodała: – Tony powiedział mi, że lady Daphne jest starą znajomą Arabelli. Jak to miło, że spotkały się po tylu latach.

– Moja siostra była zachwycona, co prawdopodobnie widać po rozmowie, którą prowadzą. Nie umilkły ani na chwilę – odparła Diedre.

– Rzeczywiście – stwierdziła księżniczka. Miała melodyjny głos, a w jej perfekcyjnej angielskiej wymowie słychać było leciutki obcy akcent.

Diedre polubiła ją od pierwszego wejrzenia; jej żywą osobowość, otwartość i swobodne maniery. Księżniczka miała na sobie czarną koronkową sukienkę, a jedynymi ozdobami były perłowe klipsy i zegarek. Ale była uosobieniem elegancji i otaczała ją aura wyjątkowości.

Charlie poszedł w ślady księżniczki i Tony'ego i dołączył do ich małej grupki. Stał obok ojca; na jego młodzieńczej twarzy malował się zachwyt. Sądził, że Irina ma około dwudziestu pięciu lat, ale nie obchodziło go to. Chętnie poznałby ją lepiej. Cóż to za piękność!

– Chciałem, żebyście poznali księżniczkę Irinę, ale teraz na chwilę ją zabieram – mruknął Tony, rzucając Diedre ostrzegawcze spojrzenie. – Muszę zamienić z nią kilka słów na osobności.

– W porządku, Tony – rzuciła Diedre, ale natychmiast spoważniała. Spojrzała na niego, mrużąc oczy. – Wydaje mi się, że zmierza ku nam sir Anthony Parry i jeszcze ktoś.

– O rany – powiedział Tony, podążając za jej wzrokiem. – To rzeczywiście on. I jest z nim chyba jego stary przyjaciel, profesor Steinbrenner.

Tony szybko ruszył do przodu i przywitał się z dwoma mężczyznami.

Po chwili sir Anthony uścisnął dłoń Diedre, a następnie przedstawił wszystkim profesora. Diedre spytała o zdrowie lady Parry i zapytana o lady Gwendolyn, zapewniła, że ciotka czuje się dobrze, a potem zwróciła się do Steinbrennera.

– Profesorze, pańska córka Greta pracuje u mojej bratowej, Cecily. Tak się składa, że ona tu dziś jest; wiem, że ucieszy się, mogąc pana poznać.

Wyraz twarzy Helmuta Steinbrennera zmienił się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki: zmęczony wzrok pojaśniał, na twarzy pojawił się uśmiech i zaciekawienie.

– To wspaniała propozycja, lady Diedre. – Rozejrzał się dokoła i spytał: – Gdzie jest ta wielka Cecily Swann, o której bez przerwy opowiada moja Greta?

– Zaraz ją przyprowadzę – oświadczyła Diedre i odchodząc, rzuciła Tony’emu znaczące spojrzenie.

Zrozumiał, że chce, żeby porozmawiał z księżniczką na stronie i poprosił ją o pomoc. Zobaczył, że Diedre podchodzi do Cecily stojącej razem z Wittigenami i Daphne. Zwrócił się do sir Anthony’ego:

– Jeśli panowie nam wybaczą, księżniczka Irina i ja musimy zamienić parę słów z Williamem Shirerem. Za chwilę wrócimy.

– To żaden problem, panie Jenkins – odparł naukowiec.

– Dziękuję, sir Anthony.

– Nie martw się, Tony, zaopiekujemy się sir Anthonym i profesorem Steinbrennerem, prawda, Charlie? – zapewnił go Hugo.

Jego syn przytaknął i natychmiast zwrócił się z najwyższym szacunkiem do sir Anthony’ego:

– Czytuję pańskie artykuły w „Daily Telegraph”, sir, i bardzo mi się podobają. Sam mam nadzieję pisać kiedyś do dzienników.

Sławny naukowiec uśmiechnął się pobłażliwie i czterej panowie pograżyli się w rozmowie na temat blasków i cieni brytyjskiej prasy.



Diedre wtrąciła się do rozmowy Milesa i Cecily.

– Poznałam właśnie profesora Steinbrennera. Powiedziałam mu, że tu jesteś. Chodźmy do niego.

Cecily uśmiechnęła się, a Miles popatrzył ze zdziwieniem na siostrę.

– To dopiero dobra wiadomość – wykrztusił.

– Wręcz wspaniała! – zawołała Cecily. – Ciekawe, skąd się wziął na przyjęciu w ambasadzie?

– Jak rozumiem, jest starym, dobrym przyjacielem sir Anthony’ego Parry, który też tu jest. Zdaje się, że sir Anthony przyjechał do Berlina na serię wykładów z filozofii.

– Zaprowadź nas do niego – poprosił Miles i ruszył przez salę, dostrzegłszy sir Anthony’ego z Hugonem i Charliem.

Diedre chwyciła Cecily za rękę i zatrzymała w miejscu.

– Pamiętaj, ani słowa o niczym. I zachowuj się naturalnie. Miles jest bystry i prawie nie spuszcza cię z oka. Uważaj na to, co mówisz.

– Nie martw się, Diedre. Nie jestem idiotką i wiem, jaka jest stawka.

Kiedy Miles i Cecily dołączyli do profesora Steinbrennera, niepotrzebne stały się prezentacje. Profesor ujął ją za rękę i przyciągnął do siebie.

– Cóż to za przemila niespodzianka, że spotykam tu panią! Nawet o tym nie marzyłem. Dziękuję, że jest pani tak dobra dla mojej córki. Greta wciąż o pani mówi.

– Jest wspaniała, profesorze, to moja prawa ręka. Nie wiem, co bym bez niej zrobiła – odparła Cecily.

Diedre odeszła na bok, zostawiając Cecily i Milesa sam na sam z profesorem. Hugo, Charlie i sir Anthony zrobili tak samo, wciąż pogrążeni w rozmowie.

Diedre rozejrzała się uważnie po sali. Von Wittingenowie wciąż rozmawiali z Daphne; dołączyła do nich druga para, której nie знаła, ale wyglądali na Niemców. Tony przycupnął w kącie z księżniczką Iriną. Cecily i Miles stali za jej plecami z profesorem.

Kiedy tłum na środku pomieszczenia nieco się rozrzedził, Diedre zauważyła Pauline Mallard. Kobietę, z którą ma romans Harry. Diedre popatrzyła jeszcze raz, by się upewnić, że to rzeczywiście ona. Ledwie mogła uwierzyć własnym oczom. Pani Mallard stała obok starszawego mężczyzny i jakiejś kobiety, która wydała się jej dziwnie znajoma. Wreszcie ją rozpoznała. Pauline Mallard rozmawiała z Dianą Mosley, jedną z sióstr Mitford, żoną lidera brytyjskich faszystów. No, no, pomyślała, nie ma końca cudom, i zaczęła się zastanawiać nad polityczną orientacją Pauline. Czy jest wielbicielką Hitlera, tak jak jej towarzyszka?

I w tej właśnie chwili zobaczyła, kto ku niej zmierza. Waleczny? Mój Boże, co on tu robi?

2 Blok wapienny z murów zamku Blarney w Irlandii. Według legendy kto go pocałuje, zyskuje dar elokwencji.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Zdziwiłaś się na mój widok – stwierdził Canaris, zatrzymując się przed nią.

– Tak – odparła Diedre. – Lepszym określeniem byłoby „oniemiałam”. Bardzo rzadko uczestniczysz w życiu towarzyskim, więc czemu pokazujesz się akurat w ambasadzie brytyjskiej?

– Rozejrzyj się, to zobaczysz, że nie jestem jedynym obecnym tu niemieckim oficerem. Jest nas tu masa, z gestapo włącznie.

Jak zwykle nienagannie uprzejmy, pochylił się i pocałował ją w rękę.

– Otrzymałem zaproszenie – mówił dalej – zaś wielcy tego świata też postanowili przyjść. I oczywiście, kiedy usłyszałem, że ty tu będziesz, pomyślałem, że z przyjemnością się z tobą spotkam, Diedre. A co ty robisz w Berlinie?

– Przyjechałam z rodziną – zaczęła, starając się zachować obojętną minę. Jako szef Abwehry, wojskowego wywiadu Niemiec, wiedział o wszystkim. Przez trzy lata od mianowania na to stanowisko zbudował ogromną i wysoce skuteczną organizację. Było w niej sporo oficerów podobnych do niego. Diedre, tak jak on, uważała, że wszyscy są antyfaszystami i w tajemnicy pracują przeciwko śmiertelnie groźnemu reżimowi Hitlera. – Mój siostrzeniec Charlie chciał odwiedzić Berlin, i postanowiliśmy odbyć rodzinną wycieczkę. Tam stoi Daphne, jego matka a moja siostra – rozmawia ze starą przyjaciółką. Nie wiedziała, że ją tu spotka.

– Aha, księżna von Wittingen – powiedział, podążając za jej wzrokiem. – Księżę jest wędrownym ambasadorem pewnego przemysłowca, Kruppa... – Przerwał i rzucił Diedre ostrzegawcze spojrzenie – Ktoś idzie w naszą stronę.

– To moja bratowa, Cecily Swann, projektantka mody – mówiąc to, zauważyła, że Cecily przystanęła, patrząc na nią pytająco. Diedre postanowiła zachęcić ją, by się do nich przyłączyła.

– Wszystko jest w najlepszym porządku – mruknął cicho, kiedy Cecily była już blisko.

– Cecily, poznaj admirała Canarisa... Admirale, to żona mojego brata, Cecily Swann Ingham.

– Miło mi pana poznać, admirał – powiedziała spokojnie Cecily, nie okazując zdziwienia i podała mu rękę.

– Cała przyjemność po mojej stronie, pani Ingham – odparł z lekkim ukłonem. – Mówiłem właśnie Diedre, jak się ucieszyłem na jej widok. Jesteśmy starymi znajomymi. Moja rodzina przyjaźniła się z Maxine Lowe i jej ojcem, którzy często bywali w Zagłębiu Ruhry. I widzę, że lady Daphne też spotkała tu dziś starą przyjaciółkę.

– Owszem. – Cecily odprężyła się, słysząc to wyjaśnienie. – Nie widziały się od wielu lat. Zapadło milczenie, które przerwała Diedre.

– Chciałaś mnie o coś spytać, Ceci?

– Tak, rzeczywiście. Sir Anthony zaprosił nas, to znaczy Milesa i mnie, na jutrzejszy lunch z profesorem, a ja zastanawiam się, czy reszta rodziny będzie to pasowało.

– Och, nie wiem, kochanie. I nie jestem pewna, czy przypadkiem Daphne nie planuje lunchu.

– Sir Anthony to wyjątkowo utalentowany człowiek – zauważył admirał. – Słyszałem, że na jego wykłady zgłosił się już komplet chętnych. Myślę, że lunch z nim to wielka przyjemność.

– Uśmiechnął się do Diedre i dodał: – Sam chętnie bym w nim uczestniczył.

– Och, chciałby pan się do nas przyłączyć? – spytała Cecily. – Jestem pewna, że to się

uda.

– Doceniam tę propozycję, ale niestety pracuję.

Pojmując, że admirał nie ma nic przeciwko lunchowi, Diedre powiedziała:

– Co do mnie, mam inne plany na jutro, więc może lepiej spytaj Daphne.

– Dobrze. Pójdę z nią porozmawiać. Przepraszam, że przeszkodziłam. Miło było poznać pana, admirał.

– Mnie też, pani Ingham.

Cecyli uśmiechnęła się do nich i ruszyła w stronę Daphne.

– Czemu się zawahałaś? – spytał admirał, kiedy zostali sami. – Co do wspólnego lunchu.

– Ponieważ córka profesora pracuje dla Cecyli w Londynie i strasznie się niepokoi o rodzinę mieszkającą tu, w Berlinie.

– Chodzi o ich ucieczkę, tak? – spytał cicho Canaris.

– Tak – odparła równie cicho Diedre.

– Dlaczego nie skontaktowałaś się ze mną i nie poprosiłaś mnie o pomoc? – spytał ze zdziwieniem.

– Bo już tyle dla mnie zrobiłaś.

– Nie zleciłaś komuś tego zadania? To do ciebie niepodobne.

– Tak, Tony nad tym pracuje. Jest tam... – Wskazała głową Tony'ego, który wciąż rozmawiał w kącie z rosyjską księżniczką.

– Rozumiem. W porządku. Ona przyjdzie z tym do mnie. Masz to jak w banku. – Diedre milczała. Spojrzał na nią. – O co chodzi? Wyglądasz na zmartwioną.

– Cztery osoby – szepnęła. – Strasznie dużo. Wszystkie nowe dokumenty.

– Załatwi się, Diedre – powtórzył stanowczo.

– Dziękuję, jestem ogromnie wdzięczna. Rzeczywiście powinnam była poprosić ciebie, ale jest tyle ważniejszych spraw. I boję się o twoje bezpieczeństwo.

– Mówiłem ci już, że masz przestać. Nic mi nie grozi. A tymczasem potrzebuję pomocy od ciebie.

– Wiesz, że wystarczy, żebyś poprosił.

– Potrzebuję twojego czasu. Jutro. Sam na sam. Słyszałem, jak mówisz swojej bratowej, że masz jakieś plany. To prawda?

– Nie, ale zawsze się zabezpieczam na wypadek, gdyby coś wypadło. No i dobrze zrobiłam. – Wreszcie się uśmiechnęła.

– Mam trochę informacji do przekazania Williamowi Lawsonowi w Londynie. Spotkaj się ze mną w stałym miejscu, o pierwszej. A teraz napijmy się szampana.

Odwrócił się, zatrzymał przechodzącego kelnera, zdjął z tacy dwa kieliszki i wręczył jeden Diedre.

– A potem muszę iść – powiedział, trącąc się z nią.

– Rozumiem – powiedziała Diedre. – Przyjdę tam jutro.



Patrzyła, jak odchodzi, z jaką pewnością siebie i spokojem przesuwa się wśród tłumu, zatrzymuje się, by porozmawiać z oficerem SS, a potem z kolegą z naczelnego dowództwa. Wszyscy, którzy go znali lub z nim pracowali, troszczyli się o niego i jego powodzenie. Niezwykle uczciwy i odważny, z urodzenia, wychowania i przekonań był antyfaszystą. Nigdy nie wstąpił do NSDAP, a w zeszłym roku powiedział Diedre, że jego zdaniem Hitler zniszczy Niemcy; dodał, że Führer prowadzi ojczyznę prosto do piekła na ziemi.

Śledziła wzrokiem jego czarny marynarski mundur, aż zniknął jej z oczu. Rozejrzała się za Cecily. Zobaczyła, że wciąż stoi obok Milesa, gawędząc z sir Anthonym i profesorem, więc szybko do nich dołączyła.

Cecily wzięła ją za rękę i przyciągnęła do siebie.

– Gdzie jest admirał? – spytała cicho. – Powinnaś go przyprowadzić, żeby poznał sir Anthony’ego.

– Musiał wyjść. Ale nie uwierzysz, kto tu jest – mruknęła.

– Kto? – Spojrzała z niepokojem na Diedre. – Kto, do licha?

– Pauline Mallard.

– Co?! To niemożliwe.

– Stoi tam, z Dianą Mosley. Spójrz tam: nie widzisz rudzielca w purpurowej sukni? Nie sądzisz, że to ilustracja „ciągnie swój do swego”?

– Masz rację, to ona. Mój Boże, Harry dozna szoku, kiedy mu o tym powiem. Sądzę, że ten starszy mężczyzna to Sheldon Faircross, jej mąż. Podróżuje z nim, więc małżeństwo funkcjonuje – dodała z irytacją. – Ona wykorzystuje Harry’ego.

– Zgadza się. A jak sądzisz, czy ona należy do tego wiwatującego tłumu Anglików otaczającego Hitlera?

Cecily milczała przez chwilę, wreszcie odezwała się cicho:

– Nie wiem. Być może. Jedyne, co wiem, to że muszę wyrwać Harry’ego z jej szponów.

Rozmawiając cicho, oddaliły się nieco od grupy i przystanęły parę stóp dalej. Po chwili dołączył do nich Miles.

– O czym tak szepczecie? – spytał, patrząc to na żonę, to na siostrę. – Wyglądacie jak para konspiratorek.

– Tam jest przyjaciółka Harry’ego z mężem – chyba to jej mąż – i z lady Mosley – powiedziała z lekkim uśmiechem Diedre.

Harry był równie zaskoczony jak Cecily. Rozejrzał się dookoła.

– Gdzie oni są?

– Przy tych dużych oknach – odparła Cecily. – Chodźcie, podejźmy tam i staniemy koło nich. Niech wie, że ją widzieliśmy.

Miles spojrzał na nią z ukosa.

– Dobrze, ale obiecaj, że się do niej nie odezwiesz, Ceci.

– Daję słowo. Chcę tylko, żeby poczuła się nieswojo.

Cała trójka przeszła przez długą salę i przystanęła w pobliżu grupy Pauline Mallard. Ta zauważyła ich po chwili, poczerwieniała i odwróciła się do nich plecami.

– Szybko spiekła raka – stwierdziła Cecily z satysfakcją.

Miles uśmiechnął się z rozbawieniem.

– Jest jednak piękna, nie uważasz? – zwróciła się do brata Diedre.

Cecily rzuciła jej ostre spojrzenie.

– Nie mów tego nigdy przy mojej matce. Zdenerwuje się i doda, że jest również rozwiązła.

– Wszyscy to mówią – mruknął Miles. – Ale masz rację, Diedre, Pauline Mallard jest ładna, Diana Mosley też, podobnie jak wszystkie kobiety z rodziny Mitfordów. Ale moim zdaniem daleko im do urody dziewcząt Inghamów.



– Szkoda, że nie uprzedziłeś mnie, że Waleczny wybiera się na przyjęcie – powiedziała

Diedre z wyrzutem.

– Nie wiedziałem o tym. Na pewno bym cię uprzedził – odparł Tony. W jego głosie zabrzmiała uraza.

– Ale to ty układałeś listę gości – zauważyła Diedre, pociągając łyk koniaku.

Siedzieli we dwójkę w małym barze hotelu Adlon. Cała rodzina po kolacji w ambasadzie poszła spać, ale Diedre umówiła się na drinka z Tonym, by porozmawiać o księżniczce Irinie.

– Nie układałem całej listy – zaprotestował Tony. – To ambasador zaprosił Canarisa. Ale admirał odmówił; dlatego nie wspomniałem ci o tym. Kiedy go dziś zobaczyłem, byłem równie zaskoczony jak ty.

– No dobra, wierzę ci. Pogadajmy o księżniczce Irinie. Co powiedziała? Jak ją oceniasz?

– Sądzę, że pomoże, ponieważ to obiecała. Dała do zrozumienia, że należy do podziemnego ruchu – a swoją drogą jest zajadłą antyfaszystką; nazywa niemiecki rząd bandą rzezimieszków. Wyjaśniłem, ilu potrzebujemy wiz wyjazdowych, i podałem jej wszystkie szczegóły. Wygląda na to, że nie przejęła się tym zbytnio. Powiedziała, że skontaktuje się ze mną w przyszłym tygodniu. Moim zdaniem można jej zaufać. Życie wiele ją nauczyło, współczuje innym.

– Waleczny jej w tym pomoże – wyrwało się Diedre.

– Więc w końcu go poprosiłaś – stwierdził Tony, patrząc na nią ze zdziwieniem.

– Niezupełnie tak, jak myślisz. Uważał, że jestem czymś zmartwiona, i ponieważ wyciągnął to ze mnie – wyjaśniła Diedre. – Powiedziałam mu, a on stwierdził, że księżniczka przyjdzie z tym do niego. Uznał sprawę za załatwioną.

Tony milczał przez dłuższą chwilę; wreszcie odezwał się, cedząc słowa:

– Być może współpracują ze sobą na stałe. Co o tym sądzisz?

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Ale szczerze mówiąc, udało mu się wydostać z Berlina wielu ludzi, Żydów, katolików i dysydentów. Myślę, że dlatego właśnie boję się o niego, o jego bezpieczeństwo. Z drugiej strony, on twierdzi, że go nie podejrzewają.

– Nie sądzę, żeby w tej chwili był zagrożony on czy inni. Właściwie nie mam pojęcia, jak ci generałowie to robią... podlizują się Hitlerowi w dzień, a w nocy knują, jak go obalić.

Diedre milczała; wiedziała, że Tony mówi prawdę. Wiedział, co wprawdzie pisał, i miał informacje ze wszystkich możliwych źródeł. Tony opacznie pojął jej milczenie.

– Nie martw się, wydostaniemy profesora i jego rodzinę, a admirał będzie bezpieczny – zapewnił ją.

Posłała mu długie, zamyślane spojrzenie i powiedziała prawie niesłyszalnie:

– W zeszłym roku Waleczny powiedział mi, że on i jego *compadres*, jak ich nazywa, bez wątplenia skończą na szubienicy. Nie zapominam o tym.

– Żartował – odparł Tony. – Wszyscy czczą admirała Canarisa za jego legendarne dokonania. Wszedł do historii podczas ostatniej wojny. To dzięki jego inteligencji krążownik *Dresden* wystawił do wiatru brytyjską marynarkę wojenną. W Niemczech jest bohaterem.

– Wiem – odparła. – Dla mnie też, ale za inne czyny.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Restauracja, którą regularnie odwiedzał admirał, znajdowała się w pobliżu kwatery głównej Abwehry. Pod pewnymi względami przypominała Diedre małą restaurację, z której korzystali z Tonym, ale była lepiej wyposażona i podawano tam wykwintniejsze jedzenie.

Najważniejsze jednak było to, że w Cafe Baumer bywali głównie oficerowie i personel niemieckiego wywiadu. Innymi słowy, admirała otaczali tu jego ludzie; niewielu przechodniów zostawało tutaj na dłużej, bez wątplenia zniechęcała ich nadmierna liczba mundurów marynarki wojennej; ludzi chcących zarezerwować stolik przez telefon informowano stanowczo, że nie ma wolnych miejsc. Było to królestwo admirała.

Kiedy Diedre przybyła do Baumera w piątek o pierwszej na umówione spotkanie z Canarisem, została zaprowadzona do jego ulubionego stolika. Kelner podał jej szklankę wody. Wzięła menu i przypomniała sobie, że podają tu dobry sznycel wiedeński.

Błądząc wzrokiem po sali, spostrzegła wielu umundurowanych oficerów marynarki i kilka kobiet, zapewne sekretarek. Po chwili przy stoliku stanął z czapką w ręku generał major Hans Oster. Uśmiechnął się do niej.

– Miło znów cię widzieć, Diedre – oświadczył i dosiadł się do stolika. – Admirał będzie tu za chwilę, spóźni się parę minut.

Hans Oster mówił po angielsku równie dobrze jak Canaris, ale brakowało mu jego idealnego akcentu nabytego od absolwenta Cambridge.

– Hans, co za miła niespodzianka. Widziałam cię wczoraj na przyjęciu w ambasadzie, ale zniknąłeś, zanim zdążyłam do ciebie podejść.

– Jestem całkiem niezły w znikaniu, wiesz o tym dobrze, Diedre – odparł z uśmiechem.

Nagle przy wejściu zrobiło się lekkie zamieszanie; admirał Canaris witał się z właścicielami – Alfredem Baumerem i jego żoną Giselle.

– Przepraszam, Diedre – powiedział po chwili, siadając obok niej. – Spotkanie się przedłużyło.

– Nie szkodzi, przyszłam przed chwilą – odparła z uśmiechem. – I od razu pojawił się Hans.

– Hans zje z nami lunch, a potem zostawi nas samych.

Cała trójka zajęła się wyborem dań. Po chwili admirał przywołał kelnera. Spojrzał na Diedre.

– Wezmę sznycel wiedeński – powiedziała. – Bez pierwszego dania.

– Dla mnie kielbasa z czerwoną kapustą – zamówił Oster i dodał: – Też nic poza tym.

– Sznycel wiedeński – mruknął admirał. – I nalej mi wody, Gunther.

Gdy zostali sami, admirał pochylił się do Diedre.

– Kiedy wyjeżdżasz z Berlina?

– Jutro, zgodnie z planem. Wracamy wszyscy do Zurychu, a w niedzielę po południu jadę do Londynu. Muszę wracać do pracy.

– Jedziesz do Londynu sama czy z całą rodziną?

– Charlie pojedzie ze mną; musi się przygotować do powrotu do Oksfordu. Daphne i Hugo spędzą jeszcze kilka dni w Zurychu, a potem razem z Cecily i Milesem wrócą do Cavendon.

– Rozumiem. To bardzo dobrze. Obawiam się, że sprawy na kontynencie przybierają nie

najlepszy obrót. – Zniżył głos do szeptu, dodając: – Martwię się Czechosłowacją. Hitler spogląda łakomie na Kraj Sudecki, a to może doprowadzić do katastrofy.

Diedre patrzyła na niego w osłupieniu. Wszyscy mówili o Kraju Sudeckim, ale już teraz? To wcześniej, niż się spodziewano.

Hans Oster zmarszczył brwi i mruknął cicho:

– Brytania i Francja z pewnością będą interweniować. Daladier i Chamberlain na to nie pozwolą.

– Obawiam się, że to pewne – westchnął Canaris.

Generał major pochylił się ku admirałowi.

– Porozmawiaj z generałem Keitlem – szepnął. – Jako szef Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu z pewnością może go odwieść od tego planu.

– Nie może. Próbował, ale bezskutecznie. To właśnie Keitel powiedział mi, dokładnie dwadzieścia minut temu, że należy spodziewać się najgorszego. Wygląda na to, że nic nie może powstrzymać Hitlera.

Oster zacisnął zęby; błysnął wściekle oczami. Odetchnął głęboko i splótł dłonie na kolanach, starając się powściągnąć szalejące emocje.

– Spokojnie, Oster – powiedział chłodno Canaris. – Nasz czas się zbliża. Na razie musimy grać w jego grę, a zarazem prowadzić naszą.

– Czy dokona inwazji na Wielką Brytanię? – spytała cicho Diedre.

– Sądzę, że wcale tego nie chce. – Admirał wzruszył ramionami. – Jak wiesz, jest anglofilem. Uwielbia brytyjską arystokrację, podziwia marynarkę wojenną i chce, żebym ja stworzył wywiad wojskowy mogący rywalizować z brytyjskim, który uważa za najlepszy na świecie.

– Twierdzisz, że dąży do ustępstw i dogada się z Chamberlainem?

– Chwilowo tak. Jednak... – Admirał przerwał i potrząsnął głową. – Nie mam pojęcia, co się stanie potem, i przeraża mnie to. I sądzą też, że brytyjski rząd na to przystanie.

– Jaka szkoda, że Churchill teraz nie rządzi, zamiast być szeregowym deputowanym – mruknął Oster. Na jego twarzy malowała się rozpacz zmieszana z frustracją.



Po trzech kwadransach generał major Oster pożegnał się ciepło z Diedre i wyszedł. Zostali sami. Canaris zamówił kawę dla obojga.

– Chcę, żebyś przekazała Lawsonowi prostą wiadomość. Ale jest niezwykle ważna.

– Wiesz, że dokładnie ją powtórzę.

– Istotnie.

Kelner przyniósł kawę i Canaris zaczął cicho mówić. Wyjaśnił, co Diedre ma powiedzieć swojemu szefowi. Trwało to dość długo.

GRY LOSOWE

Mocna jest dusza, mądra i piękna;
Wciąż mamy w sobie ziarno boskiej mocy;
Gdy chcemy, jesteśmy bogami,
bardami, świętymi i bohaterami.

Matthew Arnold, *Written in Emerson's Essays*

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Harry Swann był zły. Prawdę mówiąc, był od wielu dni wściekły. Rozumiał już, że Pauline Mallard go rzuciła, a on nie wiedział czemu. Nie kochała go, a w każdym razie nie dość, żeby zrezygnować z beztrudnego życia w luksusie.

Westchnął głęboko, zawiązując jedwabny krawat na białej koszuli. Stał przed dużym lustrem w sypialni, szykując się do wizyty, na którą zupełnie nie miał ochoty.

Ale przyjął zaproszenie i nie odwołał jej w porę, więc musi iść. Wolałby wyjść z domu i zabrać się do rąbania drzewa, żeby wyładować złość. A może znaleźć w Leeds salę bokserską i przez parę godzin aż do wyczerpania walić w gruszkę.

Włożył marynarkę, zszedł na dół i usiadł przy biurku obok okna. Zajął terminarz. Był piątek, dwunasty sierpnia. W sobotę, szóstego, Pauline zadzwoniła do niego w środku nocy, mówiąc, że wczesnym rankiem w niedzielę jedzie do Londynu. Nie ma wyboru, mruknęła. Mąż ma interesy w Paryżu i nalega, żeby z nim pojechała. Przysięgła mu dozągoną miłość i obiecała codziennie dzwonić.

Od tej pory o niej nie słyszał. W środę Charlotte poprosiła go, żeby wziął Robina do dentysty w Harrogate. Czekając, aż chłopcu wyrwą ząb, pojechał do domu Pauline w pobliżu Stray, zielonej enklawy w środku miasta.

Oślupiał, gdy ujrzał na frontowej ścianie budynku napis „Na sprzedaż”. Zaparkował, wszedł po schodkach i nacisnął dzwonek, wiedząc, że będą tam tylko służący. Drzwi otworzyła mu pani Ladlow, kucharka. Uśmiechnęła się na jego widok.

Życzliwa dusza zaprosiła go do środka i potwierdziła, że jej pracodawcy rzeczywiście wyjechali na dobre z Harrogate. Podobno zamierzali kupić dom w Paryżu.

Harry zachował zimną krew i ruszył do wyjścia. Już na schodach pani Ladlow zwierzyła mu się, że szuka nowej pracy, więc może zna kogoś, kto by potrzebował wysmienitej kucharki? Obiecał, że rozpuści wieści po okolicy.

Szok i niedowierzanie przeszły w gniew, a dziś zmieniły się w furję. Potrząsnął głową. Matka i siostra miały rację. Pauline Mallard wykorzystywała go. Był tylko narzędziem zaspokajania jej niepokohamowanej żądzy. Parę miesięcy temu Miles sugerował, że to nimfomanka i że wystarczy jej byle mężczyzna, o ile będzie atrakcyjny i dozna erekcji, gdy tylko ona prowokacyjnie się uśmiechnie.

Byłem głupcem, mruknął pod nosem i przewrócił kartkę. Zauważył, że Diedre i Charlie wrócą za parę dni do Londynu wraz z Milesem i Cecily. Daphne i Hugo pojawią się w Cavendon w porze podwieczorku w niedzielę, dwudziestego pierwszego.

Zamknął terminarz i na chwilę przytknął oczy. Bardzo za nimi tęsknił. Byli jego rodziną, częścią jego świata, jaki stanowiło Cavendon. Tak, całym światem; i nagle pojął, że tu jest jego miejsce.

Nie opuści go, nie będzie się włóczył po obcych krajach z kimś takim jak Pauline Mallard. Byłby uważany za żigolaka, jej zabawkę. Poza tym chciał mieć dziecko. Dzieci. A ona jest za stara. Zawsze pragnął mieć rodzinę. Żonę i dzieci, które by kochał. Na tym polega życie, to właśnie czyni je wartościowym.

Dziadkowy zegar na dole wybił czwartą i Harry zorientował się, że musi natychmiast ruszać. Przed wyjazdem do Burnside Manor chciał jeszcze zobaczyć się z matką. Jęknął w duchu. Perspektywa podwieczorku u komandora Jolliona nie napawała go radością, ale mała Phoebe

Bellamy była bardzo przekonująca, i w końcu zgodził się pojechać na spotkanie z jej rodziną.



Alice Swann stała w spiżarni i patrzyła z przyjemnością na rzędy słoików błyszczących na półkach. Były piękne... purpurowe śliwki, śnieżnobiałe gruszki, zielony agrest i różowawy rabarbar. A pod nimi, na następnej półce, krwistoczerwone buraczki, kremowo-brązowe grzyby, czerwona kapusta, marynowane cebulki, korniszony i jej specjalność – żółty sos musztardowy z warzywami.

Pokiwała głową, zadowolona z rosnących zapasów, wyłączyła światło i wróciła do kuchni. Zerknęła na zegar. Za piętnaście minut przyjdzie na herbatę Evelyne Bourne. Alice cieszyła się na to spotkanie. Znała Evelyne od urodzenia, i choć ta była od niej młodsza o prawie dwadzieścia lat, przez ostatnie piętnaście były najlepszymi przyjaciółkami. Zbliżyły się do siebie, kiedy Evelyne przyłączyła się do Instytutu Kobiet w Little Skell Village i zaczęła w nim działać równie aktywnie jak Alice.

Napełniając czajnik i stawiając go na gazie, Alice myślała o ich Instytucie i zmianach, jakich dokonał w życiu kobiet wiejskich. I zawsze były to zmiany na lepsze – takie założenia przyświecały im od samego początku. Podobne instytucje zaczęły powstawać w Kanadzie pod koniec lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku, na początku dwudziestego wieku pojawiły się w Ameryce, aż wreszcie trafiły do Anglii.

W 1915 roku pewna angielska arystokratka, lady Denman, założyła tu pierwszy Instytut. Teraz rozprzestrzeniły się na wiele wsi w całym kraju. Miały tysiące członkiń, które staną się istnym błogosławieństwem, kiedy zacznie się wojna. Alice wiedziała w głębi ducha, że będą stanowić kręgosłup kraju, uprawiając wspólne działki, konserwując owoce, smażąc konfitury, robiąc na drutach szaliki i skarpety, szyjąc ubrania, zapewniając opiekę chorym i potrzebującym.

Wyjęła z kredensu filiżanki i spodeczki i postawiła je na kuchennym stole. Aż podskoczyła, kiedy raptownie otworzyły się drzwi i do domu wkroczył Harry, ponury jak gradowa chmura.

– Rany boskie, Harry, przestraszyłeś mnie! – zawołała, patrząc na syna i zastanawiając się, co go trapi. – Czy coś się stało?

– Nie, nic takiego, mam. – Zamknął drzwi z mniejszym impetem, podszedł do matki i objął ją. – Przepraszam, że tak wpadłem – powiedział, wtulając twarz w jej włosy – ale trochę się spieszę, to wszystko.

Wypuścił ją, przyjrzał jej się i obdarzył uśmiechem.

– Ślicznie wyglądasz, mam, naprawdę. Dobrze ci w czerwonym.

– Kpisz sobie ze mnie, Harry. Śliczna, w moim wieku – też coś!

– A jednak jesteś.

– A ty jesteś moim ulubionym synem.

Powtarzała mu to od lat i jak zwykle rozśmieszyła go.

– Teraz to ty sobie kpisz. Usiądź ze mną na chwilę, bo mam ci coś do powiedzenia.

– To brzmi poważnie. O co chodzi? – Nie spuszczała wzroku z jego twarzy.

– Już nie jestem z Pauline Mallard. Koniec. Kropka. Umarło. Jestem teraz wolny jak ptak.

Alice milczała przez chwilę, patrząc na niego. Jego wyznanie sprawiło, że poczuła ulgę. Myślała, że nigdy nie usłyszy tych słów. Bogu dzięki. Wreszcie odzyskała głos:

– Chcesz o tym porozmawiać?

– Nie mam nic przeciwko temu. Sądzę, że ty i Cecily powinnyście o tym wiedzieć, bo przez dłuższy czas martwiłyście się z tego powodu.

– Nie musisz mówić mi teraz; to chyba świeża sprawa i z pewnością jeszcze cię boli – mruknęła Alice.

– Dam sobie radę – powiedział, zmuszając się do uśmiechu. – Jestem już dużym chłopcem.

– No to co się stało? – spytała dręczona ciekawością Alice. Wiedziała, że syn był naprawdę zakochany i bardzo mu zależało na Pauline Mallard, więc nie chciał zerwać tego romansu.

Powoli, uważnie dobierając słowa tak, by nie urazić matki, Harry opowiedział jej o ostatnim spotkaniu z Pauline – tego pamiętnego piątku, kiedy jej mąż o mało nie wrócił niespodziewanie, by przyłapać ich *in flagranti*.

Alice nie przerywała mu. Słuchała z uwagą. Harry opowiedział jej o braku wiadomości od Pauline, a wreszcie o środowej wizycie w jej domu w Harrogate.

– Poczulem, że mnie rzuciła, i nagle zrozumiałem, że było tak, jak mówiłaś, mamo: ona mnie wykorzystywała. Oni już tu nie wrócą. Sprzedają dom i podobno mają zamiar zamieszkać w Paryżu, a przynajmniej tak twierdzi kucharka, pani Ladlow. Jeśli nawet zadzwoni do mnie albo skontaktuje się ze mną, nie chcę mieć z nią nic wspólnego. – Wstał i zakończył stanowczym tonem: – A poza tym ona rzeczywiście jest dla mnie za stara. I najprawdopodobniej za stara na rodzenie moich dzieci.

Alice zerwała się z miejsca i objęła syna. Rozplakała się, a w końcu szepnęła mu do ucha:

– Tak mi przykro, że cierpisz, Harry. Ale też bardzo się cieszę, bo teraz możesz zacząć nowe życie. I wiem, że gdzieś tam istnieje kobieta, która jest twoim przeznaczeniem. Znajdziesz ją, zobaczysz, i to wtedy, kiedy się nie będziesz tego spodziewał.

– Być może – odparł i pocałował ją w policzek. – Już nie płacz, mamo.

– Ale to łączy szczęścia.

– Wiem. – Idąc ku drzwiom dodał: – Jadę teraz na podwieczorek do komandora Jolliona. Gdy mnie zaprosili, chciałem się wykręcić, ale ta mała Phoebe Bellamy jest niepoprawna. Kiedy wbije w coś pazurki, już nie popuści. Ma zaledwie dwanaście lat, ale jest nieustępliwa jak diabli. Gdyby była starsza, myślałbym, że ma na mnie chrapkę, ale jasne, że nie ma. Nie patrz tak na mnie. Wiesz przecież, ile ona ma lat.

– Wiem, głuptasie. To uroczą dziewczynka z olbrzymim darem przekonywania. Jest przyzwyczajona do robienia rzeczy po swojemu, a rodzina ją rozpuszcza.

– Znasz Phoebe, mamo?

– Nie, jej ciotka, pani Jollion, żona komandora, należy do naszego Instytutu, a kiedy Adrianna tu przyjeżdża, przychodzi z nią na zebrania. A to matka Phoebe.

– I jak słyszałem, ma całą gromadkę potomstwa, nie tylko Phoebe, ale też paru synów.

– Zgadza się – przytaknęła Alice i pomyślała: ma jeszcze cztery inne córki, ale sam się o tym przekonasz.



Niedługo po wyjściu Harry'ego rozległo się delikatne pukanie do drzwi i do środka zajrzała Evelyne.

– To ja – powiedziała.

– Witaj, kochana. Wejdz, nie stój tam. – Alice rozpromieniła się na widok przyjaciółki.

– Mam wózek pełen dżemów i zawekowanych owoców. Mogę wnieść je do domu?

– Oczywiście. Pomogę ci.

– Wiesz, mamy prawdziwy problem – oświadczyła Evelyne. – Wyciągała słoiki z wózka

i po kolei podawała je Alice.

Alice ustawiła je na stole i odwróciła się do przyjaciółki.

– Jaki problem? – spytała z niepokojem.

– Obawiam się, że kończą nam się słoiki. Został mi może z tuzin. Masz jakieś?

– Dziesięć, to wszystko. Masz rację, to jest problem. Zastanawiam się, skąd wziąć więcej.

Może popytamy kobiety z wioski?

– Też ich nie mają. Spójrzmy prawdzie w oczy, nieźle się napracowałam. – Evelyn zaśmiała się nieszczercze. – Będziemy musiały wyżebrać, pożyczyć albo ukraść je skądś, inaczej się nie da.

Alice przytaknęła i zamyśliła się na moment. Wreszcie wykrzyknęła:

– Zaszalejemy i kupimy trochę. Nie mamy wyjścia.

– Nie są tanie.

– Tak, wiem. Spróbuję wycygnąć trochę od kucharki z rezydencji, ale ona też ostatnio robiła sporo przetworów. Namówię Cecyli, żeby kupiła jakieś w Londynie; wraca w przyszłym tygodniu. Damy jakoś radę. Pomożesz mi zanieść to wszystko do spiżarni? A potem zasiądziemy przy herbacie.

Zaniosły słoiki do spiżarni, a kiedy skończyły, Evelyn włączyła gaz, a Alice usiadła przy stole.

– Przed chwilą woda się gotowała – wyjaśniła. – Był tu Harry i wstawiłam czajnik, ale nie zrobiłam herbaty.

– Widziałam, jak odjeżdża na złamanie karku. Rzeczywiście się śpieszył.

– Powiedział mi, że się spóźni na podwieczorek do komandora Jolliona. Pamiętasz, potrafił Phoebe Bellamy, a któryś z naszych chłopców naprawił jej rower. Sądzę, że komandor chce mu podziękować albo coś w tym guście.

– Jest uroczy, to miły człowiek ten nasz Harry. Szczerze mu życzę, żeby znalazł miłą młodą kobietę, ustatkował się i miał szczęśliwe rodzinne życie.

– Niczego więcej nie pragnę – mruknęła Alice i dodała jeszcze ciszej: – Jest teraz wolny jak ptak, tak to określa. Problem nagle wyparował. – Alice uśmiechnęła się znacząco do przyjaciółki i zakończyła: – Ulotnił się jak kamfora.

– Byłam parę dni temu w Harrogate i widziałam w ogródku tego domu tabliczkę „Na sprzedaż”. Ucieszyło mnie to, bo to znaczy, że wyjechali. Mam nadzieję, że na dobre.

– Ja też.

Evelyn nalała wrzątku do imbryka i postawiła tacę na stole.

– Znasz kobietę, która została nową prezeską Instytutu w Harrogate?

– Nie, nie wydaje mi się. Ma takie długie nazwisko – przypomnij mi.

– Margaret Howell Johnson. Ona i jej mąż Stephen prowadzą wytworny sklep jubilerski przy głównej ulicy. Swoją drogą, Clara Turnbull mówiła mi, że Instytut z Harrogate kupił urządzenie do robienia konserw, i zastanawiałam się, czy mogłyby je nam pożyczyć... to rozwiązałoby nasz problem z brakiem słoików.

– Masz rację. Ciotka Charlotte pewnie ją zna. Prezeski często się spotykają.

– Zapytasz hrabinę? – Evelyn napełniła filiżanki. – Może twoja ciotka pojechałaby do pani Johnson i poprosiła ją o tę przysługę.

– Z pewnością wspomnę jej o tym, będę się z nią jutro widziała. Ale jeśli nie będzie chciała podjąć się tej misji, sama mogę tam pojechać, a może wybierzemy się razem?

– Byłoby miło – zawołała z entuzjazmem Evelyn. – I mogłybyśmy zjeść lunch w kawiarni U Betty. Ja stawiam.

– Podoba mi się ten pomysł – przyznała Alice, sącząc herbatę. – Nie byłam tam od

wieków.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Burnside Manor leżał w pobliżu wioski HighClough, i Harry dotarł tam o wiele wcześniej, niż się spodziewał, głównie dlatego, że na drodze nie było ruchu. Wjechał na dziedziniec elżbietańskiego domu i ujrzał siedzącą na frontowych schodkach Phoebe.

Gdy się zatrzymał, dziewczynka zerwała się na nogi i podbiegła do samochodu. Wyłączył silnik i wysiadł, a Phoebe uśmiechnęła się szeroko i podała mu rękę.

– Dzień dobry, panie Swann. Strasznie się cieszę, że pan przyjechał.

– Czekałem na to niecierpliwie – powiedział z uśmiechem; zdziwił się, jak łatwo przyszło mu to kłamstwo. Ale ta dziewczynka miała w sobie coś wyjątkowego, co podnosiło go na duchu. Może chodziło o tę masę piegów, sterczące miedziane włosy, zawadiacki uśmiech. Nieważne zresztą, co to było. Uważał po prostu, że jest ujmująca.

– Niech pan lepiej wyjmie kluczyk ze stacyjki – poradziła, posyłając mu znaczące spojrzenie.

– Dlaczego? – spytał, zbity z tropu.

– Bo moi bracia bliźniacy kochają samochody i mogliby wśliznąć się do niego i ruszyć pańskim gruchotem na przejażdżkę. Niech pan tak na mnie nie patrzy, panie Swann, mówię prawdę. Już to wcześniej robili. Ale nigdy nie mieli kraksy. Jeszcze nie.

Roześmiał się i schował kluczyki do kieszeni.

– Lepiej się teraz czujesz? – spytał.

– Straciłam ząb – oświadczyła. Uśmiechnęła się szeroko, ukazując puste miejsce w buzi. – Przewróciłam się i go wybiłam. Sabrina mówi, że nie powinnam otwierać ust, ale nie mogę. Zresztą mama zabierze mnie w przyszłym tygodniu do dentysty, więc się nie martwię.

– Nie powinnaś się niczym martwić, jesteś na to o wiele za młoda.

– Ale martwię się o mnóstwo spraw. Nieważne. Opowiem panu o moim rodzeństwie.

– A nie powinniśmy już iść na podwieczorek? Jest czwarta – stwierdził, zerkając na zegarek.

– Podwieczorek jest o wpół do piątej. Kamerdyner uderzy w dzwon okrętowy. Wujek woli go od gongu, bo czuje się wtedy jak na okręcie.

– Rozumiem. – Harry starał się zachować kamienną twarz. – No to skoro mamy czas, opowiedz mi o rodzeństwie. Lepiej, żeby wiedział, co mnie czeka.

– Och, wiem, że pana polubią, panie Swann. A pan też ich polubi. A może nie. Ale nie musi pan z nimi mieszkać, a ja muszę.

– Siądźmy tu na schodach, dobrze? A może wolisz wejść do środka?

– Lepiej zostanmy na dworze – powiedziała stanowczo Phoebe. – Wiadomo, że pewne osoby podsłuchują. No wie pan, szpiedzy.

Usiedli obok siebie na schodach i Phoebe odezwała się cicho:

– Zauważył pan moje włosy? Ścięłam je parę dni temu.

– Niezwykłe – stwierdził, rzucając jej aprobujące spojrzenie. – Bardzo oryginalne – dodał, niezbyt pewny, jak pochwalić nastroszoną, postrzępioną fryzurę, która nie dodawała jej urody.

– Och, bardzo dziękuję! Cieszę się, że się panu podobają, bo nikt inny ich nie docenił. Sabrina twierdzi, że powinnam sobie kupić perukę teatralną i nosić ją, póki nie odrosną.

– Wciąż wspominasz o Sabrinie. Zaczniemy od niej? – zasugerował. Sprawiało mu

przyjemność towarzystwo tej zabawnej, nad wiek dojrzałej dwunastolatki. Przypominała nieco Dulcie; też go rozśmieszała.

– Sabrina ma piętnaście lat i uważa, że ma najlepszy gust z całej rodziny. Zawsze krytykuje mnie i innych. Ale jest wspaniała. Nazywamy ją rodzinną pięknoscią... tak jak lady Daphne jest najpiękniejsza w rodzinie Inghamów. I jest moją prawdziwą siostrą.

– Co rozumiesz, mówiąc „prawdziwą”?

– O rany, nie wie pan o mojej matce i wszystkich jej mężach, tak? No więc Sabrina to moja rodzona siostra. Mamy tego samego ojca, Gregory’ego Chancellora Bellamy’ego. To również ojciec bliźniaków, Gregga i Chance’a. Wszyscy jesteśmy rudzi jak ojciec. Reszta nazywa nas marchewkowymi czubkami, ale nie przejmujemy się tym i trzymamy się razem, zwłaszcza kiedy musimy się bronić.

– A dlaczego musicie to robić?

– Mam jeszcze trzy siostry. Claudia ma trzydzieści jeden lat i nigdy nie wyszła za mąż. Angelica ma dwadzieścia dziewięć i niedawno się rozwiodła. To córki matki i Alana Robertsona, więc są moimi przyrodnimi siostrami. I potrafią być apodyktyczne. Dyrygują nami, jakby wiedziały, co jest dla nas najlepsze.

– Rozumiem. Ale mówiłaś, że masz trzy siostry, a wymieniłaś tylko dwie.

– Zawsze traktuję Palomę oddzielnie, bo ona jest bardzo, ale to bardzo wyjątkowa. To też moja przyrodnia siostra, ale bardzo mnie kocha i moim zdaniem jest po prostu cudowna. Ma dwadzieścia siedem lat i też jeszcze nie wyszła za mąż.

– A kim jest jej ojciec? – spytał Harry, zaintrygowany tymi wszystkimi braćmi, siostrami i ich różnymi ojcami, nie wspominając już o Adriannie, matce tej gromadki.

– To aktor, Adrian Glendenning – szepnęła, nachylając się ku niemu. – Matka twierdzi, że był miłością jej życia, i nie rozumie, czemu pozwoliła mu dać drapaką.

– A gdzie się teraz podziewają ci wszyscy mężowie? – spytał z ciekawością, tłumiąc chichot.

– Nie wiem – mruknęła, wzruszając ramionami. – Gdzieś się chyba pętają. Lepiej chodźmy do środka: Gaston zaraz uderzy w dzwon.



Phoebe wprowadziła Harry’ego do domu dokładnie w chwili, gdy zabrzmiał dzwon. Przeszli przez galerię, ponaglani jego żałobnym echem. Phoebe wzniosła oczy ku niebu, a Harry roześmiał się na widok jej miny.

Galeria była długa i szeroka, w stylu typowym dla Tudorów; uświadomił sobie, że zawsze podobał mu się ten dom. Nie odwiedzał go zbyt często, ale kiedy tylko zaglądał tu, by zobaczyć się z Jollionami, podziwiał jego piękną elżbietańską architekturę.

Rozejrzał się dokoła; podobała mu się mnogość kwiatów w wysokich szklanych wazonach, pejzaże na ścianach i ogólny wystrój. Obszerne sofy i fotele były obite jasnymi materiałami, pełne poduszek, i wyglądały na wygodne. Jego wzrok przyciągnęło kilka eleganckich staroświeckich komódek i pomyślał, że mahoń idealnie pasuje do jasnej boazerii.

– Zawsze jemy podwieczorek w zielonym pokoju – powiedziała Phoebe. – To tutaj. – Wskazała ciężkie dębowe drzwi okute żelazem. Pchnęła je i wprowadziła gościa do środka.

Najpierw uderzyło go, jak dużo światła wpada przez okna z małych szyb. Pokój był przestronny i pełen kwiatów doniczkowych, w tym wiele rozmaitych kolorowych storczyków.

Wyszła mu naprzeciw uśmiechnięta Sylvia Jollion, żona komandora.

– Dzień dobry, Harry. Tak się cieszymy, że mogłeś dziś do nas dołączyć.

- Dziękuję za zaproszenie – odparł, ściskając jej rękę.
- Miło cię widzieć, Swann – powiedział komandor, przyłączając się do żony.

Komandor miał typową postawę wojskowego. Był wysoki, trzymał się prosto i nosił wysoko głowę. Miał dosyć srogą minę, ale Harry wiedział, że to przykrywka dla jego prawdziwej natury. Komandor Edgar Jollion z królewskiej marynarki wojennej był wrażliwy, troskliwy i gotów pomóc w potrzebie każdemu.

– Bardzo się cieszę, że pana widzę, komandorze – powiedział Harry. – Wpadłem parę dni temu na Noela i dowiedziałem się od niego, że wkrótce przejmuje pan nowy okręt. Gratuluję.

– Dzięki, Swann, i dziękuję również za zaopiekowanie się małą Phoebe, która bez wątpienia wdarła się na ziemie Cavendon.

– Niezupelnie, komandorze, i naprawdę to ja nie uważałem.

– Muszę też podziękować za odprowadzenie jej roweru do suchego doku. Wrócił w idealnym stanie.

– Wygląda jak nowy – rozległ się rozbawiony kobiecy głos.

Obaj mężczyźni odwrócili się, a komandor powiedział:

– O, Adrianno, pozwól, że ci przedstawię Harry’ego Swanna... to moja siostra i matka Phoebe, Adrianna Bellamy.

Wyciągnęła ku niemu białą dłoń o długich palcach. Harry ujął ją; skóra była chłodna i gładka jak jedwab.

– Miło mi panią poznać, pani Bellamy. Phoebe dużo mi o pani mówiła.

– Z pewnością! – roześmiała się Adrianna z błyskiem w jasnozielonych oczach. – Wzruszyło mnie, że zadał pan sobie trud, by odwieźć ją do domu po kraksie, panie Swann. Większości ludzi by się nie chciało. Dziękuję.

– Nie mogłem przecież pozwolić, żeby szła na piechotę całą drogę, no i nie byłem całkiem pewien, czy nie zrobiła sobie jakiejś krzywdy. Twierdziła, że nie, ale postanowiłem odstawić ją w bezpieczne miejsce.

– I tak pan zrobił – zawołała Phoebe. – Usiądźmy tutaj, mamusiu, zanim wpadnie Chmara.

– Dobry pomysł, Phoebe – zachichotał komandor. – Ale ty zawsze siedzisz na czubku masztu, wypatrując niebezpieczeństwa.

– Tak, wujku Edgarze, tak jak mnie nauczyłeś. Spisałam się jako kadet, prawda?

Rozległ się chóralny śmiech i wszyscy zajęli miejsca na dwóch dużych sofach i fotelach.

– Jak tylko przyjdzie Noel, zadzwonię na Gastona – powiedziała pani Jollion. – Nie musimy czekać na resztę; ostatnio pojawiają się o różnych porach.

– To dobry pomysł, Sylvio – mruknęła Adrianna. – Robią to już od lat, i nie ma sensu się tym przejmować, a nawet wspominać o tym. Przychodzą i wychodzą, kiedy chcą, a teraz i ja tak działam. Jeśli im nie zależy, to mnie też.

Jollionowie roześmiali się, a Phoebe puściła do niego oko; Harry uśmiechnął się, zdając sobie sprawę, jaką są ciepłą i kochającą się rodziną. Polubił Adriannę od pierwszego wejrzenia. Była bezpośrednia, towarzyska i dyskretnie przystojna. Bez fajerwerków. Po prostu dobry wygląd, zgrabna budowa, śliczna cera i sięgające do pasa błyszczące włosy w miodowym odcieniu.

Wyglądała bardzo młodo, na nie więcej niż trzydzieści pięć lat. Ale wiedział, że musi być dużo starsza, skoro jej najstarsza córka, Claudia, ma trzydzieści jeden. Czyżby zbliżała się do pięćdziesiątki? Nie, to niemożliwe. Ale, poprawił się w myślach, musi tyle mieć.

Adrianna siedziała naprzeciwko; spojrzała na niego i zmrużyła oczy. Uśmiechnął się do niej i odwrócił wzrok, zdając sobie sprawę, że się na nią gapił. Zachichotała i powiedziała, jakby

czytając w jego myślach:

– Tak, rzeczywiście mam trzydziestojednoletnią córkę, panie Swann. A ja mam pięćdziesiąt jeden lat.

Harry poczuł, że się czerwieni, ale zdołał przywołać swój najbardziej ujmujący uśmiech.

– Myślałem właśnie, jak uroczo pani wygląda, pani Bellamy. Nie zastanawiałem się nad pani wiekiem.

– Ale większość ludzi to robi. A znając moją Phoebe, która jest nieznośną gadułą, jestem pewna, że mnóstwo o mnie naopowiadała.

– Nie, mamusiu, wcale nie! – zawołała Phoebe. Złapała matkę za rękę. – Mówiłam wyłącznie o innych. Ale nie o Palomie – jej nie wolno ruszać.

– Istotnie – stwierdziła pani Jollion i spojrzała na drzwi, przez które wchodził właśnie Noel. – O, jesteś, kochanie. Zadzwoń po Gastona i napijmy się herbaty.

Noel przyłączył się do grupy, przywitał się ze wszystkimi i usiadł obok Harry'ego.

– Więc wreszcie przyszedłeś, Harry. Cieszę się, że cię widzę. Jak się mają Miles i Cecily? Wrócili już?

– Nie, ale wkrótce tu będą. Wyjeżdżają jutro z Berlina – wyjaśnił Harry. – Lady Daphne i pan Stanton wrócą parę dni później.

– Aha, pojechali do Berlina? – spytał komandor. – Słyszałem, że ostatnimi czasy to bardzo zmilitaryzowane miasto. Ciekaw jestem, jak niemiecka marynarka wojenna reaguje na Trzecią Rzeszę. Wszelkie jej standardy przeczą ideologii nazistowskiej. Wiecie, oni wzorowali się na naszej marynarce, która ma ponad czterysta lat. Jako dżentelmeni mamy swoje zasady postępowania, i oni też ich przestrzegają.

– Moja siostra Cecily mówiła, że miasto jest pełne mundurów i mnóstwa teatralnych efektów – zauważył Harry. – I stało się bardzo kosmopolityczne.

Zanim komandor zdążył odpowiedzieć, przy drzwiach powstało nagłe zamieszanie. Gaston i dwie pokojówki wnieśli podwieczorek.

Przy oknie, blisko siedzisk, stał duży okrągły stół. Kamerdyner i pokojówki rozstawili na nim wszystko i zaczęli przygotowywać posiłek.

Patrząc na nich, Harry nie mógł powstrzymać myśli, że w Cavendon podaje się taki sam szeroki wybór kanapek, bułeczek, śmietany, dżemów i ciastek. Przypuszczał, że w każdej angielskiej rezydencji podwieczorek wygląda podobnie. Jako członek rodziny Swannów wychowywał się „między schodami”: znał rytuały Inghamów, lecz nie był częścią ich klasy społecznej. Ale nie należał też do służby – Swannowie zajmowali wyjątkową pozycję.

Phoebe zerwała się z miejsca i usiadła na fotelu obok Harry'ego.

– Za chwilę nadciągnie Chmara, i chcę być koło pana. W końcu jest pan moim przyjacielem, nie ich.

– Oczywiście – odparł. Zorientował się, że nie chce zostać zepchnięta na bok. Uchwycił spojrzenie Adrianny, patrzącej na niego z ciekawością, i uśmiechnął się do niej.

Odważemniła uśmiech, a on nagle zrozumiał, że charakteryzuje ją ogromny urok i znajomość ludzkiej natury. Wiedziała, co powoduje ludźmi, a zwłaszcza mężczyznami. Jej subtelna urodę podkreślała szyfonowa suknia w kolorze brzoskwini, długa, powiewna i bardzo kobieca. Magia, pomyślał. To jest to. Dysponuje przemożną magią.

– Podano do stołu, madam – oznajmił kamerdyner.

– Dziękuję, Gastonie – odparła pani Jollion i gwałtownie się odwróciła, kiedy do pokoju wpadli z impetem dwaj rudowłosi chłopcy, a za nimi weszła bardziej statecznie dziewczyna o równie płomiennych włosach.

– To moi bracia i moja siostra Sabrina – poinformowała go Phoebe.

– Rozumiem, co miałaś na myśli, mówiąc o marchewkowych czubkach – zauważył Harry. Poklepał ją po ręce. – Siedz tu. Chcę cię mieć po swojej stronie, kiedy nadleci tu ta Chmara.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Harry nie potrzebował dużo czasu, by pojąć, że trafił w sam środek wyjątkowej, nieco trącej cyganerią rodziny, przynajmniej jeśli chodziło o Adriannę Bellamy i gromadę jej dzieci.

Poza fizycznym podobieństwem do brata: wzrostem i jasną kolorystyką, Adrianna, o ile mógł to osądzić, była pod wieloma względami jego przeciwieństwem.

Komandor i pani Jollion byli statecznymi ludźmi, twardo stąpającymi po ziemi. A jednak wyglądało na to, że cieszą się z obecności Adrianny i jej rodziny. Harry rozumiał, czemu tak jest. Jej stadko było zabawne, urocze i sympatyczne, i ożywiało towarzystwo.

Możliwe, że istniał jeszcze jeden powód, dla którego ich akceptowali i zachęcali do swobody. Jollionowie stracili pierwsze dziecko, Kaya, który miałby teraz dwadzieścia dwa lata. Zmarł w wieku siedmiu lat na rzadką odmianę nowotworu. Harry wiedział od swojej ciotki Charlotte, że był to dla nich ogromny cios. Na szczęście żył drugi syn, Noel, i oboje mieli bzika na jego punkcie, ale to Adrianna i jej dzieci wniosły do tego domu radość.

Podwieczorek trwał w najlepsze, było dużo gadania i śmiechu. Wszyscy dobrze się bawili, a Harry czuł się wśród nich swobodnie, rozkoszując się ich bezwarunkową akceptacją.

Kilka minut po przybyciu Sabriny i bliźniaków, Grega i Chance'a, pojawiły się trzy starsze siostry.

Claudia i Angelica były bardzo podobne do siebie i do matki. Miały jej miodowe blond włosy i jasnozielone oczy.

Trzecia z młodych kobiet w niczym nie przypominała pozostałych dzieci Adrianny. Jej ojciec, Edward Glendenning, był znanym aktorem filmowym, i Harry uznał, że córka jest do niego niezwykle podobna. Miała czarne włosy Edwarda i niebieskie oczy okolone czarnymi rzęsami.

Harry przywykł do „błękitu Inghamów”, ale oczy Palomy wyglądały na bardziej niebieskie, prawie fioletowe. A może to jej czarne włosy podkreślały jeszcze ich kolor. W każdym razie była ładną kobietą o wysokich kościach policzkowych i kształtnym nosie podobnym do ojcowskiego, po Adriannie zaś odziedziczyła wzrost i smukłą, wdzięczną sylwetkę.

Podobnie jak reszta rodzeństwa podeszła do niego i przedstawiła mu się. A potem, za namową Phoebe, usiadła na sofie naprzeciwko niego.

Szybko uświadomił sobie, że bije z niej spokój, stanowiący jaskrawy kontrast z zachowaniem braci i sióstr.

Phoebe wdarła się w jego rozmyślania, pytając półgłosem:

– Co pan sądzi o tej bandzie? Niezłe charakterki, no nie?

– A ty, panno Phoebe, jesteś najlepszym charakterkiem z nich wszystkich – powiedział, tłumiąc śmiech. – Muszę przyznać, że jesteś wyjątkowa, a oni są bardzo mili. Łatwo ich polubić.

Phoebe, która uwielbiała komplementy, rozpromieniła się.

– Nie jest pan zadowolony, że mnie pan potracił? Gdyby nie to, nie poznałby pan nas.

– Święta prawda. I nie mogę pojąć, czemu nie spotkałem was wcześniej, a nawet o was nie słyszałem.

– Mój ojciec nie lubił przyjeżdżać do Yorkshire, a nie chciał, żeby mamusia przywoziła nas tu bez niego – powiedziała poufnym tonem. – Więc zawsze zapraszała ciocię Sylwię, wujka Edgara i Noela do swojego domu w hrabstwie Kent. Mój ojciec tam też nie chciał jeździć, bo

dom należy do mamy, a nie do niego. Mama mówi, że on nie lubił jej byłych mężów ani brata, co ją denerwowało. Więc w końcu się rozwiedli. I wtedy zaczęliśmy tu przyjeżdżać. Ale tylko na sierpień, bo chłopcy muszą wracać do Eton.

– Więc wkrótce wyjedziecie?

– Za dwa tygodnie. Może przyjdzie pan jeszcze na podwieczorek? – zaproponowała Phoebe, a potem nagle coś przyszło jej do głowy: – Mógłby pan odwiedzić nas w Londynie. Mieszkamy w Kensington, a mamusia uwielbia towarzystwo i gotowanie. Mógłby pan zjeść z nami obiad.

– Być może – mruknął Harry, świadomy, że Phoebe ma dopiero dwanaście lat i nie powinna zapraszać go na obiad bez pozwolenia matki.

Przez chwilę panowało niezręczne milczenie, a kiedy zobaczył rozczarowanie na twarzy Phoebe, spytał lekkim tonem:

– Nie powiesz mi, że mieszkacie wszyscy razem?

– Nie, tylko rodzina Bellamy. Claudia, Angelica i Paloma mają własne mieszkania. Ale często nas odwiedzają. – Zaczęła się śmiać. – Tęsknią za nami, urwisami.

Paloma, która przysłuchiwała się ich rozmowie, wtrąciła:

– Jestem pewna, że nasza matka chętnie zaprosi pana, mnie i moje siostry. Jest wspaniałą kucharką i uwielbia wydawać przyjęcia. – Przerwała na chwilę, a potem dodała pośpiesznie: – Ale zanim to nastąpi, zastanawiam się, czy ja mogłabym wprosić się do Cavendon? Powinam raczej powiedzieć: obejrzeć ogrody Cavendon? Jestem fotografką. Wiem, że moja ciotka przyjaźni się z hrabiną, i mogłaby to bez trudu załatwić. Z drugiej strony, pan jest zarządcą majątku i...

– Pan Swann stworzył te ogrody – wtrąciła się Phoebe. – Ciotka Sylvia twierdzi, że są fantastyczne, pełne magii.

– Naprawdę tak mówi? – spytał ze zdziwieniem Harry.

– To jej własne słowa, panie Swann, a ona nigdy nie przesadza. – Paloma przerwała, lecz nie mogła oderwać od niego wzroku.

Harry odwzajemnił jej spojrzenie, zahipnotyzowany przez fiołkowe oczy. Poczul nagły ucisk w piersiach, dreszcz podniecenia. Oszłomił go ten napływ uczuć.

Nie mógł tego wiedzieć, ale Paloma była równie zaskoczona swoją reakcją. Nigdy w życiu nie zareagowała tak szybko i w ten sposób na mężczyznę. Czowała nieodparte przyciąganie, potrzebę, by lepiej go poznać. Dużo lepiej. Pogrążyła się, a to nie było do niej podobne.

Phoebe, świadek całej sytuacji, uśmiechnęła się w duchu. Nie chciała przełamać czaru, pod którego wpływem znaleźli się oboje, więc siedziała cicho. A oni zapomnieli o całym świecie, widzieli tylko siebie. Po chwili Phoebe uznała, że musi interweniować. Ktoś mógłby coś zauważyć.

– Mogę pójść z tobą, Palomo? – spytała. – Być twoją asystentką? Proszę...

Paloma wyprostowała się gwałtownie, odchrząknęła i odparła:

– Oczywiście, możesz nosić mi filmy.

– Nie musi pani prosić ciotki, żeby spytała moją ciotkę, panno Glendenning – oświadczył Harry, któremu udało się wziąć w garść. – Może pani fotografować ogrody o dowolnej porze. Z przyjemnością oprowadzę panią po nich.

– Możemy przyjść jutro? – spytała Phoebe.

– Lepsza będzie niedziela. Niedzielnny ranek, panno Glendenning – odparł, patrząc na Palomę.

– Dziękuję. I proszę mówić do mnie po imieniu, my tutaj nie bawimy się w takie

ceregiele.

Harry zdobył się tylko na ruch głową, zauroczony wpatrzonymi w niego oczami.

– Harry – wykrztusił. – Mów mi Harry.

Uśmiechnęła się do niego. On odwzajemnił uśmiech.

A Phoebe uśmiechnęła się do obojga.



Harry wracał powoli do Cavendon, nieco zamroczony i naprawdę zdumiony własnym zachowaniem. Nie mógł uwierzyć, że zareagował tak żywo na intensywne i znaczące spojrzenie Palomy. I że odpowiedział na nie tym samym, czując przypływ podniecenia. Czyżby był aż tak płytki?

Zaledwie kilka godzin temu targła nim furia na myśl o ucieczce Pauline Mallard, czuł się zraniony i odrzucony, i zastanawiał się, czy kiedykolwiek przeboleje rozstanie z kobietą, którą tak kochał.

Ale czy kochał Pauline? A może to była żądza, jak często sugerował Miles? Może zauroczenie, a nie prawdziwa miłość? Nie miał pojęcia... ale był pewien, że Paloma chce się z nim jeszcze zobaczyć. Fotografowanie ogrodów Cavendon to zwykły pretekst. Ale sęk w tym, że on też ma na to ochotę.

W drodze przez wioskę High Clough uprzytomnił sobie nagle, że sprytna Phoebe była świadkiem, jak gapili się na siebie w nabożnym skupieniu. Przerwała ten trans, odzywając się do nich. Zanim inni go zauważyli? Dlatego to zrobiła? Nie był pewien... niczego już nie był pewien – nawet siebie. Może nie jest tym, za kogo się uważał.

Gdy dojechał do wioski Little Skell, słońce zaczynało zachodzić; zaparkował samochód przy domu i zerknął na zegarek. Zdumiał się: było już wpół do ósmej. Zasiedział się w Burnside Manor.

Wzdrygnął się, wchodząc do domu. Było chłodno, a w powietrzu czuło się wilgoć. Zapalił światło w holu i wszedł do pokoju dziennego. Wydał mu się ciemny i ponury, więc szybko włączył kilka lamp. Mimo to wciąż miał wrażenie panującego mroku. Usiadł na sofie i zdał sobie sprawę z otaczającej go pustki.

Był tu sam. Jak zawsze.

Westchnął, oparł się o poduszki i zamknął oczy, zastanawiając się, co robić. Nie miał ochoty przygotowywać sobie posiłku, a nawet iść do pubu na piwo, choć byłoby to przyjemniejsze niż siedzenie tutaj.

Mam czterdziestkę – rozmyślał. – I jestem samotny. Żadnej kobiety przy moim boku, żony, dzieci. Owszem, mam rodzinę i przyjaciół. Ale nikogo, z kim mógłbym dzielić życie. I sam to sobie uczyniłem. Głupie flirty, nic poważnego. A potem długie miesiące z mężatką, która nie zamierzała opuścić dla mnie męża...

Rozległo się pukanie do drzwi; usiadł prosto i otworzył oczy. Zobaczył, że do pokoju wchodzi matka.

– Tu jesteś, Harry – powiedziała Alice. – Czemu tu siedzisz, sam jak pies? No już, idziemy.

Podszedł do niej i uścisnął ją.

– Dokąd, mamco?

– Do domu, w którym wyrosłeś. Gdzie pali się na kominku i dostaniesz ciepły posiłek.

Czekałam na ciebie z kolacją. – Rozejrzała się po pokoju i potrząsnęła głową. – Strasznie tu zimno i smutno.

Wyszli i po chwili Harry wchodził do domu rodziców. Od razu poczuł, że wraca mu humor. W kominku buzował ogień, a w powietrzu unosił się aromat pysznego jedzenia. W tle grało cicho radio. Cieszył się, że matka go tu sprowadziła.

Alice zajrzała do piekarnika, wyprostowała się i powiedziała:

– Chodźmy do pokoju, Harry, wypijmy drinka i opowiesz mi wszystko o dzisiejszym podwieczorku. Byłeś tam do tej pory?

Skinął głową i poszedł za nią do pokoju z widokiem na ogród. Pokój był przestronny, z dużymi oknami; w oddali widać było wrzosowiska.

– Sherry czy whisky? – spytał matkę, która poprawiła drwa na kominku i dołożyła nowe polano.

– Sherry, proszę – odparła.

Po chwili siedzieli już naprzeciwko siebie przed kominkiem. Harry trącił się z matką i powiedział:

– Wyobraź sobie, że siedziałem tam prawie do siódmej.

– Dziewczeta nie chciały cię wypuścić, prawda? – skwitowała z uśmiechem Alice.

– Wiedziałas, że Adrianna Bellamy ma aż tyle córek? Czemu mnie nie uprzedziłaś? – spytał z marsową miną.

– A po co? Jesteś dorosły, możesz sam o siebie zadbać. – Alice uśmiechnęła się znacząco.

– Pomyślałam, że to będzie dla ciebie miła niespodzianka. To co, znalazłeś taką, która ci się spodobała, wybrałeś którąś?

Harry wybuchnął śmiechem. Kiedy wreszcie się uspokoił, odparł:

– Jedna z nich wybrała mnie, mamo.

– Naprawdę? – Alice spojrzała na niego z zaciekawieniem. – Czy tylko się ze mną droczysz, Harry Swannie?

– Nie, skądże. – Pociągnął łyk whisky i przez dłuższą chwilę patrzył w ogień. W końcu opowiedział jej dokładnie, co się wydarzyło podczas podwieczorku, i o tym, jak zareagowała na niego Paloma. Wyznał jej całą prawdę; nigdy nie kłamał matce. Zawsze wiedziała o nim wszystko.

Alice wysłuchiwała go z uwagą. Wreszcie odezwała się:

– No cóż, wyraźnie jest tobą zainteresowana. A skoro ty tak szybko zareagowałeś, zapraszając ją do obejrzenia ogrodów, to znak, że przypadła ci do gustu.

– Tak mi się zdaje, ale muszę przyznać, że byłem zdziwiony jak nigdy w życiu. Na chwilę przedtem, zanim tam pojechałem, wściekałem się z powodu zachowania Pauline. Wierzyłem, że ją kocham, wiesz o tym. – Potrząsnął głową. – Nie mam pojęcia... nie wiem, co mam o sobie myśleć.

– Ja wiem, co mam o tobie sądzić, Harry. Odzyskałeś rozsądek, uświadomiłeś sobie, że Pauline Mallard nie jest jedyną kobietą na świecie. Co do twojej miłości uważam, że w pewnym sensie to prawda. Byłeś nią zauroczony, podobała ci się z wyglądu i łączył was wzajemny pociąg seksualny. Ujmę to tak: myślałeś, że jesteś zakochany, bo targały tobą silne emocje. A teraz odkochałeś się, i dobrze. – Po chwili milczenia dodała: – Ceci dzwoniła do mnie koło piątej. Chciała mnie zawiadomić, że w poniedziałek wracają z Zurychu do Londynu. Zostaną w mieście do wtorku, żeby mogła pójść do pracowni, a potem przyjadą do Cavendon. Nie mogą się doczekać spotkania z dziećmi.

– Cieszę się, że wkrótce tu będą, brakowało mi ich.

– Wiem. No to jak będzie z tą młodą damą, Palomą?

– Poznałaś ją, mamo?

– Nie, nie poznałam żadnego z dzieci Adrianny Bellamy. Wiesz, oni bywają tu dopiero od

paru lat i nie odwiedzają wioski. Tylko Adrianna była na spotkaniu Instytutu Kobiet z panią Jollion; wspominałam ci o tym.

– Ma dwadzieścia siedem lat. Wiem to od Phoebe. I nie jest podobna do reszty, która jest albo ruda, albo blond. Paloma ma czarne włosy i niebieskie, prawie fioletowe oczy, i jest bardzo spokojna.

– Spodobała ci się?

– Tak.

– Wiesz, kto jest jej ojcem?

– Oczywiście. Phoebe to kopalnia informacji. Paloma to córka Edwarda Glendenninga, tego aktora.

– Och, wiem, który to. Więc jest podobna z wyglądu do niego?

– Tak. Jest fotografem i chyba specjalizuje się w zdjęciach przyrody. A Phoebe mówi, że i ona, i jej starsze siostry mają własne mieszkania w Londynie. To tyle. Cieszę się, że ich poznałem. Cała rodzina jest miła, ale zatrąca o cyganerie.

– Ciotka Charlotte też to mówiła. Przyjaźni się z panią Jollion, która wyraźnie lubi szwagierkę i z przyjemnością gości u siebie całą gromadkę.

– Byli bardzo mili, i muszę przyznać, że młodsi są dobrze wychowani i uprzejmi.

Z wszystkimi łatwo znaleźć wspólny język. Jedno mnie uderzyło: komandor i pani Jollion wręcz ich uwielbiają.

– Wnoszą wiele radości do ich domu – mruknęła Alice. – I nie dziwi mnie, że są dobrze wychowani; Jollionowie to arystokratyczna rodzina, dobrze znana w Yorkshire. Może o tym nie wiesz, ale w Burnside Manor od jego budowy w czasach elżbietańskich mieszkali tylko Jollionowie.

– Nie wiedziałem. Byłem u nich zaledwie kilka razy, kiedy pani Jollion potrzebowała jakiejś porady z dziedziny ogrodnictwa.

– Aha, jeszcze jedno, Harry. Pierwszy mąż Adrianny ma tytuł szlachecki. To sir Alan Robertson, więc choćby stąd te dobre maniery.

– Och, sądzę, że tu chodzi o coś więcej niż maniery. Dużo więcej.



Harry Swann czuł przyływ energii, idąc przez park w Cavendon w sobotni poranek. Miał na sobie strój do konnej jazdy, jak zwykle w sobotę, kiedy objeżdżał majątek. Był w świetnym humorze i cieszył się na przejażdżkę.

Zbliżając się do altany, zauważył, że od strony Cavendon Hall nadchodzi pospiesznie kobieca postać. Gdy znalazła się bliżej, ze zdziwieniem rozpoznał w niej Palomę Glendenning. Zauważyła go, zamachała ręką i ruszyła biegiem ku niemu.

Zastanawiając się, co ona tu robi, ruszył szybko w jej stronę i dosłownie wpadli na siebie. Chwycił ją w ramiona, by uchronić ją przed upadkiem. Przywarła do niego, by zachować równowagę.

– Nic ci nie jest?

– Dziękuję, że mnie złapałeś. Nie potrzebujemy następnego wypadku w rodzinie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Mój ojciec spadł z konia. Upierał się, że sam będzie kręcił sceny z jazdą konną.

Wczoraj wieczorem matka odebrała telefon z Londynu. Jest w szpitalu. Ma złamane ramię.

– Bardzo mi przykro. To bardzo bolesny uraz. W czym mogę ci pomóc?

– W niczym. Ale chciałam powiedzieć ci osobiście, że nie będę mogła jutro przyjechać,

by sfotografować ogrody. Muszę jechać z matką do Londynu.

– Rozumiem – stwierdził, kryjąc rozczarowanie. – Możemy się spotkać, kiedy będę w Londynie? Chciałbym cię znowu zobaczyć.

– To świetny pomysł.

– W przyszłym tygodniu powinienem mieć parę wolnych dni. Gdzie mam pani szukać, panno Glendenning?

– Zapisałam ci mój numer telefonu. – Sięgnęła do kieszeni żakietu i podała mu kawałek papieru.

– Dziękuję – powiedział i schował go do wewnętrznej kieszeni na piersi. – Może wpadnę do miasta w przyszłym tygodniu. Jak to brzmi?

– Bardzo przyjemnie. Muszę wracać do Burnside i spakować rzeczy.

Oddalając się od niego, zawołała pogodnym głosem:

– Bądź ostrożny z końmi, Harry! – Pokiwała mu ręką i pobiegła tam, skąd przybyła.

Cóż to za niezwykła młoda kobieta, pomyślał, wyjmując z kieszeni karteczkę. Pod numerem telefonu widniało słowo „verte”. Odwrócił kartkę i przeczytał: „Nie zgub tego, proszę. Paloma”.

Uśmiechnął się w duchu, schował papier i pomaszerował do swojego biura, myśląc po drodze o Palomie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Był piękny słoneczny poranek, kiedy Diedre przybyła do budynku Ministerstwa Wojny w Whitehall. Pchnęła ciężkie drewniane drzwi i postanowiła iść na górę na piechotę. Lubiła to ćwiczenie i wciąż się zachwycała architekturą tego starego budynku widzianą z szerokich schodów.

Wzdłuż korytarzy na siedmiu piętrach mieściły się tysiące biur, skąd zarządzano armią brytyjską. Ona nie miała z tym nic wspólnego. W rzeczywistości nie pracowała w ministerstwie. Było tylko przykrywką dla działalności specjalnej grupy, do której należała i pracowała jeszcze podczas Wielkiej Wojny.

Grupa została założona w 1907 roku przez błyskotliwego młodego pułkownika wywiadu wojskowego i z biegiem lat odnosiła coraz większe sukcesy. Pułkownik przeszedł w stan spoczynku w latach dwudziestych, rozbudowawszy przedtem swoją specjalną jednostkę.

Niewielkim wydziałem dowodził teraz William Lawson, odpowiedzialny bezpośrednio przed premierem. O istnieniu jednostki wiedziało tylko kilka osób, w tym szef MI6.

Kilka należących do niej pokojów znajdowało się na piątym piętrze, na końcu długiego korytarza. Mała mosiężna tabliczka na drzwiach nosiła nic nieznaczący napis: „Biuro administracji”. Drzwi były stale zamknięte na klucz. Właściwa nazwa brzmiała Tajna Jednostka Specjalna.

Diedre podeszła do drzwi, otworzyła je i zamknęła za sobą własnym kluczem. Te drzwi musiały być zawsze zamknięte, nawet gdy w środku znajdowali się ludzie.

Zapaliła światło w przedsionku, przeszła krótkim korytarzykiem do swojego pokoju, otworzyła drzwi i podeszła do biurka. Zaledwie usiadła, zadzwonił telefon. Odebrała natychmiast.

- Halo? Kto mówi?
- Czy to Daffy Dilly?
- Tak, Toby. Gdzie jesteś? – spytała, z przyjemnością słuchając jego głosu.
- W pracy. Lepiej porozmawiajmy naszym językiem, jeśli chwytasz, o co mi chodzi.
- Tak. Niepewne wyposażenie?
- Możliwe. Chciałem ci powiedzieć o wspaniałym kawiorze.
- Zamieniam się w słuch. – Diedre wiedziała, że ma na myśli księżniczkę Irinę, której nadali kryptonim Kawior. Waleczny nosił kryptonim Źródło.
- Kawior spełnił nasze oczekiwania. Gdy go posmakujesz, będziesz chciała spróbować go ponownie. A źródło jest w porządku.
- Miło mi to słyszeć, Toby. Żałuję, że nie jestem w Berlinie.
- Ja też, bo uraczę się kawiozem w przyszłym tygodniu.
- Nie sądzę, żeby mi się udało, tak mi przykro – stwierdziła Diedre.
- Swoją drogą, jeśli chodzi o tę walizkę, to nie ma sprawy. Można będzie ją przekazać bez kłopotu, i to dosyć szybko. Co mam zrobić?
- To świetnie, im szybciej, tym lepiej. Załatw to migiem.
- Przez chwilę na drugim końcu linii, w Berlinie, panowała cisza.
- Jesteś tam, Toby? – spytała z niepokojem Diedre.
- Bardzo szybko – przytaknął. – Jestem. Ktoś po prostu zaglądał do mojego pokoju, więc musiałem go odgonić. Mów dalej.

– Rozumiem. Więc ogólnie wszystko jest w porządku?
– Niezupełnie – odparł cicho Tony. Westchnął.
– Co to znaczy? – spytała podniesionym głosem.
– Nieszczęśliwy rozwój wydarzeń – stwierdził Tony.
Diedre ścisnęła mocniej słuchawkę.
– Co się dzieje, Toby? Wiem, że jest jakiś kłopot. Słyszę, że jesteś zmartwiony.
– Myślę, że musimy kupić parę ciepłych skarpetek... ktoś tu ich potrzebuje.
– Kto? – spytała krótko Diedre; zrozumiała, że któregoś ze Steinbrennerów ma obawy w związku z ucieczką. Używali tego szyfru od lat i byli w nim całkiem biegli.
– Różowe – powiedział Tony. – Najlepsze będą różowe skarpetki.
– Bardzo dobrze, kupię takie. Małe, średnie czy duże?
– Obawiam się, że duże.
– Ktoś jeszcze o tym wie?
– *Moi*. Tylko ja. I tak musi zostać, zgoda? Żadnych plotek.
– Dobrze. Więc jak mogę ci pomóc? To ty jesteś w Berlinie... to znaczy, z walizką. I z tym problemem.

– W tej chwili nijak. Wierzę, że tata niedźwiedz coś z tym zrobi – odparł cicho.
– Tak musi być. I to szybko. Nie możemy zresztą czekać z kawiozem, bo może się zepsuć, a szkoda by było. Poza tym to może – nie, na pewno zdenerwuje źródło.
– Strzał w dziesiątkę. Gdzie będziesz podczas weekendu? Niewątpliwie tam, gdzie kwitnie wrzos i rudzik śpiewa.
– Istotnie. Jak się domyślasz, muszę usłyszeć śpiew rudzika. Mam do ciebie przekręcić?
– Tak. Będę tam gdzie zwykle, przez całą dobę.
– To jesteśmy umówieni.
– Wszystko się załatwi w przyszłym tygodniu.
Mam nadzieję, że masz rację, pomyślała Diedre, ale na głos powiedziała tylko:
– Trzymajmy to w sekrecie.
– Jasne, Daffy Dilly.



Diedre zerknęła na zegar na biurku. Była punkt ósma, pora, o której zwykle zaczynała pracę, i jak zwykle przyszła pierwsza.

Pomyślała o Cecyli: wiedziała, że musi z nią jak najszybciej porozmawiać, ale postanowiła odłożyć to na później.

Zapatrzona w przestrzeń, jeszcze raz przeanalizowała słowa Tony'ego. Księżniczka Irina dotrzymała słowa. Waleczny dostarczył konieczne dokumenty. Ale teraz pani Steinbrenner przestraszyła się wyjazdu z Berlina. Prawdopodobnie obawia się, że zostaną złapani w trakcie ucieczki i zabici na miejscu.

Ale jeśli zostaną w nazistowskich Niemczech, i tak zginą. Tylu ludzi zostało namierzonych i zastrzelonych z zimną krwią. Albo po prostu znikali i nikt ich już nie widział. Tysiące zamknięto w obozach koncentracyjnych lub wysłano do obozów pracy przymusowej.

Dlaczego nazywano je obozami koncentracyjnymi? Właściwa nazwa dla tych okropnych miejsc brzmiała: obozy śmierci.

Wzdrygnęła się na samą myśl o haniebnych zbrodniach popełnianych w tak zwanym cywilizowanym kraju. Władzę przejęły potwory. Nic dziwnego, że Waleczny był pełen niesmaku i wściekłości i dlatego robił, co mógł, by walczyć z reżimem i ratować ludzi. I dołączył do

generałów, którzy chcieli obalić Hitlera.

Telefon znów zadzwonił. Diedre sięgnęła po słuchawkę.

– Halo, kto mówi?

– Halo, Diedre, to ja – odezwała się Cecily. – Kiedy twój domowy numer nie odpowiadał, wiedziałam, że znajduję cię w pracy. Ja też już jestem w pracowni.

– Sądzę, że jesteś tam od co najmniej dwóch godzin – powiedziała ze śmiechem Diedre.

– Ależ nie. Swoją drogą, potrzebuję twojej rady. Nie chciałam nic mówić Grecie, dopóki nie porozmawiam z tobą. Wiem, że profesor mówił jej o spotkaniu w ambasadzie, bo wspomniał o tym podczas lunchu w piątek... Nie chcę popełnić błędu.

– Możesz opowiedzieć jej o wszystkim, co się działo w ambasadzie i podczas lunchu, bo jestem pewna, że ją o tym poinformował. Ale nie wolno ci czynić jej jakiegokolwiek nadziei, że się stamtąd wydostaną. Nie wolno, i już.

– Rozumiem – odparła Cecily. Słysząc było, że jest przygnębiona. – Miałam nieuzasadnioną nadzieję, że coś się może wydarzyć, kiedy pojedziesz do Berlina, ale tak się nie stało, prawda?

– Tak mi przykro, Ceci, ale nie. Nie byłam w stanie uzyskać pomocy dla nich. Tony powiedział wręcz, że cieszy się, że wyjeżdżamy, bo w Berlinie wciąż rośnie napięcie. I nikt nie wie, co się może stać. Powiedział, że Hitler ponoć wpadł w szal, miota się po Kancelarii Rzeszy i wrzeszczy o wojnie światowej.

– O Boże, to straszne! Biedni Steinbrennerowie.

– Nie mów jej o tym, co opowiadał Tony, to ją tylko wystraszy.

– Obiecuję. To by przstraszyło każdego, kto ma tam rodzinę, a zwłaszcza taką, która nie może się stamtąd wydostać. Co mam jej powiedzieć, jeśli spyta, czy udało nam się coś załatwić?

– Myślisz, że o to spyta? – zastanawiała się głośno Diedre. – Nie jestem pewna. Ale gdyby jednak, powiedz, że słyszałaś ode mnie, a ja od kogoś attaché z ambasady brytyjskiej, że skończyły się wizy wyjazdowe i już nikt nie może wyjechać. A to prawda.

Przez chwilę panowało milczenie, które przerwała Cecily.

– Zastanawiam się, jak ona to zniesie? – powiedziała płaczliwie. – Była pewna, że jakoś im się uda.

– Jest do ciebie przywiązana, a ty możesz ją wspierać, Cecily. Ja też, jeśli będziesz mnie potrzebować. Zrobię, co będę mogła – obiecała cicho Diedre. – Wystarczy, że mnie poprosisz.

– Och, wiem, Diedre. Jesteś taka dobra. Tak czy owak, muszę się sprężyć i poradzić sobie z tym. Mam dziś mnóstwo roboty. Wybierasz się na weekend do Cavendon?

– Oczywiście. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę mojego Robina.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Po skończonej rozmowie z Diedre Cecily zajęła się papierami rozłożonymi na biurku. Były to przeważnie listy fabryk, z których usług korzystała firma, i kobiet, które szyły ręcznie ekskluzywne stroje.

Rozmyślała intensywnie nad nowym przedsięwzięciem, które musi zrealizować w najbliższej przyszłości. Robiąc notatki, poczuła, że w pokoju jest zbyt ciepło, więc wstała i otworzyła okno.

Usłyszała hałasy dochodzące z Piccadilly i uświadomiła sobie, że w mieście, które tak kocha, rozpoczął się nowy dzień pracy. Zerknęła na ulicę i zobaczyła, że ciotka Dorothy zmierza w stronę budynku, w którym znajdują się nowe biura. Cecily kupiła go w 1934 roku, co okazało się wyśmienitą decyzją. Ponieważ firma rozwijała się szybko, potrzeba było więcej miejsca dla powiększającego się personelu, a jedno piętro przebudowano na oddzielne pomieszczenia, gdzie produkowano ręcznie niektóre dodatki, między innymi kwiaty z materiału czy jedwabne apaszki.

Kilka minut później do biura Cecily wbiegła Dorothy Pinkerton.

– Dzień dobry, Ceci, przepraszam za spóźnienie! – zawołała.

– Dzień dobry, Dottie – odparła ze śmiechem Cecily. – Nie spóźniłaś się, nie ma jeszcze dziewiątej.

– Straszny ruch – mruknęła Dorothy. Usiadła przy biurku naprzeciw Cecily.

W wieku pięćdziesięciu pięciu lat Dorothy wciąż dobrze wyglądała, była szczupła i mogła uchodzić za osobę młodszą o piętnaście lat.

Wciąż zarządzała firmą i zachowała biuro w Burlington Arcade; Cecily też korzystała z tamtejszej pracowni na równi z biurem przy Grafton Street. Oba budynki znajdowały się w pobliżu, o kilka minut spacerem.

– Przechodząc do sedna, uważam, że będziemy musieli znaleźć nowe fabryki w Leeds, gdzie będziemy produkować nasze gotowe ubrania i niektóre dodatki.

– Tak też myślałam – stwierdziła Dottie i sięgnęła po plik papierów trzymany przez Cecily.

– Rząd wkrótce zarekwiruje nasze fabryki w Leeds. Będą ich potrzebować do produkcji mundurów dla piechoty i lotnictwa. – Cecily westchnęła. – Mówiłam o tym wczoraj Mike’owi Leigh, ale on wyśmiał tę myśl. Nie chce przyjąć do wiadomości, że będzie wojna. Lekceważy wszystko, co mówię; wsadził głowę w piasek.

– A czego się spodziewałaś? Pod wieloma względami jest tępą, mimo że to dobry szef produkcji. A swoją drogą jesteś najmądrzejsza ze znanych mi ludzi; nikt nie jest w stanie nadążyć za twoimi myślami i z pewnością masz wyjątkowe pomysły.

– Daj spokój, ciociu Dottie, jesteś po prostu stronnicza. Moja matka twierdzi, że jestem za sprytna, żeby mi to wyszło na dobre, i że powinnam trzymać buzię na kłódkę, bo to o wiele bezpieczniejsze.

– Alice ma częściowo rację. Ale proszę, nie zamykaj sobie ust, musimy wiedzieć, co masz do powiedzenia.



– Zgadzam się z tobą, te fabryki zostaną z pewnością przejęte przez rząd – powiedziała Dorothy po przejrzeniu dwóch dokumentów. – Howard mówi, że to będzie wielka wojna.

Przewiduje wręcz wojnę światową, angażującą olbrzymie armie.

– Też tak sędzę. Byłam w Berlinie zaledwie kilka dni, ale szybko zrozumiałam, jak się sprawy mają. Wszędzie jest pełno żołnierzy, i z tego, co słyszałam, Niemcy są uzbrojone po zęby. Przez lata w tajemnicy produkowali broń, amunicję i okręty wojenne. No i samoloty.

– Howard twierdzi, że ich armia i lotnictwo są doskonale przygotowane i liczniejsze niż nasze. Uważa, że bomby Luftwaffe mogłyby w ciągu jednego dnia zmieść z powierzchni ziemi Londyn.

– Też tak sędzę. Mówiono mi, że mają olbrzymie zasoby broni. Wojna nieuchronnie się zbliża; tłumaczyłam Mike'owi, że trzeba będzie przekazać fabryki rządowi, by produkowali tam mundury, ale on nie chciał przyjąć tego do wiadomości.

Cecily widziała wyraźnie, że Dorothy jest bardzo zirytowana. Ucisnęła jej rękę, mówiąc:

– Nie złość się i nie denerwuj. Nie zwracam uwagi na to, co on mówi. Mam pewien plan.

– Jaki plan, Ceci? – spytała z niejaką ulgą Dorothy.

– Mam zamiar stworzyć własne nowe fabryki.

– Jak? Gdzie?

– W Leeds. Na obrzeżach miasta... w Upper Armley, Kirkstall, Stanningley, Hunslet i w dole rzeki Aire w Leeds, a także w pobliżu kanałów. Ktoś już nad tym pracuje; znalazł kilka pustych magazynów i starych fabryk, które są do wzięcia – można je wynająć albo kupić. Kupię je, żeby mieć nad nimi kontrolę.

– Chcesz je przerobić na zakłady produkujące ubrania?

– Parę z nich. Pozostałe też się przystosuje. Wstawię tam stoły montażowe, maszyny do szycia, wszystko, co trzeba, a potem zaproponuję rządowi, że będziemy w nich szyc mundury dla służb pomocniczych. Zapewniam cię, że się zgodzą, a w dwóch mniejszych pozwolą produkować gotowe ubrania cywilne. Możesz mi wierzyć.

– Przecież zawsze ci wierzyłam – odparła ze śmiechem Dorothy.

– Jasne, i jesteś cudowna. Nie mogłabym stworzyć tego wszystkiego bez ciebie, ciociu Dottie, no i bez ciotki Charlotte.

Omówiła z Dorothy jeszcze kilka pilnych spraw i poszła porozmawiać z Gretą.



Drzwi były uchylone. Cecily pchnęła je i oświadczyła od progu:

– Oto ja, cała, zdrowa i bezpieczna.

Greta uśmiechnęła się, zerwała z miejsca i podbiegła, by przywitać się z szefową.

– Witamy w domu! – zawołała.

Cecily uściskała ją.

– Na pewno wiesz, że widziałam się z twoim ojcem... i całą rodziną.

– Opowiedział mi o wszystkim. – Greta skinęła głową. – Byłam zachwycona, że się spotkaliście, i to przypadkiem.

– To chyba zrzędzenie losu – uznała Cecily. Usiadła, a Greta wróciła za biurko.

– Jakkolwiek to było, z pewnością to spotkanie go ucieszyło. A właściwie ich wszystkich. Ojciec bardzo chciał cię poznać; tyle ode mnie o tobie słyszał. I niespodziewanie jego życzenie się spełniło.

– Tak też mówił. Uważam, że Kurt i Elise są mili i towarzyscy, a twoja macocha jest urocza.

– Tak, choć także dość nerwowa – powiedziała po chwili Greta. – Łatwo ją wyprowadzić z równowagi, zezłościć; rozumiesz, co mam na myśli?

Cecily nie zdziwiła ta uwaga. Zauważyła, że Heddy jest roztrzęsiona, ale nie wspomniała o tym.

– Następnego dnia zjedliśmy razem lunch. Było bardzo przyjemnie, i Miles i ja mieliśmy nadzieję, że spotkamy się jeszcze przed wyjazdem, ale twój ojciec był umówiony z sir Anthonym Parry. Widać, że to serdeczni przyjaciele.

Greta przytaknęła; pochyliła się nad biurkiem i powiedziała cicho:

– Wiem, że nie byłaś w stanie pomóc w zorganizowaniu ich wyjazdu; mój ojciec uznał, że to niemożliwe. Ale sir Anthony ma nadzieję, że uda mu się coś zrobić, pociągnąć pewne sznurki.

– Posłała Cecily wymuszony uśmiech. – Mam szczerą nadzieję, że tak będzie.

– Sądzę, że to słuszne podejście... zdarzają się różne niespodzianki – stwierdziła Cecily.

– Swoją drogą wyglądają zdrowo, a twój ojciec tryskał radością i optymizmem; oczywiście to, że jego stary przyjaciel znalazł się w Berlinie, sprawiło mu przyjemność i dodało animuszu.

– Rzeczywiście przyjaźnią się od wielu lat. I ogromnie ci dziękuję, Cecily, że byłaś tak miła dla mojej rodziny. A teraz chyba powinnyśmy wziąć się do roboty.

– Istotnie jest parę spraw, które chcę polecić twojej uwadze. – Wręczyła Grecie kartkę i mówiła dalej: – To lista kobiet, które szyją dla nas ręcznie. Niektóre pracują tutaj, na najwyższym piętrze, a inne w domu.

– Tak, te które wykonują ubrania *haute couture*.

– Jak wiesz, *haute couture* musi być wytwarzane ręcznie, bo inaczej nie nazywałoby się *couture*.

– To prawo obowiązuje we Francji, tak mi mówiłaś – mruknęła Greta.

– A tutaj też, jako swego rodzaju niepisane prawo. *Couture* musi być wykonane ręcznie.

Chciałabym, żebyście z Dorothy porozmawiały z kobietami na górze, a Dorothy może też odwiedzić te, które pracują w domach. Chcę wiedzieć, czy mają zamiar dalej dla mnie pracować, czy młodsze, powodowane patriotyzmem, nie myślą o pójściu do pracy w fabrykach amunicji. – Cecily wstała. Podchodząc do drzwi, odwróciła się. – Za jakieś pół godziny wybieram się do Burlington Arcade.

– Gdybyś mnie potrzebowała, przybiegnę tam.

Cecily wyszła, a Greta zamyśliła się nad losem ojca i swojej rodziny. Był tak pewien, że sir Anthony rozwiąże ich problem, że musiała podzielać jego entuzjazm. Ale późnym wieczorem naszły ją wątpliwości, a rano powrócił niepokój.

Skoro Cecily nie była w stanie pomóc im przez Diedre, która pracuje w Ministerstwie Wojny, to jakie szanse ma sir Anthony? To naukowiec. Greta kilka lat temu błagała ojca, by wyjechał z Niemiec, ale on tego nie zrobił. I teraz tam ugrzęzli.

Otarła łzy i pochyliła się nad biurkiem. Odmówiła modlitwę, powtarzając ją jak mantrę przez dziesięć minut. Większość ludzi nie wierzy w modlitwy, ale ona uważała, że mogą dziać cuda.



– Jaki piękny mamy dzień, Charlotte – powiedział hrabia. – Mam nadzieję, że pogoda utrzyma się przez weekend, kiedy znów będzie tu cała rodzina.

– Cieszę się, że wszyscy przyjadą – odparła, ściskając jego dłoń. – Będzie jak za dawnych czasów.

– Tylko Dulcie i Jamesa zabraknie – mruknął hrabia ze smutkiem. – Jakie są najnowsze wieści od nich?

– Że Felix i Constance są teraz w Los Angeles i zatrzymali się u nich w Bel Air. To

dobrze, że James ma pod ręką swojego agenta – właśnie kiedy mają się zacząć rozmowy na temat rozwiązania jego kontraktu z MGM. Gdy tylko się to uda, pojedą do Nowego Jorku, spędzą tam kilka dni i wsiądą na statek do Anglii – prawdopodobnie *Queen Elizabeth*.

– Ulży mi, kiedy wrócą. Wzdrygam się na myśl, że mieliby podróżować w czasie wojny, a ta jest nieunikniona. Atlantyk będzie pełen niemieckich okrętów wojennych, bardzo niebezpieczny.

Zabrział w tym niepokój i trwoga, więc Charlotte ujęła go za rękę.

– Wszystko będzie dobrze, obiecuję, Charles. I pomyśl tylko, będziemy razem świętować Boże Narodzenie.

Charles Ingham, szósty hrabia Mowbray, roześmiał się.

– Mamy dopiero sierpień – wykrztusił z rozbawieniem.

– No cóż, przynajmniej cię rozweseliłam – odparła i też się roześmiała.

– A ty mnie uszczęśliwiasz, i to bardzo, Charlotte. Mówiłaś, że gdzieś się wybierasz dzisiaj rano?

– Muszę jechać do Harrogate, na spotkanie z panią Margaret Howell Johnson. Jest prezeską tamtejszego Instytutu Kobiet. Alice chce, żebym się z nią zobaczyła, ponieważ oddział w Harrogate ma podobno maszynę do puszkowania i chciałybyśmy ją pożyczyć.

– Zdązysz z powrotem na lunch, prawda?

– Oczywiście, jest dopiero dziesiąta. Pół godziny tam, pół godziny z powrotem i najwyżej godzina rozmowy z nią – zapewniła Charlotte i spytała: – Nie potrzebujesz czegoś z Harrogate?

– Nie, tylko, żebyś szybko wróciła – odparł i puścił do niej oko. Roześmiała się i wstała z sofy.

– Mam nadzieję, że Goff cię tam zawiezie? – upewnił się Charles.

– Owszem. Proszę, nie zamartwiaj się tak. Wrócę niebawem, a zresztą za chwilę Alicia przyjdzie pogadać z tobą, więc będziesz miał miłe towarzystwo.

– Wiesz, że mam sporo poczty do przejrzenia – mruknął. Wstał, przeszedł przez bibliotekę i usiadł przy biurku.

– Sądzę, że chce porozmawiać o swojej karierze aktorskiej... A Annabel zwierzyła mi się, że ma nadzieję zostać pianistką. Wygląda na to, że stajemy się rodziną artystów.

Charlotte posłała mężowi całusa i wyszła z biblioteki.



Mniej więcej czterdzieści minut później Charlotte Swann, hrabina Mowbray, szła wzdłuż rzędu sklepów znanych jako Parade. Charlotte zawsze lubiła Harrogate, z jego rezydencjami, eleganckimi restauracjami i hotelami oraz Stray, długi pas zieleni w centrum miasta, wiosną pokryty setkami żonkili.

Za czasów królowej Wiktorii i Edwarda VII Harrogate było prawdziwym kurortem odwiedzanym przez ludzi z całego świata, korzystających z siarkowych źródeł. Zwłaszcza za panowania Edwarda było ulubionym miejscem rodziny królewskiej, arystokracji i gwiazd teatralnych, dzięki czemu powstały tu eleganckie domy i hotele oraz, oczywiście, piękne domy zdrojowe.

Zatrzymała się wreszcie na chwilę przed sklepem jubilerskim Johnsonów, przyglądając się jednej z witryn umieszczonych po obu stronach drzwi. Wystawiono tam kilka pięknych okazów najwyższej jakości. Był to najlepszy i najbardziej znany sklep jubilerski w mieście.

Charlotte obejrzała z zachwytem prześliczną starą kameę wystawioną w drugiej witrynie i weszła do środka.

Sklep był duży; stało w nim kilka szklanych gablot z biżuterią, a po prawej stronie mały mahoniowy stoliczek z pasującymi do niego krzesłami. Podeszła do niej jedna z dwóch młodych sprzedawczyń.

– Dzień dobry pani – powiedziała. – Czym mogę służyć?

– Dzwoniłam wcześniej i umówiłam się na spotkanie z panią Johnson, ale chyba przyszedłam nieco wcześniej.

– Jest pani z pewnością lady Mowbray z Cavendon... prawda?

– Tak.

– Proszę tu usiąść, milady, a ja zaraz pójdę po panią Johnson. Czeka na panią.

Kilka sekund później ukazała się wysoka, szczupła kobieta. Była elegancko ubrana, a blond włosy miała uczesane na pazia. Gdy podeszła bliżej, Charlotte poczuła nagły błysk rozpoznania; pomyślała, że już ją kiedyś spotkała. Wstała z uśmiechem.

Margaret Howell Johnson podała jej rękę, mówiąc:

– Dzień dobry, lady Mowbray, bardzo się cieszę, że panią poznałam. A zwłaszcza dlatego, że obie jesteśmy zaangażowane w działalność Instytutu Kobiet.

Charlotte osłupiała.

Rozpoznała ją nie dlatego, że spotkały się wcześniej, ale dlatego, że kobieta, której rękę wciąż trzymała, wyglądała kropka w kropkę jak nieco starsza Diedre, i miała tak dobrze jej znane oczy w dziwnym kolorze przydymionej lawendy. To były jej własne oczy, oczy Swannów. O mój Boże, pomyślała. O mój Boże.

Charlotte puściła rękę pani Johnson i oparła się o poręcz krzesła. Przełknęła ślinę i powiedziała:

– Strasznie mi przykro, pani Johnson, ale nagle zrobiło mi się troszkę słabo. Mogę usiąść na chwilkę?

– Oczywiście, lady Mowbray, proszę za mną.

Pani Johnson ujęła ją pod ramię, zaprowadziła do kącika i usadowiła w wygodnym fotelu. Pochyliła się nad nią, pytając:

– Czy przynieść pani szklankę wody? A może sole trzeźwiące?

– Będę wdzięczna za jedno i drugie – odparła Charlotte, zdziwiona, że głos jej nie drży.

– Przepraszam na chwilę – powiedziała pani Johnson i odeszła. Charlotte śledziła ją wzrokiem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Charlotte zawsze odznaczała się dużą samokontrolą i potrafiła zachować kamienną twarz. Dawno temu piąty hrabia Mowbray powiedział jej, by nigdy nie okazywała słabości, a ona go posłuchała i zajmowała taką postawę w każdej sytuacji.

Teraz wiedziała, że nie może ujawnić nadmiernego zainteresowania Margaret Johnson ani się na nią gapić. Po chwili pani Johnson wróciła, niosąc na tacce szklankę z wodą i butelkę soli trzeźwiących.

Charlotte natychmiast odkręciła zakrętkę i powąchała zawartość. Zapach amoniaku był tak silny, że aż ją odrzuciło; oczy zaczęły jej łzawić.

– Bardzo mocne, prawda? – powiedziała pani Johnson. – Proszę mi je dać, milady, i wypić parę łyków wody, to pomoże.

Charlotte wypila pół szklanki wody i odstawiła naczynie na tackę.

– Bardzo dziękuję, pani Johnson. Nie wiem, co mi się stało. Wydawało mi się, że zaraz zemdleję.

Pani Johnson wręczyła tackę jednej ze sprzedawczyń.

– A może przejdziemy do mojego biura, milady? Jest tam cicho i nie przeszkodzi nam żaden klient.

– Sądzę, że to dobry pomysł – odparła Charlotte. Wstała i poszła za panią Johnson.

Usiadły na wygodnych fotelach przed kominkiem.

– Przyjechałam, by poprosić panią o przysługę, pani Johnson. Dwie panie z mojego Instytutu słyszały, że macie tu, w Harrogate, maszynę do puszkowania, i zastanawialiśmy się, czy nie mogłybyście jej nam pożyczyć. Skończyły nam się słoiki na dżemy.

Pani Johnson kiwnęła głową i uśmiechnęła się.

– Maszyna rozwiązuje ten problem, lady Mowbray, ale któraś z naszych pań będzie musiała pokazać wam, jak się ją obsługuje. – Niespodziewanie roześmiała się głośno.

Charlotte zeszywniała. Margaret Howell Johnson śmiała się równie donośnie jak lady Gwendolyn. Gdy pani Johnson usiłowała opanować rozbawienie, Charlotte przyjrzała się jej ukradkiem i stwierdziła, że ma takie same szerokie brwi i orli nos jak Diedre. Czy to tylko moja wyobraźnia? – pomyślała i odwróciła wzrok, obawiając się, że ta miła kobieta zauważy, jak się na nią gapi.

Pani Johnson uspokoiła się wreszcie i rzekła wyjaśniającym tonem:

– Przypomniałam sobie nagle, jak w zeszłym tygodniu eksplodowała puszka i wszystkie byłyśmy umazane dżemem truskawkowym. Ależ to był widok! Maszyny wymagają precyzyjnej obsługi. Ale z przyjemnością pożyczymy wam naszą.

Przez chwilę rozmawiały o tym, jak wiele dobrego przyniosły wieśniaczkom Instytuty Kobiet i jak będą pożyteczne podczas nadchodzącego konfliktu. Umówiły się, że w przyszłym tygodniu odbiorą maszynę ze sklepu jubilerskiego.



W drodze powrotnej do Cavendon Hall Charlotte siedziała w milczeniu na tylnym siedzeniu, zastanawiając się nad tym wyjątkowym podobieństwem Margaret Johnson i Diedre. Jej włosy nie były tak złociste, ale była równie wysoka i miała taki sam subtelnie wyrzeźbiony nos i szerokie brwi, wyraźnie widoczne, bo niezastłonięte włosami. I miała na imię Margaret...

Kilka lat temu lady Gwendolyn zdradziła jej sekret, którego nie poznał nikt inny.

Problem polegał na tym, że Charlotte nie miała nikogo, z kim mogłaby porozmawiać, zwierzyć się, z wyjątkiem samej lady Gwendolyn. Ale na tym etapie nie chciała tego robić. Po co niepokoić starszą panią wiadomością o dziecku, o którym myślała codziennie od chwili, kiedy je oddała? A co, jeśli się mylę, zastanawiała się Charlotte. Nie mogła znieść myśli, jak rozczarowana byłaby lady Gwen.

Szkoda, że nie mogę zwierzyć się Cecily, pomyślała, idąc po schodach do swojego buduaru, by zdjąć płaszcz i kapelusz i odświeżyć się przed lunchem. Ale nie mam na tyle śmiałości. Nikt nie może wiedzieć o romansie lady Gwen z Markiem Swannem. Cecily? Jej imię wciąż kołatało jej się w głowie. Nie. To niemożliwe.

Ale to twoja spadkobierczyni, przypomniała sobie Charlotte, i pewnego dnia zostanie strażniczką rejestrów i seniorką rodu Swannów. A poza tym, kiedy miała dwanaście lat, złożyła przysięgę, że będzie z całych sił chronić Inghamów. Więc będzie milczeć, nigdy nikomu tego nie wyjawia.

Odsunęła te myśli na chwilę i ruszyła na dół, by zjeść lunch z Charlesem i wnuczętami.



– Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam, Diedre – odezwała się Cecily, mocno ściskając słuchawkę. – Ale Greta powiedziała mi dziś coś, o czym chyba powinnaś wiedzieć.

– Co takiego? – Diedre nadstawiła ucha. W tej chwili interesowało ją wszystko, co dotyczyło Greta Chalmers i Steinbrennerów.

– Greta stwierdziła, że rozumie, czemu nie mogłaś pomóc jej rodzinie: bo nie masz teraz porządných kontaktów w Berlinie. A potem dodała, że sir Anthony Parry spróbuje wydostać ich z Berlina, pociągając za parę sznurków. Tak to nazwał.

Diedre zaskoczyła ta wiadomość. Wyprostowała się i przycisnęła słuchawkę do ucha.

– Jakie sznurki ma zamiar pociągnąć? – spytała z zaciekawieniem, lekko podnosząc głos. – To naukowiec bez koneksji politycznych.

– Wiem, i myślę, że powiedział to tylko po to, żeby dać profesorowi odrobinę nadziei, nie sądzisz?

Diedre milczała, a Cecily drażyła temat:

– No jak, mam rację? W końcu mówiłaś, że nie wydają już wiz i że kontakty twoich kontaktów się wyczerpały.

– Tak, to prawda. Ale w życiu zdarzają się czasem dziwne rzeczy. Może ma jakiś sposób, by pomóc profesorowi, chociaż, szczerze mówiąc, wątpię w to. Posłuchaj, naprawdę jestem ci wdzięczna za tę informację i przekażę ją mojemu kontaktowi w Berlinie. Myślę, że to rozsądne. Nie chcemy przecież, żeby sir Anthony zrobił coś... głupiego, prawda?

– Zgadza się, nie chcemy. Wiesz, jacy są mężczyźni: uważają, że potrafią rozwiązać wszystkie problemy świata.

– Nie wiedziałam, że mężczyźni mają o sobie takie zdanie – zachichotała Diedre, nareszcie pozwalając sobie na trochę beztroski. – Myślałam, że to kobiety w to wierzą. I czemu nie? Przecież potrafimy.

Cecily roześmiała się do wtóru szwagierce i powiedziała:

– Zawiadom mnie, jeśli czegokolwiek się dowiesz. Proszę.



Po rozmowie z Cecily Diedre siedziała przy biurku, rozważając kilka kwestii. Potem

znów podniosła słuchawkę i zadzwoniła do czterech osób.

Pierwszym rozmówcą był Waleczny. Skorzystała z prywatnej, bezpiecznej linii admirała w Abwehrze, kwaterze głównej wojskowego wywiadu w Berlinie. Rozmawiali zaledwie cztery minuty.

Następnie połączyła się z Tonym Jenkinsem w ambasadzie brytyjskiej w Berlinie. Rozmawiali przez pięć minut, korzystając z prywatnej linii Tony'ego; utrzymywał, że jest bezpieczna.

Potem zadzwoniła do ciotecznej babki, lady Gwendolyn, mieszkającej w Little Skell Manor w majątku Cavendon. Ta rozmowa trwała dziesięć minut, bo Diedre musiała najpierw chwilę z nią pogawędzić, zanim przeszła do rzeczy.

Czwartą rozmówczynią była Cecily, którą zastała w jej biurze w pracowni w Burlington Arcade. Rozmowa trwała dwie minuty.

Po odłożeniu słuchawki Diedre wstała, wyszła z pokoju i krótkim korytarzykiem dotarła do biura Williama Lawsons. Pogadała z jego sekretarką, Lois Bedford, i potwierdziła, że spotka się z nim o piątej.

MIŁOŚĆ W WIELU PRZEBRANIACH

Ale gdy sen nadejdzie i trud dnia ukróci,
Gdy noc straż zmieni, którą trzymałam tak długo,
Gdy pęta zejda z myśli i gdy znikną bóle,

Gdy wola spadnie jak strój, który ciało zrzuci:
W śnie, co nawiedza mnie najpierwszą nocy smugą,
Biegnę, biegnę – do serca twojego się tulę.

Alice Meynell, *Wyrzeczenie*;
przekład Stanisław Helsztyński, [w] *Liryka angielska XX wieku*,
W-wa 1929, nakładem księgarni F. Hoesicka.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

William Lawson był na swój sposób nieco podobny do admirała Canarisa. Obaj zrobili karierę oficerską w marynarce, w której służyli dzielnie swoim krajom podczas Wielkiej Wojny, zostali wciągnięci do tajnej służby wywiadu marynarki wojennej, wykazali się w tej dziedzinie autentycznym talentem i zostali wyśmienitymi szpiegami.

Lawson, podobnie jak Canaris, przeszedł z wywiadu marynarki do wywiadu wojskowego, wstępując w 1930 roku do MI6. Był, tak jak admirał, honorowy, współczujący i uczciwy do szpiku kości. I obaj byli dżentelmenami.

Teraz, kiedy wracał do ministerstwa z siedziby premiera, nie myślał o rozmowie, jaką z nim właśnie przeprowadził. Skupił się na Diedre i spotkaniu z nią zaplanowanym na późniejsze popołudnie. Wiedział od Neville'a Hendersona, ambasadora brytyjskiego w Berlinie, że Diedre i Canaris gawędzili podczas przyjęcia w ambasadzie w zeszłym tygodniu, i był pewien, że właśnie dlatego chciała się z nim spotkać. By zdać sprawozdanie, jak zwykła to nazywać.

Lubił Canarisa – naprawdę go podziwiał. Niemiecki admirał był człowiekiem z zasadami i uznawał kodeks honorowy specyficzny dla wszystkich marynarzy świata. I dlatego nie dał się nabrać Hitlerowi. Spotkali się dwukrotnie, raz w Portsmouth i raz w Kilonii; zrozumieli się natychmiast, można rzec, że poczuli jakąś więź.

A Diedre? Zastanawiał się, co ma z nią zrobić. Nic. Nie może. Była jego najlepszą, najmądrzejszą agentką, i potrzebował jej w obliczu zagrażającej wojny. Jednak ku swojemu zdumieniu odkrył, że żywi dla niej silne uczucia i że stale jest obecna w jego myślach.

Kto by zgadł, że właśnie on zakocha się w kobiecie, z którą pracuje. To zakazane. Zwłaszcza dla kogoś oddanego pracy przez całą dobę, kto prawie nie zauważa kobiet. Miał czterdzieści siedem lat i dawno już porzucił pomysł powtórnego ożenku. Jego żona, Nora, przez ostatnie lata małżeństwa była inwalidką i zmarła piętnaście lat temu. Małżeństwo nie było zresztą szczęśliwe. Z drugiej strony, odnalazł szczęście i pociechę w pracy, i tak było dotychczas.

Westchnął cicho. Idąc, nie zauważał pełnych podziwu spojrzeń mijających go kobiet. Miał metr osiemdziesiąt, był dobrze zbudowany, a czarne włosy zaczesane do tyłu odsłaniały przystojną męską twarz.

Był jak zwykle ubrany w ciemnoniebieski garnitur, białą koszulę i krawat w niebieskie i białe paski. Tak jak przedtem ojciec, William lubił ubrania z Savile Row oraz najlepszej jakości koszule i krawaty, a dzięki spadkowi miał dość pieniędzy, by sobie na nie pozwalać.

Sir Roger Lawson był właścicielem sieci popularnych czasopism. Matka zmarła kilka lat przed ojcem, a kiedy i on odszedł w zeszłym roku, William i jego brat Ambrose stali się całkiem bogaci. Mimo to William zdawał sobie doskonale sprawę, że nie może zrezygnować z pracy – tak jak z oddychania – a jego brat, neurochirurg, myślał podobnie. Miło było mieć pieniądze, ale żaden z nich nie zmieniłby przez nie życia.

Był ciekaw, co chce mu powiedzieć Diedre, jednak sam musiał z nią porozmawiać o dwóch nowych agentach. Miał nadzieję, że Diedre ich poprowadzi i będzie nadzorowała ich szkolenie.

Uśmiechnął się w duchu, wchodząc do budynku ministerstwa i doszedł do wniosku, że był głupcem, marząc o tym, że zaprosi ją na obiad. Był ostatnim mężczyzną, na jakiego by spojrzała, a poza tym uważał, że wciąż oplakuje Paula Drummonda. A może nie? Nie umiał sobie na to odpowiedzieć.

Pokonując schody do biura, potrząsnął głową; dziwił się sam sobie. Może i jest jednym z najlepszych szpiegów, ale z pewnością niewiele wie o kobietach. A właściwie nie wie nic.



To Charles przypomniał Charlotte, że obiecała pójść do Little Skell Manor i przyprowadzić na podwieczorek lady Gwendolyn.

– Jak, u licha, mogłam o tym zapomnieć? – zawołała. – Muszę zaraz po nią iść, kochanie. Będzie łatwiej, jeśli namówię ją na skorzystanie z wózka inwalidzkiego.

– Będzie łatwiej, jeśli polecisz Goffowi, żeby cię zawiózł i przywiózł was obie – odparł z pobłażliwym uśmiechem Charles.

– Sądzę, że ona lubi łyknąć trochę świeżego powietrza – mruknęła Charlotte. Pocałowała Charlesa w policzek i ruszyła z wdziękiem w stronę tarasu. – Do zobaczenia wkrótce.

– Poczekam tutaj – odparł Charles i zagłębił się w lekturze.

Schodząc po kamiennych stopniach, Charlotte zdała sobie sprawę, że tak się skupiła na Margaret Howell Johnson, iż zapomniała o obietnicy złożonej wcześniej lady Gwendolyn. A teraz spostrzegła, że to świetna okazja; miała dobry powód, by wybrać się do niej i porozmawiać o przeszłości. Musi jakoś naprowadzić rozmowę na dziecko, które lady Gwendolyn urodziła wiele lat temu. Musiała wiedzieć dokładnie, w jakim wieku dziewczynka byłaby dzisiaj.



Kiedy Charlotte dotarła do Little Skell Manor, zapukała do drzwi i weszła do holu. W tej samej chwili wbiegła tam gospodyni, pani Jasper.

– Och, jest pani, milady – zawołała. – Lady Gwendolyn czeka na panią.

– Dzień dobry, pani Jasper, jak się czuje lady?

– Bardzo dobrze, ożywiona i cieszy się na podwieczorek z państwem... – Pani Jasper zawahała się, a potem dodała ciszej: – Ale ostatnio były takie chwile, kiedy sądziłam, że jest trochę smutna.

– Też to zauważyłam, ale myślę, że starzy ludzie często bywają smutni; być może wspominają dawne czasy, które już nie wrócą.

– Tak, lady Mowbray – przytaknęła pani Jasper i zaprowadziła ją do bawialni.

– Halo, ciociu Gwen – powiedziała radośnie Charlotte i podeszła do okiennego wykusza z widokiem na ogród. Z zadowoleniem stwierdziła, że lady Gwendolyn świetnie wygląda; jej siwe włosy były dobrze uczesane i błyszczały jak srebro w słońcu wpadającym przez okno, zaś twarz zachowała wciąż sporo dawnej urody. Teraz uśmiechała się szeroko, a w niebieskich oczach migotały iskierki.

– Jak to miło, że przyszedłaś, żeby mnie zabrać, Charlotte. I pięknie dziś wyglądasz.

– Nigdy nie czułam się lepiej – odparła Charlotte. Usiadła na fotelu naprzeciwko i zaraz zauważyła, że lady Gwendolyn trzyma na kolanach jakąś książkę, ale nie skomentowała tego.

– Masz jakieś wiadomości?

– Owszem, Cecily i Miles wrócili do Londynu; Diedre też. Reszta powróci pod koniec tygodnia. Wszyscy będą na podwieczorku w niedzielę.

– Jak za dawnych czasów. Wiem, że Diedre wróciła. Telefonowała do mnie, aby mi powiedzieć, że przypadkiem spotkała sir Anthony'ego Parry, męża mojej przyjaciółki Reginy.

Lady Gwendolyn przerwała, przypomniawszy sobie, że nie wolno zdradzać szczegółów rozmowy z Diedre. Spojrzała na przedmiot trzymany w dłoniach i zwróciła się do Charlotte:

– Jestem taka zdenerwowana. Zgubiłam kluczyk od tego starego dziennika i teraz nie mogę go otworzyć, a tak chciałam go poczytać.

– Mogę na niego zerknąć? Być może mnie uda się go otworzyć.

Lady Gwendolyn wręczyła jej oprawiony w wytartą skórę dziennik.

– To Daphne zna się na wytrychach, prawda? – Zachichotała.

Charlotte spojrzała na nią ze zdziwieniem, zaskoczona, że pamięta ten incydent sprzed wielu lat, kiedy Daphne chciała odzyskać skradzione klejnoty, włamując się do sejfów matki.

– Gdzie zwykle trzymasz ten dziennik? – spytała, obracając go w rękach.

– W tamtej orientalnej komodzie. Jest tam mnóstwo dzienników i albumów ze zdjęciami, ale nie ma kluczy. Pani Jasper już szukała. – Pokręciła głową. – To do mnie niepodobne, żeby coś zgubić, i nie chodzi tu o klucz.

– Spróbuję go otworzyć kawałkiem drutu albo spinką do włosów.

– Już próbowałam, ale to nic nie dało.

Charlotte jeszcze raz obejrzała dokładnie dziennik i stwierdziła:

– Jedyne, co mogę zrobić, to po prostu odciąć kawałek z zamkiem. To będzie łatwe, ale potem nie będziesz mogła go już zamknąć.

– Nie sądzę, żeby to miało znaczenie, kochanie. Mogę go włożyć do sejfów.

– No to w porządku. Przepraszam, pójdę do pani Jasper po nożyczki.

Wróciła po chwili, odcięła klamrę i oddała dziennik lady Gwendolyn, która westchnęła z ulgą i uśmiechnęła się do niej.

– Dziękuję, kochanie. Miło poczytać sobie o przeszłości. Kiedy jest się już naprawdę starym, tak jak ja, ma się skłonność do życia wspomnieniami. Wiesz, to naprawdę zabawne. Pamiętam dokładnie to, co się wydarzyło czterdzieści czy pięćdziesiąt lat temu, a czasami zapominam o tym, co się dzieje teraz. – Uśmiechnęła się i zaczęła przewracać kartki. – Szukam dwudziestego dziewiątego sierpnia – wyjaśniła.

Po chwili spojrzała na Charlotte.

– Potrzebuję okularów, nie widzę dobrze bez nich. Możesz znaleźć tę stronę i sama ją przeczytać? – Wręczyła Charlotte dziennik i mówiła dalej: – Wiesz tyle o mojej przeszłości, o Marku Swannie i naszej miłości. Dwudziesty dziewiąty sierpnia wypadł parę dni po urodzeniu naszego dziecka, tego żywego... – Głos jej się załamał, a do oczu napłynęły łzy. – Myślę o niej codziennie.

Charlotte wpatrzyła się w lady Gwendolyn; sercem była przy tej blisko stuletniej damie i przez chwilę nie mogła wydobyć głosu. I nie przestawała myśleć o kobiecie poznanej właśnie w Harrogate. Wreszcie spytała cichutko:

– Kiedy się urodziła, ciociu Gwen?

– Dwudziestego szóstego sierpnia. To przedziwne zdarzenie, bo ja miałam już czterdzieści osiem lat. Jeśli ona jeszcze żyje, w tym roku skończy pięćdziesiąt lat.

– Mniej więcej za tydzień – mruknęła Charlotte. W głowie kłębiły jej się tysiące myśli i powstawał plan.



Na okładce dziennika wytłoczono rok: 1888. Charlotte przekartkowała go do dwudziestego szóstego sierpnia, niedzieli. Strona była pusta. Trzy dni później, w środę dwudziestego dziewiątego sierpnia, widniał krótki odręczny wpis lady Gwendolyn. Wzięła głęboki oddech i zaczęła czytać:

Nasza córeczka Margaret jest na świecie od zaledwie trzech dni. Jest piękna. Dziś jeszcze

raz trzymałam ją w ramionach. Jestem szczęśliwa, że dano mi spędzić ten czas z nią. Jutro zabiorą ją jej adopcyjni rodzice. Mark i ja już nigdy nie zobaczymy naszej słodkiej Margaret. Mam nadzieję i modlimy się, by ją kochali i dbali o nią i dali jej dobre życie. Zrozumiałam, że trzeba bardzo kochać dziecko, by chcieć je oddać, jeśli to będzie dla niego najlepsze. Będę myślała o mojej Margaret codziennie do końca życia. I pozostanie na zawsze w moim sercu.

Oczy Charlotte napełniły się łzami; usiłowała je bezskutecznie powstrzymać. Wyciągnęła z torebki chusteczkę, osuszyła je i spojrzała na lady Gwendolyn. Gardło ścisnęło jej współczucie dla bólu ciotki Gwen.

– Niedługo po tym, jak napisałam te słowa, Mark przyszedł do szpitala z fotografem ze studio w Leeds – powiedziała lekko drżącym głosem lady Gwendolyn. – Znów przyniesiono mi Margaret, ubraną w śliczną sukieneczkę do chrztu. Pamiętasz, pokazywałam ci kiedyś tę fotografię?

– Oczywiście. – Wstała, podeszła do biureczka po przeciwnej stronie, gdzie wraz z poranną pocztą leżały okulary lady Gwendolyn. Przyniosła je ciotce i wręczyła razem z dziennikiem. – Teraz możesz to czytać, kiedy tylko zechcesz, ciociu Gwen.

– Dziękuję, Charlotte. Tak zrobię. Ale później.

– Mam odłożyć dziennik w bezpieczne miejsce?

– Sejf jest w bibliotece; możesz go tam włożyć, zanim wyjdziemy, i zamknąć na klucz.

A na razie chciałam ci jeszcze coś powiedzieć. Wprawdzie nie powinnam była tego robić, ale napisałam parę słów do adopcyjnych rodziców i włożyłam kartkę do pudełka z dziecinnymi ubrankami, które kupiłam, razem z sukienką od chrztu. Liścik był na zwykłym papierze i nie był podpisany; tylko jedna linijka... „Ma na imię Margaret”. Nie zrobiłam źle?

– Oczywiście, że nie, i wiem, czemu tak zrobiłaś. Ponieważ dla ciebie to była Margaret, więc chciałaś zawsze myśleć o niej jako o Margaret. I sądzę, że oni to jakoś zrozumieli i zachowali to imię.

Z twarzy lady Gwendolyn zniknął smutek. Uśmiechnęła się.

– Och, naprawdę tak sądzisz, Charlotte? Mam nadzieję, że się nie mylisz. Taka jestem szczęśliwa... jesteś pewna?

– Jestem pewna – mruknęła Charlotte. Już się nie mogła doczekać wyjazdu do Harrogate, spotkania z Margaret Howell Johnson i uzyskania odpowiedzi na kilka bardzo ważnych pytań.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Gdy Diedre zapukała i nie czekając na zaproszenie, weszła do biura Williama Lawsons, ten stał przy oknie i patrzył w dół na ulicę.

Odwrócił się i podszedł, by się z nią przywitać.

– Witam z powrotem – powiedział.

– W miejscu, do którego należę – odparła.

Przez chwilę zastanawiał się, co miała na myśli, ale był pewien, że chodziło jej o biuro.

– Usiądźmy tu – zaproponował, wskazując dwa wygodne fotele przy niskim stoliku. Gdy usiedli, mówił dalej: – Przepraszam, że nie spotkałem się z tobą wczoraj, ale załatwiałem różne sprawy.

– Tak też podejrzewałam.

Od razu przeszedł do rzeczy.

– Czy prowadzisz jakąś operację w Berlinie, o której powinienem wiedzieć?

– W pewnym sensie, ale chciałam się z tobą natychmiast widzieć z innego powodu.

Waleczny prosił mnie, żebym przekazała ci pewne informacje. Chcesz usłyszeć wiadomość od niego najpierw czy potem?

– A czy to dobra czy zła wiadomość? – spytał William. Zachmurzył się.

– Moim zdaniem nie jest dobra, jest wspaniała.

– To zostawmy dobrą wiadomość na koniec. Chcę dowiedzieć się o tej operacji, Diedre.

Ufam, że zamierzałaś mi o niej wspomnieć?

– Przecież zawsze tak robię! – zawołała, potrząsając głową. – To dość skomplikowana sprawa, więc wolalabym zacząć od początku, czyli nie od momentu, kiedy się zaczęła. Musisz o tym wiedzieć.

– Opowiadaj tak, jak chcesz. Wiesz przecież, że ufam ci bez zastrzeżeń. – Usiadł wygodnie, zakładając nogę na nogę. – Zaczynaj, lady Diedre.

Uśmiechnęła się, jak zwykle kiedy z takim naciskiem używał jej tytułu. Naprawdę nie miało znaczenia, jak się do niej zwracał. Wzięła głęboki oddech.

– Wszystko zaczęło się parę tygodni temu, kiedy moja bratowa, Cecily Swann, powiedziała mi, że jej asystentka, Greta Chalmers, martwi się, bo jej ojciec, jego druga żona i ich dwoje dzieci ugrzęźli w Berlinie, nie mogą się wydostać i...

– Są Żydami? – przerwał jej. – Chalmers nie brzmi jak żydowskie nazwisko.

– Tak, wszyscy są Żydami. Zaraz to wyjaśnię. Matka Grety była angielską Żydówką. Mieszkała w Londynie, a po ślubie z profesorem Steinbrennerem – w Berlinie. Gretę posłano do szkoły w Anglii, kiedy miała osiem lat. Po śmierci jej matki profesor postanowił zostawić ją tu u babki, by zakończyła naukę. Tak się stało. A potem zakochała się w Angliku, Royu Chalmersie, i wyszła za niego. Teraz owdowiała i...

– Chce wyciągnąć ojca i jego rodzinę z Niemiec tak szybko, jak to możliwe. Zgadza się?

Diedre przytaknęła, a potem opowiedziała mu całą historię, zaczynając od własnych zabiegów u Tony'ego Jenkinsa, a kończąc na kontaktach Tony'ego prowadzących do księżniczki Iriny. Potem opowiedziała o spotkaniu z Rosjanką w ambasadzie brytyjskiej.

– Byłam wielce zaskoczona, kiedy podczas przyjęcia nagle zobaczyłam, że w moją stronę zmierza admirał. – Przerwała i posłała szefowi znaczący uśmiezek. – Ale jestem pewna, że ambasador wspomniał, że rozmawiałam z Walecznym.

– Owszem, a ja mu powiedziałem, że to dla mnie nie nowina, bo jesteście znajomymi od wczesnych lat trzydziestych i macie wspólnych przyjaciół.

– Założę się, że to była dla niego niespodzianka – roześmiała się Diedre.

William nie potrafił ukryć rozbawienia.

– Nikt nie może cię oszukać, prawda? Oczywiście, że Neville był zaskoczony. Zazwyczaj tak się zdarza, kiedy kobiety grają ważną rolę w światowych wydarzeniach.

– Nie sędzę, żeby wiedział dużo o kobietach. Nigdy nie był żonaty. Ale kończąc opowieść, rozmawiałam z admirałem, kiedy podeszła do nas Cecily. Chciała wiedzieć, czy ona i Miles mogą wybrać się na lunch z profesorem i sir Anthonyem Parrym. Zawahałam się.

– Bo pomyślałaś, że może wypłynąć sprawa wyjazdu profesora do Anglii. O to chodziło?

– Wiedziałam, że Cecily nie piśnie słówka, ale nie miałam pojęcia, z czym mogą wyskoczyć profesor albo sir Anthony.

– Mów dalej, Diedre.

– Waleczny powiedział, że podziwia sir Anthony'ego i że lunch z nim mógłby być interesujący. Cecily zaprosiła admirała, ale odmówił. Zrozumiałam z tego, że Waleczny nie widzi niczego niewłaściwego w lunchu. Poradziłam Cecily, żeby omówiła rzecz z Daphne, bo ja będę zajęta w piątek. Kiedy zostaliśmy sami, Canaris spytał mnie, czemu wahałam się w kwestii lunchu.

– A ty powiedziałaś mu o związku między Cecily i Gretą i o pilnej potrzebie załatwienia dokumentów na wyjazd.

– Tak. Chciał wiedzieć, czemu nie zwróciłam się do niego. Powiedziałam, że już tyle dla mnie zrobił, i dodałam, że Tony rozmawia na ten temat z rosyjską księżniczką. Odparł, że ona jest w porządku i tak czy owak przyjdzie z tym do niego. I żebym uważała sprawę za załatwioną.

– I na czym stoimy dzisiaj? – spytał William.

– Rozmawiałam rano z Tonym. Potwierdził, że sprawa jest mniej więcej załatwiona.

Cztery nowe paszporty i wizy wyjazdowe zostaną doręczone profesorowi w przyszły wtorek, najpóźniej w środę.

– No to mi ulżyło. Dobra robota, Diedre.

– Dziękuję. Ale to Tony odwalił tę robotę.

– Pod twoim okiem.

– Jednak powstał problem, Will – powiedziała z pochyloną głową.

William Lawson usiadł prosto i skupił wzrok na Diedre.

– Możemy go rozwiązać?

– Musimy, i to szybko. Mamy mało czasu. Steinbrennerowie muszą wyjechać w przyszłym tygodniu. Są już kupione bilety i miejscówki. Ale w Berlinie może dojść do wpadki.

– Powiedz mi, w czym tkwi problem.

– Tony powiedział mi dziś, że pani Steinbrenner tchórzy. Zaparła się i nie chce jechać. Boi się, że zostaną złapani podczas ucieczki z Berlina i zastrzeleni.

William westchnął głęboko i potrząsnął głową.

– Z pewnością zdaje sobie sprawę z okropnej sytuacji w Niemczech... metodycznych masowych mordów na Żydach.

– Sędzę, że wiem, co z nią zrobić. Ale obawiam się, że trzeba uporać się z jeszcze jednym problemem. Sir Anthony powiedział profesorowi, że potrafi im pomóc, że zna ważnych ludzi, polityków, i może pociągnąć za parę sznurków.

– O Jezu! – zawołał William. Po chwili namysłu spytał: – Czy on wie cokolwiek o planach Tony'ego?

– Nie, skądże! Nikt nie wie. Tony wbił do głowy całej czwórce, że nikt nie może się

o tym dowiedzieć, nawet inni członkowie rodziny.

– Więc należy założyć, że profesor milczał, kiedy sir Anthony wyskoczył z tym pomysłem? Ale po co cię pytam? Oczywiście, że nic nie powiedział, jest zbyt mądry, żeby wyznać, że wyjazd z Niemiec jest już załatwiony.

– Zgadza się. Popytałam trochę... na temat sir Anthony'ego.

– Jak? – William spojrział na nią ze zdziwieniem.

– Zadzwoiłam dziś rano do mojej ciotecznej babki. Ona zna żonę sir Anthony'ego.

Spytałam ją o opinię na jego temat, nie wdając się w tłumaczenia. Zachichotała i stwierdziła, że jest błyskotliwym, miłym człowiekiem, ale jest też samochwałą; zawsze chce się wydawać ważniejszy, niż jest w istocie. Powiedziała, że składał ludziom różne obietnice, których nie mógł dotrzymać... na przykład załatwienie zaproszenia na herbatkę do królowej czy tytuł szlachecki. Albo wręcz to, że premier uczyni ich członkami parlamentu – jakby to w ogóle działało w ten sposób.

Diedre roześmiała się.

– Muszę przyznać, że ciotka Gwen jest w znakomitej formie jak na swoje dziewięćdziesiąt osiem lat. Spytała mnie, czemu pytam o niego; to dość oczywiste. Szepnęłam tylko, że to ściśle tajne, więc musi zachować to dla siebie. Oczywiście się zgodziła. Uważa, że jestem szpiegiem.

– Więc wiemy już dzięki lady Gwendolyn, że pociąganie za sznurki było tylko czczą przechwałką naukowca.

– Zgadza się. Już nie martwię się sir Anthonym. Ale wracając do pani Steinbrenner, byłam tak zaniepokojona, że zadzwoniłam do Cecily. Spytałam ją, czy się nie mylę, że mówiła, iż pani Steinbrenner jest dość nerwowa i spięta. Potwierdziła to i chciała wiedzieć, czemu tak mnie obchodzi macocha Grety.

– Założę się, że trudno ci było znaleźć odpowiedź – mruknął William, skupiając wzrok na Diedre.

– Wymyśliłam powód, zanim do niej zadzwoniłam – odparła, patrząc na niego z ukosa. – Wyjaśniłam, że to naprawdę ze względu na nią, Cecily, myślałam o Grecie. Jak zareaguje Greta, kiedy zda sobie sprawę, że jej rodzinie nie uda się wyjechać. Powiedziałam Cecily, że musi mieć plan, jeśli chce pomóc Grecie w przezwyciężeniu traumy, która potem nastąpi.

– Uwierzyła ci?

– Owszem. To inteligentna kobieta obdarzona dużą intuicją. Powiedziała, że też już o tym myślała. Zaproponowałam, żeby poszła po poradę do psychiatry i dowiedziała się, jak postępować w przypadku tego rodzaju traumy. Zaofiarowałam się, że pójdę z nią i pomogę jej z Gretą, o ile zajdzie taka potrzeba.

Diedre przerwała, odchrząknęła i mówiła dalej:

– Cecily uznała, że pomysł uzyskania wskazówek od psychiatry to najlepsze rozwiązanie. A później przyszło mi nagle do głowy, że ludzie niepewni siebie reagują wyłącznie na autorytety i że kiedy pani Steinbrenner przyjedzie do Londynu, trzeba będzie zapewnić jej pomoc psychiatry. Cecily wcześniej uświadomiła mi, że nerwowi, niepewni, spięci ludzie bywają trudni we współzyciu. Macocha Grety znajdzie się w nowym, obcym kraju, gdzie wszystko, z językiem włącznie, jest inne.

– No tak, rzeczywiście masz teraz pełen obraz pani Steinbrenner, ale jak to ci pomoże w odblokowaniu jej? Mówisz, że zaparła się i nie chce wyjechać z Berlina.

– To dobre pytanie, Will. Cecily uświadomiła mi, że nie możemy po prostu przekazać profesorowi paszportów, wiz wyjazdowych i biletów kolejowych i wysłać rodziny w drogę. Steinbrennerów należy zabrać z Berlina, a panią Steinbrenner, jeśli okaże się to konieczne, wziąć

siłą.

Na twarzy Williama pojawił się wyraz przerażenia.

– Siłą? I kto to ma zrobić? Czy to nie zwróci na nich uwagi?

– Nie mam na myśli tego co ty. Polecę Tony’emu, żeby poinformował profesora, że on będzie im towarzyszył w pociągu, by się upewnić, że wszystko idzie dobrze. I jeszcze mam szczerzy zamiar spotkać się z Jerrym Randellem, moim przyjacielem z wywiadu w ambasadzie amerykańskiej, i poprosić go, żeby załatwił z amerykańskim impresariem Alexandrem Dubé, by pojechał z nimi z Berlina do Paryża. – Przerwała na chwilę. – Tony będzie mógł wysiąść z pociągu w Aachen, kiedy upewni się, że Steinbrennerowie przekroczyli granicę. – Zaczerpnęła tchu i dokończyła: – Alexander Dubé będzie miły, ale stanowczy; Tony będzie się zachowywał tak samo. Profesorowi powie się z góry, że ma ich w tym wspierać, i na pewno to zrobi. To wszystko, szefie.

William Lawson wpatrywał się w nią przez chwilę; pomyślał, że Diedre jest niewątpliwie jedną z najmądrzejszych osób, z którymi pracował.

– Dobra robota, Diedre. Naprawdę dobra. Wyjątkowo sprytnie pomyślana, i zatroszczyłaś się o wszystko, by bezpiecznie wydostać Steinbrennerów. I wiem na pewno, że Waleczny dopilnuje, żeby dokumenty były doskonale i nie można było ich zakwestionować. A skoro mowa o walecznym admirał, nie masz przypadkiem dla mnie jakiejś wiadomości od niego?

– Oczywiście, że mam, Will. Ale myślę sobie, że jest szósta i może wyjdziemy stąd i pójdziemy gdzieś na drinka. Jeśli o mnie chodzi, mogę wypić szklankę wody.

– Sądzę, że lepszy będzie kieliszek szampana – powiedział z uśmiechem William. – Od gadania zaschło ci w gardle. – Wstał, podszedł do biurka, pozamykał szuflady i włożył klucz do kieszeni. – Przejdźmy się do Ritza. Dobrze nam robi spacer i świeże powietrze.

– Umowa stoi – odparła Diedre i dodała: – Wiem, że tu jest całkiem bezpiecznie, ale jeszcze bezpieczniej będzie w hotelowym barze. Nikt nie podsłuchuje.



Gdy usadowili się wygodnie w barze hotelu Ritz przy Piccadilly i zamówili różowego szampana, Diedre odezwała się:

– Chcę, żebyś wiedział, że bezgranicznie ufam Canarisowi. Powierzyłabym mu własne życie. Też tak czujesz?

To pytanie zaskoczyło Williama, ale nie wahał się ani przez moment.

– Oczywiście, że tak. Absolutnie. Jest uczciwy do szpiku kości, mamy ten sam kodeks honorowy. I w przeszłości dawał mi tego dowody.

Przyniesiono szampana; stuknęli się kieliszkami i wznieśli toast. Po kilku łykach Diedre mruknęła:

– Tuż przed wyjściem z przyjęcia nasz przyjaciel spytał, czy możemy spotkać się na lunchu następnego dnia. Jedliśmy w restauracji koło jego biura, razem z Hansem Osterem. Kiedy tamten poszedł, nasz przyjaciel porozmawiał ze mną o tobie.

Diedre usiadła wygodniej, sącząc szampana i czując, że odzyskuje siły po opowiadaniu długiej historii w biurze.

William również popijał trunek i rozluźnił się; rozumiał, że Diedre bierze się w garść – w pewnym sensie łapie oddech, przeglądając informacje wszczepione w jej umysł przez Canarisa.

Diedre przysunęła się bliżej do Williama i w końcu przemówiła, cicho, lecz z tak perfekcyjną dykcją, że słyszał każde słowo:

– Przede wszystkim stwierdził, że chce, byś wiedział, że to, co ci mówił ostatnio, to prawda i tylko prawda. Dodał, że nigdy nie powinieneś wątpić w jego honor i uczciwość. Poprosił, bym ci powiedziała, że zawsze będzie ci mówił prawdę, że nigdy nie wprowadzi cię w błąd.

William skinął głową i przysunął się jeszcze bliżej, tak że ich głowy zetknęły się nad stolikiem.

– Mów dalej, proszę.

– Miał mi do przekazania cztery rzeczy. Pierwsza, że kiedy otrzymasz informację od kogokolwiek z Watykanu, musisz wiedzieć, że pochodzi od niego, zwłaszcza jeśli będzie dotyczyła naszego kraju. Druga jest podobna. Każda wiadomość płynąca z Hiszpanii, znów dotycząca naszego kraju, będzie od niego. Trzecia: że będzie często przekazywał informacje przeze mnie, a czasem przez Tony’ego do mnie.

Po chwili William spytał cicho:

– A jak brzmi czwarta wiadomość, Diedre?

– Że zrobi wszystko, co w jego mocy, by zachować neutralność Hiszpanii; że postara się zapobiec nazistowskiej inwazji na Gibraltar. Prosił, by ci powiedzieć, że chce dla nas chronić cieśninę i Morze Śródziemne. Jego ostateczne słowa brzmiały: „Franco to mój przyjaciel. Upewnij się, że William o tym wie i że w to wierzy”.

William wpatrywał się w nią oszołomiony. Jakim cudem jeden człowiek, niemiecki admirał, mógł zapewnić neutralność Hiszpanii? W tej chwili nie znajdował na to wytłumaczenia.

Po chwili odezwała się Diedre:

– Nic nie mówisz. Co o tym sądzisz?

– Że dał nam coś fantastycznego, wprost nie mogę w to uwierzyć. Źródło beczennych informacji. Samego siebie. I jestem zachwycony, Diedre, naprawdę. Nie mogę tylko pojąć, dlaczego sądzi, że jest w stanie zachować Gibraltar dla nas. Jak może to osiągnąć?

Diedre spojrzała na niego i zmarszczyła brwi.

– Bo jest szefem Abwehry. Jeśli to nie jest potężna władza, to nie wiem, co nią może być.

– Masz rację – zgodził się William. Strząsnął ostatnie krople szampana i wpatrzył się w jej twarz. Była taka piękna. – Potrzebuję następnego drinka, a ty?

Diedre zaczęła się śmiać.

– To właśnie ty ostrzegałeś mnie, a potem Tony’ego, przed piciem w pracy.

– Dziś jesteśmy po służbie. A swoją drogą, zjesz ze mną kolację? – Sam nie wierzył, że przeszło mu to przez gardło; by ukryć nagle zakłopotanie, skinął na kelnera.

Gdy kelner oddalił się po następne drinki, William zwrócił się do Diedre:

– No więc jak?

– Z przyjemnością zjem z tobą kolację, Will.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Poszli do małej restauracji Le Chat Noir w Chelsea. Była ukryta w ślepej uliczce, z dala od uczęszczanych szlaków, a prowadziło ją małżeństwo Francuzów, których William znał od lat. Usiedli przy stoliku i wzięli menu.

– Czy to nie dziwne, że wszyscy szpiedzy, których znam, mają zabawne restauracyjki gdzieś na uboczu? A ja nie mam – stwierdziła Diedre.

– No to musisz znaleźć sobie jakąś i oswoić ją. Albo możesz korzystać z tej... czarne koty przynoszą szczęście, prawda? – powiedział żartobliwie.

Diedre potrząsnęła głową i lekko wzruszyła ramionami.

– Nie jestem pewna. Ale w ten weekend spytam Charlotte. Jest kopalnią informacji o takich rzeczach jak stare porzekadła i przesady. – Po chwili dodała: – Myślisz, że sir Francis Walsingham miał gdzieś ulubioną kryjówkę?

– Myślę, że to wielce prawdopodobne. Moim zdaniem największy szpieg Anglii i szef siatki szpiegowskiej był kimś w rodzaju maga.

– I nasza królowa Elżbieta też tak sądziła. Pokładała całą swoją wiarę w Walsinghamie.

– A on, z Williamem Cecilem i Robertem Dudleyem, którym też ufała, pomagał jej rządzić Anglią. Ale dosyć historii – może coś zamówimy? – Mówiąc to, otworzył swoje menu i przejrzał listę dań.

Diedre poszła w jego ślady.

– Zdam się na ciebie, Will. Jakie są twoje ulubione dania?

– Robią tu wspaniałe stek z antrykotu z zieloną sałatą i frytkami, jedna z ich najlepszych francuskich potraw. Lubię też łopatkę jagnięcą w stylu prowansalskim. Mam dość ryb, więc chyba teraz wezmę stek.

– Ja też, z tego samego powodu.

William skinął na właściciela, Jacques'a André. Zamówił jedzenie i butelkę ulubionego czerwonego wina i spytał Diedre:

– Napijesz się szampana przed posiłkiem?

– Jeśli ty, to i ja, dziękuję.

– Więc niech tak będzie, Jacques. Słyszałeś, co pani powiedziała.

Jacques uklonił się, uśmiechnął i odszedł.

– Diedre, jest jedna ważna rzecz, o którą muszę cię spytać, zanim zajmiemy się innymi.

– No to pytaj.

– Wspomniałaś o telefonie do Cecily w sprawie zdrowia pani Steinbrenner. Ona z pewnością spytała cię, czemu chcesz to wiedzieć – powiedział William, marszcząc brwi. – Ale nie dałaś jej żadnej odpowiedzi, w każdym razie tak wynika z tego, co mi powiedziałaś.

– To prawda. I było to rozmyślne. Nie miałam powodu o to pytać, skoro ona nie przyjedzie. Jednak pani Steinbrenner wyjedzie z Berlina. Ale to tajemnica, i nie mogłam powiedzieć o tym Cecily. Więc jakoś się wymigałam, a właściwie zignorowałam jej pytanie. Ruszyłam z kopyta z wyjaśnieniami, że martwię się o Gretę, jak sobie poradzi ze świadomością, że jej ojciec i rodzina stoją w obliczu śmierci w Niemczech. Znam Cecily przez całe życie i wiedziałam, że od razu przejmie się Gretą. Jest do niej bardzo przywiązana.

– I postąpiłaś właściwie, bo nie zadawała dalszych pytań. Swoją drogą, sądzę, że twój pomysł z psychiatrą jest dobry. Musimy mieć jakiegoś pod ręką, kiedy pani Steinbrenner tu

dotrze. Będzie potrzebowała sporej pomocy.

Podszedł kelner z szampanem; tręcili się kieliszkami. William odezwał się cicho:

– Wróćmy do niezrównanego Walecznego. Naprawdę zasługuje na kryptonim, który mu nadałaś, Diedre.

Przez chwilę oboje milczeli. Nie było w tym nic niezwykłego; od trzech lat blisko współdziałali i dobrze się rozumieli. Milczeli zgodnie, tak jak harmonijnie pracowali.

Pierwszy odezwał się William:

– Co dokładnie wiemy o Alexandrze Dubé?

– Że jest długoletnim przyjacielem Jerry’ego Randella. Razem studiowali. Alexander jest impresariem muzycznym i wciąż przyjeżdża do Filharmoników Berlińskich. Chętnie od czasu do czasu wyświadcza jakieś przysługi Randellowi, ale nigdy takie, które mogłyby mu zaszkodzić. Jerry na to nalega.

William pociągnął łyk szampana.

– Więc twój pomysł polega na tym, żeby był w pociągu z Berlina do Paryża? Jako coś w rodzaju strażnika, który weźmie w obronę rodzinę, gdyby powstały jakieś kłopoty.

– Pociągi są pełne niemieckich żołnierzy, obcokrajowców, gestapo i Bóg wie kogo jeszcze. A ponieważ pani Steinbrenner jest nerwowa, nie wiadomo, co może niespodziewanie zrobić. Sądzę, że profesor jest nieco naiwny, niezbyt zaradny. Dubé i Tony będą w stanie przejąć kontrolę w każdej możliwej sytuacji. – Spojrzała z napięciem na Williama.

– A kiedy dojadą już do Paryża? – spytał z zaciekawieniem.

– Tony zaprowadzi ich do ambasady brytyjskiej, a tam wydadzą rodzinie wizy. Już to załatwiłam. Dubé będzie im towarzyszył do Londynu.

William milczał, patrząc w zamyśleniu w dal. Diedre zastanawiała się, czy podoba mu się jej plan. Siedziała i czekała, nie tylko zmieszana, ale i zaniepokojona. Nigdy nie widziała go w takim stanie... czy to troska? Nie miała pojęcia. Ale wiedziała, że miło jest być z nim poza biurem. Działał na nią, sprawił, że znów poczuła się kobietą. Nagle zdała sobie sprawę, jaki jest atrakcyjny.

– To wszystko ma ręce i nogi, Diedre – odezwał się wreszcie William. – Możliwe, że wpadam w pułapkę stereotypów, sądząc, że wszyscy profesorowie są roztargnieni, ale rzeczywiście lepiej zachować ostrożność. Ochrona wydaje się odpowiednia; miejmy nadzieję, że Alexander Dubé się zgodzi.

– Myślę, że tak. To nie jest trudne zadanie i niczym mu nie zagraża na dłuższą metę – odparła, wciąż zdziwiona, jak silny pociąg czuje do Williama Lawsons.

– Zgoda. Zmieńmy temat: miałem dziś spotkanie z premierem – zwierzył się William. – Wyszedłem z niego sfrustrowany i skonsternowany. Chamberlain po prostu nie rozumie, że polityka ustępstw jest jak... dodawanie sobie otuchy. Lord Halifax nie pomaga, jeszcze go podpuszcza. – Potrząsnął głową, w jego ciemnych, inteligentnych oczach widać było troskę. – Czemu nie chcą zrozumieć, że Hitler to zabójca, masowy morderca, który chce zawładnąć światem. Przecież nie są aż tacy głupi. A może są? – Wpatrzył się w nią, unosząc brwi.

– Może. Albo to z ich strony pobożne życzenia. A poza tym w brytyjskim establishmencie są tacy, którzy uważają, że Hitler jest bardziej do przyjęcia niż Stalin. Obawiają się komunizmu.

– Chyba kupię im egzemplarze *Mein Kampf*. I powiem, żeby uwierzyli w każde napisane tam słowo! – zawołał.

– W ogóle tego nie przeczytają, Will, więc nie wydawaj na próżno pieniędzy.

– Wiesz, że nie miałem naprawdę zamiaru kupować im książki Hitlera. To była ironia.

– Mój ojciec sądzi, że Churchill powinien zostać premierem. Twierdzi, że to jedyny

człowiek z wizją, który może nas uratować, uratować Europę i na koniec cywilizację zachodnią.

– Całkiem się z nim zgadzam... A skoro mowa o twoim ojcu, przypuszczam, że wybierasz się na ten weekend do Cavendon?

– Owszem, nie widziałam Robina od prawie dwóch tygodni, chcę też rzucić okiem na ojca. Przed moim wyjazdem do Genewy nie wyglądał za dobrze. Ale jeśli muszę, zostanę w Londynie, skoro mnie potrzebujesz.

Nie odpowiedział. Milczał, patrząc na nią w świetle świec.

W jego oczach gościł wyraz, którego nie rozumiała, a jego twarz, zazwyczaj żywa, była absolutnie bez wyrazu. A właściwie wygląda na smutnego, pomyślała. Wręcz zmartwionego.

– Wszystko w porządku, Will? – spytała wreszcie.

Szybko otrząsnął się z myśli o niej, o swoich uczuciach do niej, o tym, jak jej potrzebuje. Skinął głową.

– Nie ma sprawy. Myślałem tylko o dwójce agentów, których przyjąłem – wymyślił na poczekaniu, po czym mówił dalej: – Mężczyzna i kobieta, którzy znają Francję od podszewki. Oboje są na wpół Francuzami i Anglikami i chcą tam działać, kiedy przyjdzie pora. A przyjdzie.

– Chcesz, żebym ich poznała? Są w Londynie?

– Tak, mieszkają tutaj. A ja nie tylko chcę, żebyś ich poznała, ale żebyś ich prowadziła – odparł. – Powinnaś nadzorować ich i ich specjalne szkolenie.

– Są spokrewnieni? To małżeństwo?

– Nie, nawet się jeszcze nie znają. I co ty na to?

– Zajmę się nimi, Will. Wiesz, że zrobię wszystko, czego chcesz.

Milczał, a zanim zdążył wymyślić, co mógłby powiedzieć, Jacques przyniósł im zamówione dania. Co za ulga!



Diedre obudziła się w środku nocy, zerwała się z łóżka i poszła do kuchni. Zagotowała mleko, nalała sobie kubek i wróciła do sypialni. Leżała w ciemności, sącząc mleko i myśląc o Williamie Lawsonie.

To był miły wieczór. William był uroczy, chwilami zabawny i bardzo mądrze wyrażał się o ich pracy. Rozmawiali o wywiadzie wojskowym i w większości spraw zgadzali się co do joty. Potem dotknęli paru kwestii osobistych – i o to chodziło.

Naturalnie był przez cały wieczór idealnie uprzejmy, uważny i miły. Po wyjściu z restauracji zatrzymał taksówkę, odwiózł ją do domu, życzył dobrej nocy i pojechał dalej.

Wkładając klucz do zamka, wiedziała, że tego wieczoru stało się coś dziwnego. Ale czym to w rzeczywistości było? Niespodziewanie uświadomiła sobie, że William wydał się jej atrakcyjny i pociągający. A pod tym kryło się coś jeszcze. Silne fizyczne przyciąganie.

Usiadła raptownie, omal nie rozlewając mleka. Pociąg seksualny. Jak to możliwe? Nie myślała o seksie od śmierci Paula. O mój Boże, mruknęła i odstawiła kubek na stół, bo nagle zaczęła się trząść. Zapaliła nocną lampkę, wstała i ruszyła na poszukiwanie szlafroka i kapci. Czuła się przemarznięta do szpiku kości.

Już całkiem rozbudzona usiadła przy ulubionym biurczku stojącym pod oknem sypialni. Był to francuski mebelek przypominający stół i pasował do wystroju sypialni. Paul kupił go dla niej w Paryżu, wiedząc, że od dzieciństwa przepadała za biurkami.

Paul. Spojrzała w lewo, wpatrzyła się w jego fotografię w srebrnej ramce. Oczy wypełniły jej się łzami, ale pozbyła się ich, intensywnie mrugając. Tyle płakała po jego nagłej i niespodziewanej śmierci, że nie sądziła, by pozostały jej jeszcze jakieś łzy.

Jakże rozpaczała... przez cały rok. Chwilami sądziła, że nigdy nie podniesie się z żaloby, tak bardzo za nim tęskniła: za jego humorem, ekscentrycznym amerykańskim żargonem, jego miłością i pożądaniami... w jednej chwili zabrakło tego wszystkiego.

Daphne zaprowadziła ją wtedy do altany w Cavendon i wygłosiła kazanie. Stwierdziła, że rok to dosyć na tak intensywną żalobę, że musi zatroszczyć się o swojego małego synka, również dotkniętego tą stratą. Ostre słowa siostry przywróciły jej rozsądek; uświadomiła sobie, że istotnie zaniedbała Robina. Wiedziała, że musi się poprawić.

Parę tygodni później Hugo zasugerował jej, że Robin powinien pójść do szkoły z internatem. Przez chwilę wzdragała się na tę myśl, ale potem zaczęła dostrzegać jej sens.

Robin byłby w otoczeniu chłopców w jego wieku, będą tam wychowawcy, którzy nim pokierują. Potrzebował w swoim życiu mężczyzn, to prawda.

Hugo zaproponował Colet Court i zawiózł ją tam, by zobaczyła szkołę. A potem przedstawiła pomysł Robinowi. Nie był nim w ogóle zainteresowany, chciał zostać w domu, z nią. Próbując go namówić, użyła języka jego ojca i powiedziała: „Zawrzyjmy umowę, Robinie”.

Spojrzał na nią i odpalił: „A co ja będę z tego miał?”. Syn również użył biznesowego języka ojca, i nagle uśmiechnął się po raz pierwszy od długich miesięcy.

Przypomniała sobie teraz, jak ucieszył ją ten uśmiech, i zaproponowała: „Miesiąc w Colet Court. Jeśli ci się nie spodoba, będziesz mógł odejść i sam postanowisz, gdzie chcesz się uczyć do trzynastego roku życia, kiedy pójdziesz do Eton”.

Zaakceptował umowę, podał jej rękę, i znów wchodząc w buty ojca, dodał: „Uścisk dłoni pieczętuje umowę”.

Na szczęście Robin polubił Colet Court od pierwszego dnia i był tam naprawdę szczęśliwy. Święta i wakacje spędzał w Cavendon. W tygodniu miał dla siebie kuzynów, a zwłaszcza Charliego, dziadka, Milesa i Harry'ego, który wyszkolił go na dobrego jeźdźcę. A ona przyjeżdżała tam w każdy weekend.

Kiedy Robin zadomowił się w szkole, Diedre nagle zdała sobie sprawę, jak puste stało się mieszkanie; nie miała tu nic do roboty. Zrozumiała, że musi wrócić do pracy. Zawsze uwielbiała pracę w wywiadzie, i kiedy przyszła, by poznać nowego szefa jednostki, czekała ją miła niespodzianka.

William Lawson przywitał ją z otwartymi ramionami i wyznaczył jej wysokie stanowisko. W rzeczywistości, gdyby zachorował lub był nieobecny, zajmowała jego miejsce jako zastępca, podlegając jedynie premierowi.

Will. Zamknęła oczy, przywołując ich obraz z wieczoru w restauracji. Dlaczego był inny? W końcu już z nim jadała. Ale przedtem były to bardziej spotkania robocze, i przeważnie towarzyszył im ktoś jeszcze.

Byliśmy sami, odprężeni. On zaakceptował wszystko, co zrobiłam w sprawie Steinbrennerów. I ucieszyły go wiadomości od Walecznego. Piliśmy szampana i wino i zjedliśmy dobrą kolację. Zachowywał się jak mężczyzna, a nie jak mój szef. I był zainteresowany mną jako kobietą. To, co uważałam za smutek w jego spojrzeniu, było czułością. A w pewnej chwili nawet pragnieniem... towarzystwa? Miłości? Mnie? – Nie była pewna, ale nagle zrozumiała, że tak jak ona uznała go za pociągającego, tak i on poczuł to samo w stosunku do niej.

To odkrycie zaskoczyło ją i przestraszyło. Nie mogła dać się temu owładnąć. Pracują razem. Nie powinni się angażować.

Diedre otworzyła oczy, wstała, zdjęła szlafrok i poszła do łóżka. Miała nadzieję, że zaśnie. Ale nic z tego. Leżała w ciemności, myśląc o Paulu. Pociąg do innego mężczyzny nie był zdradą ich miłości. Paul nie żył już od prawie pięciu lat. I nie chciałby, żeby pozostała samotna.

Powiadał, że życie jest dla żywych.

Ale czemu Will? Świat jest pełen mężczyzn. Dlaczego właśnie on, ktoś, z kim pracuje? Spadło to na nią w tej restauracyjce w Chelsea. Ale co ma z tym począć? Nawet nie próbowała odpowiedzieć sobie na to pytanie.

Nigdy nie mówił wiele o sobie, ale opowiedział jej o nim Tony. Byli spowinowaceni: Veronica, kuzynka Tony'ego, była żoną brata Williama, Ambrose'a Lawsona, i uważali się za rodzinę.

Tony mówił, że żona Willa była trudną osobą – zazdrosną neurotyczką – i zamieniła jego życie w piekło. Dlatego rzucił się w wir pracy i przyjmował wszelkie zadania wymagające wyjazdów za granicę. Jego żona została inwalidką, a piętnaście lat temu zmarła. „Nie mieli dzieci”, dodał Tony tego wieczoru, kiedy opowiadał jej o szefie... trzy lata temu.

Zastanawiała się, czy gdzieś w tle nie mający jakaś przyjaciółka. Taki związek byłby czymś zupełnie normalnym. W końcu był przystojnym, męskim facetem, kobiety czuły się przy nim bezpiecznie.

Myśli nabierały rozpędu, stawały się bardziej złożone i intymne, co ją na chwilę zaniepokoiło. A potem puściła wodze wyobraźni i leżała bezsennie aż do świtu, kiedy wreszcie zasnęła z wizerunkiem Williama Lawsona wyrytym w umyśle.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Diedre była obdarzona niezwykłą pamięcią. Potrafiła przypomnieć sobie rozmowę sprzed wielu lat równie dobrze jak szczegóły spotkań. Dlatego nigdy nie robiła notatek i niczego nie zapisywała: uważała, że to niebezpieczne. Paliła przy pierwszej okazji nawet najdrobniejsze zapiski.

Informacje przekazywała osobiście i tak prędko, jak to było możliwe. A potem odkładała je w zakamarki umysłu, by w razie potrzeby je wyciągnąć.

Gdy przyszła do biura w czwartek rano, od razu zadzwoniła do Tony'ego Jenkinsa w ambasadzie brytyjskiej w Berlinie.

– To ja, Daffy Dilly – powiedziała, kiedy Tony podniósł słuchawkę.

– Miałem nadzieję, że to ty – odparł Tony. W jego głosie pobrzmiwała ulga. – Byłem wczoraj wieczorem po kawior. Żałuj, że nie poszłaś ze mną. W przyszłą środę dostanę w ręce garnek złota.

– Gratuluję. Mam nadzieję, że kawior był dobry.

– Wyborny. Masz jakieś wiadomości na temat ciepłych skarpet?

– Tak, zaraz ci wyjaśnię. Chciałam tylko powiedzieć, że wykonałeś świetną robotę, i to błyskawicznie. Dziękuję. A teraz, co do skarpetek, dostarczy ci je Alexander Dubé – słyszałeś o nim.

– A, rozumiem.

– Z tego, co wiem, osoba potrzebująca skarpetek jest spięta, nerwowa i może sprawiać kłopoty. Chyba trzeba jej będzie pomóc przy wkładaniu.

– Damy radę – odparł Tony. – Ale co, jeśli będzie chciała je zdjąć w pociągu i znów zmarznie?

– Ty i Alexander będziecie wiedzieli, jak sobie poradzić, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Mogę bezpiecznie mówić?

– Sprawdziłem ten telefon dziś rano, jak co dzień, możesz mówić.

– Załatwię, że Dubé spotka się z wami w Berlinie. Będzie wiedział o wszystkim. Ty i on będziecie eskortowali podróżnych do Aachen, a potem przez Belgię do Francji.

– Więc mam zostać w pociągu aż do Paryża i upewnić się, że wszystko jest w porządku w ambasadzie brytyjskiej. Zgadza się?

– Tak, ale wydawało mi się, że kwestia wiz jest już załatwiona.

– Owszem, jednak dla pewności skontaktuję się z wydziałem wizowym. Masz coś do powiedzenia o naszym przyjacielu naukowcu?

– Rozmawiałam z moją cioteczną babką, która zna jego żonę. Powiedziała mi, że to bardzo miły i sympatyczny pan, który jednak lubi się przechwalać. Składa ludziom obietnice bez pokrycia.

– Tak też myślałem. Jak mu zamkniemy gębę? Może łązić wszędzie i truć, że wydobędzie profesora. To może być niebezpieczne, przyciągnąć uwagę.

– Nie możemy mu jej zamknąć. Nie mamy na niego wpływu. Ale możesz powiedzieć profesorowi, że wszystko jest ustalone na przyszły tydzień, tylko upieraj się, że to musi pozostać tajemnicą. Powinien wiedzieć, że gadanina może przynieść fatalne skutki.

– Jakoś to załatwię.

– Trudno mi zrozumieć, czemu ludzie nie pojmują, jak poważne rzeczy dzieją się wokół

nich. Świat się zmienia, a oni nie zwracają na to uwagi.

– Nie dostrzegają zagrożenia – odparł Tony.

– Zgadza się. Jaka jest pogoda?

– Niedobra. Burze. Pioruny i błyskawice wiszą nad głową. Cieszę się, że cię tu nie ma.

Nie chciałbym, żebyś zamoczyła nogi.

– Zobaczę się dzisiaj z moim kontaktem w sprawie pana Dubé. Jutro podam ci szczegóły.

I zdecyduj się, gdzie chcesz skończyć.

– Mogę ci to powiedzieć teraz. Zostanę w Paryżu z panem Dubé do chwili, kiedy wyjadą do Londynu. Żeby się upewnić, że wszystko dobre, co się dobrze kończy, cytując starego dobrego Willa... to znaczy Szekspira.

– Wiem, kogo miałeś na myśli.

Pożegnali się i skończyli rozmowę. Diedre usiadła wygodnie i skupiła się na Grecie Chalmers; zastanawiała się, co można jej powiedzieć.

Po chwili namysłu zdecydowała o niczym jej nie mówić. Niech to się najpierw stanie, pomyślała. Greta nie musi o tym wiedzieć z góry. Coś może pójść źle w drodze do granicy. Tak się już zdarzało.

Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł Will.

– Nie przeszkadzam? Wyglądasz na zamyśloną.

– Właśnie wybierałam się do ciebie. Rozmawiałam przed chwilą z Tonym.

Steinbrennerowie wyjeżdżają w przyszłą środę. Dokumenty są gotowe.

– No to kości zostały rzucone – powiedział, siadając. – Mogę tylko powiedzieć, że powinniśmy dziękować Bogu za Walecznego.

Diedre skinęła głową. Była wstrząśnięta wyglądem Willa. Sprawiał wrażenie wyczerpanego, miał podkrążone oczy. Zastanawiała się, czy on też ma za sobą nieprzespaną noc. Czyżby doświadczał tych samych uczuć co ona?

– Gapisz się na mnie, Diedre. Coś nie tak?

– Nie, wyglądasz na zmęczonego, tylko tyle.

– Rzeczywiście miałem niespokojną noc, głównie z powodu Walecznego i twojej wiadomości od niego. Czy spodziewał się odpowiedzi? Mam się z nim skontaktować?

– Nic nie mówił o odpowiedzi. Chyba sądzi, że będziesz chciał informacji od niego.

– Oczywiście, że tak. Jest bezcenny. Kiedy spotkałem go rok temu w Kilonii, mruknął coś w stylu, że Niemcy muszą przegrać wojnę, by odzyskać człowieczeństwo. Mówił tak cicho, że nie byłem pewien, czy dobrze go usłyszałem.

– Owszem. I powiem ci, że sporo ludzi wie, jak bardzo jest nastawiony przeciwko nazizmowi. Dlatego się o niego boję. I jest jeszcze coś, o czym chcę wspomnieć. Podczas służby w marynarce Waleczny miał protegowanego nazwiskiem Reinhard Heydrich. Moim zdaniem istnieje duże prawdopodobieństwo, że może stać się jego rywalem dążącym do większej władzy. Miejmy to na uwadze i nie spuszczaamy Heydricha z oka. Może stać się problemem, zagrożeniem dla Walecznego.

– Rozumiem, że jest żądny władzy. Przekażę to dalej. A teraz porozmawiajmy o Tonym Jenkinsie.

– A o co chodzi?

– Sądzę, że powinien wyjechać. Menzies z MI6 mówił mi, że wiadomości płynące z Berlina są naprawdę złe... Hitler wpadł w szal.

– Tony dał do zrozumienia, że nastroje w Berlinie są coraz groźniejsze. Jedzie do Paryża z tymi uchodźcami. Mam mu powiedzieć, żeby ruszał dalej?

– Lepiej zabierzmy go za wcześniej niż za późno. Powiedz mu, żeby wracał do domu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Charlotte stała przy oknie w swoim saloniku na piętrze Cavendon Hall, wyglądając przez okno. Uśmiechnęła się na widok pary łabędzi sunących po jeziorze. W jasnym świetle sierpnia wyglądały tak elegancko, wręcz królewsko. Wzruszyła ją myśl, że łabędzie łączą się w pary na całe życie.

Za chwilę pojedzie do Harrogate, by spotkać się z Margaret Howell Johnson. Wciąż miała przed oczami jej twarz. Oczywiście fizyczne podobieństwo do Diedre wyprowadzało ją z równowagi. Jeszcze raz zadała sobie pytanie, czy pani Johnson może być córką lady Gwendolyn. Nie będzie pewna, póki nie uzyska odpowiednich informacji, chociaż istniało duże prawdopodobieństwo, że istotnie tak jest.

Jakie to dziwne, że poznała panią Johnson z powodu maszyny do puszkowania, ale nikt nigdy nie wie, co go może spotkać. Życie tworzy własne zasady, pomyślała. Pierwszy raz usłyszała to zdanie od Alice Swann i wiedziała, że Alice ma rację. A ona miała własne ulubione powiedzenie na temat życia: będzie, co ma być.

Śnieżnobiałe ptaki powoli odplęły za zakręt i zniknęły z widoku. Jakże pusta była teraz ta gładka powierzchnia. Charles powtarzał, że Cavendon byłoby zupełnie inne bez łabędzi, a także bez Swannów. Miał podwójnie rację.

Charlotte odwróciła się od okna, usiadła przy biurku i przejrzała listę osób mających uczestniczyć w niedzielnym podwieczorku. Wyglądało na to, że zjawią się wszyscy z wyjątkiem Jamesa i Dulcie, którzy wciąż byli w Los Angeles. Cieszyło ją, że Charles zobaczy dzieci i wnuki; z niecierpliwością czekał na to spotkanie Inghamów i Swannów.

Pobiegła myślą do historii rodziny, wspominając, jak ponad sto osiemdziesiąt lat temu James Swann został wasalem Humphreya Inghama, sprytnego biznesmena i kupca, który podróżował po świecie, kupując i sprzedając wszystko, od egzotycznych przypraw po złoto i diamenty. Zdobył ogromne bogactwa, wdał się w politykę i na różne sposoby przysłużył się ojczyźnie. Wreszcie został uhonorowany przez króla tytułem para i terenem o nazwie Mowbray w jego ojczystym Yorkshire.

Gdy został hrabią Mowbray, wykupił tysiące akrów ziemi sąsiadującej z posiadłością, w tym zieloną dolinę zwaną Little Skell, położoną nad brzegami rzeki Skell. W dolinie znajdował się również żyzny teren do polowań na ptactwo, który Humphrey i James pielęgowali przez lata. Do dziś był w kwitnącym stanie i co roku odbywały się tam polowania.

Z pomocą Jamesa Swanna Humphrey zbudował wielką rezydencję, Cavendon Hall, i zapewnił pomyślność i bezpieczeństwo miejscowej ludności mieszkającej w trzech wioskach: Little Skell, Mowbray i High Clough.

Cóż to za szczęście, że ci dwaj mężczyźni poznali się, zostali przyjaciółmi i towarzyszami, pomyślała Charlotte. Widocznie tak miało być.

To dzięki Humphreyowi Inghamowi na jeziorze w Cavendon zawsze będą pływać łabędzie, na cześć jego najdroższego przyjaciela, Jamesa Swanna. Uwielbiała tę tradycję.

– Więc niech tak będzie – mruknęła pod nosem.

Wstała, wzięła torebkę i zeszła na dół. Charles wyszedł z Harrym obejrzeć dwa wspólne pola, uprawiane przez kobiety z Instytutu. Były z nich dumne; Charles uznał, że należy wykazać zainteresowanie. Kobiety niewątpliwie ciężko pracowały, a Harry zaproponował hrabiemu, że go oprowadzi.

Goff otworzył drzwiczki samochodu. Charlotte wsiadła i skupiła się na Margaret Howell Johnson. Nie mogła się doczekać uzupełnienia historii i odkrycia prawdy, więc wczoraj zadzwoniła do niej i spytała, czy mogą pożyczyć maszynę do puszkowania wcześniej, niż planowano. Nie zastała pani Johnson, ale po godzinie oddzwoniła jedna ze sprzedawczyń z wiadomością, że pani Johnson z radością powita ją następnego dnia, czyli dziś, w piątek dziewiętnastego sierpnia.

Jeśli pani Johnson jest tą osobą, o którą mi chodzi, myślała, to będzie miała urodziny za tydzień, dwudziestego szóstego sierpnia. Ale to wciąż nie świadczyłoby o niczym, to może być dziwaczne podobieństwo i zbieg okoliczności. Muszę mieć więcej informacji, żeby się upewnić. Ale skąd?

Jedynym przyzwoitym sposobem, na jaki wpadła, było znaleźć kogoś, najlepiej kobietę, która znała Margaret jako dziecko i chciała wiedzieć, jak powiodło się w życiu małej, ślicznej dziewczynce. Więc stworzyła taką osobę i wymyśliła cały plan. Ktoś mógłby powiedzieć, że to marny pomysł, ale Charlotte wierzyła, że zadziała. Zresztą co miała do stracenia? A przy okazji weźmie maszynę do puszkowania, więc podróż nie pójdzie na marne.



Pani Johnson wyglądała na zakłopotaną, witając się z nią w sklepie.

– Tak mi przykro, milady, ale pomyliłam się. Moje panie z Instytutu będą korzystały w ten weekend z maszyny. Nie wiedziałam, że już przygotowały mnóstwo owoców i oczywiście nie pozwolą, żeby się zepsuły. – Potrząsnęła głową i dokończyła: – Obawiam się, że zmarnowałam pani czas, milady. – Polubiła lady Mowbray i szczerze żałowała, że tak się stało.

Charlotte wahała się przez chwilę, ale była zdecydowana spędzić trochę czasu z panią Johnson i przeprowadzić małe śledztwo.

– To naprawdę nie problem – wymyśliła na poczekaniu – bo chciałam też obejrzeć broszkę z kameą, którą zauważyłam poprzednio na wystawie. Dość mi się spodobała.

Pani Johnson uśmiechnęła się i zawołała:

– Ulżyło mi, że nie jest pani zła. Proszę usiąść, a ja przyniosę też trochę innych klejnotów. Przepraszam na chwilę.

Charlotte patrzyła za odchodzącą, myśląc, jaka to miła osoba. Uprzejma, mówiąca poprawnym językiem, wytworna i bez cienia arogancji właściwej niektórym kupcom.

Po chwili pani Johnson wróciła, niosąc wykładaną aksamitem tacę. Postawiła ją na okrągłym stoliku.

– Mój mąż i ja znaleźliśmy w tym roku we Włoszech trochę naprawdę pięknych rzeczy, nie tylko te broszki. Oto one.

– Dziękuję, pani Johnson. – Charlotte przyjrzała się przedmiotom na tacy. Wzięła do ręki broszkę, którą zamierzała podarować Daphne, ale teraz nie była już tego pewna. Daphne lubiła niezwykłą lub spektakularną biżuterię.

Margaret Johnson, sprytna i niegłupia, zauważyła jej wahanie.

– Nie wiem, czy będzie pani zainteresowana, lady Mowbray, ale parę tygodni temu kupiłam w Paryżu cudowny naszyjnik z kamei – powiedziała cicho. – Jest stary i stanowi rzadkość, jedyną w swoim rodzaju.

– Chyba nigdy nie widziałam naszyjnika z kamei – odparła Charlotte, rada, że może spędzić więcej czasu z panią Johnson, czekając na okazję, by uraczyć ją wymyśloną historyjką. – Chętnie go zobaczę.

Pani Johnson pośpieszyła na zaplecze, a Charlotte rozejrzała się po sklepie. Był

gustownie urządzony; zorientowała się, że włożono mnóstwo wysiłku i pieniędzy, by uzyskać tak wygodne i eleganckie wnętrze.

Po paru chwilach pani Johnson wróciła, niosąc następną tacę. Postawiła ją obok pierwszej.

– Ależ to piękne! – zawołała Charlotte na widok naszyjnika. – Mogę go wziąć do ręki? Dokładniej go obejrzyć?

– Oczywiście. A może chciałyby go pani przymierzyć?

– No cóż, owszem, dziękuję bardzo.

– Proszę pozwolić, że go nałożę i zapnę – powiedziała pani Johnson, prowadząc ją do lustra.

Charlotte spojrzała na swoje odbicie i stwierdziła, że naszyjnik jest istotnie niezwykły, ale nie pasuje do niej. Szukała gwiazdkowego prezentu dla Diedre i doszła do wniosku, że on będzie idealny.

– Bardzo mi się podoba. Będzie pani tak miła i go odepnie?

Charlotte wróciła do stolika i zaczęła znów oglądać kamee, wciąż zastanawiając się, jak zacząć swoją historyjkę.

Młodsza z dwóch sprzedawczyń, Gillian Hunter, oszczędziła jej kłopotu. Podeszła, trzymając fotografię i pustą srebrną ramkę.

– Przepraszam, że przeszkadzam, milady, ale muszę zamienić kilka słów z panią Johnson – powiedziała.

– Oczywiście – odparła z uśmiechem Charlotte.

– W porządku, Gillian, widzę, co trzymasz w rękach. Idziesz do ramiarza?

– Tak. Myślę, proszę pani, że trzeba kupić nową ramkę i nowe szkło. Ramka jest paskudnie wyszczerbiona. – Mówiąc to, pokazała ramkę pani Johnson, upuszczając jednocześnie fotografię.

Upadła u stóp Charlotte, która podniosła ją i zawołała:

– Co za śliczne dziecko! A sukienka do chrztu jest wyjątkowa.

– Niestety, nie robią już takich sukienek – powiedziała z uśmiechem pani Johnson.

Charlotte przytaknęła.

– To pani, prawda? A dama, która panią trzyma, to z pewnością pani matka.

– Zgadza się. – Pani Johnson spojrzała na sprzedawczynię. – Sądzę, że masz rację, Gillian. Wybierz srebrną, podobną do tej. – Odwróciła się do Charlotte. – Proszę o fotografię, lady Mowbray, żeby Gillian mogła już iść.

– Oczywiście. Nie wiadomo, po co ją trzymam.

Sprzedawczyni wyszła, a pani Johnson wyjaśniła:

– Parę dni temu upadła mi i szkło się stłukło. Przepraszam za zamieszanie.

– Widząc to zdjęcie, przypomniałam sobie o czymś – zaczęła Charlotte. – Mam znajomą, która wiele lat temu mieszkała w Yorkshire. Wspomniałam jej, że widziałam w pani sklepie dość niezwykłą kameę. Ona interesuje się biżuterią. Co zabawne, mówiłam o maszynie do puszkowania, a potem zeszło na sklep. Kiedy wymieniłam pani nazwisko, powiedziała, że znała pani matkę, która miała sklep jubilerski, a pani była przepięknym dzieckiem. Pamiętała nawet tę sukienkę do chrztu; mówiła, że była na przyjęciu z okazji pani pierwszych urodzin.

– Ojej, kto to taki? Aż dziw, że ktoś zapamiętał sukienkę i moje pierwsze urodziny. To musiała być naprawdę dobra znajoma.

– Mówiła, że pani urodziny wypadły dwudziestego szóstego sierpnia. Nie myliła się?

– Istotnie, tak jest. Proszę podać mi jej nazwisko, milady. Jestem strasznie ciekawa, a niestety nie przypominam jej sobie.

– Audrey Finch. Była projektantką mody, bardzo zainteresowana ubiorami i biżuterią. Z tego, co wiem, znała panią, kiedy uczyła się pani chodzić. Nie pamięta jej pani? To urocza brunetka z zielonymi oczami.

– Szczerze mówiąc, nie. – Margaret Johnson potrząsnęła głową. – Ale to naprawdę o niczym nie świadczy. Które dziecko zapamiętałoby coś z tak odległej przeszłości? W przyszły piątek skończę pięćdziesiąt lat. To było bardzo dawno temu.

– Rzeczywiście.

– Nie mieszkaliśmy wtedy w Harrogate. Rodzice mieli sklep z biżuterią w Yorku, i tam mieszkaliśmy jakieś dwadzieścia lat. Potem przeprowadzili się, bo podobało się im Harrogate i uznali, że to będzie dobre miejsce na biznes. A gdy znaleźli ten sklep, natychmiast go kupili. Tu spotkałam mojego pierwszego męża. Niestety, zginął w wypadku samochodowym, kiedy miałam dwadzieścia cztery lata.

– Tak mi przykro; była pani za młoda, by stracić męża – powiedziała ze współczuciem Charlotte.

Margaret Johnson skinęła tylko głową.

– Więc Howell to nie pani nazwisko panińskie?

– Nie, jestem z domu Matheson.

– Jak to miło brzmi... Margaret Matheson. Pani rodzice wybrali pani ładne imię.

– A co jeszcze mówiła pani znajoma o mnie albo o mojej matce?

– Właściwie nic, uznała tylko, że to przedziwny zbieg okoliczności, że przyszłam pożyć maszynę do puszkowania dla kobiet z Little Skell i poznałam właśnie panią. Była całkiem pewna, że to panią pamięta jako najpiękniejszą małą blondyneczkę, jaką kiedykolwiek widziała.

– Pani Finch mogła znać moją matkę w Yorku i odwiedzać nas, kiedy jeszcze mieszkała w Yorkshire.

– To bardzo możliwe. Swoją drogą, chcę kupić ten naszyjnik. Jest wyjątkowy.

– Też tak uważaliśmy. Kupiliśmy go od znakomitego jubлера w Paryżu, a on nabył go na aukcji. Naszyjnik należał do Pauliny, najmłodszej siostry Napoleona, która była mu bardzo bliska – lojalna i kochająca. Z tego, co mówił francuski jubiler, naszyjnik mógł nawet być podarunkiem od niego.

– Skoro to taki skarb, jest prawdopodobnie dość drogi – mruknęła Charlotte. – Ale bardzo mi się podoba.

Pani Johnson podeszła do lady i znalazła listę francuskich i włoskich zakupów. Zanotowała na kawałku papieru cenę naszyjnika i podała go Charlotte. Ta rzuciła nań okiem i powiedziała:

– A jednak go kupię, ze względu na jego pochodzenie i urodę. Zakładam, że ma pani wszelkie dotyczące go dokumenty?

– Oczywiście, milady, i oddam je pani. To bardzo ważne, żeby mieć świadectwo pochodzenia. – Po chwili wahania dodała: – Jestem naprawdę szczęśliwa, że pani go kupi. Jest rzeczywiście wyjątkowym skarbem.

Charlotte patrzyła, jak pani Johnson wkłada naszyjnik do obitego wytartą skórą okrągłego pudełka, i po chwili spytała bezceremonialnie:

– Czy pani matka jeszcze żyje?

– Och, nie – odparła pani Johnson, zamykając pudełko. – Żyła pięć lat po śmierci mojego ojca, ale bardzo go jej brakowało. Byli cudownymi rodzicami, wychowali mnie z taką miłością...

Ucichła, wstała, zaniósła pudełko sprzedawczyni i poleciła je zapakować.

Wróciwszy do stolika, usiadła i niespodziewanie podjęła rozmowę w miejscu, w którym

ją przerwała.

– Mówię to, bo byłam adoptowana. Niektóre adoptowane dzieci trafiają w nieodpowiednie ręce. Ja miałam szczęście: moi rodzice uwielbiali mnie; sprawiali, że czułam się, jakbym była ich rodzonym dzieckiem.

Charlotte siedziała cicho. Coś ścisnęła ją za gardło. Wreszcie nieco się pozbierała i spytała:

– Czy oni znali pani rodzoną matkę? Czy pani ją poznała?

– Nie, nie znali. I nigdy jej nie spotkaliśmy. Jednak kiedy byłam już w takim wieku, że mogłam to zrozumieć, zdradzili mi, co o niej wiedzieli. To była młoda kobieta, która zaszła w ciążę bez ślubu, a pochodziła z dobrej szlacheckiej rodziny. Nie mogła wyjść za mojego ojca. Musiała mnie oddać. Jestem pewna, że pani dobrze wie, jak było w tamtych czasach: to była bardzo wstydliva sprawa.

– Obawiam się, że nie zmieniło się tak bardzo – mruknęła Charlotte. – Ludzie wciąż są strasznie pruderyjni.

– Wiem tylko jedno – odparła równie cicho pani Johnson – Kobieta, która mnie urodziła, z pewnością bardzo mnie kochała. Sukienka do chrztu i inne piękne ubranka były zapakowane w pudełko, które rodzice dostali w szpitalu w Leeds, skąd zabrali mnie do domu.

Charlotte była teraz całkiem pewna, że ta kobieta to dziecko lady Gwendolyn. Nabrała tchu.

– A czy myślała pani kiedyś o swojej matce, czy chciałaby ją pani poznać?

– O tak, tego samego chcieli moi rodzice, ale do czasu, kiedy skończyłam dziesięć lat i powiedzieli mi, że byłam adoptowana, dwaj prawnicy, którzy załatwiali tę sprawę, już nie żyli. Moi rodzice nie wiedzieli, jak się zabrać do poszukiwań, i po prostu daliśmy sobie spokój. – Pani Johnson uśmiechnęła się i zakończyła: – Może pani powiedzieć swojej znajomej, że mała blond dziewczynka nieźle sobie poradziła.

– Tak też zrobię – obiecała Charlotte. Wstała i dodała: – Proszę dać mi znać, kiedy maszyna będzie wolna. A jak wpadnę po nią, jeszcze raz popatrzę na broszki z kameami. Ma pani piękne rzeczy.

– Dziękuję, lady Mowbray.

– Muszę zapłacić za naszyjnik – stwierdziła Charlotte, podchodząc do lady. Otworzyła torebkę i wyjęła swoją osobistą książeczkę czekową.



Później, w powrotnej drodze do Cavendon, zastanawiała się, co dalej. Czy powinna utrzymać tę wiedzę w tajemnicy? A może zdradzić ją matce i córce? Czuła się, jakby była młotem a kowadłem.

Tego wieczoru podczas kolacji pomyślała, że może naprawdę powinna porozmawiać o tej niecodziennej sprawie z Cecily. Nie miała wątpliwości, że Margaret Johnson to córka ciotki Gwendolyn. Istniało fizyczne podobieństwo do Diedre Ingham, i te oczy, które mieli wszyscy Swannowie. Wreszcie pudełko z ubrankami i sukienka do chrztu, szpital w Leeds, wzmianka o dwóch zmarłych prawnikach. Było aż nadto dowodów. A jednak czuła, że nie potrafi zdecydować, czy powiedzieć o tym obu kobietom; potrzebowała rady.

Cecily знаła tajemniczą notatkę w rejestrach napisaną przez Marka Swanna. Sama ją jej pokazała przed ślubem z Charlesem, by udowodnić, że od wielu lat istniało silne przyciąganie pomiędzy mężczyznami i kobietami z obu rodzin.

Mark Swann był ojcem Waltera, dziadkiem Cecily. Był też ojcem Margaret Johnson.

Zmieszana krew. Swannowie i Inghamowie. Historia powtarzała się tyle razy.

Jakie było najlepsze wyjście? Charlotte nie miała pojęcia. Zdecyduję jutro, pomyślała. I pomodliła się o boskie natchnienie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Hanson był w swoim żywiole. Siedział uszczęśliwiony w wygodnym fotelu przy biurku w swoim kantorku, kilka metrów od kuchni.

Miał przed sobą rozmaite listy dotyczące weekendu. Zerknął na kalendarz stojący obok zegara. Była sobota dwudziestego sierpnia; lato miało się ku końcowi.

W przyszłym miesiącu liście zaczną zmieniać kolory, a znając klimat Yorkshire, wiedział, że we wrześniu w powietrzu będzie się czuło chłód.

Przypomniał sobie wczorajszą niespodziewaną rozmowę z hrabią.

Lord Mowbray spytał go, czy mógłby zrezygnować z przejścia na emeryturę z końcem roku i pozostać w Cavendon jako naczelny kamerdyner. Zaskoczyło go to, ale natychmiast odpowiedział twierdząco: „Z wielką przyjemnością milordzie”, bojąc się, że hrabia nagle zmieni zdanie. Potem zapytał uprzejmie o powód tej prośby.

Jego lordowska mość odparł, że wojna jest nieuchronna, a Winston Churchill ma rację, twierdząc, że polityka ustępstw nie przyniesie rezultatu. Niemcy napadną na resztę Europy i mają też chętkę na Wielką Brytanię.

– Wszyscy młodzi ludzie pójdą do wojska, Hanson – ciągnął hrabia. – Zawsze tak jest. Stracimy na wojnie kwiat naszej młodzieży, ponieważ tylko młodzi ludzie są zdolni do walki. Wioska, a także Cavendon Hall, będą się opierać na kobietach. Będę cię potrzebował, Hanson, wszyscy będziemy. – Miał ponurą minę i zniżył głos. Obaj pamiętali Guya, starszego syna hrabiego, przystojnego i pełnego charyzmy. Czy wojna rzeczywiście znów przyjdzie po chłopców i mężczyzn z Cavendon?

I to tyle, powiedział sobie Hanson. Potrząsnął głową i skupił się na Gordonie Lanie, który nie będzie zdolny do walki, tak samo jak Eric Swann, który wraz z siostrą Laurą prowadzi londyński dom Milesa i Cecily. Więc wśród personelu Inghamów zostanie kilku mężczyzn, ale zdaniem Hansona kobiety były równie dobre, a czasami nawet lepsze.

Uśmiechnął się pod wąsem, wspominając ostatnie dziewięć lat: jak Cecily Swann dowodziła czterema córkami hrabiego w boju o uratowanie Cavendon. Jego zdaniem jest świetną, urodzoną przywódczynią. Cztery siostry były równie pracowite, zdolne i zorganizowane jak ona. Mężczyźni wprawdzie pomagali, ale to była głównie zasługa tych kobiet. Spojrzał na leżące przed nim listy.

Hrabia wybrał wina na dzisiejszy i niedzielny obiad; hrabina wypisała menu na oba obiady i lunche. Lady Charlotte zazwyczaj pozostawiała planowanie podwieczorkowego menu jemu i kucharce; uważał to za wyraz uznania. Miała dość rozsądku, by im ufać.

Charlotte Swann, cioteczna babka Cecily Swann, teraz hrabina Mowbray, żona szóstego hrabiego. Cecily Swann, żona Milesa Inghama, dziedzica tytułu, synowa szóstego hrabiego i przyszła hrabina. Ich syn, David Swann Ingham, kolejny dziedzic, który pewnego dnia zostanie następcą ojca jako ósmy hrabia Mowbray. Walter Swann, osobisty lokaj hrabiego, ojciec przyszłej hrabiny Mowbray, teść i dziadek przyszłych hrabiów.

Sporo Swannów dookoła. Hanson uśmiechnął się. Cieszył się bardzo, że Swannom tak się powiodło. Zasługiwali na to. Byli filarem wielkiej rodziny, z którą związali się półtora wieku temu. Wiąże ich lojalność, to prawda. Czasy się zmieniły; przed dziesięciu laty rodzina przetrwała plotki, kiedy hrabia ożenił się z Charlotte, a Miles starał się o rozwód, by ożenić się z Cecily.

Mały zegar podróżny wybił szóstą. Hanson wstał i z menu w rękę skierował się do kuchni.

Susie Jackson, która od kilku lat pracowała jako kucharka, smażyła już bekon. Pociągnął nosem i powiedział:

– Dzień dobry, Susie. Dziękuję, że wczoraj wieczorem zostawiłaś mi na biurku jadłospisy. Oddaję je. – Położył papiery na kredensie.

Susie odwróciła się do niego z uśmiechem.

– O, dzień dobry, panie Hanson. Ma pan ochotę na kanapkę z bekonem? A może woli pan jajka na bekonie?

– Kanapkę, proszę. I filiżankę mocnej herbaty. To najlepsze na początek dnia.

Usiadł przy kuchennym stole, wiedząc, że za mniej więcej czterdzieści minut pojawią się pokojówki i lokaje. Śniadanie dla rodziny podawano o dziewiątej w jadalni.

Wszyscy z wyjątkiem lady Daphne, pana Hugona i panicza Charliego przyjechali wczoraj wieczorem. Ci przyjadą po południu z Londynu.

Kucharka odezwała się, obracając bekon na patelni:

– Milady wyglądała wczoraj na nieco roztargnioną.

– Nazwałbym to zamyśleniem – odparł Hanson. Wstał i zamknął drzwi. – Szczerze mówiąc, sądziłem, że jest czymś trochę zmartwiona.

– Mam nadzieję, że nie martwi się o zdrowie hrabiego.

Hanson spojrział ze zdziwieniem na Susie.

– Ależ on się dobrze czuje! – zawołał. – Rozmawiałem z nim długo wczoraj i był w wyśmienitej kondycji. Mówiliśmy o polityce, planowaliśmy działania na wypadek wojny. – Pokręcił energicznie głową. – Nie, nie martwi się lordem Mowbray, tu chodzi o coś innego.

– Cokolwiek to jest, lady Charlotte da sobie z tym radę – zauważyła Susie. – To silna, odporna kobieta. – W jej głosie brzmiał podziw.

– Owszem, dzięki Bogu.

Kucharka położyła na talerzykach kanapki dla Hansona i dla siebie, naląła dwa duże kubki herbaty, dodała mleka i cukru i zanosła tacę na stół.

– Proszę, panie Hanson – powiedziała, stawiając przed nim talerzyk. No to wcinamy.



– Pokazałam ci kiedyś notatkę w jednym ze starych rejestrów. Pamiętasz ją, Cecily?

– Oczywiście. Była dziwna, trochę tajemnicza. Mówiła o związku między Swannem i Inghamówną. I o dziecku, które urodziło się martwe.

Charlotte pochyliła się nad stolikiem w parkowej altanie i powiedziała cicho:

– Ta para bardzo się kochała. Kilka lat później mieli następne dziecko. I ono przeżyło.

– Co takiego? – wykrztusiła Cecily, wlepiając wzrok w ciotkę. – Skąd o tym wiesz?

– Odkryłam to. A właściwie powiedziała mi o tym matka dziecka – mruknęła Charlotte.

Ujęła Cecily za rękę. – Wiem, że to będzie dla ciebie szokiem, ale tą matką jest lady Gwendolyn.

Cecily siedziała jak rażona gromem. Gapiała się na Charlotte, niezdolna do mówienia, i usiłowała przyswoić tę informację. Wreszcie udało jej się wydobyć głos.

– Czy właśnie się o tym dowiedziałaś?

– Nie, Cecily. To było wiele lat temu. Wtedy, kiedy Dulcie wychodziła za mąż za Jamesa. Ciotka Gwen zwierzyła mi się i kazała mi obiecać, że zachowam to w sekrecie. I tak też było. Do dzisiaj.

– Więc dlaczego mi o tym mówisz? Złamałaś obietnicę. Co się stało? – Cecily nie

spuszczała oka z Charlotte. – Coś się musiało zmienić. Nie zламаłabyś nigdy przysięgi danej komuś z Inghamów.

– Oczywiście, że nie.

Charlotte zamilkła, starając się opanować gonitwę myśli.

– Masz rację, bystra jesteś, Ceci – odezwała się w końcu. – Zupełnym przypadkiem spotkałam kogoś. Kogoś, kto, jestem pewna, jest dzieckiem, które lady Gwendolyn musiała oddać pięćdziesiąt lat temu.

– Czemu o tym mówisz właśnie mnie?

– Bo nie wiem, co mam zrobić. Potrzebuję twojej rady, Cecyli. Nie mogę iść z tym do nikogo innego, tylko do kogoś ze Swannów. – Uśmiechnęła się i dodała: – A my obie należymy też teraz do Inghamów.

– Możesz na mnie liczyć – zapewniła ją Cecyli. – Opowiedz mi całą historię.

Charlotte zaczęła od broszki w kształcie łabędzia, którą dostała wiele lat temu, i ciągnęła opowieść aż do poprzedniego ranka, kiedy Margaret Howell Johnson wyznała jej, że była adoptowana, a Charlotte przekonała się o jej tożsamości. Nie opuściła żadnego szczegółu.

Skończywszy opowieść, pochyliła się ku Cecyli i spytała:

– Więc czy mam powiedzieć im obu? I której pierwszej? A może nie powinnam wywoływać wilka z lasu? Tak by powiedziała twoja matka.

– Nie wiem – przyznała Cecyli. – Ale cóż to za historia: jakie to dziwne, że właśnie ty to odkryłaś. – Po chwili spytała: – Naprawdę wygląda jak Diedre?

– Jest rzeczywiście duże podobieństwo, choć Margaret nie jest równie piękna i szykowna.

– Nikt nie jest tak elegancki jak Diedre – zauważyła Cecyli. – Rozważmy wszystkie za i przeciw. Jeśli powiesz ciotce Gwendolyn, jestem przekonana, że będzie chciała zobaczyć córkę, o której myślała przez ostatnie pięćdziesiąt lat. Ale będzie okropnie poruszona, jeśli Margaret nie zechce się z nią zobaczyć, nie sądzisz? – Cecyli uniosła brwi i coś przyszło jej do głowy. – A co z twoimi oczami? Czy Margaret nie zauważyła, że mają ten sam kolor co jej?

– O ile się orientuję, to nie. Ale masz rację. Nie mogę pisać słówka ciotce Gwendolyn, dopóki się nie upewnię, co Margaret myśli o spotkaniu z matką.

– Jest jeszcze coś – ostrzegła Cecyli. – Nie możesz powiedzieć Margaret, kim jest jej matka, dopóki nie zorientujesz się w jej uczuciach. Nie może znać nazwiska ciotki. Nie ma mowy.

– Znów się z tobą zgadzam – westchnęła Charlotte. – Co jeśli Margaret opowie o tym innym? Powie, że lady Gwendolyn Ingham Baidon to jej dawno zaginiona rodzona matka, która miała romans z Markiem Swannem. Wiesz, to byłby olbrzymi skandal – nawet w dzisiejszych czasach.

– A jego lordowska mość nie znosi skandali. – Cecyli zamyśliła się na chwilę. Wreszcie zawołała: – Trzeba by doprowadzić do złożenia przysięgi... wiąże mnie lojalność... W końcu, jeśli Margaret jest rzeczywiście tą, za którą ją uważasz, należy do rodziny Swannów. A jej ojciec to mój dziadek.

– Ale jak miałyby złożyć przysięgę? Nie była wychowana tak jak my... mamy wpojona lojalność w stosunku do Inghamów; to u nas odruchowe.

– Jaka ona jest? Wiem, że ledwie ją poznałaś, ale jesteś bystra. Myśl, ciociu. Czy to przyzwoita kobieta? Czy będzie chronić dobre imię starszej pani? Czy można polegać na jej uczciwości i dobrym sercu?

– Nie mam zielonego pojęcia, Ceci. Skąd mam wiedzieć? Wydaje się miła i z pewnością jest godna szacunku. Zauważyłam, że ma nienaganne maniery.

– To, co mówisz, brzmi zachęcająco, ale nigdy nie znamy ludzi do końca, prawda? Nawet

tych, których kochamy... zawsze jest jakaś drobna cząstka, której nie dostrzegamy. Każdy coś ukrywa.

– Zdziwiasz mnie, Cecily – powiedziała Charlotte, bacznie się jej przyglądając. – Bo ja odkryłam to dopiero kilka lat temu, a mam już siedemdziesiątkę.

– Chcesz, żebym pojechała z tobą do Harrogate po tę maszynę? Mam zamiar zostać w Yorkshire przez tydzień. Mogę ją dla ciebie ocenić. Co o tym myślisz?

– Ulżyło mi, Ceci. Dziękuję. Będę wdzięczna, jeśli poznasz Margaret, zanim wspomnę jej o ciotce Gwen. – Charlotte spojrzała na zegarek. – Chyba powinnyśmy iść do domu. Pora na lunch.



Po południu Diedre, przechodząc przez główny hol, zauważyła Hansona. Stał na schodach i oglądał portrety przodków powieszonye wzdłuż bocznej ściany.

– Czy coś jest nie tak z obrazami? – zagadnęła, podchodząc do schodów.

– Nie, lady Diedre, wszystkie są w dobrym stanie. Sprawdzalem ramy. Niektóre są bardzo stare. Będę musiał polecić, by dobrze je owinięto, zanim trafią na przechowanie. – Zszedł na dół i przystanął koło niej.

– A tak z ciekawości, jak się je przechowa? – spytała Diedre.

– Ted Swann zbija drewniane skrzynie, do których się je wsunie. Ale uważam, że ramy trzeba będzie czymś zabezpieczyć. Pożłota łatwo się ściera.

– Myślisz o wszystkim, Hanson, i masz tu rację. Cecily mówiła mi, że przygotowałeś piwnice tak, że możemy do nich zejść i mieszkać w nich, kiedy naziści zaczną nas bombardować.

– Napadną na nas, prawda, lady Diedre? – Hanson ufał jej osądowi; w końcu pracowała w Ministerstwie Wojny.

– Pan Churchill uważa, że tak, i jestem skłonna się z nim zgodzić. Jak wiesz, tatuś też szanuje pana Churchilla. Uważa, że powinien zostać premierem.

– Dobrze powiedziane, milady. Zgadzam się z milordem.

– À propos, Hanson, bardzo się cieszę, że zgodziłeś się nie przechodzić z końcem roku na emeryturę. Tatuś powiedział mi, że zostajesz. To wspaniała wiadomość. Co byśmy bez ciebie zrobili?

– Ja też tak czuję – rozpromienił się Hanson. – To znaczy, co ja bym zrobił bez tej rodziny? Przeżyłem w Cavendon większość życia... Nie wiedziałbym, co ze sobą począć, i brakowałoby mi was wszystkich... – Westchnął. – Brakowałoby mi mojej pracy, to pewne.

– Dziękuję, że opowiedziałeś mojemu synowi tyle różnych rzeczy o historii naszej rodziny i o domu, Hanson.

– Zrobiłem to z przyjemnością, lady Diedre. – I znów pomyślał o wielu pokoleniach Inghamów i poprosił Boga, by przetrwali to, co niosła przyszłość.

– Wiesz, gdzie się podziewa żona Milesa? Wszędzie jej szukam.

– Myślę, że poszła do biura. Ma coś do zrobienia, tak mi mówiła jakieś dziesięć minut temu.

– Pójdę tam. Dziękuję, Hanson.

Uśmiechnął się i skinął głową.



Diedre znalazła Cecily w jej małym biurze w aneksie przy stajniach. Gdy tam weszła, bratowa podniosła głowę i posłała jej serdeczny uśmiech.

- Chciałam z tobą chwilę porozmawiać, Ceci. Jest tu ktoś oprócz ciebie?
- Nie, Harry nie pracuje w soboty, a Miles jest z dziećmi... – Zmarszczyła brwi. – Masz bardzo poważną minę, Diedre. Stało się coś złego?
- Nie – odparła Diedre, siadając naprzeciw Cecily. – Choć widząc wszystkie przygotowania Hansona z powodu lęku taty przed inwazją, można sobie wyobrazić, jak bardzo dotknie nas wojna. Ale muszę ci coś wyjaśnić. A tobie nie wolno powtórzyć tego, co ci teraz powiem. Nikomu. Nawet Milesowi.
- Cecily kiwnęła głową i popatrzyła na nią pytająco. Diedre powiedziała cicho:
- Dowiedziałam się od innego mojego kontaktu, że być może jednak uda się wydostać Steinbrennerów z Berlina. Poczyniono już pewne kroki. Wiem tylko tyle. A Greta nie powinna o tym wiedzieć, na wypadek gdyby plan się nie powiódł. Byłaby zdruzgotana, jeśli się nie udało, a tak może się zdarzyć.
- Dziękuję, że mi o tym mówisz, Diedre. Oczywiście zachowam to dla siebie. Ale świadomość, że coś się robi, podniosła mnie nieco na duchu. Szczerze mówiąc, byłam dość przygnębiona. Greta się martwi, a to naturalnie wpływa na mnie, smuci mnie.
- Tak, zauważyłam to wczoraj wieczorem. Byłaś milcząca i wyglądałaś na zmartwioną. Dlatego ci powiedziałam o nowym zwrocie akcji. Trzymajmy za to kciuki.
- Kciuki, nogi, wszystko inne – odparła Cecily. – Po chwili spytała szeptem: – A kiedy to się ma stać?
- Nie wiem... Powiem ci, kiedy tylko dostanę jakąś wiadomość.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Co w niej takiego było?

Co przyciągało go do niej jak magnes? To jasne, że była ładna. W pierwszej chwili szokowała jej kolorystyka: lśniąca czarna włosy, cera jak kość słoniowa i ciemnoniebieskie oczy, prawie fiołkowe.

I odziedziczyła po sławnym ojcu delikatnie rzeźbione, klasyczne rysy, które sprawiały, że był tak fotogeniczny i stał się bożyszczem kobiet i gwiazdą filmową.

Harry wiedział jednak, że to było coś więcej niż wygląd. Paloma Glendenning miała coś, czym pociągała każdego mężczyznę. Częściowo chodziło tu o jej charakter; była ciepła i otwarta. Nie miała w sobie nic fałszywego; była po prostu naturalna.

Przyjechał do jej mieszkania w Lennox Gardens dziesięć minut temu, a teraz siedział w pokoju, sącząc białe wino.

Słuchał opowieści o złamanym barku jej ojca i nagle uderzyła go pewna myśl. Paloma miała ten sam urok co jej matka, kojący spokój. Zauważył to już podczas podwieczorku w Burnside Manor. To wszystko razem daje taki efekt. Cały kobiecy pakiet: wygląd, inteligencja i urok.

Zorientował się, że ona czeka na odpowiedź na swoją ostatnią uwagę, powiedział szybko:

– Myślę, że twoja matka ma rację, że nowomodne pomysły czasem są dobre. Nie słyszałem o miękkim gipsie, ale wygląda na to, że spełnia swoje zadanie.

– Tak, to praktycznie niemożliwe – założyć sztywny gips wokół barku. Więc ortopeda użył bandażu i zaopatrzył go w temblak. Teraz najbardziej boli go ręka, zgięta przez cały czas. Ale daje sobie radę, i na szczęście matka ruszyła mu na pomoc. – Po jej twarzy przebiegł uśmiech. – Ona wciąż go kocha.

– Już to mówiłaś – powiedział Harry i dodał po chwili: – Nie mogę się doczekać jutrzejszego lunchu z nim. Polubiłem twoją matkę w chwili, kiedy zobaczyłem ją w domu twojego wuja.

– Kazała ci powiedzieć, że zrobi dla ciebie najlepszy niedzielny lunch, jaki w życiu jadłeś. Udziec jagnięcy, pieczone ziemniaki, a nawet pudding z Yorkshire... cały ten kram.

– Śmieszne powiedzonko. Nigdy go nie słyszałem.

– Podłapałam je od ojca...

W jej słowa wdarł się dzwonek telefonu. Poszła go odebrać.

– O, cześć, mamusiu. – Słuchała cierpliwie Adrianny, a on miał okazję jej się przyjrzeć.

Miała na sobie granatową szyfonową sukienkę z długimi rękawami i plisowaną spódnicą, powiewającą przy każdym ruchu. Nie nosiła dużo biżuterii, tylko długi sznur pereł i kolczyki z perłami. Pomyślał, że ma szyk podobny do Cecily, i zaraz uświadomił sobie, że nosi suknię z pracowni jego siostry.

Paloma powiedziała parę słów do słuchawki i wróciła do niego.

– Mama chce, żebyś wiedział, że na lunchu będziemy tylko my. I Phoebe. Pozostałe dzieci pojechały na weekend ze swoim ojcem, ale Phoebe nie chciała jechać. Wolą zobaczyć się z tobą. Chyba się w tobie zadrzyła.

Zaczął się śmiać, ale urwał, wołając:

– Czuję spaleniznę!

– Och! Moja zapiekanka! – Paloma zerwała się i pobiegła do kuchni.

– Nie otwieraj drzwiczek piekarnika. Wyłącz go tylko – ostrzegł Harry. Odstawił kieliszek i ruszył za nią.

Zrobiła, jak kazał, i stanęła, patrząc na niego z rozpaczą.

– Zrobiłam dla ciebie wiejską zapiekankę, ale chyba spaliła się na węgiel.

– Sądząc po zapachu, to bardzo prawdopodobne. – Otworzył okno. – Nie otwieraj drzwiczek piekarnika, bo zadymisz całą kuchnię.

Paloma kiwnęła głową, wzięła go za rękę i zaprowadziła do pokoju.

– Tak bardzo chciałam zrobić dla ciebie pyszny obiad. Jaka szkoda, że zapiekanka poszła w diabły.

– Nie musisz przepraszać. Wiesz co, chodźmy do Savoya. Możemy tam zjeść kolację. Lubisz tańczyć?

– Uwielbiam. Co za świetny pomysł. Savoy i orkiestra Carrolla Gibbonsa!

Harry uśmiechnął się, ciesząc się jej entuzjazmem i tym, że nie rozwodziła się nad spalonym daniem. Podniósł kieliszek, łyknął wina i powiedział:

– Ślicznie dziś wyglądasz, Palomo. I jeśli się nie mylę, nosisz jedną z sukienek od mojej siostry.

– Tak, mamusia kupiła mi ją w butik Cecily Swann w domu towarowym Harte.

Przepadam za granatowym; nie jest taki pogrzebowy jak czarny.

– Tak też powtarza Cecily. Polubisz ją.

– Chętnie poznam ją, twoją matkę i ojca, i resztę rodziny. Jak myślisz, polubią mnie?

– Oczywiście, jak mogłoby być inaczej?

– Naprawdę?

Patrzyła na niego tak dziwnie, że zachmurzył się, odstawił kieliszek i przysiadł się do niej. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią, aż wreszcie odezwał się cicho:

– Przyjechałem do Londynu, żeby się z tobą zobaczyć. Na pewno wiesz, że moim zdaniem jesteś naprawdę wyjątkowa.

Ujęła jego dłoń i przytknęła ją do twarzy.

– Ty też, Harry. Najbardziej wyjątkowy mężczyzna, jakiego poznałam. Jestem zachwycona, że tu jesteś.

Ujrzał w jej oczach odbicie własnej tęsknoty. Objął ją i pocałowali się namiętnie. Poczul natychmiastowe podniecenie, ale zaraz w głowie odezwał mu się sygnał ostrzegawczy. Stój. Dostyc tego. Cichy głosik ostrzegł go, by nie posuwać się zbyt prędko. Zrozumiał, że to nie żarty.

Wypuścił ją z ramion i dotknął delikatnie jej twarzy.

– A ja jestem zachwycony, że jestem z tobą. Chcę, żebyśmy się dobrze poznali i żebyśmy zaprzyjaźnili się na długo.



Złapali taksówkę do Savoya. Usiedli przy oknie z widokiem na Tamizę i Harry zamówił szampana.

Widział, że Palomie się tu podoba. Rozejrzała się dookoła, a potem pochyliła się ku niemu.

– Byłam tu tylko raz. Z ojcem.

– To ulubione miejsce mojej siostry. Jeśli będzie w przyszłym tygodniu w Londynie, możemy się tu spotkać, chcesz?

– To świetny pomysł.

Podano szampana. Rozmawiali najpierw o jej rodzeństwie, potem Harry opowiadał

o Cecyli, Milesie i życiu w Cavendon.

Carroll Gibbons i jego orkiestra grali popularne kawalki. Światło było przyćmione, świece mrugały, pary tańczyły i panowała atmosfera relaksu.

W końcu zajrzeli do menu, zamówili lekką kolację i wyszli na parkiet. Dobrze się czuła w jego ramionach, a na wysokich obcasach prawie dorównywała mu wzrostem. Przytuliła się, kiedy walc przeszedł w wolnego fokstrotę. Harry był zachwycony, obejmując ją, kołysząc się w rytm muzyki i wdychając różany zapach jej włosów. Był szczęśliwy i swobodny – nie czuł się tak od wielu miesięcy; cieszył się, że się poznali. A wszystko dzięki dziewczynce na rowerze.



Byli w połowie posiłku, kiedy Paloma spytała:

– Jesteś całkiem wolny, Harry? To znaczy, żeby związać się ze mną?

Mimo zaskoczenia odpowiedział spokojnie:

– Tak, a czemu pytasz?

– Claudia mówiła mi o twojej pani w Harrogate. – Roześmiała się i ciągnęła: – Moje siostry są wobec mnie opiekuńcze. Claudia kazała mi zadać ci wprost to pytanie, więc to zrobiłam. Ale w głębi ducha czułam, że nie bawiłbyś się ze mną... nie jesteś taki.

– Nie, nie jestem. I już nie widuję się z tą panią z Harrogate. Zresztą ona wyjechała na stałe.

Czuł się dobrze w towarzystwie Palomy, więc odprężył się i opowiedział jej, jak się skończył ten romans.

– Nie musiałeś mi o tym mówić, ale cieszę się, że to zrobiłeś – powiedziała. – Dziękuję. A teraz ty możesz mnie zapytać, o co tylko chcesz.

– To zacznijmy od tego samego, dobrze? Jesteś wolna? – spytał ciepło, z góry znając odpowiedź.

– Tak, Harry. Nie miałam wielu chłopaków, a mój ostatni związek skończył się ponad rok temu. Nie był szczególnie udany, zbyt się różniliśmy. – Wahala się przez chwilę. – Poczułam do ciebie pociąg od pierwszego wejrzenia. Dobrze się przy tobie poczułam. Chciałam cię lepiej poznać, spędzić z tobą trochę czasu, zbliżyć się do ciebie.

Harry ujął ją za rękę i ucałował palce.

– Ja tak samo. Myślałem o tobie codziennie.

– I ja też – wyznała Paloma. – To zabawne, chciałam coś dla ciebie zrobić, zatroszczyć się o ciebie. Dlatego przygotowałam tę tragiczną zapiekankę.

Skrzywiła się przy tym, co wywołało salwę śmiechu. Harry szepnął:

– Na pewno będziesz jeszcze miała okazję zrobić mi zapiekankę. Teraz po prostu cieszę się, że mogę być z tobą. I możesz powiedzieć Claudii, że przejmuję rolę twojego opiekuna.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Do deseru wypili jeszcze trochę szampana i przetańczyli pół nocy. Przy kawie Paloma niespodziewanie spytała:

– Kim jest Eric?

– Eric? – powtórzył Harry.

Zmarszczył brwi, a potem przypomniał sobie, że Paloma słyszała, jak dzwonił do domu przy South Street i prosił Erica, by zarezerwował im stolik w Savoyu.

– Eric prowadzi dom Cecyli przy South Street; zatrzymuję się tam, kiedy jestem w Londynie. Był kamerdynerem lorda Mowbray, ale hrabia nie ma już domu w Londynie. Eric to

także Swann – mój kuzyn.

– Rozumiem.

– Czemu pytasz?

– Z ciekawości. Chyba chcę wiedzieć o tobie wszystko.

– Sądzę, że to trochę potrwa.

– Czy zatrzymasz się tam, kiedy następnym razem będziesz w Londynie? A może przyjedziesz do mnie?

Nie odpowiedział. Wstał i pociągnął ją za sobą na parkiet. Objął ją i wtulając twarz w jej włosy, wyszeptał:

– Nie, jeszcze nie teraz, słodka dziewczyno. Chcę, żeby wszystko potoczyło się powoli i we właściwy sposób. Zrozum, traktuję to poważnie. Nie lubię gier hazardowych. Są zbyt niebezpieczne.



Diedre weszła do biblioteki w Cavendon. Podała telefonistce numer Toby'ego Junga.

– Hej, Daffy Dilly, jak leci? – spytał, słysząc jej głos.

– Dobrze. Jak u ciebie pogoda?

– Paskudna. Cieszę się, że stąd zwiewam na początku przyszłego tygodnia. Zmieniam klimat. Jesteś z rudzikiem?

– Istotnie. To szczęśliwy ptaszek. A co z tobą, Toby?

– Też jestem szczęśliwy. Kawior był dobry, a źródółko lepsze niż kiedykolwiek.

– Wspaniała wiadomość. Wcześniej, niż myślałeś?

– Tak. Poznałem wczoraj naszego muzycznego znajomego. Jesteśmy tego samego zdania.

– Dzięki Bogu – powiedziała cicho Diedre. – Bądź w kontakcie.

– Dostaniesz ode mnie wiadomość, kiedy zobaczę kloszardów.

– To się cieszę – odparła Diedre, rozbawiona, że tak uroczo przekazał, skąd zadzwoni – wiedziała, że miał na myśli brzeg Sekwany, gdzie zbierali się na posiłek włóczędzy.

Tony też zachichotał, a Diedre dodała:

– Dostaniesz instrukcje. Musisz rozstać się ze swoim miejscem.

– Z przyjemnością, Daffy Dilly.

Pożegnali się. Diedre opuściła bibliotekę i weszła na schody, gdy zegar w wielkim holu wybił siódmą. Dużo za wcześnie na śniadanie. Wróciła do sypialni, czując niezmierną ulgę. Steinbrennerowie prawdopodobnie wyjadą z Berlina we wtorek, eskortowani przez Tony'ego i Alexandra Dubé.

Trzymaj kciuki, nakazała sobie, gramoląc się do łóżka i naciągając kołdrę na głowę. Trzymaj kciuki.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Cecily świetnie wiedziała, że wojna wpłynie drastycznie na jej biznes. A ponieważ była przekonana, że wkrótce nadejdzie, dostosowywała do tego własne plany.

I teraz, w chłodny poranek pod koniec sierpnia, znajdowały się z Dorothy Pinkerton w głównej hali fabryki w Leeds. Ciotka Dottie spędziła weekend z rodzicami Cecily w Little Skell, a Goff przywiózł je do miasta.

Ten budynek leżał niedaleko centrum Leeds i kanału Leeds–Liverpool. Wysokie okna sprawiały, że do hali wpadało dużo światła, a całość była w niezłym stanie. Spośród pięciu fabryk, które Cecily postanowiła kupić, prezentowała się najlepiej.

– To świetny wybór, Ceci – odezwała się ciotka Dottie. – Jasna i przestronna. Kobietom będzie się tu dobrze pracowało.

– Wiem, że chcesz wykorzystać trzy z pozostałych na szycie mundurów, kiedy dostaniesz rządowy kontrakt, ale co z piątą? Co tam planujesz?

– Jeszcze nic, Dottie – odparła, opierając się o długi stół roboczy. – Dobrze mieć coś pod ręką na wszelki wypadek, a jeśli nie znajdę dla niej zastosowania, mogę zawsze ją sprzedać albo wynająć. W dłuższej perspektywie to się opłaci. A zresztą należy do firmy, która posiada tę, i muszę kupić obie. Taka jest umowa.

– Sądzę, że tu można rozpocząć produkcję za parę miesięcy.

– Wszystkie podłogi są mocne, ściany w dobrym stanie. Trzeba je tylko pomalować. Okna też się nadają, a niedawno założono nową instalację elektryczną. Więc w pewnym sensie mamy wszystko gotowe. No, prawie. – Spojrzała pytająco na Dottie. – Zgadzasz się ze mną, że gotowa odzież dla kobiet to ważna sprawa?

– Oczywiście. Kiedy zacznie się wojna, skurczy się rynek *haute couture*, to pewne. A żeby zostać w biznesie, trzeba mieć produkt na sprzedaż. Spójrzmy prawdzie w oczy, jesteś we właściwym mieście. Przemysł gotowej odzieży zaczął się właśnie tutaj.

– Wiem, John Barret otworzył pierwszą fabrykę, kiedy Singer wynalazł maszynę do szycia. A potem żydowski krawiec – Herman Friend – wpadł na pomysł „pracy w kawałkach”. Małe pracownie krawieckie zaczęły wytwarzać „kawałki” ubrania. Innymi słowy, jeden warsztat produkował kłapy i rękawy, inny tyły marynarek, a jeszcze inny oba przody. I wszystkie kawałki wysyłano do fabryki Barrana, gdzie zszywali z nich garnitury. A stamtąd trafiały do sklepów. To było genialne.

– Pamiętam, że czytałam o tym wiele lat temu. To zrewolucjonizowało biznes i Leeds stało się światowym centrum gotowej odzieży. Ale ty nie chcesz użyć tej metody, prawda?

– Nie, cała odzież powstanie tutaj. – Podeszła na środek hali i rozpostarła ramiona: – Przez całą długość staną tu stoły, takie jak ten, a przy maszynach wygodne krzesła. Chcę, żeby tu były świetne, nowoczesne warunki pracy.

– Kiedy zaczniesz zatrudniać ludzi?

– Jak tylko fabryka będzie gotowa, polecę kierownictwu wybierać pracowników, o ile się trafią. Nie mam zamiaru czekać do rozpoczęcia wojny, co nastąpi za jakieś osiem czy dziewięć miesięcy. Chcę zacząć wyrób odzieży tak szybko, jak się da, żeby pojawiły się na rynku i klienci się do nich przyzwyczaili. Skopiujemy sporo wzorów z ekskluzywnej linii, będą bardzo modne.

– Brawo, Cecily. To właściwe podejście... jak nazwiesz gotową odzież?

– Jeszcze nie wymyśliłam nazwy, chwilowo myślę o niej jako Cecily Swann Ready. Ale

mam nadzieję, że wpadnę na lepszy pomysł. Ty też się zastanów.

– Oczywiście. – Dorothy zerknęła na zegarek. – Chodźmy już, bo się spóźnię na pociąg do Londynu.

– Podrzucę cię na dworzec. I dziękuję, że wpadłaś na weekend.

– Było mi bardzo miło, Ceci, i naprawdę podoba mi się nowy projekt. Jestem przekonana, że to będzie kolejny sukces.



W drodze do Cavendon Cecily wróciła myślą do Charlotte i kłopotu z Margaret Howell Johnson. Starannie ukryła zaskoczenie wiadomością, że lady Gwendolyn urodziła dziecko, którego ojcem był Mark Swann. Było jej bardzo przykro, że ciotka Gwen żyła przez tyle lat z raną w sercu.

Zrozumiała też, co miała na myśli Genevra, mówiąc, że znowu miesza się krew Inghamów i Swannów, kładąc nacisk na „znowu”.

Cecily zgadzała się, że powinny jak najszybciej zobaczyć się z panią Johnson ze względu na zaawansowany wiek ciotki. Jak zauważyła Charlotte, mimo że lady Gwen miała zamiar dożyć setki, mogła umrzeć lada chwila. Obie chciały, żeby przed śmiercią poznała swoją córkę. Cecily zaproponowała, by Charlotte umówiła je na spotkanie tego popołudnia, i miała nadzieję, że wszystko zostało ustalone.

Kiedy dojechali do Cavendon, szofer wysadził ją przed biurem. Cecily znalazła na biurku kopertę. W środku było kilka słów: „Jesteśmy umówione na dzisiaj o czwartej. Ch”.

Włożyła kartkę do torebki. Drzwi się otworzyły i stanął w nich uśmiechnięty Miles. Pocałował ją w policzek.

– Jak ci poszło? – spytał. – Czy nowa fabryka zrobiła wrażenie na Dottie?

– Tak, a ja poprosiłam ją, żeby wymyśliła nazwę dla nowej linii odzieży.

– Wiesz co? – powiedział, przysiadając na krawędzi biurka. – Podoba mi się to Cecily Swann Ready. I myślę, że będzie wyglądała elegancko na metce, kiedy słowo „Ready” będzie pod twoim nazwiskiem. Wyobraź to sobie: zamknij oczy i zobacz tę metkę.

Zrobiła tak i zawołała:

– Masz rację, Miles. A „Ready” z dużym „R” powinno być wyszyte złotą nitką, na znak, że to coś specjalnego.

– Słowo „specjalny” też by mogło zadziałać – stwierdził Miles. – Ale mamy jeszcze sporo czasu na zastanowienie.

– Owszem. – Spojrzała na niego i poczuła przyływ miłości. Należał do niej, był jej lepszą połową, jej mężem. Była zachwycona, że może to mówić głośno.

– Patrzysz na mnie z takim natężeniem, Ceci. Co się dzieje w tej mądrej główce?

Zbliżyła się do niego i położyła mu ręce na ramionach, nie spuszczając z niego wzroku. Pocałowała go namiętnie w usta. Oddał pocałunek i objął ją. Przyłgnęli do siebie na dłuższą chwilę.

Gdy wreszcie oderwali się od siebie, Miles roześmiał się cicho, a widząc wyraz jej twarzy, spytał:

– O co chodzi, kochanie?

– Zróbmy sobie dziecko – szepnęła. – Chcę mieć z tobą jeszcze jedno maleństwo.

Znów go objęła i przytuliła się do niego.

– Ale ostatnio ulżyło ci, kiedy się okazało, że nie jesteś w ciąży. Skąd ta zmiana?

– Chcę poczuć, jak część ciebie rośnie we mnie. Tak cię kocham. I zawsze mówiliśmy, że

będziemy mieć czworo dzieci.

– Wiem – powiedział, gładząc jej włosy. – Ale teraz zbliża się wojna. Powiedziałaś, że nie chcesz urodzić dziecka w czasie wojny.

– Tak, ale nagle zmieniłam zdanie. Nie pozwolę, żeby naziści mnie przestraszyli... – Westchnęła. – Jestem potwornie bezczelna.

Spojrzał na nią w zamyśleniu.

– Spotkało nas tyle dobrego, Ceci, i jestem wdzięczny za wszystko, co mamy. Zgoda na następne dziecko. I wiesz, co powiadają: praktyka czyni mistrza – dodał z figlarnym błyskiem w oku.

Cecyli była tak szczęśliwa, że uściskała go mocno. Gdy wreszcie wypuściła go z objęć, szepnęła:

– Umowa stoi, i nie musimy podawać sobie rąk. Ręczę za nią słowem.

– Ja też. Chodźmy lepiej na lunch z tatą i Charlotte.

Idąc z nim ręką w rękę przez podwórze, spytała nagle:

– Miałeś jakieś nowiny od Harry'ego? Jak mu się udał weekend z Palomą?

– Dzwonił i powiedział, że jeśli może, ma zamiar zostać na parę dni w Londynie.

Zapewniłem, że dam sobie radę. W jego głosie brzmiała... euforia, myślę, że to najlepsze określenie.

– Aha! To dobra wiadomość. Miejmy nadzieję, że znalazł bratnią duszę.

– To się trafia bardzo rzadko, pani Ingham, i trudno ją znaleźć. A ja cieszę się, że moja jest tu przy mnie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Jeśli Margaret Howell Johnson była zdziwiona, widząc, jak do jej sklepu wchodzi słynna projektantka Cecily Swann, to nie pokazała tego po sobie.

Podeszła do nich spokojnie, przywitała serdecznie obie panie i po przedstawieniu jej Cecily powiedziała:

– To zaszczyt poznać panią, panno Swann. Jest pani niezwykle utalentowana; od lat jestem pani wielbicielką.

– Dziękuję, pani Johnson – odparła Cecily, starając się nie gapić na nią. Właściwie nie musiała, bo podobieństwo do Diedre było wręcz uderzające, i była równie wysoka jak Diedre i lady Gwen.

– Mówiła pani, milady, że chce omówić jakąś ważną kwestię, więc sądzę, że lepiej nam będzie w moim biurze.

– Tak, pani Johnson, dziękuję.

Biuro Margaret Johnson było obszerne, z wykuszowym oknem wychodzącym na Parade. W wykuszu stało biurko, a przed kominkiem sofa i fotele. Na ścianach wisiały ładne obrazy; biuro wyglądało bardziej jak salonik niż miejsce do pracy.

Usiadły i pani Johnson zaczęła:

– Jak sądzę, chce pani porozmawiać o osobie, która przyjedzie do Cavendon, żeby nauczyć wasze panie posługiwania się maszyną do puszkowania. To Iris Dowling, skarbniczka naszego oddziału. Bardzo dobrze się na tym zna, i będzie bardzo pomocna. Jestem pewna, że ją polubicie.

– Dziękuję, powitamy ją z radością; niech przyjedzie, kiedy jej będzie wygodnie – odparła Charlotte. – Może w piątek?

– Chce pani wziąć maszynę już dziś, lady Mowbray?

– Tak, jeśli to możliwe. Mam samochód z szoferem, który nam pomoże.

Pani Johnson skinęła głową, zerkając to na Charlotte, to na Cecily. Nagle zabrakło jej słów; zrozumiała, że chodzi tu o coś więcej.

Charlotte, wyczulona na ludzi, zauważyła jej zakłopotanie i od razu przeszła do rzeczy.

– Jest jeszcze coś, o czym powinniśmy porozmawiać. Parę dni temu opowiedziała mi pani o swoim dzieciństwie i adopcji. Później, dzięki szczegółom, które mi pani podała, zorientowałam się, że znam pani rodzoną matkę.

Twarz pani Johnson wyrażała absolutne zdumienie. Powtórzyła podniesionym głosem:

– Moją rodzoną matkę?

– Jest pani podobna do niej i do kogoś, kto jest z nią spokrewniony – potwierdziła Charlotte.

– Więc ona jeszcze żyje? Naprawdę?

– Tak.

– I jest pani tego pewna, lady Mowbray?

– Zdecydowanie.

– Poznałam panią dopiero dziś, pani Johnson – wtrąciła Cecily – ale widzę podobieństwo, o którym wspomniała lady Mowbray.

Margaret Howell Johnson była wyraźnie wstrząśnięta. Wpatrywała się bez słowa w Charlotte i Cecily. Na jej twarzy pojawiał się na przemian wyraz zdumienia, szoku,

ciekawości, a nawet lęku.

Charlotte przyszło do głowy, że Margaret może się zastanawiać, czemu towarzyszy jej Cecily.

– Poprosiłam Cecily, żeby ze mną przyjechała, bo ona też zna kobietę, która, jak sędzę, jest pani matką. Właśnie potwierdziła to, co pani powiedziałam.

– Tak, zareagowałam tak samo jak ty – zapewniła Cecily.

Zapadło milczenie. Cecily uświadomiła sobie, że jedynymi dźwiękami są tykanie zegara na kominku i dzwonek telefonu w drugim pomieszczeniu. Rozumiała, że Margaret usiłuje uporać się z rewelacją Charlotte. Taka wiadomość zwałiłaby z nóg każdego.

Wreszcie przemówiła Charlotte:

– Pani Johnson, czy chciałaby pani poznać swoją matkę?

– P-p-oznać moją matkę? – wyjąkała drżącym głosem. – Oczywiście! Zawsze o tym marzyłam. Zobaczyć ją, uścisnąć, kochać ją i wiedzieć, że mnie kocha. Zawsze czułam, że czegoś mi w życiu brak... a to była ona... – Potok słów raptownie ustał, gdy po twarzy Margaret potoczyły się łzy.

Cecily wyciągnęła chusteczkę i usiadła obok niej. Wcisnęła płótno w jej drżącą dłoń i powiedziała:

– Lady Mowbray musiała najpierw panią spytać, zanim wspomni o tym pani matce.

Wiemy, że ona będzie chciała panią poznać. Nie chciałyśmy jej rozczarować, gdyby pani nie zgodziła się na spotkanie.

Margaret uniosła głowę i spojrzała na Cecily.

– Dlaczego miałabym nie chcieć poznać kobiety, o której myślałam przez całe życie? – spytała zdławionym głosem.

– Niektórzy by nie chcieli – mruknęła cicho Cecily.

Margaret wytarła oczy.

– Tak, sędzę, że niektórzy mogliby czuć gniew. Ale nie ja. Czy powiecie jej o mnie? Czy zorganizuje pani spotkanie, lady Mowbray? Proszę. – Znow położyły się łzy.

– Tak, oczywiście, że tak – zapewniła ją Charlotte.

– Dziękuję. – Margaret wytarła oczy. Wyprostowała się, usiłując wyrównać oddech; w głowie kłębiły się jej setki pytań. – Czy ona mieszka w Harrogate?

– Nie.

– A gdzie?

– W innej części Yorkshire. Zabiorę panią na spotkanie z nią w tym tygodniu.

– Jutro? Możemy pojechać jutro?

– Może lepiej w środę. Muszę ją przygotować... – Charlotte urwała i spojrzała na Cecily.

Ta skinęła głową na znak, że powinna mówić dalej.

– Proszę zrozumieć, ona jest dosyć stara, dużo starsza, niż pani sądzi. Ta wiadomość będzie dla niej takim samym wstrząsem, jakim była dla pani.

Margaret Johnson z zakłopotaniem zmarszczyła brwi.

– Co pani rozumie przez „dość stara”? To przecież była młoda kobieta? Młoda kobieta ze szlachty, która nie mogła poślubić mojego ojca?

– Nie, to nie tak. Była wdową. I nie pochodziła ze szlachty, ale z arystokracji. A kiedy pani przyszła na świat, miała prawie czterdzieści osiem lat.

Pani Johnson doznała kolejnego szoku. Potrząsnęła z niedowierzaniem głową.

– To niemożliwe, to niemożliwe – powtarzała.

– To prawda, pani Johnson – odezwała się Cecily. – Pani matka nie spodziewała się, że w tym wieku zajdzie w ciążę, ale stało się, jak się stało. I proszę mi wierzyć, chciała panią

zatrzymać.

- Wierzę – szepnęła Margaret. – W głębi ducha zawsze to wiedziałam.
- Trzeba zachować pełną dyskrecję, pani Johnson, ze względu na jej wiek. Opowiem jej o pani, a kiedy w środę po panią przyjadę, dowie się pani, kim ona jest.
- Rozumiem – odparła Margaret Howell Johnson. Wciąż nie mogła pogodzić się z tymi zaskakującymi nowinami.



W poniedziałkowy wieczór Diedre wciąż siedziała w biurze, studiując rozpostartą na biurku mapę Europy. Odnalazła Aachen i narysowała czerwonym atramentem kółko wokół nazwy. Kiedy przesunęła wzrok na Paryż, zadzwonił telefon. Podnosząc słuchawkę, zerknęła na zegar. Była siódma.

- Halo, kto mówi?
- To ja – odezwał się Tony. Po raz pierwszy od paru dni jego głos brzmiał normalnie.
- Gdzie jesteś?
- W ambasadzie brytyjskiej. Żegnam się z biurkiem.
- Więc wreszcie ruszasz?
- Tak, i to pędem. Jutro.
- Czyli wcześniej?
- Zgadza się, Daffy Dilly. Dzięki panu D. Jest cudownym środkiem uspokajającym. – Zachichotał. – Dobry na rozgrzewkę.
- Więc wszystko dobre, co się dobrze kończy? – spytała ze śmiechem Diedre.
- Na razie tak. Będę rad, kiedy zjem podwieczorek z kloszardami.
- Zadzwonisz do mnie stamtąd?
- Jasne. To na razie, Daffy Dilly.
- Już się nie mogę doczekać – odparła, odkładając bez pożegnania słuchawkę.

Poczuła ulgę, że Tony, Dubé i Steinbrennerowie wyjadą we wtorek, bo papiery od Walecznego przyszły wcześniej. Mała grupka opuści Niemcy jutro rano pociągiem Berlin–Paryż z Dworca Śląskiego. Przejadą przez całe Niemcy, przekroczą granicę z Belgią w Aachen, wjadą do Francji i dotrą do Paryża o wpół do siódmej rano w środę. Jednego była pewna: niemieckie pociągi nigdy się nie spóźniają.

To długa, całonocna podróż, ale jedyny budzący niepokój moment stanowiło przekroczenie granicy. W Aachen było mnóstwo straży granicznej, policji i gestapowców. Ale w tych czasach wszędzie było pełno tajniaków.

Wróciła do mapy. Zakreśliła Paryż, a potem pociągnęła długą linię od Berlina do Aachen, z Aachen do Liège, i skończyła w mieście światła.

Tony załatwi sprawy w wydziale wizowym ambasady w środę i przy odrobinie szczęścia Steinbrennerowie będą mogli wkrótce potem wsiąść do pociągu kursującego do portu promowego. Chyba że zostaną na noc w Paryżu. To możliwe, że będą potrzebowali odpoczynku. Sobota, zdecydowała. W sobotę powinni dotrzeć do Londynu.

Sięgnęła po słuchawkę, żeby zawiadomić Cecily, ale po chwili odłożyła ją na widełki. Należy zachować ostrożność. Będzie miała zupełną pewność dopiero, gdy Steinbrennerowie znajdą się w pociągu do Londynu. I wtedy powie Cecily, że są w drodze do Grety.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Od wczesnego dzieciństwa Cecily znała zasady. Najpierw szli Inghamowie, a potem Swannowie i ich cała rodzina. Wszystko inne było mniej ważne. Teraz, dzięki jej małżeństwu z Milesem, Inghamowie i Swannowie połączyli się na przyszłe pokolenia przez ich wspólne dzieci.

We wtorek rano, wchodząc do biura, rozmyślała o Inghamach, a dokładniej o lady Gwendolyn Ingham Baildon, nestorce rodu, nazywanej czule ciotką Gwen.

Cecily zawsze wiedziała, że to niezwykła kobieta – jedyna w swoim rodzaju. Miles często mówił „po jej stworzeniu stłuczono formę”, i miał rację. Była niezależna, silna, bardzo inteligentna, sprytna, tolerancyjna, kochająca i wrażliwa. A do tego do bólu szczerą i nie pozostawiała wątpliwości co do swoich poglądów.

Biorąc pod uwagę to wszystko, Cecily wierzyła, że ciotka Gwen zareaguje właściwie, kiedy Charlotte powie jej o Margaret Howell Johnson. Innymi słowy, że będzie chciała poznać córkę, którą musiała oddać po urodzeniu, i że to ją uszczęśliwi. Oczywiście będą łzy, ale to będą łzy radości... i może zaskoczenia. Z pewnością będzie to dla niej szok.

Wczoraj, w drodze powrotnej z Harrogate, Charlotte martwiła się o lady Gwendolyn; denerwowała się jej możliwą reakcją.

Na szczęście Cecily udało się ją przekonać, że powinny pójść do ciotki razem; będą się nawzajem wspierać.

– Ale wtedy ona się dowie, że złamałam obietnicę utrzymania sekretu – zaprotestowała Charlotte.

Cecily stwierdziła, że to nie ma znaczenia.

– Zrozumię, że nie chciałaś sama podejmować decyzji w tej sprawie; a poza tym ja należę do Swannów, i złożyłam przysięgę, więc nie będzie miała z tym problemu.

Charlotte ostatecznie przyjęła tę argumentację i zgodziła się z Cecily, że powinny natychmiast powiedzieć ciotce o jej córce, dodając:

– Nie zapominajmy, ile ma lat. Wciąż myślę, że któregoś dnia obudzi mnie pani Jasper i powie, że ona odeszła we śnie.

Powiedziała to lekkim tonem. Charlotte uśmiechnęła się, a Cecily roześmiała się na głos.

– Tak bym chciała odejść, kiedy będę stara... we śnie.

Poprzedniego wieczoru, po kolacji, miały okazję do rozmowy i zdecydowały, że odwiedzą lady Gwendolyn tego ranka.

Cecily weszła do biura, włączyła światła i pospieszyła do swojego biurka.

Sprawdziła znów umowy sprzedaży pięciu fabryk i przyjrzała się kilku dodatkowym klauzulom; zaparafaowała je i podpisała wszystkie kontrakty.

Ubiła interes i poczuła ulgę: to była jej asekuracja na wypadek wojny.

Pomyślała o Grecie. Współczuła jej. Biedna kobieta była teraz w trudnym położeniu, sfrustrowana i przerażona, nie mogąc zmienić sytuacji rodziny. I ja też nie mogę, pomyślała. Ale może dzięki kontaktom Diedre ich ucieczka się uda. Trzeba trzymać kciuki.

Ilekcóż myślała o kilku dniach spędzonych w Berlinie, przychodził jej na myśl Canaris. Było dla niej zagadką, skąd jej szwagierka go zna, ale nie ośmielała się pytać. Diedre powtórzyła to, co powiedział admirał, że poznała jego rodzinę przez Maxine Lowe, lecz nie wdawała się w dalsze tłumaczenia. Swoją drogą, dziwna była ta przyjaźń z oficerem z najwyższego

dowództwa niemieckiego.

Cecily odpędziła te myśli i zabrała się do pracy nad kolekcją gotowej odzieży. Podobały jej się garsonki i sukienki o czystych liniach; wykazywały pewną surowość, która będzie pasowała do nadchodzących trudnych czasów. Będzie je można ożywić sztuczną biżuterią. Mogą to być broszki czy klipsy, jak też jedwabne kwiatki i kolorowe apaszki. Ciemne kolory harmonizowały z krojem: bordo, ciemnoczerwony, ciemnoniebieski, fioletowy i czarny...

Zadzwoił telefon.

– Halo?

– To ja, Harry – odezwał się radośnie jej brat. – Mam nadzieję, że dzwonię w porę.

– Tak, i sądząc po twoim głosie, chyba podoba ci się Londyn. I Paloma.

– Mama ci powiedziała, prawda? – zachichotał.

– Trochę, ale stara się być dyskretna. Zgaduję, że ty i panna Glendenning zaprzyjaźniliście się na dobre.

– To trochę więcej, Ceci. Straciłem dla niej głowę, a ona dla mnie.

– To wspaniała wiadomość. Wiesz, nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć.

– Święta prawda. Pozbyłem się na dobre myśli o Pauline Mallard.

– Miałeś od niej jakieś wiadomości?

– Ani słowa i jestem z tego rad. Zupełnym przypadkiem spotkałem naprawdę uroczą, prostolinijną młodą kobietę, która mnie pociąga, i to z wzajemnością. Myślę, że to ma przyszłość.

– Jestem tego pewna, Harry. Kiedy wracasz do Yorkshire?

– Powiedziałem Milesowi, że chciałbym dostać wolne do końca tygodnia, a on się zgodził. I właśnie dlatego do ciebie dzwonię. Wybierasz się do Londynu?

– Raczej nie. Mam tu sporo roboty, a ponieważ długo mnie nie było, chcę spędzić trochę czasu z dziećmi i zobaczyć się z rodzicami. Czemu pytasz?

– Chciałbym, żebyście poznali Palomę. A ona chce poznać ciebie, mamę i tatę – odparł, nieco rozzarowany.

– Też bym chciała, ale nie pojadę do miasta. A może ona przyjedzie do Yorkshire?

– Ale gdzie będzie mieszkać? – mruknął po chwili Harry.

– Może zatrzymać się u ciotki, pani Jollion, a cały dzień spędzić z tobą i z nami. Burnside Manor nie leży bardzo daleko.

– Pomyślę o tym – odparł Harry i dodał z lekkim zawstydzeniem: – Chciałbym, żeby zobaczyła mój dom. Mówiła, że lubi urządzać wnętrza.

– I może też sfotografować ogrody – stwierdziła ze śmiechem Cecily. – Czy nie tej sztuczki użyła, żeby cię znów zobaczyć?



– Może się zobaczyć z nami teraz – oświadczyła od progu Charlotte.

– Ale mnie zaskoczyłaś, ciotciu Charlotte!

– Przepraszam, Ceci. Nie miałam takiego zamiaru. Pójdiesz ze mną porozmawiać z lady Gwen?

– Oczywiście. Schowam tylko te umowy i jestem do dyspozycji.

Po chwili szły przez stajenne podwórze i park do Little Skell Manor. Był słoneczny poranek, a wiatr pędził po niebie białe obłoczki, lecz w powietrzu czuło się chłód. Sierpień się kończył, wkrótce nadejdzie jesień.

– Nie spodziewałam się ciebie tak wcześniej – zauważyła Cecily. – Ale ciotka Gwen zawsze była rannym ptaszkiem i myślę, że nadal jest.

– Kiedy dzwoniłam do niej o ósmej, jadła śniadanie. Powiedziałam, że przyjdziemy koło dziewiątej, żeby zabrać ją na uroczysty lunch w hotelu Spa w Harrogate.

– Czemu powiedziałaś jej, że to będzie uroczystość?

– Bo chcę, żeby tak było. Postanowiłam powiedzieć jej o Margaret zaraz po przyjeździe, a potem zawieźć ją do Harrogate. Myślę, że ciotka Gwen będzie chciała natychmiast poznać córkę. Nie jutro, nie w przyszłym tygodniu. Jest stara, Ceci.

– Sądzę, że masz rację. Ale czy nie zdenerwuje się, że ja tam będę? W końcu to tylko tobie się zwierzyła.

– Ale przekonałaś mnie, że postępujemy słusznie. Przecież należysz do Swannów, a ona cię kocha, jest dumna z twoich sukcesów. I zachwycona, że w końcu poślubiłaś Milesa. Możesz pojechać ze mną do Harrogate? Nie jesteś zajęta? Przydałabyś mi się – powiedziała z niepokojem.

– Nie mam nic, co nie mogłoby poczekać, ciociu Charlotte. Podpisałam umowy na pięć fabryk, a to najważniejsze, co miałam dziś do zrobienia. I masz rację, zróbmy to.



Pani Jasper przywitała je przy wejściu i spytała:

– Lady Mowbray, czy lady Gwendolyn zje dziś z panią lunch?

– Tak. Wiem, że dziś ma pani wolne popołudnie. Więc nie ma się pani o co martwić, zajmujemy się nią przez cały dzień. I wiem, że pokojówka zostanie tu aż do pani powrotu.

– Zgadza się, lady Mowbray.

– Lady Gwendolyn zje też dziś z nami kolację.

– Dziękuję, milady.

Po chwili weszły do saloniku z widokiem na ogród, gdzie czekała na nie lady Gwendolyn.

– Ślicznie obie wyglądacie – stwierdziła, kiedy ją ucałowały.

– I ty też, ciociu – odparła Cecily. – I cieszę się, że przerobiłam tę niebieską garsonkę.

Wygląda bardzo elegancko, a ostróżkowy błękit pasuje do twoich oczu.

– Och, wiem, o czym myślisz, Ceci – powiedziała wesoło lady Gwendolyn. – Wciąż się drażnię z dziewczętami Inghamów, że noszą ubrania dopasowane do oczu... – Potrząsnęła głową. – Ale świetnie wiesz, że sama to robię. Nie mogę się powstrzymać.

Lady Gwendolyn zerknęła na nie podejrzliwie i dodała z rezerwą:

– Wiecie, że jestem kuta na cztery nogi, i sądzą, że coś knujecie. I dlaczego mamy świętować? Czyżby stworzyła coś nowego i wyjątkowego, Ceci? O to chodzi?

Cecily pokręciła głową i usiadła w fotelu naprzeciwko lady Gwen. Charlotte przysiadła się do starszej pani.

– To nie to – powiedziała Cecily. – Zupełnym przypadkiem parę dni temu zdarzyło się coś, co miało się zdarzyć.

– I cóż to takiego? – spytała z nagłym zaciekawieniem lady Gwendolyn.

– Spełniło się twoje życzenie. Charlotte wybrała się do Instytutu Kobiet i ma ci coś do powiedzenia.

Charlotte wzięła ciotkę za rękę.

– Pamiętasz, jak wyznałaś mi swoją największą tajemnicę? O dziecku, córce, którą musiałaś oddać? – Zamilkła. – Sądzę, że ją znalazłam.

Lady Gwendolyn zaniemówiła. Wreszcie powtórzyła drżącym głosem:

– Znalazłaś... Margaret? To nie może być prawda. Jak to, po tylu latach?

– Ale tak jest, ciociu Gwen – odparła stanowczo Charlotte. Wciąż trzymała ją za rękę. –

I naprawdę ma na imię Margaret. Poprosiłam Cecily, żeby ją poznała, a ona zgadza się ze mną, że to istotnie twoja córka. Mam na to wszelkie dowody.

Lady Gwendolyn oniemiała, a jej oczy wypełniły się łzami. Chciała wiedzieć wszystko, zadać jakieś pytania, ale nie była w stanie wydobyć z siebie głosu.

Cecily i Charlotte czekały cierpliwie, wiedząc, że jest zszokowana.

– Zachowali imię, które jej dałam... – odezwała się wreszcie cicho. – Jej adoptowani rodzice nazwali ją Margaret. – Po policzkach ciekły jej łzy, spadając na dłonie zaciśnięte na kolanach. – Opowiesz mi o wszystkim, Charlotte?

– Oczywiście, że tak. – Mówiąc to, wręczyła lady Gwen chusteczkę. I zaczęła od maszyny do puszkania i spotkania z panią Margaret Howell Johnson, która była tak podobna do Diedre, i tego, jak podczas rozmowy pani Johnson zwierzyła się, że była adoptowana. Opowiedziała o następnej wizycie i o tym, czemu do niej wróciła z Cecily. – Pani Johnson była bardzo przejęta, kiedy wspomniałam, że być może znam jej rodzoną matkę. Popłakała się i spytała, czy mogę zorganizować wasze spotkanie.

Lady Gwendolyn wpatrywała się z niedowierzaniem w Charlotte.

– To prawda? To rzeczywiście prawda?

– Przysięgam, że tak, ciociu. Czy możemy z Ceci zabrać cię na spotkanie z nią?

– Kiedy?

– Dzisiaj. Teraz. Jeśli chcesz i jeśli to nie będzie zbyt duży wstrząs.

– Jedźmy natychmiast – zarządziła lady Gwendolyn.



Godzinę później Cecily i Charlotte wprowadziły lady Gwendolyn do sklepu jubilerskiego Margaret Howell Johnson w Harrogate.

W drodze z Cavendon lady Gwendolyn milczała, pogrążona w myślach i wspomnieniach. Ale odzyskała równowagę i była w pełni gotowa na spotkanie z córką.

Margaret czekała na nie w swoim biurze, idąc za radą Cecily, która zasugerowała przez telefon, by pierwsze spotkanie odbyło się dyskretnie, bez świadków.

Lady Gwendolyn mimo swoich dziewięćdziesięciu ośmiu lat trzymała się prosto, ale szła wolno, wspierając się na ramieniu Charlotte.

Margaret stała przy kominku. Na widok majestatycznej, eleganckiej starszej pani jej oczy wypełniły się łzami. Nie mogła się powstrzymać i ruszyła w jej stronę, chcąc się przekonać, czy ta kobieta to istotnie jej matka.

Stały przez chwilę, wpatrując się w siebie, widząc w sobie nawzajem swoje odbicia, aż obie ruszyły i z płaczem wpadły sobie w ramiona.

Po chwili Margaret odstąpiła na krok. Nie mogła oderwać wzroku od lady Gwendolyn.

– Jestem Margaret – powiedziała cicho i wyciągnęła z kieszeni poźółkłą kopertę.

Wręczając ją lady Gwendolyn, powiedziała: – Zatrzymali ją... była razem z sukienką do chrztu i ślicznymi ubrankami. Dali mi ją, kiedy miałam dziesięć lat. Wtedy mi powiedzieli, że zostałam adoptowana.

Lady Gwendolyn otworzyła ją i wyciągnęła kawałek papieru. Był na niej napis: „Ma na imię Margaret”.

Lady Gwendolyn westchnęła i powiedziała przez łzy:

– Myślałam o tobie codziennie przez całe życie. I modliłam się, byś była bezpieczna, by byli dla ciebie dobrzy.

– A ja zawsze wiedziałam, że czegoś mi w życiu brakuje... i to byłaś ty.

– Margaret – powiedziała Charlotte – chciałabym ci przedstawić lady Gwendolyn Ingham Baidon, nestorkę rodziny Inghamów i ciotkę szóstego hrabiego Mowbray.

Margaret, wzruszona spotkaniem, tylko kiwnęła głową. Nagle uśmiechnęła się i wzięła lady Gwendolyn pod rękę.

– Usiądźmy, proszę – powiedziała ciepło.

Charlotte i Cecily podążyły za nimi. Lady Gwendolyn wręczyła Charlotte kartkę.

– Napisałam ją pięćdziesiąt lat temu, chyba ci o tym mówiłam.

– Tak, ciociu Gwen. I to jeszcze jeden, ostateczny, dowód.

– Właściwie nie potrzebuję żadnego dowodu. – Lady Gwendolyn uśmiechnęła się i patrząc na Margaret, mruknęła: – Wyglądasz podobnie jak ja w twoim wieku i masz oczy Swannów, jak twój ojciec.

Margaret starała się coś odpowiedzieć, ale wciąż była zbyt oszołomiona dostojeństwem i wyglądem tej niezwyklej, wciąż pięknej kobiety. Lady Gwendolyn wyczuła jej emocje i ujęła jej rękę.

– Tak się cieszę, że wreszcie jesteśmy razem... mogłam już nie żyć.

– Och, proszę tak nie mówić, milady!

– Jestem twoją matką, Margaret – powiedziała poważnie lady Gwendolyn – i chcę, żebyś tak się do mnie zwracała.

Margaret skinęła głową i niespodziewanie zaczęła mówić, a lady Gwendolyn słuchała i odpowiadała.

Charlotte i Cecily wymknęły się z biura i poszły na mały spacer po mieście, dając matce i córce czas na poznanie się. Kiedy wróciły, zobaczyły czerwone oczy i twarze rozjaśnione szczęściem. Wszystkie cztery poszły na lunch do hotelu Spa i wzniosły szampanem toast. To był wspaniały dzień.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Diedre siedziała jak na szpilkach przy biurku w ministerstwie, wpatrując się w zegar naprzeciwko. Było prawie wpół do pierwszej w Londynie. Wpół do drugiej w Paryżu. Jej zdaniem tej środy wskazówki poruszały się wyjątkowo powoli, ale zawsze tak jest, kiedy się czeka na ważny telefon, a on nie dzwoni.

By oderwać się od myśli na temat Tony'ego i Steinbrennerów, wyjęła dwie teczki zawierające informacje o agentach zwerbowanych ostatnio przez Willa.

Zaczęła przeglądać pierwszą i jak na zawołanie zadzwonił telefon.

– Halo? Kto mówi?

– To ja – odezwał się Tony.

– Siedziałam tu jak na szpilkach.

– Przepraszam. Obawiam się, że mieliśmy opóźnienie...

– Gdzie jesteś? – przerwała bezceremonialnie. – Twój głos brzmi, jakbyś był w tunelu.

– W kabinie telefonicznej w holu hotelu Plaza Athénée przy Avenue Montaigne

w Paryżu.

– O rany, ależ elegancko! A czemu tam? – spytała z ciekawością.

– Zatrzymałem się tutaj. My wszyscy, dzięki uprzejmości pana Dubé.

– Wielkie nieba, i co jeszcze? Opowiadaj.

– Żadne z nas nie spało dobrze w pociągu, który był zresztą niemożliwie zatłoczony.

Kiedy dojechaliśmy rano do Paryża, pan Dubé uznał, że wszyscy potrzebujemy trochę snu. I miał rację.

– Czy mam przez to rozumieć, że on zapłaci rachunek za hotel? – spytała ze zdziwieniem.

– Powiedziałeś, że to dzięki jego uprzejmości, prawda?

– Tak, ale nie za mnie. Już mu to wyjaśniłem. Profesor też nalegał, że zapłaci swój rachunek. Chciałem powiedzieć, że trafiliśmy tu, bo pan Dubé ma tu starego znajomego, który jest szefem od rezerwacji. Dlatego od razu znalazł nam pięć pokoi. Lepiej było pójść do hotelu, z którego on korzysta, niż szukać innego.

– Rozumiem. To był dobry pomysł. A co z wizami?

– Zniosłem ich paszporty do ambasady i mogę je odebrać dziś o czwartej.

Diedre usiadła wygodniej, oddychając z ulgą.

– Bogu dzięki, że wszystko poszło gładko...

– No, niezupełnie – wtrącił Tony. – Mamy problem, szefowo.

– Jakiego rodzaju? – Diedre ścisnęła słuchawkę. – Nie z panią Steinbrenner? O Boże, tylko nie to!

– Obawiam się, że tak. Zniknęła.

Diedre poczuła zimny dreszcz, ale starała się opanować.

– Co to znaczy zniknęła, Tony? Rozpłynęła się w powietrzu?

– Tak.

– Mów. – Przyciągnęła do siebie notatnik.

– Ostatnio widziano ją w sypialni – zaczął Tony. – Profesor zszedł na śniadanie z Kurtem i Elise. Kiedy po godzinie wrócili do pokoju, już jej tam nie było.

– Ale może jest gdzieś w hotelu – mruknęła Diedre, zastanawiając się, jak sobie poradzić z tą alarmującą wieścią.

– Nie ma jej w hotelu. Dyrektor polecił personelowi przeszukać wszystko. – Tony westchnął ciężko. – Najwyraźniej dała drapakę, a ja nie mam pojęcia, co robić, Diedre. Powiedz mi.

– Tony, naprawdę nie wiem. Właściwie nic nie możesz... Gdzie miałbyś jej szukać? Poczekaj, czy ona zna Paryż? Ma tam jakichś przyjaciół?

– O ile wiem, to nie. Profesor mówi, że nigdy tu nie była.

– Więc nie poszła do ulubionego sklepu albo spotkać się z przyjaciółmi?

– Jestem pewien, że nie. Uwierz mi, profesor jest równie skołowany jak ja i Alexander.

– Co za nedoręczne zachowanie! – zawołała z irytacją Diedre. – Tak sobie zniknąć po wszystkim, co się zrobiło, żeby wydostać ich z Berlina, przy pomocy tylu ludzi. – Diedre odetchnęła głęboko, usiłując powściągnąć narastający gniew. – Czy ona nie ma odrobiny rozsądku?

– Posłuchaj, zgadzam się z tobą. To nie do uwierzenia. Byłem wstrząśnięty.

– Jaka ona jest? Powiedz mi coś o niej.

– Powiedziałbym, że nerwowa, bardzo spięta. Trudno ją określić. Ale nie lubię jej. Także Alexander ma co do niej sporo zastrzeżeń.

– Nie zapominajmy, że była dziwna przed wyjazdem – zauważyła Diedre. – Nie chciała wyjeżdżać. Tak czy owak, twierdzisz, że wyszła z pokoju, opuściła hotel i zniknęła na dobre. I nikt nic nie wie, tak?

– No tak. Posłuchaj, ona może być wszędzie... nawet w drodze do innego miasta. Na szczęście nie do innego kraju, bo jej paszport leży w ambasadzie brytyjskiej.

Diedre słuchała z uwagą.

– Tony, sugerujesz, że uciekła? – zawołała. – Naprawdę tak myślisz?

– Nie mam pewności. Ale dlaczego wyszła z hotelu? Gdzie do diabła się podziewa? Znała wszystkie nasze plany.

Diedre zastanawiała się przez chwilę.

– Jak przebiegał dzień, Tony? Opowiedz mi szczegółowo.

– Przyjechaliśmy na dworzec Gare du Nord dziś rano o szóstej trzydzięci. Wzięliśmy taksówkę do hotelu. Alexander załatwił pokoje i wszyscy się zameldowaliśmy. Potem rozeszliśmy się po pokojach. Oczywiście ja miałem ich dokumenty podróżne, bo chciałem zaraz iść do ambasady, co też zrobiłem. Poleciłem profesorowi, żeby przypilnował, by rodzina odprężyła się i poszła spać. Byli wyczerpani, zwłaszcza dzieci.

– Rozumiem. A kiedy wróciłeś do hotelu, jej nie było. Która to była godzina?

– Mniej więcej kwadrans po jedenastej, może wpół do dwunastej. Kupowałem w holu gazetę, kiedy zauważył mnie Alexander. Powiedział, co się stało. Oslupiałem. I on też był wstrząśnięty.

– Z pewnością. Mówił coś?

– Niezupełnie. Wymamrotał, że to najdziwniejsza kobieta, jaką spotkał.

– Aha. No to idźmy do przodu. Zakładam, że macie rezerwację na pociąg do promu na jutro?

– Zgadza się. Trzymałem się naszego planu. Musimy spędzić tę noc w Paryżu i jutro ruszyć do Londynu... – Tony przerwał nagle i zawołał: – Co mam do cholery zrobić, Diedre? Masz jakiś pomysł?

– Tak, parę. Po pierwsze, profesor powinien zgłosić zaginięcie żony na policji, potem powinien sprawdzić szpitale. Być może po prostu wyszła na spacer i miała wypadek...

– Już mu powiedziałem, żeby to zrobił. Zanim zadzwoniłem do ciebie, omówiłem sytuację z Dubé; on twierdzi, że powinniśmy robić swoje, zabrać jutro dzieci do Greta do

Londynu.

– A ty jak myślisz?

– Tak samo. I poszedłbym o krok dalej. Uważam, że profesor też powinien jechać z nami.

– Dobry Boże, Tony, chcesz, żeby porzucił żonę? Jesteś bardzo stanowczy. I praktyczny.

– Moim zdaniem to ona go porzuciła. On może tu siedzieć tygodniami, czekając na nią.

Posłuchaj, Daffy Dilly, z tym małżeństwem jest coś nie w porządku. Wygląda, że nie są parą. Są w przyjaźni, nie ma tam animozji, ale i nic poza tym.

– Sądzę, że małżeństwo być może się skończyło. Ale dlaczego by miała tak po prostu odejść? Bardzo to dziwne.

– Musimy podjąć decyzję, szefowo. Natychmiast! – zawołał. Wyczerpanie sprawiło, że stracił cierpliwość.

– Tak, Tony. Daj profesorowi wybór. A ja zgadzam się z tobą, że powinien jechać z dziećmi do Londynu, a nie siedzieć w Paryżu, czekając, aż jego żona się pojawi. Liczą się Kurt i Elise, a on powinien być z nimi w domu Grety.

– Dzięki, Diedre. Dam znać później.

– Odpocznij trochę – powiedziała, ale on już odwiesił słuchawkę.



Diedre wstała i w zadumie wyjrzała przez okno. Wymyśliła kilka scenariuszy na temat zniknięcia pani Steinbrenner, ale żaden z nich nie wyglądał na prawdziwy. Ta kobieta stanowiła problem, co do tego nie było wątpliwości.

Obróciła się na pięcie, wygładziła spódnice i poprawiła dekolt bluzki. Włożyła bordowy żakiet i wyszła na korytarz. Zapukała do drzwi biura Williama Lawsons i weszła do środka.

Podniósł wzrok i szeroko się uśmiechnął.

– Czytasz w moich myślach, właśnie wybierałem się do ciebie.

– No to jestem – mruknęła i usiadła naprzeciwko niego.

– Przyniosłaś złą wiadomość – stwierdził, pochylając się nad biurkiem.

– Skąd wiesz?

– Masz rozpacz wypisaną na twarzy.

– Za dobrze ze mnie czytasz. Muszę nauczyć się przybierać tępą minę.

– Przekaż mi tę wiadomość.

Diedre nie odpowiedziała. Siedziała, patrząc na niego i myślała, że wygląda na wyczerpanego. I zastanawiała się, czemu samotni mężczyźni nie potrafią o siebie zadbać. Bo nie wiedzą, jak – stwierdziła. Bo przyzwyczaili się, że troszczą się o nich matki. Albo żony. Tony, Will...

– Coś poszło nie tak z wyjazdem z Berlina – stwierdził William. – Mam się domyślić? Chodzi o panią Steinbrenner. Postawię na to ostatnie dziesięć funtów.

Wbrew powadze sytuacji Diedre uśmiechnęła się, a potem roześmiała.

– Dobry jesteś, Will. Wszyscy możemy się od ciebie uczyć. I będzie tego sporo.

– Jestem po prostu dobry w odczytywaniu wyrazu twarzy. Dalej, miejmy to za sobą. Dostałaś wiadomość od Tony'ego.

– Właśnie z nim rozmawiałam. – Powtórzyła powoli i ze szczegółami całą rozmowę z Tonym Jenkinsem. Kiedy skończyła, Will milczał przez chwilę.

– Więc powiedziałaś Tony'emu, żeby zabrał Elise i Kurta do Grety, i uznałaś, że profesor powinien jechać z nimi. Tak?

– Zgadza się.

– Na stałe? – Zmrużył lekko oczy.
– Oczywiście. Dzieci go potrzebują.
– Więc nie powinien wracać do Paryża szukać żony? – Will przyjrzał się jej z uwagą.
– Nie. To by było szaleństwo. Ona odeszła. Nie ma sposobu, by ją znaleźć. Nie wydaje mi się, żeby go było stać na mieszkanie w Plaza Athénée w nadziei, że ona wróci. To bardzo drogi hotel.

– Wiem. – Zamilkł na chwilę, a potem odezwał się cicho: – Nie sądzę, żeby profesor miał jakąś alternatywę. A w obecnych okolicznościach to najlepsze wyjście. Zamierzasz powiedzieć Grecie Chalmers, że oni są w drodze? – dodał po chwili.

– Nie, i nie powiem też Cecily. Nie mogę niczego zagwarantować, dopóki nie postawią stopy na angielskiej ziemi. Wtedy, i tylko wtedy, dowie się o tym Greta.

– Jesteś wyjątkowo ostrożna – powiedział z troską. – Czyżbyś myślała, że coś może pójść źle?

– Nie wiem. Możliwe.

Patrzył na nią przez dłuższy czas, wreszcie spytał:

– Masz jakąś teorię na temat jej zniknięcia? Jak to rozumiesz?

– Coś gnije w państwie duńskim – oświadczyła.

– A zgniłe jabłko to pani Steinbrenner, to masz na myśli?

– Tak. Mój szwagier, Hugo Stanton, mieszkał bardzo długo w Nowym Jorku i nauczył się wielu tamtejszych powiedzonek. Możesz mi wierzyć, że gdybym mu opowiedziała tę historię, powiedziałaby natychmiast: „Jest w tym coś trefnego”.

– Trefnego, tak? To niezłe. Jak doszłaś do tego wniosku?

– Przez jej zachowanie. W Berlinie wpada w panikę, nie chce wyjechać, boi się, że zostaną schwytani i zabici. Tony i Alexander Dubé uspokajają ją i prawie siłą pakują do pociągu do Paryża. W chwili, kiedy zostaje sama, ucieka. Dokąd? – Rzuciła Williamowi przeciągłe spojrzenie. – A może powinniśmy spytać: do kogo?

W oczach Williama pojawił się błysk zrozumienia.

– Uważasz, że w jej życiu jest inny mężczyzna?

– Inny mężczyzna, ukochany krewniak, dziecko? – Diedre wzruszyła ramionami. – Inna kobieta? Nie wiem. Nie zaryzykuję zgadywanki. Ale to jedyne, co wymyśliłam, ponieważ takie zachowanie świadczy o wybujałych emocjach. Tylko pomyśl: Żydówka pragnąca zostać w nazistowskich Niemczech, kobieta, która nie zna francuskiego ani angielskiego, wychodzi z hotelu w Paryżu, zostawiając ukochanego męża i dzieci. Tyle tylko, że może żadnego z nich nie kocha. I znika w okamgnieniu. Motywacja jest tu najważniejsza.

William milczał. Przyglądał się jej uważnie, myśląc, jak wiele różnych talentów posiada. Ale musiał ją jeszcze trochę zdopingować.

– Muszę się z tobą zgodzić. Ale w teorii, że uciekła do kogoś, jest pewna skaza: Jak jej się udało umówić z tą drugą osobą? Skąd wzięła czas na zaplanowanie tego?

– No tak, w mojej teorii jest wiele wad. Ale byłbyś zdumiony, jak sprytne potrafią być kobiety, zwłaszcza gdy chodzi o miłość.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Nazywała się Laure de Bourgeval. William Lawson nadał jej kryptonim Étoile, ponieważ, jak stwierdził w notatce do Diedre, była gwiazdą. Miała ojca Francuza i matkę Angielkę i mogła uchodzić za Angielkę lub Francuzkę. Kształciła się na Sorbonie. Przysłał ją do Willa z gorącym poleceniem jego kontakt z Paryża. Miała dwadzieścia siedem lat i była bardzo wysportowana.

Diedre przestudiowała resztę notatki Willa i otworzyła teczkę drugiego agenta. Alain Gilliot, również dwudziestosiedmiolatek, urodził się w Prowansji z angielsko-francuskiego małżeństwa. Też ukończył Sorbonę i był, podobnie jak Laura, inteligentny, szybki, sprytny i wysportowany.

Diedre wiedziała, że to ważne, bo oboje mogą zostać zrzuceni na spadochronach do Francji i z pewnością będą musieli być aktywni fizycznie.

Mieli przyjść na spotkanie z nią w przyszłym tygodniu i równocześnie poznać się ze sobą. Nie mieli pracować jako zespół, ale zarówno Will jak Diedre uważali, że muszą się znać. Będą pracowali jako tajni agenci w tym samym kraju i w razie kłopotów mogą się nawzajem potrzebować. Ona przeprowadzi ich szkolenie w specjalnym centrum niedawno otwartym niedaleko Londynu.

Dzwonek telefonu wytrącił ją z zamyślenia, a kiedy usłyszała głos Tony'ego, od razu wiedziała, że mają problem.

– Znów coś poszło nie tak – stwierdziła, spodziewając się najgorszego.

– Niezupełnie – odparł Tony. – Profesor nie chce jeszcze wyjeżdżać. Mówi, że żony nie ma dopiero od rana, i uważa, że powinniśmy zostać przez parę dni w Paryżu.

– No cóż, nie możemy przystawić mu pistoletu do głowy. I może powinniście zostać. Rozumiem, że nie wróciła ani nie ma jej w żadnym szpitalu?

– Zgadza się. Ale mam lepszy wgląd w sytuację. Rozmawiałem z Elise; to urocza młoda kobieta i wyjątkowo dojrzała jak na siedemnastolatkę. Zwierzyła mi się, że Heddy Steinbrenner cierpi na depresję i że często zniknęła na jedną, dwie noce. Potem po prostu wracała do życia z rodziną i nie tłumaczyła, gdzie była.

– Bez wyjaśnienia?

– Nie całkiem. Ponoć twierdziła, że zatrzymała się u przyjaciółki albo w hotelu, bo po prostu musiała pobyć sama. Wygląda na to, że chcąc nie chcąc, od lat to akceptowali.

– Ale mówiłeś, że profesor był równie zaskoczony jak ty i Alexander Dubé.

– Tak się wydawało. Spytałem o to Elise, a ona twierdzi, że ojciec nigdy się nie martwił tym znikaniem. W każdym razie ona uważa, że matka się pojawi.

– Przychyliłabym się do jej zdania. Nie ma powodu, żeby zmyślać czy kłamać. Więc zostańcie. Myślę, że to najlepsze rozwiązanie.

– Zmienię rezerwację na prom. Na piątek czy na sobotę?

– Obawiam się, że piłka jest po twojej stronie, Tony. Muszę przyznać, że ta sytuacja wydaje mi się dziwna. Ale dajmy profesorowi trochę czasu.

– Wiedziałem, że to powiesz; tak będzie najlepiej.

– Bądź w kontakcie, Tony.

– Będę. Do zobaczenia, Daffy Dilly.

– Liczę na ciebie, Toby Jung.



Diedre powróciła do lektury teczki Alaina Gilliota. Informacje robiły wrażenie. Will dał mu kryptonim Émeraude, bo jego hobby stanowiło malowanie pejzaży pełnych wyjątkowo pięknych szmaragdowozielonych drzew.

Ale wciąż miała w głowie sprawę Heddy Steinbrenner. Zamknęła teczkę i wpatrzyła się w przestrzeń, rozważając rozmaite warianty. Wreszcie doszła do pewnych wniosków.

Zamówiła rozmowę z Tonym i po paru minutach dostała połączenie. Natychmiast wyczuła w jego głosie niepokój.

– Myślałam sporo o problemie, z którym się zmagasz. I muszę cię uprzedzić. Nie wierzę, że Frau wróci. Sądzę, że dała drapaka.

– Wiesz coś, czego ja nie wiem?

– Nie, skądże. Ale uświadomiłam sobie parę rzeczy. Dzięki informacjom od Elise widać tu wyraźny wzór. Według niej Frau zawsze wracała po dobre nieobecności. Sądzę, że w jej życiu jest inna osoba i że teraz jest z nią. Może to być mężczyzna albo kobieta.

– Skąd ta pewność, Diedre?

– Nie jestem całkiem pewna, ale uważam, że dzieje się dużo więcej, niż to widać z wierzchu. Cokolwiek to jest, ona nie pojedzie do Londynu. Chce zostać w Paryżu. Zobaczysz: nie pojawi się jutro na podwieczorku.

– A ja mam cichą nadzieję, że tak. Więc czy mamy trzymać się planu piątkowego wyjazdu?

– Nie możecie wyjechać jutro. Trzymajcie się planu.

– Dobrze, to daje mi pewne pole manewru – odparł, wciąż pełen napięcia, Tony.

– Teraz wszystko w twoich rękach, Tony. Mam masę roboty. No to jak będzie?

– Oczywiście, że sobie poradzę. Kto zawiadomi Gretę Chalmers, że przyjeżdżają, z Frau albo bez niej?

– Niech profesor zadzwoni do Greta – kiedy Frau pojawi się albo nie. Wtedy Greta będzie mogła odebrać ich z dworca w Londynie i zabrać do domu. – Diedre westchnęła. – I mam nadzieję, że ty i pan Dubé wreszcie się od nich uwolnicie. Wszystko dobre, co się dobrze kończy, jak to trafnie ujął Szekspir.

Tony rozumiał doskonale, czemu powierzyła mu tę sprawę; nigdy by jej nie zawiódł.

– Mam nadzieję, że zjem z tobą lunch w przyszłym tygodniu. A ty oczekujesz, że stawię się do pracy, prawda?

– Tak, a Will wyznaczył ci biuro tuż obok mojego. Gdzie zamieszkaasz?

– Chwilowo w domu matki przy South Audley Street. Jak wiesz, ona siedzi głównie w Gloucestershire, a ja szybko znajdę sobie coś własnego. Będziesz w okolicy podczas weekendu?

– Nie, wyjeżdżam do Cavendon już jutro. To będzie mój ostatni weekend z Robinem, zanim wróci do internatu. Ale możemy zawsze porozmawiać. I proszę, informuj mnie o postępach.

– Dobrze.



Następnego ranka o szóstej telefon Diedre zaczął dzwonić. Zanim podniosła słuchawkę, wiedziała już, kto i dlaczego dzwoni.

– Dzień dobry, Tony.

– Skąd wiedziałas, że to ja?

– To coś w rodzaju telepatii. Zakładam, że nie masz dobrych wiadomości, skoro dzwonisz tak wcześniej.

– Miałaś rację. Frau nie wróciła wczoraj. A profesor zdecydował się na wyjazd. Boi się o bezpieczeństwo dzieci i chce, żeby opuściły kontynent i jak najszybciej znalazły się u Grety.

– Więc nie chce już czekać na żonę?

– Mówi, że nie jest pewny, kiedy ona wróci. I że może wcale nie wrócić. Nagle zaczął być szczerzy wobec mnie i Alexandra. Jak to uprzejmie ujął, są małżeństwem tylko z nazwy. Chyba ma pewność, że ona jest w Paryżu z kimś. A jak wiemy od Elise, już przedtem tak znikwała. Dziewczyna nie kłamała. Profesor mówi też, że nie stać go już na hotel. Wyraźnie nie chce tu tkwić z nadzieją, że jego żona któregoś dnia wróci.

– Rozumiem. Ale to ty masz jej dokumenty podrózne?

– Tak, a kiedy dałem je profesorowi, powiedział, że jego zdaniem powinno się je zdeponować dla niej w ambasadzie brytyjskiej. Dodał, że napisze do niej list, włoży do niego trochę pieniędzy i zasugerował, żebym dołączył bilet ważny przez jakiś czas. Razem z paszportem i wizą.

– A ja proponuję, żeby napisał do żony list wyjaśniający, gdzie jest jej paszport, i zostawił go dyrektorowi hotelu. Sądzę, że przechowają też jej walizkę?

– Tak, już o tym pomyśleliśmy.

Po chwili milczenia Tony dodał:

– Mój Boże, miałaś rację. Naprawdę sądziłem, że ona pojedzie z nami do Londynu.

– Przykro mi, że miałam rację, ale tak to bywa. A co powiedziały dzieci? Jak to zniosły?

– Elise podeszła do tego spokojnie, Kurt też. Moim zdaniem oboje polegają całkowicie na profesorze i muszę przyznać, że to kochający ojciec, któremu bardzo zależy na ich losie. Oboje uważają, że Heddy pojawi się po prostu któregoś dnia w Londynie.

– Szczerze w to wątpię. Czasy zmieniają się błyskawicznie. Nie myśl, że Führer nie łypie okiem na Francję. Czy profesor zadzwoni do Grety?

– Tak, ale powie jej tylko, że przyjeżdżają i żeby wyszła po nich na dworzec.

– Aha.

– Tak będzie lepiej, Diedre.

– Prawdopodobnie. Dziękuję za informację i zadzwoń do mnie w niedzielę rano. Chcę wiedzieć, że dotarłeś bezpiecznie do Londynu.

– Dobrze – powiedział i odłożył słuchawkę.

Diedre wpatrzyła się w telefon i westchnęła ciężko. Cóż to za dziwna kobieta, która porzuca męża, dzieci i po prostu znika jak sen jaki złoty. No tak, niektóre mogą zrobić coś takiego mężowi. Ale dzieciom? Nie przypuszczała, że Heddy Steinbrenner jest zdolna do takiej bezduszości. Ale jak powiada ciotka Charlotte, są ludzie i ludziska.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

DeLacy Ingham siedziała rozluźniona w głównej jadalni hotelu Dorchester. Popijając lemoniadę, czekała na Diedre. Ranek w galerii sztuki okazał się niespodziewanie bardzo ruchliwy i była zachwycona, bo dokonała dwóch korzystnych transakcji.

Rozejrzawszy się dokoła, stwierdziła, że restauracja szybko się zapełnia, i ucieszyła się, że wcześniej zarezerwowała stolik.

Przed swym wyjazdem do Ameryki Dulcie nazwała to miejsce ich stołówką. Lubiły tutejsze jedzenie i atmosferę, a poza tym hotel znajdował się zaledwie kilka minut spacerem od galerii przy Mount Street. DeLacy brakowało najmłodszej siostry – najzuchwalszej i najzabawniejszej z całej ich czwórki – i miała nadzieję, że wieści o jej rychłym powrocie okażą się prawdziwe.

Uśmiechnęła się na myśl, że Cecily i Diedre z tego samego powodu korzystały z hotelu Ritz, zaś Daphne oraz ciotka Charlotte wybierały na lunch i podwieczorek hotel Browna, nie dlatego, że pracowały w pobliżu, ale że lubiły przyjazną atmosferę tego lokalu.

Zatopiona w myślach aż podskoczyła, słysząc znajomy głos:

– Cześć, kochanie! Mogę się przysiąść na chwilę?

Spojrzała na stojącego obok swojego aktualnego przyjaciela, Petera Musgrove’a.

– Peter! Sądziłam, że dziś rano pojechałeś do Paryża.

– To mogę usiąść czy nie? – zapytał z lekką irytacją.

– Oczywiście – odparła, i skinęła na kelnera. – Czego się napijesz?

– Różowego szampana – powiedział do kelnera i usiadł obok niej. – Mój klient zmienił porę spotkania, zjemy razem kolację, więc pojedę późniejszym pociągiem. Właśnie jestem w drodze na dworzec.

– Rozumiem.

– Wiem, że przyjdzie tu twoja siostra, nie zostanę długo. Chciałem tylko zapytać cię o coś ważnego.

DeLacy z ulgą stwierdziła, że Peter zachowuje się teraz jak dawniej. Przez ostatnich kilka miesięcy był poirytowany i niecierpliw; nie podobało jej się to. Jak dotąd radziła sobie z jego napadami złości, ale były denerwujące.

– Zamieniam się w słuch – powiedziała z szerokim uśmiechem i pociągnęła łyk lemoniady.

– Mówiono mi, że w Cirencester jest piękny dom, i chciałbym, żebyś pojechała go zobaczyć. W przyszły weekend. Powiedz tak, proszę.

– Z przyjemnością pojedę go obejrzeć; ale obawiam się, że przez parę następnych weekendów nie będę mogła. Daphne i ja pracujemy nad specjalnym projektem i on ma pierwszeństwo.

Przestał się uśmiechać i odezwał się z rozdrażnieniem:

– Czemu nigdy nie jesteś wolna w weekendy? Żeby być ze mną?

– Ponieważ jeżdżę do Cavendon i wiesz, czemu. Od paru miesięcy ojciec nie czuje się dobrze i chce, żebym tam była – odparła, świadoma, że czyni to po raz enty. – I mam też ten projekt z siostrą.

Już miał zacząć kłótnię; uwielbiał to, bo bawiło go burzenie jej spokoju. Ale zmienił zamiar, widząc jej zaciśnięte szczęki i stalowy błysk w niebieskich oczach. Potrafiła być twarda.

Lepiej nie posuwać się za daleko, bo może zostawić go bez grosza. Przywołał więc swój najcieplejszy uśmiech i nakrył jej dłoń swoją.

– Nieważne. A może pojedziemy tam w tygodniu?

– To chyba możliwe – odparła, uważnie mu się przyglądając.

Próżny i egocentryczny, pełen arogancji, nie zauważył, że szacuje go wzrokiem i odsuwa się od niego.

– Jak wiesz, bardzo chciałem znaleźć coś własnego i sądzę, że to może być to – powiedział spokojnie.

DeLacy skinęła głową, nie mogąc się doczekać przybycia Diedre.

– Będziesz wiedział, jeśli tak jest – powiedziała lekkim tonem. – Czy twój klient jest zainteresowany Renoirem czy Sisleyem? – spytała.

Peter uniósł kieliszek szampana, który pojawił się przed nim.

– Twoje zdrowie, kochanie.

DeLacy bez słowa uniosła szklaneczkę z lemoniadą i zaczęła słuchać jego opowieści o tym, jak cenne są płótna impresjonistów, i przechwałek, że sprzeda oba swojemu klientowi, jednemu z najbogatszych ludzi we Francji. Bo w końcu, wiedziała o tym dobrze, nikt nie osiągał tak wysokich cen i sukcesów na międzynarodowym rynku sztuki.

Kilka minut później, gdy był dopiero w połowie swoich wywodów, przyszła Diedre.

Peter miał dość wycucia i manier, by zerwać się na nogi.

– Proszę usiąść na kanapce obok DeLacy, lady Diedre – powiedział z uśmiechem.

– Dziękuję. – Diedre pocałowała siostrę w policzek i popatrzyła na niego znacząco, gdy siadał na krześle naprzeciwko DeLacy.

DeLacy wiedziała, że Diedre nie jest zachwycona Peterem. Rzuciła jej długie, znaczące spojrzenie.

– Peter zatrzymał się tu na chwilę. Jest właśnie w drodze do Paryża – powiedziała, zerkając na zegarek. – Chyba powinieneś już iść, żeby zdążyć na pociąg.

Zwracając się do Diedre, dodała:

– Wiesz, Peter jest najlepszy, jeśli chodzi o sprzedaż dzieł sztuki. Finalizuje wielką sprzedaż: ni mniej, ni więcej, tylko Renoira i Sisleya.

Peter rozpromienił się, jak zwykle łasy na pochlebstwa. Też wiedział, kiedy się zmyć. Nie chciał stracić DeLacy, gorącej sztuki, którą miał w łóżku na kiwnięcie palcem. Dopił szampana i wstał.

– Co bym bez ciebie zrobił, DeLacy? – Popatrzył na nią znacząco. – Zawsze o mnie dbasz... w ten czy inny sposób.

DeLacy skrzywiła się w duchu i skinęła głową.

– Miłej podróży, panie Musgrove – powiedziała chłodno Diedre; nie pozostawiając wątpliwości, że pragnie, by natychmiast sobie poszedł.

– Dziękuję, lady Diedre. – Pochylił się do ucha DeLacy. – Nie mogę się doczekać przyszłego tygodnia – mruknął. – Zostaniemy tam na noc. O, tak. – I odszedł, w pełni świadomy, że nie jest mile widziany.

Gdy zostały same, Diedre spojrzała na siostrę i powiedziała cicho:

– Myślałam, że masz zamiar się go pozbyć.

– Tak, ostatnio rzadko go widywałam. Ale, szczerze mówiąc, potrafi być uroczy i zabawny, i przysyła mi wielu klientów. Nie miałam serca być zbyt ostra i dać mu kopa. Ale to zrobię.

– Wiem, że jest przystojny. – Diedre westchnęła. – Wygląda jak gwiazda filmowa. A jednak jest po prostu okropny. Niby kończył Eton i tak dalej, ale jest, jak by to powiedzieć...

pospolity.

– Tak, to prawda – przyznała DeLacy, myśląc jednocześnie, że jest również wyjątkowy w łóżku. – Obiecuję, że się go pozbędę.

– Nie chcę pozbawiać cię męskiego towarzystwa, kochanie. Wiem, jak ci było trudno. – Potrząsnęła głową. – Och, sama będziesz wiedziała, co robić. Jesteś mądra. Powinam się napić.

– Wyglądasz, jakbyś potrzebowała drinka, Diedre. Miałaś bardzo ciężki tydzień? Chyba jesteś wykończona – zaniepokoiła się DeLacy.

– Tak jest. Dlatego cieszę się, że jadę dziś z tobą do Cavendon. Już się nie mogę doczekać. – Skinęła na kelnera i zamówiła wódkę z tonikiem.

– Wszyscy tam będą w ten weekend – zaczęła DeLacy. Skrzywiła się. – No, nie wszyscy. Brakuje mi Dulcie i Jamesa. Ale słyszałam, że wygrają bitwę z panem Louisem B. Mayerem.

Diedre roześmiała się jak zwykle, kiedy siostra używała jego pełnego nazwiska.

– Też tęsknię za nią i Jamesem i czekam niecierpliwie ich powrotu do Londynu. Strasznie chcę ich zobaczyć.

– Znam to uczucie. – DeLacy pochyliła się ku siostrze. – Udało mi się dziś parę transakcji i Fundusz Odnowy Cavendon dostanie z tego niezły kasek. Tatuś martwi się o te pękające ściany i ogrodzenia. On i Miles gadają o tym od miesiący.

Diedre spojrzała na nią, myśląc, jak ofiarnie DeLacy pracowała przez ostatnie dziewięć lat.

– Lacy, kochanie, odniosłaś wielki sukces, prowadząc galerię i pracując jak wół. Tyle zrobiłaś, by pomóc Cavendon. Naprawdę zasługujesz na wszystko, czego chcesz, w tym... – zniżyła głos i zakończyła: – Na okropnego pana Musgrove'a, który pod pewnymi względami jest niewątpliwie mistrzem.

DeLacy zarumieniła się, ale wybuchnęła śmiechem.



DeLacy przyglądała się śpiącej w pociągu siostrze. Była blada i najwyraźniej bardzo zmęczona. Także podczas lunchu wydawała się nieobecna myślami i zatroskana.

Kiedy do przedziału zajrzał kelner, proponując herbatę, DeLacy zbyła go gestem i uśmiechnęła się, patrząc wymownie na siostrę, by zrozumiał, o co chodzi.

Mężczyzna uśmiechnął się, skinął ze zrozumieniem głową i odszedł.

DeLacy nie spała. Zaczęła znów myśleć o Peterze Musgrovie. Rzeczywiście był bożyszczem kobiet: przystojny, choć nie tak wysoki, jak powinien, by stać się naprawdę porywający. Ale miał sporo uroku, był wykształcony i pochodził z dobrej rodziny. No i był świetnym marszandem. Z drugiej strony, było w nim coś dziwnego i DeLacy nagle zrozumiała, że Diedre ma rację: był nieco pospolity.

Nie pojedzie z nim do Cirencester, postanowiła. Powiedział, że zostaniemy tam na noc. Bo chce mnie zaciągnąć do łóżka. Muszę z nim zerwać. Ten romans do niczego nie prowadzi i nie kocham go. Ale pożądam, pomyślała nagle, przypominając sobie, co jej brat mówił o Harrym. Tak, to jest to. Peter wiedział, jak ją pobudzić i rozpałić jak dotąd żaden mężczyzna, nawet jej ukochany Travers...

Odpędziła te myśli, wyprostowała się na siedzeniu i sięgnęła po magazyn. Nie będzie myślała o Peterze. Załatwi tę sprawę w przyszłym tygodniu. Mimo tych wszystkich postanowień w głębi duszy wiedziała, że pojedzie z nim do Cirencester. Nie oprze mu się. Jeszcze jeden raz pójdziemy do łóżka, postanowiła, a potem z nim zerwę. Muszę tak zrobić.



Cecily zdziwiła się, widząc Diedre na progu swojego biura, i od razu zauważyła, jaka jest blada. Nie wyglądała dobrze poprzedniego wieczoru, a tego ranka sprawiała wrażenie kompletnie wyczerpanej.

Wstała i obesza biurko.

– Diedre, dobrze się czujesz? – spytała.

– Cześć, Ceci, tak, jestem. Muszę z tobą chwilę pogadać. Możemy pójść do altany?

– Tak, chodźmy. – Cecily wzięła szwagierkę pod rękę i wyprowadziła z biura, zastanawiając się, czy stało się coś złego.

Nie odzywały się, idąc przez park. Był ładny ranek, dość chłodny, ale słoneczny, a na niebie w kolorze barwinka nie było ani jednej chmurki.

Diedre odprężyla się w spokojnym otoczeniu Cavendon. Wdychała głęboko świeże powietrze. Dom rodzinny zawsze wpływał na nią kojąco.

Usiadły w altanie i Cecily powiedziała:

– Mam okropne przeczucie, że chcesz mi powiedzieć o czymś niedobrym. Tak jest, prawda? – dodała, nie spuszczać wzroku z Diedre.

– Wyglądam na wykończoną, bo ostatnio nie sypiam dobrze – odparła Diedre. – Mamy mnóstwo pracy. I tak, obawiam się, że to, co ci powiem, to niezbyt dobra wiadomość.

Diedre przerwała, zamyśliła się, aż wreszcie zaczęła:

– Chcę ci wyjaśnić kilka spraw, i wołałabym, żebyś pozwoliła mi mówić. Kiedy skończę, odpowiem na wszystkie pytania. Może tak być?

– Tak, będę tylko słuchać – zapewniła Cecily.

– Jak wiesz, Tony Jenkins trafił na kontakt w Berlinie, kogoś związanego z ludźmi pomagającymi Żydom i dysydemtom w ucieczce z Berlina. Sądziłam, że nic z tego nie wyjdzie, ponieważ potem już mi o nim nie wspominał. W poniedziałek Tony zadzwonił do mnie. Zawiadomił mnie, że we wtorek wyjeżdża z Berlina do Paryża, bo zakończył swoje zadanie wcześniej, niż się spodziewano. W środę zadzwonił znowu, tym razem z hotelu Plaza Athénée. Wyjaśnił, że wraz ze znajomym towarzyszył profesorowi Steinbrennerowi, jego żonie i dzieciom w drodze z Berlina. Są bezpieczni w Paryżu i jutro przyjadą do Londynu. Greta wyjdzie po nich i zabierze ich do domu przy Phoene Street. – Diedre westchnęła cicho. – Ale obawiam się, że chwilowo nie będzie z nimi pani Steinbrenner.

Cecily rozpromieniła się, słysząc tę niespodziewanie dobrą wiadomość.

– Och, to cudowne, Diedre! Strasznie ci dziękuję!

– Nie miałam z tym nic wspólnego, Tony też właściwie nie. Ucieczkę Steinbrennerów przygotowała międzynarodowa grupa młodych antyfaszystów; załatwili odpowiednie dokumenty i wszystko zorganizowali.

– Rozumiem. Greta jest chyba zachwycona. Sama nie mogę w to uwierzyć... że rodzina połączy się z nią w niedzielę. Była chora ze zmartwienia. A dlaczego jej macocha nie przyjedzie z nimi? – spytała ostrożnie.

– Naprawdę nie wiem, co ci odpowiedzieć.

– Tkwi w tym jakiś problem?

Diedre nie odpowiedziała na pytanie, stwierdziła tylko:

– Uważam, że lepiej nie mieszać się w sprawy cudzej rodziny.

Cecily spojrzała na Diedre.

– Jest coś, o czym mi nie mówisz – powiedziała z niepokojem. – Znam cię od zawsze i czytam w tobie jak w książce. Co trzymasz za plecami?

Diedre nabrała tchu i zaryzykowała:

– Moim zdaniem małżeństwo Steinbrennerów przeżywa kryzys. – Opowiedziała Cecily, jak żona profesora nie chciała wyjeżdżać z Berlina, jak ją zmuszono do wejścia do pociągu i jak zniknęła w środek; to, co Elise wyznała Tony’emu, i fakt, że Heddy po prostu rozplynęła się w powietrzu.

– Jakie to dziwne – zawołała Cecily. – To wręcz niewiarygodne.

– Lepiej uwierz, bo to się wydarzyło – odparła zwięźle Diedre.

– Tyle tylko wiesz?

– A skąd mam wiedzieć więcej? Mogę się domyślać, kojarzyć fakty, ale co to da?

– Nic – mruknęła Cecily. Zachmurzyła się i nagle spytała: – Czy mogła zniknąć, żeby spotkać się z kimś? Co o tym myślisz, Diedre?

– Myślę, że jest pani zbyt bystra, żeby wyszło to pani na dobre, pani Milesowo Ingham! – Diedre się roześmiała. – Muszę przyznać, że doszłam do takiego samego wniosku. Nie znajduję innego wytłumaczenia jej zniknięcia.

– Też jestem zdumiona, ale mam swoje podejrzenia. Powiedzmy, że istnieje ta inna osoba. Ktoś, kogo nie chciała opuścić. Jakim cudem ta osoba trafiła do Paryża?

Diedre zmarszczyła brwi i powiedziała poważnie tonem, w którym brzmiało ostrzeżenie:

– Ja zaś uważam, że Heddy Steinbrenner to problem, ale nie twój czy mój, ale profesora. Nie wolno ci się wtrącać, Cecily. Obiecuj mi to.

– Obiecuję.

– Któż zgadnie, czemu zniknęła i dlaczego ryzykuje pozostanie w Europie, zamiast pojechać do Anglii z mężem i dziećmi. I kto wie, ile ją to będzie kosztowało.

– Założę się o wszystko, że to mężczyzna – powiedziała cicho Cecily. – Kobiety robią dziwne i szalone rzeczy z powodu mężczyzn. – Pochyliła się i spojrzała na Diedre. – A teraz powiedz mi, czemu nie możesz spać? Czy jest coś jeszcze, co cię martwi?

– Wiele spraw, Ceci. Praca, nadchodząca wojna, wychowanie Robina, mnóstwo rzeczy, które nagle urastają do olbrzymich rozmiarów.

– Postaram się, żebyś spędziła radosny weekend, Diedre. Cavendon poprawi ci nastrój. A teraz chodźmy napić się herbaty i poszukać naszych dzieci. Aha, mogę powiedzieć Milesowi o Steinbrennerach?

Diedre skinęła głową i starała się uśmiechnąć.

– To dobry pomysł, poszukać dzieci, a pobyt w domu z rodziną to zawsze przyjemność. Dam radę odpocząć.

Ale czy naprawdę? O ile problem Steinbrennerów został częściowo rozwiązany, to troska związana z Willem Lawsonem nie znikła. Uświadomiła sobie, że go kocha. Ale nie mogła nic z tym zrobić. Nigdy. Był dla niej owocem zakazanym.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Charles Ingham wspinał się ku grupie gigantycznych skał, monolitów z epoki lodowcowej, kiedy to całe Yorkshire było pokryte lodem.

To było jego ulubione miejsce od czasów dzieciństwa i często tu przychodził, kiedy musiał przemyśleć trudne sprawy.

Ale tego dnia szukał tu Diedre. Wiedział, że poszła tam wcześniej, bo Hanson widział, jak zmierzała ku High Skell; tak nazywało się to wielkie i puste wrzosowisko ciągnące się aż do Morza Północnego.

Było dla niego oczywiste, że jest zmartwiona, choć inni mogli tego nie dostrzec. Dobrze znał swoją najstarszą córkę, a ona odziedziczyła po nim wiele cech. Jedną z nich była niemożność dzielenia się troskami z rodziną lub przyjaciółmi. Tak jak on sama dźwigała swoje ciężary.

Kiedy dotarł do płaskowyżu ocienionego skałami, dostrzegł ją na półce skalnej, używanej przez dawno zmarłych Inghamów.

Zdziwiła się na jego widok, ale posłała mu wymuszony uśmiech. Od razu zauważył, że płakała.

– Tatuś! – zawołała. – Obawiam się, że wtargnęłam do twojego prywatnego zakątka.

– Nie, często cię tu przyprowadzałem, kiedy byłaś dzieckiem – odparł, siadając obok niej.

– Może dlatego cię tu ciągnie, kiedy chcesz się pozbiierać. Nie przychodzi tu żadna z twoich siostr ani Miles.

Ujął ją za rękę i mocno uściśnął.

– Wiem, że czymś się strasznie martwisz, Diedre, nie próbuj przeczyć.

– Tak – potwierdziła. – Ale, co dziwne, pomaga cisza i spokój, i czas do namysłu. Byłam ostatnio taka zajęta, że odłożyłam na bok osobiste problemy.

– Rozumiem, co masz na myśli; masz to po mnie. Robiłem tak przez wiele lat. Czasem łatwiej dać sobie radę ze sprawami ogólnymi niż z prywatnymi troskami.

– Tak robiłeś, kiedy mama paskudnie się zachowała, to masz na myśli?

– Owszem. – Przyjrzał jej się uważnie, zajrzał jej w oczy i powiedział powoli: – Tylko jedna rzecz może sprawić, by kobieta tak silna jak ty stała się naprawdę bezbronna. Mężczyzna. – Uśmiechnął się i potrząsnął głową. – Mężczyźni. Kobiety. Jacy jesteśmy skomplikowani. A przy tym jesteśmy sobie niezbędni. Nie radzimy sobie bez siebie. Ale sprawiamy sobie tyle cierpienia i bólu.

– Zawsze byłeś w stanie mnie przejrzeć, tatusiu.

– Możemy o tym chwilę porozmawiać? Proszę.

– Tak, oczywiście. Odkryłam, że zakochałam się w mężczyźnie, który jest dla mnie zakazany. A poza tym nie jestem pewna, czy podziela moje uczucia, w każdym razie nigdy się z tym nie zdradził.

– Zakazany? Czy jest zonaty?

– Nie, nic z tych rzeczy. Był zonaty, mówiono mi, że to nie był szczęśliwy związek. Jego żona zmarła piętnaście lat temu, a on nie ożenił się ponownie.

– A może ma kogoś?

– Nie wiem.

– Więc dlaczego jest zakazany? Nie bardzo rozumiem.

Diedre milczała.

– Mam dziwne przeczucie, że zakochałaś się w mężczyźnie, z którym pracujesz. W twoim szefie, jak go nazywasz. Mam rację?

– Tak – odparła cicho.

Charles wstał i podał jej rękę.

– Dalej, Diedre. Musimy wracać do domu. Natychmiast.

Poszła za nim i dogoniła go na płaskim odcinku.

– Dlaczego musimy iść do domu? To coś pilnego?

– To nie jest pilne, ale ważne. Niedawno dzwonił William Lawson. Kiedy Hanson powiedział mu, że poszłaś na spacer, poprosił do telefonu mnie. Wyjaśnił, że jest u komandora Jolliona i zastanawia się, czy mógłby wpaść, by się z tobą zobaczyć. Zaprosiłem go na lunch i powiedziałem, że pójdę po ciebie. To wszystko. Pośpiesz się, kochanie. Czeka na ciebie w bibliotece.

Diedre stanęła ja wryta, gapiąc się na ojca, oszołomiona tym, co powiedział. Kiedy ruszył, pobiegła za nim.

– Nie rozumiem, czemu tu jest. To musi być coś ważnego. I dlaczego odwiedził komandora Jolliona? Nie mówił mi, że wybiera się w ten weekend do Yorkshire.

– To nie ma znaczenia, Diedre. Jestem pewien, że wszystko ci wyjaśni. Przyjechał z walizką i odniosłem wrażenie, że wraca do Londynu.



Kiedy weszli do holu, Diedre skierowała się ku głównym schodom, ale ojciec ją zatrzymał.

– Nie, nie musisz iść do swojego pokoju, Diedre. Wyglądasz doskonale, wręcz ślicznie.

– A nie mam czerwonych oczu?

– Nie. Nie masz się czym martwić. A jeśli pan Lawson chce porozmawiać o czymś w związku z waszą pracą, proponuję, żebyś przeszła się z nim do Skelldale House. Vanessa i Richard nie przyjeżdżają na ten weekend, więc będziecie tam mieli całkowity spokój.

Diedre popatrzyła na ojca podejrzliwie.

– Zapewniam cię, że Will Lawson przyjechał, żeby porozmawiać o pracy. I może powinniśmy być dyskretni. Po bibliotece wciąż się kręci mnóstwo ludzi.

– No właśnie. – Ojciec uściśnął jej rękę i ruszył po schodach. – Lunch jak zwykle o pierwszej – rzucił przez ramię.

Diedre stała przez chwilę, obserwując ojca. Wzięła głęboki oddech i weszła do biblioteki.

Will stał przy kominku i uśmiechnął się na jej widok. Ruszył ku niej i spotkali się na środku pokoju.

– A to dopiero niespodzianka – powiedziała i z ulgą skonstatowała, że jej głos brzmi pewnie. Drżała wewnątrz i ledwie się trzymała na nogach.

– Przepraszam, że tak wpadłem, Diedre. – Ujął ją pod ramię i poprowadził do kominka. – Musiałem zobaczyć się w pewnej sprawie z komandorem Jollionem; później ci to wyjaśnię. Po wczorajszej rozmowie z nim poczułem nagłą potrzebę pogadania z tobą. Mam nadzieję, że się nie gniewasz i...

– Nie, skądże. Jestem tylko bardzo zdziwiona. Ale to miła niespodzianka. I cieszę się, że tatuś zaprosił cię na lunch.

– To uroczy człowiek, sprawił, że od razu poczułem się jak w domu.

– Taki jest, i do tego mądry. zaproponował, żebyśmy poszli do domu jego siostry – nie

ma jej tu w ten weekend. Przypuszcza, że chciałbyś porozmawiać ze mną na osobności.

– To żaden problem, Diedre, naprawdę...

– Tu ciągle ktoś wpada z takiego czy innego powodu – przerwała mu. – Skelldale House jest bardzo blisko. Chodźmy.



– Mówiłaś, że w Yorkshire ciągle pada – stwierdził William. – A dzisiaj jest prawie tak pięknie jak wiosną.

– Wrzesień przeważnie jest ładny, a czasem też październik. Mówią, że to nasze babie lato. – Diedre spojrzała w niebo. – Jest sporo błękitu, więc chwilowo nie grozi nam deszcz.

William przytaknął i rozejrzał się po parku.

– Naprawdę rozumiem, czemu tak lubisz tu przyjeżdżać. Jest tak spokojnie, a park jest wspaniały. Zwłaszcza drzewa – wyglądają na stare.

– Tak, sadził je pierwszy hrabia. I zatrudnił Zdolnego Browna do urządzenia otoczenia.

Spojrzeła na niego nieśmiało. Przez ostatnie dziesięć minut udało jej się przewyciężyć szok spowodowany jego obecnością w Cavendon i była już w stanie normalnie mówić.

W pierwszej chwili wytrąciło ją to z równowagi, ale przydały się lata szkolenia w wywiadzie i szybko doszła do siebie.

– Moja ciotka Vanessa wyszła za Richarda Bowersa. Jest jakimś dyrektorem w Scotland Yardzie – powiedziała tonem pogawędki. – Spotkałeś go kiedyś?

– Słyszałem to nazwisko; sądzę, że to ktoś ważny, ale nie znam go. – Głos Williama brzmiał pewnie, choć jak zwykle trochę potrwało, zanim przywykł do jej obecności.

Po chwili Diedre oświadczyła:

– No to jesteśmy w Skelldale House.

Poprowadziła go kamienną ścieżką przez dobrze utrzymany ogródek. Dom stał z dala od głównej alei parkowej; rosły za nim wysokie drzewa, stanowiące naturalne zielone tło dla budynku z szarego kamienia. Za drzewami widać było kawałek łąki, fioletowej od kwitnących wrzosów.

Tuż za holem znajdował się mały salonik.

– Usiądźmy tu – powiedziała Diedre. – To wygodny pokój, i blisko drzwi. Chociaż nie sądzę, żeby ktoś tu się pojawił o tej porze.

– Ale kto by miał tu przyjść, skoro nie ma twojej ciotki? – spytał ze zdziwieniem William.

– Pokojówka, gospodyni albo kamerdyner z Cavendon. Otwiera się drzwi rano, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, i zostają otwarte do późnego popołudnia.

Usiedli na fotelach przy kominku. William milczał przez chwilę, chcąc skupić się na temacie, a nie na niej, co sprawiało mu pewną trudność. Wreszcie opanował buzujące uczucia.

– Przechodząc do rzeczy, wiem, że się dziwisz, po co widziałem się z komandorem Jollionem.

– Rzeczywiście, nigdy o nim nie wspominałeś, i nie rozumiem, czego od niego chciałeś – odparła Diedre, nie zdradzając nagłego zaniepokojenia jego wizytą w Cavendon. Wszyscy, a zwłaszcza Cecily, mieli bystry wzrok i interesowali się jej życiem.

– Chciałem wypytać go o Wilhelma Canarisa. Twój przyjaciel Waleczny jest dla mnie zagadką. Nie chodzi mi o informacje przekazywane nam przez dziwne kontakty, na przykład z Watykanu. Ale o jego ocenę przyszłości Hiszpanii.

– Mówisz o jego sugestii, że Hiszpania pozostanie neutralna, prawda?

– Tak, przez cały tydzień nad tym myślałem, a potem przypomniałem sobie, że komandor Jollion brał udział w Wielkiej Wojnie i służył na południowym Atlantyku podczas wojny o Falklandy. Wiem, że Waleczny był wtedy błyskotliwym młodym oficerem wywiadu i doprowadzał do szachu naszą marynarkę swoją zabawą w chowanego.

– Ale że też znasz komandora, naszego dobrego sąsiada – mruknęła Diedre.

– Tak, to dziwne. Nie byliśmy bliskimi przyjaciółmi, nic w tym rodzaju. Poznaliśmy się przez mojego brata, z którym rzeczywiście się przyjaźni. Przypomniałem sobie historyjkę o ściganiu krążownika *Dresden*, jaką uraczył nas kiedyś, i pomyślałem, że może wiedzieć o Canarisie więcej niż ty czy ja. Dlatego przyjechałem do Yorkshire.

Diedre skinęła głową, ale milczała. Zastanawiała się, czemu William jej się nie zwierzył; mogła z łatwością zaaranżować spotkanie. Ale najprawdopodobniej chciał chronić jej przykrywkę.

– Kiedy zadzwoniłem do komandora, powiedział, że ma dla mnie czas tylko w piątek wieczorem, bo w niedzielę jedzie do Portsmouth objąć nowy okręt. Nalegał, żebym pojawił się wczoraj na obiedzie i został na noc. Nie miałem wyjścia.

– Chyba się dziwił, czemu akurat ty chcesz się dowiedzieć, co on wie o szefie Abwehry. Czy sądzi, że jesteś z MI6?

– Nie, nie uważa mnie za szpiega. Jest przekonany, że pracuję w administracji Ministerstwa Wojny. Mam znakomitą przykrywkę, ty też. Komandor na pewno uważa, że oboje zajmujemy się ruchami wojsk na świecie.

Diedre wybuchnęła śmiechem.

William roześmiał się także, po czym mówił dalej:

– Kiedy spytałem go, czy zna Canarisa, powiedział, że spotkał go parę razy przypadkiem przed wojną. Ale wiedział, że Waleczny spędził sporo czasu w Chile jako kadet marynarki wojennej, mówi po hiszpańsku z tamtejszym akcentem, a przez lata nawiązywał ważne kontakty w Hiszpanii. Z bankierami i finansistami.

– To ciekawe – mruknęła Diedre. – Ale nie przerywaj sobie, Will. Skończ swoją historię.

– Chcę, żebyś wiedziała, jak wyjaśniłem moje zainteresowanie szefem niemieckiego wywiadu wojskowego. Powiedziałem, że dotarły do mnie pogłoski, iż Hitler nie jest zainteresowany Hiszpanią, zasadza się na Wielką Brytanię i Rosję. Dałem do zrozumienia, że ta informacja trafiła do MI6 od samego Canarisa. I zapytałem Jolliona, czy jego zdaniem Canaris może znać prawdziwe zamiary Hitlera.

– I powiedział, że tak, prawda? – zawołała Diedre.

– Istotnie, bo wszyscy w Niemczech, a także u nas wiedzą, jak potężny jest Canaris i że Hitler słucha go uważnie. Komandor powiedział mi coś jeszcze... że Canaris robi, co chce, lata po Europie, widuje się, z kim chce, i wciąż odwiedza pewne kraje. Dodał, że w całym nazistowskim aparacie nie ma nikogo, kto by się znał na prowadzeniu organizacji wywiadowczej. Są jak dzieci. Tylko Canaris zna techniki operacyjne, ma wiedzę i doświadczenie. Wszyscy szczerze wierzą, że to znakomity ekspert, którym rzeczywiście jest.

– Czy komandor podał jakieś szczegóły co do hiszpańskich powiązań Canarisa?

– Niezupełnie. Ale troszkę się domyślił. Powiedział mi, że krążyły plotki, że szef niemieckiego wywiadu to od lat bliski przyjaciel generała Franco. Znają się jak łyse konie – tak to ujął.

– No cóż, to jest jakaś odpowiedź – mruknęła Diedre, patrząc znacząco na kolegę.

– Uważasz, że Franco wkrótce obejmie pełną władzę? – spytał.

– Tak, nie później niż w przyszłym roku o tej porze. Wyobraź sobie, mieć wpływy zarówno u Franco jak u Hitlera. – Roześmiała się. – Brawo, Waleczny, nie uważasz?

– Owszem. – William spojrział na zegarek. – Jest za dziesięć pierwsza. Lepiej chodźmy na lunch, a potem skończymy tę rozmowę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Wchodząc do głównego holu, William i Diedre natknęli się na lady Gwendolyn, rozmawiającą u stóp schodów z DeLacy.

Leciwa dama rozpromieniła się na widok Diedre, a ta podbiegła, ucałowała ją i przywitała się z siostrą, po czym przywołała Williama.

Lady Gwen powitała go bardzo ciepło, a Diedre uśmiechnęła się w duchu. Ciotka zawsze lubiła przystojnych mężczyzn. Przedstawiła go DeLacy i odwróciła się, słysząc kroki.

Otoczyła ich reszta rodziny, jej ojciec i Charlotte, Cecily i Miles oraz Daphne i Hugo. Gdy William poznał wszystkich, ruszyli wspólnie do jadalni.

Mimo że siostry zachowywały spokój, Diedre wiedziała, że dziwiły się wizycie Williama. Ale to Cecily rzuciła jej znaczące spojrzenie i uniosła brwi, kiedy nikt nie patrzył. Diedre zachowała kamienną twarz i potrząsnęła przecząco głową.

Charlotte poprowadziła Williama do jadalni. Diedre została z tyłu; Cecily odciągnęła ją na bok.

– Co za przystojny, ujmujący mężczyzna. Chyba trudno się z nim pracuje. – Uśmiechnęła się łobuzersko.

– Nie, nie bardzo – odparła cicho Diedre. – A on sporo podróżuje. Lepiej wejdźmy, Ceci.

Diedre zajęła swoje zwykłe miejsce po lewej ręce ojca, który odsuwał krzesło po swojej prawej dla ciotki Gwendolyn. Zauważyła, że Charlotte posadziła Williama koło siebie; DeLacy siedziała z jego drugiej strony. Diedre uśmiechnęła się do niego przez stół i postanowiła siedzieć cicho podczas posiłku.

Skupiła myśli na Williamie. Niespodziewanie wtargnął do jej prywatnego świata, no ale został zaproszony. Nie miała pojęcia, po co tu przyjechał. Inghamowie i Swannowie potrafili być czasem nie do opanowania. Byli ciekawscy, zainteresowani członkami rodziny i ich związkami i dociekliwi. Jednak nie martwiła się o niego. Jest dorosły i może sam się bronić. No i jest na dodatek szpiegiem, który z pewnością radził sobie w gorszych sytuacjach.

Zastanawiała się, czemu dzwonił do niej rano. Przypomniała sobie, co jej powiedział o Walecznym i jego hiszpańskich koneksjach: nie było to bardzo pilne i nie potrzebował jej rady. Nie trzeba było też podejmować żadnych decyzji.

Niewątpliwie uzyskał od komandora kilka cennych informacji. Jego opinia o admirale i jego wpływie na Hitlera była istotna. Jednak Diedre wciąż nie wiedziała, o co chodzi.

– Czemu nie powiedziałaś mi, że twój szef będzie na lunchu? – odezwał się siedzący obok niej Miles.

– Bo nie wiedziałam. Tatuś mówi, że był na spotkaniu z komandorem Jollionem i zadzwonił, żeby się ze mną przywitać. Ja byłam na spacerze, więc tatuś zaprosił go na lunch. Wygląda na to, że wraca dziś do Londynu.

– Sprawia wrażenie miłego faceta. Po co spotykał się z Jollionem?

– Nie jestem pewna. Ale chyba ma to coś wspólnego z nowym okrętem komandora i jego załogą. William zarządza ruchami wojsk. Piechoty, marynarki i lotnictwa, tym, gdzie są wysyłane. Chociaż chwilowo nie mamy dużych sił powietrznych.

Miles przytaknął, ale zauważyła w jego wzroku sceptycyzm. Pochylił się ku siostrze i powiedział cicho:

– Wiem od Ceci, że profesor Steinbrenner i jego dzieci jednak się wydostali. Ale czy to

prawda, że Frau została?

– Też tak słyszałam – odparła wymijająco. – Nie wiem nic ponadto. Greta spotka się z nimi jutro, kiedy przyjadą z Paryża.

– Ma szczęście. Po tym, co widzieliśmy i słyszeliśmy w Berlinie, nie wyobrażam sobie, żeby wielu Żydom udało się uciec.

– Cieszę się ze względu na nią i na dzieci.

Po chwili do jadalni wkroczył Hanson, a za nim dwaj lokaje i dwie pokojówki. Podano wędzonego łososia, nalano wodę i wino.

Diedre zauważyła, że Charlotte i DeLacy podczas posiłku zasypują Williama pytaniami. Była przez cały czas świadoma jego obecności. Miała wrażenie, że bez wysiłku wysysa cały tlen z pomieszczenia. Nie chodziło tylko o jego wygląd i ujmujący wdzięk, ale coś jeszcze. Pochodził z dobrej rodziny, miał doskonałe maniery i pewność siebie. Kiedyś powiedział jej, że jeśli szpieg jest dżentelmenem, to nie jest to takie podłe zajęcie.

Ciotka Gwendolyn przechwyciła jej spojrzenie.

– Mam nadzieję, że pomogła ci ta drobna informacja, której ci ostatnio udzieliłam, Diedre.

– Tak, ciociu Gwen, bardzo ci dziękuję.

– Zawsze się cieszę, kiedy mogę pomóc.

Diedre uśmiechnęła się do niej i pomyślała, że wygląda wręcz kwitnąco. Może ciotka jednak wyprawi swoje setne urodziny. Miała taką nadzieję; ciotka Gwendolyn była jej bardzo bliska.



– Masz szczęście, że pracujesz z kimś takim jak William Lawson – zwrócił się do córki hrabia.

– Tak – przyznała Diedre. – I mnóstwo się od niego uczę.

Gordon Lane i pokojówki zmieniły talerze i po chwili podano danie główne. Charlotte zarządziła na dziś łopatkę jagnięcą z pieczonymi ziemniakami i warzywami, ulubione danie całej rodziny.

Zerkając ukradkiem na Williama, Diedre stwierdziła, że jest zupełnie swobodny i oczarował Charlotte i DeLacy, które wpatrywały się w niego z zachwytem. O rany, pomyślała, czyżby był w skrytości ducha bawidamkiem? Rozbawiło ją to, ale powstrzymała się od śmiechu i zajęła jedzeniem.

Przy stole trwały pogawędki i rozbrzmiewał śmiech. Diedre jednak była zbyt pochłonięta rozmyślaniami o Willu, żeby włączyć się w którąś z rozmów. Widząc, że sobie radzi i zawojował towarzystwo, odprężyła się wreszcie. Znienacka poczuła, że jest z niego dumna. I nigdy nie wątpiła, że pasowałby do jej rodziny.

W ciągu tych wielu bezsennych nocy, kiedy o nim myślała i pragnęła jego fizycznej bliskości, w głębi duszy wiedziała, że on sprosta każdemu wyzwaniu. I już wiedziała, że go kocha. Ale nie miała pojęcia, co on do niej czuje.

Odrzucenie, pomyślała. Nikt nie chce być odrzucony. Czy odważę się zrobić pierwszy krok? Ale dlaczego zadzwonił dziś do Cavendon? Bo był tak blisko i miał nadzieję, że zaproszą go na lunch?

Jej ojciec zaskoczył ją, zwracając się do Willa:

– Mam nadzieję, że to pytanie nie jest nie w porę, panie Lawson, ale co pan sądzi o ostatnich awanturach w Kraju Sudeckim i o tym, że Niemcy sudeccy zerwali rozmowy

z czeskim rządem? I o zamieszkach? Czy to nie niepokojące?

– Pytanie jak najbardziej na czasie, i owszem, sytuacja jest nieprzewidywalna. Prasa podaje coraz więcej wiadomości o tamtejszych problemach. Jestem pewien, że Chamberlain będzie znów próbował ułagodzić Hitlera, ale w końcu polityka ustępstw przestanie działać. – Will przerwał, a potem dodał: – Moim zdaniem Führer zajmie wszystkie sąsiednie kraje, w tym Polskę. To tylko kwestia czasu.

Przy stole zapadła cisza. Wyglądają na ogłuszonych, pomyślała Diedre i spojrzała na Willa.

Uniósł brwi, a ona skinęła głową. Po chwili mówił dalej:

– Pogłoski na temat wojny to w rzeczywistości wcale nie pogłoski, ale przepowiednie. Nie chcę was straszyć, ale musicie być gotowi. We wrześniu albo październiku przyszłego roku Brytania będzie w stanie wojny z nazistowskimi Niemcami.

– Tatusiu, wierzysz w Winstona Churchilla, wszyscy o tym wiemy i też w niego wierzymy – odezwała się Diedre. – Szkoda, że chwilowo nie rządzi. Ale przynajmniej widzi świat takim, jaki jest, nie buja w obłokach. I dlatego uważa, że należy budować okręty wojenne i stworzyć siły powietrzne.

Lord Mowbray przytaknął ponuro.

– Ma pan rację, panie Lawson, musimy być gotowi do walki. Co mówił Nelson pod Trafalgarem? Chyba nie pamiętam.

– Anglia oczekuje, że każdy mężczyzna spełni swój obowiązek – powiedział Miles. – I tak będzie.



Po deserze Charlotte wstała i zaprosiła wszystkich na kawę do żółtego saloniku.

Diedre zauważyła, że ojciec podszedł do Williama i coś do niego powiedział. Przeszli razem do biblioteki i zamknęli za sobą drzwi.

Zastanawiała się, o co chodzi, i doszła do wniosku, że ojciec chce jeszcze trochę porozmawiać o poborze do wojska. Wiedziała, jak się tym martwi ze względu na Charliego i bliźniaków. Obawiał się, że wszyscy się od razu zaciągną. Noel Jollion z pewnością o tym wspominał, a był bardzo zaprzyjaźniony z całą trójką Stantonów i mógł mieć na nich wpływ.

Weszła z Cecyli do saloniku. Usiadły razem na sofie przy oknie, a po chwili Hanson i dwie pokojówki podali kawę.

Niedługo potem Diedre zdziwiła się na widok wchodzących ojca i Williama. Widocznie rozmowa nie zajęła im dużo czasu. Ojciec zaprowadził go do kominka i posadził obok Charlotte i ciotki Gwen. Diedre nagle zastanowiła się, czemu ojciec był taki miły dla Williama Lawsona? Zawsze był dobrym gospodarzem, ale dziś okazywał gościowi szczególne względy. Może dlatego, że Will to jej szef?

Daphne, DeLacy i Hugo usiedli koło nich; zjawił się też Miles.

– Mogę się przysiąc? – spytał. Usiadł obok Cecyli, wziął ją za rękę i zwrócił się do Diedre. – Uważam, że twój szef jest bardzo miły i dobrze poinformowany. Wszyscy mamy nadzieję, że wojny nie będzie, i staramy się o niej nie myśleć. Ale on to dziś powiedział wprost. Jestem nawet rad, że to zrobił. Nie możemy udawać, że tak się nie stanie. Harry w kółko to powtarza. Wiecie, że młodzi mężczyźni z trzech wiosek natychmiast wstąpią do armii, nie czekając na wezwanie. – Miles westchnął z rezygnacją.

– Masz rację – odezwał się Hugo. – Obawiam się, że dla młodych mężczyzn wojna to zabawa.

– Są mięsem armatnim – powiedziała cicho Diedre. – Tyle milionów zginęło dwadzieścia lat temu; to straszne.

Miles i Hugo dalej rozmawiali o tym, co nazywali teraz drugą wojną światową; po chwili Diedre wstała, przeprosiła towarzystwo i podeszła do Charlotte.

– To był pyszny lunch – zapewniła. – I dziękuję, że zaprosiliście Williama. Ale teraz musimy wyjść, mamy robotę. Wiem, że nam wybaczycie.

– Idź i rób, co powinnaś, Diedre – odparł hrabia, uśmiechając się do najstarszej córki.

William wstał, podziękował i pożegnał się uprzejmie, i wraz z Diedre wyszedł z pokoju. Idąc do Skelldale House, powiedział:

– Muszę porozmawiać z tobą o czymś ważnym.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Drzwi Skelldale House nie były jeszcze zamknięte. William wpuścił Diedre do środka, a ona poszła prosto do saloniku i przystanąła przy oknie.

William stał przez chwilę przy drzwiach, opierając się o framugę.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Wreszcie William spytał:

– Mogę zdjąć marynarkę? Zgrzałem się.

– Oczywiście. – Patrzyła, jak ją zdejmuje i odkłada na krzesło. Zauważyła mięśnie ramion i pleców falujące w rytmie jego ruchów i po raz pierwszy dobrze mu się przyjrzała. Zazwyczaj starała się nie zauważać, jaki jest atrakcyjny.

Ale dziś musiała przyznać, że jest wyjątkowo przystojny. Emanował męskością i siłą, i nagle dotarło do niej, że jest bardzo podobny do aktora, którym zachwycał się James i z którym zaprzyjaźnił się podczas pobytu w Hollywood. Clarka Gable.

Miał takie same gęste czarne włosy zaczesane do tyłu, surowe męskie rysy i śnieżnobiałe zęby. Był wysoki, sześć stóp i trzy cale, szczupły, ale atletycznie zbudowany i poruszał się z gracją. Zauważyła to pierwszego dnia pracy.

Nieoczekiwanie wyszedł z pokoju; słyszała, jak zamyka drzwi na klucz.

Kiedy wrócił, miał rozwiązany krawat i rozpinał górne guziki białej koszuli.

Patrzyła na niego zdziwiona, ale on się nie odzywał. Przecież mówił, że mu gorąco.

A zamykanie drzwi nie było w ich fachu niczym dziwnym.

Oparł się o obramowanie kominka i przypatrywał się jej z taką intensywnością, że aż się zarumieniła. Odchrząknęła.

– O czym chciał z tobą rozmawiać mój ojciec?

William nie odpowiedział. Miał ochotę powiedzieć: O tobie. Chciał mówić o tobie – ale się nie odważył. Onieśmiałała go nie dlatego, że była córką hrabiego; winna była jej uroda, a przez nią czuł się czasem jak bełkoczący głupek.

Mimo to pragnął jej. Od dawna. Ale była taka wspaniała, złotowłosa i niebieskooka, z brzoskwiniową cerą, że bał się jej dotknąć, a czasem nawet zbliżyć się do niej.

Stroje, które nosiła, dodawały jej wyjątkowej elegancji. Całkowicie różniła się od kobiet, z którymi był blisko. Stanowiła dla niego doskonałość.

Nazywał ją w myślach Panną Niedotykalską, ale pragnął jej dotknąć. Całą siłą woli trzymał ręce przy sobie. Kochał ją od pierwszej chwili. Chciał trzymać ją w ramionach, mieć ją dla siebie. Pożądał jej i kochał za wszystko, co reprezentowała jako kobieta. Wyjątkowa kobieta, piękna, pełna wdzięku, a przy tym niespotykane inteligentna. Wiedział, że jest wyrozumiała, pełna współczucia i czuła. Chciał z nią być. Gdyby tylko zbliżyła się do niego, nie mógłby jej opuścić...

– Czemu milczysz? – spytała.

– Przepraszam, ale przez chwilę błądziłem myślami. Twój ojciec chciał ze mną porozmawiać o rekrutacji do wojska. Obawia się, że twoi siostrzeńcy ruszą na wojnę w chwili, gdy się tylko zacznie.

– Tak też myślałam.

– Mam ci coś ważnego do powiedzenia. Muszę wyjechać.

– Co to znaczy?

– Muszę pojechać w naszych sprawach.

– Dokąd? – spytała z niepokojem.

– Do Kraju Sudeckiego i Czechosłowacji. Powinienem wiedzieć dokładnie, co się tam dzieje.

– Nie, nie możesz tam jechać! Nie pozwolę ci na to! – wyrwało jej się. – Coś ci się może stać. To zbyt niebezpieczne i... – Przerwała nagle, orientując się, że odkryła swoje uczucia. Ścisnęła poręcz krzesła, bo ugięły się pod nią nogi.

William nie spuszczał wzroku z jej twarzy. Wreszcie zebrał się na odwagę.

– Twój ojciec powiedział coś jeszcze. Miał do mnie pretensję, że łamię ci serce, bo ty mnie kochasz, a ja nie traktuję cię odpowiednio. On...

– Tatuś to powiedział? Powierzył ci mój sekret! – Powinna się ugryźć w język. Poczowała, że się rumieni; to śmieszne, rumieniec u kobiety w jej wieku. Traciła samokontrolę.

William ruszył w jej stronę. Przystanął, zauważywszy, że cofnęła się do okna. Uśmiechnął się lekko.

– Twój ojciec stwierdził, że wprawdzie jestem mądry, ale jestem również głupi... bo nie widzę tego, co mam przed nosem. I wyznał, że wiele lat temu robił to samo. Chcesz wiedzieć, co mi powiedział?

Skinęła tylko głową.

– Wspomniał imię Charlotte. Opowiedział mi, jak przyszedł do jej domu i wszedł do pokoju, gdzie ona stała na drabinie. Zaskoczona, zachwiała się, a on zdążył ją złapać. I w tym momencie zrozumiał, że kocha ją od lat.

Diedre była tak zaskoczona, że ojciec wyznał Williamowi coś tak osobistego, że zaniemówiła na dobre.

– Czy mnie kochasz, Diedre? – spytał, zbliżając się do niej.

Nie odpowiadała.

– Kiedy twój ojciec spytał mnie, czy cię kocham, odparłem, że tak. Spytał o moje zamiary, a ja powiedziałem, że to zależy od ciebie. Ja traktuję to poważnie, ale nie wiem, jakie są twoje uczucia.

Wciąż nic nie mówiła. William podszedł do okna, wziął ją za rękę i pociągnął za sobą. Zaciągnął zasłonę, zaprowadził ją na środek pokoju i puścił jej rękę.

Stali oko w oko, nie odzywając się do siebie.

– Powiedz to, Diedre. Powiedz mi prawdę. Kochasz mnie? – przemówił.

Czuła w piersi ucisk i wszystko w niej dygotało. Odetchnęła głęboko.

– Tak.

– Powiedz to. Chcę usłyszeć, jak to mówisz.

– Kocham cię, Will. – Jej oczy wypełniły się łzami, drżała z emocji.

Objął ją i przytulił tak mocno, że ledwie mogła oddychać.

– A ja kocham ciebie, Diedre – powiedział wyraźnie. – Pokochałem cię od pierwszego wejrzenia.

Oparła się o niego, czując ulgę, że wreszcie znalazła się w jego ramionach. Była w nich bezpieczna.

Pocałował ją, a ona oddała mu pocałunek. Stali tak przez chwilę, a potem opadli na sofę. Poglaskał ją po twarzy, pocałował brwi, powiedział, że bardzo ją kocha i chce z nią być na zawsze. Znow się pocałowali, bardziej namiętnie.

– Sądzę, że musimy znaleźć jakieś łóżko – rzekł William.

Weszli razem na piętro. Zaprowadziła go do pokoju gościnnego i zapaliła lampkę nocną. Spojrzała na niego i wyczytała w jego ciemnych oczach miłość i czułość. Musnęła dłonią jego twarz.

– Bardzo cię kocham, Williamie Lawson, i jestem zachwycona, że masz poważne zamiary, ponieważ nigdy nie pozwolę ci odejść.

Objęli się i stali tak, z bijącymi sercami; po chwili całował ją, zmagając się jednocześnie z jej jedwabnym zakietem, a ona próbowała rozpiąć guziki jego koszuli. William odstąpił na krok.

– Zdejmij ubranie – poprosił.

Przyglądał się, jak to robi, pozbył się własnego i razem ruszyli do łóżka. Nic nie mówiąc, leżeli obok siebie pod kołdrą. Po chwili Will uniósł się na łokciu i spojrzał na nią.

– Nie wierzyłem, że to się kiedyś stanie.

– Ja też nie. Ale wciąż o tym myślałam, pragnęłam tego co noc.

– Ja też – odparł z zuchwałym uśmiechem.

Patrzył na nią, delikatnie dotykał jej ciała, podziwiając jedwabistość skóry. Miała długie, zgrabne nogi, szczupły tułów i piękne piersi. Przyciągnął ją do siebie, wdychając jej zapach, słuchając bicia jej serca przy swoim. Wkrótce się połączą, staną się jednością, ale w tej chwili chciał się delektować kobietą, której tak długo pragnął.

– Dotknij mnie, Will – powiedziała cicho. – Chcę poczuć na sobie twoje ręce.

Zrobił, o co go prosiła, gładząc ją i pieszcząc. Przepełniała go radość. Panna Niedotykalska należała do niego, mógł jej dotykać, kochać, uczynić swoją. Był zachwycony, kiedy pogładziła go po brzuchu i niżej. Pozwalał jej na to przez chwilę, ale nagle powstrzymał jej rękę. Podsyciła jego pożądanie i poczuł, że nadszedł właściwy moment na połączenie.

Pochylił się nad nią, ujął dłońmi jej pośladki i wsunął się szybko, prawie brutalnie, do jej wnętrza. Krzyknęła i otoczyła nogami jego plecy, a on poczuł ekstazę równą jej, bo błagała go, by się nie zatrzymywał.

Poruszali się w jednym rytmie, aż William poczuł się, jakby wzlatywał nad skrajem przepaści i spadał w nią. Ona krzyczała z rozkoszy, powtarzając jego imię. Stracił panowanie nad sobą i oddał się jej całkowicie, tak jak ona jemu.

Przez dłuższą chwilę dochodził do siebie, leżąc na niej bez ruchu. Wreszcie się odezwał:

– O Boże, co to było? – wymamrotał, tuląc ją czule.

– Kochałeś się ze mną, a ja kochałam się z tobą – odparła Diedre. – Czyż to nie cudowne?

Will objął ją i leżeli tak, ciesząc się dopiero co odkrytą bliskością. Diedre podobał się dotyk jego skóry i siła jego ciała. Znała go z wielu stron i dobrze go rozumiała, ale teraz doceniła jego męskość.

Will nie mógł uwierzyć, że wreszcie ma swoją idealną kobietę, że należą do siebie. Miał nadzieję, że ona czuje to samo. W końcu przerwał milczenie.

– Wyjdiesz za mnie, Diedre?

– Tak, pragnę tego z całego serca.

Poczuł, że mówiąc to, uśmiechnęła się, wtulona w jego pierś.

– Pobierzmy się jak najszybciej, chcę, byś już była moją żoną.

– Tak szybko, jak to możliwe, Will. Ale jest jeden problem. Chciałabym, żeby na moim ślubie były wszystkie siostry. Wiem, że Dulcie i James wrócą do grudnia. Mówiła mi, że James kończy negocjacje w sprawie kontraktu z MGM i wracają do domu.

– Będzie na co czekać w tych posępnych czasach, w których żyjemy – wesele w Boże Narodzenie.

– Czy naprawdę musisz jechać do Czechosłowacji?

– Powinienem. Ale pošlę tam Garetha Jonesa. Wyciągnę go na tydzień z Paryża.

– Mógłbyś wysłać Tony'ego – zasugerowała niepewnie.

– Nie jest jeszcze gotowy. Nie dość doświadczony. Trafnie odgadłaś, że to może być

niebezpieczne.

– A co zrobimy z biurem, Will?

– Nie rozumiem. – Wyglądał na zaintrygowanego.

– Chodzi o to, że mamy romans, a pracujemy razem. Czy to nie stworzy problemu?

Nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

– Nie bądź głupia, przecież jestem twoim zwierzchnikiem. Szefem jednostki, jak mnie nazywasz. Nie odpowiadam przed nikim poza premierem.

Roześmiała się do wtóru, i był to radosny śmiech, którego od dawna nie słyszał.

– Nie sądzę, żeby Neville Chamberlain interesował się twoim życiem erotycznym – stwierdziła.

– Zgadza się, i nikt inny.

– Uważasz, że mój ojciec wysłał nas do domu Vanessy po to, żebyśmy się kochali?

William znów się roześmiał.

– Nie jestem pewien, ale powiedział, że powinienem zaprowadzić cię w ustronne miejsce, żebyśmy uporządkowali ten bałagan, którego narobiliśmy. Tak to właśnie ujął.

– Wiem, że bardzo mnie kocha, tak jak wszystkie swoje dzieci i wnuki. Może uważał, że musi interweniować.

– Owszem. Czyż nie byliśmy parą głupców?

– Tak, i straciliśmy mnóstwo czasu. Och, pociąg! O której masz pociąg do Londynu? Nie chcę, żebyś wyjeżdżał.

– Nie wyjeżdżam. Twój ojciec zaprosił mnie na noc i na tak długo, jak zechcę. A kiedy powiedziałem, że skończyły mi się czyste koszule, powiedział, że z pewnością jego koszule będą na mnie pasować.

– O rany, naprawdę bardzo cię polubił. I popatrz: przybyłeś, zobaczyłeś, zwyciężyłeś.

– Liczy się dla mnie tylko to, że zdobyłem ciebie.

– Byłam najłatwiejszą zdobyczą, jaką miałeś – zareplikowała, patrząc mu w oczy.

– To nieprawda, i dobrze o tym wiesz. Poza tym nie miałem ich w życiu wiele.

Rzuciła mu długie, uważne spojrzenie, ale nic nie powiedziała.

– Przeszłość odeszła w niepamięć. Teraz zaczynamy wspólnie nowe życie. Ty, ja i Robin. Jak on się będzie z tym czuł? Czy mnie zaakceptuje?

– Nie mam co do tego wątpliwości. Ma wujków i mojego ojca, ale wiem, że w głębi duszy chciałby mieć jakiegoś mężczyznę na wyłączność, by mógł nazywać go ojcem.

– Będę dla niego dobrym ojcem, Diedre, obiecuję. I dobrym mężem. – Uśmiechnął się nieco drapieźnie i dodał: – I kochankiem.

Skinęła głową z uśmiechem.

William spowaźniał.

– Wiesz dobrze, że nadchodzi wojna, a Hitler będzie próbował dokonać inwazji na nas. Jestem szczęśliwy, że jesteśmy razem w tych ciężkich czasach, Diedre, i że będę mógł zaopiekować się tobą i Robinem. Chronić was i zapewnić wam bezpieczeństwo.

BEZ POŻEGNANIA

Są dwa dni, którymi się nigdy nie martwię.
Dwa beztroskie dni, wolne od lęku i obaw.
Jeden z tych dni to Wczoraj...
A drugi dzień, którym się nie martwię, to Jutro.

Robert Jones Burdette, *The Golden Day*

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Hollywood, Kalifornia, USA. Kochał je, jednak czasami go denerwowało i martwiło. Chciał zostać. Chciał wyjechać. Miał mieszane uczucia. Ale w głębi duszy wiedział, co musi zrobić. Naprawdę nie miał wyboru.

Tym, czego James Brentwood nie lubił w Hollywood, były plotki, obmowa, mściwość i jadowita zawiść. Czasopisma pełne łgarstw, wycieczek osobistych i nieprawdopodobnych przypuszczeń. Wielcy przemysłowcy, którzy zarządzali nim tak jak fabryką. Ludzie, którzy potrafili zniszczyć karierę, powołać do życia albo złamać życie jednym pstryknięciem. I wiele innych rzeczy ocierających się o kicz, niechlujstwo i tandetę. A jednak było to wyjątkowe miejsce, jedyne w swoim rodzaju.

Tym, co lubił w Hollywood, była praca: jego koledzy i koleżanki aktorzy, oddani swojej profesji, którzy codziennie dawali z siebie wszystko. Uwielbiał utalentowanych scenarzystów, wkładających w ich usta słowa, bez których nie byłoby filmów; wspaniałych reżyserów, wydobywających z nich to co najlepsze; producentów, którzy to umożliwiali, i operatorów, którzy w cudowny sposób zatrzymywali czas.

Przepadał za tymi wielkimi pustymi przestrzeniami, gdzie kręcono filmy. Za reflektorami, kamerami i rejestratorami dźwięku. Wszystko to razem wyczarowywało zapisany na taśmie magiczny świat, który mógł obejrzeć każdy. Dramat. Tajemnica. Romans. I tutejsza specjalność – wielkie hollywoodzkie musicale.

James uśmiechnął się do siebie, idąc przez parking wytwórni Metro Goldwyn Mayer w Culver City do jednego z ich muzycznych studiów. Chciał przed wyjazdem rzucić po raz ostatni okiem na swoje ulubione miejsce.

Zaczął się rok 1939; za tydzień od dziś on, Dulcie i ich mała rodzina będą w drodze do Nowego Jorku, gdzie wsiądą na statek do Anglii. Opuści Hollywood i będzie tęsknił za wieloma rzeczami, nie wspominając już o pogodzie. Ale cieszył się, że wkrótce znajdą się w Londynie. Martwił się wojną i tym, co przyniesie.

Zerknął na rozświetlone błękitne niebo. W powietrzu czuć było chłód, ale nie miało to znaczenia, zwłaszcza że niesło zapach pomarańczy z okolicznych sadów.

Felix Lambert przyjechał w zeszłym tygodniu do Los Angeles, by ostatecznie sfinalizować umowę, wynegocjowaną dla Jamesa z Louisem B. Mayerem, szefem MGM. Obie strony były z niej zadowolone.

Ostatnie dokrętki aktualnego filmu były już gotowe. Ale to nie był jego ostatni film dla Hollywood. Znów miał kontrakt z MGM, i teraz był winny panu Mayerowi cztery filmy, które zostaną wyprodukowane w przyszłości. Dwa mogą być nakręcone w Anglii, ale L.B. chciał, żeby wrócił tu na dwa pozostałe. Kiedy wojna się skończy. Pan Mayer się na to zgodził. Kiedykolwiek to będzie. Nikt nie mógł tego przewidzieć.

Wojna. Nie została wypowiedziana. Jeszcze nie. James wiedział, że jest nieunikniona. Zbliżała się do nich jak tornado i wessie ich w swój wir.

Zbliżywszy się do studia, zauważył strażnika, Patricka Kelly'ego. Wysoki, sympatyczny mężczyzna, zawsze pomocny, był amerykańskim Irlandczykiem, który przeniósł się do Los Angeles z Nowego Jorku, gdzie jego ojciec i bracia służyli w policji. „Tu jest bezpieczniej”, powiedział kiedyś Jamesowi.

– Dzień dobry, sir Jamesie – pozdrowił go z uśmiechem.

– Dla ciebie to środek dnia – odparł James. – I jaki piękny mamy poranek. Pat, chciałbym wejść i po raz ostatni rzucić okiem na moje ulubione studio. Mogę?

Strażnik otworzył drzwi i zapalił lampy. Olbrzymia hala wypełniła się światłem.

– Jaki to wspaniały widok – mruknął James.

Ruszył naprzód, obrócił się, oglądając gigantyczną przestrzeń i uśmiechnął się, uszczęśliwiony.

– Naprawdę będę tęsknił za tą halą, Pat.

– A ja będę tęsknił za panem, wszyscy będziemy. Jest z pana prawdziwy dżentelmen, jeśli mogę tak powiedzieć. Jeden z nielicznych, którzy tu ostatnio bywali. Pan, i oczywiście pan Gable.

– Dzięki za miłe słowo. Mnie też będzie ciebie brakowało i wszystkich moich kolegów. Ale teraz muszę jechać do domu. Wiesz, walczyć na wojnie.

– Więc naprawdę będzie wojna? – spytał z nagłym niepokojem Pat.

– Obawiam się, że tak – odparł poważnie James. – Wolałbym, żeby nie, ale boję się, że będzie gorsza niż poprzednia.



James wyjechał za bramę MGM i skierował się ku Beverly Hills. Miał się spotkać z Feliksem na lunchu u Chasena; to będzie jeszcze jedno pożegnanie.

Zaparkował samochód i wszedł do środka, uświadamiając sobie, że przyjechał za wcześnie. Ale Felix już na niego czekał.

– I jak wypadło pożegnanie, James? – spytał.

James roześmiał się i usiadł na czerwonej kanapce obok niego.

– Nie mówiłem „żegnaj”, bo wiem, że pewnego dnia tu wrócę.

– Mogę ci to zagwarantować, mój chłopcze. Kontrakt tego wymaga. A swoją drogą, armia nie pozwoli ci walczyć. Dostaniesz pracę za biurkiem albo będziesz dla nich robił filmy propagandowe.

– Nie mów tak! – ostro zaprotestował James. – Chcę wstąpić do wojska.

– Wiem, że nie chcesz tego słuchać, ale jesteś za stary, żeby iść na front. Masz czterdzieści pięć lat. W okopach potrzebni są dwudziestolatkowie, a nie tacy jak ty czy ja.

– Wiem – westchnął James. – Masz rację. Ale Dulcie powiedziała mi parę dni temu, że Cecily martwi się o Milesa i Harry’ego, którzy mogą zostać powołani do wojska. Boi się też, że jeśli hrabia będzie musiał sam zarządzać majątkiem, podkopie to jego zdrowie.

– Rozumiem jej uczucia, Jamie. Ale dziewczęta z Cavendon jakoś zawsze dawały sobie radę, nieprawdaż? Inghamowie są znani nie tylko z urody swoich kobiet, ale też z ich męstwa.

– Nie będę się z tobą o to kłócił. Moja Dulcie jest tego żywym przykładem... piękna, silna, pomysłowa i kochająca. Wspaniała, jak jej siostry i bratowa.

– Co Dulcie robi z galerią w Londynie? Constance myśli, że ją zamknie. To prawda?

– Sądzę, że nie ma wyboru. Obrazy nie będą bezpieczne, gdy zaczną spadać bomby.

Dulcie wspominała, że Hanson zostawił dla niej sporą piwnicę w Cavendon, i cała zawartość galerii może tam przeczekać.

Ich rozmowę przerwało nadejście Dave’a Chasena. Życzliwy i przyjazny, był idealnym gospodarzem. Ponieważ znał wszystkich obecnych, panował tu nastrój, jak go określał James, „nieustającego lokalnego festiwalu”. Wymienili uprzejmości i Dave ruszył porozmawiać z Nigelem Bruce’em i Ronaldem Colmanem, dwoma angielskimi aktorami, którzy w drugim końcu sali jedli lunch z Davidem Nivenem, kolejnym Anglikiem zamierzającym wrócić do

domu, by służyć ojczyźnie.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Felix siedział wygodnie na miejscu pasażera, relaksując się po wyśmienitym lunchu u Chasena. Wyglądał przez okno, gdy James jechał przez Beverly Hills do Bel Air.

Lubił to miejsce. Miało urok wioski położonej pośród gajów pomarańczowych, sadów i sumaku. Trzypasmowe drogi obsadzone drzewami i ładne domy z dobrze utrzymanymi ogrodami dawały wrażenie sielanki. A jednak było to miasto fabryczne. A jego produkty były rozchwytywane na całym świecie: Filmy. Przez duże F. Publiczność ciągle żądała nowych, ludzie uzależnili się od filmu. I wielu aktorów stawało się z dnia na dzień gwiazdami, uwielbianymi przez rzesze fanów.

Felix wiedział, że biznes kwitnie i będzie kwitł nadal. Nic go nie zatrzyma. Zdziwiająco, że cały ten przemysł został stworzony przez garstkę młodych żydowskich imigrantów z Europy. Niektórzy trafili tu z rodzicami jako dzieci na początku dwudziestego wieku, inni przyjechali sami jako nasto- bądź dwudziestolatki.

Felix pomyślał nagle o Louisie B. Mayerze, szefie MGM, największym z magnatów tej branży. Przyjechał z rodzicami z Rosji; miał wtedy trzy lata. Ci żydowscy imigranci zaczęli w biznesie filmowym przeważnie jako właściciele kin lub dystrybutorzy filmów. Choć Mayer prowadził centrum filmowe w Nowym Jorku, wkrótce zdał sobie sprawę, że więcej zysku da mu produkcja własnych filmów. Skupił się na tym i ruszył na podbój Hollywood.

Przez lata ta grupka stworzyła imperium. Budowali studia, kontrolowali wszystko i wszystkich, i stali się potentatami przemysłu, który należał wyłącznie do nich: MGM, Paramount, Universal i Warner Brothers.

Zabawne, jak się toczy życie, pomyślał Felix. Zerknął na Jamesa. Trzydzieści lat temu on i Constance poszli na przedstawienie dziecięcego teatryku i odkryli piętnastoletniego chłopca zwanego Jimmy Wood, syna dokera z East Endu. Bo na scenie, podczas pokazu zorganizowanego przez Szkołę Dramatyczną Madame Adelii Foster, zobaczyli prawdziwego geniusza.

Mały Jimmy Wood był niezmiernie utalentowany, wyjątkowo przystojny i obdarzony charyzmą, nawet w tym trudnym wieku. Pod ich kierunkiem i opieką trzech sióstr Jimmy stał się Jamesem Brentwoodem, jednym z największych aktorów anglojęzycznej sceny. Otrzymał od króla tytuł szlachecki i był też teraz sławnym gwiazdorem filmowym.

- Jesteś bardzo milczący – odezwał się James. Nie spuszczał oczu z drogi.
- Myślałem właśnie o Hollywood, jak to wszystko się kręci. Podobało ci się tutaj, prawda?
- Tak, aktorzy byli cudowni. I nauczyłem się sporo o robieniu filmów. To wyjątkowe rzemiosło; nazwałbym je wręcz sztuką.
- Powiadasz więc, że powstają tu najlepsze filmy?
- Nie tylko najlepsze; lepsze niż najlepsze. W studiach spotyka się tyle talentu twórczego, sprawności, entuzjazmu i zdecydowania, jakiego nigdy nie widziałem. To wspaniałe.
- Nie zapominajmy też o pieniądzach, które zarobiłeś – zauważył Felix. – Te lata były naprawdę dobre dla twojego budżetu.

Po kilku minutach skręcili w Bel Air Road, gdzie James mieszkał z Dulcie i trójką dzieci. W holu przywitała ich Annie Farrell, asystentka i sekretarka Jamesa. Ten od razu zauważył, że jest zakłopotana.

– Co się stało? – spytał. – Coś złego?

– Nie, nic złego. Raczej... niespodziewanego. To niezapowiedziany gość.

James dostrzegł jej rumieniec i błysk w oku i pomyślał, że chyba wie, kto przyszedł. Ale powiedział:

– No to mów, na miłość boską, kim jest ten gość. Wyglądasz na bliską eksplozji.

– Pan Gable – odparła z zachwytem. – To znaczy Clark Gable.

– A jest jakiś inny pan Gable? – spytał żartobliwie Felix.

Annie potrząsnęła głową.

– No cóż, jest jego ojciec, Will Gable – stwierdził z uśmiechem James. – Powiedz mi, Annie, gdzie go schowałaś?

Felix roześmiał się rubasznie.

– Siedzi na tarasie i rozmawia z lady Dulcie. Mamie podała im mrożoną herbatę.

James skinął głową i ruszył w stronę tarasu.

– Lepiej pójde się z nim zobaczyć. Jak długo czeka?

– Kwadrans, nie dłużej – odparła Annie. – Powiedział, że z przyjemnością na pana poczeka.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

- Idź zobaczyć się z Clarkiem – powiedział Felix – a ja pójdę się zdrzemnąć na górze.
- Nie bądź śmieszny, będzie mu przykro, jeśli się z nim nie przywitasz – zawołał James. – Bardzo cię polubił, kiedy się poznaliście w zeszłym roku.
- Dobrze, ale tylko na parę minut. Wyraźnie chce z tobą porozmawiać o czymś ważnym.
- Tak, i jestem pewien, że chodzi o *Przeminęło z wiatrem*. Wiem, że ma niedługo zacząć zdjęcia, i to go niepokoi.
- Dlaczego? – spytał ze zdziwieniem Felix. – Kobiety z całego świata chcą, żeby zagrał Rhetta Butlera. Nikt inny się nie liczy, jest faworytem.
- Ale on tak nie uważa. Wie, że powinien go zagrać, żeby nie rozczarować publiczności, wielbicieli i nie przysporzyć kłopotów wytwórni. Ale sądzi, że nie sprosta niewyobrażalnie wielkim oczekiwaniom. Szczerze mówiąc, rozumiem, co czuje. Sam bym się denerwował taką rolą. Louis B. powiedział mi, że o ile się orientuje, pierwszy raz w historii kinematografii publiczność odegrała tak wielką rolę w wyborze obsady filmu. Nie zaakceptują nikogo poza nim.
- Widzą go oczywiście jako Rhetta Butlera... a on z pewnością posiada wszystkie jego atuty. Jest wysoki, ciemny i przystojny jak diabli. Sama męskość. A do tego ma jeszcze ten szelmowski błysk w oku, zuchwałość, która zachwyca kobiety.
- Niewątpliwie to dziś największa światowa gwiazda filmowa – przyznał Felix. – I przyciąga tłumy. Chodźmy go podnieść na duchu.
- Sądzę, że bardziej pomoże rozmowa motywująca. Trzeba mu wbić ostrogę – stwierdził James, idąc przez salonik na taras biegnący wzdłuż całej tylnej ściany domu, z widokiem na ogród i basen.



- Dulcie siedziała z Clarkiem; na widok Jamesa wstała i podbiegła do niego, cała rozpromieniona.
- Miała na sobie sukienkę w kolorze brzoskwini – jego ulubionym, a gdy tak płynęła ku niemu, James poczuł jak zawsze ucisk w piersi. W wieku osiemnastu lat, kiedy się poznali, była piękną dziewczyną. Teraz miała trzydzieści i była wspaniałą kobietą, światłem jego życia. Myślał o niej jako najjaśniejszej gwiazdce na niebie czy na musicalowej scenie w tym mieście. Jeśli chodziło o niego, przyćmiewała wszystkie aktorki na filmowym firmamencie, i po jedenastu latach małżeństwa kochał ją nade wszystko. Nie było drugiej takiej i na szczęście należała do niego.
- Dulcie stanęła na palcach i pocałowała go w policzek.
- Felix i ja za parę minut sobie pójdziemy. Clark naprawdę musi z tobą pogadać.
- Wiem – mruknął jej do ucha.
- A ja nie dostanę całusa, panienko? – spytał Felix.
- Dulcie roześmiała się i uściskała go.
- Za chwilę zostawimy ich samych, dobrze?
- Dobrze, dobrze – szepnął.
- Całą trójką podeszli do Clarka Gable. Ucisnął dłoń Feliksa i obdarzył niedźwiedzim uściskiem Jamesa.
- Wiem, że za często wpadam tu bez zapowiedzi – powiedział – ale twoja piękna żona

mówi, że nie masz nic przeciwko temu, Jamie.

– Skądże. Z pewnością napiłbyś się czegoś lepszego niż herbata. Szampana, wina, whisky?

– Dzięki, to mi wystarczy.

Dulcie uśmiechnęła się do Clarka.

– Muszę już iść. Mam parę rzeczy do zrobienia, ale wrócę, zanim wyjdiesz.

– Mam nadzieję – odparł Clark, zaciągając się papierosem.

– Ja też później wrócę – wtrącił Felix. – Muszę zadzwonić do Londynu, zanim zrobi się tam zbyt późno. – Felix i Dulcie przeszli przez taras i zniknęli w saloniku.



James i Clark byli tego samego wzrostu i budowy; stali tak ramię w ramię na tarasie, paląc papierosy i gapiąc się bez słowa na ogród, zatopieni w myślach.

– Naprawdę potrzebuję twojej pomocy – odezwał się nagle Clark. – Muszę z tobą jeszcze raz porozmawiać o mojej rozterce co do Rhetta Butlera.

– Usiądźmy i spróbujmy to poukładać – zaproponował James.

Usiedli naprzeciwko siebie i James zaczął:

– Wiem, że nie chciałeś grać głównej roli w *Przeminęło z wiatrem* i znam powód. Miliony kobiet powiedziały, że chcą, żebyś to ty grał Rhetta. Zgadza się? A ty się boisz, że je zawiedziesz.

– Trafiłeś w samo sedno. Uważam, że rozczaruję publiczność, i nie wymyśliłem dobrego sposobu, żeby go zagrać.

James milcząco przytaknął. Poznał dobrze Clarka; choć nie był intelektualistą, był bardzo inteligentny i oczytany. James wiedział, że Clark przeczytał wiele razy powieść Margaret Mitchell, zaintrygowany postacią Rhetta Butlera i tym, jak ją interpretować na ekranie. A teraz niespodziewanie zwała się na niego.

James zgasił papierosa, pochylił się i powiedział z naciskiem:

– Sądzę, że mam dla ciebie dobrą radę, Clark. Oto ona: Powinieneś stanąć przed kamerą i po prostu być sobą. Kobiety, które piszą do wytwórni, mówią, że chcą Clarka Gable'a. CIEBIE. Tak, chcą, żebyś TY grał Rhetta Butlera. Ale kim on właściwie jest, ten Rhett? Człowiekiem na papierze, w książce, a Margaret Mitchell opisała go tak, że przypomina ciebie. Mężczyzna w każdym calu, dynamiczny, pociągający seksualnie. A jednocześnie lubiący męskie towarzystwo. Przypomnij sobie ostatnie dwa lata. Jesteś czymś w rodzaju narodowego szaleństwa. Ty i mężczyźni podobni do ciebie. Publiczność cię wybrała i kocha cię bez zastrzeżeń. Jesteś ich bohaterem, Clark. Widziałem cię podczas publicznych występów i ludzie wpadają w euforię. Kochają ciebie, nie Rhetta Butlera. Idź i bądź...

James przerwał i zachichotał.

– Bądź Blackiem Nortonom z *San Francisco*, jeśli mogę tak to ująć. Pobiliś ich tym filmem, a wtedy grałeś samego siebie.

Clark osłupiał. Wpatrywał się w Jamesa nieco speszony. A potem odrzucił głowę do tyłu i ryknął śmiechem. Po chwili odezwał się z rozbawieniem w głosie:

– I to o to chodzi? To wszystko, co mam robić? Być sobą?

– Dokładnie tak.

– Powiedziałem Davidowi Selznickowi, że nie potrafię naśladować południowego akcentu. Zrobiłbym z siebie głupka.

– Zgoda. Bądź po prostu sobą. Powiedz Carole, co ci mówiłem, i niech się do tego

zabierze.

– Sądzę, że się z tobą zgodzi – odparł Clark. – Swoją drogą, uważam, że nagle rozwiązanie mojego problemu zasługuje na toast. Możemy wejść do barku i wypić drinka?

James zerwał się na nogi.

– Moim zdaniem taka okazja aż się prosi o szampana.



Weszli z tarasu do domu i skierowali się do „jaskini”. Był to pokój o wyraźnie męskim charakterze, urządzone w kolorach kremowym, koralowym i bordo. Stało tam duże biurko zarzucone scenariuszami, trochę rodzinnych fotografii, parę półek na książki i wiele pamiątek wskazujących, że jest to prywatna przystań Jamesa. Przy kominku stały fotele i sofa obite kremowym materiałem; na końcu pokoju znajdował się barek.

Gdy James i Dulcie wydawali przyjęcia, mężczyźni zawsze ciągnęli do baru.

– Masz ochotę na bąbelki czy coś mocniejszego? – spytał Clarka.

– Chyba wolę Jacka Danielsa.

– Dobry pomysł, ja też.

Clark podszedł do okna i wyjrzał do ogrodu.

– Cieszę się, że nie sprzedajesz domu, James. To znaczy, że wrócisz do Hollywood.

– Muszę wrócić, bo mam kontrakt z MGM. Znowu. – James uśmiechnął się wesoło.

– Wiem, ale MGM to największe i najlepsze studio w mieście. Dominuje w branży, i tu powinieneś być, razem ze mną. Swoją drogą ten dom tylko zyska na wartości ze względu na rozwój kinematografii. A Bel Air to doskonałe miejsce do życia. Bardzo spokojne.

James wręczył drinka Clarkowi. Trącili się szklaneczkami.

– Za twoją sprytną radę, James – powiedział Clark. – Rhetta Butlera granego jako ja.

– Pomyśl tylko, jaki odniosłeś sukces, grając w ten sposób w *San Francisco*. To był jeden z najbardziej kasowych filmów w historii i byłeś wspaniały... jako ty będący Blackiem Nortone.

– Dzięki, ale to Spence był w nim dominujący. Jest wielki; najlepszy.

– Dobrze się uzupełniacie z Tracym, stanowicie świetny zespół. Ale czemu obsadzono tam Jeanette MacDonald? Dziwny wybór.

Clark jęknął, a potem wyszczerzył zęby.

– Nie byłem nią zachwycony. Nieważne, Spence był świetny. Nie musiał nic mówić czy robić, wystarczało, że tylko tam był. Potrafi przekazać emocje samym wyrazem twarzy.

– Wiem, o co ci chodzi. – James usadowił się w fotelu, a Clark poszedł w jego ślady.

Postawił szklankę na stoliku, wyjął papierosa ze złotej papierośnicy i zapalił.

James obserwował go przez chwilę, myśląc, jakim niezwykłym człowiekiem jest Clark Gable. Wielbiły go kobiety z całego świata, a mężczyźni podziwiali. Wszyscy go szanowali i traktowali jak króla. I tak o nim mówiono: Król. Jego popularność przewyższała wszystko, co spotykało do tej pory gwiazdy filmowe, sportowców czy polityków. A mimo to James wiedział, że Clark jest nieśmiały i niepewny siebie. Był również praktyczny i życzliwy dla ludzi.

Pracownicy wytwórni go kochali; był profesjonalistą w każdym calu. Zawsze punktualny, znał na pamięć rolę i dawał z siebie wszystko. Nigdy nie okazywał zniecierpliwienia, chyba że aktorzy nagminnie się spóźniali lub mylili kwestie.

Clark zorientował się nagle, że James bacznie mu się przygląda.

– Gapisz się na mnie jak sroka w gnat, James. Hej, chłopie, o czym tak myślisz?

– Że jesteś jednym z najprzystwoitszych ludzi, jakich znam. Mamy w Anglii takie

powiedzenie, kiedy naprawdę kogoś podziwiamy: mówimy o nim, że jest jak kryształ. I ty taki jesteś, Clark. Jak kryształ. Tak się cieszę, że się spotkaliśmy i zostaliśmy przyjaciółmi.

– Dzięki za dobre słowo. – Clark niespodziewanie zachichotał, a gdy się opanował, dodał: – Myślę, że słowo „spotkali” nie odpowiada okolicznościom. Tyś po prostu potknął się o mnie.

– O Boże, tak! – roześmiał się James. – Nigdy nie zapomnę tego popołudnia w warsztacie Rory’ego Gallaghery w Santa Monica. Powiedziałem mu, że coś stuka w moim jaguarze, i byłem pod wrażeniem jego wiedzy o silnikach. Potem on zaprosił mnie na tyły warsztatu, bo chciał mi coś pokazać. A ja, niezdarą jedną, potknąłem się o dwie długie nogi w dżinsach i wyglansowanych butach kowbojskich, które wystawały spod samochodu, i padłem na twarz. Po czym nagle usłyszałem jeden z najsłynniejszych hollywoodzkich głosów wrzeszczący: „Co się tu, do diabła, dzieje?”. I sam Clark Gable pomógł mi wstać, martwiąc się rozcięciem na moim czole.

– Poznałem cię; wiedziałem, że jesteś w trakcie kręcenia filmu. Oczywiście, że się zmartwiłem; dlatego zaraz zawiozłem cię do mojego lekarza.

– Jeszcze raz dzięki za to. – James potrząsnął głową i dodał żartobliwie: – Wyobraź sobie moje zdumienie na widok Clarka Gable rozciągniętego pod samochodem.

– Mechanika to moje hobby. Wiesz, Jamie, jesteś jednym z nas, tych dobrych, bezpretensjonalnych facetów. Dotknąłeś tęczy, ale nie zaprzedałeś duszy. – Clark przerwał, łyknął whisky i zmienił temat: – Gdybym miał scenopis, czułbym się pewniej co do roli Rhetta.

– Rozumiem. Słyszałem, że jest kilkadziesiąt rozmaitych wersji scenopisu. To prawda?

– Może nie aż tyle, ale sporo. Mam wrażenie, że najlepszy jest pierwszy, który dwa lata temu napisał Sidney Howard. Ale Selznickowi nie podobał się żaden z nich, a ja ufam jego opinii. To dobry producent.

– Zdjęcia zaczynają się w przyszłym tygodniu, tak? I jeszcze nie ma scenopisu?

– Nic o tym nie wiem. Ale na szczęście nie pojawię się na planie przed trzydziestym pierwszym stycznia. W tej chwili opieram się na książce. Jak ci już mówiłem, chodzi mi głównie o to, by nie rozczarować publiczności.

– Posłuchaj, Clark, nie możesz zawieść. Powtarzam, dla widzów jesteś Rhettem Butlerem. Pomyśl o tym w ten sposób... kapitan Rhett Butler, w samym środku wojny secesyjnej. Odważny. Wygadany. Dżentelmen, czaruś, awanturnik, kochający z wzajemnością kobiety. Męski facet. Pomyśl o nim jako szulerze na statkach rzecznych – i masz go jak na dłoni.

– Obyś miał rację. I dzięki za cenne rady.

– Będzie dobrze, tylko spróbuj się rozluźnić.

– Postaram się. A szczerze mówiąc, nie mam wyjścia jako kontraktowy aktor MGM, którego wytwórnia może w każdej chwili wypożyczyć komuś innemu.

Po chwili dodał cicho:

– W pewnym sensie ja też wygrałem, bo L.B. i David O. pomogli mi w moich problemach małżeńskich. Zawarli umowę z Rią, by rozwód odbył się na przyjacielskiej stopie.

Uśmiechnął się i nachylił do Jamesa.

– Między nami mówiąc, zamierzam wkrótce ożenić się z Carole Lombard. Wiesz, kiedy poznałem Carole, po raz pierwszy w życiu się zakochałem. A ona zakochała się we mnie. Pobierzemy się, kiedy będę miał przerwę w zdjęciach. Może w marcu. Cichy ślub, tylko Carole, ja, dwoje świadków i sędzia. Szkoda, że was tu nie będzie, bo moglibyście z Dulcie być naszymi świadkami.

– Rzeczywiście szkoda, ale gratuluję – pasujecie do siebie. To zabawne, ale to jeszcze jeden powód, dla którego musimy wracać do Londynu tak szybko, jak to możliwe. Też mamy ślub do zaliczenia. – James wstał i poklepał Clarka po plecach.

– A czyj to ślub?
– Siostry Dulcie, Diedre; odkłada go do naszego powrotu.
– Nie rozumiem, czemu. – Clark posłał Jamesowi cierpki uśmiech. – Opuśćcie nie tylko mój ślub, ale i przyjęcie urodzinowe. Pierwszego lutego skończę trzydzieści osiem lat. – Podniósł się z krzesła. – Wypijmy strzemiennego, bo muszę się zmywać. Carole na mnie czeka. I pamiętaj, żadnych pożegnań.
– Wobec tego do zobaczenia.



– Jestem pewna, że pomogłeś Clarkowi – powiedziała Dulcie. – Wychodząc, wyglądał na dużo mniej zmartwionego.

– Powiedziałem mu, żeby był po prostu sobą, że tego chcą jego wielbiciel. Zwyczajnym, prostym Clarkiem Gable.

– Wcale taki nie jest. – Dulcie się uśmiechnęła, pochyliła ku niemu i dodała: – Będzie mi z różnych względów brakowało tego miejsca, ale nie wyobrażasz sobie, jaka to ulga, że wracamy do domu.

James objął ją i przytulił. Siedzieli po kolacji na tarasie. Zrobiło się chłodniej i słońce dawno zaszło, ale noc była piękna: na ciemnoniebieskim niebie jasno świeciły gwiazdy.

Wiedział dobrze, co ma na myśli Dulcie. Jemu też będzie brakowało wielu rzeczy z Beverly Hills. Ale to, co się działo w Europie, było ważniejsze niż cokolwiek innego. Adolf Hitler rozpoczął wojnę z sąsiednimi krajami, a wkrótce jego własny kraj zostanie w nią wciągnięty. Neville Chamberlain wciąż ustępował temu nikczemnikowi, a w końcu i tak jego starania pójdą na marne. Hitler ma swoje plany.

– Jesteś taki milczący – mruknęła Dulcie. Zadrżała. – Nie znoszę myśleć o śmierci, ale tylko o tym czytamy i słyszymy w wiadomościach. Sądysz, że grozi nam inwazja?

– Nie mam żadnych wątpliwości. I dlatego muszę wracać do Londynu. Muszę się zaciągnąć i spełnić swój obowiązek. Chwilami czuję się parszywie, kiedy tak siedzę w tym uroczym rajku i nie robię nic, by pomóc krajowi.

– Felix mówił, że jesteś za stary, by walczyć, a ja martwiłabym się, gdybyś poszedł na front – powiedziała po chwili Dulcie.

– Wiem, że by tak było, i Felix ma rację. Wątpię, czy mnie wezmą, ale muszę robić coś pożytecznego. Nie mogę siedzieć tutaj, kręcąc filmy, kiedy wszyscy coś robią dla ojczyzny.

– Jasne, i sądzę, że nasze rodziny poczują się lepiej, kiedy wrócimy. Pewnie wielu ludzi powiedziałoby, że dzieci będą bezpieczniejsze w Kalifornii, ale ufam, że w Anglii też będziemy się czuli całkiem bezpieczni.

– Tęsknisz za siostrami, Charlotte i ojcem, tak jak ja tęsknię za moją kochaną Ruby i całą resztą. Wyjedźmy stąd jak najszybciej. A jeśli po wojnie nie zdecydujemy się na powrót, z łatwością sprzedamy ten dom. To nie problem.

– A Diedre parę dni temu mówiła, że wszystkie dzieci powinny się znaleźć w Cavendon. Lepiej im będzie na wsi niż w Londynie. Jej Robin tam jest.

– Twój ojciec będzie uszczęśliwiony. – James pocałował żonę. – Czuję się trochę jak tchórz, mieszkając w Kalifornii.

– Jesteś od stóp do głów Anglikiem, Jamesie Brentwood, i twoje miejsce jest w kraju, gdzie się wkrótce znajdziesz, więc nie wmawiaj sobie, że jesteś tchórzem.

– Masz rację, za bardzo się martwię. Ale musiałem stawić czoła Louisowi B., a to nie było łatwe. Przez chwilę myślałem, że zmusi mnie do pozostania do końca kontraktu.

– Ja też, ale potem zaufałam Feliksowi i pomodliłam się.
– Zauważyłem walizki – powiedział ze śmiechem James. – Jest ich niewiarygodna masa. Ależ mnóstwo rzeczy nagromadziliśmy.
– W rzeczywistości zostawiam sporo dziecięcych zabawek, rzeczy, z których wyrosły, i tych, które robią się za małe. Ale owszem, nakupowaliśmy mnóstwo rzeczy. Zapakowałam do skrzyń nasze ulubione książki – pojedą frachtem. Nie będzie dużo więcej walizek. Skończyłam już pakowanie.
– Dobrze ci się tu mieszkało? – spytał niespodziewanie.
Po chwili zastanowienia odparła z uśmiechem:
– Kiedy już przywykłam do kobiet gapiących się na ciebie, mężczyźni gapiących się na mnie i producentów, proponujących mi zdjęcia próbne? Tak, w końcu tak. I przez większość czasu było miło. Ale cieszę się, że jedziemy do domu.
– Ja też. – Pocałował ją w policzek, potem w szyję i nagle zapłonęli namiętnością. Wstał i podał jej rękę. – Chodźmy na górę, dobrze, kochanie? Chcę być blisko ciebie. Bardzo blisko.
– Ja też – odparła.



James leżał w ciemności, wpatrywał się w sufit i rozmyślał. Dulcie zasnęła po tym, jak się kochali. Spojrzał na nią i uśmiechnął się. To cudowna żona, dobra matka i świetny kumpel.

Wiedział, jak czasem zżerała ją nostalgia; tęskniła za rodzeństwem, ojcem i Charlotte. I oczywiście za Cavendon. Ale na zewnątrz nie było tego widać. Zdawał sobie sprawę, że podobało jej się w Hollywood, ale teraz coraz bardziej ciągnęło ją do domu, zwłaszcza że nad Anglią zawisła groźba wojny.

Rodzina, pomyślał. Najważniejsza rzecz w życiu. Ruby powiedziała mu przed laty, że rodzina zawsze musi być na pierwszym miejscu. Należy chronić jej jedność. A teraz miał własną rodzinę: Dulcie i trójkę dzieci.

Ale byli też Ruby i jego pozostałe rodzeństwo, ich małżonkowie, dzieci i wnuki. No i jeszcze Inghamowie i Swannowie. Chciał, nie, musiał być znów razem z nimi. I o to w tym wszystkim chodziło. Był taki jak oni, mieli te same wartości i zasady.

Tu, w Hollywood, brytyjscy aktorzy myśleli tak samo; wszyscy planowali powrót do domu. Ale nie wszyscy Amerykanie rozumieli to okropne zagrożenie lub nie wierzyli, że to może być wojna światowa. Zawsze byli izolacjonistami. Uważali, że wojna zatrzyma się na Europie. Ale może stać się inaczej. Na szczęście prezydent Roosevelt popierał stanowisko Churchilla. Stany zaczęły wysyłać do Wielkiej Brytanii broń i żywność, ale zupełnie inną kwestią było, czy przyłączy się do walki.

Jednym z niewielu, którzy w pełni rozumieli problem, był Clark Gable. Powiedział nawet, że wstąpi do wojska, jeśli Ameryka przyłączy się do konfliktu, a James wiedział, że mówi to serio.

Nagle pomyślał o Bow Common Lane, East Endzie i dokach, w których pracowali jego ojciec i brat, o Old Vic i innych teatrach, w których występował, o Rules i Klubie Garricka. Ale tym, co liczyło się najbardziej, była rodzina. Tęsknili za nią i on, i Dulcie. Nie mogli się doczekać powrotu do domu... do miejsca, do którego należeli.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Cecily i Dorothy Pinkerton siedziały w biurze w Burlington Arcade. Wciąż było to ulubione miejsce Cecily; wykonywała tu większość pracy i projektowała w przylegającej do niego pracowni. Poza tym Dorothy była na każde zawołanie.

Dorothy wiedziała, że w ten mroźny lutowy poranek 1939 roku Cecily jest zdenerwowana, zastanawiała się, jak ją pocieszyć, kiedy Cecily wymamrotała:

– Tak mi przykro, Dot, naprawdę.

– Już dobrze, Ceci. – Usiadła przy niej na sofie i objęła ją. – Przestań obwiniać siebie. Nie zrobiłaś nic złego. Nawet lekarze nie wiedzą, czemu kobieta może poronić w drugim miesiącu.

Cecily przełknęła łzy, wytarła oczy i oparła się na ramieniu Dorothy.

– W porządku. Jestem zdrowa. Mój lekarz mówi, że zajdę jeszcze w ciążę. Chodzi o to, że i ja, i Miles jesteśmy strasznie rozczarowani. Od dawna chcieliśmy mieć jeszcze jedno dziecko.

– No tak. Z drugiej strony, jestem pewna, że doktor Denton powiedział ci prawdę.

– Troszkę się boję, Dotty, ze względu na mój wiek. W tym roku skończę trzydzieści osiem lat. Wkrótce będę za stara na dziecko.

Dorothy uniosła jej podbródek i spojrzała w oczy.

– Nie jesteś za stara. I nie zapominaj, że nie jesteś bezdzietna. Macie z Milesem troje pięknych, zdrowych dzieci. Więc spójrzmy na to z jaśniejszej strony.

Starsza pani powiedziała to tak poważnym tonem, że Cecily poczuła się głupio.

– Tak – zgodziła się. – Wiem, że mamy za co być wdzięczni, ja i Miles. A one tak szybko dorastają. David tego lata skończy dziesięć lat. Jak ten czas leci.

Wzięła się w garść, zirytowana, że tak się nad sobą użalała. Wstała z sofy i usiadła przy biurku. Spojrzała na zegar.

– O rany! Za parę minut muszę lecieć. Dulcie zaprosiła mnie na lunch. Możemy szybko omówić parę rzeczy, ciociu Dottie?

Dorothy usiadła po drugiej stronie biurka, zadowolona, że Cecily otrząsnęła się ze smutku. Wyciągnęła notes.

– Jedna pilna sprawa: Joe Hardy z Leeds chce wiedzieć, kiedy otrzyma dostawę bawełny na białe broszki w kształcie róży. Zaczyna mu brakować materiału.

– Sprawdź to u producenta w Manchesterze. Jeśli nie ma bawełny, będziemy musieli przejść na jedwab, ale przez to broszki będą droższe.

– Wiem, więc natychmiast skontaktuję się z tkalnią. À propos, przez weekend przejrzałam wyniki sprzedaży za ostatni miesiąc. Najlepiej sprzedają się dodatki i perfumy. Obawiam się, że gorzej jest z ubraniami.

– Chodzi ci o couture?

– Nie, o gotowe ubrania. Sprzedaż jest naprawdę słaba. Ludzie nie wydają pieniędzy. Boją się wojny; wiedzą, że nadchodzi, i nie mają pojęcia, czego się spodziewać. Oszczędzają.

– Zgadza się. Wszyscy są ostrożni. – Cecily zachmurzyła się. Wiedziała, że czasy się zmieniają. – To może też być zimowa apatia – pogoda jest okropna. Spróbuję dokonać poprawek letniej kolekcji i wypuścić ją wcześniej. Kobiety zwykle kupują parę nowych rzeczy na lato. Zabiorę się do projektów w ten weekend.

– Chyba nie, Ceci. Przecież mamy ślub.

– Co się ze mną dzieje? Zapomniałam o tym. Nieważne, zabiorę się do letniej kolekcji

w przyszłym tygodniu. – W rozmowę wdarł się dzwonek telefonu. – Halo? Jak się masz, Daphne? – Cecily słuchała przez chwilę. Wyglądała na zaniepokojoną.

Dorothy zrozumiała, że stało się coś złego, ale siedziała cicho.

– To kiedy złamała nogę? – Mówiąc to, spojrzała na Dorothy i skrzywiła się. Wysłuchała odpowiedzi i odezwała się znowu: – Tak, rozumiem. Powiedz, co jeszcze mogę zrobić, i nie przejmuj się. Wszystko będzie dobrze. Cześć, kochanie.

Odłożyła słuchawkę i westchnęła.

– Charlotte dziś rano potknęła się i upadła; na szczęście stało się to w bibliotece, gdzie leżą dywany. Biedaczka złamała lewą nogę, poza tym nic jej nie jest. Ale, psiarew, ona ma już siedemdziesiąt lat. Hrabia zawiózł ją do szpitala w Harrogate, a Daphne przejęła na następne parę dni prowadzenie domu. Jest mnóstwo dodatkowej pracy w związku ze ślubem Diedre w ten weekend. – Potarła czoło i sięgnęła po słuchawkę. – Chciała, żebym zawiadomiła Milesa i Hugona, bo ona nie mogła. Nie wiem, gdzie jest Hugo, ale Miles poszedł na przegląd do okulisty.



Cecily miała na sobie granatowy wełniany płaszcz i dobrany do niego kaszmirowy szal, którym dobrze się owinęła, wychodząc na tę mroźną pogodę. W połowie drogi z Burlington Arcade przypomniała sobie, że nie porozmawiała z Milesem, ale nie zawróciła. Dzielił biuro z Hugonem i do tej pory któryś z nich z pewnością dowiedział się o wypadku Charlotte.

Dzień był ponury, ciężkie chmury wisiały nisko nad ziemią. Cecily czuła przejmujący ziąb, spiesząc przez Piccadilly do Ritza.

Ciepły hotelowy hol był miłą odmianą po lodowatym wietrze; zdjęła płaszcz i odwiedziwszy damską toaletę, weszła do uroczej sali z widokiem na Green Park.

Trzy z czterech sióstr już na nią czekały. Dulcie pomachała jej ręką, a Cecily z uśmiechem odwzajemniła gest. Cała rodzina była zachwycona, że Dulcie, James i trójka ich dzieci, Rosalind, Juliet i Henry, są z powrotem w domu. Brakowało im zwłaszcza radości życia najmłodszej D, szczególnie cennej w tych mrocznych czasach.

Cecily przywitała się ze wszystkimi, usiadła obok Diedre i powiedziała im o wypadku Charlotte. Wszystkie zmartwiły się tym i obiecały, że pomogą, choć wiedziały, że Daphne zarządza Cavendon jak admirał Nelson flotą brytyjską. Motto Daphne brzmiało: „Chcę, żeby za dziesięć minut wszystko lśniło”. Często się z tego nabijały i znów będą to robić.

– Skoro już jesteś, Ceci, możemy wnieść toast za Diedre. – Mówiąc to, Dulcie skinęła na kelnera, a ten napełnił ich kieliszki różowym szampanem.

– Twoje zdrowie, kochana Diedre – powiedziała Dulcie, unosząc kieliszek. – Życzymy ci mnóstwo szczęścia i radości z Williamem, który idealnie do ciebie pasuje. I długiego wspólnego życia.

Trąciły się kieliszkami. Diedre, zaróżowiona ze szczęścia, upiła łyk i podziękowała im za prezenty, które przysłały jej w zeszłym tygodniu – głównie jedwabne koszule nocne i bieliznę.

– Już się nie mogę doczekać, kiedy je włożę – powiedziała.

– Och, ale tylko na parę minut – zawołała Dulcie. – Potem będą musiały opaść. – Mrugnęła do Diedre, która poczuła, że się rumieni ze wstydu.

Reszta roześmiała się, a DeLacy zwróciła się do Dulcie:

– Czy William rzeczywiście jest sobowtórem Clarka Gable’a? Ty powinnaś najlepiej wiedzieć.

– Są istotnie w tym samym typie. Mają powyżej sześciu stóp wzrostu, dobrze zbudowani,

ale szczupli. Różnica polega na tym, że Clark ma jasnoszare, prawie przezroczyste oczy, a William brązowe. Poza tym Clark ma dołek w brodzie i kiedy się śmieje, robią mu się dołeczki na policzkach. Powiem wam, że takie dołeczki widywałam wyłącznie u małych pulchnych dzieci – dokończyła ze śmiechem.

– Taki z niego dzidzius, co? – powiedziała Cecily. – Clark Gable czy nie, uważam, że William to najwspanialsza rzecz na męskich nogach. Oczywiście poza Milesem.

Rozległo się jeszcze więcej śmiechu i żartów, a Diedre nie przeszkadzały ich kpiny, wręcz się z nich cieszyła. Nie mogła uwierzyć, że po latach wdowieństwa ma przed sobą perspektywę szczęścia.



Po lunchu Diedre pojechała do ministerstwa, Dulcie i DeLacy wróciły do galerii przy Mount Street, a Cecily do sklepu. W progu przywitała ją Dorothy:

– O rany, przed chwilą dzwoniła lady Gwendolyn – już drugi raz.

– Mówiła, czemu dzwoni? – spytała, zdejmując płaszcz i szal.

– Nie, ale głos miała całkiem normalny. Mam nadzieję, że jeśli dożyję jej wieku, będę podobna do niej. Jest zadziwiająca.

– Pójdę na górę i zaraz do niej zadzwonię. Coś jeszcze?

– Miles powiedział, że dowiedział się o wypadku Charlotte od Hugona, zjedli razem lunch, a potem Miles miał obejrzeć jakiś traktor, i że zobaczycie się wieczorem w domu.

Cecily skinęła głową, przekazała Dorothy parę ploteczek z lunchu i pobiegła na górę. Usiadła i wybrała numer lady Gwendolyn.

Ku jej zdziwieniu telefon odebrała jej matka.

– Mamo, co tam robisz? Wszystko w porządku?

– Oczywiście, że tak – odparła Alice Swann. – Charlotte obiecała przyjść i obejrzeć rozmaite suknie, które lady Gwendolyn wyciągnęła z szafy. Na ślub. Hrabia robi mnóstwo hałasu o złamaną nogę Charlotte, więc przyszedłam tu zamiast niej.

– Och, bardzo się cieszę. Jestem pewna, że najlepszy będzie purpurowy jedwab.

– Zdecydowałyśmy się właśnie na niego. Oddam teraz słuchawkę lady Gwendolyn i muszę bieć, bo już się spóźniłam na spotkanie Instytutu. Do jutra, kochanie.

– Czy jest coś, co chciałaś ze mną omówić, ciociu Gwen? – spytała Cecily, gdy tylko przywitała się z leciwą damą. – W sprawie sukni?

– Nie, nie chodzi o suknie, Cecily. Chciałam porozmawiać z tobą i z Charlotte o moim testamentie. Ale Charles nie pozwolił Charlotte przyjść dziś do mnie ze względu na jej nogę. A ja chcę umówić się z moim adwokatem i mam nadzieję, że obie wyberzecie się ze mną. No, może Charlotte nie.

– Pojadę z tobą. W przyszłym tygodniu?

– Ojej, czemu nie wcześniej? – W głosie lady Gwendolyn brzmiało rozczarowanie.

– Z powodu ślubu. To przecież nie jest aż tak pilne?

– W moim wieku jest. Mogę umrzeć we śnie. Albo przy stole.

– Och, nie zrobisz tego, ciociu Gwen! Nie chcesz opuścić swojego przyjęcia urodzinowego... kiedy skończysz sto lat. Mówiłaś mi, że zaplanowałaś wszystko szczegółowo.

Lady Gwendolyn roześmiała się i ciągnęła z werwą:

– Dziś napiszę kodycył, a kiedy tylko przyjedziesz, wpadnij do mnie. Podpiszę go, a świadkami będziecie ty i pani Alice. Na wypadek, gdybym zeszła, zanim zobaczę się z adwokatem.

Cecily wyczuła jej żartobliwy ton i zachichotała.

– Nie sądzę, żebyś tak sobie odeszła. I sądzę, że kodycył będzie miał moc prawną, ale sprawdzę to jeszcze u Milesa.

– Bardzo ci dziękuję, Ceci. Szanuję twoją opinię, ponieważ jesteś prawdziwą kobietą interesu w rodzinie. – Przerwała. – Zamierzam zostawić mój dom Diedre, ponieważ powinien zostać w rodzinie. Zapisałam go Hugonowi, ale on powiedział mi niedawno, że naprawdę go nie potrzebuje. Ale dom należy do majątku. Poza tym chcę zostawić trochę biżuterii i parę precjozów... – przerwała i powiedziała ciszej: – Margaret, bo to moja córka. Chcę, żeby pamiętała o mnie i o tym, że ją kochałam przez wszystkie te lata. Powiedziała, że nie chce nic ode mnie. – Głos jej się łamał. – Tylko mnie poznać.

– Oczywiście, że powinnaś tak zrobić, ciociu Gwen. Postaram się zobaczyć z tobą jutro. Może uda nam się wpaść do Little Skell Manor po podwieczorku.

– To doprawdy świetny pomysł. Dziękuję, Cecily. Pójdę teraz napisać ten kodycył.

Pożegnały się, Cecily odłożyła słuchawkę i poczuła wielki podziw dla lady Gwendolyn. Cóż to za wspaniała kobieta, przykład dla nich wszystkich. Wciąż była w pełni władz umysłowych i jak dotąd stosunkowo zdrowa fizycznie. Odnalezienie dawno utraconej córki było cudem; Cecily zdawała sobie sprawę, że dało jej to, przynajmniej na jakiś czas, motywację do dalszego życia.

Ze wzruszeniem obserwowała, jak rozwijają się ich relacje. Margaret przywiązała się do lady Gwendolyn i regularnie ją odwiedzała. Zazwyczaj towarzyszyła jej Charlotte, by służba nie nabrała jakichkolwiek podejrzeń. Ale pierwsze wrażenia Charlotte i Cecily okazały się trafne.

Cecily polubiła Margaret od pierwszego wejrzenia, uznała, że to miła i porządna kobieta, i tak też było. A osobą, która odniosła największą korzyść, była stara dama, która wreszcie odzyskała spokój ducha.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Miles Ingham pomyślał, że Diedre nigdy nie wyglądała tak pięknie jak tego wieczoru. Miała na sobie elegancką czerwoną jedwabną suknię, a naszyjnik z kamei, należący niegdyś do siostry Napoleona, Pauliny, idealnie do niej pasował.

Zebrali się wszyscy w żółtym salonie, by wznieść szampanem toast na cześć Diedre i Williama. Był piątek, wigilia ślubu. Diedre i William stali przy kominku, rozmawiając z Harrym i Palomą, która była w piątym miesiącu ciąży. Świetnie do siebie pasowali i byli szczęśliwi – podobnie jak Swannowie, i Miles był zachwycony, że się tak dobrali. Jego stary druh nigdy lepiej nie wyglądał.

Cecily stała tuż przed Milesem; przysunął się do niej i objął ją w talii. Uśmiechnęła się do niego, a on pocałował ją w policzek.

– Dobra robota, kochanie, Diedre wygląda cudownie, ty też. – Przycisnął ją mocniej i szepnął: – Wszystko będzie dobrze, obiecuję.

Cecily przytaknęła i przytuliła się do niego; pragnęła być jak najbliżej. Wcześniej czuła zmęczenie i była trochę przybita poronieniem, ale starała się nadrabiać miną. Wiedziała, że Miles wierzy, iż w końcu będą mieli następne dziecko; powiedział, że czuje to w kościach. Niech się dzieje wola boska, pomyślała i uśmiechnęła się.

Miles dostrzegł jej podkrążone oczy i przypomniał sobie tę okropną noc sprzed wielu lat, kiedy to przyszedł do jej małego sklepu przy South Audley Street. Wiedział, że jej nie zastanie, jednak poszedł tam, by poczuć się blisko niej.

Tabliczka na drzwiach głosiła: „SKLEP DO WYNAJĘCIA”, i wpadł w panikę, zastanawiając się, co się stało. Zdał sobie sprawę, że będzie się o nią martwił i będzie ją kochał do końca życia. Wiedział, że klamka zapadła, że nie ma wyjścia.

Dopiero niedawno uświadomił sobie, że stało się to dużo wcześniej, kiedy Cecily miała trzynaście, a on piętnaście lat. Uzmysłowali sobie, że się kochają i że nie są już przyjaciółmi z dzieciństwa.

Nastąpiły potem lata cierpień po jego katastrofalnym małżeństwie z Clarissą; uprzytomnił sobie, że musi się od niej uwolnić, żeby być wreszcie z Cecily, naprawdę i na zawsze.

Myśl o szczęśliwym życiu z nią i trójką ich dzieci napełniła go radością, pomagając przycichnąć troskom nękającym go ostatnio. Cavendon, zarządzanie majątkiem, nadchodząca wojna i wszystko, co się z nią wiąże. Perspektywa ponurej przyszłości. Nie będę dziś myślał o przyszłości, postanowił. Chcę, żeby to był szczęśliwy weekend dla nas wszystkich, a zwłaszcza dla Diedre. Prawdopodobnie długo nie będzie podobnej okazji.

Spojrzał znów na Diedre. Był z niej dumny. Tak dobrze sobie radziła, przez wiele lat znosząc ból po niespodziewanej śmierci Paula.

Uśmiechnął się do siebie na myśl, jak obstawała przy swojej niezależności, potrzebie kontrolowania własnego życia. Nalegała, że zapłaci za dzisiejsze przyjęcie, co zirytowało ich ojca. Ale w końcu pozwoliła mu pokryć rachunek.

Rozejrzał się po pokoju i zauważył, że wszyscy już są. Oprócz Inghamów i czwórki Swannów dostrzegł Edwarda Glendenniga, ojca Palomy, i jej matkę, Adriannę Bellamy, Jollionów z Noelem, brata Williama Ambrose'a z żoną Veronicą. Przyszli też Mark Stanton, uważany za członka rodziny, i Tony Jenkins – przyjaciel Diedre z Berlina z drugim jej znajomym, Alexandrem Dubé. Był zachwycony, że na liście gości Diedre znaleźli się Felix

i Constance Lambertowie.

– Niezły tu tłok – mruknął do Cecily. – I tyle wyszło z pomysłu Diedre na naprawdę skromny ślub.

– Lista wciąż się wydłuża... – powiedziała ze śmiechem Cecily. – Ale spójrz tylko na ciotkę Gwen; wygląda naprawdę majestatycznie w tej królewskiej purpurze. I jest w świetnej formie. Kiedy się z nią wczoraj widziałam, tryskała energią.

– Założę się, że dożyje setnych urodzin. – Miles kiwnął głową.

– Z całą pewnością, nie wątpię w to.

Chwilę później podeszli do nich Constance, Felix i Dulcie, która stwierdziła:

– James znalazł przyjaciela. On i Edward Glendenning dogadali się natychmiast, a Alicia stoi z otwartą buzią i wsłuchuje się w każde ich słowo. Nie może uwierzyć, że jest w towarzystwie dwóch wielkich aktorów.

– Nie wiedziałam, że w tej rodzinie jest tyle dzieci – odezwała się Constance. – Już naliczyłam dziesięcioro.

– Brakuje kilkorga – zauważył Miles. – Tatuś ma dwanaścioro wnucząt, a jest tu dziś jeszcze dwoje, bratanica i bratanek Williama.

– Potencjalna armia... – zaczęła Cecily i nagle przerwała, widząc wyraz twarzy Milesa. Charlie i bliźniacy mogą zostać powołani do wojska, gdy zacznie się wojna.

Niezręcznie ciszę przerwał Felix:

– Tak się cieszę, że zaprosiliście Aleksa Dubé. Z pewnością zrobi z Annabel gwiazdę. A ta dziewczyna jest geniuszem fortepianu.

Po chwili dołączyła do nich Diedre z Williamem i Cecily ulżyło, gdy rozmowa zeszła na inne tematy.

Niedługo potem Hanson oznajmił, że podano do stołu, i wszyscy powoli przeszli do niebieskiego salonu, który został przekształcony w salę balową. Były tam dwa stoły dla dorosłych i dwa dla dzieci, błyszczące srebra i kryształ, a Charlotte jeszcze raz wyczarowała dekoracje kwiatowe. Na kominku buzował ogień, a w kącie przy oknie cicho grało trio.

– Uroczko – mruknęła do Dulcie Constance. – To będzie cudowny wieczór dla Diedre i Williama.



Po śniadaniu siostry i Cecily zapędziły Diedre do jej sypialni, by dopełnić starej tradycji, dając pannie młodej cztery przedmioty na szczęście: Coś starego, coś nowego, coś pożyczonego i coś niebieskiego.

– Tu masz coś starego. – Cecily podała Diedre pudełeczko. W środku była koronkowa chusteczka z przypiętą małą złotą agrafką. – Przypniemy ją od środka do paska – wyjaśniła. – Nikt jej nie zobaczy, i nie jest gruba.

– Dzięki, Ceci – powiedziała Diedre i wzięła pudełko od Dulcie. Podniosła wieczko i zawołała: – O rany! Wspaniałe pończochy!

– Kupiłam je w Beverly Hills. Czysty jedwab, idealne dla panny młodej. To masz już coś starego od Ceci i coś nowego ode mnie.

– A teraz coś pożyczonego – oznajmiła Daphne, wręczając jej pudełko obite aksamitem. – Będziesz to dziś nosić.

Diedre otworzyła pudełko i osłupiała.

– Kolczyki z rubinów i brylantów! Bardzo widowiskowe. To twoje, Daphne?

– Nie, nasze. Tatuś zabrał mnie wczoraj do skarbcza, żeby znaleźć coś, co mogłabyś nosić

na ślubie, a kiedy je zobaczyłam, wiedziałam, że będą idealne. Ale jutro muszą wrócić na miejsce.

Roześmiały się, wspominając klejnoty utracone wiele lat temu. DeLacy podała Diedre jedwabny woreczek.

– I wreszcie coś niebieskiego.

Diedre wyjęła z sakiewki niebieską jedwabną podwiązkę obrzeżoną koronką.

– Coś niebieskiego do noszenia nad kolaniem – powiedziała z uśmiechem DeLacy. – I nie musisz mi jej oddawać, tak jak rubinów. Jest twoja na zawsze.

– Będzie cenną pamiątką.

Diedre ułożyła prezenty na łóżku.

– Dziękuję wam. I za to, że byliście takie miłe dla Williama. Myślę, że zakochał się w was wszystkich.

– Ale to ty jesteś jego prawdziwą, jedyną miłością – odparła Dulcie i uściskała siostrę.

Reszta uczyniła to samo i ruszyły ku drzwiom.

Przez chwilę panowała cisza, aż nagle Diedre stwierdziła:

– Nie mogę uwierzyć, że wychodzę dziś za mąż. Nie sądziłam, że znów się zakocham.

– Ale to zrobiłaś, co dowodzi, że nigdy nic nie wiadomo. Życie jest pełne niespodzianek – zauważyła DeLacy.

– Oczywiście nie wszystkie niespodzianki są tak miłe jak ta.

– Święta prawda – potwierdziła Daphne. – A teraz damy ci na chwilę spokój.



Cecily wróciła o pierwszej, by pomóc Diedre zrobić makijaż i ułożyć włosy, a potem ubrać się w ślubny strój.

Ponieważ był to jej drugi ślub i odbywał się zimą, Diedre zdecydowała się na kostium z długą spódnicą zamiast sukni, a Cecily poparła ten pomysł. Wspólnie odrzuciły biały, kremowy i niebieski i zostały przy ciemnoróżowym, w którym było jej bardzo do twarzy.

Był uszyty z miękkiej wełny i świetnie leżał. Długa, wąska spódnica rozszerzała się nieco poniżej kolan i sięgała do kostek, a krótki żakiet sięgał talii. Miał okrągły kołnierzyk, długie wąskie rękawy i zapinał się z przodu na guziczki.

Stojąc przed lustrem, Diedre uśmiechnęła się i odwróciła do Cecily.

– Uwielbiam ten kostium! Dziękuję, Ceci. Jest bardzo elegancki, a kolor jest cudowny. Rzadko ubieram się na różowo, ale to będzie mój ulubiony.

– Pasuje ci, Diedre, tak samo jak czerwona suknia; to jeszcze jeden dobry kolor. Sama załóż welon, ale nie może być na bakier.

Diedre wykonała polecenie i skinęła głową, zadowolona z efektu, po czym założyła kolczyki. Z biżuterii miała tylko pierścionek zaręczynowy od Williama i własny zegarek z brylancikami. Nie znosiła niepewności co do godziny. To niewątpliwie kwestia szkolenia, pomyślała.

– Jak wyglądam, Ceci?

– Jak milion dolarów, jak powiada Dulcie.

Po chwili do pokoju wbiegła Dulcie, wołając:

– Przyszłam, żebyś mnie sprawdziła, Cecily. O mój Boże! Diedre, wyglądasz jak milion dolarów!

Cecily i Diedre wymieniły rozbawione spojrzenia.

– No to chodź, Dulcie, chcę zerknąć na tył twojej sukni.

Dulcie podeszła, obejrzała się w lustrze, poprawiła loczek i obróciła się ku Cecyli.

– Zdałam egzamin?

– Jak najbardziej. – Cecyli skinęła głową i wyprostowała się z dumą.

Zaprojektowała dla Dulcie długą, wciętą w tali suknię w kolorze bladego różu. Sięgała do kostek, miała długie rękawy; była prosta, ale elegancka. Dulcie nosiła tylko kolczyki z perłami, pierścionek zaręczynowy i obrączkę. By starościna nie była zbyt podobna do panny młodej, Cecyli zrobiła dla niej blad różową opaskę na głowę.

– Obie świetnie wyglądacie – oświadczyła i włożyła żakiet. Też była w kostiumie z długą spódnicą, z szarosrebrnej wełny. Lubiła ten krój, który właśnie stworzyła. Długie spódnice były stylowe i eleganckie, a poza tym ciepłe – w sam raz na zimę.

– Pójdziemy? – Dulcie nie mogła ukryć podniecenia. – Tatuś czeka w bibliotece.



Hrabia stał przy kominku, ubrany w żakiet z pączkiem białej róży w klapie. W wieku siedemdziesięciu lat był wciąż przystojny, a dziś wyglądał zdrowo, co ucieszyło dziewczęta. Pocałował Diedre i Dulcie i stwierdził:

– Ależ ze mnie szczęściarz, że mam takie dwie śliczne córki.

– Masz jeszcze parę innych. – Dulcie się roześmiała.

– Święta prawda, a do tego Ceci, która została moją piątą córką. – Przesunął po nich wzrokiem i mówił dalej: – I sprawiła, że ślicznie dziś wyglądacie. Muszę przyznać, że bardzo wam do twarzy w odcieniach różu. To miła odmiana po tylu latach widywania was obu w błękitach.

– Ciocia Gwendolyn nie będzie mogła z nas kpić, że nosimy ubrania pod kolor oczu – zachichotała Dulcie.

– Musimy już iść – powiedział z uśmiechem Charles. – Jesteśmy troszkę spóźnieni.

– Pobiegnę przodem, tatusiu – zawołała Dulcie. – Spotkamy się w kościele.

Charles i Diedre ruszyli za nią przez dziedziniec stajenny.

– Bardzo jestem rad z tego związku, Diedre. – Poklepał ją po ręce. – Polubiłem Williama od pierwszego wejrzenia i wiedziałem, że jest tobą zainteresowany jako kobietą, a nie tylko jako koleżanką. I cieszę się, że postanowiłem wtrącić swoje trzy grosze... – Nie dokończył zdania i znów poklepał ją po ręce.

– Ta interwencja okazała się bardzo skuteczna, tatusiu. I dziękuję, że pogadałeś z Robinem. Od razu polubił Williama, ale tyś go uspokoił i upewnił, że może mu ufać.

– To dobry chłopiec, inteligentny i rozsądny, może trochę zbyt poważny jak na swój wiek. Dziś będzie się cieszył razem z tobą.

W milczeniu dotarli do kościółka. W przedsionku powitali ich czterej drużbowie, eleganccy w żakietach z pączkami białych róż w butonierkach.

Robin stał na przedzie; ucałował matkę i powiedział z uśmiechem:

– Jesteś piękną panną młodą, mamusiu.

Charlie i jego bracia bliźniacy, Thomas i Andrew, uśmiechali się od ucha do ucha, powtarzając komplementy Robina.

Wprowadzili ich do kościoła, gdzie przy stoliku z bukietami ślubnymi czekała Dulcie. Na życzenie Diedre pełniła rolę starościny.

Wręczyła pannie młodej jej bukiet złożony z ciemnoróżowych róż i goździków; bukiet Dulcie ozdabiały blad różowe pączki różane w kolorze jej sukni.

Charles poprowadził córkę do nawy. Przystanęli tam. Diedre poczuła znajomy zapach

starego kościółka i wilgoć kamiennych murów, ale nie czuć było stęchlizny, prawdopodobnie dlatego, że Harry udekorował całe wnętrze pięknymi kwiatami. Był mroźny zimowy dzień, więc wszędzie rozstawiono grzejniki, i było ciepło.

Diedre cieszyła się, że dzień jest słoneczny. Światło wpadało przez wysokie okna witrażowe, zapełniając kościół tęczowymi odbłaskami. Przez chwilę patrzyła na okna, na których byli przedstawieni jej przodkowie w zbrojach, wszyscy, co do jednego, wojownicy.

Kościół zbudowano równocześnie z Cavendon Hall, i pierwsi Inghamowie tu uczestniczyli w ceremoniach religijnych, tak jak i ona w dzieciństwie. Całe pokolenia, pomyślała.

Cieszyła się, że ma skromny ślub, który może się odbyć tutaj. Kościółek był o wiele bardziej kameralny i ważniejszy niż duży kościół w Little Skell. Przesiąknięty historią rodziny, przeszłością, ich dziedzictwem... ale też niosący obietnicę przyszłości. Jej ślub z Paulem odbył się w Londynie, a ten miał zupełnie inny charakter.

Pani Parkington wciąż grała na organach hymn *O, idealna miłości*, wypełniając kościół muzyką, ale Diedre słyszała wokół siebie rozmaite ciche dźwięki: szelest ubrań, kaszel, szepty, szuranie nogami... Odczęła się od nich, pozwalając myślom błądzić.

Przypomniał jej się Paul i przez chwilę skupiła się na nim. Zajmował w jej sercu specjalne miejsce i zostanie w nim na zawsze. Wiedziała, że chciałby tego dla niej i dla Robina. Kogoś, kto będzie ich kochał i opiekował się nimi. Dobry człowiek, taki jak William Lawson, który już udowodnił, że będzie dobrym mężem i kochającym ojcem.

Głośny akord rozpoczynający marsz weselny sprawił, że Diedre aż podskoczyła. Spojrzała na ojca. Ten szepnął:

– Pani P. lubi to robić... wstrząsnąć panną młodą.

Ruszył do przodu, a ona z nim. Przeszli ramię w ramię wzdłuż nawy, patrząc prosto przed siebie.

Przy ołtarzu czekał na nich William ze swoim bratem, który był jego pierwszym drużbą.

Kiedy ojciec przekazał ją Williamowi i odsunął się, spojrzała na pana młodego i uśmiechnęła się. On uśmiechnął się do niej i Diedre poczuła, że jej duszę wypełnia spokój.



Zgodnie z miejscową tradycją mieszkańcy Little Skell, High Clough i Mowbray zgromadzili się przed kościołem. Wznosili na ich cześć okrzyki, życzyli im dużo szczęścia i dobrego życia, i obsypali ich konfetti i płatkami róż. Diedre i William kroczyli ścieżką, uśmiechając się, pozdrawiając ich i dziękując; po kilku minutach przeszli przez podwórze i otworzyli drzwi Cavendon Hall.

W obszernym holu wejściowym panowała cisza, słychać było jedynie tykanie dziadkowego zegara. William objął Diedre i mocno ją przytulił; pocałowali się, a potem rozłączyli.

– Jesteś moją żoną – powiedział, wpatrując się w nią. – Wprost nie mogę w to uwierzyć.

– Lepiej uwierz – mruknęła. – Już się mnie nie pozbędziesz.

– Utknąłem na dobre, daję słowo – powiedział ze śmiechem.

– Chodź, Miles powiedział, że powinniśmy pójść do jasnozielonego salonu w południowym skrzydle. On i Ceci przyprowadzą tam fotografa.

– Jest strasznie cicho – zauważył William, idąc wraz z nią krętymi korytarzami.

– Bo cały personel był na ślubie. Ale zaręczam, że wkrótce tu wrócą.

Salon był pusty, a kiedy zmierzali ku ustawionym krzesłom, William zatrzymał się nagle i spojrzał na Diedre.

– Jesteś pewna, że jednak chcesz jechać do Paryża i spędzić tam nasz miodowy miesiąc?

– Owszem.

– Niech i tak będzie, kochanie. Swoją drogą, lubię Paryż. I być może to ostatnia okazja, żebyśmy odwiedzili miasto świateł. Zanim rozpęta się piekło.

Weszli Miles i Cecily z fotografem i jego asystentem, a po kilku minutach salon wypełnili członkowie rodzin.

– Mam nadzieję, że sesja nie będzie się ciągnęła w nieskończoność – szepnęła do Milesa Diedre.

– Zostaw to mnie – odparł brat.

CZEŚĆ DRUGA



Kobiety i wojna

1939–1945



WBREW PRZECIWNOCIOM LOSU

Nie osłabniemy ani nie ulegniemy.

Wytrzymamy do końca, będziemy walczyć we Francji, będziemy walczyć na morzach
i oceanach, będziemy walczyć z coraz większym przekonaniem i coraz większą siłą w powietrzu,
będziemy bronić naszej Wyspy
bez względu na cenę, będziemy walczyć
na plażach, będziemy walczyć na lądowiskach, będziemy walczyć na polach i na ulicach,
będziemy walczyć
na wzgórzach; nigdy się nie poddamy.

Winston Churchill, fragment przemówienia w Izbie Gmin, 4 VI 1940

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Alice Swann zeszła do piwnicy po parę słoików dżemu, kompotów i warzyw, zgromadzonych na półkach. Podeszła prosto do butelek z nalepkami „Czerwiec 1939” i napełniła koszyk różnymi przetworami.

Wróciła do kuchni, postawiła wszystko na stole i z niedowierzaniem potrząsnęła głową. Ależ ten rok przeleciał. Był już maj 1940 roku, a jej zostało jeszcze trochę starych zapasów. Ale jak wszyscy mieszkańcy kraju w tych czasach, była bardzo oszczędna, jeśli chodziło o żywność.

Brakowało wielu produktów, bo urwał się import. Musieli żywić się tym, co sami wyhodowali na miejscu.

Alice westchnęła, wycierając słoiki wilgotną ściereczką. Byli w stanie wojny z Niemcami od trzeciego września 1939 roku, to już prawie rok, i nie działo się nic specjalnego. Wytrwale wypełniali swoje obowiązki i robili mnóstwo innych rzeczy, słuchali radia, czytali gazety i wymieniali się informacjami o zaistniałej sytuacji. Teraz wszyscy mówili o niej „dziwna wojna”, i zdaniem Alice była to trafna nazwa.

Tydzień po wypowiedzeniu wojny rząd wypuścił książeczki z kartkami żywnościowymi; od dawna byli na to przygotowani. Każdy miał taką książeczkę, nawet dzieci, i racjonowano wszelkiego rodzaju żywność. Z wyjątkiem ryb. Na szczęście mieszkali na wyspie i codziennie rybacy ruszali na połowy. Na razie... Niech Bóg nas uchroni przed brakiem ryb. Były ich podstawowym pożywieniem. Jest takie powiedzenie, że istnieje więcej niż jeden sposób na obdarcie ze skóry kota; Alice знаła dwanaście sposobów przyrządzania ryb, by za każdym razem inaczej smakowały.

Racjonowano też odzież – mieli na nią kupony; racjonowana była benzyna i węgiel, i właściwie wszystko inne. Każda kobieta w trzech wioskach miała mnóstwo pracy. Prowadziły domy, zajmowały się dziećmi, gotowały posiłki, a także robiły dżemy.

Lady Denman i Narodowa Federacja Instytutów Kobiet w Londynie na długo przed wypowiedzeniem wojny, już w 1935 roku, zdawały sobie świetnie sprawę z nadchodzących kłopotów, i wyprzedziły znacznie inne organizacje kobiece.

Charlotte ogromnie im pomogła i sprawiła, że produkcja dżemu przybrała o wiele bardziej profesjonalny charakter. Gdy ubiegłego lata owoce wyjątkowo obrodziły, kupiła dwie maszyny do puszkowania, a Cecily dokupiła jeszcze dwie, więc kobiety z ich organizacji nie musiały już pożyczać maszyn od koleżanek z Harrogate.

Pięć kobiet z Little Skell i High Clough stało się wkrótce specjalistkami, a jedna z nich wynalazła nawet najlepszy sposób chłodzenia gorących puszek. Gladys Miller sprowadziła do wioskowej świetlicy, gdzie obywatela się produkcja, dużą blaszaną wannę. Napełniano ją zimną wodą, a gorące puszki kładziono na dużym prześcieradle, a potem cztery kobiety chwytaly je za rogi i wkładały całość do wanny. Po ostygnięciu puszki wyjmowano, nalepiano na nich etykiety i sprzedawano.

Alice i Charlotte były bardzo dumne z sukcesu w dziedzinie produkcji dżemów, podobnie jak wiele kobiet, członkiń ich organizacji, w całej Anglii. Ich osiągnięcia spowodowały, że lord Woolton, minister od spraw zaopatrzenia w żywność, utworzył dla Instytutów Kobiet ogólnokrajowy, sponsorowany przez rząd program produkcji dżemów. Ponieważ cukier też już był na kartki, rząd przekazał go Instytutom, by przerabiały go na dżemy.

Alice włożyła przetwory z powrotem do koszyka i wyszła z domu.

Przeszła na drugą stronę głównej ulicy Little Skell, zapukała do drzwi domu Charlotte i weszła do środka.

Paloma wybiegła jej na spotkanie, objęły się i ucałowały.

– W samą porę, Alice – szepnęła. Wskazała ręką kołyskę.

Alice nie mogła się powstrzymać. Odstawiła koszyk i podeszła popatrzeć na wnuka.

Smacznie spał, z piąstką przy policzku.

Alice uśmiechnęła się do Palomy i skinęła głową, w oczach lśniła jej miłość. Miał już rok. Dwa tygodnie temu, dziesiątego maja, świętował pierwsze urodziny. Alice zawsze będzie myślała o tych urodzinach jako dobrym znaku, bo tego samego dnia Winston Churchill został premierem.

– Zaparzyłam ci herbatę, tam stoi taca – powiedziała cicho Paloma. – I drobny poczęstunek, czekoladowe paluszki Cadbury. Trudno je ostatnio dostać.

– Dziękuję, kochanie – odparła Alice.

Paloma poszła na koniec ogrodu, do starej szopy, którą Harry powiększył tak, by mogła używać jej jako ciemni fotograficznej. Chwilowo jej ulubionym obiektem był chłopczyk: Edward Walter Swann, który otrzymał imiona po dziadkach.

Mimo wojny, trosk, ciężkiej pracy i ponurych widoków na przyszłość Alice zawsze czuła się szczęśliwa, wchodząc do tego domu. Paloma upiększyła go, ale nie dlatego poprawiał jej się nastrój.

Przyczyną była sama Paloma, która odmieniła życie Harry'ego, a co za tym idzie, także jej i Waltera. Oboje kochali swoją synową. Była uczciwą i poważną młodą kobietą, która uwielbiała ich syna i uszczęśliwiła go. Roztaczała wokół siebie aurę spokoju i łagodności. Była miła, a także inteligentna. Alice wiedziała, że będzie zawsze dobrą żoną i matką.

Paloma była błogosławieństwem i wkroczyła w życie Harry'ego w odpowiednim momencie. Alice miała nadzieję, że będą mieli więcej dzieci, i spełnią się marzenia Harry'ego o dużej rodzinie. Paloma da mu poczucie bezpieczeństwa.

Westchnęła, przypomniawszy sobie nagle o wojnie. Brytyjski Korpus Ekspedycyjny wyruszył do Francji, by walczyć tam z Niemcami, którzy szybko przemieszczali się w głąb kraju. Wszyscy młodzi mężczyźni z trzech wiosek dostali powołanie do wojska. Poborem objęto mężczyzn od osiemnastego do czterdziestego pierwszego roku życia, z wyłączeniem żonatych. Chwilowo... Alice wiedziała aż za dobrze, że w miarę postępów wojny więcej mężczyzn będzie ginąć i więcej ich będzie potrzeba.

Charlie, syn lady Daphne, i jego najlepszy przyjaciel Kenny Bourne, syn sąsiadów: Evelyne i Tommy'ego, już byli w wojsku. Kenny był jednym ze studentów, którzy otrzymali stypendium od Cecily, i studiował razem z Charliem w Oksfordzie. Obaj mieli po dwadzieścia dwa lata, jeszcze chłopcy. Alice z trudem godziła się z myślą, że Charlie, którego znała od kołyski, walczy na wojnie.

Harry ma czterdzieści dwa, a Miles czterdzieści jeden lat, i na razie, a może wcale nie pójdą do wojska. Byli żonaci i prowadzili gospodarstwo rolne, a to zajęcie zwalniało ich ze służby. Modliła się, by nie musieli walczyć. Pomyślała o chłopcach, którzy zginęli poprzednim razem: kuzynach i starszym bracie Milesa. Zrobiło jej się niedobrze.

Słyszając cichy szmer, odwróciła głowę i zobaczyła, że w drzwiach stoi Evelyne Bourne. Wyglądała na zdenerwowaną. Alice podeszła do niej.

– Dziecko śpi – szepnęła, biorąc ją pod rękę. – Chodźmy na dwór. Coś się stało?

Wyglądasz, jakbyś doznała wstrząsu.

– Och, Alice, usłyszałam coś. Kiedy byłam dziś w Harrogate... że wszyscy nasi chłopcy utkwili na wybrzeżu francuskim. I zginą tam. Niemcy ich pozabijają!

– Sądę, że to przesada – powiedziała uspokajającym tonem Alice. – To prawda, że BKE stoczył ciężkie walki, i że wycofują się na wybrzeże, ale nasi chłopcy zostaną uratowani.

– Ale ja słyszałam coś innego – wymamrotała Evelyne. Otarła łzy.

– Nie obchodzi mnie, co słyszałaś. Churchill nas nie zawiedzie. Jesteśmy w dobrych rękach. Uwierz, kochana. On uratuje naszych chłopców.

Evelyne oparła się o drzwi.

– Przepraszam, Alice, nie chciałam cię zdenerwować. Ale jestem taka zmartwiona... boję się o Kenny'ego i Charliego. Lady Daphne też pewnie jest przybita.

– Sprowadzą ich bezpiecznie do domu – powiedziała pewnym głosem Alice, by uspokoić przyjaciółkę. I rzeczywiście w to wierzyła, bo dawno temu zaufała Churchillowi. Wierzyła bez zastrzeżeń, że to przywódca, którego potrzebują, by wygrać wojnę. Przywódca, którego potrzebuje świat... by ocalić cywilizację.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Głęboko pod ziemią, w wielu tajnych tunelach pod twierdzą Dover, działano bez przerwy. Tunele wydrążone w kredowych skałach słynnych białych klifów były bunkrami dla oficerów i załóg, które miały bronić Wielkiej Brytanii, cieśniny Dover i kanału La Manche.

Zbudowano je na rozkaz Winstona Churchilla i mieściły się w nich też baterie dział mających ostrzeliwać niemieckie okręty w kanale i zatapiać łodzie podwodne.

Dowodził tu admirał Bertram Ramsay, który stąd właśnie kierował ewakuacją francuskich i angielskich żołnierzy odciętych na plażach Dunkierki.

Jednym ze starszych rangą oficerów był komodor Edgar Jollion. Przybył tu na prośbę admirała Ramsaya, który znał jego świetną reputację i ogromną wiedzę na temat wybrzeża francuskiego. Jollion doskonale znał kanał La Manche i przyległe rejony Atlantyku.

Był dwudziesty czwarty maja 1940 roku. Komodor siedział, popijając herbatę i myślał, jakie ma szczęście, że tu teraz jest. Przyjechał w marcu, by wraz z Ramsayem organizować obronę kanału. Z nowym stanowiskiem łączył się awans.

Okręt, którym dowodził od 1938 roku, posłano do stoczni remontowej. Nie ma okrętu, nie ma zajęcia. Powinni przydzielić mu nowy, i nie mógł się go doczekać.

Zamiast tego zaproponowano mu pracę z admirałem i niespodziewany awans... komodor, zaledwie jeden stopień poniżej kontradmirała. Kiedy wydarzyła się tragedia w Dunkierce, admirał został natychmiast wyznaczony na dowódcę Operacji Dynamo. Komodor Jollion, zawodowy oficer marynarki wojennej, kochał morze i swoją pracę. Ratowanie żołnierzy, wielu z nich w wieku jego syna, uznał za ważną misję.

Jego syn Noel był patriotą, jak wszyscy Jollionowie, ale od morza wolał powietrze. Był teraz pilotem RAF-u i latał na spitfirze, bombardując nacierające niemieckie oddziały we Francji. Jego dywizjon stacjonował w Biggin Hill, niedaleko stolicy, i kiedy tylko Noel miał trochę urlopu, zatrzymywał się w stolicy u siostry Edgara, Adrianny Bellamy, która wraz z córką Claudią działała w Czerwonym Krzyżu.

Przypomniał sobie o Phoebe i o tym, że zapomniał napisać do siostry, by wysłała Phoebe i jej rodzeństwo do Burnside. Kiedy zaczną się inwazja, będą tam bezpieczniejsze. A zaczną się na pewno.

Tysiące angielskich dzieci już ewakuowano z miast na obszary wiejskie. Wiedział od Palomy, że ewakuowani zaczęli już napływać do Little Skell, High Clough i Mowbray. Różnie z nimi bywało; niektóre dzieci szybko się zaaklimatyzowały, inne strasznie tęskniły za domem. Mała wioska w Yorkshire bardzo różniła się od wielkiego miasta.

Kochana Paloma, która dała mu pierwszego ciotecznego wnuka. Jej małżeństwo z Harrym Swannem niezmiernie go ucieszyło. Harry był solą tej ziemi.

Edgar wstał i postanowił przejść się po tunelach. Utrzymywało go to w formie. Wyszedł z biura i podążył długim korytarzem wiodącym do centrum łączności. Tunele podparto żelaznymi dźwigarami i obito metalowymi płytami. Było to jakby miasteczko, z sypialniami, łazienkami, kuchniami i stołówkami. Nie najgorzej, zważywszy na okoliczności. A praca, którą tu wykonywano, była szalenie istotna. Musieli uratować tylu ludzi, ilu się da; żołnierze byli potrzebni do obrony kraju. Edgara zaskoczyło odkrycie, jak małą mają armię, a jeszcze mniejsze siły powietrzne. Tylko marynarka wojenna była duża, dobrze wyposażona i znakomicie dowodzona. Ale przecież są wyspiarzami, a ich potęga od wieków opierała się na marynarce.

Już miał wrócić do biura, kiedy usłyszał, że ktoś woła go po nazwisku. Obejrzał się przez ramię. To był jeden z chorążych z centrum łączności. Podbiegł do niego.

– Wiadomość do pana, komodorze. Właśnie przyszła.

Edgar wziął od niego kartkę i skinął głową.

– Dziękuję, Judson.

Marynarz zasalutował i odmaszerował. Edgar wrócił do biura, usiadł przy biurku i przeczytał informację. Potem zagapił się na nią ze zmarszczonymi brwiami i przeczytał ją jeszcze raz.

– Do diabła, o co w tym chodzi? – powiedział głośno. Wiadomość była bez sensu.

Zerwał się i ruszył pospiesznie, by zobaczyć się z admirałem. Zapukał do jego drzwi.

– Coś złego, Jollion? – spytał Ramsay.

– Powiedziałbym, że raczej dziwnego. Dostałem właśnie wiadomość ze sztabu w Dunkierce. Generał Rundstedt wydał rozkaz, by dywizja pancerna generała Kleista zatrzymała się na linii frontu. Zakazał im ruszać dalej.

Ramsay osłupiał.

– Ale mają nas w zasięgu wzroku! Martwiłem się, że ruszą i zamkną naszych chłopców w tym kotle, do którego zepchnęli ich pancerniacy. – Potrząsnął głową. – To istotnie dziwne. Jesteśmy pewni tej informacji? – dodał po chwili.

– Chyba tak, sir. Ale na wszelki wypadek sprawdzmy ją u źródła. Wyślijmy prośbę o potwierdzenie do sztabu we Francji.

– Proszę to zaraz zrobić. Chciałbym wiedzieć, skąd nagle poznaliśmy plany Wehrmachtu.



Po kilku godzinach Ramsay i Jollion otrzymali odpowiedź od podpułkownika lorda Bridgema z Brygady Strzelców Kontynentalnych, współpracownika lorda Gorta, dowódcy Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego.

Wiadomość, którą otrzymali, była rzeczywiście zgodna z prawdą.

Generał Kleist zatrzymał się na wzgórzach Flandrii, powyżej Dunkierki. Wreszcie jego dywizje pancerne ruszyły, ale nie by zdobyć Dunkierkę, zaatakować i wybić brytyjskich i francuskich żołnierzy uwięzionych na pobliskim skrawku lądu. Wręcz przeciwnie, wycofały się.

Jollion zakładał, że być może niemiecki generał nie chciał pakować swoich czołgów na nizej położone tereny Flandrii, pełne kanałów, strumyków i bagien. Była jeszcze jedna możliwość: manewrowanie czołgami w obszarach zabudowanych sprawia duże trudności. Być może wycofał się także z tego powodu.

Ale cokolwiek przyczyniło się do wycofania niemieckich czołgów, lord Gort, Bridgeman, Ramsay i Jollion skorzystali natychmiast z okazji i rozpoczęli ewakuację oddziałów z Dunkierki. Jollion uznał to za dar niebios.

W ciągu czterdziestu ośmiu godzin spokoju tysiące brytyjskich i francuskich żołnierzy wdrapało się na pokłady wielkich brytyjskich statków zakotwiczonych w pobliżu Dunkierki.

Jollion martwił się, wiedząc, że prawie cała armia brytyjska znajduje się we Francji. W kraju nie zostało wielu żołnierzy. Gdyby Niemcy przeprowadzili inwazję, ojczyzna byłaby bezbronna, bo dywizje pancerne Kleista wkrótce wznowiły atak i bezlitośnie kosiły oddziały aliantów.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Kapitan Charlie Stanton z pułku Coldstream Guards wiedział, że muszą jak najszybciej opuścić miasteczko Poperinghe. Właściwie natychmiast.

Znajdowali się na południe od Dunkierki i pora była cofnąć się do wybrzeża. Słyszał już niemieckie działa i wiedział, że wkrótce dogonią ich oddziały wroga. Brytyjski Korpus Ekspedycyjny był otoczony. Skazany na zagładę.

Ubiegłej nocy w sztabie powiedziano mu, żeby zabrał resztki swojego plutonu do Dunkierki. Zostało ich już tylko dwudziestu, i równie jak on chętnie by się stąd wycofali.

Zauważył, że idzie ku niemu Kenny Bourne. W 1939 roku opuścili Oksford i przeszli szkolenie oficerskie w Sandhurst. Udało im się wstąpić do tego samego pułku, bo Coldstream Guards rekrutowało głównie z północno-wschodniej części Anglii. Kenny był porucznikiem, jedynym oprócz niego oficerem, który pozostał przy życiu.

– Gotowi do odjazdu – zameldował Kenny.

Charlie skinął głową. Planowali załadować wszystkich na dwie ciężarówki i zwiać stąd jak najprędzej. Z ulgą ruszyli ku wybrzeżu, gdzie znajdowała się reszta pułku, a na morzu czekały brytyjskie okręty wojenne, niszczyciele i statki szpitalne. To będzie wielka akcja ratunkowa. Wszystkie pułki zostaną ściągnięte do końca maja.

Uczucie ulgi wkrótce ustąpiło zniecierpliwieniu, kiedy zorientował się, że być może lepiej było iść na piechotę. Droga była kompletnie zatkana maszerującymi żołnierzami.

Kenny, prowadzący ciężarówkę, wpatrywał się w zatłoczoną drogę.

– Cholera, zaczyna padać. To nas jeszcze bardziej spowolni.

– Może i tak – przyznał Charlie, szczerząc zęby. – Ale za to deszcz wypłoszy z powietrza Luftwaffe. Gdyby było pogodnie, strzelaliby do nas jak do kaczek.

– Jak to dobrze, że pogoda sprzyja kaczkom – roześmiał się Kenny.

Zamilkli, zbliżając się do Warhem, następnego miasteczka na trasie. Charlie był zaskoczony ogromną liczbą żołnierzy. Tysiące ludzi szło tą drogą, nie tylko Brytyjczycy, ale Francuzi i Holendrzy. Nie wyglądali na przygnębionych, ale z pewnością było ich mniej niż Wehrmachtu, największej armii świata, uzbrojonej po zęby i dysponującej olbrzymią siłą ognia, nie licząc tych zabójczych czołgów.

Gdy zbliżali się do sztabu w Dunkierce, żandarmeria wojskowa zatrzymała ich ciężarówki. Charlie opuścił szybę, by spytać, o co chodzi.

– Przykro mi, kapitanie, ale musicie zostawić ciężarówki. Na tamtym polu, obok innych pozostawionych pojazdów. Podpalcie je. Dobrze, że przestało padać.

– Dlaczego mamy je zostawić?

– Taki rozkaz, kapitanie. Dowództwo nie chce korków w Dunkierce. Powiem waszym ludziom, żeby zrobili to samo.

Charlie polecił Kenny'emu zjechać na pole. Wskoczywszy z wozu, zauważyli, że wiele porzuconych samochodów jeszcze płonie, inne całkiem się już spaliły.

Spojrzeli na swoje rzeczy wewnątrz ciężarówki i skrzywili się.

– Żał mi zostawiać to wszystko, ale nie mamy wyboru – mruknął Charlie, sięgając po chlebak.

– Mnie też, ale musimy podróżować bez bagażu – odparł Kenny i również wziął tylko chlebak. Podeszła do nich reszta żołnierzy. Gdy wzięli chlebaki, Charlie polecił im podpalić

pojazdu.

Podszedł do jednej z wcześniej zostawionych ciężarówek, która nie spłonęła, i ze zdziwieniem i radością zobaczył na pace broń i żywność.

Przywołał Kenny'ego i żołnierzy i kazał im wziąć po karabinie i tyle żywności, ile będą mogli unieść. Znów mieli broń i jedzenie; to wywołało na ich twarzach uśmiech.

Byli lojalni i niezłomni i wyraźnie się ucieszyli, kiedy objął nad nimi komendę po nalocie Luftwaffe, w którym zginął major Barton. Charlie wiedział, że może na nich polegać. Wiedział też, że są zmordowani po trzech tygodniach intensywnych walk na polach Flandrii. Musiał koniecznie znaleźć dla nich jakieś miejsce do spania.

Jego ludzie stali, patrząc na niego i zastanawiając się, czemu tkwią na polu pełnym płonących pojazdów, a ponieważ patrzyli na niego, stojąc tyłem do drogi, nie widzieli, co dostrzegł po drugiej jej stronie.

Był to dym. Nie dym z płonących samochodów, ale coś całkiem innego: spirala wznosząca się ku niebu z komina, którego nie było widać.

– Posłuchajcie – zwrócił się do nich. – Nie chcę, żebyśmy się dali złapać w tym tłumie pchającym się do Dunkierki. Pójdziemy przez to pole za wami i zobaczymy, co tam jest.

Starszy sierżant Joe Wortley natychmiast zrozumiał, o co chodzi.

– Myśli pan, że tam z tyłu jest farma, sir?

– Wielce prawdopodobne. Słuchajcie, zanim dotrzemy do kwatery głównej, wszyscy potrzebujemy odpoczynku. Jedzenia i snu, jeśli to możliwe. Widząc te setki żołnierzy na drodze, mogę sobie wyobrazić, jaki tłok będzie tej nocy w porcie. Chcę, żebyście odzyskali trochę sił i ruszyli do Dunkierki dopiero jutro rano.

– Dobry plan, kapitanie – przytaknął sierżant. – Zakładam, że mówi pan po francusku, więc chodźmy poszukać farmy.

– Uczyłem się go w szkole. To ruszajmy spokojnie na drugą stronę drogi. Tylko bez przepychanek.

Jego ludzie wykonali dokładnie rozkaz, przecinając zatłoczoną drogę dwójkami i trójkami. Charlie szedł za nimi z Kennym.

– Oddałbym wszystko za papierosa i zimne piwo. Ale szczerze mówiąc, wolałbym wałnąć w kimono, to by mi lepiej zrobiło – odezwał się Kenny.

– Mnie też. Szkoda, że nie mogę się zaraz położyć i zasnąć – odparł Charlie. – Aha! – zawołał i zamachał do uśmiechniętego od ucha do ucha sierżanta. Zza kępy drzew widać już było dom.

Po chwili Charlie, oparty o furtkę, rozmawiał z farmerem.

Ten z początku patrzył nieufnie na wojsko, ale Charlie wyjaśnił, że jest Anglikiem, i przedstawił się. Spytał farmera, czy ma stodołę, w której mogliby przenocować. Dodał, że jego ludzie są wyczerpani po walkach z Niemcami.

Farmer splunął i zawołał ze złością:

– *Les Boches! Merde!* – Otworzył bramkę i zaprosił Charliego i jego oddział.

Zaprowadził ich do dużej stodoły za domem. Była pełna bel siana, stało tam koryto z wodą, a na ścianie wisiała stara uprząż. – *Voilà!* – Uśmiechnął się i powiedział, że przyniesie im koce, wodę i chleb.

Charlie podziękował mu wylewnie; powiedział ludziom, by się rozgościli, bo zostaną tu na noc. Z ulgą zdjęli chlebaki i usiedli na sianie, paru od razu zasnęło.

Farmer dotrzymał słowa: wrócił wkrótce z żoną i synem. Sam niósł dwa duże dzbany wody, a żona i chłopiec tace z kubkami i szklankami. Kobieta nalała wodę i porozdawała naczynia. Mężczyzna wyszedł i wrócił po kilku minutach z kilkoma bagietkami i paroma

pólmiskami sera.

Charlie podziękował farmerowi i jego rodzinie, a żołnierze przystąpili do posiłku.

– Ten człowiek mówił, że nie widzieli niemieckich oddziałów. Jeszcze nie... – odezwał się Charlie. – Ale obiecałem mu, że znikniemy stąd wczesnym rankiem. Rozumie naszą trudną sytuację.

– No jasne – rzucił Kenny. – Był oczarowany, nie, raczej pochlebilo mu, że mówiłeś po francusku. Lubią to ci Francuzi.

– Znajomość francuskiego pomaga we Francji.

– Ten cholerny chlebak jest ciężki – stwierdził Kenny. – Wyrzucę z niego wszystko.

– Ale nie tutaj – ostrzegł go szybko Charlie. – Nie możemy narażać farmera. Szkopy mogą przyjść i znaleźć twoje rzeczy, i od razu się zorientują, że są angielskie.



Charlie leżał na sianie, wsłuchując się w oddechy śpiących ludzi. Wszyscy byli wyczerpani i prawie natychmiast zasnęli; był to ich pierwszy porządny sen od paru tygodni. Ktoś cicho chrapał, ktoś się poruszył, a poza tym w stodole panowała cisza.

Światło księżycy sączyło się przez okienko wysoko na ścianie; Charlie wstał, cicho przeszedł przez stodołę i wysliznął się na zewnątrz.

Odetchnął głęboko. W tę majową noc powietrze było chłodne i orzeźwiające. Spojrzał w górę, na księżyc w pełni – niebo było zupełnie czyste. Cisza go uspokajała. Co za ulga po wystrzałach karabinowych, armatnich salwach i wybuchach bomb.

Milczenie jest złotem, przypomniał sobie powiedzonko matki, którego używała, gdy dorastali.

Wiedział, że musi do niej bezpiecznie wrócić. Nigdy by mu nie wybaczyła, gdyby stało się inaczej. Uśmiechnął się na myśl o tym. Evelyne Bourne, matka Kenny'ego, nie wybaczy mu, gdyby i jemu się to nie udało. Może wszystkie matki czują to samo, uznał po namyśle.

Zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko i przysiadł na kamieniu. Farmer ostrzegł, żeby nawet nie przyszło im do głowy, by palić w stodole pełnej siana, i podporządkowali się temu zakazowi.

Pomyślał o siostrze. Alicia bardzo chciała wstąpić do Pomocniczej Służby Kobiet, ale nagle zmieniła zdanie i zapisała się do Czerwonego Krzyża. Rodzice byli przerażeni, bo zgłosiła się do oddziału, który służył za granicą.

Ale wyglądało na to, że wciąż przechodzi szkolenie w Londynie. Charlie dobrze rozumiał, czemu chce pomagać rannym. Zawsze była czułym dzieckiem, troszczyła się o chore zwierzęta domowe i małe dzikie stworzenia złapane w sidła. Będzie z niej dobra pielęgniarka, ma do tego coś w rodzaju powołania.

Usłyszał jakiś dźwięk; obejrzał się i zobaczył, że to Kenny wysliznął się ze stodoły i idzie w jego stronę.

– Nie mogłem dłużej spać – powiedział cicho Kenny, zapalając papierosa. – Chyba dlatego, że przez ostatnie parę tygodni sypialiśmy tylko po parę godzin.

– Wiem, o co ci chodzi. Mam tak samo, ale spałem mocno i dobrze mi to zrobiło.

– O której zamierzasz ruszyć?

– Chciałbym, żebyśmy byli w drodze o piątej, może o szóstej. Im wcześniej dotrzemy do sztabu, tym lepiej się będę czuł.

– Sądysz, że natychmiast nas ewakuują? W końcu Coldstream Guards to pierwszy pułk, który przybył do Francji. Jesteśmy tu najdłużej. Byłoby słuszne, byśmy wyjechali jako pierwsi.

– Prawdopodobnie będziemy ostatni! – Charlie zachichotał cicho. – Ale wkrótce się dowiemy. Jeśli ruszymy wczesnym rankiem, po południu będziemy na wybrzeżu.

– Ludzie dadzą z siebie wszystko, Charlie.

Kenny siedział, paląc w milczeniu. Wreszcie odezwał się cicho, ale poważnym tonem:

– Jeśli coś mi się stanie i sam nie dam rady, powiedz, proszę, moim rodzicom i siostrze, że bardzo ich kochałem.

– Obiecuję. Ale nie myśl tak, Kenny. Uda ci się. Jesteś twardym sukinsynem, tak jak ja. A ja zdecydowanie mam zamiar wyjść z tego.

Kenny zignorował tę uwagę i ciągnął dalej:

– I chcę, żebyś podziękował Cecyli i powiedział jej, ile znaczyło dla mnie jej wsparcie. Wynajęła mi nauczyciela, a potem dała stypendium, żebym mógł pójść do Oksfordu – to najwspanialsza rzecz, jaka mnie w życiu spotkała.

– Dobrze. Ale sam jej to powiesz. Ewakuuj nas w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin.

– Też w to wierzę. Ale chciałem to zrzucić z serca, wypowiedzieć to na głos.

Charlie skinął głową i spojrzał w niebo. Wstawał świt i wyglądało na to, że dzień będzie ładny. Miły dzień na spacer do Dunkierki. Dotrzemy do domu, pomyślał. Musimy.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Zastępca ich dowódcy, major Tommy Riley, wysłał ich na zwiad i Charlie był z tego zadowolony. Podobnie jak major lubił wszystko dokładnie sprawdzić.

Dotarli do Dunkierki następnego dnia. Wybrzeże było mniej zatłoczone, a na morzu, na głębokiej wodzie znajdowała się duża flotylla brytyjskich okrętów wojennych, niszczycieli i innych większych statków. Były to posiłki ściągnięte tu po tym, jak marynarka poniosła olbrzymie straty. Luftwaffe bombardowała nawet jednostki oznaczone czerwonym krzyżem. Większość pacjentów zginęła wraz z lekarzami, pielęgniarkami i załogą.

Charlie zdawał sobie sprawę, że ponieśli straty na morzu, lądzie i w powietrzu. RAF został zdziesiątkowany. Po utracie ostatniej bazy sił powietrznych Merville we Francji lotnicy musieli teraz przekraczać kanał, co zajmowało dużo więcej czasu. Ale byli godnymi przeciwnikami Luftwaffe.

Była to śmiertelna wojna przeciwko podłemu człowiekowi i jego brutalnemu reżimowi, Trzeciej Rzeszy. Charlie wiedział, że za wszelką cenę muszą zwyciężyć.

– Przejdźmy się na falochron – zaproponował Joe Wortley, mając na myśli molo w Dunkierce. – Znam kogoś, kto pracuje dla admirała Williama Wake-Walkera i o tej porze się tam przechadza. To major Jack Remmington, który jest kopalnią informacji.

– Słyszałem o admirale, ale go nie poznałem – powiedział Charlie. – Dowodzi wysyłaniem wojsk z Dunkierki; ale nic nie wiem o majorze Remmingtonie.

– Myślę, że jeśli tam jest, będziemy mogli dowiedzieć się od niego czegoś pożytecznego.

– No to chodźmy go poszukać – wtrącił Kenny. – Chciałbym wiedzieć, czy naprawdę wpływamy dziś wieczorem. Nigdy nic nie wiadomo, mogli nas pomylić z Grenadier Guards...

– Nie zapominaj o naszym motto, *Nulli Secundus*. Niezrównani – powiedział Charlie. – Zobaczysz, znajdziemy się na statku... nie bądź takim niewiernym Tomaszem, Kenny. Bądź jak ja Oliverem Optymistą.

– Nigdy nie słyszałem tego powiedzonka – zauważył Kenny.
Charlie tylko się roześmiał.



Joe Wortley miał rację. Major Remmington był na molo. Pałac papierosa, wpatrywał się w morze. Odwrócił się, słysząc ich kroki.

Joe przywitał się z nim i przedstawił mu swoich towarzyszy.

– To kapitan Charlie Stanton i porucznik Kenny Bourne, obaj z mojego pułku. Wyszliśmy po raz ostatni rzucić okiem na Dunkierkę. Mamy nadzieję, że odpłyniemy dziś wieczorem.

– Sądzę, że tak – zgodził się Remmington. Przerwał nagle, skupiając całą uwagę na morzu. – No, no, nigdy nie spodziewałbym się takiego widoku! Wprost niewiarygodne! – zawołał. – O mój Boże, cóż to za cudowny widok dla obolałych oczu. Dla wszelkich oczu. To istny cud.

– O czym pan mówi, sir? – spytał zbity z tropu Joe.

– Tam. Patrzcie tam, sierżancie.

Joe, Charlie i Kenny podążyli za wzrokiem majora. Zaparło im dech, a potem zaczęli wydawać okrzyki zdziwienia.

– To jak mała armada – zauważył Kenny.

– Mała potężna armada – poprawił go Charlie.

Major Remmington przytaknął z szerokim uśmiechem.

– Wysłuchali apelu admirała Ramsaya. Prosił ludzi o przybycie. Powiedział: „Płyńcie i pomóżcie naszym chłopcom wydostać się z wybrzeża. Przyplyniecie na ratunek. Są odcięci w Dunkierce”. Więc przybyli. Żeby wydostać chłopców z plaż... angielscy obywatele, cywile, zwykli ludzie usłyszeli wezwanie admirała i tak na nie odpowiedzieli. – Wyprostował się. – To dzięki nim Brytania jest wielka... ludzie. Nasi ludzie. – Zasalutował małej jednostce powoli płynącej w ich stronę.

– Nie wierzę własnym oczom – powiedział Charlie. – Jachty motorowe, motorówki, łodzie rybackie, statki wycieczkowe, kanadyjki, promy, barki z kanałów, jolki, a nawet szalupy ratunkowe. To naprawdę potężna armada. Co za piękny widok.

– I dopłyną do moła, na płytką wodę, gdzie nie mogą dotrzeć duże jednostki. Mogą zabrać żołnierzy na okręty, które odwiozą ich bezpiecznie do domu – dodał major.

Widok zbliżającej się flotyli, znaczenie tej wyjątkowej akcji poruszyło Charliego głęboko. Zabrakło mu słów. Po chwili odezwał się cicho:

– Ci zwykli ludzie opuścili Anglię, a wszystko, co mają, to odwaga i coś, co pływa. I przyplynęli. Prosto w ten ogień piekielny. Żeby ratować nas z wybrzeża; i to oni będą bohaterami, wszyscy. Ale za nic będą mieli zaszczyty i nasze podziękowania. Uśmiechną się tylko uprzejmie i powiedzą, że zrobili to, co należało.



Okolo siódmej wieczorem żołnierze dwóch batalionów Goldstream Guards wmaszerowali na moło, skąd mieli zostać przetransportowani na duże okręty.

Przechodząc koło jednej z plaż, Charlie i Kenny zauważyli, ilu jeszcze żołnierzy z innych pułków na niej czeka. Spokojnie, w ordynku, cierpliwie. Stojąc w długich kolejkach. Wyczerpani, okaleczeni w boju i pełni nadziei.

– Ta kolejka ma chyba z pięć mil – mruknął Charlie. Kenny nie odpowiedział. Zastanawiał się, jak marynarka wojenna i małe łódki będą w stanie wszystkich ich uratować.



Na moło czekał major Remmington z oficerami marynarki wojennej, by wyjaśnić, jak będzie przebiegała ewakuacja.

W pobliżu znajdował się statek wielorybiczny i jedna z cywilnych łodzi, motorówka prowadzona przez właściciela, księgowego z Dover i jego dwóch kolegów. Łódź nazywała się *Latający Holender*.

– Procedura jest następująca – oświadczył Remmington. – *Latający Holender* przyciągnie wielorybnika możliwie blisko moła. Gdy ludzie na niego wejdą, motorówka podholuje go do dużych okrętów i wróci po następnych ludzi, a w tym czasie inna łódka przycumuje do wielorybnika i zrobi tak samo. To coś w rodzaju sztafety; dobrze się sprawdziła od piątej, kiedy zaczęliśmy. – Skrzywił się. – No, mieliśmy wcześniej jeden wypadek, kiedy wielorybnik się przewrócił, bo morze było wzburzone. Ale od tej pory operacja przebiega gładko. Pogoda się poprawiła. Nie ma wiatru i morze jest spokojne.

Żołnierze kolejno wchodzili na wielorybnik i motorówkę, i po godzinie zaokrętował się pluton Charliego. Joe Wortley i następny pluton mieli płynąć za nimi.

Gdy oddalili się od falochronu, Charlie obejrzał się na Dunkierkę i ze smutkiem pokręcił głową. Miasteczko stało w płomieniach, powietrze było gęste od gryzącego dymu; była to

mieszanina spalin, kordytu i jeszcze jakiegoś zapachu, którego nie mógł określić. Gdy wspomniał o tym Kenny'emu, siedzącemu obok niego w motorówce, ten szepnął:

– Krew. Galony krwi zabitych i umierających.

Kenny odwrócił głowę i wyjrzał za burtę.

– Ciała zabitych unoszą się na wodzie wokół nas. Spójrz na morze, jest czerwone od krwi.

Charlie spojrział i osłupiał. Skupiał się na płonącej Dunkierce i patrzył przed siebie, a nie w wodę. Serce przeszył mu ból na widok brytyjskich żołnierzy w wodzie i pojął, czemu motorówka porusza się wolniej, niżby mogła.

Chwilę później skulił się, gdy nadleciały samoloty Luftwaffe i zaczęły ostrzeliwać z broni maszynowej małe jednostki i duże okręty. Charlie wiedział, że dwudziestego dziewiątego maja Niemcy namierzili dziesięć brytyjskich okrętów, pięć w przystani. Podczas trzech nalotów unieszkodliwili siedem z nich. Była to istna rzeź.

Gdy samoloty zbliżały się do *Latającego Holendra*, Charlie krzyknął do swoich żołnierzy:

– Kryć się! Cholerne Szkopy bombardują niszczyciele i naszych ludzi wspinających się po sieciach na statki. I nas.

Kilka eksplozji zakołysało wielorybnikiem i motorówką, ale trzech cywile parli naprzód, by ratować tyłu ludzi, ilu się da.

Był ostatni dzień maja. Charlie przypomniał sobie, że ewakuacja miała się zakończyć pierwszego czerwca. Jutro. Czy wszystkich uda się uratować?



Nagle nalot się skończył i samoloty odleciały. *Latający Holender* przyspieszył i wypłynął na otwarte morze, z dala od zwłok i szczątków okrętów brytyjskich.

Gdy dopłynęli do niszczyciela, z którego burt zwieszały się siatki, Charlie poczuł przypływ ulgi. Cały jego pluton był w dobrej formie fizycznej, choć zmęczony. Wiedział, że bez trudu wejdą po siatkach na pokład.

Ucieszył go widok Kenny'ego i reszty plutonu gramolących się na burty niszczyciela. Ruszył za nimi, zeskoczył z wielorybnika, wylądował na siatce i uchwycił ją obiema rękami. Złapał równowagę i zaczął szybko wspinać się w górę; był w lepszej formie, niż myślał.

I wtedy powróciły samoloty Luftwaffe, i zaczęły ostrzeliwać żołnierzy na siatkach – łatwe cele.

Charlie usłyszał głuchy odgłos i poczuł przeszywający ból. Zdał sobie sprawę, że trafili go w nogi. Rozpaczliwie usiłował podciągnąć się na rękach. Zobaczył nagle, że z góry patrzy na niego marynarz.

– Masz kłopoty, kolego? – krzyknął tamten.

– Moje nogi. Dostałem.

– Próbuj się trzymać, a ja sprowadzę pomoc. Wciągniemy cię razem z siatką.

Większość ludzi, którzy byli przed Charliem, zeszło już z tej części sieci. Był sam.

Z trudem udało mu się spojrzeć w dół. Na szczęście pod nim nie było już nikogo, a to znaczyło, że sieć nie jest już tak obciążona.

Marynarz powrócił, a z nim siedmiu członków załogi.

– Trzymaj się mocno – krzyknął.

Charlie zaczynał słabnąć; bał się, że spadnie albo wykrwawi się na śmierć. Jednak kurczowo trzymał się siatki. Zamknął oczy i zaczął się modlić.

Ośmiu krzepkich marynarzy powoli wciągnęło siatkę na reling. Wreszcie dwaj z nich

zdołali chwycić Charliego i położyć go na pokładzie.

– Udało się! – zawołał jeden z nich.

– Dzięki – wymamrotał słabym głosem Charlie. Dodał jeszcze: – Kapitan Charlie Stanton, Coldstream Guards – i stracił przytomność.

Natychmiast otoczyli go sanitariusze i położyli na noszach.

– Spodnie ma przesiąknięte krwią – stwierdził lekarz. – Bierzemy go na salę operacyjną.

KRAJ NADZIEI I CHWAŁY

Kraju Nadziei i Chwały, Matko wolnych ludzi,
Jak możemy cię sławić, my zrodzeni z ciebie?
Szerzej wciąż, szerzej sięgną twe granice;
Boże, uczyniłeś go potężnym, spraw, by nabrał sił,
Boże, uczyniłeś go potężnym, spraw, by nabrał sił.

Fragment potrójnego tematu Marsza nr 1 z serii Pomp and Circumstance,
słowa A.C. Benson

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY

Operacja Dynamo, kryptonim ewakuacji Dunkierki, skończyła się czwartego czerwca 1940 roku.

Z wybrzeża Francji ewakuowano prawie 340 tysięcy żołnierzy. Sukces operacji był głównie zasługą 222 okrętów marynarki wojennej i flotylli cywilnych śmiałków, składającej się z ponad 800 rozmaitych jednostek pływających. Wkrótce uznano ją za największą ewakuację wojsk w historii. Cała Anglia świętowała.

Tego samego dnia Winston Churchill wygłosił w Izbie Gmin przemówienie do narodu. Ostrzegł, by nie nazywać tej akcji zwycięstwem. „Wojen nie wygrywa się przez ewakuację” – oświadczył.

A po chwili z pełną siłą objawił się jego talent oratorski, gdy wypowiedział zdania, które przeszły do historii:

„Nie osłabniemy ani nie ulegniemy. Wytrzymamy do końca, będziemy walczyć we Francji, będziemy walczyć na morzach i oceanach, będziemy walczyć z coraz większym przekonaniem i coraz większą siłą w powietrzu, będziemy bronić naszej Wyspy bez względu na cenę, będziemy walczyć na plażach, będziemy walczyć na lądowiskach, będziemy walczyć na polach i na ulicach, będziemy walczyć na wzgórzach; nigdy się nie poddamy”.

Churchill, wnuk księcia Marlborough, mógł sobie być arystokratą, ale umiał nawiązać kontakt ze zwykłymi ludźmi. I rozumiał prawdziwie brytyjskiego ducha.

Diedre wiedziała, jakim jest wspaniałym człowiekiem, i zdawała sobie sprawę z jego wielkiej wizji. Tylko on mógł uchronić zachodnią cywilizację przed barbarzyńskim złem nazistów; William podzielał jej pogląd.

Wróciła myślą do pracy i wpatrzyła się w kartkę, którą właśnie wręczył jej Tony. Widniały na niej słowa: *Seelöwe także lata. W czerwcu*. I o to chodziło. Spojrzała na Tony'ego.

– *Seelöwe* to po niemiecku lew morski. Lew morski także lata. W czerwcu. – Zachmurzyła się, a potem wykrzyknęła: – Niemcy polecą. W czerwcu. To ostrzeżenie. W każdej chwili możemy się spodziewać inwazji. – Wzdrygnęła się na myśl o tym. Rzuciła okiem na kalendarz. Był czwartek, szósty czerwca. – Skąd to przyszło? – spytała wreszcie.

– Od naszego kontaktu w Watykanie. Jestem całkowicie pewien, że to od Walecznego.

– Ja też. – Diedre wstała. – Chodźmy do Williama.

Po chwili William przeczytał wiadomość i natychmiast się z nimi zgodził.

– Lepiej, żebym poszedł z tym prosto do premiera. Musi się o tym dowiedzieć. Choć uważam, że przy jego zdolności przewidywania spodziewa się w każdej chwili niemieckiej inwazji. Naciska na lorda Beaverbrooka, by zwiększył produkcję samolotów i okrętów, i niezmordowanie pracuje nad przygotowaniem kraju...

– Beaverbrook jest całkiem niezły – wtrącił Tony. – Produkcja samolotów przyspieszyła.

– Lepiej sprawdzę, czy mogę się zobaczyć z premierem. – William podniósł słuchawkę.

Diedre usiadła, a Tony zniknął.

William porozmawiał ze znajomym z biura premiera i wstał.

– Muszę iść, i to już. – Uśmiechnął się do niej. – Canaris pozostanie na zawsze moim bohaterem, i wiem, że zgadzasz się ze mną, że jest dzielny.

– Istotnie, jest wyjątkowy. Zawsze udaje mu się dać nam trochę czasu na przygotowania do mających nastąpić paskudnych wydarzeń.

Wyszli razem z biura. William ją pocałował.

– Niedługo się zobaczymy – powiedział.

Diedre wróciła do swojego biura, rozmyślając o Wilhelmie Canarisie, o jego nienawiści do Hitlera i Trzeciej Rzeszy. Naprawdę ryzykował wszystko, pomagając Brytyjczykom, jak czynili to jego koledzy i wielu niemieckich generałów uważających, że Hitler nieodwracalnie zniszczy Niemcy.

Pomyślała o potwornym ataku na Polskę we wrześniu poprzedniego roku. Polacy byli kompletnie zaskoczeni, gdy niebo nad ich głowami pociemniało od setek samolotów Luftwaffe, a pancerne zagony rujnowały ich domy. Polska została pokonana w kilka tygodni. Rozpoczęły się prześladowania i niszczenie Kościoła katolickiego.

I z powodu Polski wypowiedzieliśmy Niemcom wojnę, pomyślała. Tyle z tego pożytku: będziemy następnymi.

Do pokoju wrócił Tony.

– Coś sobie przypomniałem. Masz chwilę? – spytał.

– Właśnie myślałam o tym, co się wydarzyło we wrześniu w Polsce i że Hitler kazał mordować księży katolickich i niszczyć kościoły. Nie ma się co dziwić, że Watykan jest przeciwko nazistom.

– Zgadza się, ale niewielu ludzi o tym wie. Kiedy niedawno byłem w Hiszpanii, Waleczny zauważył mimochodem, że kardynałowie, wybierając na papieża Pacellego, zdecydowali się na najlepszego polityka i męża stanu.

– To mnie nie dziwi; i rzeczywiście Watykan ma swoje tajne służby. Wiemy, bo mamy z nimi do czynienia.

– Tak czy owak ta uwaga wyleciała mi z głowy i dopiero sobie o niej przypomniałem. Pomyślałem, że powinienem ci o tym powiedzieć.

– I dobrze zrobiłeś. To nie wyglądało na ważne, ale myślę, że jednak jest. Dał nam do zrozumienia, na czym stoimy, jeśli chodzi o Piusa XII... że to nasz sojusznik.

– Papież będzie pośrednio walczył z Hitlerem. – Tony się uśmiechnął.

– No właśnie. Musi, jeśli chce zwyciężyć. Naziści chcą zniszczyć jego kościół na całym świecie, a on będzie go bronił za wszelką cenę.

– Mam wrażenie, że Stolica Apostolska to siedlisko intryg. Ale udaje im się przekazywać nam ważne wiadomości.

– Istotnie. Miałaś jakieś wieści od Étoile? Poradziła sobie?

– To zabawne, ale rozmawiałem o tym godzinę temu. Zadomowiła się w Annecy, czyli blisko granicy, na wypadek gdyby musiała szybko zwiewać. Wszystko u niej w porządku.

Diedre ucieszyła się, że Étoile, ich francuska łączniczka, jest w Annecy, przy granicy ze Szwajcarią. Chociaż być może będzie musiała przenieść się na południe ze względu na przebieg wojny we Francji. Przemyśli to podczas weekendu. Wehrmacht walczy z Francuzami w rejonie Dunkierki, a Brytyjczycy pozostawili tam swoje oddziały, by wspierać aliantów.

Prawdopodobnie Prowansja byłaby lepszym miejscem dla Étoile.

Émeraude, ich drugi agent, pozostał w Paryżu, gdzie miał rodzinę; o niego się nie martwiła, przynajmniej na razie.

Niespodziewanie inna myśl zaprzątnęła jej głowę. Czy Canaris zna osobiście papieża Piusa XII? A może ta uwaga, którą rzucił Tony'emu, była bez znaczenia? Wcześniej sądziła, że to jeszcze jedna wiadomość dla niej, że papież w zasadzie jest jednym z nich. Ale skąd Canaris mógłby o tym wiedzieć, jeśli go nie znał?

Miała dobrą pamięć, która i teraz jej posłużyła: cofnęła się do wiosny 1939 roku. O ile się nie myliła, kardynał Eugenio Pacelli został papieżem w marcu lub w kwietniu, a przedtem pełnił

funkcję sekretarza stanu w Watykanie. Był rzymianinem z krwi i kości.

Tyle wiedziała. Poszła do biura Tony'ego i spytała:

– Czy Canaris osobiście zna papieża?

– Nie wiem, ale mogę trochę pokopać, żeby się dowiedzieć – odparł, wskazując jej krzesło.

– W czym ogródku? Musimy być ostrożni.

– Mojego kuzyna ze strony ojca. Jego matka to katoliczka, a on jest księdzem. Jeśli chcesz, zadzwonię do niego.

– Dobry pomysł.

– A o co konkretnie mam go zapytać? Nie mogę przecież wymieniać nazwiska Canarisa.

– Nie, to by było głupie. Powiedz mu, że musisz napisać dla szefa notkę o papieżu i że może on wie coś, o czym ty nie wiesz. Może coś niezwykłego. Jakies ciekawostki, żeby dodać życia notce. No już, łap za słuchawkę.

Tony, zaciekawiony jej dociekliwością w tej sprawie, zrobił, co mu kazała. Wykręcił numer kuzyna i po chwili odezwał się:

– O cześć, Ivor, tu Tony. Jak się masz?

Po krótkiej pogawędce przeszedł do rzeczy.

– Słuchaj, chciałbym skorzystać z twojej pomocy; właściwie po to dzwonię. Muszę napisać coś dla mojego szefa. O twoim szefie, to znaczy o papieżu. Potrzebuję trochę materiału, czegoś szczególnego, może jakiejś anegdoty, żeby dodać pikanterii.

Posłuchał, co mówi kuzyn, i zaczął się śmiać.

– Przecież wiem, że nie znasz żadnych pikantnych szczegółów na jego temat... ale może coś nietypowego? Hobby? Na przykład czy wiele podróżował za granicę?

Po drugiej stronie, w Cardiff, Ivor zawołał:

– Oczywiście, że tak. Był nawet w Ameryce!

– Ho, ho, w Ameryce. A w innych krajach?

– O ile wiem, to w Niemczech. Piastował tam ważne stanowisko – wyjaśnił z dumą Ivor.

– A gdzie w Niemczech? – dopytywał Tony, nie spuszczać oka z Diedre.

– O ile sobie przypominam, był z oficjalną misją w Monachium. A pod koniec lat dwudziestych był nuncjuszem w Berlinie – ale nic więcej nie wiem.

– Dziękuję, stary. To dobre na początek, a gdybyś sobie jeszcze coś przypomniał, daj mi znać w weekend.

Odłożył słuchawkę i zwrócił się do Diedre:

– Jako kardynał Pacelli był nuncjuszem w Berlinie w późnych latach dwudziestych. Tak mi powiedział kuzyn. To interesujące, nie?

– Owszem, i chyba stąd zna Walecznego. Z Berlina. Sądzę, że kardynał Pacelli w młodości był dość towarzyski i poznał wielu ciekawych ludzi. Możesz jeszcze trochę pokopać. Bardzo dyskretną łopatką.

– Mogę spytać, czemu tak cię to interesuje?

– Lubię znać powiązania między ludźmi, jakich mają przyjaciół. To mi wiele mówi. Nie zapominaj, że Canaris zna, i to bardzo dobrze, generała Franco. Wydaje się, że sądzi, iż ma na niego tak wielki wpływ, że może zapewnić neutralność Hiszpanii.

– Nie musisz mi o tym przypominać. Więc Walecznego słuchają i Franco, i papież... – Nie dokończył zdania, bo rozległo się pukanie. William Lawson wszedł i zamknął za sobą drzwi.

– Jak było u premiera? – spytała Diedre.

– Gotów do walki. Przesyła podziękowania mojej jednostce... to znaczy wam obojgu. Pokazałem mu ten papier, wyjaśniłem naszą teorię i chyba się z nią zgadza.

– Pytał, skąd masz tę informację? – spytał dociekliwie Tony.

– Niezupełnie. Spytał: „To dobre źródło?”, a ja potwierdziłem. Dodałem, że pochodzi z Watykanu, a on skinął głową... popatrzył na mnie znacząco, jakby wiedzę o watykańskich szpiegach miał w małym palcu. Chciał wiedzieć, czy może przekazać to C w MI6, i oczywiście się zgodziłem.

– Więc wezwał Menzies? – spytał Tony.

– Istotnie. W mojej obecności. Powiedział mu, czemu tam jestem. MI6 nie dostało informacji o lwach morskich, tak mówił C. Ale dodał, że przyjrzy się temu natychmiast. Zanim wyszedłem, premier powiedział mi, że jego zdaniem Niemcy zaatakują nas mniej więcej za miesiąc. Gdy spytałem, czy ma oficjalne potwierdzenie, zaprzeczył, stwierdził, że czuje to w kościach, i dodał, że Hitler musi poradzić sobie z Francją, zanim dokona inwazji na nas.

– To brzmi sensownie, Will, bo Waleczny zwykle ostrzega nas z miesięcznym wyprzedzeniem – powiedziała cicho Diedre.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY PIERWSZY

Daphne siedziała przy biurku w oranżerii, przeglądając listę rzeczy do zrobienia na dzisiaj. Był słoneczny czerwcowy poranek i w jego świetle poczuła się odprężona. Lubiła to miejsce, które wiele lat temu uznała za swoje. I biurko, ten jej punkt dowodzenia przy zarządzaniu Cavendon. Przebywanie tu odpędzalo troski, choćby na chwilę...

– Daphne!

Głos Hugona sprawił, że gwałtownie zerwała się z miejsca. Mąż spieszył w jej stronę, błądy jak ściana; przestraszył ją wyraz jego twarzy.

– Co się stało? – zawołała, biegnąc ku niemu. – Coś złego? O mój Boże! Nie, tylko nie Charlie! Nie zginął, prawda? – Zaczęła się trząść.

– Nie – krzyknął Hugo. – Nie, nie zginął. Ale jest ciężko ranny. Przyszedł właśnie list z wojska. Uratowali Charliego z Dunkierki, ale został postrzelony w obie nogi. Poważnie. – Przełknął ślinę i dodał drżącym głosem: – Musieli mu amputować lewą nogę.

– O Boże, nie! Nie Charlie! O mój Boże. To zniszczyło mu życie.

– Wiem, że to okropne. – Hugo przytulił ją do siebie. – Ale ma jeszcze jedną nogę, i piszą tu, że dobrze się goi. Zapewniam cię, że to nie zrujnuje mu życia. Jak znam Charliego, poddała temu wyzwaniu.

– Ale co będzie robił? Jak będzie chodził? O kulach? – Spojrzała na niego przez łzy.

– Tylko na początku – odparł Hugo. Starał się ją uspokoić, mimo że sam był wstrząśnięty.

– Kiedy zagoi mu się prawa noga, dopasują mu protezę, a podobno robią bardzo dobre.

W tej chwili do oranżerii weszła Annabel. Widząc zdenerwowanie rodziców, podbiegła do nich i uczyła się ręki matki.

– Charlie nie żyje? – spytała płaczliwie; wciąż spodziewała się najgorszego.

Hugo i Daphne spojrzeli na siebie zdumieni i natychmiast wzięli się w garść. Hugo powiedział z naciskiem:

– Nie, dzięki Bogu nie zginął. Jest ciężko ranny, ale żywy, i to jest cudowne. Żyje!

Wyjaśnił najmłodszej córce, że amputowano mu lewą nogę powyżej kolana, ponieważ wdało się w nią szybko postępujące zakażenie. Na szczęście chirurgowi wojskowemu udało się ocalić prawą nogę. Dochodzi do siebie w wojskowym szpitalu, gdzie ma odpowiednią opiekę.

Annabel słuchała uważnie.

– A kiedy będzie mógł wrócić do domu? – spytała.

– Za kilka miesięcy. Kikut musi się wygoić, a potem dopasują mu protezę. Słyszałem, że są świetne.

– Jak znam Charliego, da sobie radę – oświadczyła Annabel, uśmiechając się do rodziców. – Mam pójść i poprosić Lane'a, żeby zrobił nam herbaty?

– Czemu nie, kochanie. – Daphne udało się odzyskać spokój. Odwróciła się do Hugona. – Usiądźmy na sofie i pogadajmy o przyszłości Charliego. W końcu będzie mógł pisać, a może nawet pracować w gazecie, a przecież właśnie tego pragnął.

Hugo przytaknął. Był bardzo dumny z żony: Daphne zawsze była dzielna, bez względu na okoliczności.



Od tego dnia na początku czerwca Daphne co wieczór dziękowała Bogu za to, że uchronił

jej najstarszego syna, że pozwolił mu żyć. Charlie wreszcie napisał do nich wesoły list. Zawiadomił, że dopasowują mu protezę. Te protezy są lekkie, wspaniale wykonane i na pewno nauczy się chodzić. Będzie znowu mobilny, obiecał.

Ona i Hugo wiedzieli, że utrata nogi to dla młodego człowieka rzecz trudna do zniesienia. Ale stało się, a Charlie pogodził się z losem. Byli przekonani, że nie zmieni to jego pozytywnego podejścia do życia ani go nie spowolni. Cała rodzina była tego pewna.

Minęła połowa czerwca, a wciąż jeszcze nie nastąpił spodziewany atak niemiecki, ale kraj był już dobrze przygotowany, Cavendon również.

Sześć miesięcy temu Harry Swann otrzymał kartę powołania, i choć miał czterdzieści dwa lata, zaciągnął się do sił powietrznych. Nie latał, ale wraz z kobiecą służbą pomocniczą obsługiwał ważny radar przy lotnisku na południu. Kobietom nie wolno było latać, choć wiele z nich chciało być pilotkami, lecz władze zdecydowały, że to zbyt niebezpieczne.

Miles był zwolniony od służby, ponieważ prowadził gospodarstwo rolne; jednak większość młodych mężczyzn z Cavendon poszła na wojnę. Zastąpiły ich urocze dziewczęta z kobiecej służby rolnej. Pracowały ciężko, pomagając Milesowi; kobiety z trzech wiosek jak zwykle wypełniały swoje obowiązki, a członkinie Instytutu Kobiet uprawiały wspólne działki, przerabiały owoce na dżemy, robiły na drutach skarpetki i czapki dla wojska i bardzo się starały podnosić wszystkich na duchu.

Mamy szczęście, że mieszkamy na wsi, pomyślała nagle Daphne. Łatwiej nam zdobyć żywność niż ludziom w miastach, bez kartek i kolejek. Starsi mężczyźni wciąż pracujący w majątku łapali ryby, polowali na ptactwo i króliki; inni hodowali kury. Głównie dla jajek, ale i na mięso. Hrabia od samego wybuchu wojny nalegał, by każdy mieszkaniec wiosek miał równy udział we wszystkim, co wytwarzano na ich ziemi; Alice i Evelyne zajmowały się cotygodniowym rozdziałem tych dóbr.

Tatuś. Myślała teraz o nim i o tym, jak nagle znów nabrał energii. Zdarzyło się tak, kiedy Charlotte złamała nogę, a on poczuł, że musi się nią zaopiekować. Natychmiast się sprężył i przejął nad wszystkim kontrolę. Będzie szczęśliwy, mając w ten weekend rodzinę wokół siebie. Podróże nie były teraz łatwe, ale Diedre i William przyjadą dziś wieczorem z Londynu, DeLacy i Dulcie już są w Cavendon i sprawdzają stan obrazów w magazynie, a James przyjedzie jutro z Catteric Camp, gdzie kręci film propagandowy dla armii.

W jej myśli wdarł się odgłos kroków. Odwróciła się i z radością stwierdziła, że do pokoju wchodzi pani Alice. Skoczyła, by się z nią przywitać. Od lat były sobie wyjątkowo bliskie. Daphne nigdy nie zapomni, że to właśnie Alice Swann, matka Cecily, uratowała jej kiedyś życie i zdrowie psychiczne.

– Mam wspaniałą wiadomość, lady Daphne – oznajmiła Alice. – Evelyne właśnie mi powiedziała, że Kenny’emu już nic nie grozi. Operacja kręgosłupa się powiodła. Przybiegłam prosto tutaj, by pani o tym powiedzieć.

– To znakomita nowina, pani Alice, napiszę dziś wieczorem do Charliego. Będzie zachwycony, że Kenny czuje się lepiej. Bardzo się o niego martwił od rozstania pod Dunkierką.

– Proszę pozdrowić go ode mnie, miłady.

Daphne skinęła głową, zajęła miejsce przy biurku i wskazała gościowi krzesło. Alice usiadła i zaczęła:

– Jest jeszcze parę spraw, o których chciałabym wspomnieć. Pierwsza to lady Gwendolyn. Szczerze mówiąc, sądzę, że nie lubi nowej gospodyni, pani Raymond. Trudno znaleźć pomoc domową, ale lady Gwendolyn nie da sobie bez niej rady. Takie odniosłam wrażenie. I zastanawiałam się, czy Peggy Swift nie byłaby zainteresowana. O rany, powinnam powiedzieć Peggy Lane.

– Też wciąż się tak myślę – roześmiała się Daphne. – Mogę ją spytać, czy nie chciałaby pomóc. Ale to chyba zależy od Gordona. Teraz, kiedy przejął większość obowiązków w domu, może nie chcieć, by jego żona pracowała.

– To samo powiedział Walter – stwierdziła Alice. – Ale możemy przecież spróbować.

– A jak się miewa lady Gwen?

– Mam na nią oko. Trzyma się całkiem dobrze, zwłaszcza kiedy jest ciepło. Ale... – zawahała się.

– Ale co? – spytała szybko Daphne, marszcząc brwi. – Gorzej się czuje?

– Nie, ale w ciągu ostatniego tygodnia zauważyłam pewną zmianę. Często jest nieobecna duchem, tak mi się wydaje. Siedzi w fotelu, patrzy w dal. Naprawdę się starzeje.

– Wiem. I doceniam to, że odwiedza ją pani codziennie. Mówiła mi, jak ją cieszą pani wizyty.

– Chcę jeszcze coś pani powiedzieć, lady Daphne – zaczęła Alice i nagle przerwała, jak gdyby szukając słów.

– Proszę mówić. Po pani minie widzę, że jest jakiś problem.

– Nie jestem pewna, czy to jest problem. Jak pani wiadomo, parę dni temu poproszono mnie, żebym zaopiekowała się nową ewakuowaną. Dziewczynka, która mieszkała u nas, wróciła do Liverpoolu. Nowa dziewczynka jest słodka. Ma na imię Victoria; jest nieśmiała, niepewna, spokojna. Wczoraj wieczorem zobaczyłam ją po raz pierwszy bez ubrania i byłam zaszokowana. Ma na ciele mnóstwo siniaków. Myślę, że tam, gdzie była poprzednio, znęcano się nad nią fizycznie.

– Coś jej pani powiedziała?

– Nie, zorientowała się, że widziałam siniaki, i owinęła się ręcznikiem. Popatrzyła na mnie dziwnie, jakby z zakłopotaniem. Brała wtedy kąpiel.

– Niech pani z nią o tym nie rozmawia i zachowuje się normalnie. Powinna poczuć się bezpieczna, uspokoić się, a wtedy może się pani zwierzyć. Myślę, że tak będzie najlepiej. Proszę nie wspominać o siniakach.

– Dobrze – zapewniła Alice.

Rozmowę przerwało im nadejście lorda Mowbray. Alice życzyła hrabiemu miłego dnia i ruszyła do wyjścia.

– Porozmawiamy później, pani Alice – mruknęła Daphne i uściskała ojca.

– Mam dobrą wiadomość, tatusiu. Kenny wyzdrowieje. Operacja się powiodła i będzie znowu chodził. Pani Alice właśnie przyniosła tę nowinę od jego matki.

– To istotnie dobra wiadomość – odparł Charles Ingham, biorąc ją pod rękę. – Chodźmy na spacer. Taka piękna dziś pogoda.

– Oczywiście, tatusiu. – Daphne spojrzała na niego podejrzliwie, słysząc w jego głosie dziwną nutę. Smutek? Żal? A może rozczarowanie? Nie była pewna.

– Chodźmy nad jezioro – odezwał się, kiedy wyszli na dwór. – Chcę rozprostować nogi i odetchnąć świeżym powietrzem. Angielskim powietrzem. Dziś cały świat mi cuchnie.

– Co się stało? – spytała, zerkając na niego. – Wyglądasz na zawiedzionego, wręcz... zgorzkniałego. – Gdy nie odpowiadał, dodała cicho: – To nie w twoim stylu, tato. Gorycz to nie jest słowo, jakie bym z tobą kojarzyła.

Zatrzymał się i spojrzał na nią. Jego piękna Daphne, wnosząca w jego życie tyle radości, tylekroć była dla niego oparciem. Wciąż była piękna, a ludziom wydawała się delikatna i krucha. Jednak on wiedział, że ma żelazną wolę i stalowy kręgosłup. Nic jej nie pokona. A jej stoicki spokój po otrzymaniu wiadomości, że jej syn został ciężko ranny w nogi i amputowano mu jedną, był godny podziwu.

Nie odniósł się do jej uwagi, ale ciągnął dalej:

– Brytyjczycy walczyli zjadale, pomagając Francuzom odpierać Niemców, gdy ci najechali Francję, a w Dunkierce wspaniale przeprowadzili ewakuację. Uratowali tysiące Francuzów... – Westchnął i dokończył: – A Francuzi mnie zawiedli... – Nie dokończył zdania.

– Mój Boże, nie chcesz chyba powiedzieć, że Francuzi skapitulowali? – zawołała ze zdumieniem. – Mamy tam nasze oddziały, prawda?

– Tak. Drugi Brytyjski Korpus Ekspedycyjny przybył znów z pomocą. I nie, nie skapitulowali. Ale głośno psioczą na nas, twierdzą, że wycofaliśmy się bez uprzedzenia, a oni walczyli, że zostawiliśmy francuskie oddziały na wybrzeżu. Owszem, tak jak niektóre oddziały brytyjskie. Ale z pewnością ich nie zdradziliśmy, a to właśnie sugerują.

– Przyganiał kocioł garnkowi. Hugo mówił mi, że wielu naszych żołnierzy uratowanych z wybrzeża skarżyło się na zachowanie Francuzów.

Hrabia niespodziewanie roześmiał się i przyciągnął ją do siebie.

– Moja ty kochana, praktyczna i rozsądna córko! Mówisz mi: zapomnij o tym, tatusiu. To tylko czcza gadanina.

– Zgadza się. – Daphne się roześmiała. – Mamy ważniejsze sprawy, na przykład co się stanie, kiedy Charlie wróci do domu. Będzie potrzebował naszego wsparcia.

– Nie bój się, cała rodzina go wesprze. – Przez chwilę milczał. – Ależ z nas szczęściarze, że mamy tak silną i kochającą się rodzinę, Inghamów wspieranych przez Swannów. – Po chwili namysłu dodał: – Módlmy się, żeby nasze szczęście przetrwało te koszmarnie czasy.



Tego samego dnia przed kolacją Daphne szukała ojca. Otrzymała w popołudniowej poczcie list od Charliego i chciała podzielić się jego treścią.

Zapukała do drzwi ojcowskiej garderoby. Charlotte otworzyła i przyłożyła palec do ust. Wskazała Charlesa, który stał przy komodzie, słuchając z uwagą spikera BBC, czytającego wiadomości o szóstej.

– Armia niemiecka wkroczyła dziś bez wystrzału do Paryża. Obywatele, którzy zostali w mieście i byli świadkami tego tragicznego wydarzenia, płakali. Inni uciekli wraz z rządem pana Paula Reynauda.

Charles wyłączył radio. Daphne i Charlotte dostrzegły jego gniew.

– Charles, czy to znaczy, że Francuzi skapitulowali? – odezwała się Charlotte.

– Nie sądzę. Ale nie wątpię, że to uczynią.

– Więc po prostu uciekli? – spytała Daphne, wpatrując się w ojca. – Czy zostaną uznani za tchórzy?

– Niektórzy w to uwierzą. Chociaż jest mi smutno, osobiście nie sądzę, że są tacy. Może rząd i wielu mieszkańców opuściło Paryż, by go uratować. Zostawiając puste miasto, by je przejęli Niemcy, najprawdopodobniej zapobiegli ostrzałowi artyleryjskiemu, ogólnemu zamętowi oraz zniszczeniu wielu najpiękniejszych budowli świata.

– Naprawdę w to wierzysz, kochanie? – spytała Charlotte. Usiadła i spojrzała uważnie na męża. Pamiętała, że wcześniej wyglądał na rozżłoszczonego.

– Chcę tak myśleć... – powiedział po dłuższym milczeniu. – Wolę to, niż rozważać jakieś inne motywy tej nagłej ucieczki, dezercji. Nie uważasz, że to lepsze?

– Owszem. I sądzę, że dowiemy się więcej z wiadomości o dziewiątej. A na razie powinniśmy pójść na dół. Nie wiem jak ty, Daphne, ale ja mam ochotę na cocktail. Po raz pierwszy w życiu naprawdę potrzebuję drinka.



Po kolacji wszyscy przeszli do biblioteki, by wysłuchać wiadomości o dziewiątej i przemówienia premiera. Był to stały rytuał, którego żadne z nich nie chciało przegapić. Słuchanie tego tubalnego głosu z jego niepowtarzalną intonacją zawsze podnosiło ich na duchu i wzmagало wolę zwycięstwa.

Kilka dni później znów się zebrali, by wysłuchać specjalnego przemówienia premiera po kapitulacji Francji.

W pokoju panowała cisza, a gdy Churchill zbliżał się do końca przemówienia, Charles podszedł do radia, czekając na jego ostatnie zdania. Uważał je za najlepsze i najbardziej poruszające.

Churchill zniżył głos i po krótkiej przerwie powiedział:

– Skończyło się to, co generał Weygand nazwał bitwą o Francję. Spodziewam się rychłego rozpoczęcia bitwy o Anglię. Od tego starcia zależy przyszłość chrześcijańskiej cywilizacji. Od niego zależy istnienie Wielkiej Brytanii i ciągłość prastarych instytucji Imperium. Cała wściekłość i potęga wroga w niedługim czasie zwróci się przeciw nam. Hitler wie, że chcąc wygrać wojnę, musi złamać naszego ducha walki. Jeśli przeciwstawimy mu się, cała Europa zostanie wyzwolona, a świat wyjdzie na przestronne, jasne wyżyny wolności; lecz jeśli przegramy, wówczas cały świat, w tym Stany Zjednoczone i wszystko, co jest nam znane i drogie, stoczy się w przepaść nowego średniowiecza, które w świetle wypaczonej nauki będzie jeszcze bardziej ponure. Przygotujmy się więc do czekającej nas próby i czyńmy tak, aby ludzie po tysiącu lat istnienia Imperium Brytyjskiego i Wspólnoty Narodów nadal mówili: To była godzina ich największej chwały[3].

Nikt się nie odzywał, a niektórzy płakali cicho, tak ich poruszyły słowa przywódcy. A ponieważ ich zaufanie do niego było już głęboko zakorzenione, wiedzieli, że zrobią wszystko co w ich mocy, by zapewnić zwycięstwo, w które wierzył Churchill.

3 Tłum. Maria Zborowska, w: *Krew, znój, łzy i pot*, Zysk i S-ka, 2001.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY DRUGI

Worki z piaskiem wokół wejścia do hotelu Dorchester, pomyślała Cecily, wchodząc do środka w asyście Hugona. To zabawne. Cóż, trwa wojna.

– O rany, co za ruch! – zawołał Hugo, przechodząc przez hol. – A mnie się zdawało, że cały Londyn chowa się po piwnicach. Srodze się myliłem.

Cecily się roześmiała. Uwielbiała Hugona, był jednym z najlepszych i zawsze polegała na nim jak na Milesie. Kochany Miles. Nie chciał, żeby jechała w tym tygodniu do Londynu ze względu na nasilające się działania wojenne, ale ustąpił, kiedy zdradziła mu swój sekret. Była w trzecim miesiącu ciąży i na jutro rano miała wyznaczoną wizytę u lekarza. „Ale nie mów o tym jeszcze rodzinie”. Zrozumiał i obiecał, że nie piśnie słowa. Lecz kiedy poszli spać, przytulił ją mocno, nie mogąc ukryć podniecenia, i rozmawiali o tym, dopóki nie zasnęli. Po jej poronieniu długo się starali o następne dziecko, więc wiedziała, że ta wiadomość go ucieszy. Miała już trzydzieści dziewięć lat, i to była jej ostatnia szansa, przynajmniej tak uważała. Miles zgodził się na jej wyjazd do Londynu tylko dlatego, że jechał z nią Hugo. Mieli się zatrzymać w ich domu przy South Street i wrócić razem do Cavendon na weekend. Hugo był umówiony na parę ważnych spotkań w interesach.

W przestronnym holu hotelowym kłębiła się masa ludzi. Jedni stali, gawędząc, inni kierowali się do słynnego Grill Roomu. W hotelu panował tłok, tak jak w całym Londynie. Cecily zauważyła to już parę tygodni temu, kiedy przyjechała tu z Milesem. Wszędzie było pełno wojska, poborowych i oficerów, marynarzy i cudzoziemców – niektórzy elegancko ubrani, inni wyglądali jak uchodźcy.

Ale na pewno nie było tu pilotów RAF-u. Krążyli po niebie, walcząc z Luftwaffe. Bitwa o Anglię zaczęła się dziesiątego lipca, a teraz był dwudziesty czwarty. Luftwaffe brało na cel lotniska, fabryki samolotów i bazy lotnicze. Niemcy atakowali też zażarcie lotniska RAF-u otaczające Londyn. Bombowce typu Dornier i Henkel próbowały dotrzeć do celu, zaś fantastyczne małe spitfire'y, tajna brytyjska broń, jak mawiał Noel Jollion, wznosiły się, by zestrzelić je z „bezkresnego błękitu” – było to ostatnio jego ulubione powiedzonko.

Czasem, będąc w Londynie, Cecily obawiała się walk w powietrzu, ale jakoś jej się udawało tłumić ten lęk. Zresztą Miles nalegał, żeby wkrótce zaczęła prowadzić wszystkie swoje interesy z Cavendon.

Szef sali przywitał ich serdecznie przy wejściu i zaprowadził do stolika w cichym kącie. Hugo oznajmił, że wprawdzie czekają na gości, ale już teraz chciałby zamówić butelkę Dom Pérignon.

Gdy się usadowili, Cecily powiedziała:

– Tak się cieszę, że Daphne udało się namówić ciotkę Gwen, by trochę ograniczyła liczbę gości. Nie musi zapraszać aż setki ludzi tylko dlatego, że kończy w październiku sto lat.

– Masz rację. – Zachichotał. – Ale nie było łatwo jej przekonać. Wciąż jest jak tygrysyca, stara dobra cioteczna babka Gwendolyn. Oczywiście to typowa Inghamówna.

– Więc na czym w końcu stanęło?

– Mniej więcej dwadzieścia pięć osób spoza rodziny i my wszyscy. Problem polega na tym, że wątpię, by zostało jej choćby dwadzieścioro przyjaciół. Większość już dawno pomarła. My – to znaczy rodzina – od wielu lat byliśmy jej całym życiem.

– Tak, wiem. Ale spójrzmy prawdzie w oczy, to wciąż wspaniała postać. I nasza nestorka.

Cieszę się, że robimy to przyjęcie dla niej. Tak jej na nim zależało.

– Zasluguje na nie.

Hugo skosztował wina i poprosił kelnera o napełnienie kieliszków. Spojrzał na Cecily i mówił dalej:

– Chciała zostawić mi swój dom i była zdziwiona, że go nie chcę. A potem spytała, czy nie będę miał nic przeciwko temu, żeby zostawiła go Diedre, a nie któremuś z moich dzieci. Naturalnie powiedziałem, że nie.

Cecily milczała przez chwilę, a Hugo przyglądał się jej z zaciekawieniem.

– Tak, wiem o tym – powiedziała wreszcie.

– Wiesz? – Hugo wyglądał na zbitego z tropu. Patrzył na nią, marszcząc brwi.

– Poprosiła mnie i Charlotte, żebyśmy poświadczyły kodycył do jej testamentu. Ma słabość do Swannów, czyżbyś tego nie zauważył?

– Wszyscy to widzą od stuleci! Jest rodzinne powiedzenie, że Inghamowie durzą się w Swannach. I niech ten miły zwyczaj trwa nadal – dodał, trącąc się z nią kieliszkiem. – Sącząc szampana, spytał: – A jak się wiedzie Harry’emu?

– Całkiem dobrze, choć strasznie tęskni za Palomą. Jest w niej bardzo zakochany... a większość naszych mężczyzn w mundurach tęskni za ukochanymi.

– Ale nie zawsze za żonami – odparł z uśmiechem Hugo. – Tylko żartowałem, Ceci. Wiem, że zginąłbym bez mojej kochanej Daphne.

W milczeniu pili wino. Po chwili Hugo powiedział ze zdziwieniem:

– Nic tu nie wskazuje na to, że trwa wojna. Spójrz, jakie fantastyczne jedzenie i wina podają. Zdziwiająca.

Cecily otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale przerwała w pół słowa.

– O, idzie Emma i jej przyjaciel, Blackie O’Neill. Polubisz ich. A ona jest moją bliską przyjaciółką.

Hugo wstał, by przywitać się z jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie spotkał. Miała krótkie kasztanowate włosy i intensywnie zielone oczy, z którymi współgrała szmaragdowa broszka i kolczyki. Cóż za oszałamiająca twarz, pomyślał.



Cała czwórka z przyjemnością zjadła lunch. Hugo był zafascynowany Emmą Harte, nie tylko piękną, ale też wyjątkowo mądrą kobietą. Nic dziwnego, że Cecily była nią zauroczona, lubiła robić z nią interesy i uważała ją za swoją bohaterkę.

Jednak Hugo zdawał sobie sprawę, że Cecily zrobiła karierę na długo przed poznaniem Emmy. Zaczęły współpracować dopiero pod koniec lat dwudziestych. Cecily wciąż miała butiki z odzieżą w domu towarowym Harte w Knightsbridge, a Emma była jej współniczką w kolekcji biżuterii z Cavendon.

Podczas głównego dania, zapiekanki z kurczakiem, Emma spojrzała na niego i powiedziała:

– Mój brat, Winston, stracił nogę podczas Wielkiej Wojny i od ponad dwudziestu lat nosi protezę. Proszę dać mi znać, jeśli pański syn będzie potrzebował pomocy. Winston z przyjemnością z nim porozmawia.

– Dziękuję bardzo, pani Harte, to bardzo miłe z pani strony. Charlie rzeczywiście może potrzebować kogoś, z kim będzie mógł porozmawiać, kiedy wróci do domu. Kogoś spoza rodziny. Jest bardzo dumny i niezależny – dodał z uśmiechem.

– Rozumiem – odparła Emma. – Protezy, które teraz produkują, są o niebo lepsze od

poprzednich modeli. Zginają się w kolanie i w kostce, bo mają specjalne zawiasy. I robi się je z bardzo lekkiego tworzywa. Ale pański syn będzie musiał nauczyć się jej używać.

– Gdy spotka pan Winstona, pomyśli pan, że lekko utyka, to wszystko – wtrącił Blackie.

– To prawda – dodała Cecily. – Znam Winstona; bardzo dobrze chodzi.

– I nie przeszkadza mu to w codziennym życiu – zakończyła Emma.

Hugo jeszcze raz podziękował i spojrzął na Blackiego.

– Powiedział pan, że Dorch, jak o nim ostatnio mówimy, to najbezpieczniejszy hotel w Londynie. Dlaczego?

Blackie rozpromienił się, uradowany, że może pogadać o swojej ulubionej dziedzinie – budownictwie i konstrukcjach.

– Przede wszystkim jest stosunkowo nowy, zbudowany niespełna dziesięć lat temu, cały ze zbrojonego betonu. W zeszłym roku obłożono workami z piaskiem wejścia i wzmocniono dach. Znam człowieka, który go budował, sir Malcolma McAlpine'a. On mi wszystko objaśnił. Skorzystałem z jego pomysłów w paru moich hotelach i budynkach.

– To bardzo interesujące – zauważył Hugo, myśląc o Cavendon Hall, które wciąż wymagało remontu. Blackie O'Neill to cenna znajomość. A posiadanie w tych czasach bezpiecznego budynku było jeszcze cenniejsze.



Cóż to za fantastyczna kobieta, ta Emma Harte – stwierdził Hugo, gdy po lunchu szli South Audley Street. – Ale wyczułem w niej jakiś smutek.

– Masz rację, tak jest. Mniej więcej rok temu zmarł jej ukochany i była załamana. Ale mają córkę, Daisy, i Emma pozbiierała się dla dobra dziecka. Ale obawiam się, że nigdy nie przeboleje śmierci Paula McGilla.

– A rzeczywiście! Przypominam sobie nekrologi. Był wielkim australijskim magnatem.

– Ale mieszkał z Emmą w Londynie.

Przerwał jej dźwięk syren oznajmiających nalot. Hugo złapał ją za rękę.

– Biegiem, Ceci, musimy wracać na South Street.

– Hugo, proszę cię, nie mogę biegać. Nie zrzucają tutaj bomb. Kierują się na lotniska. – Mówiąc to, spojrzała w górę i zadrżała. Niebo pociemniało od lecących w szyku niemieckich samolotów.

Potknęła się i upadła. Padając, zmieniła nieco kierunek i wylądowała na lewym boku. Leżała przepelniona lękiem. Dziecko. Była zrozpaczona.

Hugo pochylił się nad nią.

– Cecily, dobrze się czujesz? Pomogę ci wstać.

– Poczekaj chwilkę – odparła i zaczęła głęboko oddychać.

Nagle pojawił się przy nich członek cywilnej obrony przeciwlotniczej.

– Mogę pani pomóc wstać, pani Ingham? – spytał. Był to pan Clewes, odpowiedzialny za ten rejon.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, usłyszała głos Alicii:

– Ojej, tatusiu, puść mnie do Ceci. Muszę ją podnieść. – Dziewczyna pochyliła się nad nią. – Odpręż się, poczekaj chwilę, a potem postawimy cię na nogi. Pan Clewes weźmie cię pod jedną rękę, a ja pod drugą.

– Dziękuję – szepnęła Cecily. Wzdrygnęła się, gdy syreny zawyły ponownie. Strasznie się bała tego dźwięku. Brzmiał jak podzwonne.



Eric i Laura Swannowie stali na progu domu przy South Street, wyraźnie zaniepokojeni, że Cecily poszła do miasta. Na jej widok Eric podbiegł, by pomóc, ale zaraz się zorientował, że dobrze się nią zaopiekowano.

Podziękowali panu Clewesowi i weszli do domu. Alicia posadziła Cecily na krześle w holu.

– Mam nadzieję, że nic sobie nie zrobiłaś – powiedział Hugo, zatroskany i z poczuciem winy. – Nie powinienem cię zmuszać do biegu.

– W porządku, Hugo – odparła Cecily. – Jest dobrze, nic sobie nie złamałam. – I nie poronię, mam nadzieję, pomyślała. Naprawdę ją zirytował, ale już dawno temu nauczyła się, że złość to strata czasu. Nic nie dawała, tylko przeszkadzała w pracy.

Laura Swann oznajmiła, że zrobi herbatę, a Eric poszedł za siostrą do kuchni. Dowodzenie przejęła Alicia.

– Zabiorę Ceci na górę, tatusiu. Zaraz wracam.

W sypialni Alicia zdjęła pelerynę Czerwonego Krzyża i pomogła Cecily się rozebrać. Idąc ulicą, zauważyła, że Cecily w pewnej chwili osłoniła rękami brzuch.

– Jesteś w ciąży, prawda? – spytała.

– Nikt o tym nie wie. Miles i ja nie wspomnieliśmy jeszcze o tym rodzinie, więc niech to zostanie między nami. Mam nadzieję, że dziecku nic się nie stało.

– Jestem pewna, że wszystko z nim w porządku, Zauważyłam, że upadłaś na bok. Swoją drogą, nic po tobie nie widać. Który to miesiąc? Trzeci?

– Właśnie minął. Możesz mi podać szlafrok? Wisi w garderobie.

Cecily położyła się i po chwili poczuła się lepiej.

– Dziękuję ci, bardzo mi pomogłaś – powiedziała. – Tak mi ulżyło, kiedy usłyszałam twój głos.

– Cieszę się, że akurat wracałam do domu. Nie wyobrażam sobie, jak tatuś i pan Clewes by sobie poradzili. Mężczyźni mają dobre intencje, ale pod pewnymi względami są głupi.

Cecily uśmiechnęła się i wyciągnęła ręce do Alicii. Ta pochyliła się i uściskała ją.

– Nie martw się o dziecko. Jestem pewna, że wszystko będzie dobrze.



Diedre uniosła głowę, gdy otworzyły się drzwi jej biura i wszedł William. Zamknął je i oparł się o nie.

– Operacja Lew Morski. Niemiecki kryptonim inwazji na Wielką Brytanię.

– Skąd wiesz?

– Właśnie rozmawiałem z C z MI6. Dostał odpowiedź tydzień temu, ale chciał to jeszcze sprawdzić. Teraz to już pewne. Premier wie o tym. A Menzies chciał, żebyśmy i my wiedzieli. No tak, operacja Lew Morski. Waleczny miał rację; ostrzegł nas.

– Ale inwazja się zaczęła... jesteśmy w samym środku bitwy o Anglię, czyż nie tak?

– Owszem, w powietrzu. C uważa, że Operacja Lew Morski oznacza inwazję lądową.

Sądzi, że zaczną od wściekłego bombardowania miast i miasteczek, a nie tylko lotnisk i fabryk amunicji, jak to teraz robią. Mówi, że Wehrmacht przekroczy kanał i zaatakuje nas na lądzie. Ale ja wiem, że dobrze przygotowaliśmy obronę wybrzeży. Wszędzie wysłano posiłki. I pamiętaj, że mamy coś, czego nie mają Niemcy: radary. I, na Boga, one nas chronią, bo wykrywają wszystko, co się rusza.

– Wiem, że Churchill naciska na Beaverbrooka, by produkować więcej samolotów, i na

wszystkich innych, by wzmocnić obronę wybrzeży. – Uśmiechnęła się i dodała: – Pamiętasz wiadomość z zeszłego tygodnia?

– Żaden niemiecki but nie będzie stąpał po angielskiej ziemi? Albo jakoś tak. Chyba to masz na myśli?

– Tak, a przyszła od kontaktu w Hiszpanii.

– Przez Hiszpanię. Od Walecznego – uściślił. Usiadł naprzeciwko niej. – Ufam mu bez zastrzeżeń. Wie, co robi, pomagając nam. Chce tego.

Diedre milczała.

– O co chodzi? Wyglądasz na zmartwioną – spytał.

– Chciałabym wiedzieć, czy ktoś go ochroni.

– Sądzę, że C może to zrobić. Albo, inaczej rzecz ujmując, MI6 najprawdopodobniej mu pomoże.

– Lepiej się czuję, gdy to słyszę.

– Chodźmy na spacer do Green Park zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Dzień jest taki piękny. Pogoda jest ostatnio niewiarygodna – wręcz idealna, a jednak świat pogrąża się w chaosie.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

Pogoda była przepiękna. Przez kilka ostatnich tygodni słońce świeciło co dzień przez cały czas. Niebo było błękitne, bez żadnej chmurki. Bezblędne w świetle ogarniętym obłędem, myślała Dulcie, zmierzając do domu towarowego Harte w Knightsbridge.

Mieli dobry dział spożywczy i wciąż oferowali sporo produktów, na przykład słynne pasztety z dziczyzny, wieprzowiny i drobiu, a także rozmaite rodzaje szynki. Ale zauważyła, że i tu, jak w większości sklepów, zaczynało brakować towarów. Rosalind, Juliet i Henry zamieszkali na czas wojny w Cavendon, więc miała ich kartki, co oznaczało, że podczas pobytu w Londynie ona i James mogą się lepiej odżywiać.

Idąc, rozglądała się dokoła. Kochała Londyn i podziwiała pozytywne i optymistyczne nastawienie londyńczyków. Przechodząc przez Eaton Square, gdzie mieszkali, skinęła głową znanej z widzenia sprzątacze i pozdrowiła czyściciela okien, który obsługiwał cały plac. Podbiegł do niej.

– Co za dzień, milady – powiedział z szerokim uśmiechem. – Co za lato mamy. Jeszcze nie widział takiego. Jakbyśmy nie mieli na dokładkę nazistów, tobyśmy żyli w doskonałym świecie.

– Ma pan całkowitą rację, Eddie – roześmiała się Dulcie. – Ale i tak ich pobijemy.

– Wiem, że tak, oni nie wiedzą, z kim zadarli.

– No właśnie.

Zasalutował jej, jak zwykle, uśmiechnął się i wrócił do swojego zajęcia.

Eddie był rodowitym londyńczykiem i patriotą. Ale wszyscy, których spotykała, byli ulepieni z tej samej gliny. Listonosz, członek obrony przeciwlotniczej, mężczyzna, który był szefem miejscowej straży obywatelskiej, policjanci na obchodzie, gazeciarze – wszyscy robili swoje, śmiejąc się i żartując, pewni, że nikt ani nic ich nie pokona.

Dotarła wreszcie do Harte, kupiła pasztet, oddała kartki, zapłaciła i wyszła. Skręciła za róg do swojego rzeźnika. Uśmiechnął się na jej widok. O dziwo, w sklepie nie było kolejki.

– Dzień dobry, lady Brentwood. Mam coś dla pani – powiedział rzeźnik. Rzucił okiem na drzwi, zniknął na zapleczu i wrócił z paczką. – Trzymałem te kotlety dla pani. Dostałem wczoraj trochę jagnięciny, a sir James ją lubi.

– Dziękuję panu bardzo, panie Westin. To miło z pana strony – odparła Dulcie, wręczając mu książeczkę. – Mam nadzieję, że wystarczy mi kartek na kotlety.

Rzeźnik skinął głową, wziął kartki i podał jej paczkę. Zapłaciła i szepnęła:

– Jak mąż będzie miał premierę, zorganizuję bilety dla pana i pani Westin. Na honorowych miejscach.

Rzeźnik się rozpromienił.

– Czy jakieś teatry znów się niedługo otworzą? – spytał z zainteresowaniem.

– O ile wiem, to nie. – Dulcie się skrzywiła. – Są zamknięte, tak samo jak kina. Wszystko jest zamknięte. Nawet moja galeria i wszelkie miejsca, gdzie gromadzą się ludzie.

– Sądzę, że to dla naszego bezpieczeństwa, ale muszę powiedzieć, że Londyn nocą jest dość ponury, zwłaszcza z powodu zaciemnienia.

– Wiem, ale zaciemnienie jest konieczne. Premier nie chce, by było widać choćby promyk światła z okien. Ze względu na nocne bombardowania.

– Dzięki Bogu, że pan Churchill przewodzi krajowi! – zawołał rzeźnik. Pożegnał się z nią

i zajął trzema klientkami, które weszły do sklepu.

W drodze do domu Dulcie rozmyślała o teatrze i o Jamesie, który od miesiący był markotny i nerwowy, co nie było u niego normalne. Głównie dlatego, że nie miał co robić. Występował w rządowych filmach propagandowych kręconych dla ministerstwa informacji, bo nie produkowano żadnych przedstawień ani filmów.

To ona wpadła na pomysł, który mu pomógł. Zaproponowała, żeby zebrał grupę znajomych aktorów i by tworzyli spektakle dla wojska.

– Możesz ją nazwać Wojaże dla Wojska – rzuciła żartem. Ale Jamesowi spodobała się nazwa i pomysł, więc zaraz zadzwonił do Edwarda Glendenninga, ojca Palomy.

W ciągu kilku tygodni skompletowali zespół i postanowili robić raczej programy rewiowe niż dramaty sceniczne. Wojsko potrzebowało rozrywki, chciało się śmiać z komików, słuchać popularnych piosenkarzy.

Z pomocą Feliksa Lamberta i jego żony wkrótce byli gotowi ruszyć w drogę.

– Nasz teatrzyk najpierw pojedzie do Catterick Camp – powiedział jej w zeszłym tygodniu James. – Więc przez parę dni będę z tobą w Cavendon, a Edward zatrzyma się u Palomy.

Dulcie nie lubiła, kiedy James był niezadowolony. Byli dobrym małżeństwem, rzadko się kłócili. Ale nie ma nic gorszego niż mężczyzna, który nie ma zajęcia i nie wie, co robić z czasem.

Gdy zbliżała się do Eaton Square, zawyły syreny, więc puściła się biegiem, choć spowalniała ją torba z zakupami. Wpadła do holu w samą porę, by odebrać telefon. Dzwonił James.

– Udało ci się wrócić, kochanie.

– Tak, wszystko w porządku. Gdzie jesteś? W sali prób?

– Tak, ale schodzimy do piwnicy. Tam jest schron przeciwlotniczy. Aha, czy mamy dość jedzenia, jeśli przyprawdę Edwarda?

– Tak. Rzeźnik dostał wczoraj trochę jagnięciny i odłożył parę kotletów, bo wie, że je lubisz.

– Mogę tylko powiedzieć, że na szczęście Henry jest w Cavendon, bo gdyby był w domu, musiałabyś je oddać. – Zachichotał. – Kocham cię, do zobaczenia wieczorem.

– Też cię kocham – powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Zaniosła torbę z zakupami do kuchni, gdzie czekała na nią pani Pearl. Wręczyła jej torbę i spytała:

– Jak pani myśli, powinniśmy zejść do piwnicy?

Gospodyni wzruszyła ramionami.

– Nie sądzę, żeby to było konieczne. Szwabry nie będą zrzucały bomb na Londyn. Na pewno znów zaatakują fabryki amunicji. Ale jeśli pani chce, pójdę z panią.

– Och, dajmy sobie spokój – odparła Dulcie. – Zaraz odwołają alarm. Aha, na kolacji będzie o jedną osobę więcej. Przyjdzie pan Edward Glendenning.



Pod jej nieobecność przyniesiono pocztę, więc zabrała się do otwierania listów. Nagle zaczęła się śmiać na myśl o Henrym. Miał teraz osiem lat i choć z wyglądu był podobny do ojca, odziedziczył po niej silną osobowość i upodobanie do barwnego słownictwa.

Śmiała się, bo uwaga Jamesa przypomniała jej o konfrontacji Henry'ego z Milesem. Jedna z ich pracownic, Antonia Morgan, namówiła Milesa na kupno stadka owiec, bo cała rodzina lubiła jagnięcinę. Przekonywała, że w ten sposób zaoszczędzi się kartek na żywność.

Miles uznał pomysł za sensowny i pewnego dnia rodzinę zaskoczył widok owiec wędrujących po polach. Miles wiedział, że nie powinny zbliżyć się do terenów łowieckich, więc zbudowano dla nich zagrodę w sąsiedztwie cygańskich wozów, gdzie mieszkała Genevra i jej rodzina.

Tylko Genevra wiedziała, że Henry polubił jedną z owiec, „dziewczynkę owieczkę”, jak ją nazywał. Nadał jej imię Ofelia i codziennie przychodził się z nią pobawić. Zawiązał jej nawet na szyi różową wstążkę, choć i tak umiał ją rozpoznać. Była najmniejsza z całego stadka.

Niestety Henry usłyszał rozmowę Antonii i Milesa na temat oddania owiec do rzeźni.

Tego samego dnia oświadczył, że to paskudna rzecz i że jego Ofelia nie pójdzie pod nóż. Dodał, że jeśli ojciec jest głodny, może sobie zastrzelić własnego psa.

Miles w rozmowie z Dulcie stwierdził, że Henry odziedziczył nie tylko jej wybuchowy temperament, ale też szokujące słownictwo, a ona poprosiła, by nie robił krzywdy tej owcy.

– Dobrze – obiecał.

Rozmyślenia przerwał jej dźwięk telefonu. Dzwoniła DeLacy.

– Chciałam ci opowiedzieć o moim pomysle, co zrobić z dziełami sztuki. O kurczę, odwołują alarm.

– Poczekam.

Po chwili syreny ucichły i mogły porozmawiać. Potwierdziły też, że obie będą w Cavendon na ich cosobotnim porannym spotkaniu.

– Mamy do rozstrzygnięcia sporo problemów – dodała Dulcie.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY CZWARTY

Od wielu lat cztery De i Cecily spotykały się co sobota w oranżerii. Gdy Harry ożenił się z Palomą, zrobiła się ich szóstka, bo dziewczyna natychmiast przyłączyła się do nich.

Tej konkretnej soboty pod koniec lipca zebrały się przy kawie, by omówić sytuację w majątku i przedyskutować wszelkie możliwe problemy.

Dulcie oznajmiła, że ona i DeLacy mają poważny kłopot, ale chyba znalazły już na niego sposób.

– Zanim Hanson przeszedł na emeryturę – wyjaśniła – polecił wykonać drewniane skrzynie, do których zapakowano rodzinne obrazy. Zrobił je Ted Swann ze swoimi pracownikami mniej więcej dziesięć miesięcy temu – przed wybuchem wojny. I wtedy ustawiono je w skarbcu. Resztę owinięto w grube pikowane tkaniny i również złożono w skrzyniach. DeLacy i ja sprawdzałyśmy regularnie, czy płótna są w dobrym stanie. Dwa tygodnie temu postanowiłyśmy wyciągnąć obrazy ze skrzyń, bo zrobiły się ciepłe, a jeden czy dwa były nawet wilgotne. Więc być może skrzynie są niepotrzebne.

Pierwsza odezwała się Paloma:

– Drewniane skrzynie mogą sprawić, że obrazy zaczną się pocić. Moim zdaniem dobrze zrobiłyście.

– Wiem, że tak jak ja studiowałaś historię sztuki – włączyła się DeLacy. – I zastanawiam się, czy zgodzisz się ze mną... Uważam, że należy po prostu ustawić obrazy pod ścianami. Będą tam miały warunki zbliżone do tych panujących w domu.

– To prawdopodobnie najlepsze rozwiązanie – przyznała Paloma. – Ale powinniście porównać temperaturę w domu i tę w skarbcu. Czasem też dobrze założyć klimatyzację. Czy tam na dole jest prąd? Można tam podłączyć klimatyzator?

– O tak, można – wtrąciła Daphne. – Od wielu lat jest tam prąd, co zawsze mnie cieszyło.

– Obrazy należące do mojej galerii są ustawione pod ścianami w innym pomieszczeniu, i są w dobrym stanie – powiedziała Dulcie.

– Sprawdźmy to jeszcze raz – zaproponowała DeLacy, a Paloma poparła tę propozycję.

Diedre spojrzała z uśmiechem na Daphne.

– Cieszę się, że zgodziłaś się na odejście Susie Jackson. Nie ma sensu namawiać do pozostania kogoś, kto koniecznie chce odejść, by wziąć udział w wojnie. I tak się przegra.

– Była w bardzo bojowym nastroju – wyjaśniła Daphne. – W końcu dałam sobie spokój. A zresztą Cecily w parę dni znalazła nową kucharkę.

– Wielu ludzi chce wyjechać z Londynu, bo boją się nalotów – stwierdziła Cecily. – Zadzwońłam do Erika. Ma przyjaciela, którego córka jest mistrzynią kucharską. Nazywa się Meggie Trade i z entuzjazmem przyjęła propozycję pracy.

– Meggie przyjechała w zeszłym tygodniu do Yorkshire i przyrządziła nam parę posiłków – powiedziała Daphne. – Tatusiowi i Charlotte smakowało to, co przygotowała, więc tu nie ma problemu. Charlotte parę dni temu zaproponowała jej pracę. Będzie tu przez kilka następnych dni, gotując dla wszystkich. Potem pojedzie do Londynu po rzeczy i wróci na stałe.

– Czekam, aż uraczy nas swoimi specjalnościami – rzekła wesoło Diedre, a potem zmieniła temat: – Chcę omówić coś jeszcze. Sądzę, że powinniśmy mieć w każdej wsi funkcjonariusza obrony przeciwlotniczej. Wiem, że wszyscy wiedzą, co robić: zejść do piwnic albo schronów. Ale uważam, że w każdej wiosce powinien być ktoś odpowiedzialny, do kogo

każdy może przyjść. I druga sprawa: dobrze byłoby stworzyć punkty pierwszej pomocy z dyżurami przeszkolonych pielęgniarek. Na wszelki wypadek.

– Sądysz, że mogą nas zbombardować? – spytała z niepokojem Daphne. – Po co mieliby atakować wioski? Po co zabijać krowy?

– Dobrze, że nie wspomniałaś o jagniętach – mruknęła Dulcie, udając smutek.

– Och, rzeczywiście, zapomniałam o Ofelii – roześmiała się Daphne.

– To jak będzie ze służbą przeciwlotniczą i punktem pierwszej pomocy? – przywołała je do porządku Diedre.

– Podoba mi się ten pomysł – powiedziała Paloma.

– Mnie też – zgodziła się Cecily.

– Świetnie. Porozmawiam z tatusiem i Charlotte, no i z panią Alice. Ona... – przerwała, bo w drzwiach stanął Lane.

– Tak, Lane?

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale jest telefon do pani Milesowej.

– Dziękuję, Lane.

Cecily zerwała się na nogi i wybiegła z oranżerii. Miała nadzieję, że nic się nie stało w którejś z fabryk w Leeds. Pracowali tam w nadgodzinach i w weekendy, produkując płaszcze wojskowe na zamówienie rządu, który najwyraźniej spodziewał się, że to będzie długa wojna.

W holu czekała na nią zaniepokojona Charlotte.

– Co się stało? – spytała Cecily, podchodząc do niej pośpiesznie.

– Chodzi o ciotkę Gwendolyn. Peggy właśnie do mnie dzwoniła. Ciotka prosiła, żebyśmy się obie u niej pojawiły. Przez ostatnie parę dni nie czuła się dobrze. Lepiej chodźmy tam od razu.

Cecily przytaknęła. Opuścili Cavendon Hall i bez słowa ruszyli ścieżką przez park.



Peggy Swift, niegdyś pokojówka Daphne, a teraz żona Gordona Lane, była oddana całej rodzinie. Przywitała je w drzwiach Little Skell Manor.

– Gdzie jest lady Gwendolyn? – spytała Charlotte.

– W saloniku milady. Uparła się, żeby wstać i się ubrać. Uczesałam ją, a ona jak zwykle nałożyła róż i szminkę. Sama. A potem poprosiła, żebym panie wezwała. Chce z paniami porozmawiać.

Cecily zerknęła na Charlotte i delikatnie popchnęła ją, by poszła przodem. Weszła za nią i zamknęła drzwi.

Lady Gwendolyn siedziała w ulubionym fotelu. Cecily zauważyła, że ma na sobie jedną z jej sukni – z purpurowego jedwabiu ze zwiewnym szyfonowym żabotem. Włożyła też perłowe kolczyki, które, jak obie wiedziały, wiele lat temu podarował jej Mark Swann.

– Jak to miło widzieć moje dwie najdroższe Swannówny – odezwała się na ich widok. – Co by Inghamowie poczęli bez Swannów? Moim zdaniem na pewno nie byłiby tak szczęśliwi. Usiądźcie tu koło mnie.

– Jak się czujesz, ciociu Gwendolyn? – spytała Charlotte.

– Dobrze. Ale też czuję, że jestem gotowa, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Cecily spojrzała na nią ciepło i ujęła ją za rękę.

– Gotowa na odejście? O to ci chodzi? Swoją drogą, rzeczywiście wyglądasz, jakbyś się gdzieś wybierała, w tej purpurowej sukni, którą uszyłam specjalnie dla ciebie.

– I w perłowych kolczykach od Marka. – Lady Gwendolyn wyciągnęła lewą rękę

i dodała: – I jego ślubną obrączkę. Czuliśmy, że jesteśmy małżeństwem. Charlotte, nie pozwól, żeby mi ją zdjęto, dobrze?

– Nie pozwolę – obiecała Charlotte. Usiłowała opanować emocje; gardło miała ściśnięte. Podziwiała Cecily, która rozmawiała z ciotką Gwendolyn spokojnym, beztruskim tonem, jakby gawędziły o niezbyt ważnych sprawach.

– Tamte walizki, ciociu Gwen... jadą razem z tobą? – spytała Cecily, usiłując wprowadzić żartobliwy ton.

– Nie wygłupiaj się. Mają naklejki. Ta jest dla Margaret. – Pogrzebała w torebce. – Masz tu kluczyki – powiedziała, wręczając Charlotte kopertę.

– Więc mamy oddać walizki adresatom, no i Margaret – upewniła się Cecily.

– Jest jedna dla ciebie, i dla ciebie też, Charlotte. – Zamknęła na chwilę oczy, a potem mówiła dalej: – Żałuję, że nie wyprawię przyjęcia urodzinowego. Ale zróbcie je, dobrze? Byłoby mi miło.

– Tak, i wypijemy za twoje zdrowie w niebie – obiecała Cecily. Głos jej drżał.

– Zaśpiewamy dla ciebie – dodała cicho Charlotte.

Lady Gwendolyn spojrzała na Cecily, a potem wpatrzyła się w Charlotte. Uśmiechnęła się do niej.

– Dziękuję, że poświęciłaś życie Inghamom. – Odwróciła się do Cecily: – I tobie też. Uratowałaś rodzinę tak zręcznie, jak mógł to zrobić tylko ktoś ze Swannów. – Wciąż się uśmiechała. – Dasz radę, Ceci. Nikt nie zrobi tego lepiej. A jeśli dziecko, które nosisz, będzie dziewczynką, dasz jej imię po mnie?

– Tak – powiedziała ze łzami w oczach Cecily.

Wzięła lady Gwendolyn za rękę, a Charlotte sięgnęła po drugą. Siedziały tak przez chwilę, przepełnione miłością do nestorki rodu.

Lady Gwendolyn poruszyła się niespodziewanie i usiadła prosto.

– Ubrałam się dziś rano, żebyście mogli powiedzieć, że zmarłam w pełnym rynsztunku.

– Och, ciociu Gwen, wytrzymaj, wyglądasz na silniejszą, prawie jak dawniej. Nie opuszczaj nas. Zostań jeszcze trochę. Postaraj się.

Twarz lady Gwendolyn rozświetliła się nagle, a jej niebieskie oczy rozblęły.

– Mark czeka na mnie... – Z uśmiechem patrzyła w dal, jakby go tam dostrzegła. Rozległ się gardłowy dźwięk, a potem długie westchnienie.

Cecily wiedziała, że to koniec.

– Odeszła, ciociu Charlotte... poszła do Marka; naprawdę wierzyła, że na nią czeka.

Charlotte milczała przez chwilę, wreszcie odezwała się drżącym głosem:

– Myślę, że czeka. Ona zazwyczaj miała rację. – Pochyliła się nad lady Gwendolyn, pogłaskała jej srebrzyste włosy i pocałowała w czoło.

Cecily uczyniła to samo, a potem delikatnie zamknęła jej oczy.

– Nigdy nie widziałam, żeby miała tak niebieskie oczy i tak promienną twarz – mruknęła.

– Była szczęśliwa – szepnęła cicho Charlotte.



Wyszły z salonu i odszukały Peggy.

– Lady Gwendolyn właśnie odeszła w spokoju, Peggy – powiedziała Cecily.

– Spodziewałam się tego – odparła ze smutkiem Peggy. Odchrząknęła. – Nie możemy zostawić lady na krześle, pani Milesowo. Musimy zanieść ją na górę i położyć na łóżku.

– Sądysz, że we dwie damy sobie radę?

– Tak, pójdę po prześcieradło, owiniemy ją. – Peggy ruszyła do wyjścia, ale zatrzymała się. – Myślę, że powinna pani zadzwonić do pani Alice, poprosić, żeby nam pomogła.

– Dobry pomysł. – Cecily sięgnęła po słuchawkę. – To ja, mamó – powiedziała cicho. – Ciocia Charlotte i ja jesteśmy u cioci Gwen, chciała nas zobaczyć. Przykro mi to mówić, ale właśnie umarła. Możesz tu przyjść?

– Natychmiast – odparła matka i telefon ogłuchł.

– Jest w drodze, będzie tu za parę minut. Możesz przynieść to prześcieradło, Peggy?

Peggy skinęła głową i wyszła.

Cecily usiadła na sofie obok Charlotte.

– Dobrze się czujesz? – spytała, wpatrując się w nią. Wiem, że ci smutno, mnie też, chociaż spodziewaliśmy się, że to nastąpi.

– Owszem, ale tak dobrze wyglądała – odparła Charlotte, już nieco spokojniej. – I to zawsze szok, kiedy umiera ktoś bliski, nawet jeśli jest bardzo stary.

– Dziewięćdziesiąt dziewięć lat, aż trudno w to uwierzyć. A co jest w tych walizeczkach? Dziwnie postąpiła.

– Powiedziała mi o nich przed paroma tygodniami – odezwała się po chwili milczenia Charlotte. – Po jednej dla każdej z czterech De, dla mnie, dla ciebie i dla Margaret. No i dla twojego ojca. To małe walizeczki, Ceci. Nie może być w nich dużo.

– Przypuszczam, że dała nam rzeczy, które chciała, żebyśmy zachowali na pamiątkę po niej.

– Masz rację. Muszę zadzwonić do Charlesa, poprosić go, żeby tu przyszedł.

– Tak, a ja powinnam porozmawiać z Milesem. Ale najpierw musimy zanieść ją na górę i ładnie ułożyć.

Cecily wyszła do holu na powitanie matki. Alice Swann przytuliła ją do siebie.

– Wiedziałam, że to wkrótce nastąpi – powiedziała przez łzy. – Jestem pewna, że odeszła spokojnie, prawda?

– Tak, mamusiu... była szczęśliwa.

Peggy zbiegła po schodach, niosąc prześcieradła. Przywitała się z Alice.

– Pomyślałam, że powinnyśmy owinąć ją prześcieradłami i zanieść na górę do sypialni.

Alice przytaknęła i spojrzała na Cecily.

– Gdzie jest lady Gwen? Chciałabym ją zobaczyć, pożegnać się z nią.

– Tutaj. – Cecily zaprowadziła matkę do salonu.



Członkowie rodziny, którzy przyjechali z Londynu, zostali na miejscu. Pociągi się spóźniały, często były zatłoczone, a kartek na benzynę brakowało.

Bliźniacy Daphne, Thomas i Andrew, teraz dwudziestoletni, nie mogli przyjechać do domu z Sandhurst, gdzie odbywali szkolenie. Nie przyjechała też ich siostra Alicia. Ciężko pracowała w szeregach Czerwonego Krzyża w Londynie.

Harry Swann nie dostał urlopu okolicznościowego. Był potrzebny na lotnisku Manston. Charliemu nie wolno było podróżować ze względu na rany.

Lady Gwendolyn Ingham Baidon, nestorkę rodziny Inghamów, kochali wszyscy mieszkańcy trzech wiosek. Zostali zaproszeni razem z członkami jej rodziny na ceremonię żałobną do dużego kościoła w Little Skell. Zgodnie z jej życzeniem pogrzeb był skromny.

Daphne i Dulcie przystroiły kościół kwiatami. Dzień pogrzebu, trzy dni po jej śmierci, był słoneczny.

Pierwszy przemawiał lord Mowbray, po nim Miles, a na końcu Diedre, która oświadczyła, że mówi w imieniu swoim i siostr. Po wypowiedzeniu kilku pochwalnych słów wyrecytowała psalm dwudziesty trzeci: „Pan jest mym pasterzem”.

Mowę pogrzebową wygłosił, na życzenie rodziny, James Brentwood. Gdy zaczął mówić, w kościele zapadła cisza. Nikt nie chciał uronić słowa, skoro przy pulpicie stał największy angielski aktor. Jego melodyjny głos brzmiał czysto i unosił się w górę. Mówił z uczuciem o niezrównanej lady Gwen, jak ją wszyscy nazywali. Wspominał jej serdeczność, hojność i uprzejmość, a nawet jej bezpośredniość i często cierpki humor.

Skończył mowę, prosząc o pobłażliwość, bo chciałby dla nich zaśpiewać.

– To była jej ulubiona pieśń. I nadzwyczaj pasuje do świata, w którym przyszło nam żyć. Na pianinie będzie mi akompaniować córka lady Daphne, Annabel.

Spojrzał przez ramię na szesnastolatkę i skinął głową, a ona uśmiechnęła się i uderzyła w klawisze.

James miał cudowny, tenorowy głos. Zaczął śpiewać:

Kraju Nadziei i Chwały, Matko wolnych ludzi,

Jak możemy cię sławić, my zrodzeni z ciebie?

Szerzej wciąż, szerzej sięgną twe granice;

Boże, uczyniłeś go potężnym, spraw, by nabrał sił,

Boże, uczyniłeś go potężnym, spraw, by nabrał sił.

Nie rozległ się żaden szmer, i gdy James skończył śpiewać, panowała absolutna cisza. Miało się wrażenie, że wierni zastygli w miejscu.

James pomyślał, że być może lady Gwen patrzy w dół i uśmiecha się do nich.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

Niech no ci się przyjrzę, Victorio – powiedziała Alice Swann, uśmiechając się do dziesięcioletniej ewakuowanej. – Bardzo szczupło wyglądasz w tej sukience. I ładnie. Dobrze, że ją dopasowałam do twojego rozmiaru.

– Lubię żółty. To mój ulubiony kolor. – Na twarzy dziewczynki pojawił się, jakże rzadki, uśmiech.

Alice wzięła ze stołu płócienną torbę, zawiesiła ją na ramieniu Victorii i zaciągnęła pasek wokół jej talii.

– Gotowe, tak jest wygodniej.

Victoria spojrzała na nią nieufnie i spytała:

– Pani Alice, czy naprawdę muszę nosić ze sobą maskę przeciwgazową?

– Tak, a ja muszę wziąć moją.

– Dlaczego?

– Bo taki jest teraz przepis. Nie wolno nam wychodzić dalej bez masek. Wszyscy je mają.

Victoria rozmyślała przez chwilę, a potem spytała:

– Czy król i królowa muszą zabierać swoje, kiedy wychodzą z domu? I księżniczka Elżbieta, i księżniczka Małgorzata? Och, i Churchill?

– Jak najbardziej! – zawołała Alice, śmiejąc się w duchu, bo Victoria wymieniła ludzi, którzy ją najbardziej interesowali, a których znała jedynie z opowieści.

– To dla naszego bezpieczeństwa – wyjaśniła. – Upewnij się tylko, czy mam nasze dowody tożsamości i kartki na odzież, bo może znajdziemy w Leeds buty dla ciebie. Naprawdę potrzebujesz nowych butów na zimę.

– Leeds! – krzyknęła gwałtownie Victoria. – Nie, nie, nie! Nie chcę jechać do Leeds. Nie pojedę.

Alice oniemiała, zaskoczona tym gwałtownym wybuchem. Victoria nigdy dotąd nie podnosiła głosu. Dziecko zareagowało tak ostro i z takim lękiem, że Alice domyśliła się, że tam właśnie ją krzywdzono.

Victoria zaczęła nagle płakać. Stała na środku kuchni, ścisnęła pasek od maski i patrzyła bezradnie na Alice, a po policzkach ciekły jej łzy.

Alice Swann podeszła szybko do dziewczynki, zdjęła z jej ramienia maskę i podała chusteczkę.

– Nie płacz, kochanie, nie musimy jechać do Leeds. Możemy pojechać w przyszłym tygodniu do Harrogate. – Objęła dziecko i pogłaskała je po głowie. – No już, nie bój się. Nikomu nie pozwolę cię skrzywdzić... – Przerwała, widząc na progu Palomę z małym Edwardem. Rzuciła jej ostrzegawcze spojrzenie. – Halo, Palomo, wyobraź sobie, że właśnie o tobie myślałam. Miałyśmy się wybrać na zakupy, po zimowe buty dla Victorii. A potem uznałam, że to głupi pomysł, bo przecież wciąż mamy lato.

Paloma natychmiast zorientowała się w sytuacji.

– Co za zbieg okoliczności. Przyszłam, żeby zaprosić ciebie i Victorię na lunch. Zrobiłam większą zapiekankę.

Alice uśmiechnęła się do synowej, gładząc uspokajająco Victorię.

– Victoria lubi większą zapiekankę, prawda? – powiedziała i dodała: – I możemy zrobić parę zdjęć aparatem, który dostałaś od pana Waltera.

– Och, tak. – Victoria natychmiast się rozchmurzyła. Uśmiechnęła się do Palomy. – Mogę zrobić zdjęcie Edwardowi?

– Bardzo dobry pomysł, a ja je wyślę jego ojcu.

– Chodźmy, dobrze? – mruknęła Alice. Objęła dziewczynkę i wyprowadziła ją z domu.

– Harry dzwonił do mnie dziś rano – odezwała się Paloma. – Kazał pozdrowić ciebie i ojca. Dobrze się czuje i z przyjemnością uczy się o radarach.

– Miles twierdzi, że musimy mieć w każdym domu po dwa wiadra do zbierania różnych rzeczy – powiedziała Alice.

– Jakich rzeczy? – spytała ze zdziwieniem Paloma.

– Przede wszystkim chodzi o metal. Blaszane puszki po żywności, nakrętki od butelek, zardzewiałe gwoździe, sprzączki od zużytych pasków, niepotrzebne klucze, wszystkie stare narzędzia, szpilki do włosów, haczyki, wszystko, co wykonano z metalu. Ted Swann będzie zabierał je co tydzień.

– Do czego ma być ten metal?

– Rząd go potrzebuje, będą go odbierać i wysyłać do fabryk, gdzie się go stopi i użyje do produkcji samolotów, dział, czołgów, okrętów i amunicji. – Alicja roześmiała się na widok miny Palomy. – Nie widziałaś plakatów w Harrogate? Są na nich trzy kobiety trzymające flagę i napis: „GOSPODYNIE, WSTAŃCIE I RUSZAJCIE NA NICH!”. Uśmiełam się, kiedy go zobaczyłam, ale Miles mówi, że to ważne. Rząd naprawdę potrzebuje naszej pomocy.

– No to zrobię, co trzeba. A po co jest drugie wiadro?

– Na resztki jedzenia. Żeby karmić drób i świnię... nawiasem mówiąc, Miles zamierza kupić parę świń. Proszę, nie pytaj o świnię. Mamy dość problemów z owcami – dodała.



W domu Paloma położyła Edwarda do łóżeczka i usadowiła Alice na krześle. Potem podsunęła jej podnózek.

– Wciąż jesteś na nogach. Nikt nie pracuje tak ciężko jak ty – powiedziała.

Alice odetchnęła z ulgą.

– Ciężka praca nikogo nie zabiła, a ja jestem do niej przyzwyczajona. I przez całe życie biegałam tam i z powrotem przez ten park.

– Wstawię zapiekankę do piecyka. Jest gotowa, ale trzeba ją podgrzać. I otworzę słoik groszku, który od ciebie dostałam. – Zerknęła na Victorię, która siedziała obok łóżeczka i przyglądała się Edwardowi. – Co ty na to?

– Lubię wiejską zapiekankę. Nie jadłam jej, dopóki nie zamieszkałam z panią Alice i panem Walterem. Och, aparat! Mam po niego pobiec?

– Tak, zanim mały zaśnie, bo potem nie będziesz mogła zrobić mu zdjęcia.

– Lepiej się teraz miewa, nie jest już taka spięta i nieśmiała – powiedziała Alice, kiedy zostały same. – Dowiedziałam się w agencji zajmującej się ewakuacją, że przed przyjazdem tutaj nie była w żadnej innej rodzinie zastępczej. Nie mówi dużo o sobie ani w ogóle o czymkolwiek. To dziecko nie miało łatwego życia.

– Wydaje się, że stworzyła wokół siebie ochronną powłokę. Zauważyłam, że bardzo się do ciebie przywiązała. I jest miła dla Edwarda, poświęca mu dużo uwagi, kiedy do nas przychodzi. Ma dobrą wymowę i maniery.

– To prawda, powiedziałałabym, że jest dobrze wychowana. Ale o nic jej nie pytam. Niedawno dowiedziałam się, że rodziny mogą odwiedzać ewakuowane dzieci, ale nikt nie wybrał się do niej. – Przerwała i zajęła się wnukiem, bo wróciła Victoria z aparatem.

Paloma wzięła Edwarda na rękę.

– To gdzie chcesz nam zrobić zdjęcie? Tu na sofie czy na dworze?

– Tutaj. Obok wazonu, żeby na zdjęciu były też kwiaty.

Victoria zrobiła parę zdjęć, potem poprosiła Alice, żeby podeszła i dała się z nimi sfotografować. Kiedy skończyła, Paloma zaproponowała, żeby dziewczynka usiadła z małym na kolanach, a ona sfotografuje ich oboje.

– Och! Zapiekanka! – zawołała nagle. – Zaraz się spali!

Podczas lunchu opowiedziała Alice i Victorii o swojej pierwszej randce z Harrym, jak chciała zrobić specjalnie dla niego zapiekanekę i jak spaliła ją na węgiel.

Śmiały się wszystkie i Alice z przyjemnością stwierdziła, że dziesięciolatka dobrze się bawi. A Paloma jest cudowna. Taka już była: kochająca, ciepła, inteligentna i chętna do pomocy. Wstąpiła do Instytutu Kobiecego w Little Skell, skopała i zasiała swoje poletko, nauczyła się robić dzemy i przetwory; stała się jedną z nich. Wszyscy powitali ją z otwartymi ramionami. Harry znalazł sobie wyjątkową żonę.



Późnym popołudniem Alice i Victoria wzięły książki i poszły na wrzosowisko położone nieopodal Cavendon Hall, w cieniu północnego skrzydła. Był tam zaciszny kącik, gdzie Alice siadywała z książką od młodości. Teraz stał się również wyjątkowym miejscem dla Victorii.

Alice zdawała sobie sprawę, że ta zamknięta w sobie osóbką lubi przebywać w spokojnych, bezpiecznych miejscach. Zastanawiała się nad jej potrzebą przebywania z dala od tłumu. I wciąż myślała o tych siniakach. Zgodnie z radą lady Daphne nie rozmawiała na ten temat z małą. Pewnego dnia powie mi o wszystkim, pomyślała; jeśli nie zdarzy się nic nieprzewidzianego, zostanie z nimi do końca wojny, która będzie długa, jak twierdzili Miles i Cecily.

Alice zerknęła na Victorię i zauważyła, że dziewczynka nie otworzyła książki.

– Nie masz ochoty na czytanie?

– Mam, ale zastanawiałam się nad czymś. Dokąd idziemy po śmierci? To znaczy, gdzie jest lady Gwendolyn? Czy jest tam, w niebie? – Mówiąc to, podniosła wzrok ku górze i nagle krzyknęła: – Och, pani Alice, proszę spojrzeć! Samolot leci prosto na nas!

Alice zobaczyła go, zerwała się, złapała Victorię za rękę i pociągnęła za sobą na wzgórze. Samolot ze swastyką zmierzał prosto ku północnemu skrzydłu Cavendon Hall. Zniżał się, tracił wysokość. Alice i Victoria patrzyły z przerażeniem, jak ściał dwa kominy i duży kawał dachu. Spadł i rozbił się za domem, blisko miejsca, gdzie przed chwilą siedziały.

Victoria drżała i łkała, trzymając się kurczowo Alice, a ona, równie wstrząśnięta, pozbierała się jakoś i zdobyła na to, by powiedzieć spokojnie:

– Nie ruszaj się. Zostań tutaj. Idę tylko popatrzeć na samolot.

Victoria kiwnęła głową i stała, obejmując się ramionami.

Alice zbiegła z pagórka i zbliżyła się do kokpitu samolotu. Pilot był zaklinowany w kabinie, ale żył. Wpatrzył się w nią, usiłując coś powiedzieć. Gdy Alice cofnęła się o krok, powiedział po angielsku:

– Proszę... pomóż mi... proszę.

Chciała powiedzieć: „A czemu? Jesteś wrogiem”, ale dostrzegła, jaki jest młody, zaledwie chłopiec. Miał najwyżej dwadzieścia lat. Patrzył na nią błagalnie niebieskimi oczami.

– Sprowadzę pomoc – powiedziała i pobiegła po Victorię. Wzięła ją za rękę i odprowadziła daleko od samolotu. Nadbiegali już ludzie. Zauważyła Milesa i Lane'a, a za nimi

hrabiego i Percy'ego Swanna. Nawet zaniepokojony Hanson gramolił się za nimi na pagórek.

Miles zatrzymał się koło niej i spytał niecierpliwie:

– Alice, widziałaś, co się stało?

– Tak, samolot zniżał się, a właściwie spadał, jakby pilot przestał nad nim panować, i nagle zorientowałam się, że zaraz uderzy w północne skrzydło. Siedziałam z Victorią tam, na wrzosowisku. Minął nas o włos.

Nadbiegła zdyszana Cecily.

– Mamo, co się stało? Dobrze się czujesz? A ty, Victorio?

– Przestraszyłam się, pani Alice złapała mnie za rękę i uciekłyśmy.

– Jak myślisz, czy samolot się zapalił? – Cecily spojrzała z niepokojem na Milesa.

– Nie sądzę, z tego, co mówi twoja matka, wynika, że zabrakło mu paliwa. Pilot zgubił się, pewnie zoczył z kursu. Ale niewątpliwie zginął.

– Żyje – powiedziała Alice. – Potrzebuje pomocy.

– Ojciec, Lane i Percy już tam są. Pójdę zobaczyć, jak im pomóc. A ty, Ceci, zadzwoń do jednostki RAF-u w Topcliffe, powiedz im, co się wydarzyło, i poproś, żeby przysłali ludzi i ambulans dla pilota. Wiem, że mają tam szpital.

– Zaraz to zrobię.

– O, idzie tu Alf Merton i jego obrona terytorialna – zauważyła Alice.



Miles i Lane wyciągnęli pilota z samolotu. Czekając, aż Percy i reszta przyniosą z piwnicy nosze, Miles zadał mu parę pytań. Niemiec był półprzytomny i ranny, ale mówił całkiem do rzeczy. Powiedział, że nagle zoczył z kursu i nie wie, gdzie jest.

Milesowi zrobiło się go żal. Był taki młody, zupełnie jak ich chłopcy walczący w powietrzu. Ukląkł obok niego i dotknął jego ramienia.

– Sądzę, że jesteś ranny – powiedział. – Coś sobie złamałeś?

Pilot skrzywił się.

– Plecy. Noga. Bolą.

– Nie ruszaj się, ambulans jest w drodze.

– Nie chciałem się rozbić. Na ziemi – wyjąkał pilot kulawą angielszczyzną. – Szukałem morza. Brak paliwa. Utrata wysokości. Brak kontroli.

– Nie byłeś bardzo daleko od morza; mogłoby ci się udać, gdybyś miał choć ćwierć baku paliwa – stwierdził Miles.

Młody pilot wpatrywał się w Milesa, a w jego niebieskich oczach pojawił się nagle strach.

– Nie bój się. Nie zrobimy ci krzywdy, choć znalazłeś się w kraju wroga. Wkrótce przyjedzie karetka i opatrzą cię należycie. Pojedziesz do jednostki RAF-u, do ich szpitala. Przyjedzie tu paru oficerów do pomocy, bo jesteś teraz jeńcem wojennym.

Pilot zamarł z przestachu.

Miles mówił dalej, tym samym spokojnym tonem.

– Dobrze traktujemy jeńców.

Pilot tylko skinął głową, a po chwili powiedział zdławionym głosem:

– *Danke schön...* dziękuję.



Zaraz potem z Topcliffe przyjechała grupa oficerów RAF-u, kilku starszych rangą, ambulans i żandarmeria wojskowa. Pilota przeniesiono do karetki w asyście dwóch żandarmów.

Technicy pozostali, by rozebrać wrak.

Percy i Ted uprzętałi gruz wokół północnego skrzydła, gdy przybyli tam hrabia, Miles i Cecily. Lane pospieszył upewnić się, że personel otrząsnął się z szoku. Hrabia osłupiał, ujrzawszy rozmiar zniszczeń. Zrzucony był komin i część dachu. Ściana poniżej zapadła się pod ciężarem samolotu, i teraz widniała tam wielka wyrwa. Rozpadły się trzy okna; tylny taras był pokryty potłuczonym szkłem, cegłami i gruzem.

Hrabia z przerażeniem dostrzegł, że zniszczone zostały bardzo cenne antyczne francuskie meble.

– Chwała Bogu, że obrazy są w skarbcu – powiedział do Milesa, który zauważył, że ojciec jest śmiertelnie blady i przerażony.

Nagle na tarasie pojawił się Hanson z tacą, na której stała butelka wyśmienitego francuskiego koniaku i szklaneczki.

– Pomyślałem, że kropelka naszego najlepszego napoleona dobrze nam zrobi – powiedział. – Trochę to nami wstrząsnęło.

– Dobra robota, Hanson – zawołał Charles. – Nalej nam, zawołaj Percy'ego, Teda i ekipę. Potrzebują łyka czegoś mocniejszego. Ty też.

Gdy tak stali na tarasie, sącząc koniak, Cecily zauważyła, że Percy i Ted mieli nietęgą minę, oglądając narożnik północnego skrzydła. Przypomniała sobie o Blackiem O'Neillu.

– Sądzę, że przyjaciel Emmy Harte mógłby nam pomóc – oznajmiła Milesowi. – Ma przedsiębiorstwo budowlane. Spotkałam go parę dni temu i jestem pewna, że z chęcią przyjedzie obejrzeć zniszczenia. Myślę, że mogę wynegocjować z nim sensowną umowę co do kosztów.

– Możesz teraz do niego zadzwonić? – spytał hrabia.

– Tak, a on mieszka w Harrogate. Może będzie w stanie przyjechać tu dziś po południu.

– Im prędzej, tym lepiej – powiedział Miles.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY SZÓSTY

Daphne siedziała na sofie w małym saloniku obok jadalni, którego Cecily używała jako biura. Splotała ciasno dłonie i trzęsła się, porażona widokiem zniszczeń w północnym skrzydle.

Tego popołudnia były z Charlotte w Harrogate i wróciły tuż przed odjazdem oficerów RAF-u i ich ekipy.

Cecily wypatrywała ich; Daphne zaparkowała samochód, weszła z Charlotte do holu i unosząc brwi, spytała, czego szukają w Cavendon oficerowie RAF-u.

Cecily wyjaśniła wszystko. Prerażona Charlotte natychmiast ruszyła poszukać Charlesa, by go pocieszyć, a Daphne poszła za Cecily do północnego skrzydła. Stała jak wryta, gapiąc się na ruinę, aż zakręciło jej się w głowie. Oparła się o drzewo; po twarzy płynęły jej łzy.

Kiedy Cecily odezwała się do niej, nie odpowiedziała. Cecily uznała, że jest w szoku, ujęła ją pod ramię, zaprowadziła do saloniku i zamknęła drzwi.

Po jakimś czasie Daphne zamrugła, otarła oczy i spojrzała na Cecily. Siedziały tak w milczeniu.

– Wiesz, to zabawne – powiedziała nagle Daphne. – Wszyscy mówią o szczęściu Cavendon i zakładają, że zawsze je mamy. Ale ja nigdy nie widziałam tego w ten sposób. A ty?

– Nie. Zawsze wiedziałam, że ta rodzina może mieć zarówno szczęście, jak i pecha.

– Dlaczego tak sądziłaś?

– Chyba dlatego, że tak się rzeczy mają na tym świecie. Ale również dzięki Genevrze. Od dawna ostrzegała mnie przed nieszczęściem, bo na pewno nadejdzie. Wciąż mówiła, że Cavendon ucierpi, że rodzinę dotknie śmierć, chaos i kłopoty.

– A ty jej uwierzyłaś? I dalej jej wierzysz?

– Tak. Ma dar jasnowidzenia, i w to też wierzę.

Daphne westchnęła. Głos jej drżał, kiedy spytała:

– Ale czemu północne skrzydło? Po tych latach trudów, które włożyłam, by znów było piękne?

– Musimy patrzeć na to z optymizmem – powiedziała łagodnie Cecily. – Odbudujemy je.

Daphne skinęła głową i powiedziała przez łzy:

– Mam w szpitalu syna, któremu amputowano nogę powyżej kolana. Właśnie umarła ciotka Gwen. Moja starsza córka została pielęgniarką Czerwonego Krzyża i wybiera się na wojnę, a bliźniacy wkrótce zostaną żołnierzami i pójdą walczyć. A do tego moja młodsza córka gniewa się na mnie, bo nie pozwałam jej iść na studia do Królewskiej Akademii Muzycznej, gdyż jej budynek stoi w samym centrum Londynu. I teraz nasz dom, w którego renowację włożyłam wszystkie siły, został zniszczony przez samolot wroga. Zastanawiam się, co jeszcze nas czeka?

Daphne miała tak zrozpaczoną minę, że Cecily zerwała się i usiadła obok niej na sofie. Objęła ją i próbowała uspokoić; Daphne łkała, jakby miało jej pęknąć serce.

Cecily spokojniej zareagowała na zniszczenia. Jednak zdawała sobie sprawę, że Daphne jest przemęczona, wręcz wyczerpana. Przyczyniły się do tego także kłopoty z personelem: kucharka Susie Jackson nagle poinformowała, że odchodzi, a pod koniec pracy była wręcz niemą. Teraz odeszła gospodyni, pani Weir, a pokojówka Brenda Caine szykowała się do odejścia. Obie miały zamiar pracować w fabrykach amunicji.

No i była jeszcze Charlotte; Cecily sądziła, że wiek daje się jej we znaki. Miała siedemdziesiąt dwa lata i od czasu, kiedy w zeszłym roku złamała nogę, nie była już taka jak

dawniej. Noga się zrosła, ale ona z jakiegoś powodu lekko utykała. Cecily podejrzewała, że to reumatyzm lub jakaś inna choroba. W każdym razie Charlotte straciła wiele z energii, z którą przez tyle lat opiekowała się Cavendon. I ona, i Daphne zasłużyły na odpoczynek. Potrzebujemy tu więcej rąk do pracy. Gdybym tylko mogła znaleźć jakichś ludzi... Cecily nie miała pojęcia, skąd ich wziąć, skoro wszyscy palili się, by spełnić swój obowiązek w fabrykach i przy uprawie roli.

Daphne nagle się wyprostowała, wyjęła z torebki chusteczkę, otarła oczy i wydmuchała nos. Po chwili, starając się odzyskać spokój, odezwała się:

– Ależ jestem okropna. Taka samolubna. Myślę tylko o sobie. Czym są moje problemy w porównaniu z tysiącami kobiet w Anglii? Wiele z nich straciło na tej koszarnej wojnie mężów i synów, a nie mają tyłu przywilejów co my. Wstydzę się swojej słabości.

– Nie masz w sobie za grosz egoizmu – sprzeciwiła się Cecily. – Przez całe życie pomagałaś innym. Posłuchaj, udało mi się znaleźć nową kucharkę, a gospodynię wykopię choćby spod ziemi.

– Nie martw się tym, Ceci. Dziękuję, ale dam sobie radę.

– Jeszcze zobaczymy. Osobiście uważam, że obie z Charlotte jesteście wykończone. To duży dom pełen dzieci. Lane jest dobrym kamerdynerem, ale nie tak dobrym jak Hanson. I ma zbyt wiele pracy. Sądzę, że powinniśmy pozwoić Hansonowi, by mu pomógł. Znudziła mu się emerytura, a mnie sprawi przyjemność widok jego uśmiechniętej twarzy.

Daphne w okamgnieniu pojęła sens tego rozwiązania.

– Tak, znajźmy mu parę zadań nieprzekraczających jego sił. A swoją drogą, gdzie jest Hugo?

– O rany, zapomniałam, jest w najniższym skarbcu. Poszedł przypomnieć DeLacy, żeby przysłała na podwieczorek.

– Chyba czekają na nas w żółtym saloniku, nie uważasz? Jest grubo po czwartej.

– To możliwe. Jesteś gotowa na spotkanie z nimi?

– Oczywiście. I przepraszam, że tak się zdenerwowałam. Należę do Inghamów, a od kobiet z naszej rodziny oczekuje się, że sprostają każdemu wyzwaniu. Odbuduję północne skrzydło, będzie jeszcze lepsze, niż było – teraz albo kiedy skończy się ta cholerna wojna.



Cecily i Miles już dawno ustalili sobie, że co wieczór przed pójściem spać spędzą pół godziny razem w pokoju przylegającym do ich sypialni. Omawiali wtedy ważne sprawy; stało się to rytuałem, od którego nie odstąpiliby za skarby świata.

Usiedli na sofie przed powoli gasnącym kominkiem.

– Nie wiem, jak wy to robicie, ale kobiety brytyjskie to bohaterki – odezwał się Miles. – Gdy wojna się skończy, rząd powinien dać wam wszystkim medale.

– Przynajmniej ty doceniasz to, co robimy – powiedziała ze śmiechem Cecily. – Niektórzy tego nie widzą. Patrzą z góry na kobiety, które naprawdę uczestniczą w wojnie. Parę dni temu spotkałam w wiosce Joyce Bourne. Była na czterdziestoosmiodzinnej przepustce z Żeńskiej Służby Pomocniczej Sił Powietrznych. Narzekała, że niektórzy żołnierze nie ufają im, traktują je jak idiotki.

– Wkrótce się przekonają, jakie to fantastyczne kobiety! – zawołał Miles. – Harry wspominał mi o nich. Nie dałby sobie bez nich rady. To prawdziwe specjalistki.

– Sporo myślałam o Daphne – powiedziała Cecily. – I chcę jej znaleźć nową gospodynię. Ma teraz mnóstwo roboty, a dzisiejsza katastrofa bardzo ją zdenerwowała.

– Wiem, ale przy podwieczorku i kolacji zachowywała się, jakby nic się nie stało. To cała Daphne. Nie chce okazywać słabości, żeby się nad nią nie użalano.

– Myślałam, że poproszę Laurę Swann, żeby przyjechała tu na parę tygodni z Londynu, dopóki nie znajdę nowej gospodyni. Powiedziałam też Daphne, że mogłaby częściej korzystać z pomocy Hansona. Może i jest stary, ale wciąż w formie, i mógłby być do wyłącznej dyspozycji Daphne, nie wchodząc w drogę Gordonowi Lane.

– To świetny pomysł, żeby sprowadzić tu Laurę. Eric poradzi sobie z prowadzeniem domu, a pani Wilkinson przychodzi tam codziennie sprzątać i prasować. Poza tym ostatnio rzadko tam bywamy.

– Jest jeszcze coś. Chciałam cię spytać... – przerwała i dokończyła z wahaniem: – Nie chcę sugerować, że ciotka Charlotte jest chora ani że to coś poważnego, ale nie uważasz, że ostatnio jest na zwolnionych obrotach?

– Masz rację, ale o ile wiem, nie jest chora. Ojciec by mi powiedział. Osobiście sędzę, że to kwestia wieku. Tatuś też zwolnił. – Położył jej dłoń na ramieniu. – Nie martw się o Charlotte, sędzę, że ma się dobrze.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Oboje wiedzieli, że choć Daphne ma spory udział w prowadzeniu Cavendon, to pewnego dnia będą musieli się tym zająć jako nowy hrabia i hrabina.

– Chciałabym zrobić coś, co poprawiłoby humor wszystkim, a zwłaszcza Daphne. Mam pomysł, który chcę z tobą omówić – odezwała się Cecily.

– Ty i te twoje pomysły – powiedział z uśmiechem. – Ale przeważnie są dobre, więc mów.

– W kwietniu zeszłego roku Daphne i Hugo nie pojechali z nami wszystkimi na premierę *Przeminęło z wiatrem*, bo Daphne miała gripę. Chciałabym zorganizować wspólny seans. W Harrogate znów działają kina, a dziś widziałam w gazecie, że w jednym z nich będą grali ten film. Trzeba by porozmawiać z kierownikiem kina i zarezerwować dla nas kilka miejsc.

– Wiem, że chciała go zobaczyć – potwierdził Miles. – Ale mam lepszy pomysł. Może poprosimy o pomoc Dulcie? James ma różne znajomości. Niech wypożyczy kopię, a my wynajmiemy operatora i projektor z któregoś kina. Zrobmy pokaz tutaj, w Cavendon.

– I zaprosimy wszystkich? – zawołała z entuzjazmem Cecily.

– Co rozumiesz przez wszystkich?

– Całą rodzinę, nie tylko Daphne i Hugona. Jeśli Jamesowi się uda, moglibyśmy pokazać film w sobotę, kiedy wszyscy przyjadą z Londynu.

Przytulił ją i pocałował w policzek.

– Nikt nie może się z panią równać, pani Ingham... Swoją drogą, Blackie O'Neill to nasze zbawienie. Nie tylko dla północnego skrzydła, ale i innych partii domu, które wymagają remontu.

– Cieszę się, że go polubiłeś, a jego pomysł, by zabezpieczyć północne skrzydło plandeką, to znakomite rozwiązanie do czasu, kiedy będzie można zrobić remont.

– Podobały mi się wszystkie jego pomysły.

Siedzieli w milczeniu. Cecily oparła się o Milesa, delektując się tymi kilkoma chwilami samotności we dwoje. Martwiła się tyłoma sprawami, ale w głębi ducha była szczęśliwa. Położyła rękę na brzuchu. Dziecko było bezpieczne. Wszystko się jakoś ułoży. Przeżyją tę wojnę bez względu na koszty. Reszta kraju też. Są niezłomnym plemieniem na tej małej wyspie. Niemcy nigdy ich nie pokonają.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY SIÓDMY

Noel Jollion siedział na pryczy, czytając list od swojej kuzynki Palomy. Zaskoczyła go wiadomość o niemieckim samolocie, który uderzył w Cavendon Hall. Musiał narobić niezłego bałaganu. Paloma miała dobre pióro i opisała wszystko ze szczegółami. Na szczęście nikt w Cavendon nie ucierpiał, a nawet pilot Luftwaffe przeżył. Zgubił się pewnie, pomyślał, i zabrakło mu paliwa.

Noel podarł list na drobne strzępki i wyrzucił do kosza. Nigdy nie trzymał listów od rodziny. Nie chciał zostawiać niczego osobistego na wypadek, gdyby zginął czy spadł do morza i nie wrócił do swojej jednostki: Biggin Hill, w pobliżu Londynu.

Wyszedł na dwór i spojrzał na niebo. Błękitne, bez jednej chmurki. I chwilowo ani śladu Luftwaffe. Ale wkrótce tu będą, i wszyscy poderwą się w powietrze, by walczyć z heinklami, stukasami i messerschmittami.

Był złocisty letni poranek. Od wielu dni panowała wspaniała pogoda. Noel położył się na trawie i zapadł w płytką drzemkę, czekając na sygnał alarmu.

Był zmęczony, jak wszyscy piloci myśliwców. Ale nie mogli poddać się zmęczeniu. W końcu byli sprawni i młodzi, tuż po dwudziestce, nieżonaci, żaden z nich nie zakończył jeszcze edukacji.

Zamiast tego zostali pilotami najwyższej klasy. Noel wyprzedzał większość z nich o krok, bo nauczył się pilotażu na własnym samolocie w Yorkshire. Jednak inni też byli dobrzy, a jednostka bojowa stanowiła pierwszą linię obrony w bitwie o Anglię; dowodził nią sir Hugh Dowding. Ich dowódca nosił przydomek „Sztyniak”, a oni byli znani jako „Pisklęta Dowdinga”.

Noel, jak wszyscy kapitanowie lotnictwa w RAF-ie, kochał samoloty, a największy dreszcz emocji budziła u chłopców w niebieskich mundurach chwila, gdy wznosili się w swoich spitfire'ach i hurricane'ach, by walczyć z Luftwaffe.

Noel pilotował spitfire'a i kochał go. Pasował do niego jak rękawiczka. Nazwał go Laleczką. Kiedy znajdował się w kabinie, ubrany w kombinezon, maskę tlenową, kamizelkę ratunkową i spadochron, czuł się całkiem bezpieczny. Prawa ręka spoczywała obok czerwonego guzika, który włączał osiem karabinów maszynowych umieszczonych na skrzydłach. Wystarczyło go nacisnąć, by otworzyć ogień.

Starał się wytłumaczyć matce, która wciąż się o niego martwiła, że ma najlepszy z możliwych samolot. Zasypał ją mnóstwem szczegółów technicznych i zakończył ponownym twierdzeniem, że nie ma powodu do obaw.

Sylvia Jollion odparła, że zawsze będzie się o niego bała, ale niech teraz zapisze jej te wszystkie dane, żeby zrozumiała, o czym mówił. Nauczyła się ich zresztą na pamięć.

Jego ojciec, komodor, zapewnił żonę, że Noel jest tak bezpieczny jak to tylko możliwe w samym środku wojny, nawet w spitfirze.

Jednak w głębi serca Noel wiedział, że matka będzie się niepokoić. Wszystkie matki się martwiły, bo ich synowie co dzień ryzykowali życie. A wielu synów nie powróciło.



Tego ranka Noel miał na sobie kombinezon i niezbędny biały jedwabny szalik. Gdy podczas walki musiał wciąż kręcić głową, szalik zapobiegał otarciom szyi. Wszyscy piloci takie

nosili. Sięgnął po kamizelkę ratunkową. On i reszta pilotów z 39. dywizjonu byli w stanie gotowości, inni czekali już w samolotach.

Kiedy rozległ się dzwonek alarmowy, Noel zerwał się na nogi. Słyszał wyraźnie głos dowódcy. Na horyzoncie niebo pociemniało. W kierunku Biggin Hill nadlatywały setki nieprzyjacielskich samolotów.

Poprawił szalik i wspiął się do kabiny równocześnie z czterdziestoma innymi pilotami. Mechanik pomógł mu założyć spadochron i podłączyć maskę tlenową. Był gotowy do startu.

Włączył silnik, sprawdził wskaźniki i dał znak ludziom na ziemi, unosząc oba kciuki. Za chwilę usunął kliny spod kół, silnik ryknął i uniesie samolot w przestworza.

Dywizjon uniósł się w górę i nabierał wysokości. W słuchawkach rozległ się głos podpułkownika Geralda Rayne'a: „Bandyci nadlatują, anioły jeden–osiem”. Bandyci to nieprzyjaciel, anioły oznaczały wysokość. Natychmiast potwierdził wiadomość.

I już był wśród samolotów wroga. Otaczali go ze wszystkich stron. Dziś przyleciały bombowce – stukasy i myśliwce – messerschmitty. Rozglądał się wokół, ale musiał też patrzeć przed siebie.

Zobaczył zbliżające się do niego dwa stukasy i zręcznie zanurkował pod nie. Wykonał gwałtowny skręt i nacisnął czerwony guzik; osiem karabinów maszynowych plunęło ogniem.

Kiwnął głową i uśmiechnął się, widząc, że jeden ze stukasów traci wysokość i spada korkociągiem w dół. Trafiony.

Nagle zbliżyła się do niego cała grupa messerschmittów, więc musiał znów manewrować. Strzelając bezustannie, starał się oderwać od nich, wznosząc się pionowo w górę, nad chmury. Ale wiedział, że trafił jednego z myśliwców.

Po chwili zanurkował w dół i zorientował się, że wszystkie spitfire'y świetnie sobie radzą, niszcząc wiele nieprzyjacielskich samolotów.

I wtedy, jak to się ostatnio często zdarzało, samoloty Luftwaffe zawróciły i odleciały w kierunku kanału La Manche. Czyżby zorientowali się, że RAF ma wciąż mnóstwo determinacji, by ich atakować i niszczyć? Uśmiechnął się.

Cóż to była za walka! Ale nie stracili ani jednego samolotu. Wszystkie wróciły; niektóre uszkodzone, ale żaden pilot nie zginął.

Noel gładko wylądował na Biggin Hill. Jego Laleczka dobrze mu służyła.



W zeszłym tygodniu Noel i jego kolega Victor „Tory” Yardley często wykonywali dwa loty bojowe dziennie, gdyż Luftwaffe powracała po południu lub wieczorem. Po porannym sukcesie ich dowódca powiedział im, żeby odpoczęli. „Zmykajcie do pubu Tony’ego Prestona, wyluzujcie, napijcie się. Jutro nie latacie. Obaj potrzebujecie odpoczynku”.

Rzeczywiście go potrzebowali. I wkrótce wpakowali się do austina siódemki, własności Tory’ego, i ruszyli do Białego Jelenia w Brasted. Samochód był trochę rozklekotany, ale dowiózł ich na miejsce.

Był to ulubiony pub wszystkich chłopców z Biggin Hill; w progu powitali ich serdecznie koledzy z różnych dywizjonów stacjonujących w ich bazie.

Noel i Tory podeszli do baru i zamówili po kuflu piwa.

– Masz papierosy? – spytał Tory.

Noel poczęstował go i sam też zapalił. Rozejrzał się dookoła.

Bar był dyskretnie oświetlony, ciepły, zadymiony i miły. W rogu stało pianino, na którym młoda kobieta grała popularną piosenkę *Fools Rush In*. Kilku chłopców w niebieskich

przemówienie, w którym poinformował Izbę, a potem naród, gdy nadano je wieczorem przez radio, w jakiej sytuacji znajduje się kraj. Ostatnie kilka zdań było godnych zapamiętania, poruszył serca wszystkich obywateli i odbiły się echem na świecie.

„Wdzięczność każdego domu na naszej wyspie, w naszym imperium i na całym świecie, z wyjątkiem siedzib winowajcy, powinniśmy okazać brytyjskim lotnikom, którzy, nieustraszeni wobec przeciwności losu, nieustrudzeni w obliczu stałego wyzwania i śmiertelnego niebezpieczeństwa, zmieniają losy wojny światowej dzięki swojej dzielności i poświęceniu. Nigdy w historii ludzkiego konfliktu tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak nielicznym”[4].

4 *Krew, znój, łzy i pot*, wyd. cyt.

BLITZ

Ten tron monarchów, wyspa berłowładna,
Królewska wyspa, ta Marsa siedziba,
Ten drugi Eden, ta raju połowa,
Twierdza natury postawiona ręką
Przeciw napaściom, przeciw dłoniom wojny;
Ten lud szczęśliwy, sam w sobie świat mały,
Ten klejnot w srebrne oprawiony morze,
Które mu stoi za sypane wały
I za przekopy obronnego zamku,
Przeciw zazdrości mniej szczęśliwych krain:
Błogosławione królestwo, ta Anglia.

William Shakespeare, *Król Ryszard II*, akt 2, scena 1; tłum. Leon Ulrich

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY

Diedre siedziała przy swoim biurku. Jak zwykle nie było na nim żadnych papierów oprócz małej kartki. Wzięła ją do ręki, ponownie przeczytała i odłożyła; to jakaś zagadka, ale musi ją rozwiązać.

Wiadomość była dziwna. Jednak instynkt mówił jej, że pochodzi od Walecznego. Nie nadeszła ze znanego źródła, z Watykanu czy Madrytu, ale z Lizbony. Miasta szpiegów. Takie miała o niej zdanie: to gniazdo intryg.

Do biura wszedł Tony. Podała mu kartkę, a on przeczytał ją na głos.

– Lew morski zatonął. Wchodzi Barbarossa.

– Skąd przyszedł ten liścik? – spytał, siadając naprzeciwko niej.

– Z Lizbony. Wczesnym rankiem. Pachnie Walecznym, nie sądzisz?

– Tak. Już go rozgryzłaś?

– Częściowo. „Lew morski zatonął” wyraźnie oznacza, że nie będzie ataku na łąd, Szwabry nie zamierzają sforsować kanału na okrętach. Więc Operacja Lew Morski zdechła, już nie wejdzie w życie. Ale dlaczego Barbarossa?

– Nie jestem pewien, kim jest, a raczej był Barbarossa. Jakiś tyran?

– Zgadza się. W rzeczywistości nazywał się Fryderyk I i był królem Niemiec w dwunastym wieku albo coś koło tego; w każdym razie w okresie Świętego Cesarstwa Rzymskiego.

Do pokoju wszedł William. Usiadł obok Tony’ego.

– Czyżbyśmy mieli nową wiadomość od Canarisa?

– Sądzę, że to od niego. – Diedre wręczyła kartkę mężowi.

William przeczytał ją i stwierdził:

– Moim zdaniem to oznacza, że szykują coś o kryptonimie Barbarossa, bo wszyscy wiemy, że Operacja Lew Morski nie wypaliła. Sądzę, że to kryptonim następnego ataku.

Waleczny zawsze nas ostrzega. Swoją drogą, kim jest Barbarossa?

– Niemiecki król sprzed wielu wieków, Fryderyk I.

– To skąd to odniesienie? Macie jakiś pomysł?

– Wiem, że był tyranem, toczył wojny – odparł Tony. Wstał. – Idę sprawdzić w encyklopedii. Za chwilę wracam.

– Jak było u premiera, Will? – spytała Diedre, kiedy zostali sami.

– Jest wściekły. Nie wierzy, że bomba, która spadła dwudziestego trzeciego sierpnia na Londyn, to przypadek, jak donoszą źródła niemieckie. Więc ma zamiar wziąć na nich odwet. RAF, który bombardował inne niemieckie miasta, zacznie robić nocne naloty. Na Berlin.

Diedre milczała przez chwilę, wyraźnie zaniepokojona.

– Więc sprawy rzeczywiście nabierają tempa.

– Święta prawda.

William przerwał, kiedy wrócił Tony.

– Barbarossa był wodzem, bardzo wojowniczym – oznajmił. – Zginął w bitwie; właściwie utonął w rzece. Ale kluczowe jest, że to niemiecki bohater, a wieść gminna niesie, że pochowano go pod górą w pobliżu Berchtesgaden, czyli tam, gdzie stoi Berghof, alpejska rezydencja Hitlera.

– To pomyślmy przez chwilę. Niemiecki władca. Bohater. Trochę tyran. Pochowany w pobliżu domu Hitlera. Tu mamy parę nitki. Masz coś jeszcze na jego temat?

– Nie. Tylko tyle, że miał rudą brodę.
– Co znaczy broda? Chyba nic. – William wzruszył ramionami, równie jak on skonsternowany.
– Zapomnijcie o brodzie – oświadczyła Diedre. – Skupcie się na jej kolorze.
CZERWONY. Co wam to mówi, Will? Tony? – Uniosła brwi. Gdy żaden z nich nie odpowiadał, dodała: – Ja używam słowa „czerwony” zwykle wtedy, gdy mówię o komuniście.
– Rosja! – krzyknął William. – Operacja Barbarossa może być kryptonimem inwazji na Rosję.
– Mój Boże, czyżby miał to zrobić? – przestraszyła się Diedre. – Chyba nie jest aż tak szalony. Popełniłby ten sam błąd co Napoleon.
– Właśnie – zgodził się William. – Ale słuchajcie, nikt nie twierdzi, że Hitler jest nieomylny. Prawdę mówiąc, często się myli. A moim zdaniem jest obłąkany. Przekażę to C, dowiem się, co wiedzą w MI6.
– Może więcej niż my – zauważyła Diedre. Wstała. – Przepraszam, ale muszę iść na spotkanie z Dulcie i Cecily, głównie w sprawie podziału majątku ciotki Gwendolyn, a także w paru innych kwestiach.
Obaj mężczyźni wstali; Diedre pocałowała Williama w policzek i zwróciła się do Tony’ego:
– Nie zapomnij, że jesteś zaproszony na koncert Jamesa w czwartek wieczorem.
– Zapisałem to sobie. Nigdy bym nie opuścił takiego wydarzenia.



Wchodząc do restauracji w hotelu Ritz, Diedre zauważyła z radością, że Cecily jest sama. Dulcie często się ostatnio spóźniała. Zawsze miała coś do zrobienia dla Jamesa i została wolontariuszką w Czerwonym Krzyżu, zajmując się przez parę dni w tygodniu pracą biurową. Podobnie jak jej siostry czuła się w obowiązku „zrobić swoje”.
– Wciąż dobrze się czujesz? – spytała, pocałowawszy Cecily w policzek. – Mam nadzieję, że z dzieckiem wszystko w porządku.
– I dziecko, i mama dobrze się czują, dzięki – powiedziała z uśmiechem Cecily.
– Dzisiaj ja płacę za lunch – oświadczyła Diedre. – Zawsze ty zabierasz rachunek. Wiem, że uważasz Ritza za swoją stołówkę, ale jest też moja.
– Dobra, zresztą to niezły pomysł, by dzielić się wydatkami. Powinnyśmy płacić na zmianę. Swoją drogą, DeLacy dzisiaj nie będzie. Jest jeszcze w Cavendon, robi porządki z obrazami w domu ciotki Gwen. Sporządza rejestr i kataloguje każdy obraz.
– To mnóstwo roboty. William i ja moglibyśmy to zrobić, zanim się tam wprowadzimy.
– Będziecie zbyt zajęci malowaniem całego domu. Potrzebuje tego, choć może zechcecie zostawić trochę uroczych tapet na ścianach niektórych sypialni. Skoro dom należy do ciebie, nie ma powodu, żebyś nie zrobiła wszystkiego, na co masz ochotę.
– Przypuszczam, że obrazy trafią do skarbcza?
– Tak, będą tam bezpieczne. Ciotka Gwen przeznaczyła obrazy na Fundusz Odnowy Cavendon. DeLacy i Dulcie sprzedadzą je po wojnie. Przydadzą się wtedy te pieniądze. Ale możesz sobie wybrać coś z jej mebli; resztę sprzeda się na fundusz.
– Wiem, jej testament był bardzo jasny. A między nami mówiąc, to miłe ze strony ciotki Gwen, że zostawiła każdej z nas te małe walizeczki z okazami biżuterii i ulubionymi szalami. Co podarowała Walterowi?
– Mój ojciec i Miles dostali śliczne złote spinki do mankietów i jak wszyscy, jej

fotografię oprawioną w ramki i podpisaną.

Diedre nie mogła powstrzymać się od śmiechu:

– Jakby była członkinią rodziny królewskiej. Ale była niezwykle hojna, a tatuś ucieszył się, że przekazała swoje dzieła sztuki na fundusz.

– Daphne też była uszczęśliwiona. Zniszczenie północnego skrzydła bardzo ją poruszyło.

Włożyła w dom wiele lat pracy.

– Ale już się lepiej czuje, co? – spytała z niepokojem Diedre.

– Doszła już do siebie. O, idzie Dulcie! Wygląda bardzo efektownie.

– Wiesz, jaka jest arogancka, a od wybuchu wojny jeszcze bardziej zbeczelniała.

Codziennie robi makijaż i wytwornie się ubiera; jest zdecydowana nie dać się wojnie.

– Cześć. O rany, mam straszną ochotę na drinka; kieliszek szampana postawi mnie na nogi. Spędziłam pracowity ranek w teatrze z Jamesem i Sidem.

– O, to Sid wrócił do akcji? – spytała Diedre.

– Jest już od dawna. Nie przyjęli go do wojska, bo ma płaskostopie. Uwierzycie, że to jest powód? Sądziłam, że potrzebujemy żołnierzy.

– Miles mi mówił, że nasza armia liczy już ponad dwa miliony ludzi. Co wy na to?

– Wiem, że pobijemy „cholernych Hunów”, jak mówi o nich Sid – powiedziała z uśmiechem Dulcie. – Spodoba wam się czwartkowe przedstawienie, jest naprawdę zabawne. I odniosło duży sukces w całym kraju, wystawiane w bazach lotniczych, obozach wojskowych i w prowincjonalnych teatrach. Jakaż to ulga, że West End już nie jest ciemny, odkąd rząd pozwolił znów otworzyć kina i teatry. Wszystkim to dobrze zrobiło, a zwłaszcza Jamesowi, który ma tyle grania, że przestał się frustrować.

– Rząd zdał sobie sprawę, że ludzie pragną mieć na co czekać, na przykład na film czy sztukę. Chcą, żebyśmy przestali myśleć o wojnie, mieli trochę rozrywki – zauważyła Diedre. – A ja jestem z tego zadowolona. Brakowało mi kina.

Skinęła na kelnera i zamówiła butelkę szampana Pol Roger.

– Ilu aktorów liczy obsada tego przedstawienia? – spytała Cecily.

– Szóstka razem z Jamesem – odparła Dulcie. – Czemu pytasz?

– Myślałam o wydaniu kolacyjki po przedstawieniu, w domu przy South Street, i nie wiem, na ile ma być osób.

Dulcie wykonała szybkie obliczenia.

– Nasza szóstka, w tym James. Piątka aktorów. To jedenaście. Aha, i James zaprosił na spektakl Feliksa i Constance, to razem daje trzynaście osób.

– A ty mówiłaś, że zaprosiłaś Tony’go – przypomniała Dulcie.

– No to czternaście – oznajmiła Cecily. – Sądzę, że mamy dosyć jedzenia. W piwnicy mam przetwory i wczoraj wieczorem przywiozłam z Cavendon dwie kury. Och, i udziec jagnięcy. I to nie jest jedna z nóg Ofelii.

– Świetny pomysł z tą kolacją – stwierdziła Dulcie z błyskiem w oku. – Ale nie musicie zapraszać całej obsady, wystarczy Edward Glendenning. James nie byłby zadowolony, gdybyśmy go pominęli. Jest jego współnikiem w tym przedsięwzięciu.

– Jak sobie poradzisz, mając tylko Erika? – spytała Diedre. – Laura pomaga Daphne w Cavendon.

– Jest tu moja przemiła sprzątaczką, pani Wilkinson. Mówi, że może poprosić do pomocy swoje siostry, Florrie i Gladys. Zrobię bufet, Eric jest w tym dobry.

– Moja gospodyni może ugotować ziemniaki, ryż i makaron – oświadczyła Dulcie. – Eric będzie musiał je tylko podgrzać. Będą pasowały do drobiu i jagnięciny.

– A ja mogę się wybrać do mojego rzeźnika, zostało mi trochę kartek – dodała Diedre.

– Nie marnujcie kartek – zaprotestowała Cecily. – Jedzenia jest dosyć, i oczywiście musi przyjść cała obsada. Od bardzo dawna żadne z nas nie miało okazji do spotkania. Czwartek będzie idealny, a moim zdaniem aktorzy też zasługują na poczęstunek.



Bilety na przedstawienie z Jamesem Brentwoodem i Edwardem Glendenningiem w rolach głównych rozeszły się w okamgnieniu. Przedstawienie stało się przebojem od chwili, gdy na scenie pojawili się dwaj aktorzy przebrani za brzydkie siostry Kopciuszka i Marianne Taft jako Kopciuszek. Odegrali skecz, a publiczność klaskała, tupiała i domagała się więcej.

Śpiewano popularne piosenki, a widzów zachęcono, by przyłączyli się do chóru. Komicy opowiadali stare i nowe dowcipy, rozśmieszając widownię do łez. Była to niepretensjonalna, prosta rozrywka.

Wszystkim się podobało, bo ludzie chcieli się pośmiać. Mężczyźni przebrani za kobiety, kuśtykający w butach na wysokich obcasach, zawsze są zabawni, a James i Edward podkreślali to jeszcze bardziej, wywołując salwy śmiechu.

Po przedstawieniu Miles i Cecily powitali ekipę serdecznie w domu przy South Street i po chwili popłynęło szerokim strumieniem wino znalezione w piwnicy. Bardzo się starali, by wieczór był tak miły, jak to tylko możliwe. Kto wie, kiedy znów będą mogli wydać takie przyjęcie?

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Zawyły wreszcie syreny odwołujące alarm lotniczy. James i Dulcie wyszli ze schronu w piwnicy i wrócili do mieszkania.

Przywitał ich dzwonek telefonu. James podniósł słuchawkę.

– Mówi Brentwood.

– Cześć, tu Miles. Chciałem tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku u ciebie i Dulcie.

– Tak, ale to był długi nalot. Zakładam, że ty i Ceci też się macie dobrze.

– Tak. Dzwonię, bo nie jestem pewien, czy wiesz, że East End leży w gruzach. Porządnie dostali, także doki, które właśnie płoną. Słyszałem, że to morze ognia.

James potrzebował chwili, by dotarł do niego sens wiadomości.

– Doki! East End w gruzach! – krzyknął. – Nie wierzę! – Dorastał w dokach; jego ojciec i brat tam pracowali. – O Boże, Sid wciąż tam mieszka. – James zdał sobie sprawę, że się trzęsie pod wpływem szoku.

– To naprawdę koszmarnie. Właśnie się dowiedzieliśmy. Emma Harte dzwoniła do Ceci parę minut temu. Ceci chce z tobą pomówić.

W tej chwili do pokoju weszła Dulcie i zauważyła, że jest kredowobiały i drży. Podeszła bliżej.

– Tak, cześć, Ceci – powiedział do słuchawki. Usiadł, zanim nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

Dulcie widziała wyraźnie, że jest w szoku. Usiadła obok.

– Tak, wiem, Miles mi powiedział. Muszę tam natychmiast jechać i znaleźć Sida. On jest dla mnie jak rodzina.

– Nie możesz teraz jechać. Pojedziesz jutro. Dlatego Emma dzwoniła do mnie przed chwilą. Szuka pomocników na niedzielę rano, do rozdzielania żywności dla ludzi, których domy zostały zbombardowane. Organizuje duży zespół. Miles mnie nie puści, bo jestem w ciąży, ale jedzie on, Diedre i William. Przyłączysz się do nich? Może znajdziesz Sida.

– Oczywiście, że pojedziemy pomóc, ale ja chcę jechać już – upierał się James, jakby nie słyszał, co mówiła przed chwilą.

– Nie znajdziesz go, nie dziś w nocy. Zresztą policja nie dopuści cię w pobliże. Teraz odprowadzają setki ludzi na stacje metra, by zapewnić im schronienie na noc. Jest tam Czerwony Krzyż i karetki pogotowia.

– Mam tylko nadzieję, że Sid... – Głos mu się załamał i nie dokończył zdania.

Skinął na Dulcie i wręczył jej słuchawkę. Po twarzy płynęły mu łzy; szperał w kieszeni marynarki w poszukiwaniu chusteczki.

– Domyślam się, co się stało, Ceci. East End został poważnie zbombardowany, tak?

– Tak, wiedzieliśmy, że trzeba zawiadomić Jamesa, bo tam dorastał. A teraz martwi się o Sida. Nie mam pojęcia, jak mógłby go znaleźć... sądzę, że będzie musiał poczekać, aż Sid się z nim skontaktuje.

– Powiedz mi coś na temat jutra, Ceci. O co chodzi?

– Emma Harte ma przyjaciółkę, która wyszła za jakiegoś ministra, i spytała Emmę, czy nie mogłaby wspomóc ludzi żywnością z jej domu towarowego. Emma zadzwoniła, żeby spytać, czy dołączę do grupy, która pojedzie jutro do East Endu rozdzielać żywność z jej sklepu, ciepłe napoje, koce, te rzeczy. Chce, żeby ludzie zebrali tyle jedzenia, ile mają na zbyciu, i dołączyli do

zespołu ratowników. Pojadą Miles, Diedre i William, a Diedre zamierza zadzwonić do Tony'ego Jenkinsa. Im więcej rąk, tym więcej żywności się rozda.

– Możesz na nas liczyć. Powiedz gdzie i kiedy.

– Dziewiąta rano jutro, przy głównym wejściu do domu towarowego Harte w Knightsbridge.

– Będziemy tam. O Boże, benzyna. Zastanawiam się, ile mamy kartek.

– Zapomnij o tym. Nie bierzcie samochodu. Emma wynajęła parę autobusów, by zabrać żywność i jedzenie do East Endu.

– To dobry pomysł. Powiedz Milesowi, że spotkamy się rano.

Dulcie odłożyła słuchawkę i przysiadła na poręczy fotela Jamesa. Powtórzyła słowa Cecyli; James skinął głową, objął ją i posadził sobie na kolanach. Przytulił ją mocno i rozpłakał się.

W końcu opanował się i wytarł oczy.

– Nie mogę znieść myśli, że East End zniknął z powierzchni ziemi, jego mieszkańców ograbiono z domów i środków do życia. Ta cholerna wojna jest ohydna.

Zadzwonił telefon; Dulcie wysłiznęła się z ramion męża i go odebrała. Dzwoniła Ruby, siostra Jamesa.

– Dobrze się czuje, Ruby, ale jest zdenerwowany. Jestem pewna, że ty też. Dam ci go do telefonu.

– Halo, Ruby, kochanie. Właśnie Miles przekazał mi tę wiadomość. Rozwalili East End w drobny mak, również doki. Zniknęły wszystkie nasze wspomnienia... Bow Common Lane i West India Docks w pobliżu Bow...

– Tak się cieszę, że ty i Dulcie jesteście bezpieczni i że dawno temu namówiłeś mnie na przeprowadzkę.

– Ja też, Ruby... reszta rodziny też jest bezpieczna, prawda?

– Tak, Jamie, żywi i zdrowi. Teraz troszcz się o siebie i Dulcie. Dobrze, że dzieci są w Yorkshire.

– Tak, Ruby. Kocham cię, przekaz pozdrowienia wszystkim. Poza tym wybieramy się tam jutro, by pomóc w rozdawaniu żywności. Dam ci Dulcie, żeby ci wytłumaczyła, o co chodzi.

Gdy Dulcie opowiedziała jej o ich planach, Ruby oznajmiła, że też chce pomóc. Dulcie była zachwycona, że zwerbowała następną ochotniczkę, i umówiły się, gdzie się spotkają.



Godzinę później telefon znów zadzwonił. James podniósł słuchawkę.

– Mówi Brentwood.

– Tu Sid.

– Och, dzięki Bogu, że dzwonisz! Strasznie się o ciebie martwiłem. Gdzie jesteś?

– Szedłem i szedłem, aż znalazłem budkę telefoniczną, co nie była cholerną ruiną. I nie wiem, gdzie jestem.

– Miles dzwonił i mówił, że East End i doki zostały zmiecione z powierzchni ziemi. Byłeś tam podczas nalotu?

– Tak. Wszystko widziałem. Ci pieprzeni Hunowie zbombardowali mi dom na moich oczach. I doki też szlag trafił. Gdzie pracował twój tata i twój brat David... – Pociągnął nosem; James zorientował się, że płacze.

– Sid, gdzie będziesz dziś nocował? – odezwał się po chwili. – Posłuchaj, idź tak długo, aż złapiesz taksówkę, wsiadaj i każ się zawieźć tutaj. Zapłacę za taksówkę. Możesz tu zostać,

dopóki Ruby nie znajdzie jakiegoś wyjścia.

– Nie, dzięki, Jamie, ale pójdę z innymi na stację metra.

– Dulcie i ja jedziemy jutro na East End, pomóż rozdawać jedzenie. Spotkamy się.

– Gdzie? Wszystko jest zbombardowane. Kupa gruzów. Nigdy mnie nie znajdziecie. Nie wiem nawet, gdzie jest Bow Lane, taki tu cholerny bałagan.

– Ale spróbuj mnie znaleźć. A jeśli ci się nie uda, zobaczymy się w poniedziałek w sali prób. Uważaj na siebie, Sid.

– Nie mam zamiaru zginąć przez tych pieprzonych Hunów – mruknął Sid. – Nie ma takiej cholernej możliwości.



Żadne z nich nie wierzyło własnym oczom, widząc w niedzielę zniszczenia po nalocie na East End. Przyjechali tu autobusami Emmy i rozdawali jedzenie ludziom pracującym wśród gruzów, które kiedyś były ich domami.

Ludzie byli życzliwi, uprzejmi i wdzięczni. Dziękowali im za żywność i gorące napoje; niektórzy wygłaszali lekceważące uwagi na temat Niemców. Ale najbardziej zadziwiające było, że uśmiechali się, żartowali i wyraźnie dobrze się bawili. Przyjęli postawę: Nie mamy innego wyjścia.

Szli ostrożnie przez gruzy.

– Na Boga, ależ są silni i odważni – powiedział James. – Kiedy widzę tych ludzi, rozpiera mnie dumą, że jestem Anglikiem.

Przyłączyła się do nich Emma Harte.

– James, ten widok musiał tobą wstrząsnąć. Miles mówił mi, że tu dorastałeś. Dziękuję, że przyjechałeś.

– Chcę pomóc. – Potrząsnął głową. – Gdzie oni zamieszkają? Nie ma tu ani jednego całego domu.

– Na stacjach metra – odparła Emma. – Ale wracajcie do dużego autobusu, tam jest jeszcze dużo jedzenia.

– Och, popatrzcie tam – zawołała nagle Ruby. – Czy to nie pan Churchill? Poznaję jego kapelusze i cygaro.

– To rzeczywiście on – przyznał James. Ludzie wiwatowali na jego cześć, klaskali i pozdrawiali go. – Chodźmy i przyłączmy się do wiwatów. Ten człowiek potrzebuje dziś naszego wsparcia.

Diedre bystrym okiem zauważyła, że Winston Churchill, przemawiając do otaczającego go tłumu, ma łzy w oczach. Mówił wyjątkowo łagodnie, a jego słowa jak zwykle działały inspirująco, a ją aż zatkało. Czuła, że premier naprawdę rozumie, co znaczą te okropne zniszczenia dla tych londyńczyków. Wierzyła, że podziela ich ból, cierpi wraz z nimi.

Nic dziwnego, że bierze odwet, bombardując bezlitośnie Berlin. Zrozumiała, że czeka ich jeszcze długa, nieprzerwana walka. Ale cóż innego mógł zrobić Churchill poza obroną swojego narodu? Nie tylko przy pomocy RAF-u i ich bomb, marynarki wojennej i piechoty, ale również słów. Dzięki swoim przemówieniom dawał im odwagę i nadzieję, i robił to lepiej niż ktokolwiek inny.

William objął ją i przytulił.

– To zadziwiający człowiek, no nie? – szepnęła jej do ucha.

Diedre tylko skinęła głową. Nagle podniosła wzrok, słysząc krzyk Jamesa.

– Sid! Sid! Tu jesteśmy!

Przez ruiny biegł ku nim garderobiany Jamesa. Potykał się, przewracał, ale wstawał i pędził dalej. Gdy dotarł do Jamesa, ten uściskał go z widoczną ulgą.

– Dzięki Bogu, jesteś cały, Sid. – James roześmiał się i dodał, puszczając do niego oko: – Jesteś mi niezbędny. Nie poradzę sobie bez ciebie.

– Nie musisz mi tego mówić. Wiem o tym – mruknął Sid, ale wyglądał na zadowolonego.



Po rozdaniu całej żywności grupa Jamesa powoli wracała do autobusu. Nagle zatrzymał ich kordon policji. Po chwili zrozumieli powód. Policja robiła miejsce dla dużego czarnego samochodu, z którego wysiedli król Jerzy VI i królowa Elżbieta.

Tłum oszalał, wiwatując na ich widok. Król i królowa przeszli wśród nich, rozmawiali z ludźmi, wykazując troskę i współczucie. A był to widok godny oglądania. Królowa miała na sobie jedną ze swoich pastelowych sukni, król zaś wystąpił w mundurze marynarki wojennej. Londyńczycy podnieśli z dumą głowy, wiedząc, że są ważni dla pary królewskiej, która weszła w gruzy, by ich pocieszyć.



Zaczął się Blitz[5].

Wszyscy wiedzieli, że nieprędko się skończy. Naloty bombowe trwały wiele miesięcy i Brytyjczycy przyzwyczaili się do życia pod bombami Luftwaffe. Już było wiele ofiar. Zginęły tysiące ludzi, wojska i cywilów. Druga wojna światowa trwała dłużej, niż ktokolwiek przypuszczał.

5 Blitz (z niem. „błyskawica”) – seria nalotów niemieckich na Wielką Brytanię podczas II wojny światowej, trwających od 7 września 1940 do 10 maja 1941.

Z PODNIESIONĄ GŁOWĄ

O, łuk mi dajcie z żaru złota,
A z pragnień moich groty strzał!
Dajcie mi włócznię! Pękaj chmuro,
Abym ognisty rydwan miał!

Myśl moja już nie spocznie w boju,
Nie uśnie miecz w uścisku rąk,
Póki nie stanie Jeruzalem
W Anglii zielonej, kraju łąk.

William Blake, *Jerusalem*; tłum. Jerzego Pietrkiewicza

ROZDZIAŁ SZESZĆDZIESIĄTY

Szczęście Cavendon ma swoje przyływy i odpływy”. Cecily spojrzała na słowa zapisane w notesie i pokiwała głową. Podobało jej się to zdanie. Wypowiedziała je wczoraj Genevra, kiedy Cecily wpadła do niej po wizycie u matki w Little Skell.

– Mała to szczęście – mówiła. – Ma całe szczęście świata... chowa je w sobie. To błogosławione dziecko... stara dusza.

Cecily przez wszystkie lata uważnie słuchała Genevry i wiedziała, że Cyganka się nie myli.

Obróciła się nieco i spojrzała na dziecko siedzące przy małym stoliku obok kominka. Jej brązowe włosy w rudawym odcieniu błyszcząły w popołudniowym słońcu. Pochyliła głowę, skupiając się na rysunku i mocno ściskając ołówek. Dziewczynka nie tylko była do niej podobna z wyglądu, ale odziedziczyła też jej umiejętność koncentracji i parę innych cech. Jednak pod pewnymi względami przypominała Milesa: była trochę uparta, lecz pogodna i miła jak ojciec.

Miała dziś urodziny. Będzie tort zrobiony z cukru zaoszczędzonego ze świąt, a Alice napracowała się, szyjąc dla niej lalkę. Późnym popołudniem w żółtym saloniku odbędzie się przyjęcie z udziałem jej kuzynów. Był dwudziesty czwarty stycznia 1944 roku, a ona kończyła trzy lata.

Jak to możliwe? Te lata zleciały tak szybko. Bywało lepiej i gorzej, ale rodzina jak dotąd przetrwała i do wszystkiego podchodziła ze spokojem.

Parę dni temu Dulcie stwierdziła, że są chyba wykuci z żelaza. Cecily roześmiała się i odparła, że wolałyby myśleć o nich jako o skrojonych z błyszczącej stali.

Przewracając kartki notesu oprawionego w niebieską skórę, Cecily szukała momentu narodzin ostatniego dziecka, zatrzymując się przy zapiskach z wcześniejszych lat. Notatnik nie był dziennikiem ani kalendarzem, zapisywała w nim rzeczy wyjątkowo godne zapamiętania, istotne dla niej. Znaczące.

Wpadła jej w oko notatka wpisana przy szczęśliwej okazji. „Sobota, 21 grudnia 1940 roku”. Uśmiechnęła się na jej widok: „Charlie wrócił dziś do domu na dwóch nogach”.

I tak właśnie było. Nikt się go nie spodziewał. Dla Daphne i Hugona była to niespodzianka. Ona i Miles wiedzieli, bo Charlie zadzwonił do jej pracowni w Burlington Arcade. Powiedział, że będzie przez tydzień w szpitalu Chapel Allerton w pobliżu Leeds, a potem go zwolnią. Szpital był znany z opieki nad inwalidami, a zwłaszcza żołnierzami po amputacjach. Ona i Miles poprosili Winstona Harte, by odebrał stamtąd Charliego, bo dobrze go znali w szpitalu. Poza tym Emma zasugerowała, że Charlie powinien poznać jej brata, który stracił nogę podczas pierwszej wojny światowej. Ta mądra kobieta przewidziała, że w nadchodzących miesiącach Charlie będzie potrzebował rady i pomocy.

Cecily zamknęła oczy i bez trudu przypomniała sobie ten dzień. Było sobotnie popołudnie, tuż przed świętami Bożego Narodzenia, a ona i Daphne wieszały ozdoby na choince w niebieskim salonie. Zwykle zajmowało im to parę dni, bo jodła była wysoka.

Panowała cisza, obie skupiały się na dekorowaniu choinki, kiedy rozległ się znajomy głos:

– Cześć, mamó. Wreszcie jestem.

Daphne upuściła trzymaną w ręce ozdobę i odwróciła się, pełna zdumienia.

– Charlie! – wydyszała na jego widok. – To ty, Charlie. – Ruszyła w jego stronę, ale

Cecily przytrzymała ją za ramię.

– Niech on do ciebie podejdzie, zobaczysz, jak chodzi – szepnęła.

Daphne usłuchała, i stały razem, patrząc, jak idzie ku nim, wysoki, prosty jak strzała, leciutko tylko kulejąc. Miał na sobie galowy mundur Coldstream Guards i Cecily pomyślała, że wygląda nadzwyczajnie. Jego twarz nie nosiła śladów cierpienia. Był tak przystojny jak zawsze. Poruszał się z godnością i elegancją.

Miles wszedł za nim i uśmiechał się od ucha do ucha. Mimo że inne dzieci daleko stąd służyły ojczyźnie i mimo racjonowania żywności było to najlepsze Boże Narodzenie od lat. Cała rodzina, a zwłaszcza jego rodzice, była bardzo dumna z Charliego. Teraz pracował w „Daily Mail”. Dobrze sobie radził przez ostatnie trzy lata w specjalnym dziale zajmującym się wciąż trwającą wojną. Nie jako korespondent wojenny, ale prawie.

Śmierć. Zbyt wiele śmierci, pomyślała Cecily, kartkując notes. Parę osób odeszło od czasu, kiedy umarła ciotka Gwendolyn.

Spojrzała na datę, którą wpisała po urodzeniu małej Gwen: „24 stycznia 1941”. Pod pewnymi względami to był dobry rok. Urodziła się ich córeczka, poród był łatwy, a dziecko przepiękne.

Churchill zawarł umowę z prezydentem Rooseveltem, i zaczęły się dostawy z Ameryki: żywność, statki i amunicja; pamiętała, jak się czuli, kiedy wreszcie otrzymali pomoc.

Choć nadal spadały bomby, obracając w perzynę część Londynu, ludzie byli pełni optymizmu. Cecily uważała, że to zasługa Churchilla, który podtrzymywał ich na duchu patriotycznymi przemówieniami.

Zmarł również jej teść, szósty hrabia Mowbray, ale odszedł spokojnie, za co byli wdzięczni losowi. Nie chorował. Latem 1942 roku był słaby i roztargniony. Na zawsze zapamięta dzień jego śmierci.

Tego popołudnia do biura Cecily wbiegła jej dziewięcioletnia córka, Venetia. Wyglądała na zmartwioną i wyjaśniła, że przysłała ją tu ciotka Charlotte. Dziadek zasnął i ciocia Charlotte nie może go obudzić.

Wspomniała tę chwilę i do oczu napłynęły jej łzy. Po lunchu Charles siedział z Charlotte. Powiedział, że się na chwilę zdrzemnie. Charlotte czytała książkę, gdy usłyszała dziwny odgłos. Wstała, nachyliła się nad Charlesem, zastanawiając się, czy coś się stało. Uśmiechnął się do niej, ujął ją za rękę i wyzionął ducha. Charlotte, biegnąc po Lane’a, zobaczyła na schodach Venetię i wysłała ją do Cecily.

Trzy dni później stali wszyscy w pełnym słońcu na cmentarzu przy kościele w majątku, patrząc, jak trumna ze szczątkami Charlesa Inghama spoczywa w grobie. Rodzina odczuwała ból i żal po tej stracie i nie ukrywała tego. Bo i po co? Cecily myślała tak tamtego dnia, i teraz nie zmieniła zdania. Wszyscy go kochali, a on był wyjątkowym człowiekiem. Dopiero kiedy pastor zwrócił się do niej „milady”, zdała sobie sprawę, że jest teraz siódmą hrabiną, a Miles siódmym hrabią Mowbray.

Rozległ się szelest. Małeńka dziewczynka stała przy jej biurku, trzymając w wyciągniętej ręce chusteczkę.

– Czemu płaczesz, mamusiu?

Cecily przyjęła chusteczkę z małej brudnej rączki i uśmiechnęła się.

– Nie płacz, Gwen. Dziś jestem szczęśliwa, bo są twoje urodziny.

Dziewczynka skinęła głową i wręczyła jej wykonany właśnie rysunek.

– A to dla ciebie – oświadczyła.

– Dziękuję, kochanie, jak to miło z twojej strony. – Wzięła do ręki rysunek, przyjrzała mu się i uśmiechnęła. Przedstawiał narysowany krzywo tort z masą krzywych świeczek.

Cecily pochyliła się i pocałowała córkę, która wyjaśniła:

– To na twoje urodziny.

– Zachowam go do tej pory – obiecała Cecily, objęła Gwen i mocno ją przytuliła.

Uwielbiała wszystkie swoje dzieci, ale to wyjątkowo radowało jej serce.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Cecily cieszyła się z powrotu do Londynu, co ostatnimi czasy udawało jej się z coraz większym trudem. Przyjechała z Milesem z Yorkshire poprzedniego wieczoru. On miał wyznaczoną wizytę u okulisty, a ona wpadła na pomysł, by towarzyszyć mu w podróży pociągiem.

Był wietrzny marcowy poranek, chłodny, lecz słoneczny, i z przyjemnością przespacerowała się z domu przy South Street do Burlington Arcade. Miała na sobie gruby płaszcz i wełniany szalik.

Później spotka się tu z Dulcie, która chciała kupić jeden z jej białych jedwabnych szalików, kopii tych noszonych przez pilotów bojowych. Kobiety przepadały za nimi i nie mogła się opędzić od zamówień. Dobrze sprzedawały się też jej kwadratowe szale w różnych kolorach. Kobiety wiązały je wokół głowy na kształt turbanu. Nawet Clementine Churchill, żona Winstona, polubiła ten model. Wszystkie dodatki dobrze szły, ale nie rzeczy szyte na miarę. Cecily nie spodziewała się, że będą cieszyły się powodzeniem podczas wojny. Linia gotowej odzieży utrzymywała się na progu opłacalności, ale ona wiedziała, że latem sprzedaż wzrośnie.

Sprawy toczyły się w dobrym kierunku, napawając ludzi większym optymizmem. Działo się tak dzięki Ameryce. Siódmego grudnia 1941 roku Japończycy zbombardowali Pearl Harbor. Podczas niczym niesprokowanego ataku dwieście samolotów zniszczyło większą część amerykańskiej floty Pacyfiku, zabijając tysiące żołnierzy i cywilów. Prezydent Roosevelt natychmiast wypowiedział wojnę Japonii; wtedy Niemcy wypowiedzieli wojnę Ameryce, a to skłoniło prezydenta do wypowiedzenia wojny Niemcom. W 1942 roku zaczęli przybywać piloci bojowi, lotnicy, żołnierze i marynarze. Ich obecność zmieniła oblicze Londynu, a być może całej Anglii.

Prawie wszyscy Amerykanie, jakich z Milesem poznali, byli wysocy, przystojni i pełni naturalnego uroku, i Cecily podobało się, kiedy mówili do niej „ma'am”, choć trochę dziwnie to brzmiało.

I ona, i jej cztery szwagierki spotykały wielu Amerykanów w kantynie Emmy Harte przy Fulham Road. Emma była wielce szlachetną osobą, a mając synów i zięcia na wojnie, dostrzegła potrzebę stworzenia miejsca, gdzie żołnierze, marynarze i piloci mogliby się spotkać, odprężyć, poznać miejscowe młode kobiety i ogólnie rzecz biorąc, dobrze się bawić.

Kupiła więc stary skład, wyposażyła go w kilka barów, kuchni, toalet, urządziła cztery wygodne sale klubowe, a nawet parkiet taneczny. Zatrudniła orkiestrę, a w końcu piosenkarkę, która śpiewała popularne przeboje.

Kantyna była na ustach wszystkich i zaczęli ją odwiedzać młodzi wojskowi obu płci oraz wiele miejscowych dziewcząt. Stała się miejscem spotkań cudzoziemców, gdzie można było natknąć się na Polaków, Czechów i Francuzów, którzy kilka lat temu wstąpili do RAF-u, no i Jankesów, jak mówił o nich Noel Jollion. Sama Emma wpadała tu parę razy na tydzień. Jej córki, Daisy i Elisabeth, też często przychodziły i pomagały przy robieniu kanapek i kawy, nalewały drinki i dbały o chłopców i dziewczęta w mundurach.

Wkrótce przypadała ich kolej i Cecily już się cieszyła na następną wizytę w kantynie. Zwykle towarzyszyli im Miles, James i William, którzy bardzo polubili Emmę i podobał im się zgiełk i przyjazny nastrój tego miejsca.

Gdy weszła do sklepu, Dulcie już na nią czekała, a ciotka Dottie wcisnęła jej do ręki

kubek gorącej herbaty.

– Paskudna pogoda – stwierdziła Dulcie po powitalnych uściskach. – A biedny James jest dziś na zdjęciach w plenerze. Ale chyba nie powinnam mówić, że jest biedny. Jest szczęśliwym chłopcem, bo kręci film dla sir Alexandra Kordy. Jest w swoim żywiole. A co najlepsze, sir Alex prowadzi oddział MGM w Londynie, więc ten film jest częścią kontraktu Jamesa.

– Muszę zawiadomić Emmę, kiedy przyjdziemy do kantyny. Może w ten czwartek? Zostajemy z Milesem w Londynie przez cały tydzień. Wracamy do Cavendon w piątek.

– Mnie pasuje. Spytajmy Diedre i DeLacy. Ja pójdę z tobą, nawet jeśli ich nie będzie.

Dokończyły herbatę i poszły na górę do biura Cecily. Dulcie usadowiła się w fotelu.

– Być może po wojnie wrócimy na chwilę do Hollywood – wyznała. – James lubi tam pracować, no i brak mu Clarka Gable’a. Sądzę, że Clark też za nim tęskni. Był zdruzgotany po śmierci Carole. Kiedy był tu w zeszłym roku, James stwierdził, że to zupełnie inny człowiek. Też tak uważam. Clark nie doszedł do siebie po jej wypadku i nigdy się z tym nie pogodzi. James był trochę zawstydzony, że nie nosi munduru tak jak Clark, kapitan amerykańskich sił powietrznych, który walczył też jako strzelec pokładowy nad Niemcami.

– Ale czy James nie powiedział mu, że ma uszkodzony nerw w uchu?

– Clark o tym wie. Ale wiesz, jacy potrafią być mężczyźni. James wciąż się wścieka, że nie walczy.

– To samo jest z Milesem, ale on ma problem z oczami, dlatego zaczął nosić okulary. Ale szczerze mówiąc, jest potrzebny w Cavendon. Gdyby go nie było, kto zarządzałby majątkiem?

– Oczywiście Daphne! – palnęła Dulcie. – Wiesz, że zrobi wszystko, zwłaszcza jeśli to ma coś wspólnego z Cavendon. Niedługo będziemy musiały sprawić jej aureolę. A może nawet dwie.

– Nie bądź wredna, Dulcie. Wiesz, że to dobry człowiek.

– Tylko żartuję, Daphne jest najlepsza.



Parę dni później Noel Jollion zauważył w kantynie Emmy cztery De i Cecily i ruszył prosto ku nim. Ucałował wszystkie i spytał:

– Gdzie są wasi mężowie?

– W którejś z sal, piją drinka z Emmą i Blackiem. Czemu pytasz? – zaciekała się Dulcie.

– Bo przyproważyłem tu paru moich Jankesów, a oni bardzo chcą potańczyć jitterbuga. Co wy na to, dziewczęta?

– Nie jestem najlepsza w jitterbugu – odezwała się Cecily. – Ale mogę zatańczyć fokstrota.

– Chętnie bym zatańczyła – stwierdziła DeLacy. – Ale ma tu przyjść mój przyjaciel i chyba zaczekam na niego. – Wyglądała zachwycająco. Jej złociste włosy lśniły, a niebieska sukienka i kolczyki z szafirami podkreślały błękit oczu. Wyróżniała się wśród zgromadzonych kobiet.

– Och, daj szansę któremuś z moich fantastycznych Jankesów, DeLacy. To naprawdę wspaniali chłopcy. Uwielbiam ich...

– Podobają mi się ich mundury – wtrąciła Dulcie, puszczając oko do Noela. – Chętnie zatańczę jitterbuga.

– A kim jest twój Jankes? – zwrócił się do DeLacy Noel.

– Sądzę, że go znasz. O, właśnie przyszedł. – DeLacy przeprosiła towarzystwo

i pospieszyła ku wysokiemu, przystojnemu pułkownikowi, który rozglądał się dokoła, szukając jej.

Po chwili przyprowadziła go do Noela.

– To... Cameron Daniels. Cameron, poznaj Noela Jolliona. Jest pilotem myśliwca z Biggin Hill i naszym sąsiadem z Yorkshire.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie i natychmiast wdali się w rozmowę na temat latania. DeLacy roześmiała się, wzruszyła ramionami i zaproponowała Cecily:

– Chodźmy i weźmy sobie po kieliszku bąbelków. Cameron może tak gadać godzinami. Nic nie cieszy go bardziej niż chłopiące rozmowy i latanie.



Cecily siedziała przy barze, rozmawiając z DeLacy i słuchając jej uwag o świecie. Podziwiała swoją najlepszą przyjaciółkę, z którą znały się od dzieciństwa.

Przez ostatnie dziesięć lat DeLacy zmieniała się, zyskała pewność siebie i została uznana specjalistką w dziedzinie sztuki. Jej wielka miłość, Travers Merton, kochał ją szczerze, a jego uwielbienie przywróciło jej życiu sens i zbliżyło rany po jej pierwszym małżeństwie. DeLacy była inteligentna i zasługiwała na szczęście.

Cecily ulżyło, kiedy przyjaciółka kilka lat temu odprawiła Petera Musgrove'a. Z początku nie dawał jej spokoju, ale potem dostał powołanie do wojska i poszedł na wojnę. Zginął w Dunkierce. W każdym razie DeLacy sądziła, że zginął, choć nie znaleziono jego ciała. DeLacy zachowała się bardzo przyzwoicie, pojechała do jego rodziców, by złożyć im kondolencje.

– Podoba ci się Cameron? – spytała DeLacy, zniecierpliwiona zmieniając temat; chwilę temu rozmawiały o sztuce.

– Tak, Milesowi też – odparła zgodnie z prawdą Cecily. – Czemu pytasz?

– Ma wobec mnie poważne zamiary – odparła DeLacy. – Co o tym sądzisz?

– A ja chciałabym wiedzieć, co ty do niego czujesz.

– To coś poważnego, ale jestem ostrożna. To naprawdę uroczy człowiek, pod pewnymi względami podobny do Traversa: troskliwy, dobrze wychowany i zabawny. Swoją drogą mówił mi, że Clark Gable stacjonował w Polebrook, kiedy był w zeszłym roku w Anglii. Inni ludzie uważali, że to żart, wielka gwiazda filmowa w siłach powietrznych. Ale Cameron lubi go i podziwia. Powiedział, że to prawdziwy mężczyzna, i potwierdzili to inni piloci. Nie jest pozerem – tak twierdzi Cameron.

– James ręczy za niego i muszę przyznać, że też go lubię. Jest miły, nie uważa się za Bóg wie kogo. Dlaczego wspomniałaś o Clarku?

– Bo powiedział kiedyś Cameronowi, że życie nauczyło go, by traktować każdy dzień tak, jakby miał być ostatnim.

– Możliwe, że bierze się to z tego, jak zginęła jego żona, Carole. W katastrofie lotniczej, wracając do Hollywood po objeździe kraju promującym obligacje wojenne. Jej ciało... właściwie znaleźli zaledwie fragmenty. Clark zwierzył się Dulcie, że został mu po niej tylko fragment jednego z kolczyków, które podarował jej na Boże Narodzenie tamtego roku. Nosi go w medalionie na szyi.

DeLacy patrzyła na nią ze łzami w oczach.

– Jakie to smutne, że zginęła w taki sposób.

Po chwili podszedł Cameron i poprosił DeLacy do tańca. Cecily obserwowała ich na parkiecie. DeLacy ostatnio wyglądała lepiej niż kiedykolwiek. Ciemnoniebieska sukienka, którą Cecily uszyła dla niej trzy lata temu, wirowała i unosiła się w tańcu. Ależ ma wspaniałe nogi,

pomyślała Cecily. Cała jest wspaniała. Każdy mężczyzna straciłby dla niej głowę. Podobali jej się razem, wyglądali jak stworzeni dla siebie. Ginger Rogers i Fred Astaire, uśmiechnęła się w duchu. Świetnie tańczyli fokstrota.



Później tego wieczora zgromadzili się wokół pianina i przyłączyli do chóru wojskowych, śpiewających ulubione przeboje: *The white Cliffs of Dover*, *I'll Be Seeing You*, *Fols Rush In* i wiele innych piosenek spopularyzowanych przez Verę Lynn.

Tuż przed wyjściem Cecily odciągnęła DeLacy na bok.

– Czy Cameron już poprosił cię o rękę?

– Jeszcze nie, ale sądzę, że to zrobi.

– I jaką mu dasz odpowiedź?

– Chyba powiem tak.

– Wyjedziesz i zostawisz nas. Nie zniesiemy tego – powiedziała Cecily i uśmiechnęła się.

– Ale to twoje życie i musisz znaleźć własne szczęście.

– Nigdy was nie opuszczę, Ceci. – Pochyliła się i pocałowała Cecily w policzek. –

Dziękuję, kochana. Zawsze będę z tobą.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DRUGI

Prawie 5 tysięcy okrętów. Ponad 200 tysięcy żołnierzy, marynarzy i straży wybrzeża. Flota tak olbrzymia, jakiej świat nie widział. Niewyobrażalna siła ognia. I wola zwycięstwa tak zakorzeniona w ludziach, że musiała doprowadzić do sukcesu.

Ta ogromna flotylla stała tuż przy brzegach Normandii. Był szósty czerwca 1944 roku i pięć minut po północy rozpoczęła się operacja Overlord: inwazja połączonych sił aliantów na okupowaną przez Niemców Francję.

Było dwóch głównodowodzących: amerykański generał Dwight D. Eisenhower i brytyjski generał, sir Bernard Law Montgomery. Razem prowadzili swoje oddziały do zwycięstwa, pokonania Hitlera i Trzeciej Rzeszy. Zobowiązali się pomóc sojusznikom i tym samym uratować cywilizację przed złowrogim dyktatorem, dążącym do panowania nad światem.

Po drugiej stronie kanału leżało wybrzeże Normandii, wybrane ze względu na odpowiednie plaże, sprzyjające przyplwy i stosunkowo słabe oddziały obrony. Dowódcy wytypowali pięć odcinków plaż, nazwanych Utah, Omaha, Gold, Juno i Sword.

Amerykanie mieli wylądować na Omaha i Utah, Kanadyjczycy na Juno, a Brytyjczycy na Sword i Gold. Mieli za zadanie przejąć plaże, utrzymać je, odeprzeć atak Niemców i zmusić ich do odwrotu.

Po intensywnym ostrzale z wody i powietrza kilka tysięcy żołnierzy przebrnęło po płytkiej wodzie na wyznaczone plaże. Inwazja rozpoczęła się o szóstej rano.



Wśród pierwszych kilku tysięcy żołnierzy, którzy dotarli na brzeg, znaleźli się Thomas i Andrew Stantonowie, synowie lady Daphne i Hugona. Służyli w 8. Brygadzie Piechoty, do której wstąpili po ukończeniu szkolenia w akademii wojskowej w Sandhurst w pobliżu Londynu.

Byli identycznymi bliźniakami i typowymi Inghamami: wysocy, jasnowłosi, niebieskoocy. Trudno im było rozstawać się na dłużej, ale zdawali sobie sprawę, że w nadchodzącej batalii mogą zostać rozdzieleni.

Więc kiedy kilka dni temu rozmawiali z rodzicami, śmiali się i żartowali, nie wspominając o swojej służbie w armii. Gdy pojechali do Londynu na trzydziestosześciodzinną przepustkę, przy obiedzie ustalili, że każdy z nich będzie troszczył się o siebie i o zadanie, które ma wykonać, nie oglądając się na drugiego, bo to by ich rozpraszało. Muszą zaryzykować i robić jak najlepiej to, co do nich należy. „Mamy po swojej stronie szczęście Cavendon” – zauważył Thomas.

Z początku opór na wybrzeżu był dość silny. Było wiele ofiar i stracono trochę sprzętu. Ale większość pojazdów opancerzonych wylądowała, i brytyjskie oddziały mogły zabezpieczyć ten obszar.

Do dziewiątej trzydzieści rano saperzy oczyścili siedem z ośmiu przejść z plaży Sword, co pozwoliło na rozpoczęcie szturm. Oddziały pomaszerowały ku nadbrzeżnemu miasteczku Ouistreham, na wschodnim końcu wybrzeża Sword. I znów napotkali silny opór. Ale w końcu go pokonali.

W nocy 8. Brygada dołączyła do spadochroniarzy z 6. Dywizji Powietrznej, którzy utrzymywali mosty na rzece Orne i kanale w Caen. Spadochroniarze unieszkodliwili wcześniej baterie dział podczas nocnej potyczki w Merville. Jak się później okazało, jedyny poważniejszy

atak niemiecki w okręgu Caen przeprowadziła 21. Dywizja Pancerna.

Późnym wieczorem bracia Stantonowie spotkali się i wypalili razem papierosa przed następną walką. I od tej pory tak już miało być.



Ponieważ Niemcy zostali zaskoczeni, bo ze względu na niepewną pogodę nie spodziewali się ataku i nie byli odpowiednio przygotowani, alianci przeważnie napotykali słaby opór. Parli do przodu w dobrym tempie. Do jedenastego czerwca wybrzeża zostały opanowane na całej długości przez żołnierzy i pojazdy opancerzone. Wykonali swoje zadanie i teraz ruszali na Trzecią Rzeszę.



Cała Anglia wiwatowała na wieść o tym olbrzymim sukcesie aliantów. To jeszcze nie było pełne zwycięstwo, ale gazety i radio wciąż podawały dobre wiadomości, co z pewnością podnosiło narodowe morale.

Diedre świętowała wraz z rodziną, ale w głębi ducha była bardzo zaniepokojona. Jej tajna agentka, Étoile, od prawie tygodnia nie dawała znaków życia. Kontakt Diedre we francuskim podziemiu ostrzegł ją, że być może Étoile została schwytana. Gestapo działało teraz na południu Francji.

Zdawała sobie sprawę, że przewidywalna długość życia członka francuskiego ruchu oporu to nie więcej niż sześć miesięcy. Jednak Étoile nie należała do Maquis. Mieli jej w razie czego pomóc, ale to wszystko.

Był piętnasty czerwca, kilka dni po sukcesie D-Day. Diedre siedziała w biurze i nagle dopadło ją złe przecucie. Coś poważnego spotkało Étoile, być może nawet to najgorsze. Wcześniej zasugerowała Williamowi, że może by tak poprosić Émeraude'a, by się włączył w poszukiwania, ale on odrzucił ten pomysł. Wreszcie podzielił się z nią okropną wiadomością, otrzymaną przed paroma dniami: Émeraude miał ciężki wylew i jest sparaliżowany.

Do pokoju wszedł Tony. W rękę trzymał jakiś papier.

– Diedre, wiesz, gdzie jest William?

– Poszedł na spotkanie z premierem. Sądzę, że pan Churchill chce mu przekazać jakieś informacje od C z MI6. Potrzebujesz go?

– Niezupełnie. Dostałem złą wiadomość.

– O Étoile? – spytała szybko Diedre. – Nie żyje?

– Nie wiem, ale Émeraude zmarł po wylewie. Wiadomość przekazał nam jeden z naszych kontaktów Maquis w Paryżu. W jego mieszkaniu nie ma nic, co by mogło obciążać albo narazić na niebezpieczeństwo jego żonę. Nasz kolega je wyczyścił. Zniszczył wszystko, co powinno zniknąć, zatarł wszelkie ślady.

– Wszystko?

– Wszystko.

– Dobrze. Smutno mi z powodu Émeraude'a, to wielka strata. Obawiam się, że zapowiada się nam spora dawka kłopotów, Tony. Te latające bomby są śmiertelnie groźne, a co więcej, nie wiadomo, kiedy i w co uderzą. Paskudna broń.

– V-1 to nazistowski odwet za D-Day – przytaknął Tony. – W tej chwili nie są w stanie inaczej się zemścić. Nie wysłał Luftwaffe. Większość ich samolotów została zniszczona podczas operacji Barbarossa... bitwa pod Stalingradem drogo Hitlera kosztowała.

– To prawda. Jeszcze nie uciekają, ale wiedzą, że trafili na godnego przeciwnika

w postaci naszych przyjaciół Jankesów. Mogę tylko powiedzieć: dzięki Bogu, że Amerykanie są naszymi sojusznikami. Sądzę, że latające bomby to ich tajemna broń, którą teraz wyciągnęli z rękawa.

– Też tak uważam. Powstała w Peenemünde i, uwierz mi, to jeszcze nic. Lądowanie aliantów we Francji dotknęło ich do żywego. Założę się, że zasypią nas tymi latającymi bombami. Wciąż chcą nam jak najmocniej przywalić.

– Wiem, wojna jeszcze się nie skończyła. – Diedre pomyślała o swoich siostrzeńcach, wciąż walczących w szeregach aliantów we Francji. Pomodliła się za nich.



Cecily niepokoiła się o Milesa. Od dawna wyglądał na przemęczonego. Gdy usiedli przy kawie w jej biurze w Burlington Arcade, zagadnęła go:

– Coś cię trapi. Powiedz mi, kochanie, o co chodzi.

– To nic, w czym mogłabyś mi pomóc – odparł z westchnieniem. – Więc po co o tym mówić?

– Och, nie wygłupiaj się. Czasem rozmowa pomaga.

– Martwię się o nasze dziewczyny zatrudnione na czas wojny w majątku – zaczął, ale przerwał. – To znaczy o to, co będzie, kiedy ich zabraknie. Po wojnie. Wszystkie wrócą do swoich cywilnych zajęć, a ja nie będę miał żadnej pomocy.

– Będziesz miał z powrotem Harry'ego, ale rozumiem, co masz na myśli. Wielu naszych młodych mężczyzn zginęło na wojnie, więcej z High Clough i Mowbray niż z Little Skell, ale pojmuję twój niepokój. Obawiam się, że nadchodzą ciężkie czasy. Wciąż będzie czegoś brakować.

– Te dziewczęta są fantastyczne i zwiększyliśmy wydajność z hektara. Ale jeśli nie będzie komu uprawiać ziemi, wpadnę w tarapaty. – Miles potrząsnął głową. – Tak, czeka nas trudna przyszłość.

– Cóż, wojna jeszcze się nie skończyła. Parę dni temu rozmawiałam z wujkiem Howardem, a on mówi, że mimo ogromnego sukcesu inwazji mamy przed sobą jeszcze długą drogę. Oprócz Niemiec musimy też zdobyć Włochy. A to potrwa jeszcze z rok.

– Aż tak długo? – nachmurzył się Miles.

– Powiedział, że coś koło tego, a nie rzuca słów na wiatr.

– Rzeczywiście przeważnie ma rację.

– Umówiłam się na dziś wieczór na kolację z Dulcie i Jamesem. Ma zamiar zrobić zapiekankę z kurczakiem.

– Miło mi słyszeć, że nie będzie jagnięciny.

– Wiem. – Cecily się roześmiała. – Swoją drogą, na dzisiaj skończyłam. Pójdziemy do domu pieszo? Jest taki miły czerwcowy wieczór.



Gdy Miles ujrzał wóz strażacki, samochody policyjne i obrony cywilnej, instynkt podpowiedział mu, że wydarzyło się coś okropnego. Cecily poczuła to samo. Zatrzymała się i chwyciła go za rękę.

– Coś się stało na South Street.

– Na to wygląda. – Wzmocnił uścisk i pobiegli, jak najszybciej mogli. Skręcili w ulicę, przy której mieszkali, i zobaczyli gasnący pożar, zwęglone drewno, gruz i potłuczone szkło. Gryzący dym podrażnił im gardła.

Cecily zachwiała się i oparła o męża.

– Nasz dom – powiedziała zduszonym głosem. – Gdzie jest nasz dom?

Miles na chwilę zaniemówił. Jego dom, który opuścił dziś rano, zniknął. Zamienił się w kupę gruzu.

– O mój Boże! – krzyknął, rozglądając się dokoła.

Podbiegł do niego jeden z policjantów, a Miles zauważył pana Clewesa, członka cywilnej obrony przeciwlotniczej, i przywołał go gestem.

Starając się opanować, spytał drżącym głosem:

– Wie pan, co się stało, panie Clewes?

– Przykro mi, lordzie Mowbray, ale w pański dom trafiła latająca bomba.

Cecily przyłgnęła do Milesa. Trzęsła się tak, że musiał ją przytrzymać, by nie upadła.

– DeLacy! – powiedziała przez łzy. – W domu była DeLacy, i Laura. I pani Wilkinson...

– Przyjechaliśmy tu przed strażą pożarną, lordzie Mowbray. W domu rzeczywiście były trzy osoby. Zabrano je do szpitala Middlesex – to dyżurny szpital Mayfair, przy Mortimer Street. Jeśli pan sobie życzy, zawieziemy tam państwa, bo nie widzę tu żadnej taksówki – powiedział policjant.

– Dziękuję, to bardzo miło z pańskiej strony. Jestem naprawdę wdzięczny.



Po przyjeździe do szpitala i rozmowie z recepcjonistką zaprowadzono ich do poczekalni.

– Za chwilę wrócę, lordzie Mowbray – powiedziała kobieta.

Gdy zostali sami, Miles objął Cecily i mocno ją przytulił. Oboje cicho płakali. Dom był doszczętnie zniszczony – nikt nie mógł przeżyć tego wybuchu.

Kiedy do poczekalni wszedł lekarz, wyprostowali się i starali się opanować. Miles wstał, żeby się z nim przywitać.

– Policja powiedziała mi, że niedawno przywieziono tu moją siostrę, lady DeLacy Ingham, pannę Laurę Swann i panią Wilkinson. Były w naszym domu przy South Street... – przerwał nagle. Wyraz twarzy lekarza powiedział mu, że wszystkie nie żyją. – Nie przeżyły, prawda? – spytał, z trudem wydobywając z siebie głos. Twarz mu poszarzała.

– Przykro mi, lordzie Mowbray. Bardzo mi przykro.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY TRZECI

Zabrali ciała DeLacy i Laury Swann do Cavendon. Brat Laury, Eric, był teraz kamerdynerem, bo parę miesięcy wcześniej Gordon Lane miał atak serca i był na urlopie aż do wyzdrowienia.

Pochowali DeLacy obok jej ojca, a Laurę po drugiej stronie cmentarza, gdzie przez ponad sto lat pochowano wielu Swannów. Opłakiwali Laurę i starali się pocieszyć jej brata.

Był to dla wszystkich dzień pełen smutku i wiedzieli, że minie dużo czasu, nim otrząsną się po stracie kochanej DeLacy. Odeszła tak niespodziewanie, tak nagle i w tak okrutny sposób. Charlotte opierała się ciężko na ramieniu siostry Charlesa, Vanessie, która wraz z mężem przyjechała z Londynu na pogrzeb. Przyjaźniły się od młodości. Ale jako najstarsza z rodziny Charlotte starała się okazać męstwo, choć serce jej krwawiło.

Trzy siostry DeLacy i Cecily były niepokieszone przez wiele miesięcy. Ale wojna wciąż trwała, alianci walczyli w Europie, i kobiety przyjęły do wiadomości, że muszą wrócić do swoich obowiązków.

Boże Narodzenie tego roku upłynęło spokojnie. Wszyscy zjechali do Cavendon i starali się jak mogli ze względu na dzieci, ale było im bardzo ciężko przy tak ograniczonych przydziałach kartkowych, a śmierć DeLacy wpłynęła na ogólny nastrój. Daphne musiała sobie radzić z obawą o bliźniaków walczących gdzieś daleko i co dzień cieszyła się, że jeszcze żyją.

Alicia dostała urlop z Czerwonego Krzyża i pomogła matce zorganizować święta, zwłaszcza dla młodszych dzieci. Ale w Cavendon i tak panował ponury nastrój.

Harry przyjechał tuż po świętach, zwolniony z RAF-u z przyczyn zdrowotnych. Jego placówka została poważnie uszkodzona przez latającą bombę, a on dostał w bok odłamkami.

Po wielu miesiącach w szpitalu mógł wreszcie wrócić do domu.

Miles, Paloma, Cecily, Alice i Walter byli zachwyceni, że go odzyskali, a on wkrótce zaczął znów prowadzić wraz z Milesem gospodarstwo. Wpłynął też na poprawę nastrojów. Był zawsze ulubieńcem Charlotte i często z nią przebywał, by ją pocieszyć. Śmierć DeLacy bardzo nią wstrząsnęła.

Inghamowie i Swannowie stali się sobie jeszcze bliżsi, chronili się nawzajem i zapewniali sobie spokój i bezpieczeństwo.

Nadszedł styczeń 1945 roku, potem luty i marzec, a zewsząd nadchodziły coraz lepsze wiadomości. Cały kraj dowiedział się, że zwyciężają, że alianci posuwają się coraz dalej. Spodziewano się rychłego końca wojny. Zapanowała nadzieja i wiara w zwycięstwo.

Diedre podzielała ten optymizm; odsuwała na bok troskę o Canarisa, choć wiedziała, na jakie ryzyko naraża się w Trzeciej Rzeszy. Zarówno ona i William jak i Tony głowili się nad zniknięciem Étoile. Jej ciała nigdy nie odnaleziono. Obaj mężczyźni usiłowali pocieszyć Diedre, bo ta sprawa nie dawała jej spokoju. Nie znosiła tajemnic, których nie potrafiła rozwikłać. I wciąż opłakiwała DeLacy, siostrę, którą tak kochała.



Pewnego kwietniowego poranka Daphne wcześniej niż zazwyczaj poszła do oranżerii, chcąc nadrobić papierkową robotę i przejrzeć domowe rachunki. Po drodze na swój posterunek jak zwykle wzięła ze stojaka w holu parę gazet.

Usiadła przy biurku i otworzyła „Daily Mail”, chcąc na początek przeczytać artykuł

Charliego. Jednak nie wyszła poza pierwszą stronę, bo w oczy rzucił jej się nagłówek, wydrukowany wielką czcionką: LUDOBÓJSTWO.

Zastygła z przerażenia, czytając nazwy... Dachau, Bergen-Belsen, Buchenwald, Ohrdruf. Obozy śmierci w całym Niemczech. Miliony Żydów i innych, mordowanych z zimną krwią. Ohydne zbrodnie... niewypowiedziane okrucieństwo i brutalność.

Przewróciła stronę i spojrzała na zdjęcia, zrobiło jej się niedobrze, ale czytała dalej. To były masowe mordy na olbrzymią skalę. Prawie niewiarygodne. Fotografie zaszokowały ją, poruszyły ją do łez. Półnagie ludzkie, żywe szkielety wyglądające zza kolczastego drutu, ich zapadnięte oczy. Coraz więcej zdjęć w innych gazetach, „Daily Express”, „Daily Telegraph”. Komory gazowe, stosy wychudzonych ciał, masowe groby. Izby tortur, eksperymenty medyczne. Nazistowska machina śmierci w pełnej krasie.

Zdjęcia stawały się coraz bardziej wyraziste, a ona pomyślała, że zaraz zwymiotuje. Jak śmieli to robić? I natychmiast sama sobie odpowiedziała: bo uważali, że świat nigdy się o tym nie dowie.

Wciąż drżąc, położyła głowę na biurku i rozplakała się. W końcu znalazła chusteczkę, wytarła oczy i nareszcie drżenie ustąpiło.

Powróciła do „Daily Mail” i przeczytała artykuł Charliego. Zajmował całą stronę i opisywał te przerażające odkrycia.

Pierwsze brytyjskie i amerykańskie oddziały, które dotarły do Niemiec, odkryły te obozy w zachodniej i wschodniej części kraju. Żołnierze alianccy byli wstrząśnięci i oburzeni potwornością tego, co w nich zastali. Mężczyźni, kobiety, a nawet małe dzieci stały się ofiarami tych systematycznych tortur i śmierci. Wiele milionów zabitych bez powodu.

Gdy niedługo potem przyszedł do niej Hugo, zatrzymał się w drzwiach na widok jej zapłakanej, białej jak kreda twarzy.

– Co się stało? – spytał, biegnąc w jej stronę.

Daphne wstała i oparła się o niego, kurczowo się go trzymając.

– Przeczytaj gazety, to zrozumiesz. Te nazistowskie potwory stworzyły maszynę śmierci...

– Słyszałem ostatnio jakieś pogłoski... o komorach gazowych i masowych morderstwach w obozach – potwierdził Hugo.

– Przeczytaj gazety – powtórzyła Daphne. – Przeczytaj artykuł Charliego.

Zrobił to, a kiedy spojrzał na nią, na twarzy malował mu się szok i przerażenie.

– Muszą za to odpowiedzieć. Ci cholerni barbarzyńcy muszą zostać ukarani.

– Jak?

– Zrobimy to. Alianci to zrobią. Nie martw się. Rozliczą to ludobójstwo bez względu na koszty. A w tym czasie cały świat się o tym dowie i będzie żądał, by zapłacili za to swoim życiem.



W poniedziałek siódmego maja 1945 roku, dokładnie o drugiej czterdzieści jeden rano, przedstawiciele admirała wielkiego Karla Dönitza podpisali akt bezwarunkowej kapitulacji wszystkich niemieckich sił lądowych, morskich i powietrznych w Europie. Wojna z Niemcami się skończyła. Alianci zwyciężyli, tak jak przepowiedział Winston Churchill.



Był ósmy maja 1945 roku. Dzień Zwycięstwa w Europie.

Nigdy nic tak nie świętowano. Cała Wielka Brytania wyległa na ulice, by się cieszyć. W każdym oknie wisiała flaga brytyjska; dzwony biły w każdej wiosce i mieście. Ludzie śpiewali, klaskali, płakali, dając upust uczuciom tłumionym przez lata. Wygrali tę wojnę z pomocą aliantów. Byli wolni. Na każdym rogu płonęły ogniska, odtrutka po latach zaciemnienia. Palono wizerunki Hitlera; śpiewom i tańcom nie było końca.

Na ulicach odbywały się huczne przyjęcia. Bary były przepełnione. Nie ma lepszego sposobu na świętowanie niż w towarzystwie rodaków. Było to święto narodowe i takim pozostanie. Czciłi upadek Trzeciej Rzeszy, najgorszego reżimu w historii świata.



Diedre z ciężkim sercem przebierała się przed wyjściem na kolację, którą James i Dulcie wydali na cześć zwycięstwa. Jej smutek miał dwie przyczyny: wciąż opłakiwała DeLacy, a także Canarisa, jej mężnego Walecznego. Został aresztowany, wtrącony do więzienia we Flossenburgu i powieszony w kwietniu. Trzecia Rzesza nazwała go zdrajcą. Ale jej zdaniem wcale nim nie był. Nigdy nie sprzyjał nazizmowi. Był prawdziwym Niemcem starej daty. Sprzeciwiał się wojnie rozpętanej przez Hitlera i był przerażony jej potwornościami. Waleczny postępował zgodnie z nakazami sumienia i to jej wystarczało.

Winston Churchill nazwał go odważnym człowiekiem, a C z MI6 – znanej także jako SIS, tajnej służby wywiadu – podzielał to zdanie. Diedre święcie wierzyła, że admirał Wilhelm Canaris pomógł odmienić bieg wojny na rzecz Wielkiej Brytanii.

Ta myśl nieco ją pocieszyła. Skończyła nakładać makijaż i wstała. Miała na sobie czerwoną sukienkę, którą Cecily uszyła dla niej na przyjęcie przed ślubem, a kiedy William wszedł do pokoju, stwierdził, że pięknie wygląda.

Dziesięć minut później ruszyli na Eaton Square, gdzie czekali na nich Cecily z Milesem i Dulcie z Jamesem.

Cecily i Diedre roześmiały się na powitanie. Cecily była ubrana w niebieską sukienkę koktajlową, a Dulcie włożyła swoją najlepszą białą jedwabną suknię. Dulcie przyłączyła się do śmiechu i zawołała:

– O mój Boże, tworzymy flagę narodową. Czemu nie sprawdziłyśmy, w co się ubierzemy? Ale już się nam to wcześniej zdarzało.

– Ale mnie się podoba chodzenie z taką flagą. To zdecydowanie moja ulubiona – stwierdził James.

Wzniesli toast za siebie nawzajem i całą rodzinę, żywych i zmarłych, a potem całą szóstką ruszyli do Whitehall. Ulice były tak pełne ludzi, że nie można było złapać taksówki.

Doszli do Parlamentu i wraz z tłumem czekali na premiera. Wygłosił radiowe przemówienie do narodu o trzeciej, ale chcieli usłyszeć coś więcej od przywódcy, którego kochali i który poprowadził ich do z trudem wywalzonego honorowego zwycięstwa.

Czekali długo, ale wreszcie ukazał się na balkonie ministerstwa zdrowia. Było wpół do jedenastej w nocy; miał na sobie swój ulubiony kombinezon i pokazał słynne „V” – znak zwycięstwa.

– Drodzy przyjaciele – rozpoczął. – To wasza godzina. To nie jest zwycięstwo jakiejś partii czy klasy społecznej. To zwycięstwo całej Wielkiej Brytanii. My, na tej starożytnej wyspie, jako pierwsi wyciągnęliśmy miecz przeciw tyranii. Po niedługim czasie zostaliśmy pozostawieni samym sobie naprzeciw najpotężniejszej potędze militarnej w dziejach. Byliśmy sami przez cały rok. Tak właśnie było. Czy ktokolwiek chciał się poddać? – Churchill przerwał, a tłum ryknął w odpowiedzi:

– Nie!

– Czy upadliśmy na duchu? – spytał.

– Nie! – zawołał jednym głosem wielotysięczny tłum.

– Światła pogasły i spadły bomby – powiedział premier. – Ale żaden mężczyzna, kobieta i dziecko w kraju nie pomyśleli nawet o przerwaniu walki. I po wielu miesiącach powróciliśmy z paszczyki śmierci, z otchłani piekła, a cały świat nas podziwiał. Czy kiedykolwiek dobre imię i wiara tego pokolenia angielskich mężczyzn i kobiet osłabnie? Powiadam, że w nadchodzących latach nie tylko ludzie z tej wyspy, ale z całego świata, gdziekolwiek w ludzkich sercach zaćwierka ptaszek wolności, spojrzą na to, czego dokonaliśmy, i powiedzą: „Nie rozpaczajmy, nie poddawajmy się przemocy i tyranii, maszerujmy naprzód i jeśli trzeba, zgińmy – niepokonani”! Teraz podnieśliśmy się po śmiertelnej walce, potworny wróg został rzucony na kolana i oczekuje na sąd, zdając się na naszą łaskę.

Skończył, ale tłum nie pozwolił mu odejść. Wiwatowali, klaskali i wywoływali jego nazwisko. Odśpiewali *Sto lat* i *Kraj nadziei i chwały*. Premier w końcu pomachał im i zniknął wewnątrz budynku, a ludzie powoli się rozeszli.

Szóstka Inghamów wróciła do mieszkania przy Eaton Square; zjedli późną kolację, świętując spokojnie we własnym gronie. Następnego ranka wszyscy pojechali pociągiem do Cavendon, by uczcić dzień zwycięstwa wraz z Charlotte, rodzicami Cecily, Harrym, Palomą, Vanessą, Richardem, Daphne, Hugonem, Charliem, Alicią i resztą dzieci. Zamierzali tego wieczoru zrobić przyjęcie w wioskowej sali zgromadzeń, na które zaprosili wszystkich mieszkańców okolicy. Daphne zapewniła dostawę jedzenia, by mógł w nim uczestniczyć cały personel.



Cecily chciała tego wieczoru ładnie wyglądać, nie tylko dla siebie i Milesa, ale i dla wieśniaków, dać przykład, pokazać, że Inghamowie się nie poddają.

Robiła to także dla DeLacy, z którą przyjaźniła się przez całe życie z wyjątkiem krótkiego okresu, gdy się pokłóciły. Bardzo za nią tęskniła, czasem czuła nieznośny ból; trudno jej było uwierzyć, w to, co się stało.

Były takie dni, kiedy Cecily zakradała się na cmentarz i siadała przy jej grobie. Mówiła do niej, opowiadała, co się dzieje w Cavendon, jak bardzo ją kochają i tęsknią za nią. Że zawsze będą o niej pamiętać. DeLacy, taka urocza, czasem krucha, ale zawsze silna, zawsze stojąca z podniesioną głową jak prawdziwa kobieta z rodziny Inghamów.

Przycisnęła do twarzy ręcznik, by powstrzymać potok łez, wiedząc, że musi się przygotować na wieczór. Usłyszała nagle kroki Milesa. Widząc ją, powiedział:

– Och, nie płacz, kochanie. Mnie też jej brakuje, ale musimy być silni i żyć dalej. Mamy tu tyle do zrobienia.

Odsunął delikatnie ręcznik i przez chwilę trzymał ją w ramionach, by ją pocieszyć. Odstąpił o krok i uśmiechnął się.

– Wyglądasz pięknie bez względu na okoliczności.

Wpatrzyła się w niego. To jego twarz kochała przez całe życie. Włosy przyprószyła mu siwizna, był starszy i wciąż wyglądał na zmęczonego, ale był sprawny i zdrowy, a to było najważniejsze.

Chwilę później Cecily, ubrana w jedną ze swoich ulubionych letnich sukienek z purpurowego szyfonu i ametystowy naszyjnik, wzięła go za rękę i razem zeszli do biblioteki.

Wszyscy ubierali się jeszcze na górze, więc zaprowadziła go na taras. Stali tam, patrząc

przez park na jezioro, po którym płynęły dwa łabędzie.

Cecily zwróciła twarz ku mężowi.

– Kiedyś, dawno temu, kiedy wszystko wokół nas popadało w ruinę, przysięgliśmy, że to odbudujemy. I musimy to zrobić jeszcze raz. Jeśli udało nam się wtedy, uda nam się po raz drugi. Zdołamy naprawić wojenne zniszczenia.

– Racja – powiedział ze śmiechem. – Moja ty wojowniczo. Kto nas powstrzyma?

– Nikt, bo nikt nie jest w stanie nas powstrzymać. Jesteśmy niezwyciężonymi Inghamami, z pewną domieszką Swannów. Znów zwyciężymy.

– To zasługuje na toast. – Miles wszedł do domu i po chwili wrócił z dwoma kieliszkami szampana.

Podał jeden żonie i trącił się z nią.

– Za Cavendon, Ceci. Przywrócimy je do życia, bo nie może być inaczej.

– Tak, damy radę, dopóki mamy siebie nawzajem.

– I zawsze tak będzie – stwierdził Miles.

PODZIĘKOWANIA

Gdy kilka lat temu planowałam serię o Cavendon, dobrze wiedziałam, że ta trzecia książka będzie obejmowała okres drugiej wojny światowej.

Nie martwiłam się zbytnio o to, że będę musiała przeprowadzić rozpoznanie tematu, mając to szczęście, że w mojej karierze pisarskiej spotkałam mentora: zmarłego już dziennikarza i korespondenta wojennego Corneliusa Ryana. Jego książka o upadku Berlina, *The Last Battle*, dobrze mi się przysłużyła podczas pisania *Listu od nieznanego*.

Wiedziałam, że tym razem muszę powrócić do jego książki *The Longest Day*, by w pełni zrozumieć znaczenie Dnia D, czyli lądowania aliantów w Normandii. Odkryłam, że ta książka jest tak żywa i poruszająca jak wtedy, kiedy została wydana po raz pierwszy. Mój mąż kupił mi ostatnio *The D-Day 70th Anniversary Collector's Edition*, album zawierający mnóstwo fotografii i pierwotny tekst. Te fotografie wprawiają w osłupienie, a tekst daje wgląd w najmniejsze szczegóły. Nic dziwnego, że w 1970 roku Francuzi nagrodzili Conniego Legią Honorową za jego książki o wojnie.

Ponieważ *Szczęście Cavendon* obejmuje całe sześć lat wojny, musiałam też przeczytać wiele innych książek. Mam dług wdzięczności u tych autorów, którzy opowiadali o rozmaitych aspektach tej wojny. Są to między innymi *The Storm of War* Andrew Robertsa; *The Battle of Britain Remembered* Richarda Colliera i Philipa Kaplana oraz *Dunkirk* Hugh Sebag-Montefiore.

Nie można oczywiście pisać o drugiej wojnie światowej, nie wysuwając na pierwszy plan Winstona Churchilla, i choć sporo o nim wiedziałam, dla odświeżenia pamięci sięgnęłam po niektóre książki. Zyskałam nowy wgląd w tę wielką postać po ponownej lekturze dużych fragmentów dzieła *Churchill* Roya Jenkinsa, a *The Churchill Factor* Borisa Johnsona pozwoliło mi spojrzeć na niego współczesnym okiem. *Krew, znoj, łzy i pot: mowy Winstona Churchilla* wydane przez Davida Cannadine'a, przypomniały te wyjątkowe przemówienia i jego talent oratorski, który tak poruszał i inspirował naród; tak samo było z *Never Give In!*, autorstwa jego wnuka, Winstona S. Churchilla.

Zawsze fascynował mnie admirał Wilhelm Canaris, szef niemieckiego wywiadu wojskowego, i rola, jaką odegrał, pomagając Wielkiej Brytanii w tych niebezpiecznych latach. Pomocą posłużyła mi tu pierwsza książka o Canarisie: *Master Spy* Iana Colvina; dowiedziałam się też nowych faktów z książki Richarda Bassetta *Hitler's Spy Chief*. Opowieść Andrew Mortona *17 Carnations* przeniosła mnie w świat wytwornego towarzystwa Berlina w późnych latach trzydziestych, mówiąc też wiele o stosunku Hitlera do arystokracji brytyjskiej i jego podziwie dla MI6.

Muszę wspomnieć o odkrywczej książce o Watykanie i papieżu Piusie XII. Autor *Church of Spies*, Mark Riebling, dał mi wiedzę o sekretnej wojnie papieża przeciwko Hitlerowi i o tym, jak uratował rzymskich Żydów. To była dla mnie fascynująca lektura, zwłaszcza że autor wspomina tam również o Canarisie.

A Force to be Reckoned With: A History of the Women's Institute autorstwa Jane Robinson oraz *Jambusters* Julie Summers przywołują ogromną pracę wykonaną podczas wojny przez zwykłe brytyjskie kobiety. Praktycznie żywiły cały kraj, produkując miliony słoików dżemu, kompotów i przetworów warzywnych. I uprawiały działki, na których rosły te warzywa.

Rząd dawał im cukier do produkcji dżemów, które trafiały do pustych sklepów. Kobiety dziergały szaliki, kominiarki i rękawiczki dla żołnierzy, przyjmowały ewakuowane dzieci według

planu znanego jako Operacja Pied Piper, dając im schronienie, kiedy ich domy legły w gruzach podczas nalotów na duże miasta. A wraz z kobietami z Instytutów Kobiet pracowały energiczne dziewczęta z Land Army. Mam nadzieję, że udało mi się dobrze je przedstawić.

Hollywood pod koniec lat trzydziestych różnił się od tego, który znamy teraz, i by oddać klimat tamtych lat, prowadziłam długie rozmowy z moją przyjaciółką Anne Edwards, biografką, pisarką i scenarzystką. Dorastała tam, a jej wuj, Dave Chasen, był właścicielem znanej restauracji.

Biografia Vivien Leigh pióra Anne przeniosła mnie do roku 1939, kiedy kręcono *Przeminęło z wiatrem*; to samo sprawiła *Long Live the King*, biografia Clarka Gable'a Lyn Tornabene, oraz *David O. Selznick's Hollywood* Ronalda Havera i *An Empire of Their Own* Neala Gablera – ten autor wyjaśnia, jak europejscy Żydzi, którzy wyemigrowali do Ameryki, stworzyli Hollywood, a książka zawiera wiele wspaniałych opowieści.

Z tych wszystkich informacji wyłoniła się druga część *Szczęścia Cavendon*, w której zawarłam opis ewakuacji Dunkierki, kiedy to wezwano ludność cywilną, by ratowała brytyjskie wojsko uwięzione na wybrzeżu. Wyruszyli na wszystkim, co pływało, uzbrojeni jedynie w wielkie serca i olbrzymią odwagę. Mamy tu też Bitwę o Anglię, prowadzoną na niebie przez młodych, zaledwie dwudziestoletnich lotników, którzy nawet nie ukończyli formalnego szkolenia. To o nich powiedział Churchill: „Jeszcze nigdy tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak niewielu”. Gdy pisałam o Blitzu i Dniu D, wciąż pamiętałam, jak odważni byli nie tylko żołnierze, ale i cywile. Te okropne czasy wymagały męstwa, i moim zdaniem wszyscy im sprościli.

Po kapitulacji Francji Wielka Brytania przez rok samotnie zmagala się z wrogiem. A potem, dzięki apelom Churchilla do prezydenta Roosevelta, powstał Lend-Lease – akt zezwalający prezydentowi USA na dostarczanie broni państwom alianckim, i Ameryka zaczęła wysyłać do Wielkiej Brytanii żywność i amunicję. Gdy Japończycy zaatakowali Pearl Harbor i zniszczyli trzy czwarte amerykańskiej floty na Pacyfiku, prezydent Roosevelt wypowiedział wojnę Japonii i Niemcom. Nie jestem pewna, co by się stało, gdyby Ameryka nie została sojuszniczką Wielkiej Brytanii. Jak wiecie, razem wygraliśmy tę wojnę.

Winna jestem podziękowania wielu ludziom, zaangażowanym w powstawanie tej książki. Lonnie Ostrow z Bradford Enterprises wprowadzała do tekstu wszystkie poprawki moje i redakcji, a czyniła to z humorem i przeważnie pod presją czasu. Chciałabym podziękować Lindzie Sullivan z WordSmart za wykonanie idealnego i bezbłędnego skryptu.

Mam cudowną redaktorkę, Lynne Drew, z HarperCollins UK. Pracowałyśmy już razem nad wieloma książkami i doceniam jej zrozumienie mojego pisarstwa, szybkie reakcje, znajomość moich postaci i wiele sugestii. Dziękuję redaktorce Claire Palmer i adiustatorce Penny Isaac, która od wielu lat pracuje nad moimi książkami. Dziękuję też Kate Elton, Lucy Vanderbilt, Elizabeth Dawson, Rogerowi Cazalet i Oliverowi Wright. Tworzą wspaniały zespół zaangażowany w publikację moich książek.

Zawsze na koniec dziękuję mojemu mężowi, choć naprawdę powinnam podziękować mu jako pierwszemu. Bob to podpora mojego życia, nigdy nie przestał zachęcać mnie do pisania. Tak wspaniale wytrzymuje z żoną, która wciąż siedzi pochłonięta pisaniem. Ale kiedy uważa, że to konieczne, przychodzi i zmusza mnie do przerwania pracy. Poszczęściło mi się, że mam tak kochanego, wyrozumiałego męża.

Moje przyjaciółki zawsze mi to mówią, i muszę teraz podziękować im za to, że są tak miłe, kiedy nie chcę się z nimi umawiać, bo gonią mnie terminy. Wiecie, kim jesteście, i że was kocham.



Barbara Taylor Bradford z dumą wspiera National Literacy Trust, organizację pożytku publicznego zajmującą się propagowaniem czytelnictwa w Wielkiej Brytanii. Jest gorącą zwolenniczką wyrównywania szans życiowych, zwłaszcza kobiet, zapewniania możliwości realizacji ich potencjału. Więcej na ten temat znajdziecie na:

www.literacytrust.org.uk/barbarataylorbradford